

V. C. ANDREWS

PERLA  
WE MGLE



Illustration by [illegible]

V. C. ANDREWS  
PERŁA  
WE MGLE

Przełożyła: S. J. J.

*Andrews V. C.*

*Landry 02*

*Perła we mgle*

*Ruby już od roku mieszka w rezydencji Dumasów, ciągle jeszcze nie wierząc, że zdobyła miłość ojca, którego do tej pory nie знаła. Jednak w nowej rodzinie szczęście jest równie nieuchwytnie, jak mgła nad rozlewiskami. Dziewczyna musi cały czas uważać na podstępного wroga - swoją macochę, Daphne, która nie potrafi się pogodzić z pochodzeniem pasierbicy. Wysiłki Ruby, by nawiązać kontakt z siostrą, Gisselle, rozbijają się o mur złośliwości i okrucieństwa. Czy ekskluzywna szkoła dla pańienek z dobrego domu, wybrana przez ojca, okaże się szansą na*

szczęście?

## Prolog

*Drogi Paulu,*

*do ostatniej chwili zwlekałam z napisaniem tego listu, przede wszystkim dlatego, że aż do tej pory nie byłam pewna, czy zrobię to, o co prosił mój ojciec, to znaczy czy zechcę uczęszczać wraz z moją bliźniaczką Gisselle do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Baton Rouge. Choć mu to obiecałam, na samą myśl o tym ogarniało mnie przerażenie.*

*Przeglądałam informator tej szkoły, nazywa się Greenwood. Rzeczywiście wygląda pięknie, jest to potężny budynek, w którym mieszczą się klasy, aula, sala gimnastyczna, a nawet kryty basen. Oprócz tego są tam jeszcze trzy budynki internatowe, w których mieszkają dziewczęta, przed każdym rosną wierzby i dęby; dodaj jeszcze staw obrosnięty hiacyntami; piękne zalesione tereny, na których rosną czerwone dęby i hikory; ziemny kort tenisowy i boiska do gry w piłkę; no, po prostu wszystko, czego dusza zapagnie. Jestem przekonana, że poziomem i opinią o niebo przewyższa moją dotychczasową szkołę w Nowym Orleanie.*

*Do Greenwood uczęszczają wyłącznie najbogatsze dziewczęta z najlepszych kreolskich rodzin z Luizjany. Nie żywię żadnych uprzedzeń wobec bogatych ludzi pochodzących z szacownych rodów, ale wiem, że wszystkie dziewczęta, z którymi przyjdzie mi mieszkać, zostały wychowane tak samo jak Gisselle. Myślą podobnie jak ona, tak samo się ubierają i zachowują, co sprawi, że z pewnością poczuję się wśród nich intruzem.*

*Ojciec ogromnie we mnie wierzy. Sądzi, że przezwyciężę wszelkie trudności i z pewnością dorównam, o ile ich nie przewyższę, snobkom, z którymi tam się zetknę. Tak jest przekonany o wielkości mojego talentu malarskiego, iż uważa, że zostanie on natychmiast dostrzeżony, a nauczyciele oraz dyrekcja zrobią wszystko, co w ich mocy, by go rozwinąć, tak by później na nich spłynął cały splendor. Wiem, że w ten sposób chce mi pomóc pokonać wątpliwości i obawy.*

*Niezależnie jednak od tego, co sędzę o pójściu do tej szkoły, uważam, że to chyba najlepsze, co mogę teraz zrobić, bo dzięki temu przynajmniej znajdę się z dala od mojej macochy.*

*Kiedy podczas swej wizyty pytałeś, czy sytuacja się poprawiła, powiedziałam ci, że tak, lecz nie wyznałam ci całej prawdy. Ta zaś wyglądała tak, że omal mnie nie umieszczono, skazując na zapomnienie, w szpitalu psychiatrycznym, tym samym, gdzie przebywa biedny wujek Jean, brat ojca. Macocha wraz z dyrektorem szpitala uknuli spisek, zmierzający do tego, by mnie tam zatrzymać. Dzięki pomocy bardzo miłego, niestety poważnie chorego młodzieńca imieniem Lyle, uciekłam i wróciłam do domu. Opowiedziałam ojcu, co się stało, po czym on i Daphne straszliwie się pokłócili. Gdy burza nieco ucichła, zwrócił się do mnie z propozycją wysłania mnie wraz z Gisselle do Greenwood, tej prywatnej szkoły. Wiedziałam, jak ogromnie zależy mu na tym, byśmy zniknęły Daphne z oczu i widziałam, jak bardzo ona cieszy się, że wyjedziemy.*

*I tak oto znalazłam się na rozdrożu. Z jednej strony lękam się Greenwood i tego, co mnie tam czeka, ale z drugiej ogarnia mnie radość, że wyrwę się z tego ostatnio tak mrocznego i*

*przerażającego domu. Nie chcę opuszczać ojca. W*

*ciągu tych kilku miesięcy strasznie postarzał. W jego kasztanowatych włosach pojawiły się siwe pasma, nie trzyma się już tak prosto ani nie porusza tak energicznie, jak po moim przyjeździe. Mam wrażenie, jakbym go porzuciła, ale skoro pragnie, byśmy razem z Gisselle uczęszczały do tej prywatnej szkoły, postaram się sprawić mu tę radość, a przez to ulżyć i rozładować napięcie.*

*Gisselle ani przez chwilę nie przestaje wyrzekać i jęczeć. Nieustannie grozi, że nie pojedzie do Greenwood. Skarży się, użala nad swoim losem kaleki w wózku, bez przerwy posyła wszystkich na drugi koniec domu, żeby jej coś przynosili albo zaspokajali najmniejsze zachcianki. Ani razu nie usłyszałam z jej ust, że winę za wypadek ponosi ona sama i Martin, bo palili trawkę. Nie, winny jest niesprawiedliwy świat. Wiem, że do Greenwood nie chce jechać wyłącznie dlatego, ponieważ boi się, że nikt nie zgodzi się tam spełniać na każde skinienie*

*wszystkich jej zachcianek. I przed wypadkiem była rozpuszczona, ale tamto to błahostka w porównaniu z tym, jak teraz się zachowuje. W tej sytuacji trudno mi jej współczuć.*

*Powiedziałam jej wszystko, co wiem o naszym pochodzeniu, ale ona nadal nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że nasza matka była Cajuńką. Oczywiście, godzi się bez zastrzeżeń z tym, co jej opowiadam o dziaduniu Jacku: jak wykorzystał ciężę matki, by ubić targu z dziadkiem Dumasem i sprzedał Gisselle Dumasom. Powiedziałam Gisselle, że równie dobrze to ona mogła zostać na rozlewiskach, a ja mogłam być wychowana w Nowym Orleanie. Na samą myśl o tym Gisselle przechodzą ciarki i na jakiś czas przestaje narzekać; ale i tak potrafi mi niezłe zalać sadła za skórę i nieraz żałuję, że uciekłam z rozlewisk.*

*Oczywiście, często wspominam rozlewiska i piękne chwile, jakie tam przeżywaliśmy, dopóki nie odeszła babunia Catherine, a my dwoje nie poznaliśmy prawdy o naszym pochodzeniu. Ten, kto powiedział, że niewiedza uszczęśliwia, miał świętą rację, zwłaszcza w odniesieniu do mojej i twojej sytuacji. Wiem, że tobie trudniej przyszło się z tym pogodzić. Ty, może bardziej niż ja, musiałeś żyć w kłamstwie i zdradzie, ale ja jednego już zdołałam się nauczyć, mianowicie tego, że jeśli chcemy, by życie przyniosło nam choć odrobinę radości, musimy wybaczać i zapominać.*

*Tak, żałuję, że jesteśmy przyrodnim rodzeństwem; najchętniej wróciłabym do Ciebie i razem zbudowałibyśmy nasze wspólne życie na rozlewiskach, gdzie zostawiłam swoje serce, ale nie taką ścieżkę wyznaczyło nam przeznaczenie.*

*Chcę, byśmy na zawsze pozostali przyjaciółmi, a także bratem i siostrą. Teraz, kiedy i Gisselle Cię poznała, ona również tego pragnie. Ilekroć dostaję od Ciebie list, nalega, bym go czytała na głos, a jeśli wspomnisz o niej choćby słówkiem lub przekażesz dla niej pozdrowienia, cała się rozjaśnia. Choć z Gisselle nigdy nie wiadomo, może to przelotny kaprys.*

*Przepadam za Twoimi listami, chociaż zawsze gdy je otrzymuję, na chwilę ogarnia mnie smutek. Przymykam oczy i słyszę granie cykad albo pohukiwanie sowy. Czasem nawet wydaje mi się, że czuję zapach potraw, przygotowywanych przez babunię Catherine. Wczoraj Nina podała na lunch duszone langusty, dokładnie takie, jakie robiła kiedyś babunia: przy-rumienione na maśle, posypane świeżą cebulką. Oczywiście, ledwo Gisselle usłyszała, że to cajuńskie danie, nie chciała*

*ich wziąć do ust. Nina puściła do mnie oko i obie zaśmiewałyśmy się w duchu, bo widziałyśmy, że przed chwilą zajadała się nimi, aż jej się uszy trzęsły.*

*Tak czy owak obiecuję, że napiszę do Ciebie, kiedy tylko zaaklimatyzuję się w Greenwood i może już wkrótce, o ile będziesz mógł, przyjedziesz nas odwiedzić. A przynajmniej dowiesz się, gdzie pisać.*

*Spragniona jestem wieści z rozlewisk, zwłaszcza plotek o starych przyjaciółkach babuni. Ale przede wszystkim spragniona jestem wieści o Tobie. Nie ukrywam również, że jakaś część mnie chciałaby dowiedzieć się, co słyhać u dziadunia Jacka. Choć trudno mi myśleć o nim, nie przypominając sobie tych strasznych rzeczy, które uczynił. Dziś to pewnie tylko żaloszny starzec.*

*Tyle smutnych rzeczy tak szybko wydarzyło się w naszym życiu. Może... może już wypiliśmy cały kielich goryczy i nieszczęść, tak że od tej pory nasze życie będzie się składać tylko z samych dobrych i radosnych chwil? Czy tylko głuptas może tak marzyć?*

*Widzę, jak się do mnie uśmiechasz, jak błyszczą Twoje drogie, błękitne oczy.*

*Noc jest dziś bardzo ciepła. Wieczorny wietrzyk przynosi zapach świeżego bambusa, gardenii i kamelii. Przy takiej pogodzie jak teraz, człowiek ma wrażenie, że głos niesie się bardzo, bardzo daleko. Siedząc przy oknie słyszę dudnienie tramwaju na St. Charles Avenue. W jakimś domu ktoś gra na trąbce. Jej dźwięk jest taki smutny, a zarazem tak urokliwy.*

*A teraz na balustradzie górnego tarasu przysiadł gołąb i zawodzi swoją smutną melodię. Babunia mawiała, że ilekroć usłyszę wieczorem gołębia muszę życzyć komuś czegoś dobrego, i to jak najszybciej, bo inaczej żaloszna pieśń ptaka ściągnie nieszczęście na człowieka, którego kocham. Dzisiejsza noc jest stworzona do marzeń i życzeń. Jedno z nich będzie dotyczyło Ciebie.*

*Wyjdź na dwór i przywołaj znad moczarów jastrzębia błot-niaka. A potem wypowiedz życzenie pomyślności dla mnie.*

*Jak zawsze kochająca Ruby*

*Pierwszy dzień*

**Stuk**, stuk: pukanie dziecięcia przebudziło mnie z niespokojnego snu. Większość nocy czuwałam, kręcąc się na łóżku, nie mogąc zasnąć z niepokoju. Cały czas zastanawiałam się, co mnie jutro czeka. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i zapadłam w świat pełen dziwaczkich snów, aż w końcu po raz kolejny wrócił do mnie znajomy koszmar. Płynęłam czołnem przez mokradła. Woda barwą przypominała mocną herbatę. Nie miałam wiosła. Nurt niósł mnie w nieznane, w ciemność pełną hiszpańskiego mchu, który falował w lekkich podmuchach wiatru, przez co krajobraz stawał się jeszcze bardziej niesamowity. Nad powierzchnią wody przemykały zielone węże, sunąc za czołnem. Z

ciemności podejrzliwie przypatrywały mi się lśniące oczy sowy, a ja coraz głębiej zanurzałam się w bagna.

W tym śnie zwykle słyszałam zawodzenie niemowlęcia. Jeszcze nie potrafiło mówić, lecz wydawało mi się, że sły-szę, jak woła: „Mamo, mamo”. Ciemność coraz bardziej mnie otaczała, lecz zwykle budziłam się, nim zdążyłam pogrążyć się w mroku. Tymczasem ostatniej nocy koszmar na tym się nie urwał i dalej brnęłam w omszały, ciemny świat.

Łódka skręciła, popłynęłam nieco szybciej, poki nie dostrzegłam jaśniejącego, białego jak ściana szkieletu, który długim, chudym palcem wskazywał coś przede mną, zmuszając, bym wzrokiem przeniknęła mrok, aż wreszcie zauważyłam dziecko - samiuteńkie, porzucone w hamaku nad galeryjką otaczającą chatę dziadunia Jacka.

Łódka zwolniła i nagle, na moich oczach, chata dziadunia Jacka zaczęła zanurzać się w grzęzawisku. Płacz niemowlęcia przybrał na sile. Przechyliłam się w czółnie i zaczęłam wiosłować rękami, żeby szybciej się poruszać, ale wokół dłoni oplotły mi się zielone węże. Chata coraz bardziej pogrążała się w błocie.

- NIE! - krzyczałam, a ona zapadała się coraz głębiej i głębiej, aż została jedynie galeryjka i dziecko w hamaku.

Dziewczynka miała buzię jasną jak perła. Przybliżyłam się i wyciągnęłam ręce, ale gdy już, już miałam dotknąć hamaku, galeryjka też zniknęła w trzęsawisku.

I wtedy usłyszałam pukanie dziecięcia, gwałtownie prze-cknęłam się i zobaczyłam promienie porannego słońca, wpadające przez zasłony i rzucające jasne światło na perłowy jedwab baldachimu wiszącego nad moim obszernym łóżem z ciemnego drewna. W ich ciepłym blasku kwiaty na mojej tapecie zdawały się ożywać i kwitnąć. Choć tak krótko spałam, cieszyłam się, że się przebudziłam i widzę ten słoneczny ranek - zwłaszcza po moich sennych koszmarach.

Usiadłam i tak długo tarłam oczy, aż usunęłam z nich pył, który sypnął w nie Piaskowy Dziadek, potem głęboko zaczerpnęłam tchu i powtarzałam sobie, że muszę być silna, i nie tracić nadziei. Odwróciłam się do okna, zza którego dobiegały głosy ogrodników, przygotowujących się do strzyżenia żywopłotów, pielienia ogrodu i zmiatania liści bananowców wokół basenu i z kortu tenisowego. Daphne, moja macocha, twierdzi, że to dzięki nim ogród i budynek wygląda co rano, jakby nocą nic się nie działo - nawet jeśli szalała wichura czy siekł ulewny deszcz.

Poprzedniego wieczora przyszykowałam ubrania na podróż do nowej szkoły. Ponieważ przypuszczałam, że macocha skrupulatnie sprawdzi, jak się ubiorę, wybrałam jedną z najdłuższych spódnic i odpowiednią bluzkę. Gisselle w końcu ustąpiła i zgodziła się, żebym przygotowała rzeczy i dla niej, choć idąc spać zarzekała się, że już nigdy nie wstanie. Do tej pory dźwięczą mi w uszach jej groźby i zaklęcia.

- Wolę umrzeć w tym łóżku - lamentowała - niż wyruszać w tę koszmarną podróż do Greenwood. Nieważne, co wybierzesz, i tak będzie to ostatnia rzecz, jaką włożę przed zgonem. A wina za moją śmierć spadnie również i na ciebie! - oświadczyła, ostentacyjnie rzucając się na łóżko.

Choćbym spędziła ze swoją bliźniaczką całe życie, nigdy nie zdołam pogodzić się z tym, że tak ogromnie się od siebie różnimy mimo naszych właściwie identycznych twarzy i figur, koloru oczu i

włosów. I nie jest to wyłącznie kwestia różnicy wychowania. Jestem pewna, że już w łonie naszej matki kłóciłyśmy się.

- Na mnie? A dlaczego miałaby spaść na mnie? Natychmiast podparła się na łokciu.

- Bo zgodziłaś się na tę całą szkołę, a tata robi dla ciebie wszystko. Powinnaś była się kłócić i szlochać. Powinnaś była urządzić piekielną awanturę. Aż nie chce mi się wierzyć, że do tej pory nie potrafisz wszczynać piekła. Niczego się ode mnie nie nauczyłaś?

Nauczyć się robienia awantur? Akurat ta wiedza nie jest mi niezbędna do szczęścia, choć Gisselle wydawało się, że wyrządza mi przysługę, udzielając mi lekcji takiego postępowania. Stłumiłam śmiech, nie chcąc jeszcze bardziej jej rozwścieczyć.

- Robię to, co uważam za najlepsze dla każdego z nas, Gisselle. Sądziłam, że to zrozumiesz. Tata chce, żebyśmy wyjechały. Ma nadzieję, że dzięki temu jego życie z Daphne stanie się znośniejsze. I nasze też. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się wydarzyło! - podkreśliłam, spoglądając na nią znacząco.

Opadła na łóżko z odętą miną.

- Nikt nie ma prawa zmuszać mnie do wyrządzania innym przysług. Nie po tym nieszczęściu, które mnie spotkało.

Wszyscy powinni myśleć najpierw o mnie i moich cierpieniach - wyrzekła.

- I tak właśnie jest.

- Tak? A kto o mnie myśli? Kto? - warknęła, nagle zapominając o żalnym tonie złamanej chorobą istoty. - Nina gotuje to, co ty lubisz, nie ja. Tata zawsze najpierw ciebie pyta o zdanie. Beau przychodzi do ciebie, nie do mnie! Do tego... do tego... nawet nasz brat przyrodni, Paul, pisuje tylko do ciebie, nigdy do mnie.

- Zawsze przesyła ci pozdrowienia.

- Ale nigdy nie napisze osobnego listu - podkreśliła.

- Ty też nigdy do niego nie napisałaś - zwróciłam jej uwagę.

To ją na chwilę zastanowiło.

- To chłopiec powinien pierwszy napisać.

- Może, jeśli to twój chłopak, ale nie brat. Między rodzeństwem nie liczy się, kto pierwszy napisze.

- No to dlaczego do mnie nie pisze? - uzalała się.

- Poproszę go o to - obiecałam.

-Ani mi się waż! Skoro nie chce pisać z własnej woli... to... to i tak nie napisze. A ja będę wiecznie tkwiła w tym łóżku, sama, wpatrując się w sufit, zastanawiając się, co inni robią, jak się bawią... Jak ty się bawisz - dodała z zawi-

ścią.

- Wcale nie tkwisz wiecznie w łóżku i nad niczym się nie zastanawiasz, Gisselle - odparłam, nie mogąc już dłużej powstrzymać się od uśmiechu. - Jeździsz, gdzie chcesz i kiedy chcesz. Wystarczy, że pstrykniesz palcem, a wszyscy wokół ciebie skaczą. Czy nie po to tata kupił furgonetkę, żebyś mogła wszędzie jeździć w swoim wózku?

- Nienawidzę tej furgonetki. Nienawidzę być wożoną w wózku. Wyglądam jak przedmiot, torba z pieczywem albo...

albo... skrzynka bananów. Nie pojedę nią - upierała się.

Tata chciał nas zawieźć do Greenwood furgonetką, ale Gisselle poprzysięgła, że za nic nią nie pojedzie. Tak byłoby wygodniej, bo zmieściłyby się wszystkie rzeczy, które Gisselle uparła się zabrać do szkoły. Godzinami przetrzymywała u siebie Wendy Williams, naszą pokojówkę, złośliwie, zmuszając ją do przynoszenia najprzeróżniejszych drobiazgów, żeby jeszcze bardziej utrudnić sytuację. Nawet moja uwaga, że pokoje w bursie zapewne nie są wielkie, a poza tym i tak każą nam nosić mundurki, nic nie zmieniła.

- Znajdą dla mnie odpowiednio duże pomieszczenie. Tata obiecał, że zrobią wszystko, by mi ułatwić życie - upierała się. - Co zaś do noszenia mundurków... to się jeszcze okaże.

Zażądała zapakowania całej kolekcji - co do jednego -pluszowych zwierzaków, jej książek, gazet, albumów ze zdjęciami, wszystkich ubrań, również i butów, a nawet kazała Wendy spakować dosłownie wszystkie kosmetyki z toaletki.

- Pozałujesz, kiedy przyjedziesz na wakacje - ostrzegłam. - Nie będziesz miała podstawowych rzeczy, a wtedy...

- Wtedy po prostu każę komuś, żeby mi je kupił - stwierdziła chytrze. Nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Gdybyś i ty upierała się, że musisz wziąć więcej rzeczy, tata zobaczyłby, jak okropna jest ta przeprowadzka i zrezygnowałby z wysłania nas do Greenwood.

Gisselle nigdy nie przestawała mnie zadziwiać swoimi umiejętnościami knucia intryg. Powiedziałam jej, że gdyby chociaż połowę tej energii, którą marnuje na wymigiwanie się od obowiązków, włożyła w robienie czegoś pożytecznego, odnosiłaby sukcesy na każdym polu.

- Odnoszę sukcesy, kiedy tego chcę albo kiedy muszę - ucięła, kończąc w ten sposób naszą kolejną siostrzaną pogawędkę.

Teraz zaś wstał ranek naszego wyjazdu do szkoły i śmiertelnie bałam się zajrzeć do jej pokoju. Nie potrzebowałam kryształowej kuli Niny, żeby przewidzieć, jak zostanie powitana i co mnie czeka. Ubrałam się i uczesałam, a potem poszłam zobaczyć, co się u niej dzieje. W korytarzu wpadłam na



Wendy, która wybiegła z pokoju Gisselle cała we łzach, mamrocząc coś pod nosem.

- Co się stało, Wendy?

- Pan Dumas posłał mnie, żebym pomogła jej wstać, ale ona nie słucha żadnych argumentów - poskarżyła się. -

Proszę ją, błagam, żeby się ruszyła, a ona leży jak kukła z mocno zaciśniętymi oczami, udając, że śpi. I co mam zrobić? - zawodziła. - Pani Dumas nakrzyczy na mnie, nie na nią.

- Nikt na ciebie nie nakrzyczy, Wendy, ja ściągnę ją z łóżka - uspokoiłam biedaczkę. - Daj mi kilka minut.

Uśmiechnęła się przez łzy, otarła je z pulchnych policzków. Wendy była niewiele starsza od Gisselle, ale edukację zakończyła na ósmej klasie i rozpoczęła służbę w rodzinie

Dumasów. Od wypadku samochodowego Wendy stała się prawdziwym chłopcem do bicia, na którym Gisselle wyła-dowywała złość. Tata najął pielęgniarkę do opieki nad Gisselle, ale ona nie mogła znieść fochów i awantur podopiecznej. Podobnie druga, a potem i trzecia pielęgniarka, tak że w końcu na biedną Wendy spadł dodatkowy obowiązek zaspokajania kaprysów Gisselle.

- Nie pojmuję, jak w ogóle możesz ją lubić - powiedziała Wendy, w której oczach, przypominających dwa lśniące krążki czarnego onyksu, malowała się wściekłość.

Zastukałam do drzwi Gisselle, odczekałam chwilę i choć milczała, weszłam. Leżała tak, jak opisała Wendy -

nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Podeszłam do okna. Okna pokoju Gisselle wychodziły na ulicę. Promienie słońca ozłociły brukowaną drogę, ruch był jeszcze niewielki. Wzdłuż naszego parkanu kwitnące azalie, żółte i czerwone róże oraz hibiskus tworzyły cudowną, oszałamiającą kompozycję barw. Choć powinnam się już przyzwyczaić, ta rezydencja i jej otoczenie - słynna Garden District (dzielnica ogrodów) Nowego Orleanu -

nieustannie budziły we mnie nabożny podziw, graniczący z lękiem.

- Co za cudowny dzień - odezwałam się. - Pomyśl o tych wszystkich wspaniałościach, które zobaczymy po drodze.

- To nudna podróż. Byłam już w Baton Rouge - odparła. -Zobaczymy najwyżej paskudne rafinerie i unoszące się nad nimi kłęby dymów.

- Wielkie nieba, ożyła! - zawołałam, składając dłonie. -Chwała Panu! Już myśleliśmy, że nocą wyzionęłaś ducha.

- Chciałaś powiedzieć: liczyliśmy - prychnęła ze złością.

Nie podciągnęła się, tylko się przekręciła, tak że jej głowa zniknęła w dużej, miękkiej poduszce, a

ręce spoczywały nieruchomo wzdłuż ciała.

- Myślałam, że w końcu zgodziłaś się pojechać i nie będziesz robić zamieszania, o ile pozwoli ci się zabrać wszystko, czego zażądałaś, Gisselle - powiedziałam, z trudem panując nad rozdrażnieniem.

- Mówiłam, że się poddam, a nie że się zgadzam. - Razem przeglądałyśmy folder. Przyznałaś, że Greenwood wygląda pięknie - przypomniałam jej.

Przypatrywała mi się spod zmrużonych powiek.

- Jak możesz być taka... taka... ustępliwa? Pamiętaj, że zostawiasz tu Beau. A myszy harcu ją, gdy kota nie czują.

Beau bardzo ciężko przyszło pogodzenie się z faktem, że wyjeżdżam do Greenwood. I bez tego było nam trudno się spotykać. Od czasu gdy Daphne znalazła akt Beau, naszkicowany przeze mnie, musieliśmy ukrywać naszą miłość.

Beau pozował mi nago, o czym Daphne natychmiast poinformowała jego rodziców. Został surowo ukarany i zabroniono nam się spotykać. Czas jednak płynął i w końcu jego rodzice zmiękli, choć postawili warunek, że syn ma się widywać również i z innymi dziewczętami. Nie robił tego, a nawet jeśli pojawił się na lekcjach tańca z inną, albo zabrał jakąś dziewczynę na przejażdżkę samochodem, i tak potem przychodził do mnie.

- Beau obiecał odwiedzać mnie najczęściej, jak tylko się da.

- Ale nie obiecał, że zostanie mnichem - szybko odparowała. - Znam co najmniej pół tuzina dziewcząt, które już ostrzą sobie na niego zęby. Choćby Claudine czy Antoinette - z rozkoszą zadała kolejny cios.

Beau był jednym z najbardziej atrakcyjnych chłopców w szkole, przystojnym niczym bohater serialu. Wystarczyło, że spojrzał na dziewczynę tymi swoimi błękitnymi oczami i się do niej uśmiechnął, a serce zaczynało łomotać jej w piersi, traciła oddech i mówiła albo robiła coś niemądrego. Wysoki, postawny, należał do reprezentacji szkoły w fut-bolu. Oddałam mu się, a on przysiągł mi głęboką miłość.

Przed moim pojawieniem się w Nowym Orleanie chodził z Gisselle, ale ona z premedytacją dręczyła go, flirtując i umawiając się z innymi chłopcami. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo to przeżywał. Zresztą, wszystkich chłop-ców uważała za niewrażliwych i płytkich, traktowała ich jak zabawki, twierdziła, że nie warto im ufać. Wypadek wcale nie wpłynął na zmianę jej zachowania. Nadal będąc w towarzystwie chłopców, nie potrafiła się powstrzymać od kokieteryjnych muśnięć czy też szeptania im do ucha obietnic, jakie to nieprzyzwoite rzeczy mogliby robić, gdyby znaleźli się sam na sam.

- Nie trzymam Beau na smyczy. Może robić co chce i kiedy chce - odparłam z taką nonszalancją, że zdumiona szeroko otworzyła oczy. Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie.

- Nie mówisz poważnie - prowokowała.

- I ja też nie jestem jego wyłączną własnością. Jeśli nie wytrzyma rozstania i znajdzie inną dziewczynę, ktoś bardziej mu się spodoba, to zapewne było mi to pisane - dodałam.

- Och, ta twoja przeklęta wiara w przeznaczenie. Na pewno teraz oświadczysz, że przeznaczenie chciało, bym po kres swoich dni została kaleką.

- Nie.

- Więc co? - domagała się odpowiedzi.

- Nie chcę wyrażać się źle o zmarłych, ale obie doskonale wiemy, co ty i Martin robiliście w dniu wypadku. Nie możesz zrzucać winy na przeznaczenie.

Zaplotła ręce na piersi i zapadła w pełne urazy milczenie.

- Obiecałyśmy tacie, że pojedziemy i przynajmniej zobaczymy, czy da się żyć w tej szkole. Sama wiesz, że w domu dłużej nie sposób wytrzymać - przypomniałam jej.

- Daphne nienawidzi ciebie znacznie bardziej niż mnie - odparła z ogniem w oczach.

- Nie bądź tego taka pewna. Nie może się doczekać, kiedy wreszcie pozbędzie się nas obu. Wiesz, dlaczego nas nie znosi: wie, że to nie ona wydała nas na świat i że tata bardziej kochał naszą mamę niż ją. I póki płaczemy jej się pod nogami, nie może o tym zapomnieć.

- Lubiła mnie, dopóki ty się nie zjawiałaś - odparowała Gisselle. - Od tamtej pory całe moje życie się załamało, a teraz jeszcze wywozi się mnie do jakiejś szkoły dla dziewcząt. Kto chciałby chodzić do szkoły, w której nie ma chłopców?

- zawołała.

- W informatorze napisano, że od czasu do czasu dyrekcja organizuje zabawy taneczne, na które zapraszani są chłopcy ze szkół męskich.

Jeszcze nie dokończyłam zdania, a już go pożałowałam. Gisselle zawsze z rozkoszą wykorzystywała każdą okazję, by epatować swoim kalectwem.

- Wieczorki taneczne! A od kiedyż to ja mogę tańczyć?

- Jestem przekonana, że istnieje mnóstwo innych rzeczy, które można robić z chłopcem w dni, kiedy dopuszcza się wizyty osób spoza Greenwood.

- Dopuszcza wizyty? To brzmi koszmarnie, jak jakieś więzienie. - Zaczęła płakać. - Och, chcę umrzeć, umrzeć, umrzeć.

- Daj spokój, Gisselle - uciszałam. Siadłam przy niej na łóżku i ujęłam ją za rękę. - Obiecałam ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ułatwić ci pobyt w Greenwood, a jeśli zaistnieje taka

potrzeba, pomogę ci w lekcjach, prawda?

Wyszarpnęła rękę i drobnymi piąstkami tarła oczy. Po chwili zerknęła na mnie przez palce.

- Wszystko, co zechcę?

- Wszystko, czego będziesz potrzebowała - poprawiłam.

- A jeśli szkoła okaże się okropna, staniesz po mojej stronie i wymusisz na tacie, żeby nas stamtąd zabrał?

Skinęłam głową.

- Obiecuj - nalegała.

- Obiecuję, ale tylko wówczas, kiedy rzeczywiście nie będziemy mogli tam wytrzymać. Twoja niechęć do podporządkowania się regułom nie wchodzi w rachubę.

- Przysięgnij na... na życie Paula.

- Och, Gisselle.

- Przysięgnij, inaczej ci nie uwierzę.

- No dobrze, przysięgam na życie Paula. Wiesz, czasami potrafisz być nieznośna.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Idź, powiedz Wendy, że może pomóc mi wstać, umyć się i ubrać do śniadania.

- Tu jestem - odezwała się Wendy, wynurzając zza drzwi. - Cały czas czekałam.

- Chciałaś powiedzieć: szpiegowałam - warknęła Gisselle. - Podśluchiwałaś.

- Nie, wcale. - Wendy spojrzała na mnie przerażona. - Nie szpieguję was.

- Oczywiście, że nas nie szpieguje, Gisselle.

- Oczywiście, że tak. Lubi podśluchiwać, w ten sposób zaspokaja swój głód romantycznych przeżyć - zadrwiła Gis--

selle. - Prawda, Wendy? Podśluchiwanie i czytanie tych kretyńskich, romansowych pisemek to całe twoje życie. A może co wieczór ukradkiem spotykasz się z Erykiem Danielssem?

Wendy omal nie zapadła się pod ziemię z zażenowania.

- Może rzeczywiście lepiej, że jedziemy do prywatnej szkoły. Tam przynajmniej nikt nie będzie nas szpiegować dniem i nocą - stwierdziła Gisselle z westchnieniem. - No już, już - prychnęła - pomóż mi się ubrać, rozciesz mi włosy, nie stój tak i nie gap się, jakby cię ktoś przyłapał bez majtek.

Wendy głośno wciągnęła powietrze. Odwróciłam się, żeby ukryć śmiech i zbiegłam na dół powiedzieć tacie, że wszystko jest w porządku: Giselle ubiera się i pojedzie do Greenwood.

Od czasu, kiedy Daphne podjęła próbę zamknięcia mnie w szpitalu psychiatrycznym i mojej stamtąd ucieczki, życie w domu Dumasów stało się nie do zniesienia. Nasze wspólne posiłki miały odtąd charakter oficjalny. Tata nie dowcipkował już ze mną ani z Gisselle, a jeśli Daphne otworzyła usta to wyłącznie po to, by rzucić jakąś krótką, kąśliwą uwagę. Większość czasu zajmowało rozczulanie się nad Gisselle albo obiecywanie jej wszystkiego, czego zapragnie.

Choć pozornie zawarłyśmy coś w rodzaju paktu o nieagresji, Daphne nieustannie na mnie narzekała albo chwytła się każdego pretekstu, by mnie skrytykować. Sądzę, że to jej ciągle pretensje sprawiły, że ojciec w końcu postanowił

wysłać nas do prywatnej szkoły, uznawszy, że najroztropniej będzie pozbyć się nas z domu. Teraz zaś Daphne zachowywała się, jakby to był od początku jej pomysł i twierdziła, że to wręcz cudowne rozwiązanie dla nas wszystkich. Moim zdaniem obawiała się, że w ostatniej chwili uprzemy się i nie pojedziemy.

Kiedy weszłam do jadalni, zastałam tatę siedzącego samotnie nad kawą i czytającego poranną gazetę. Na talerzyku obok filiżanki leżały rogalik, masło i marmolada. Tata

nie słyszał mnie wchodzącej, więc przez chwilę mogłam mu się przyjrzeć.

Tatusz to wyjątkowo przystojny mężczyzna. Ma takie same okrągłe, zielone oczy jak ja i Giselle, lecz jego twarz jest szczuplejsza, kości policzkowe bardziej wyraziste. Ostatnio chyba nieco przytył w pasie, ale zachował zgrabną sylwetkę, mimo nieco przygarbionych pleców, które wcale nie ujmują mu urody. Tata szczycił się swoimi gęstymi, kasztanowatymi włosami i nadal zaczesywał je do góry, choć siwe pasma, które pojawiły się przy skroniach, ostatnio przeniosły się również na tył i czubek głowy. Od jakiegoś czasu tata ciągle wygląda na znużonego albo pogrążonego w niewesołych myślach. Mniej czasu spędza na powietrzu, bardzo rzadko wybiera się na ryby czy polowanie, tak że stracił opaleniznę, choć dawniej zawsze był smagły.

- Dzień dobry, tato - odezwałam się, zajmując miejsce przy stole.

Szybko odłożył gazetę i uśmiechnął się, choć po niepokoju, jaki dostrzegłam w jego oczach, domyśliłam się, że ma już za sobą jakąś poranną przeprawę z Daphne.

- Dzień dobry. Podniecona?

- I wystraszona - przyznałam się.

- Nie masz czego się bać. Przecież za nic w świecie nie posłałbym was gdzieś, gdzie nie byłybyście szczęśliwe.

Uwierz mi.

- Wierzę - zapewniłam.

W drzwiach pojawił się Edgar ze srebrną tacą, na której stała szklanka soku pomarańczowego dla mnie.

- Dziś rano zjem tylko rogalik i napiję się kawy, Edgarze.

- Ninie się to nie spodoba, panienko - ostrzegł.

Dzisiejszego ranka jego ciemne oczy wydawały się jeszcze mroczniejsze, a na twarzy gościł smutek. Odprowadzi-

łam go wzrokiem, a potem odwróciłam się do taty, który nadal się uśmiechał.

- Edgar ogromnie cię lubi i żałuje, że wyjeżdżasz. Podobnie jak ja czuje, jak bardzo będzie nam brakować twojego radosnego głosu.

- W takim razie może nie powinniśmy jechać. Może popełniliśmy błąd - powiedziałam cicho. - Gisselle ciągle narzeka.

- Obawiam się, że Gisselle nic nigdy nie zdoła zadowolić - odparł z westchnieniem. - Nie, nie, choć boli mnie ta decyzja, sądzę, że to dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Dla Gisselle także - dodał pospiesznie. - Zbyt wiele czasu spę-

dza sama, roztkliwiając się nad sobą. Jestem pewny, że w Greenwood jej na to nie pozwolą.

- Będę się nią zajmować, tato. Uśmiechnął się.

- Wiem. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jaka z niej szczęściara, że ma siostrę taką jak ty - powiedział, a w jego zmęczonych oczach pojawił się ciepły uśmiech.

- Daphne nie schodzi na śniadanie? - spytałam.

- Nie, dziś zje śniadanie w sypialni - odrzekł szybko. - Nina właśnie je tam zaniosiła.

Nie zdziwiło mnie, że Daphne stara się ostentacyjnie ignorować nas w dniu wyjazdu, choć w głębi duszy liczyłam, że się pojawi i będzie napawać swoim zwycięstwem. W końcu przecież postawiła na swoim: pozbywa się mnie.

- W środę odwiedzę Jeana - odezwał się tata. - Na pewno chętnie wysłucha wieści o tobie. No i o Gisselle, oczywi-

ście.

- Powiedz, że do niego napiszę. Będę pisać do niego długie listy. Powiesz mu?

- Oczywiście. Was także będę odwiedzał - zapewnił. Wiedziałam, iż nęka go poczucie winy, że wysyła mnie i Gisselle do tej prywatnej szkoły, bo w ciągu ostatniego tygodnia co najmniej kilkanaście razy nam to obiecywał.

Wrócił Edgar z rogalikiem i masłem. Tata znowu zajął się lekturą gazety. Popijałam kawę i skubałam rogała, ale żołądek mi się zacisnął i miałam wrażenie, jakby się w nim miotała ryba, schwytana w sieć, która raz po raz łechtala mnie ogonem. Po chwili usłyszeliśmy buczenie wózka elektrycznego, którym Gisselle zjeżdżała na dół. Jak zwykle w drodze wyrzekała i jęczała.

- Ależ on wolno jedzie. Dlaczego Edgar nie przyjdzie na górę i nie zniesie mnie na dół? Albo tata? Powinno się na-

jąc kogoś wyłącznie do znoszenia i wnoszenia mnie po schodach. Czuję się tak głupio. Wendy, słyszałaś, co powiedziałam? Przestań udawać, że nie.

Tata odłożył gazetę i kręcąc głową, posłał mi długie spojrzenie.

- Chyba muszę jej pomóc - stwierdził.

Wstał i podszedł pomóc Wendy przenieść Gisselle z krzesła zamontowanego przy schodach na „dolny” wózek, którym się poruszała po parterze.

Z kuchni wypadła Nina i stanęła w drzwiach, podpierając się pod boki, mierząc mnie groźnym wzrokiem.

- Dzień dobry, Nino - powitałam ją.

- A cóż to za dzień dobry? Nie jesz tego, co przygotowała ci Nina. Czeka cię podróż do Baton Rouge i potrzebujesz dużo sił, jasne? Ugotowałam kaszę. Przygotowałam kogel--mogel, dokładnie taki, jaki lubisz.

- Chyba za bardzo denerwuję się przed podróżą, Nino. Proszę cię, nie złość się na mnie.

Opuściła ręce, mocno zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Nina nie złości się na ciebie.

Zastanowiła się chwilę, wreszcie podeszła do mnie, wyjmując coś z kieszeni.

- Dam ci, bo potem mogę zapomnieć - szepnęła, wręczając mi dziesięciocentową monetę z dziurką, przez którą przewleczono żyłkę.

- Co to jest?

- Pamiętaj nosić to wokół lewej kostki, a żaden zły duch cię nie dosięgnie - rozkazała.

Zerknęłam na drzwi, by się upewnić, że nikt nas nie podgląda i szybko zrobiłam, jak kazała. Wyglądała na uspokojoną.

- Dziękuję, Nino.

- Wokół tego domu nieustannie krążą złe duchy. Widać to przekłete domostwo - mamrotała, wracając do kuchni.

Nie należałam do osób, które podają w wątpliwość uroki, czary i talizmany. Moja babunia była jedną z najbardziej cenionych uzdrowicielek na rozlewiskach. Potrafiła wypędzać najgorsze złe duchy i leczyć ludzi z wszelakich dolegliwości. Wszyscy na rozlewiskach, także i nasz ksiądz,

darzyli babunię Catherine głębokim szacunkiem. W środowisku Cajunów, z którego się wywodzę, współistnieją ze sobą najróżniejsze odmiany voodoo i wyznania religijne.

- Nie podoba mi się ta spódnica - dobiegły mnie utyskiwania Gisselle, którą tata wwiózł właśnie do jadalni. - Jest za długa, czuję się, jakbym miała na nogach koc. Wybrałaś ją specjalnie, bo uważasz, że moje nogi są już zbyt brzydkie, żeby je pokazywać, co? - zaatakowała mnie.

- Właśnie tę zgodziłaś się włożyć, kiedy wczoraj kompletowaaliśmy ubiór dla ciebie - zwróciłam jej uwagę.

- Wczoraj wieczorem po prostu chciałam mieć to już z głowy i marzyłam wyłącznie o tym, żebyś się wyniosła.

- Co zjesz na śniadanie, córeczko? - spytał tata.

- Kostkę arszeniku. Skrzywił się.

- Gisselle, po co dodatkowo utrudniać sytuację?

- Bo nie chcę być kaleką i trzęsie mnie na myśl, że zostanę wysłana do szkoły, w której nie znam dosłownie nikogo.

Tata westchnął i spojrzał na mnie.

- Gisselle, zjedz coś, żebyśmy mogli wreszcie wyruszyć. Proszę - błagałam.

- Nie jestem głodna.

Przez chwilę trwała tak z nadętą miną, po czym popchnęła wózek w stronę stołu.

- Co jecie? Chcę to samo - zwróciła się do Edgara, który wzniosł oczy ku niebu i poszedł do kuchni.

Kiedy już skończyliśmy śniadanie, tata wyszedł dopilnować załadunku bagaży. Edgar i jeden z ogrodników musieli obrócić cztery razy, nim wszystko znieśli. Gisselle miała trzy kufry, dwa pudła, trzy torby i gramofon. Moje rzeczy zmieściły się w jednej walizce. A ponieważ Gisselle uparła się, żeby wziąć aż tyle rzeczy, tata musiał wynająć kierowcę, który jechał za nami furgonetką.

Kiedy wyprowadzałam Gisselle na taras, z którego mogliśmy obserwować załadunek bagaży, na szczycie schodów pojawiła się Daphne. Zawołała nas i zeszła o kilka stopni niżej. Jasne, rudawe włosy upięła, miała na sobie czerwony szlafrok z chińskiego jedwabiu i ranne pantofle.



- Zanim wyruszyście - zwróciła się do nas - chcę was ostrzec. Macie obie zachowywać się bez zarzutu. To, że znajdziecie się z dala od domu, nie oznacza, że możecie robić i mówić, na co tylko przyjdzie wam ochota. Musicie pamiętać, że pochodzicie z rodu Dumasów i wasze złe zachowanie mogłoby zaszkodzić dobremu imieniu rodziny.

- A co miałybyśmy tam robić? - jęknęła Gisselle. - To beznadziejna szkoła dla pannaic.

- Nie bądź impertynentką, Gisselle. Obie przynosicie rodzinie wstyd, gdziekolwiek się pokażecie. Pamiętajcie, że w Greenwood znajdują się również córki naszych przyjaciół, toteż będę na bieżąco informowana o waszych postępach - zagroziła.

- Skoro tak się lękasz o nasze zachowanie poza domem, to nas nie wysyłaj - odparowała Gisselle.

Czasem naprawdę lubiałam moją rozpuszczoną siostrę bliźniaczkę. Zwłaszcza kiedy udawało jej się wyprowadzić z równowagi naszą macochę.

Daphne gwałtownie się wyprostowała i zmierzyła nas lodowatym spojrzeniem.

- Nie mam co do tego wątpliwości - oświadczyła - że obu wam potrzebna jest ta szkoła i dyscyplina. Ojciec straszliwie was rozpuścił. Na dobre wam wyjdzie to, że znajdziecie się z dala od niego.

- Nie - przerwałam jej. - Na dobre nam wyjdzie to, że znajdziemy się z dala od ciebie.

Odwrociłam się i pchnęłam wózek z Gisselle w stronę drzwi.

- Pamiętajcie, że was ostrzegałam! - krzyknęła, ale się nie obejrzałam. Serce waliło mi jak młotem, pod powiekami szczypały łzy wściekłości.

- Słyszałaś ją? - mruknęła Gisselle. - Dyscyplina. Wysyłają nas do jakiegoś poprawczaka. Pewnie w oknach są kraty, a szkaradne babiszony będą nas smagać po łapach linijką.

- Och, Gisselle, przestań wreszcie!

Ona jednak dalej trzeszczała, jaki to straszliwy los czeka nas w nowej szkole. Ale nie słuchałam. Wzrokiem ciągle wybiegałam na ulicę, nasłuchiwałam warkotu samochodu sportowego. Beau obiecał, że przyjedzie się pożegnać.

Wie-

dział, że zamierzaliśmy wyruszyć koło dziesiątej. Była już za kwadrans dziesiąta, a on się nie zjawiał.

- Widocznie nie ma zamiaru pożegnać się z tobą - prowokowała mnie Gisselle, widząc, że spoglądam na zegarek. - Z

pewnością uznał, że nie warto tracić czasu. Założę się, że już się umówił z inną dziewczyną. Wiesz przecież, że właśnie tego oczekują od niego rodzice.

Choć na zewnątrz zachowywałam pozory spokoju, w duchu lękałam się, że moja siostra ma rację. Bałam się, że rodzice zabronili mu dziś do mnie przyjechać.

Lecz nagle zza rogu wynurzył się jego sportowy wóz. Silnik zaryczał, zapiszczały hamulce, kiedy zatrzymał się przed domem. Wyskoczył z samochodu i popędził do nas na taras. Gisselle wyglądała na ogromnie rozczarowaną.

Zostawiłam ją i pomknęłam ku ukochanemu. Objęliśmy się.

- Cześć, Gisselle - zawołał i pomachał do niej, a potem obrócił mnie, kierując w drugą stronę, byśmy przez chwilę mogli pobyć sami. Spojrzał na ładowane do furgonetki bagaże i spochmurniał.

- Więc jednak naprawdę wyjeżdżacie - powiedział smutno.

-Tak.

- Nie wiem, jak to zniosę. Bez ciebie moje życie staje się takie puste. Korytarze w szkole zioną pustką. A kiedy pomyślę, że gdy w czasie gry podniosę wzrok na trybuny, nie zobaczę tam ciebie... Nie jedź - błagał. - Nie zgódź się.

- Muszę, Beau. Tego życzy sobie mój ojciec. Będę pisała, będziemy dzwonić do siebie...

- A ja będę cię odwiedzał, kiedy tylko się da - obiecał. -Choć to nie to samo co teraz; każdego ranka budziłem się z myślą, że wkrótce się zobaczymy.

- Proszę, Beau, nie rozdieraj mi serca.

Skinął głową i dalej spacerowaliśmy po ogrodzie. Z prawej strony dwie szare wiewiórki przyglądały nam się ciekawie. Wśród gęstych zarośli fruwały kolibry, nad nami, na niskiej gałęzi magnolii przysiadła sójka, nerwowo machając skrzydłami. W oddali grupka małych chmurk nosła chłód morskiego powietrza na wschód, w stronę Florydy. Poza tym niebo było czyste, błękitne.

-Przepraszam, że cię dręcę. Zachowuję się samolubnie. Ale nic na to nie poradzę. - Westchnął zrezygnowany i odgarnął z czoła złociste loki. - No i jedziesz do wytwornej szkoły. Założę się, że poznasz tam mnóstwo bogatych chłopców, synów milionerów, którzy zbili majątki na ropie i ulegniesz ich urokowi.

Roześmiałam się.

- Cóż tak cię bawi?

-Dziś rano Gisselle straszyla mnie, że zakochasz się w jakiejś dziewczynie stąd, a teraz ty powiadasz, że to ja zakocham się w kimś innym.

- W moim sercu nie ma miejsca dla nikogo innego - zapewnił Beau. - Zajęłaś je całkowicie.

Zatrzymaliśmy się. Doszliśmy do starych stajni. Tata mówił, że od ponad dwudziestu lat nie

przebywał w nich ani jeden koń. Nieco dalej, po prawej stronie ogrodnik dalej strzygł bananowiec; rosła obok niego kupka ściętych gałęzi.

Słowa Beau zawisły między nami. Serce mi pękało, z oczu popłynęły łzy szczęścia i bólu.

- Mówię prawdę - szeptał Beau. - Nie ma dnia, żebym nie myślał o nas i o tym, co wydarzyło się w twojej pracowni.

- Nic nie mów, Beau - uciszałam, kładąc mu palec na ustach. Szybko go pocałował i przytrzymał mi rękę, tak bym dotykała jego policzka.

- Mogą robić co chcą; mogą mówić co chcą. Mogą wysłać ciebie, mogą mnie wysłać, mogą nam grozić. Lecz to wszystko na nic, bo nie wydrą cię stąd. - Przycisnął moją dłoń do skroni. - Ani stąd.

Przycisnął ją do swego serca. Czułam, jak szybko bije i rozejrzałam się, chcąc upewnić się, czy nikt nas nie podgląda, podczas gdy Beau przyciągał mnie coraz bliżej, aż wreszcie jego usta spoczęły na moich wargach.

Połączył nas długi, czuły pocałunek, od którego poczułam ciarki na plecach i żar w piersi. Jego pocałunki budziły we mnie ogień, wspomnienie namiętności, jaka nas połączyła. Obudziło się wspomnienie dotyku jego palców na moich ramionach, barkach, a w końcu piersiach. Ciepły oddech, który owiewał mi oczy, przywołał wizerunek jego nagiego ciała - takiego, jakie zobaczyłam owego dnia, gdy ka-zał mi się namalować nago. Jakże drżały mi wtedy ręce. I jak drżą teraz. Płomień, który rozpałił we mnie Beau, przerażał mnie, bo czułam, że mogłabym po prostu odwrócić się i uciec z nim, i biec, biec, biec, póki nie schronimy się w jakimś ciemnym, miękkim miejscu, gdzie obejmiemy się mocno, tak mocno jak nigdy przedtem. Beau budził

we mnie uczucia, których istnienia przedtem nawet się nie domyślałam, uczucia silniejsze niż wszelkie ostrzeżenia, niż głos rozsądku. Gdybym je raz uwolniła, nigdy potem nie zdołałabym nad nimi zapanować. Odsunęłam się.

- Musimy wracać - szepnęłam.

Skinął głową, ale gdy się odwróciłam, by ruszyć do samochodu, przytrzymał mnie za rękę.

- Czekaaj. Chcę ci to dać bez świadków.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej małe, białe pudełeczko owiązane różową wstążką.

- Co to jest?

- Otwórz - polecił, wkładając mi je do ręki.

Powolutku zrobiłam, o co mnie prosił i wyjęłam z pudełeczka złoty medalion na złotym łańcuszku. W środek medalionu wprawiony był maleńki rubin otoczony brylancikami.

- Och, Beau, jakież to piękne! Ale musiało kosztować fortunę!

Wzruszył ramionami, lecz jego uśmiech wskazywał, że się nie pomyliłam.

- A teraz otwórz medalion.

Posłusznie otworzyłam. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie Beau, a naprzeciwko moja fotografia. Roześmiałam się i pocałowałam go w policzek.

- Dziękuję, Beau. To cudowny podarek. Natychmiast go włożę. Pomóż mi go zapiąć.

Podaliśmy mu złotą błyskotkę i odwróciłam się plecami. Umieścił medalion między moimi piersiami i zapiął łańcuszek, a potem pocałował mnie w kark.

- Od tej pory, jeśli któryś z chłopców zechce się do ciebie zbliżyć, ja stanę mu na drodze do twego serca - szepnął.

- Nikt nigdy nie zbliży się aż tak, Beau - obiecałam.

- Ruby! - usłyszeliśmy wołanie taty. - Pora ruszać, córeczko.

- Już idę, tato.

Skierowaliśmy się w ich stronę. Tata z Edgarem znieśli Gisselle z tarasu i przynosili ją na tylne siedzenie rolls-roy-ce'a. Wózek inwalidzki złożono i wstawiono do furgonetki.

- Dzień dobry, Beau - odezwał się tata.

- Dzień dobry panu.

- Co słychać u rodziców?

- Dziękuję, wszystko w porządku.

Choć upłynęło już trochę czasu od tamtego przykrego incydentu, tacie i Beau nadal trudno się rozmawiało. Daphne zrobiła, co w jej mocy, by rozdmuchać sprawę i nadać jej posmak skandalu.

- Gotowa, Ruby? - zwrócił się do mnie tata, spoglądając to na mnie, to na Beau. Rozumiał, co znaczy rozstawać się z ukochaną osobą. Jego oczy wyrażały współczucie.

- Tak, tato.

Wsiadł do samochodu, a ja odwróciłam się do Beau, by pocałować go na pożegnanie. Gisselle przykleiła twarz do szyby.

- Wsiadajże już. Nie mogę wytrzymać w aucie, jeśli nie jedzie.

Beau uśmiechnął się do niej, a potem mnie pocałował.

- Zadzwoń, kiedy tylko będę mogła - szepnęłam.

- A ja przyjadę, kiedy tylko będę mógł. Kocham cię.

- Ja ciebie też - zapewniłam pospiesznie i otworzyłam drzwi samochodu.

- Mnie też może pan pocałować, panie Beau Andreasie. Jeszcze nie tak dawno starał się pan mnie całować przy byle okazji - dopominała się Gisselle.

- Nigdy nie zapomnę tych pocałunków - zażartował Beau i musnął wargami jej policzek.

- To nie pocałunek - skrzywiła się. - Czyżbyś zapomniał już, jak się to robi? Może potrzebny ci fachowiec, który od nowa cię tego nauczy? - Zerknęła na mnie i dodała: - Przydałoby się, żebyś poćwiczył w czasie naszej nieobecności.

Zaśmiała się i oparła wygodniej.

- A to co? - spytała, widząc na mojej szyi łańcuszek.

- Podarunek od Beau.

- Pokaż - rozkazała, pochylając się i ujmując w palce medalion. Musiałam się przysunąć, żeby go nie zerwała.

- Uważaj - poprosiłam.

Otworzyła go i zobaczyła nasze zdjęcia. Rozchyliła ze zdumienia usta, a potem znowu spojrzała na Beau, który rozmawiał z Edgarem.

- Mnie nigdy czegoś takiego nie ofiarował. Właściwie -dodała ze złością - to nigdy niczego mi nie podarował.

- Pewnie uważał, że masz wszystko, czego tylko zapragniesz.

Wypuściła z ręki medalion i z nadętą miną opadła na siedzenie samochodu. Tata wsiadł do auta i spojrzał na nas.

- Gotowe?

- Nie - odparła Gisselle. - Nigdy nie będę gotowa do tej szkoły.

- Jesteśmy gotowe, tato. Popatrzyłam przez szybę na Beau.

- Do widzenia. Kocham cię - powiedziałam bezgłośnie. Skinął głową na znak, że zrozumiał. Tata włączył silnik i ruszyliśmy w drogę.

Spojrzałam we wsteczne lusterko i zobaczyłam na tarasie Ninę i Wendy, które nam machały. Pomachałam im, a potem Edgarowi i Beau. Gisselle nie raczyła się odwrócić, by się z nimi pożegnać. Siedziała wściekła, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

Kiedy wyjeżdżaliśmy przez bramę, wolno podniosłam wzrok na dom. Zatrzymałam spojrzenie na oknie, w którym odsłonięto zasłony. Przyjrzałam się uważniej i gdy cienie się przesunęły, dostrzegłam Daphne, która tam stała, przy-patrując się naszemu odjazdowi.

Na jej twarzy malował się uśmiech głębokiego zadowolenia z siebie.

Coraz dalej od rozlewisk

Kiedy jechaliśmy przez Garden District, kierując się w stronę autostrady, która miała nas doprowadzić do Baton Rouge, Gisselle nagle ucichła. Przycisnęła twarz do szyby i patrzyła na oliwkowozielony tramwaj, który toczył się esplanadą, łakomym spojrzeniem chłonęła widok ludzi siedzących na tarasach kafejek, jakby mogła poczuć woń kawy i świeżo upieczonych bułeczek. W Nowym Orleanie zawsze roiło się od turystów, którzy z aparatami fotograficznymi na szyjach i bedekerami w rękach podziwiali budynki i posągi. W niektórych dzielnicach życie płynęło spokojnym, leniwym rytmem, w innych panował nieustanny ruch i gwar. Ale miasto miało swój charakter, żyło własnym życiem; nie sposób mieszkać w nim i nie stać się jego częścią lub nie dopuścić, by ono w ciebie wrosło.

Mnie również ogarnęła nagle melancholia, gdy popatrzyłam na potężne gałęzie dębów, tworzących nad naszymi głowami baldachim, na rezydencje otoczone kwitnącymi kameliami i magnoliami. Zaskoczyło mnie to. Nie zdawa-

łam sobie dotąd sprawy, że zaczęłam uważać to miasto za swój dom. Stało się tak zapewne dzięki tacie, Ninie, Edgarowi i Wendy, a przede wszystkim dzięki Beau. Uświadomiłam sobie, że będę tęsknić za tym światem, w którym zjawiłam się przed niespełna rokiem, by upomnieć się o swoje w nim miejsce.

Będzie mi brakować smakowitej kuchni Niny, jej zabobonów i obrzędów, mających odpędzić złe duchy. Będzie mi brakować żarliwych sporów między nią a Edgarem na temat mocy jakiegoś zioła czy złego spojrzenia. Będzie mi brakować śpiewu Wendy, która nuciała przy pracy i ciepłego, jasnego uśmiechu taty, jakim witał mnie co rano.

Mimo nieustannych napięć, które za sprawą Daphne wisiały nad nami niczym ciemne chmury, wiedziałam, że zatęsknię nieraz za tym obszernym domem z jego olbrzymim wejściem, imponującymi obrazami i rzeźbami oraz bogatymi, antycznymi meblami. Jakaż podniecona byłam na początku, ilekroć wychodziłam z pokoju i dostojnym krokiem stapałam na dół niczym kasztelanka po schodach swego zamku. Czy kiedykolwiek zdołam zapomnieć tamtą pierwszą noc, gdy tata zaprowadził mnie do sypialni, która odtąd miała stać się moim pokojem, i otworzył drzwi, a ja ujrzałam olbrzymie łożo usłane miękkimi poduszkami, obleczonymi, podobnie jak reszta pościeli, w perkal? Będzie mi brakowało obrazu, który wisiał nad moją głową, przedstawiającego śliczną dziewczynę w ogrodzie, karmiącą papugę. A także obszernych szaf, dużej łazienki i wanny, w której mogłam moczyć się godzinami.

Przywykłam do luksusu i, tak, muszę się do tego przyznać, ogromnie go polubiłam. To zrozumiałe, że w dziewczynie wychowanej w maleńkiej, kruchej, cajuńskiej chacie zbudowanej z bali cyprysowych, pokrytej blaszanym dachem, gdzie pokoje były mniejsze od niektórych garderób domu Dumasów, ta

zamożna rezydencja, należąca również i do mnie, budziła pełną nabożeństwa trwogę. Na pewno z tęsknotą wspominać będę wieczory, które spędziłam na patio pogrążona w lekturze, wśród świergotu sójek i przedrzeźniaczy albo przesiadałam na poręczy balkonu zapatrzona w przestrzeń. Będzie mi brakować zapachu oceanu, który czasem przynosił wiatr czy odległego buczenia syreny przeciwmgielnej.

A przecież nie mam prawa czuć się nieszczęśliwa - pomyślałam. - Tata wydał mnóstwo pieniędzy na tę prywatną szkołę i uczynił to głównie po to, by nasze dni nie stały się smutne i szare, byśmy mogły beztrudno przeżywać nasze młodzińcze lata, uwolnione od ciężaru dawnych grzechów, grzechów, których nawet jeszcze nie pojmujemy. Może za

jakiś czas w życiu taty ponownie zagości radość. Może wtedy znowu się połączymy.

Cała ja: wierzyć w błękit nieba, podczas gdy na horyzoncie gromadzą się tylko mroczne chmury; wierzyć w przebaczenie, podczas gdy otacza mnie jedynie gniew, zawiść i egoizm. Och, gdyby Nina naprawdę posiadała jakieś cudowne zaklęcie, urok, zioło, czy starą kość, którą moglibyśmy pomachać nad domem i jego mieszkańcami, wypędzając w ten sposób cienie, które rozpanoszyły się w naszych sercach.

Skręciliśmy i zatrzymaliśmy się, by przepuścić kondukt pogrzebowy. Widok żałobników dodatkowo nasilił przygnę-

bienie, które tak nagle mnie ogarnęło.

- Tego tylko brakowało - jęknęła Gisselle.

- To przecież tylko chwila - odparł tata.

Kilku ciemnoskórych mężczyzn w czarnych garniturach grało na blaszanych instrumentach, kołysząc się w rytm me-lodii. Kroczący za nimi żałobnicy nieśli złożone parasole i również kołysali się w rytm muzyki. Wiedziałam, że Nina uznałaby to za zły znak i szybko rozsypałaby w powietrzu jeden ze swych czarodziejskich proszków. A potem na wszelki wypadek zapaliłaby jeszcze świeczkę. Instynktownie schyliłam się i dotknęłam mającej mnie chronić przed urokiem monety, którą mi ofiarowała.

- Co to jest? - spytała Gisselle.

- Drobiazg, amulet, który podarowała mi Nina. Gisselle prychnęła pogardliwie.

- Ciągle jeszcze wierzysz w te brednie? Przynosisz mi wstyd. Zdejmij to natychmiast. Nie życzę sobie, żeby moje nowe koleżanki dowiedziały się, jaką mam zacofaną siostrę - rozkazała.

- Ty wierzysz w swoje, Gisselle, a ja wierzę w swoje.

- Tato, nie pozwól jej brać do Greenwood tych kretyńskich amuletów i zabroń jej gadać o gusłach. Przyniesie wstyd rodzinie. Jakby nie dość było kłopotów z utrzymaniem w tajemnicy twego pochodzenia - dodała, odwracając się z powrotem w moją stronę.

- Nie każe ci utrzymywać w tajemnicy niczego, co mnie dotyczy. Nie wstydzę się swojej przeszłości.

- A powinnaś - mruknęła, mierząc ponurym wzrokiem kondukt pogrzebowy, jakby uznała za osobistą zniewagę, że ktoś ośmielił się umrzeć i niosą jego ciało właśnie w chwili, gdy ona raczy przejeżdżać tą ulicą.

Gdy żałobnicy przeszli, tata ruszył i skierowaliśmy się do zjazdu, wiodącego na autostradę prowadzącą do Baton Rouge. Wtedy właśnie Gisselle po raz kolejny uświadomiła sobie, co ją czeka.

- Zostawiam wszystkich moich przyjaciół. Trzeba wielu lat, by z kimś się naprawdę zaprzyjaźnić, a oto wszystkich ich muszę zostawić.

- Skoro to tacy wielcy przyjaciele, czemu nikt z nich nie pofatygował się nawet, by się z tobą pożegnać? - spytałam.

- Po prostu czuli się zagniewani, że ich opuszczam.

- Tak zagniewani, że aż nie chcieli cię pożegnać?

- Tak - warknęła. - Poza tym wczoraj wieczorem pożegnałam się z nimi wszystkimi przez telefon.

- Od czasu twojego wypadku, Gisselle, prawie nikt cię nie odwiedzał. Nie ma co udawać. Wszyscy oni to przyjaciele na pogodę, nie na deszcz.

- Ruby ma rację, córeczko - włączył się tatuś.

- Ruby ma rację - przedrzeźniła Gisselle. - Ruby zawsze ma rację - mruknęła pod nosem.

Kiedy pojawiło się przed nami jezioro Pontchartrain, po którym pływało mnóstwo żaglówek, zapatrzyłam się na ten widok jak z obrazu i pomyślałam o wujku Jeanie oraz o wyznaniu taty, że to, co uważano za tragiczny wypadek, tak naprawdę dokonało się za jego sprawą w przyływie niepohamowanej zazdrości. Od tamtej pory dzień w dzień tatę nękały wyrzuty sumienia. Ale teraz, po wielu miesiącach spędzonych pod jednym dachem z tatą i Daphne, nie mia-

łam wątpliwości, że winę za to, do czego doszło między nim a wujkiem Jeanem, właściwie ponosi ona, nie tata. Być może to właśnie stanowiło kolejny powód, dla którego chciała się mnie pozbyć. Wiedziała, że każde moje spojrzenie przenika ją na wskroś wydobywając jej prawdziwe oblicze - zakłamaney intrygantki.

- Obie polubicie waszą nową szkołę w Baton Rouge - odezwał się tata, zerkając na nas we wstecznym lusterku.

- Nienawidzę Baton Rouge - odparowała natychmiast Gisselle.

- Przecież byłaś tam tylko raz, córeczko - stwierdził tata. - Kiedyś zabrałem cię i Daphne na spotkanie z urzędnikami rządowymi. Jestem zaskoczony, że tak dokładnie zapamiętałaś tamto wydarzenie. Miałaś wtedy zaledwie jakieś sześć, siedem lat.



- Pamiętam. Pamiętam, że nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wrócę do domu.

- No cóż, teraz lepiej poznasz naszą stolicę i docenisz jej bogactwo. Jestem pewien, że szkoła zorganizuje wycieczki do siedziby rządu, muzeów, ogrodu zoologicznego. Wiecie, co znaczy Baton Rouge, prawda?

- To po francusku „czerwona laska” - wyjaśniłam. Gisselle zmierzyła mnie wściekłym wejrzeniem.

- Ja też wiedziałam, tylko nie zdążyłam powiedzieć - tłumaczyła się.

- *Oui*, ale czy wiecie, skąd się wzięła ta nazwa?

Ja nie, Gisselle też z pewnością nie miała zielonego pojęcia, ale wcale nie chciała się dowiedzieć.

- Nazwa pochodzi od wysokich cyprysów odartych z kory, stanowiących niegdyś granicę terenów łowieckich dwóch plemion indiańskich - wyjaśnił. - Zawieszano na nich świeżo zarżnięte zwierzęta.

- Obrzydlistwo - skrzywiła się Gisselle. - Świeżo zarżnięte zwierzęta, fuj.

- To nasze drugie pod względem wielkości miasto i jeden z największych portów Ameryki.

- A do tego pełne dymu z rafinerii - dorzuciła Gisselle.

- Cóż, ponad stumilowe wybrzeże sięgające po Nowy Orlean słynie jako złote wybrzeże naftowe, ale znajduje się tu nie tylko ropa naftowa. Są również olbrzymie plantacje trzciny cukrowej. Te okolice zwane są także „cukrowym zagłębieniem Ameryki”.

- Po takim wykładzie nie musimy już chodzić na geografę - zadrwiła Gisselle.

Tata ściągnął brwi. Najwyraźniej nic, co zrobił albo powiedział, nie mogło poprawić Gisselle nastroju. Spojrzał na mnie, a ja puściłam do niego oko. Uśmiechnął się.

- A tak w ogóle to, jak wynalazłeś tę szkołę? - zapytała niespodzianie Gisselle. - Nie mogłeś poszukać czegoś bliżej Nowego Orleanu?

- Właściwie to wyszukała ją Daphne. Ona ma lepsze rozeznanie w tych sprawach. Szkoła cieszy się doskonałą renomą, istnieje od wielu lat i od samego początku reprezentowała doskonały poziom. Utrzymuje się z dotacji i chesnego, wpłacanych przez bogate rodziny z Luizjany, lecz przede wszystkim z fundacji założonej przez rodzinę Clairborne'ów, której strzeże jedyny żyjący członek, pani Edith Dilliard Clairborne.

- Założę się, że to jakiś zasuszony, stuletni relikwiarz przeszłości - zakpiła Gisselle.

- Ma około siedemdziesiątki. Jej siostrzenica Martha Ironwood jest główną zarządzającą Greenwood. Czymś w rodzaju dyrektorki. Tak więc same widzicie, że wchodzicie w sam środek tego, co nazywamy bogatą tradycją Południa

- oświadczył tata z dumą.

- To szkoła bez chłopców - narzekła Gisselle. - Równie dobrze mógłbyś nas zamknąć w klasztorze.

Tata wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jestem pewien, że wasza szkoła nie ma nic wspólnego z klasztorem, córeczko. Sama się przekonasz.

- Nie mogę się doczekać. Co za długa, nużąca podróż. Może byś przynajmniej włączył radio - zażądała. - Tylko żadnej stacji z tą okropną cajuńską muzyką. Najlepiej z ostatnimi przebojami.

Spełnił jej żądanie, ale muzyka zamiast poprawić jej nastrój, ukołysała ją do snu, tak że do końca drogi rozmawialiśmy z tatą po cichu, by jej nie obudzić. Uwielbiałam, kiedy opowiadał mi o swoich wyprawach na rozlewiska i o romansie z mamą.

- Złożyłem jej mnóstwo obietnic, których nie mogłem dotrzymać - przyznał z żalem - lecz jednej dotrzymam na pewno: dopilnuję, byście obie, ty i Gisselle, dostały to, co najlepsze, a przede wszystkim jak najlepszy start. Oczywiście -

ście - dodał z uśmiechem - nie wiedziałem o twoim istnieniu. Twoje pojawienie się w Nowym Orleanie uważałem za cud, na który nie zasłużyłem. Do tej pory tak uważam, niezależnie od tego, co się potem wydarzyło.

Och, jakże go pokochałam - myślałam, czując pod powiekami łzy szczęścia. Gisselle nie potrafiła tego zrozumieć.

Nie raz, nie dwa próbowała wzbudzić we mnie nienawiść do ojca. Pewnie dlatego, że zazdrościła nam tej serdecznej więzi, która od razu zrodziła się między nami. Nieustannie przypominała mi, że porzucił naszą matkę, kiedy zaszła w ciążę, ponieważ był żonaty z Daphne. A do tego pierwszego grzechu dorzucił kolejny, kiedy zgodził się, by jego ojciec kupił noworodka.

- Jakiż człowiek byłby zdolny do podobnej podłości? -pytała, wbijając mi w serce oskarżenia niczym noże.

- W młodości ludzie często błędzą, Gisselle - próbowałam go usprawiedliwić.

- Nie wierz w to. Mężczyźni wiedzą, co robią i czego od nas chcą - stwierdziła kategorycznie, obrzucając mnie złym spojrzeniem.

- Nie ma dnia, by tego nie żałował - przekonywałam ją. -1 próbuje robić, co w jego mocy, by to naprawić. Jeśli go kochasz, powinnaś i ty robić wszystko, by ulżyć jego cierpieniu.

- Ależ robię - wykrzyknęła radośnie. - Zmuszając go do kupowania wszystkiego, o czym tylko zamarzę.

Ona jest niepoprawna - pomyślałam. Ani Nina, ani żadna z jej zaklinaczek nie posiadały zaklęcia ani czarodziejskiej mikstury, które zmieniłyby moją siostrę. Kiedyś jednak stanie się coś, co wreszcie ją

odmieni. Byłam tego pewna, choć jeszcze nie wiedziałam, co to będzie, ani kiedy to się stanie.

- Przed nami Baton Rouge - oznajmił w pewnej chwili tata.

Ponad drzewami w centrum miasta górowały wieże kapitolu. Zobaczyłam olbrzymie rafinerie i aluminiowe cysterny stojące wzdłuż wschodniego brzegu Missisipi.

- Szkoła jest położona wyżej, skąd rozpościera się wspaniały widok.

Gisselle ocknęła się, kiedy zjechaliśmy z autostrady na lokalną drogę, która wiodła wśród licznych imponujących budowli jeszcze sprzed czasów wojny secesyjnej: odbudowanych piętrowych rezydencji z kolumnami. Minęliśmy jeden śliczny budynek z mieniącymi się tęczą barw oknami z tak zwanego szkła Tiffany'ego. Na tarasie stała huśtawka, na której siedziały dwie dziewczynki: obie miały jasno-brązowe włosy splecione w warkoczyki, obie były ubrane w identyczne różowe sukienki i czarne lakierki. Pomyślałam, że to zapewne siostry i moja wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obrazy, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy z Gisselle od dziecka wychowywały się razem, mieszkały z tatą i naszą prawdziwą mamą. Najprawdopodobniej zupełnie inaczej.

- To już niedaleko - powiedział tata i ruchem głowy wskazał wzgórze.

Jeszcze jeden zakręt i przed nami wyłoniła się nasza nowa szkoła. Najpierw zobaczyliśmy wypisany dużymi literami napis GREENWOOD, rozciągający się nad dwoma kwadratowymi kolumnami stanowiącymi wjazd. Z obu stron przylegało do nich ogrodzenie z kutego żelaza, którego końca nie zdołałyśmy dostrzec. Wzdłuż linii parkanu rosły krzewy gardenii: ciemnozielone liście błyszcząły wokół małych kuleczek białego kwiecia, ale obrastały go przede wszystkim miliny, obsypane pomarańczowymi kwiatami.

Po obu stronach drogi widziałyśmy połacie zielonych trawników, wysokie czerwone dęby, hikory i magnolie. Z

gałęzi na gałąź wdzięcznie przeskakiwały niemal fruując w powietrzu szare wiewiórki. Zauważyłam nawet czerwonego dziecięcia, który na chwilę przerwał pracę i zerknął na nasz samochód. Wszędzie znajdowały się chodniki otoczone niskimi żywopłotami i fontanny. Przy niektórych stały małe kamienne figurki wiewiórek, królików i ptaków.

Przed głównym budynkiem rozciągał się olbrzymi ogród z niezliczonymi rzędami kwiatów: tulipanów, pelargonii, irysów, róż herbacianych i masą, masą białych, różowych oraz czerwonych niecierpków; wszystko wypielegnowane, wy-chuchane. Trawę przystrzyżono tak idealnie, że wyglądała, jakby do pracy przy niej zatrudniono armię ogrodników uzbrojonych w nożyce. Najmniejsza gałązka, najmniejszy liść nie psuły starannie zaplanowanej kompozycji. Miałam wrażenie, jakbyśmy nagle znaleźli się w środku namalowanego obrazu.

Przed nami wyrosła masywna sylwetka piętrowego budynku z czerwonej cegły i pomalowanego na szaro drewna. Po ścianach pięły się zielone pnącza winorośli, okalając duże okna. Szerokie, kamienne schody wiodły do portyku i masywnych drzwi. Po prawej stronie znajdował się parking z napisami: MIEJSCA DLA PRACOWNIKÓW i MIEJSCA DLA GOŚCI. Teraz prawie cały był

zajęty. Wszędzie stali rodzice i dziewczęta; witali się i rozmawiali, odnawiając stare znajomości. W powietrzu unosiła się atmosfera podniecenia. Zewsząd dobiegał śmiech, na twarzach widniały uśmiechy. Dziewczęta obejmowały się i całowały, przekrzykując jedna przez drugą.

Tacie udało się znaleźć miejsce na parkingu, ale Gisselle natychmiast zaczęła marudzić.

- Jesteśmy za daleko od budynku. I w jaki sposób mam codziennie forsować te schody? Są okropne.

- Trochę cierpliwości - uspokajał tata. - Mówiono mi, że jest specjalny podjazd dla osób niepełnosprawnych.

- Rewelacja! Z pewnością tylko ja będę z niego korzystała. A wszyscy co rano będą się gapić, jak pchają mnie na wózku.

- Z pewnością są tu i inne dziewczęta na wózkach, Gisselle. Nie budowano by podjazdu wyłącznie dla ciebie

-próbowałam ją ułagodzić, ale ona dalej siedziała, obserwując otoczenie z nadętą miną.

- Patrz. Wszyscy się znają. Założę się, że jesteśmy jedynymi nowymi dziewczętami.

- Nonsens - odparł tata. - W końcu ktoś musi chodzić do pierwszej klasy.

-Ale my nie jesteśmy w pierwszej klasie. Jesteśmy z najstarszego rocznika - nie omieszkała mu uzmysłwić Gisselle.

- Dobrze, najpierw zorientuję się, jak się tu poruszać -powiedział tata, otwierając drzwiczki samochodu.

- Jak najszybciej do domu, oto jak - wtrąciła kąśliwie Gisselle.

Tata dał znak kierowcy furgonetki, która zaparkowała obok naszego samochodu, a potem podszedł do kobiety w zielonej garsonce, trzymającej w ręku notatnik.

- Wiem już wszystko - oznajmił po powrocie. - To łatwe. Wejście jest tam, po prawej. Najpierw trzeba się udać do rejestracji, która znajduje się w głównym hallu, a potem pojedziemy do waszej bursy.

- A dlaczego nie możemy najpierw pojechać do bursy? -marudziła Gisselle. - Jestem zmęczona.

- Powiedziano mi, że najpierw należy pójść do rejestracji, córeczko. Tam otrzymacie rozkład zajęć, informator, plan Greenwood i inne tego typu rzeczy.

- Po co mi jakaś tam mapa? I tak nie wyjdę ze swojego pokoju.

- Och, jestem pewny, że wyjdiesz. Wyjmę twój wózek.

Zacisnęła usta i wyprostowała się, mocno zaplatając ręce na brzuchu. Wysiadłam. Niebo było bardzo błękitne, przepływały po nim lekkie, puszyste chmurki, przywodzące na myśl cukrową watę. Ze wzgórza rozciągał się wspaniały widok na położone niżej miasto i Missisipi z sunącymi po niej barkami i statkami. Czułam się, jakbyśmy miały świat pod stopami.

Tata pomógł Gisselle przesiąść się na wózek. Tkwiła w nim sztywno, nieruchomo, zmuszając, by sam ją przeniósł.

Gdy już została usadowiona, ruszyliśmy w stronę wejścia. Tata pchał wózek. Gisselle wbiła wzrok w przestrzeń, twarz jej wykrzywił grymas niezadowolenia. Dziewczęta uśmiechały się do nas, niektóre próbowały zagadać, lecz Gisselle udawała, że niczego nie widzi i nie słyszy.

Podjazdem, który znajdował się przy bocznym wejściu, dotarliśmy do obszernego hallu, wysokiego pomieszczenia o marmurowych posadzkach, z imponującymi żyrandolami

1 dużym gobelinem przedstawiającym plantację trzciny cukrowej. Było ono tak duże, że głosy dziewcząt odbijały się w nim echem. Uczennice ustawiły się w trzech długich kolejkach. Ledwo Gisselle zauważyła ten tłum, z jej ust wydobył się jęk.

- Nie mogę tak tu sterczeć w nieskończoność - wyrzekała głośno, tak by wszyscy ją usłyszeli. - W naszych szkołach w Nowym Orleanie nie ma takich obyczajów! Podobno informowałeś dyrekcję o moich problemach i obiecałeś, że wezmą to pod uwagę.

- Poczekaj chwilkę - odparł cicho tata.

Skierował się do wysokiego mężczyzny w garniturze i w krawacie, który udzielał informacji i pomagał wypełniać formularze. Słuchając wyjaśnień taty, spojrział w naszą stronę, a w chwilę potem razem podeszli do biurka ze znakiem A-H. Tata porozmawiał z nauczycielką, która tam siedziała. Dała mu dwa komplety broszur. Podziękował

o boju i szybko do nas wrócił.

- W porządku - oświadczył. - Wiem już, gdzie mieszkanie. Obie zostałyście zakwaterowane w Domu Louelli Clair-borne.

- A cóż to za dziwaczna nazwa?

- Bursę nazwano imieniem matki pana Clairborne'a. Są trzy budynki internatowe i Daphne zapewniła mnie, że dopilnuje, byście znalazły się w najlepszym.

- Świetnie.

- Dziękuję, tato - powiedziałam, biorąc od niego broszury.

Czułam się niezręcznie, że zostałam tak samo jak Gisselle potraktowana ulgowo i spuściłam wzrok, by nie widzieć zazdrosnych spojrzeń dziewcząt, które dalej czekały w kolejce.

- To dla ciebie - powiedział tata, dając Gisselle jej zestaw informatorów, ale ona nawet nie wyciągnęła ręki, więc położył je na jej kolanach i popchnął wózek ku wyjściu.

- Powiedziano mi, że w głównym budynku jest winda, będziesz więc mogła bez problemu wjeżdżać na odpowiednie piętra. We wszystkich łazienkach znajdują się uchwyty dla niepełnosprawnych, a większość zajęć odbywa się w salach usytuowanych na tym samym poziomie, tak że powinnaś bez trudu przemieszczać się między nimi - dodał

tata.

Kiedy wychodziliśmy z budynku, Gisselle niechętnie otworzyła informator. Na pierwszej stronie widniał list po-witalny pani Ironwood, która gorąco zalecała, by każda uczennica bardzo starannie i wnikliwie przeczytała informator, zwracając szczególną uwagę na regulamin.

Budynki internatu mieściły się spory kawałek drogi za gmachem szkoły, dwa po prawej stronie, jeden - nasz - po lewej. Kiedy okrążaliśmy szkołę w drodze do naszej bursy,

popatrzyłam w dół zbocza i zauważyłam przystań i staw. Brzegi porastała gęsta warstwa lilii wodnych. Na jasnozielonych liściach rozchyłały się blade płatki kwiatów, ukazując ciemniejsze, żółte wnętrza. Woda lśniła niczym wyczyszczona moneta. Po lewej stronie, zaraz za naszym przyszłym mieszkaniem, znajdowały się boiska.

- Jakież wspaniałe tereny - odezwał się tata. - I jakie zadbane.

- To przypomina więzienie - burknęła Gisselle. - Bóg wie, ile kilometrów dzieli nas od cywilizacji. Znalazłyśmy się w pułapce.

- Och, co ty opowiadasz. Czeka was mnóstwo zajęć. Zapewniam cię, że nie będziesz się nudzić - nie dawał za wygraną tatuś.

Gisselle ponownie zapadła w pełne urazy milczenie, a przed nami wyłoniła się nasza bursa. Zbudowany w stylu kolonialnym dom Louelli Clairborne ukryty był prawie w całości za dębami i wierzbami płaczącymi, których gałęzie przesłaniały fronton. Budynek zbudowany z bali cyprysowych otaczały tarasy z balustradami, wsparte na kwadratowych kolumnach, sięgających dachu z oknami szczytowymi. Kiedy zbliżyliśmy się do niego, ujrzeliśmy podjazd prowadzący na taras. Nie chciałam powiedzieć tego na głos, ale rzeczywiście wyglądał tak, jakby został

zrobiony specjalnie dla Gisselle.

- Doskonale - oświadczył tata. - Pora się rozlokować. Pójdę oznajmić opiekunce internatu, że przyjechałyście.

Nazywa się pani Penny\*.

- Pewnie też i rozumu ma za pensik - rzuciła złośliwie Gisselle, zaśmiewając się ze swego dowcipu.

Tata szybko wszedł po schodach i zniknął w budynku.

- Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała codziennie pchać mnie stąd do szkoły - straszyla mnie Gisselle.

- Sama powinnaś dać sobie radę, Gisselle. Ścieżka wygląda na dość równą.

- To straszny kawał drogi! - zawołała. - Zamęcę się, nim tam dojadę.

**\*penny (ang.) - pens**

- Jeśli rzeczywiście nie poradzisz sobie sama, będę cię pchała - obiecałam westchnąwszy.

- Co za idiotka - mruknęła, zaplatając ramiona na piersi i ponurym wzrokiem mierząc wejście do budynku.

Po chwili zjawił się tata z panią Penny, pulchną, niską kobietą o siwych włosach splecionych w warkocz owinięty wokół głowy. Miała na sobie jasnoniebieską sukienkę w biały wzór. Kiedy się zbliżyła, zobaczyłam, że ma niewinne błękitne oczy, jej pełne wargi uśmiechają się szeroko, a pulchne policzki wyglądają tak, jakby chciały połknąć drobny nosek. Wsiadłam z samochodu, a ona klasnęła w dłonie.

- Witaj, kochanie. Witaj w Greenwood. Nazywam się pani Penny.

Wyciągnęła rękę o krótkich, grubych palcach. Uścisnęłam ją.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Ty jesteś Gisselle?

- Nie, Ruby. Moja siostra, Gisselle, jest tam.

- Coraz lepiej, nawet nie wie, która jest która - mruknęła Gisselle ze środka samochodu. Nawet jeśli pani Penny dosłyszała tę uwagę, nie dała tego po sobie poznać.

- To po prostu cudowne. Pierwszy raz mam u siebie bliźniaczki, a opiekuję się dziewczętami z domu Louelli Clairborne od ponad dwudziestu lat. Witaj, kochanie - pozdrowiła Gisselle, zaglądając do samochodu.

- Mam nadzieję, że przydzielono mi pokój na parterze - warknęła Gisselle.

- Och, oczywiście, że tak, kochanie. Jesteś zakwaterowana w pierwszym kwartale, kwartale A.

- Kwartale?

- Dom jest podzielony na kwartały, w skład których wchodzi po cztery sypialnie i wspólny pokój do nauki. Na dwie sypialnie przypada jedna łazienka - wyjaśniła pani Penny. - Przyjechały już wszystkie dziewczęta, z wyjątkiem jednej, nowej - kontynuowała. Uśmiech na jej twarzy to pojawiał się, to znów znikał. - Są z tego samego rocznika, co wy. Nie mogą się doczekać, kiedy was poznają.

- My też płoniemy z ciekawości - odparła kąśliwie Gisselle, podczas gdy tata podprowadzał jej wózek. Pomógł jej wsiąść i skierowaliśmy się do budynku.

Kiedy weszliśmy do środka, znaleźliśmy się w obszernym wspólnym salonie z dwiema kanapami i czterema fotelami, ustawionymi wokół dwóch długich stołów z ciemnego drewna. Między kanapami a krzesłami stały lampy, w rogach pokoju umieszczono mniejsze krzesła, stoliki i lampki. W kącie stał telewizor. We wszystkich oknach wisiały bawełniane firanki i błękitne zasłony, na drewnianej podłodze leżał duży, owalny, niebieski dywan. Na ścianie na wprost wejścia wisiał portret przedstawiający elegancką starszą damę. Był to jedyny obraz w całym pomieszczeniu.

- To portret pani Edith Dilliard Clairborne - wyjaśniła pani Penny tonem pełnym nabożeństwa. - Oczywiście, z czasów gdy była o wiele młodsza - dodała.

- Na obrazie wygląda staro - stwierdziła Gisselle. - Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać teraz.

Pani Penny nie odpowiedziała, tylko powróciła do opisu domu.

- Kuchnia znajduje się na tyłach budynku. Pory śniadań i kolacji są ściśle wyznaczone, ale zawsze możecie tam zajrzeć i coś sobie skubnąć, kiedy zgłodniejecie. Staramy się prowadzić dom tak, byśmy czuły się w nim jak wielka, szczęśliwa rodzina - zwróciła się do taty. Potem spojrzała na Gisselle. - Obwiozę cię wszędzie, gdy już się rozpakujesz. Wasz kwartał jest tam - wskazała koiytarz po prawej stronie. - Najpierw was zaprowadzę, a potem przyniesiemy wasze rzeczy. Jak minęła podróż z Nowego Orleanu?

- Dziękuję, dobrze - odparł tata.

- Nudno - zaproponowała Gisselle, ale pani Penny dalej się uśmiechała, jakby nie słyszała tej odpowiedzi. Odniosłam wrażenie, że nieprzyjemne wiadomości lub sytuacje po prostu do niej nie docierają.

Na ścianach krótkiego korytarza wisiały olejne obrazy przedstawiające scenki z ulic Nowego Orleanu oraz portrety -

zapewne członków rodziny Clairborne'ów. Oświetlały go dwa niewielkie żyrandole. Na końcu znajdował się pokój do nauki, o którym wspominała pani Penny: niewielkie

pomieszczenie, w którym stały cztery fotele, takie same jak w dużym salonie, owalny ciemny stół, cztery biurka i lampy.

Zza pierwszych drzwi po prawej stronie rozległ się czyjś

śmiech.

- Cóż, właściwie możemy od razu przedstawić was koleżankom - stwierdziła pani Penny. - Jacqueline... Kathleen...

Jako pierwsza wyszła wysoka dziewczyna, mierząca dobrze ponad metr siedemdziesiąt, a może



nawet osiemdziesiąt.

Widząc, jak się garbi, domyśliłam się, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak wyróżnia się wzrostem. Miała szczupłą twarz z długim, haczykowatym nosem nad wąskimi mocno zaciśniętymi ustami, które przypominały bladorożowe gumki, szczególnie kiedy prychała. Już wkrótce miałam się przekonać, że prychanie stanowiło jej ulubioną odpowiedź na wszystko. W zawsze niezadowolonych, zmrużonych brązowych oczach czaiło się rozgoryczenie.

Wyglądała jak ktoś, kto podejrzliwie przygląda się światu, jak nieproszony gość, który zjawił się na przyjęciu, gdzie wszyscy czują się o niebo lepiej od niego.

- To Jacqueline Gidot. Jacqueline, poznaj siostry Gisselle i Ruby Dumas oraz ich ojca.

- Dzień dobry - przywitała się, szybko przenosząc wzrok ze mnie na Gisselle.

Przypuszczałam, że dziewczęta z naszego kwartału uprzedzono, że Gisselle będzie na wózku inwalidzkim, ale oczywiście, co innego słyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy.

- Cześć - powiedziałam.

Gisselle ograniczyła się do skinienia głową, ale znacznie ożywiła się na widok koleżanki Jacqueline, która wyłoniła się z pokoju.

- A to Kathleen Norton.

Kathleen powitała nas serdecznym uśmiechem. Była to ciemna blondynka, mniej więcej naszego wzrostu, za to znacznie szersza od nas w biuście i biodrach.

- Wszyscy nazywają mnie Kate - dodała szybko, kończąc zdanie chichotem.

- Albo Chomikiem - dorzuciła sucho Jacqueline.

Kate tylko się roześmiała. Odniosłam wrażenie, że kończyła śmiechem każdą swoją wypowiedź i każdą uwagę na swój temat. Kiedy spojrzała na Gisselle, oczy jej się rozszerzyły, jakby się czegoś wystraszyła. Wiedziałam, że Gisselle to się nie spodoba.

- Chomikiem? - prychnęła.

- Zjada wszystko, co jej wpadnie pod rękę, a cukierki chowa po całym pokoju niczym chomik - wyjaśniła pogardliwie Jacqueline.

Kate znowu się roześmiała. Gładko przełknęła złośliwość koleżanki i zachowywała się, jakby nie padło żadne niemiłe słowo.

- Witajcie w Greenwood.

- Dziękuję - odparłam.

- Gdzie jest nasz pokój? - niecierpliwiła się Gisselle.

- Tutaj, naprzeciwno - odparła pani Penny.

Kiedy się obróciłyśmy, znalazłyśmy się twarzą w twarz z czarującą rudawą dziewczyną, o nieco lalkowatej urodzie i buzi pełnej dołeczków. Stała w drzwiach następnego pokoju.

- To Samanta - oznajmiła pani Penny.

- Cześć - odezwała się Samanta. Wyglądała na znacznie młodszą od nas.

- Jesteś z naszego rocznika? - spytała Gisselle. Drobniutka Samanta skinęła głową.

- Samanta pochodzi aż z Missisipi - dodała pani Penny takim tonem, jakby Missisipi nie było sąsiednim stanem, lecz zgoła innym krajem. - Samanto, to Gisselle i Ruby oraz ich tata.

- Cześć - powtórzyła Samanta.

Odgłos czyichś kroków sprawił, że odwróciliśmy głowy. Do kwaterału pospiesznie weszła poważna dziewczyna o ciemnobrązowych włosach przyciętych tuż za uszami. Na nosie miała okulary w czarnej oprawce o bardzo grubych szklach, które sprawiały, że jej piwne oczy wydawały się ogromne. Wyraziste rysy twarzy i niemal trupia bladość kontrastowały z obfitym biustem, prawie tak dużym jak u pani Penny i wspaniałą figurą, której, jak później zauważyła Jacqueline, szkoda było dla takiej końskiej gęby.

- Victoria. Zjawiałaś się w samą porę, by poznać nasze nowe lokatorki, Ruby i Gisselle Dumas - przedstawiła dziewczynę pani Penny. - Victoria mieszka w jednym pokoju z Samantą.

- Cześć - powiedziałam. - Jestem Ruby.

Victoria najpierw zdjęła grube okulary, a potem wyciągnęła dłoń o długich, smukłych palcach.

- Wracam prosto z biblioteki - odezwała się, zadyszana. - Pan Warden wywiesił już listę lektur obowiązkowych z historii Europy.

- Vicki już dawno postanowiła, że to jej, jako najlepszej uczennicy, przypadnie zaszczyt wygłoszenia mowy poze-gnalnej na zakończenie szkoły - oznajmiła Jacqueline, stojąc dalej w progu swego pokoju. - A jeśli nie, popełni samobójstwo.

- Wcale nie - odparowała Vicki. - Po prostu rozsądny człowiek od początku stara się zyskać fory - zwróciła się do mnie. A potem spojrzała na Gisselle, która zmierzyła ją wzrokiem prawie tak samo pogardliwym, jak Jacqueline.

- Witajcie.

- Dziękuję.

- Który w końcu jest nasz pokój? - zniecierpliwiła się Gisselle.

- Już tam idziemy, kochanie - odparła pani Penny i pokazała nam wreszcie pomieszczenie za otwartymi drzwiami.

Ledwo tata wprowadził wózek z Gisselle, ta jęknęła.

Na środku stały dwa łóżka oddzielone tylko szafką nocną. Po prawej stronie znajdowała się jedna szafa, po lewej druga. Stojące przy ścianach drewniane komódki i łóżka w tym samym kolorze dzieliła przestrzeń tak wąską, że z trudem mieścił się tam wózek Gisselle. Po prawej stronie za drzwiami ustawiono małą toaletkę z lustrem wielkości jednej czwartej tego, które miałyśmy w Nowym Orleanie. Okna znajdowały się tuż nad wezgłowiem, wisiały w nich identyczne proste, bawełniane zasłony. Ściany pokrywała tapeta w prosty wzór kwiatowy, stanowiąca jedyną ozdobę pokoju. Na drewnianej podłodze nie leżał nawet chodniczek.

- Ależ on jest za mały! Jakim cudem mamy się tu pomieścić we dwie? Przecież nie ma tu miejsca nawet na moje rzeczy! A co dopiero na rzeczy Ruby!

- Cieszę się, że ktoś podziela moje poglądy - zawtórowała Jacqueline za naszymi plecami.

- Nie ma powodu do niepokoju, kochanie - wtrąciła pani Penny. - Mamy schowek, z którego możesz skorzystać.

- Nie przywiozłam swoich rzeczy po to, by je trzymać w schowku. Przywiozłam je, by ich używać.

- Ojej - westchnęła pani Penny, odwracając się do taty.

- Na pewno się to jakoś zmieści - uspokajał Gisselle tata. - Najpierw wniesiemy niezbędne rzeczy, a potem...

- Wszystko jest mi niezbędne - oświadczyła Gisselle nieustępliwie.

- A może byś zostawiła część rzeczy w pokoju Abby -podsunęła pani Penny. - Abby mieszka sama - wyjaśniła.

- Co to za Abby? Gdzie ona jest? - dopytywała się Gisselle.

- Jeszcze nie przyjechała. To nasza nowa uczennica -odparła pani Penny, zwracając się do taty. - Nie zamartwiaj się, kochanie. Pani Penny jest tu po to, żeby wszystko się układało, a dziewczynki były zadowolone. Robię to już od dawna - dodała z uśmiechem, ale Gisselle odwróciła się nadęta.

- No dobrze, zacznę wnosić rzeczy - powiedział tata.

- Pomóc ci, tatusiu?

- Nie, zostań z siostrą - odparł, unosząc brwi.

Skinęłam głową, a on wyszedł razem z panią Penny. Jacqueline, Kate, Samanta i Vicki zebrały się w drzwiach naszej sypialni.

- Po co żeś aż tyle tego nabrała? - spytała Vicki. - Nie wiedziałaś, że nie potrzebujemy wielu ubrań? Nosimy mundurki.

- Nie włożę na siebie żadnego mundurka! - zachnęła się Gisselle.

- Będziesz musiała - stwierdziła Kate, kończąc zdanie chichotem.

- Nie będę. Nie mogę. Moja sytuacja jest szczególna - oświadczyła Gisselle. - Jestem pewna, że tata przekona dy rekcję, żebym nosiła własne ubrania, a tutaj po prostu nie ma miejsca na wszystkie moje rzeczy. Będę musiała trzymać je w walizkach, które zajmą te resztki wolnego miejsca. Vicki wzruszyła ramionami.

- I tak rzadko bywamy w sypialniach - próbowała przekonać Gisselle. - Większość czasu spędzamy poza nimi, zajęte nauką.

- Może ty tak, Vicki - stwierdziła Jacqueline. - My nie. Z jakiej części Luizjany pochodzicie, dziewczęta?

- Z Nowego Orleanu. Z Garden District - odparłam.

- Tam jest tak pięknie - westchnęła przypominająca lalkę Samanta. - Ojciec pokazał mi tę dzielnicę, kiedy w ubiegłym roku wybraliśmy się do Nowego Orleanu. Może nawet przechodziłam koło waszego domu.

Gisselle okręciła się w wózku, by lepiej widzieć dziewczęta.

- A wy skąd jesteście?

- Ja jestem ze Shreveport - zaczęła wymieniać Jacqueline - Chomik z Pineville, a Vicki z Lafayette.

- Ja mieszkam z ojcem w Natchez - dodała Samanta.

- Twoja matka z wami nie mieszka? - spytała Gisselle.

- Dwa lata temu zginęła w wypadku samochodowym - wyjaśniła i szybko przygryzła wargę. Jej dołeczki natychmiast zniknęły.

- A ja właśnie w ten sposób zostałam kaleką - oznajmiła gniewnie Gisselle. Zabrzmiało to tak, jakby jej zdaniem do wypadków dochodziło z winy samochodów, nie ludzi. - Skoro pochodzisz ze stanu Missisipi, to dlaczego znalazłaś się w tej szkole?

- Rodzina ojca mieszka w Baton Rouge.

- Czy wszystkie pokoje są takie małe? - dopytywała się Gisselle, rozglądając się po sypialni.

- Tak - odparła Jacqueline.
- A dlaczego ta Abby dostała cały pokój dla siebie? -nie dawała za wygraną Gisselle.
- Tak wyszło - roześmiała się Kate. - Może to po prostu łut szczęścia.
- A może nikt nie chciałby z nią mieszkać. Jeszcze jej nie poznałyśmy - dorzuciła Jacqueline.
- Chyba nie jest... - zaniepokoiła się Kate.
- Nie - uspokoiła ją Jacqueline. - Takich do Greenwood nie przyjmują, choćby nie wiem kto się za nimi wstawiał. To prywatna szkoła - dodała z pewną dumą.
- Cóż, radziłabym jej szybko się tu zjawić - stwierdziła Vicki. - Za godzinę mamy spotkanie zapoznawcze.
- Co to takiego to spotkanie zapoznawcze? - zainteresowała się Gisselle.
- Nie czytałaś pierwszej strony swojego informatora? Żelazna Dama zawsze organizuje spotkanie, podczas którego ona poznaje nas, a my ją.
- I w czasie którego odczytuje wyroki na buntowników -dodała Jacqueline. - Śmierć na stosie i ukamienowanie.
- Żelazna Dama? - zdziwiłam się.
- Kiedy ją zobaczysz i usłyszysz, zrozumiesz, skąd ten przydomek - odparła Jacqueline.
- Chyba nie traktują poważnie tych idiotycznych reguł, które tu powypisywali? - dopytywała się Gisselle, wskazując informator.
- Owszem, i lepiej uważnie przeczytaj sobie, za co dostaje się minusy. Chomik coś na ten temat wie - przerwała jej Jacqueline, wskazując ruchem głowy Kate.
- Dlaczego?
- W ubiegłym roku uzbierałam dziesięć minusów i przez okrągły miesiąc musiałam myć łazienki - poskarżyła się. -I niech nikt nie próbuje mi wmawiać, że dziewczęta są schludniejsze od chłopców. Zostawiają po sobie w łazienkach straszliwy bajzel.
- Kto jak kto, ale ja łazienek myć nie będę - oświadczyła Gisselle.
- Wątpię, żeby ciebie ukarano w ten sposób - przyznała Vicki.
- Dlaczego? - spytała ostro Gisselle. - Bo jestem na wózku?
- Oczywiście - odparła spokojnie Vicki.

Gisselle przemyślała to sobie dogłębnie, po czym uśmiechnęła się kwaśno.

- Może to jednak ma i dobre strony. Ujdzie mi płazem o wiele więcej rzeczy niż wam.
- Nie liczyłabym na to - ostudziła ją Jacqueline.
- Dlaczego?
- Kiedy poznasz Żelazną Damę, zrozumiesz.
- Nie jest aż tak tragicznie - pocieszała Samanta. - To dobra szkoła i świetnie się bawimy.
- A co z chłopcami? - indagowała Gisselle.

Samanta spłonęła rumieńcem. Zapewne nie przekroczyła jeszcze progu między dzieciństwem a dojrzwaniem, zatrzymała się na nim zdumiona, oszołomiona swoją płciowo-ścią. Później przekonałam się, że jej ojciec rozpieszczał

ją i otaczał nadmierną opieką.

- Jak to, co z chłopcami? - nie zrozumiała Vicki.
- Czy w ogóle jakichś tu widujecie? - wyjaśniła Gisselle.
- Oczywiście. Na wieczorkach tanecznych. Raz w miesiącu zapraszani są chłopcy z odpowiednich prywatnych szkół.
- Okropność. Raz w miesiącu, zupełnie jak miesięczka! - zakpiła Gisselle.
- Co? - spytała Samanta. Na jej twarzy w kształcie serca odmalowało się zdumienie. Kate zachichotała, a Jacqueline prychnęła.
- Miesięczka - powtórzyła Gisselle. - Chyba wiesz już, co to jest, a może jeszcze nie dostałaś?
- Gisselle! - upomniałam siostrę, ale twarz Samanty cała spurpurowiała, a pozostałe dziewczęta wybuchnęły śmiechem.
- Och, jak to miło - odezwała się pani Penny, wchodząc za tatą i kierowcą, którzy wniesli część naszych rzeczy.
- Dziewczęta już się zaprzyjaźniły. Mówiłam panu, że wszystko się ułoży - zwróciła się do taty.

Nowa przyjaciółka

Na pół godziny przed udaniem się do głównego gmachu szkoły na spotkanie z panią Ironwood, przejechała Abby Tyler z rodzicami. Uznałam Abby za najładniejszą z nas wszystkich. Mniej więcej mojego wzrostu, ale szczupła, o delikatnej urodzie przywodzącej na myśl Audrey Hepburn, miała

turkusowe oczy i gęste, proste czarne włosy sięgające ramion. Wspaniała, ciemna, niemal czekoladowa cera świadczyła, że Abby spędziła na słońcu o wiele więcej czasu niż którakolwiek z nas.

Głos miała Abby delikatny, melodyjny, wymowę nieco inną, zatracającą francuszczyzną - niewątpliwie zasługa rodziny ze strony matki. A kiedy się do mnie uśmiechnęła, wyczułam w niej jakąś prawość. Podobnie jak my czuła się niepewnie, była ostrożna - wszak to i jej pierwszy rok w Greenwood.

Kiedy pani Penny przedstawiła jej już wszystkie dziewczęta, spytała, czy Abby nie pogniewa się, jeśli Gisselle złoży część swoich rzeczy u niej w pokoju. Wiedziałam, że Gisselle nie lubiła nikogo o nic prosić, ale Abby nie miała nic przeciwko temu.

- Ależ skąd - zapewniła, uśmiechając się do Gisselle. - Możesz się u mnie rozgościć i zająć tyle miejsca, ile zechcesz.

- Trzęsie mnie na myśl, że będę musiała krążyć od pokoju do pokoju po swoje rzeczy - jęczała Gisselle.

- Wystarczy, że mi powiesz, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, a ci przyniosę - uspokoiłam ją czym prędzej.

- Albo ja. To żaden kłopot - zaoferowała się Abby.

Spojrzała na mnie ze zrozumieniem i sympatią, a ja natychmiast wyczułam w tej ciemnowłosej dziewczynie o delikatnym głosie pokrewną duszę.

- Na to mi przyszło, że muszę zebrać u innych, żeby przynieśli mi moje własne rzeczy - nie przestawała uzalać się Gisselle. Bałam się, że za chwilę urządzi scenę i przyniesie wstyd tacie.

- Nie musisz zebrać. Co za idiotyczny pomysł. Zwrócenie się z prośbą o pomoc, to nie żebranina - zachnęłam się.

- Bardzo chętnie przyniosę ci twoje rzeczy - powtórnie zapewniła Abby. - To naprawdę drobiazg.

- Czyżby? - warknęła Gisselle, zamiast podziękować koleżance. - Uczysz się na pokojówkę?

Cała krew odpłynęła z twarzy Abby.

- Gisselle! Dlaczego nie potrafisz okazać wdzięczności i przyjąć cudzej pomocy?

- Bo nie chcę cudzej łaski! Chcę polegać na własnych nogach.

- Ojej - zafrasowała się pani Penny, skubiąc swoje pulchne policzki. - Tak bym chciała, żebyście wszystkie były szczęśliwe.

- Proszę się nie martwić. Jeśli Abby okaże się tak dobra i zgodzi się, by moja siostra zostawiła u niej

część rzeczy, Gisselle będzie szczęśliwa - zapewniłam, posyłając bliźniacze wściekłe spojrzenie.

Rozczarowana, kiedy już przyniesiono wszystkie nasze rzeczy, zaatakowała tatę i zaczęła wyrzekać, że będzie musiała nosić mundurek. Jęki jej przybrały na sile, gdy zobaczyła obrzydliwą burą spódnicę, takąż bluzkę i czarne pantofle na grubej podeszwie. I gdy na drugiej stronie regulaminu znalazła informację, że zakazuje się używania kosmetyków, nawet szminki, a także ostentacyjnego noszenia biżuterii.

- Nie dość, że jestem przykuta do tego straszego wózka - protestowała Gisselle - to jeszcze mam nosić te okropne, niewygodne ubrania. Dotykałam tego materiału. Jest dla mnie za szorstki. A te obrzydliwe buciska będą mnie uwierały. Są za ciężkie.

- Porozmawiam z kimś o tym - obiecał tata i wybiegł z pokoju.

Wrócił po kwadransie, by oznajmić, że wzięwszy pod uwagę szczególną sytuację Gisselle, dyrekcja zgodziła się pójść na ustępstwa i wyraża zgodę, by nosiła to, w czym jej będzie wygodnie. Gisselle z obrażoną miną skuliła się w wózku. Mimo podejmowanych nieustannie wysiłków zdążających do skomplikowania sytuacji i maksymalnego utrudnienia naszych pierwszych chwil w Greenwood, jakoś znajdowano sposób na uśmierzenie jej humorów.

Tata zaczął szykować się do odjazdu.

- Jestem przekonany, że będziecie się tu dobrze czuły. Proszę tylko o jedno - dodał, patrząc wymownie na Gisselle. -

Dajcie tej szkole szansę.

- Już jej nienawidzę - odpaliła Gisselle. - Pokój jest za mały. Mamy daleko do szkoły. Co mam zrobić, kiedy zacznie padać?

- To samo, co wszyscy. Otworzysz parasol - odparł. - Nie jesteś z cukru, nie rozpuścisz się.

- Wszystko się ułoży, tatusiu, poradzimy sobie - uspokajałam go.

- Ty może tak - warknęła Gisselle - ale ja nie.

- Obie sobie poradzimy.

- Muszę już ruszać, a i wy macie swoje obowiązki. Pochylił się nad Gisselle, by ją pocałować i objąć, ale ona odwróciła się i nie odpowiedziała na jego pocałunek nawet przelotnym muśnięciem policzka. Widziałam, jak go to zabolalo i zasmucilo, więc tym mocniej go uściskałam i ucałowałam.

- Nie przejmuj się - szepnęłam, mocno obejmując go za szyję. - Będę jej pilnować i już moja w tym głowa, żeby za szybko nie upuściła ziemniaka.

Roześmiał się, słysząc to stare cajuńskie porzekadło, oznaczające poddanie się.



- Zadzwoń do was jutro, pojutrze - obiecał.

Pożegnał się z pozostałymi dziewczętami i wyszedł razem z rodzicami Abby, którzy skończyli właśnie rozmawiać z panią Penny. Kiedy zniknęli, Vicki oznajmiła, że pora, byśmy udały się na spotkanie z panią Ironwood. To wywołało kolejną falę wyrzekań Gisselle na odległości dzielące internat od budynku szkoły.

- Powinni wynająć dla mnie samochód, który by mnie przywoził i odwoził - oświadczyła.

- Naprawdę, nie jest to aż tak daleko, Gisselle.

- Łatwo ci mówić. Ty możesz tam sobie nawet pobiec.

- Bardzo chętnie zawiozę cię do szkoły - zaproponowała Samanta.

Gisselle zmierzyła ją wściekłym wzrokiem.

- Ruby będzie mnie pchała - ucięła ostro.

- Cóż, ale jeśli Ruby kiedyś nie mogła, ja ją wyręcę -zapewniła Samanta.

- A dlaczego? Bawi cię to?

- Nie - odparła dziewczyna urażona. Wodziła wzrokiem po mnie i po Gisselle. - Chciałam tylko...

- Chodźmy już - przerwała Vicki, niespokojnie zerkając na zegarek. - Nikomu nie wolno spóźnić się na spotkanie z panią Ironwood. A jeśli już ktoś to zrobi, czeka go reprimenda przed całą szkołą i dwa punkty karne.

Wyszliśmy. Abby ustawiła się przy mnie, za Gisselle.

- Co cię sprowadza do Greenwood w samym środku szkoły średniej? - spytałam.

- Rodzice przeprowadzili się i nie spodobała im się szkoła, do której miałam chodzić - wyjaśniła szybko, ale odwróciła przy tym wzrok i wyczułam, że nie jest ze mną zupełnie szczerą. Pomyślałam, że prawdopodobnie również i w jej wypadku przyczyny zmiany szkoły musiały być ogromnie bolesne, toteż nie drążyłam tego tematu.

- Jaki ładny medalion - powiedziała, podniósłszy ponownie wzrok na mnie.

- Dziękuję. Mój chłopiec ofiarował mi go dziś przed wyjazdem do Greenwood. W środku są zdjęcia nas obojga.

Popatrz.

Zatrzymałam się i pochyliłam w jej stronę.

- Dlaczego nie jedziemy? - marudziła Gisselle, choć przysłuchiwała się naszej rozmowie i doskonale wiedziała, dlaczego.

- Poczekaj chwilę. Chcę pokazać Abby zdjęcie Beau.

- Po co?

Otworzyłam medalion i Abby zerknęła na zdjęcia.

- Bardzo przystojny - stwierdziła.

- I dlatego teraz pewnie jest już z inną - wtrąciła Gisselle. - Mówiłam jej, że powinna się tego spodziewać.

- Czy ty też zostawiłaś chłopca w swoim rodzinnym mieście? - spytałam, nie zwracając uwagi na Gisselle.

- Tak - odparła ze smutkiem Abby.

- Z pewnością przyjedzie cię odwiedzić, napisze do ciebie albo zadzwoni - próbowałam ją pocieszyć.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie.

Czekałam, ale ona przyspieszyła kroku i dogoniła pozostałe dziewczęta.

- Co ją ugryzło? - zaciekawiała się Gisselle.

- Pewnie tęskni za domem.

- Wcale się jej nie dziwię. Tutaj nawet sierota zatęskniłaby za swoją ochronką - podsumowała, zanosząc się ze śmiechu ze swego dowcipu.

Nie roześmiałam się razem z nią. Przyjechałam tu przekonana, że będę jedyną osobą, zmuszoną ukrywać swoje pochodzenie i różne rodzinne sekrety, tymczasem nie minęła godzina, a okazało się, że to nieprawda. Wyglądało na to, że w przeszłości Abby istnieje znacznie więcej zatrzaśniętych drzwi niż w mojej. Zastanawiałam się, co się za tym kryje i czy kiedykolwiek dowiem się tego.

- Dogoń resztę - rozkazała Gisselle. - Pchasz mnie jak jakąś staruszkę.

Przyłączyłyśmy się do pozostałych dziewcząt, a kiedy w drodze do budynku rozmowa zesłała na to,

jak spędziłyśmy wakacje, jakie filmy oglądałyśmy, gdzie wyjeżdżałyśmy, którzy piosenkarze i aktorzy są naszymi idolami, Gisselle dominowała nad wszystkimi, proszona i nie proszona głośno wygłaszała opinie na każdy temat, opinie, których ze szczególną uwagą słuchała Samanta, chwytając jej każde słowo i nachylając się ku niej niczym kwiatek spragniony ciepła słonecznych promieni. Abby natomiast trzymała się z boku, przysłuchując rozmowom z łagodnym uśmiechem.

Kiedy dotarliśmy do gmachu szkoły, wszystkie dziewczęta postanowiły razem z Gisselle wejść od strony podjazdu, co jak zauważyłam, bardzo się jej spodobało. Traktowano ją iak kogoś wyjątkowego, nie jak kalekę.

Przy wejściach do auli stali dwaj nauczyciele: pan Foster oraz pan Norman, szybko zaganiając uczennice do środka.

- Idziemy w lewo - odezwała się Vicki.

- Dlaczego? - nastroszyła się natychmiast Gisselle.

Teraz, kiedy już musiała pogodzić się z faktem, że zostanie w Greenwood, nie było końca jej pytaniom, dlaczego coś nie jest białe/skoro jest czarne. „Gisselle postanowiła, że będzie nas uwierać jak kamyk w bucie” - ujęłaby to babunia Catherine.

- Bo tam wyznaczono dla nas miejsca - odparła Vicki. Wyjaśniono to w informatorze. Nie zajrzałaś jeszcze do niego? - Nie, nie zajrzałam jeszcze do niego. - Gisselle naśladowała pełen oburzenia ton Vicki. - Zresztą, **ja** nie mogę mieć wyznaczonego miejsca. Poruszam się na wózku inwalidzkim. Może nie zauważyłaś?

- Oczywiście, że zauważyłam. Ale mimo to powinnaś zostać z nami - cierpliwie tłumaczyła Vicki. - Właśnie taki szyk ustaliła pani Ironwood. Siedzimy poszczególnymi kwartalami.

- I cóż jeszcze znajduje się w owym bezcennym informatorze? Instrukcja, ile razy wolno nam chodzić do toalety?

Vicki pobladła i odwróciła się, prowadząc naszą grupkę. Kiedy dotarliśmy do swojego rzędu, wszystkie usiadłyśmy na krzesłach Gisselle została w przejściu, więc zajęłam miejsce na brzegu. Abby siadła obok mnie. Wokół nas rozbrzmiewały śmiechy i rozmowy dziewcząt, wiele uczennic z ciekawością nam się przyglądało. Chociaż uśmiechały się do Gisselle, ona siedziała naburmuszona. A kiedy jedna z dziewcząt z sąsiedniego rzędu kilkakrotnie zerknęła w **jej** stronę Gisselle omal się na nią nie rzuciła.

-Czego się gapisz? Nigdy nie widziałaś człowieka na wózku inwalidzkim? - Nie gapiłam się.

- Gisselle - mitygowałam cicho, kładąc jej rękę na ramieniu - nie urządź scen.

- A dlaczego nie? Jakie to ma znaczenie? - odparła. Jacqueline machała do jakichś przyjaciółek, podobnie Vicki, Kate i Samanta. Potem Jacqueline zaczęła pokazywać nam koleżanki, przydając każdej krótką charakterystykę.

- To Debora Stewart. Jest taka znerwicowana, że codziennie leci jej krew z nosa. A to Susan Peck. Jej brat chodzi do Rosewood i jest taki przystojny, że wszystkie dziewczyny podlizują się Susan, w nadziei, że przedstawi je bratu, kiedy jego szkoła zostanie zaproszona na wieczór taneczny. O, a to Camille Ripley. Wygląda na to, że rodzice zafundowali jej w końcu operację plastyczną nosa, nie uważasz, Vicki?

- Nie pamiętam już, jak wyglądała - odparła sucho Vicki. Nagle rozmowy w audytorium zaczęły cichnąć. Najpierw umilkły ostatnie rzędy, potem pozostałe, aż do samego początku, a towarzyszyło to pojawieniu się pani Ironwood, która właśnie kroczyła środkiem sali.

- Oto nasza Żelazna Dama - obwieściła donośnym szeptem Jacqueline, wskazując ruchem głowy dyrektorę.

Abby, ja i Gisselle odwróciłyśmy głowy, by przyjrzeć się uważniej, jak wchodziła po stopniach na podium. Pani Ironwood nie mierzyła więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, była krępa, gęste, siwe włosy miała ściągnięte w surowy kok. Na srebrnym łańcuszku zawieszonym na szyi dyndały okulary w perłowej oprawce. Ubrana w ciemnoniebieski żakiet, spod którego wyłaniała się biała bluzka i w spódnicę do pół łydki, stąpała pewnym krokiem w swoich czarnych butach na solidnych podszwach. Z wyprostowanymi plecami, z wysoko uniesioną głową wspięła się do mównicy znajdującej na środku sceny. Kiedy obróciła się twarzą do zebranych, przez salę nie przebiegł nawet najmniejszy szmer. Ktoś zakasłał, ale natychmiast stłumił ten odgłos.

- Jak to się dzieje, że nie nosi tego koszmarne mundurka? - mruknęła Gisselle.

- Ciii... - uciszyła ją Vicki.

-Dzień dobry, dziewczęta, witam was po wakacyjnej przerwie, na początku kolejnego - w co wierzę - udanego dla was wszystkich roku szkolnego w Greenwood.

Przerwała, włożyła okulary i zajrzała do notatek. Potem podniosła wzrok i skierowała go wprost na nas. Nawet z tej odległości widziałam, jak zimne i surowe miała oczy. Wrażenie to pogłębiały gęste brwi i silna szczęka, wyglądająca jak wyrzeźbiona z kamienia.

- Przede wszystkim chciałabym powitać te dziewczęta,

o które w tym roku nasze grono się powiększyło. Wiem, że zrobicie, co w waszej mocy, by ich wejście w nasz świat i zapoznanie się ze szkołą przebiegło bezproblemowo. Pamiętajcie, wy też kiedyś byliście tu nowe.

Następnie chciałabym wam przedstawić trzech nowych nauczycieli. Oto wykładowca angielskiego dla klas pierwszych, pan Risel - powiedziała, kierując wzrok w prawo, gdzie siedziała część wykładowców. Wysoki, szczupły, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o jasnych włosach wstał i ukłonił się zebranym.

-Nauczyciel francuskiego dla grup zaawansowanych, monsieur Marabeau - przedstawiła nienaganną francuszczyznę - ze swojego miejsca podniósł się i skłonił głęboko niski, pulchny mężczyzna o ciemnych

włosach i bujnym wąsie.

-1 na koniec nowa nauczycielka wychowania plastycznego, panna Stevens. . .

W głosie jej zabrzmiała pewna surowość, której nie usłyszałam, gdy przedstawiała tamtych dwóch mężczyzn.

Wstała pociągająca brunetka, licząca sobie zapewne me więcej niż dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat. Powitała nas ciepłym, przyjaznym uśmiechem, ale widać było, że czuje się niezręcznie w tweedowym kostiumie i pantoflach na wysokim obcasie.

-Teraz czekaj, aż jej powiedzą o twoich malunkach i przekona się, jaka jesteś genialna - zakpiła Gisselle.

Wszystkie dziewczęta z naszego rzędu obejrzały się w jej stronę, pani Ironwood również popatrzyła w naszym kierunku. Poczułam ciężar jej dezaprobaty. - Ciii... - ostrzegła Vicki.

- Teraz pokrótce przypomnę podstawowe reguły - ciągnęła pani Ironwood, nie spuszczać z nas wzroku. Mnie serce waliło jak młotem, ale Gisselle odpowiedziała hardym spojrzeniem. - Oczekujemy od was, że poważnie po-traktujecie wasze obowiązki. Toteż nie będziemy tolerować średniej ocen niższej niż dostateczny z plusem.

Przywileje towarzyskie każdej z osób, która nie osiągnie wymaganego pułapu, zostaną zawieszane dopóty dopóki nie poprawi ona swoich wyników.

- Co to za przywileje towarzyskie? - zainteresowała się Gisselle, znowu odrobinę za głośno.

Pani Ironwood podniosła wzrok znad notatek i posłała nam lodowate spojrzenie.

- Nie życzę sobie, by mi przerywano, kiedy mówię. W Greenwood wymaga się szacunku do nauczycieli i pracowników. Nie mamy czasu na uspokajanie niesfornych uczennic, nie będziemy również tolerować najmniejszej niesubordynacji w czasie zajęć. Czy to jasne?

Słowa jej odbiły się echem w cichej sali. Nikt się nie poruszył, nawet Gisselle. Choć pani Ironwood podjęła swoje przemówienie cichszym głosem, mówiła tak ostrym tonem, że miałam wrażenie, jakby to noże, nie słowa, przecinały powietrze.

- Radziłabym wam zajrzeć na stronę dziesiątą waszych informatorów i dokładnie zapoznać się z regulaminem. Do-wiedcie się, że przemykanie na teren Greenwood jakichkolwiek napojów alkoholowych czy narkotyków zostanie ukarane natychmiastowym wydaleniem ze szkoły. Wasi rodzice zostali powiadomieni, że w takich wypadkach nie zwracamy chesnego. Głośna muzyka, palenie papierosów oraz jakiegokolwiek akty wandalizmu pociągają za sobą również surowe kary i wysokie punkty karne.

W ubiegłym roku byłam zbyt ustępliwa w kwestii obowiązkowego stroju. O ile nie uzyskacie specjalnego pozwolenia, macie nosić mundurek szkoły, dbać, by był schludny i wyprasowany, a także nie używać kosmetyków. W

Greenwood ładny wygląd oznacza schludność, a nie pacykowanie się.

Umilkła i posłała uczennicom chłodny uśmiech.

- Z przyjemnością już dziś zapowiadam, że w tym roku zorganizujemy tyle samo wieczorków tanecznych, co w roku ubiegłym. Zdarzyły się tylko jeden czy dwa wypadki niestosownego zachowania, z którymi uporaliśmy się, zanim zdołało to zepsuć zabawę pozostałym. Oczekujemy także, że przyjmując w wyznaczone dni waszych gości, również będziecie się zachowywać bez zarzutu. Przebywający na terenie naszej szkoły goście muszą podporządkować się panującym tu obyczajom, tak jakby byli naszymi uczniami. Dotyczy to zarówno kolegów, jak i koleżanek.

Przypominam wam - podjęła wolno, ściągając ramiona i spoglądając na sufit w głębi sali - że od tej chwili wszystkie stałyście się dziewczętami z Greenwood, a dziewczęta z Greenwood są wyjątkowe. Nowym uczennicom radzę zapamiętać sobie nasze hasło: uczennica z Greenwood to osoba, która traktuje swe ciało i umysł jak świątynię oraz ma świadomość, że żaden jej uczynek nie pozostaje bez wpływu na nas wszystkie. Bądź dumna, że należysz do grona dziewcząt z Greenwood i obyśmy my wszystkie były dumne, że jesteś jedną z nas.

Te dziewczęta, którym trzeba wydać mundurki i buty udadzą się prosto do magazynu w suterenie. Wszystkie zaś zanotujcie swój plan i godziny zajęć, byście na czas stawiały się do klasy. Pamiętajcie, pierwsze spóźnienie to jeden punkt karny. Drugie - cztery, a trzecie - sześć.

- Nie mogą mi dawać punktów karnych za spóźnienie - mruknęła Gisselle. - Za nic nie zdążę, poruszając się na tym wózku.

Kilka dziewcząt, które usłyszały tę uwagę, zerknęło w jej stronę, po czym szybko z powrotem utkwiły wzrok w pani Ironwood, która ponownie omiotła nas lodowatym spojrzeniem, przypominając przy tym do złudzenia srokosza wpatrującego się w swoją ofiarę. Przeciągająca się przerwa w przemówieniu sprawiła, że przez szeregi zebranych na sali uczennic przebiegła fala niepokoju. Miałam uczucie, jakbym siedziała na szpilkach i nie mogłam się doczekać, kiedy pani Ironwood oderwie od nas wzrok. W końcu wróciła do swoich notatek.

- Przyjęłyśmy wprawdzie więcej uczennic, ale grupy nadal są na tyle małe, że każda z was może liczyć na indywi-dualną pracę z nauczycielem, niezbędną do osiągnięcia wyników na miarę waszych zdolności. Życzę wam wszystkim powodzenia - zakończyła, zdejmując okulary i zamykając notes.

Jeszcze raz zmierzyła nas wzrokiem, po czym zeszła z podium. Nikt się nie poruszył, póki nie opuściła sali. Dopiero wtedy dziewczęta, z których część do tej pory wstrzymywała oddech, zaczęły wstawać i nad aulą wzniósł się gwar głośnych rozmów.

- Wielkie dzięki - odezwała się Gisselle, obracając się na wózku. W jej oczach płonął ogień.

- Za co?

- Za ściągnięcie mnie do tego piekła.

Ruszyła z miejsca, rozpychając dziewczęta. Po chwili odwróciła się.

- Samanto! - zawołała. -Co?

- Odwieź mnie do bursy, żeby moja siostra mogła udać się po swoje najnowsze, gustowne ubranko - rozkazała i wybuchnęła śmiechem.

Samanta natychmiast rzuciła się do niej i wszystkie opuściłyśmy aulę na czele z Gisselle, która przewodziła naszej grupce niczym królowa.

\* \* \*

Kiedy już mnie i Abby wydzielono mundurki oraz buty, wróciłyśmy do naszego internatu. W drodze opowiedziałam jej historię wypadku Gisselle. Słuchała uważnie, a w jej ciemnych oczach pojawiły się łzy, gdy opisywałam pogrzeb Martina i głęboką depresję taty, w jaką wpędziło go kalectwo Gisselle.

- Nie można więc nawet powiedzieć, że to po wypadku tak się zmieniła - skomentowała Abby.

- Niestety nie, Gisselle była taka na długo przed wypadkiem i zapewne długo jeszcze taka pozostanie.

Abby parsknęła śmiechem.

- A ty nie masz rodzeństwa? - spytałam.

- Nie. - A po długiej chwili dodała: - W ogóle miało mnie nie być na świecie.

- Jak to?

- Rodzice nie chcieli mieć dzieci.

- Dlaczego?

- Bo nie - odparła.

Czułam, że kryły się za tym głębsze, mroczne racje,

o których wiedziała, lecz nie chciała mówić. I tak wyznała więcej, niż zamierzała, co, jak przypuszczałam, wzięło się stąd, że tak szybko przypadłyśmy sobie do serca. To całkiem naturalne, że ja i Abby chciałyśmy się trzymać blisko.

Wraz z Gisselle byłyśmy jedynymi nowymi uczennicami w naszej szkole. Pomyślałam, że za jakiś czas może opowiem jej swoje dzieje. Sprawiała wrażenie osoby, której można zaufać.

Po powrocie do bursy przymierzyłyśmy mundurki. Były tak duże, że w nich tonęłyśmy. Uznałam, że zaprojektowano je tak, by ukrywały naszą kobiecość, jak tajemnicę stanu. Odziane w workowate bluzki i spódnice sięgające kostek, spotkałyśmy się w sypialni i obie wybuchnęłyśmy histerycznym śmiechem. Gisselle nie ukrywała satysfakcji. Nasz śmiech wyciągnął z sypialni pozostałe

dziewczęta, zajęte rozpakowywaniem rzeczy.

- Co was tak ubawiło? - spytała Samanta.

- Co? Wystarczy na nas spojrzeć - odparłam.

- Żelazna Dama osobiście zaprojektowała te mundurki -ostrzegła Vicki - więc lepiej nie skarż się za głośno.

- Albo zostaniesz spalona na stosie - dokończyła Jacqueline.

- Dobrze przynajmniej, że możemy chodzić w swoich rzeczach w weekendy, na wieczorkach tanecznych, a także gdy zostaniemy zaproszone na herbatkę do pani Clairborne - pocieszała Kate.

- Herbatka u pani Clairborne? - zainteresowała się Gisselle. - Już się nie mogę doczekać.

- Och, zawsze podaje pyszne ciasteczka - dodała Kate. -



# 1 pralinki!

- Których całą garść Chomik wpycha do torebki, a potem chowa gdzieś w pokoju. Prawdziwy cud, że nie zalęgły się u nas szczury - zadrwiła Jacqueline.

- A o co właściwie chodzi z tą herbatką? - zapytałam.

- To nie jest tylko jedna herbatka. Pani Clairborne organizuje je często i osobiście zaprasza dziewczęta. Wszyscy wiedzą, kto zosta! zaproszony, kto nie i nauczyciele mają o tobie lepsze mniemanie, jeśli staniesz się częstym go-

ściem pani Clairborne.

- Trzy zaproszenia dają ci tytuł herbacianej królowej -dodała Jacqueline.

- Herbacianej królowej? - Abby spojrzała w moją stronę, a ja wzruszyłam ramionami.

- Z każdej wizyty wynosisz torebkę herbaty i wieszasz ją u siebie na ścianie jak jakiś medal czy wyróżnienie

-wyjaśniła Vicki. - To tradycja Greenwood i prawdziwy zaszczyt. Jackie ma rację. Częściej zapraszane dziewczęta są lepiej traktowane.

- Mówi tak, bo jest królową herbacianą - dokuczała Jacqueline. - W ubiegłym roku została zaproszona cztery razy.

- A ty? - spytała Gisselle.

- Raz. Kate dwa razy, podobnie Samanta.

- Wszystkie nowe dziewczęta zostają zaproszone na pierwszą herbatkę w roku, ale tej się nie liczy, bo to rutyna.

- A gdzie odbywają się te herbatki? - spytała Abby.

- W rezydencji Clairborne'ow. Pani Penny zabierze was tam i zapozna z historią domu. Znajomość jej jest prawie tak samo ważna, jak znajomość najważniejszych faktów z dziejów Ameryki albo Europy - poinformowała Jacqueline.

Vicki skinęła głową.

- Już nie mogę się doczekać - oświadczyła Gisselle. -Choć lękam się, czy przeżyję tak wielki zaszczyt.

Kate roześmiała się, Samanta uśmiechnęła, Vicki natomiast wyglądała na wstrząśniętą tym stwierdzeniem, które w Greenwood należało uznać za skrajnie obrazoburcze.

- No więc - ciągnęła Gisselle - a kiedyż to czeka nas pierwszy comiesięczny wieczorek taneczny?

- Och, dopiero za miesiąc. Nie czytałaś kalendarza towarzyskiego w informatorze? - zdziwiła się Jacqueline.

- Za miesiąc? Mówiłam tacie, że to klasztor - zwróciła się do mnie z jękiem Gisselle. - A jak z wyprawami do miasta?

- spytała szybko.

Dziewczęta popatrzyły po sobie.

- Co masz na myśli? - upewniła się Vicki.

- Wyprawę do miasta. Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Podobno jesteś prymuską.

Vicki pobladła.

- Ja... Właściwie...

- Żadna z nas nigdy sama nie opuszcza terenu szkoły - wyjaśniła Jacqueline.

- Dlaczego? - dopytywała się Gisselle. - Przecież muszą być w tym mieście miejsca, gdzie można spotkać jakichś chłopców.

- Należy od tego zacząć, że musisz mieć w swoich aktach specjalne pozwolenie na samotne opuszczanie terenu szko-

ły - tłumaczyła Vicki.

- Co? To znaczy, że jestem tu więźniem?

- Zadzwoń do rodziców i poproś, żeby wystąpili do dyrekcji o zgodę - odparła Vicki, wzruszając ramionami.

- No, a co z wami wszystkimi? Czyżby żadna z was nie starała się o pozwolenie? - Nikt nie odpowiedział. - Co z wami? Dziewice jesteście, czy co? - krzyknęła załamana Gisselle. Twarz jej okryła się purpurą.

Samanta zaniemówiła. Kate przypatrywała nam się z uśmiechem rozbawienia i zaskoczenia. Vicki zachowała niezmacony spokój, jedynie Jacqueline wyglądała na zażenowaną. Wymieniłyśmy z Abby szybkie spojrzenia.

- Tylko mi nie mówcie, że przestrzegacie tych wszystkich kretyńskich reguł - ciągnęła Gisselle, z niedowierzaniem.

- Punkty karne mogą... - zaczęła Vicki.

- Zniweczyć twoje szanse na tytuł herbacianej królowej. Już wszystko rozumiem. Są znacznie cenniejsze rzeczy do zawieszania na ścianach niż torebki po herbacie - prychnęła Gisselle, po czym podjechała wózkiem do Vicki, która aż się cofnęła. - Na przykład listy miłosne. Dostałaś kiedyś choć jeden?

Vicki rozejrzała się i zobaczyła, że wszystkie dziewczęta utkwiliły w niej wzrok.

-Ja... Eee... - bąkała. - Muszę, muszę przejrzeć obowiązkowe pozycje z historii Europy. To na razie.

Odwróciła się i szybko uciekła do swojej sypialni, tymczasem Gisselle skierowała uwagę na Jacqueline.

- W ubiegłym roku kilku chłopców z Rosewood chciało zakraść się w sobotę w nocy do naszej bursy - wyznała Jacqueline.

-I?

- Zabrakło nam odwagi.

- Ale teraz mamy ten rok i w tym roku nie zabraknie nam odwagi - oświadczyła Gisselle. Spojrzała na mnie.

-Pokażemy im, jak potrafią się bawić dziewczyny z Nowego Orleanu. Prawda, Ruby?

- Nie zaczynaj, Gisselle. Proszę.

- Nie zaczynać, czego? Życia? Chcesz, żebym stała się pokorną panienką z Greenwood, która z buzią w ciup i rączkami w małdrzyk, cichutko przemyka się na swoim wózku inwalidzkim, a na kolanach trzyma kolekcję zasuszonych torebek po herbacie, tak?

- Gisselle, proszę...

- Która ma papierosa? - zażądała.

Kate szeroko otworzyła oczy i potrząsnęła przecząco głową.

- Samanta?

- Nie, nie palę.

- Nie palą. Nie spotykają się z chłopcami. To co wy, dziewczyny, robicie? Czytacie świerszczyki i pod nie się onanizujecie?

Jakby grom uderzył w budynek. Poczułam się tak zażenowana wybuchem siostry, że wbiłam wzrok w podłogę.

- Dobrze - ciągnęła - nie martwcie się. Wszak pojawiła się Gisselle. Od dziś wszystko się zmieni,

obietuję. Tak się składa - oznajmiła z uśmiechem - że przeszmuglowałam trochę fajek.

- Gisselle, narazisz wszystkich na kłopoty i to już pierwszego dnia - ostrzegłam.

- Chyba nie stchórzycie? - zwróciła się do Jacqueline, Kate i Samanty. - No dobrze - mruknęła, gdy milczały.

- Chodźcie do mojego pokoju. Pomożecie mi ułożyć płyty i wypalimy po jednym. A już niedługo postaram się zdobyć dla nas coś lepszego - dodała ze znaczącym uśmieszkiem.

Obróciła wózką i ruszyła w stronę naszego pokoju. Nikt za nią nie pośpieszył.

- No? - warknęła.

Pierwsza ruszyła Jacqueline, za nią Kate, a na końcu Samanta.

- Zamknijcie drzwi - rozkazała Gisselle, kiedy już wszystkie znalazły się w sypialni.

- Nigdy nie przypuszczałam, że bliźniaczki aż tak mogą się różnić - zauważyła Abby i nagle uświadomiła sobie, co powiedziała. - Och, przepraszam, nie chciałam...

- Nic się nie stało. Ja też nie przypuszczałam... dopóki nie poznałam Gisselle - odparłam i natychmiast ugryzłam się w język, ale było już za późno.

- Dopóki nie poznałaś Gisselle?

- To długa historia. Miałam nikomu tutaj jej nie opowiadać.

- Rozumiem.

Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że rzeczywiście rozumiała.

- Ale myślę, że tobie mogę ją opowiedzieć - dodałam. Uśmiechnęła się.

- Chodźmy do mojego pokoju - zaproponowała. Spojrzałam na zamknięte drzwi, za którymi Gisselle tworzyła swój kolejny dwór. Nie miałam najmniejszej ochoty w tym uczestniczyć.

- Dobry pomysł. Porozmawiamy, a ja przy okazji uporządkuję rzeczy Gisselle, które ci podrzuciła. Chyba warto też, bym część ich przejrzała - dodałam, zerkając na drzwi naszej sypialni. - Wolę nawet nie myśleć, co jeszcze mogła przeszmuglować.

\* \* \*

Niecałą godzinę później do naszego kwateru zajrzała pani Penny zobaczyć, jak sobie radzimy. Nawet jeśli wyczuła w naszym pokoju zapach dymu, nie dała tego po sobie poznać. Szczerze mówiąc, byłabym zdziwiona, gdyby go nie poczuła. Wisiał w powietrzu, mimo otwartych okien. Ubrania dziewcząt też nim przesiąkły.

- Chciałam wam przekazać oficjalne zaproszenie pani Clairborne dla Abby, Gisselle oraz Ruby na herbatkę w jej

rezydencji, w sobotę o drugiej - powiedziała. - Stroju wam nie narzucamy, lecz powinniście ubrać się odpowiednio

- dodała, mrugając porozumiewawczo. - To oficjalne przyjęcie.

- A niech to! A ja zostawiłam w domu suknię wieczorową! - zakpiła Gisselle.

- Słucham, kochanie?

- Nic - odparła z czarującym uśmiechem Gisselle. Zauważyłam, że Samanta i Kate wymieniły uśmiešky za plecami pani Penny. Na twarzy Jackie malował się zwykły pogardliwy grymas, ale nie ulegało wątpliwości, że moja siostra nadal budzi w tej trójce lęk.

- Cieszę się, że już się rozlokowałyście. Kolacja za niecały kwadrans - zaświergotała pani Penny. - Nowe dziewczęta przez pierwsze dwa tygodnie są zwolnione z dyżurów -dodała i zniknęła.

- A to co znowu? - spytała Gisselle, wjeżdżając na środek saloniku. - Jakie dyżury?

- Wszystkie pomagamy w jadalni. Obowiązki są podzielone, dyżury wyznaczone, a rozkład zajęć wisi na tablicy ogłoszeń w salonie - wyjaśniła Jacqueline. - W tym tygodniu Vicki, Samanta, Chomik i ja robimy za młodsze kel-nerki. Musimy sprzątać ze stołów, a po skończonym posiłku wynosić brudne naczynia i sztucce do kuchni.

Dziewczęta z kwartału B i C są kelnerkami, a z kwartału D nakrywają do stołu.

- Co? - Gisselle gwałtownie odwróciła się w moją stronę. - Nie powiedziałaś mi o tym.

- Sama dopiero się dowiedziałam, Gisselle. Zresztą, to nic strasznego.

- Nic strasznego? Nie zamierzam być posługaczką!

- Jestem pewna, że nikt nie będzie tego od ciebie wymagał, skoro... - zaczęła Vicki, ale urwała w połowie.

Gisselle zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem.

- Skoro jestem kaleką? To właśnie zamierzałaś powiedzieć?

- Zamierzałam powiedzieć: „skoro jesteś na wózku”. Nikt nie może oczekiwać, byś zanosila naczynia do kuchni.

- Ale nakrywać może - odparłam, uśmiechając się do mojej siostry, która posłała mi mordercze spojrzenie.

- To co mogę robić, a co będę robić, to dwie zupełnie różne sprawy. Jeśli te kretyнки godzą się wywalić kupę forsy na prywatną szkołę, żeby potem robić tu za służące, ich sprawa.

- W pozostałych budynkach dziewczęta też mają dyżury - wtrąciła Samanta.

Gisselle popatrzyła na nią z takim obrzydzeniem, że Samanta poczuła się, jakby ją spoliczkowano. Przygryzła wargę i cofnęła się o krok.

- Naprawdę - mruknęła do mnie i Abby.

- Odrobina pracy nam nie zaszkodzi - wtrąciłam.

- No tak, to dokładnie w twoim stylu. Ty...

Gisselle ugryzła się w język, żeby nie wyjawić mojego ca-juńskiego pochodzenia i zerknęła na pozostałe dziewczęta.

- Zgłodniałam. Ruszajmy, Samanta! - zawołała i Samanta natychmiast podskoczyła, by pchać jej wózek.

W jadalni zebrały się wszystkie dziewczęta z naszego domu. Razem z mieszkankami piętra było nas pięćdziesiąt cztery. W obszernym, jasno oświetlonym przez cztery duże żyrandole pomieszczeniu stały trzy długie stoły. Na wyłożonych ciemną boazerią ścianach wisiały oprawione widoki plantacji i rozlewisk. Kiedy się zjawiłyśmy, dziewczęta rozprawiły z ożywieniem, ale na widok Gisselle część umilkła. Gisselle na każde spojrzenie odpowiadała tak twardym, pogardliwym spojrzeniem, że dziewczęta nie wiedziały, gdzie podziać oczy. Ponieważ poruszała się na wózku, wyznaczono jej miejsce u szczytu stołu, co ogromnie jej się spodobało i czego nie omieszkała obrócić na swoją korzyść. Nie minęła chwila, a narzucała tematy rozmów, żądała, by jej podać to lub tamto, a rozkazy przeplatała długimi opisami ekscytującego życia, jakie wiodła w Nowym Orleanie.

Dziewczęta przysłuchiwały jej się zafascynowane. Niektóre, choć wyglądały na większe nawet snobki niż ona, wpatrywały się w nią jak w zjawę z zamczyska złych manier, lecz Gisselle nic nie mogło zbić z tropu. Dziewczęta, które podawały jedzenie, traktowała jak byle służące, nieustannie czegoś się domagając, narzekając, nie zniżając się do zwykłego „dziękuję”.

Jedzenie było dobre, ale nie umywało się do cudownej kuchni Niny. Kiedy posiłek się skończył i dziewczęta z naszego kwartału zaczęły sprzątać ze stołu, Gisselle kazała mi odwieźć się do sypialni.

- Nie będę na nie czekać - oświadczyła. - To skończone kretyнки.

- Nie, wcale nie, Gisselle - zaprzeczyłam. - Po prostu uczestniczą w naszym wspólnym życiu. To nic strasznego.

Dzięki temu czujemy się tu jak u siebie, tworzymy drugi dom.

- Beze mnie. Dla mnie to koszmar, a nie dom. Zawieź mnie do pokoju. Chcę posłuchać płyt i napisać do przyjaciółek, które konają z ciekawości, jak wygląda ta beznadziejna szkoła - obwieściła na tyle

głośno, by usłyszały to pozostałe dziewczęta. - Aha, Jackie! - zawołała, odwróciwszy się do Jacqueline. - Kiedy już skończycie dyżur, możesz przyjść do mnie do pokoju posłuchać płyt. Dzięki temu wreszcie będziesz na bieżąco.

Wiozłam ją najszybciej jak mogłam. Wrzeszczała, że zaraz rozbiję ją o ścianę, a ja o niczym bardziej nie marzyłam.

Abby szła za nami. Już wcześniej ustaliliśmy, że po kolacji pójdziemy razem na spacer nad staw. Zamierzałam zaproponować Gisselle, żeby się z nami wybrała, ale skoro już zaplanowała sobie wieczór, nie wspomniałam o naszych planach.

- A wy gdzie się wybieracie? - spytała, gdy znalazła się w pokoju.

- Na dwór, chcemy się przejść. Przyłączysz się?

- Ja nie chodzę, zapomniałaś? - ucięła i trzasnęła drzwiami.

- Przepraszam - zwróciłam się do Abby. - Zdaje się, że będę musiała w nieskończoność tłumaczyć się za swoją siostrę.

Abby uśmiechnęła się.

- A ja sądziłam, że tylko ja dźwigam prawdziwy krzyż i mam prawo się nad sobą uzalać. Teraz, kiedy zobaczyłam, z czym ty musisz się borykać...

- O co chodzi z tym dźwiganiem krzyża? Co jest twoim krzyżem? Twoi rodzice wydali mi się bardzo mili.

- Och, bo są mili. Ogromnie ich kocham.

- W takim razie, co miałaś na myśli? Cierpisz na jakąś chorobę? Wyglądasz na zdrowiusieńką jak ryba.

Abby roześmiała się.

- Nie, Bogu dzięki, jestem bardzo zdrowa. - I ładna.

- Dziękuję. Ty też.

- No' więc? Co to za krzyż? - nie ustępowałam. - Ja powierzyłam ci moją tajemnicę - dodałam po chwili.

Milczała. Ruszyliśmy ścieżką w stronę stawu. Abby szła ze spuszczoną głową, ale ja patrzyłam na rąbek księżycy wylaniający się zza chmury. Chłodne, srebrzyste promienie rozświetlały ciepłą noc i sprawiały, że nowy krajobraz wydawał się nierzeczywisty, jak ze snu, w którym nagle obie znalazłyśmy się. Po prawej stronie miałyśmy dwa oświetlone budynki internatu, tu i ówdzie zauważyłyśmy inne dziewczęta, które też spacerowały albo stały w grupkach rozmawiając.

Kiedy skręciłyśmy w ścieżkę, prowadzącą do stawu, usłyszałyśmy rechotanie żab, cykanie świerszczy i odgłosy innych nocnych stworzeń, które tworzyły ten wieczorny chór pełen skrzeków, grzechotania i przenikliwych gwizdów.

Ponieważ Greenwood znajduje się bardzo daleko od większych dróg, nie docierały tu odgłosy ruchu samochodowego, ale w oddali widziałam czerwone i zielone światła barek sunących po Missisipi i wydawało mi się, że słyszę dźwięki syren i widzę pasażerów statków. Czasem, w noc taką jak ta, ludzki głos niósł się po wodzie dalej niż na mi-lę. Wystarczyło wtedy zamknąć oczy, by wyczuć ich ruch mimo zwiększającej się odległości.

Rozciągający się przed nami staw nabrał metalicznej barwy. Panowała nad nim taka cisza i bezruch, że prawie nie dostrzegałam kołysania łódek przycumowanych do małego pomostu przy przystani. Staw był spory, na środku zauważyłam nawet niewielką wysepkę. Doszłyśmy już prawie do przystani, kiedy Abby wreszcie przemówiła.

- Nie chcę mieć przed tobą sekretów - zaczęła. - Lubię cię i doceniam to, że mi zaufałaś. Nie wątpię - dodała z goryczą - że większość tych dziewcząt traktowałaby cię pogar-

dliwie, gdybyś przyznała się do swego cajuńskiego pochodzenia, lecz w porównaniu ze mną to nadal błahostka.

Stanełyśmy nad brzegiem i zapatrzyłyśmy się na wodę.

- Wcześniej pytałaś, czy mam chłopca, powiedziałam ci, że tak, a ty próbowałaś mnie pocieszyć, zapewniając, że napisze albo zadzwoni. Odpowiedziałam, że nie i chyba się nie mylę, że zastanawiałaś się, dlaczego jestem tego taka pewna.

- Owszem - przyznałam - zastanawiałam się.

- Nazywa się William, William Huntington Cambridge. Został tak nazwany po swoim prapradziadku - ciągnęła z tą samą goryczą, którą już wcześniej słyszałam w jej głosie. -Który, tak się złożyło, był jednym z bohaterów Konfederacji, z czego Cambridge'owie są ogromnie dumni.

- Przypuszczam, że gdyby uważniej pogrzebać w życiorysach, okaże się, że większość z nas ma w rodzinie bohaterów, walczących po stronie Południa - odparłam cicho.

- Tak, jestem tego pewna. Właśnie dlatego... - Obróciła się gwałtownie, w jej oczach lśniły łzy. - Nigdy nie znałam dziadków ze strony ojca. Ich istnienie otaczała tajemnica, właśnie dlatego ja miałam się nie narodzić - wyjaśniła.

Umilkła, jakby się spodziewała, że już wszystko rozumiem, ale ponieważ nie rozumiałam, wyjaśniła.

- Mój dziadek ożenił się z czarną kobietą, Haitanką, więc mój ojciec jest Mulatem, choć na tyle jasnym, że można go wziąć za białego.

-I dlatego twoi rodzice nie chcieli mieć dzieci? Bali się...



- Bali się, że ja, dziecko Mulata i białej kobiety będę miała ciemną skórę - dokończyła. - Ale jednak przyszedłam na świat i w moich żyłach płynie jedna czwarta krwi murzyńskiej. Nieustannie się przeprowadzamy, głównie dlatego, że ilekroć gdzieś się na dłużej osiedlimy, ktoś jakimś cudem domyśla się prawdy.

- I twój chłopiec, William...

- Jego rodzina odkryła prawdę. Pysznią się, że w ich żyłach płynie błękitna krew i jego ojciec bardzo skrupulatnie sprawdza pochodzenie osób, z którymi syn się styka.

- Współczuję ci. To niesprawiedliwe i do tego głupie.

- Tak, ale ta świadomość wcale nie czyni życia lżejszym. Rodzice przysłali mnie tu w nadziei, że jeśli skończę szkołę dla dziewcząt z najwyższych sfer, moje piętno zniknie i odtąd będzie się o mnie myśleć przede wszystkim jako o ab-solwentce Greenwood, dziewczynie ze świetnej rodziny i nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że jestem kwarte-ronką. Nie chciałam tu przyjeżdżać, ale oni tak bardzo nalegali i czują się tacy winni, że wydali mnie na świat, iż ustąpiłam. Zrobiłam to bardziej dla nich niż dla siebie. Rozumiesz mnie?

- Tak - powiedziałam. - I dziękuję.

- Za co? - spytała zdziwiona.

- Za zaufanie.

- Ty też mi zaufałaś - odparła.

Już miałyśmy się uściskać, gdy nagle usłyszałyśmy za plecami męski głos.

- Ej! - zawołał.

Drzwi budynku nad przystanią zatrzasnęły się z hukiem. Odwróciłyśmy się gwałtownie i zobaczyłyśmy wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który podążał w naszą stronę. Mógł liczyć sobie jakieś dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat, był bez koszuli i butów, miał na sobie obcisłe dżinsy. Nagi, muskularny tors lśnił w blasku księżyca. Długie włosy sięgały ramion.

- Co tu robicie? - spytał.

Podszedł na tyle blisko, że widziałyśmy jego ciemne oczy i charakterystyczne dla Indian wydatne kości policzkowe.

Rysy twarzy miał ostre, usta mocno zaciśnięte w wąską kreskę. W dłoniach trzymał szmatę, w którą cały czas je wycierał.

- Wyszłyśmy na spacer - zaczęłam - i...

- Czy nie wiecie, że po zmroku spacerów są absolutnie zakazane? Chcecie mnie wpakować w kłopoty?

Wiecznie kręcą się tu jakieś pannice, szukając rozrywki - ciągnął chrapliwie. - A teraz bierzcie nogi za pas i szybko stąd znikajcie, póki nie dopadła was pani Ironwood, jasne?

- Przepraszam - wybąkałam.

- Nie chciałyśmy, żeby miał pan przez nas nieprzyjemności - dodała Abby, wynurzając się z mroku.

Kiedy na nią spojrział, natychmiast zmiękł.

- Jesteście nowe, co?

- Tak - odparłam.

- Nie czytałyście regulaminu?

- Jeszcze nie zdążyłyśmy - przyznała się Abby.

- Słuchajcie, nie chcę mieć przez was przykrości. Pani Ironwood wyraźnie określiła moje obowiązki. Po zapadnięciu zmroku nie powinienem się nawet do was odzywać, jeśli nie asystuje przy tym ktoś z nauczycieli lub pracowników, rozumiano? A już na pewno nie tutaj! - dodał, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

- Kim pan jest? - zapytałam. Zawahał się chwilę, nim odpowiedział:

- Nazywam się Buck Dardar, ale jeśli szybko się stąd nie zwiniecie, będzie mi raczej Mokra Plama.

- Zgoda, panie Mokra Plama - roześmiała się Abby.

- No, już - rozkazał, pokazując ręką wzgórze. Schwyciłyśmy się za ręce i popędziłyśmy. Nad stawem rozbrzmiewało echo naszego śmiechu. Zatrzymałyśmy się przez chwilę na wzgórzu, by złapać oddech i obejrzałyśmy się na budynek przy przystani. Mężczyzna zniknął, ale pozostał w naszych myślach, tak jak to zwykle bywa z rzeczami zakazanymi.

Podniecone, z bijącym sercem pomknęłyśmy do budynku - dwie przyjaciółki, które połączyły zwierzenia i nadzieja na lepszą przyszłość.

Strażniczka własnej siostry

**Po** pierwszym dniu nauki przekonałam się, że Greenwood właściwie niczym nie różni się od innych szkół, tyle że na korytarzach i w klasach brakowało chłopców. Ogromne wrażenie wywarła na mnie jednak czystość wszystkich pomieszczeń. Każde wyglądało jak nowe. Marmurowe posadzki korytarzy aż lśniły. Na ławkach nie widać było śladów zadrapań i w przeciwieństwie do innych szkół na krzesłach i innych sprzętach nie pozostała nawet rysa, świadcząca o istnieniu jakichś rysunków czy napisów wykonanych w chwili gniewu czy rozczarowania.

Nauczyciele natychmiast uświadomili mi, skąd ta niespotykana czystość. Na początku każdej lekcji, ledwo zaję-

łyśmy miejsca, od razu pouczano nas, jak ogromnie ważną jest rzeczą, by nasza szkoła wyglądała czysto i schludnie.

Dudnili o tym, co sił w płucach, tak jakby chcieli, by ich wystąpienia dotarły do pani Ironwood. Każdy z nauczycieli dawał nam do zrozumienia, że do niego/do niej należy dbałość o wygląd pracowni i że zamierza wywiązać się bez zarzutu z tego obowiązku.

- Jeśli tego nie uczynią - szepnęła do mnie Jackie - Zelazana Dama każe ich wychłostać.

Kazania te nudziły Gisselle, ale nawet na niej wywarło wrażenie, jak posłusznie uczennice dbają o czystość budynku.

Wystarczyło, że któraś dostrzegła na podłodze skrawek papieru, a już schylała się, by go podnieść. Ta sama dbałość o schludność dawała się zauważyć w szkolnej kantynie.

Tak się złożyło, że po pierwszych dwóch lekcjach wypadła mi wolna godzina na naukę. Gisselle, która w ubiegłym roku oblała algebrę, musiała ją powtarzać w Greenwood. Kiedy rano przyjechałyśmy do głównego budynku, woziłam ją z klasy do klasy, ale po drugiej lekcji na scenę, niemal jak na zawołanie, wkroczyła Samanta, proponując, że mnie wyręczy.

- Po tej przerwie mamy z Gisselle trzy wspólne lekcje - wyjaśniła.

Gisselle nie ukrywała zadowolenia z tego obrotu rzeczy.

- Dobrze - zgodziłam się. - Ale nie daj się jej naciągać i doprowadź ją na lekcje punktualnie.

- Jeśli się spóźnię dlatego, że pewne rzeczy zajmują mi więcej czasu niż innym, muszą przymknąć na to oko - upierała się Gisselle.

Widziałam, że już kombinuje, jakby tu dłużej posiedzieć w łazience, może nawet wypalić papierosa.

- Będziesz miała przez nią kłopoty, Samanto - ostrzegłam, ale równie dobrze mogłam rzucać grochem o ścianę.

Jakimś cudem udało się mojej siostrze zrobić z tej naiwnej dziewczyny swoją służkę. Współczułam Samancie: nie miała pojęcia, co ją czeka, nim Gisselle się nią znudzi.

Zostawiłam je i pobiegłam do pokoju do nauki. Ledwo jednak zdążyłam usiąść nad lekcjami, opiekunka sali zakomunikowała mi, że wzywa mnie do siebie pani Ironwood.

- Jej gabinet mieści się w skrzydle. Musisz pójść w prawo, a potem po schodach. Nie miej takiej wystraszonej mimy

- dodała z uśmiechem. - Często wzywa do siebie nowe uczennice.

Mimo to nie potrafiłam opanować niepokoju. Serce łomotało mi, gdy biegłam pustym korytarzem. Kiedy weszłam do sekretariatu, od szafki z dokumentami odwróciła się niska, pulchna kobieta w

grubych okularach w szarej oprawce. Na jej biurku widniała tabliczka z napisem: „pani Randle”. Sekretarka przyglądała mi się przez chwilę, po czym zbliżyła się do biurka i zerknęła na karteczkę.

- Jesteś Ruby Dumas? - spytała.

- Tak, proszę pani.

Skinęła głową i z ponurą twarzą podeszła do drzwi gabinetu dyrektorki. Zastukała cicho, uchyliła je i zapowiedziała moje przybycie.

- Proszę ją wprowadzić - usłyszałam głos pani Ironwood.

- Tędy, Ruby.

Odsunęła się i weszłam do gabinetu pani Ironwood.

Było to dość duże, lecz bardzo surowe pomieszczenie. W oknach wisiały ciemnoszare zasłony, na podłodze leżał go-

łębi dywan. Oprócz wielkiego, ciemnobrązowego biurka znajdowały się tu dwa drewniane krzesła, a przy ścianie stała mała, nie wyglądająca na zbyt wygodną, czarna jak węgiel kozetka. Nad nią wisiał jedyny obraz w tym pokoju, kolejny portret Edith Dilliard Clairborne ubranej w bardzo oficjalny strój, podobnie jak na innych jej konterfektach.

Pozostałe ściany ozdabiała dyplomy, wyróżnienia oraz proporce zdobyte przez uczennice Greenwood w najróżniejszych dziedzinach.

Choć na biurku pani Ironwood stał duży wazon różowych i czerwonych róż, w pokoju unosił się silny zapach środka dezynfekującego, przywodzący na myśl gabinet lekarski. Całe pomieszczenie wyglądało tak, jakby uparcie je pucowano, póki okna nie lśniły taką czystością, że wydawało się, że nie ma w nich szyb.

Pani Ironwood siedziała wyprostowana za biurkiem. Opuściła okulary i przez długą chwilę wpatrywała się we mnie bacznie, niemal przeszywając mnie wzrokiem, jakby chciała zapamiętać moją twarz i figurę w najdrobniejszych szczegółach. Jeśli nawet coś jej się we mnie spodobało, w żaden sposób tego nie okazała. Spojrzenie jej pozostało chłodne, analityczne, usta mocno zaciśnięte.

- Usiądź, proszę - nakazała, ruchem głowy, wskazując mi jedno z twardych krzesel. Szybko do niego podeszłam i usiadłam, kładąc książki na kolanach.

- Wezwałam cię tu - zaczęła dyrektorka - byśmy jak najszybciej doszły do porozumienia.

- Porozumienia?

W prawym kącie jej ust pojawił się dołek. Ołówkiem postukała w grubą teczkę, leżącą na jej biurku.

- To twoje akta. A pod nimi teczka twojej siostry. Zawartość obu tych teczek dokładnie przestudiowałam. Oprócz świadectw z poprzednich szkół znajdują się w nich ważne informacje osobiste. - Muszę ci wyjaśnić - ciągnęła, przerywając na chwilę, by się wyprostować - że odbyłam długą, ogromnie pouczającą rozmowę z twoją macochą.

- Och! - wyrwał mi się okrzyk pełen niepokoju.

Pani Ironwood zmarszczyła gęste, ciemne brwi. Skoro mówiła o Daphne jako o mojej macosze, nie matce, nie uległo wątpliwości, że ta poinformowała ją o moim cajuńskim pochodzeniu.

-Opowiedziała mi o twoich... niefortunnych dziejach i dzieliła się swoim bólem, że nie zdołała przewalczyć w tobie wpływów, jakie pozostawiło tamto zacofane środowisko, co pozwoliłoby ci dostosować się do bardziej cywilizowanego świata.

- Moje środowisko nigdy nie było zacofane, a świat, w którym obecnie żyję często trudno nazwać cywilizowanym -

oświadczyłam dumnie.

Zmrużyła oczy i zacisnęła wargi w dwie wąskie kreski.

- Cóż, zapewniam cię, że Greenwood z całą pewnością jest jak najbardziej cywilizowanym miejscem. Szczycimy się, że już od wielu lat służymy najlepszym rodzinom naszego społeczeństwa i moim celem jest przedłużenie tej szczytnej tradycji - odparowała natychmiast ostro. - Większość naszych uczennic pochodzi z odpowiednich środowisk i wie, jak należy się zachowywać w świecie ludzi kulturalnych.

- Wracając do rzeczy - podjęła, wkładając okulary i otwierając moją teczkę. - Z twoich świadectw wynika, że jesteś doskonałą uczennicą. To dobrze wróży. Masz w sobie potencjał, który można rozwinąć. Jesteś ponoć i utalentowana.

Mam nadzieję, że rozwiniesz tu swój talent. Lecz wszystko to na nic się zda, jeśli twoim manierom oraz obyczajności można cokolwiek zarzucić.

- Nie można - przerwałam jej. - Niezależnie od tego, co pani sobie myśli o środowisku, w którym dorastałam, ani od tego, co naopowiadała pani moja macocha.

Postrząsnęła głową i oświadczyła lodowato:

- To, co powiedziała mi twoja macocha, pozostanie wyłączną tajemnicą jej i moją. Między innymi po to cię tu wezwałam, by cię o tym zapewnić. Tylko od ciebie zależy,

czy owe informacje pozostaną nadal tajemnicą. Mimo swego urodzenia oraz wychowania, obecnie stałaś się jedną z rodu Dumasów i masz zobowiązania względem tego nazwiska. Wszelkie brudne obyczaje, nawyki i zachowania, które wydawały się czymś normalnym w twoim wcześniejszym życiu, teraz, w Greenwood, nie mają prawa się uzewnętrzniać.

- Obiecałam twojej macosze - ciągnęła - że będę ci się przyglądać baczej niż innym moim podopiecznym. Chcę, byś zdawała sobie z tego sprawę.

- To niesprawiedliwe - zaproponowałam. - Niczym sobie nie zasłużyłam na takie traktowanie.

- Jeśli obiecuję coś rodzinie mojej uczennicy, robię wszystko, co w mojej mocy, by się wywiązać z danego słowa. -

Co przypomina mi też o twojej siostrze - kontynuowała, odkładając moją teczkę, by wyjąć akta Gisselle. - Jej postępy w nauce są, ujmując rzecz bardzo oględnie, wyjątkowo niezadowolające. Zdaję sobie sprawę z jej kalectwa i specjalnie ze względu na nią poczyniłam pewne przeróbki, by ułatwić jej pobyt w naszej szkole. Chcę jednak, byś miała jasność, że czynię cię odpowiedzialną za jej wyniki oraz zachowanie.

- Dlaczego?

Utkwiła we mnie kamienny wzrok.

- Bo ty posiadasz sprawne kończyny, a poza tym twój ojciec zdaje się w ciebie ogromnie wierzyć - odparła. - Poza tym jesteś najbliższą jej osobą i masz na nią największy wpływ, twoich rad słucha najchętniej.

- Gisselle nie słucha rad i rzadko postępuje wedle moich wskazówek. Robi to, na co ma ochotę, a jeśli chodzi o jej kalectwo, to wykorzystuje je na wszelkie możliwe sposoby - odparłam. - Nie potrzebuje ułatwień, a dyscypliny.

- Pozwól, że ja będę o tym decydować - oświadczyła pani Ironwood.

Umilkła i przez chwilę przypatrywała mi się z lekko przechyloną głową.

- Już rozumiem, co miała na myśli twoja macocha: masz w sobie nieugiętość, typowo cajuński upór i nieokiełznany charakter, który trzeba mocno trzymać w ryzach. Cóż, znalazłaś się w miejscu, gdzie z całą pewnością uda nam się go okiełznać - zagroziła, nachylając się ku mnie. - Oczekuję, że utrzymasz dobre noty; oczekuję też, że twoja siostra poprawi swoje oceny; a obie macie zachowywać się przyzwoicie i co do joty przestrzegać regulaminu. Chcę, by pod koniec tego roku wasza matka była pod wrażeniem zmian, jakie w was zaszły.

Przerwała, czekając na moją odpowiedź, ale ja milczałam, bo za bardzo się bałam ostrych słów, które mogłyby mi się wyrwać, gdybym tylko otworzyła usta.

- Zachowanie twojej siostry podczas otwarcia roku szkolnego było niedopuszczalne. Uszło jej to płazem wyłącznie dlatego, że nie odbyliśmy jeszcze naszej rozmowy. Następnym razem, jeśli tylko będzie się zachowywać nie-odpowiednio, obie wylądujecie na dywaniku, czy to jasne?

- To znaczy, że mam być karana również za to, co zrobi moja siostra?

- Od tej pory jesteś strażniczką swojej siostry, czy ci się to podoba, czy nie.

Łzy paliły mnie pod powiekami. Otepiała myślałam, jak zadowolona musi być Daphne, wiedząc, jaki los mi tu zgotowała. Widać postanowiła bez względu na cenę rzucać mi kłody pod nogi. Choć zgodziłam się tu przyjechać i usunąć Gisselle z domu, tak jak sobie tego życzyła, ciągle jej to nie wystarczało. Postarała się, by i tu zamienić moje życie w piekło.

- Masz jakieś pytania? - zwróciła się do mnie pani Iron-wood.

- Tak - odparłam. - Skoro wywodzę się z zacofanego środowiska, czemu to właśnie ja mam być odpowiedzialna za nasze zachowanie?

Przez moment zabrakło jej słów. Dostrzegłam nawet przelotny błysk uznania w jej oczach.

- Wiele wskazuje na to, że mimo swego pochodzenia -odpowiedziała wolno - stanowisz lepszy surowiec, rokujesz większe nadzieje. Zwracam się do tej właśnie części ciebie. Na razie twoja siostra nie doszła jeszcze do siebie po wypadku i nie jest gotowa do tego rodzaju rozmów.

- Gisselle nigdy nie będzie gotowa do tego rodzaju rozmów - odparowałam. - Wypadek nie ma na to najmniejszego wpływu.

- Cóż, w takim razie od tej pory częścią twego krzyża stanie się troska o to, by dojrzała - stwierdziła pani Ironwood z chłodnym uśmiechem. Wstała. - Możesz już wracać do nauki.

Podniosłam się i wyszłam z gabinetu. Pani Randle zerknęła na mnie przelotnie, kiedy mijałam jej biurko. Choć udało mi się zachować kamienną twarz, cała się trzęsłam, tak że z trudem się poruszałam. Nie ulegało wątpliwości, że tata nie miał pojęcia o „rekomendacji” Daphne. Gdyby

o niej wiedział, pewnie by nas tu nie przywiózł. Kusiło mnie, by zadzwonić i mu o tym powiedzieć, ale pomyślałam, że Daphne znajdzie już sposób, by przekonać go, jaka jestem niewdzięczna za tę cudowną szansę, jaką otrzyma-

łyśmy i jak to uniemożliwiam Gisselle poprawę.

Załamana, przygnębiona opadłam na krzesło przy stoliku do nauki. Mimo serdeczności i ciepła, którym promieniowała większość moich nowych nauczycieli, chłód i bezwzględność Żelaznej Damy legły mi ciężarem na duszy do końca ranka i przez całe popołudnie. Znikły tylko na chwilę, kiedy weszłam do pracowni pani Rachel Stevens, z któ-

rą miałyśmy ostatnią lekcję tego dnia.

Szybko zorientowałam się, że nie tylko Daphne odbyła rozmowę z panią Ironwood, również i tata z nią rozmawiał

I zadbał, by do nauczycielki wychowania plastycznego dotarła wieść o moim małym sukcesie. Panna Stevens okazała się na tyle dobra, że nie spieszyła mnie przy całej klasie, ale gdy tylko przedstawiła dziewczętom program zajęć na ten rok i rozdała podręczniki do przejrzenia, podeszła do mnie i oznajmiła, czego się o mnie dowiedziała.

- To chyba ogromnie ekscytujące sprzedać własne obrazy w prawdziwej galerii - zaczęła. - Co najbardziej lubisz malować i rysować? Zwierzęta, przyrodę?

- Sama nie wiem. Chyba tak.

- Ja też. Wiesz, chcę ci coś zaproponować. Oczywiście, o ile się zgodzisz. Żebyśmy w sobotę pojechały razem nad rzekę, gdzie poszukamy tematów do malowania. Co ty na to?

- Z prawdziwą przyjemnością.

Czułam, jak smutek ustępuje. Panna Stevens była taka pogodna, a jej entuzjazm tak zaraźliwy, że ponownie odczu-

łam pragnienie wyrażania siebie poprzez obrazy i rysunki. Ostatnio w moim życiu wydarzyło się tak wiele, że zapomniałam o sztuce. Może teraz uda mi się zająć nią z nowym zapałem, z większym doświadczeniem.

Podczas gdy inne dziewczęta przeglądały podręczniki, panna Stevens nadal rozmawiała ze mną, tak że od razu stała mi się najbliższa ze wszystkich nauczycielek.

- W którym budynku mieszkasz? - spytała. Wyjaśniłam. Powiedziałam też o Gisselle i o jej wózku.

- Czy ona też maluje?

- Nie.

- Założę się, że jest z ciebie dumna. Założę się, że cała rodzina chlubi się tobą. Bo że twój tata ogromnie się szczyli, iż ma taką utalentowaną córkę, to już wiem - mówiła z uśmiechem.

Miała bardzo ciepłe błękitne oczy, mnóstwo drobnych piegów na policzkach, usta prawie pomarańczowe, a w brodzie niewielki dołek.

Zamiast rzucić kilka nieprzyjemnych słów na temat Gisselle oraz Daphne, przytaknęłam.

- Ja zaczynałam w ten sam sposób - zwierzyła mi się. - Dorastałam w Biloxi, nad Zatoką Meksykańską, tak że mogłam malować mnóstwo pejzaży nadmorskich. Kiedy byłam w college'u, sprzedawałam w galerii jeden z obrazów - pochwaliła się z dumą - ale to wszystko. - Roześmiała się. - Wtedy zrozumiałam, że jeśli chcę mieć dach nad głową i coś do jedzenia, muszę się przerzucić na nauczanie.

Zastanawiałam się, czemu tak śliczna, czarująca, utalentowana kobieta nie wzięła pod uwagę alternatywy, jaką stanowi małżeństwo.

- Od jak dawna pani uczy? - spytałam.

Przelotne spojrzenia innych dziewcząt uzmysłowiły mi, iż koleżanki są zazdrosne, że zagarnęłam na tak długo wykładownicę.



- Zaledwie od dwóch lat. Przedtem pracowałam w szkole państwowej. Ale praca tutaj to coś wspaniałego. Mogę poświęcać każdej uczennicy tak wiele czasu.

Odwróciła się do dziewcząt.

- Czeka nas wspaniała zabawa - oświadczyła. - Nie mam nic przeciwko temu, byście przynosiły jakieś nagrania i słuchały ich przy pracy, oczywiście tak, by to nie przeszkadzało dziewczętom w innych salach.

Posłała mi kolejny promienny uśmiech, a potem wróciła do tematu lekcji. Mówiła o lepieniu w glinie, wypalaniu naszych wytworów w piecu i dziełach sztuki, które - w co nie wątpiła - stworzymy. Wszystko to przedstawiała z takim zapałem, że nie mogłam ukryć rozczarowania, kiedy rozległ się dzwonek, ogłaszając koniec zajęć.

Wiedziałam, że muszę się spieszyć, bo Gisselle czeka w swojej klasie, bym odwiozła ją do bursy.

Kiedy jednak pobiegłam po nią, jej już nie było. Z głębi korytarza pomachała mi Abby i szybko do mnie dołączyła.

- Szukasz Gisselle? - Tak.

- Widziałam, jak pchała ją Samanta, a Jackie i Kate szły za nimi. Jak minął pierwszy dzień?

- Świetnie, z wyjątkiem spotkania z Żelazną Damą. Opowiedziałam jej wszystko po drodze do domu.

- Gdyby mnie do siebie wezwała, byłabym przerażona, bo to oznaczałoby tylko jedno, że odkryła moje pochodzenie.

- Nawet gdyby tak się stało, nie śmiałyby...

- Już raz mnie to spotkało - wyznała Abby. - I z pewnością nie po raz ostatni.

Chciałam ją jakoś pocieszyć, zapewnić, że nie będzie tak źle, ale spotkanie z Żelazną Damą przygnębiło mnie.

Szliśmy w milczeniu, kiedy usłyszałyśmy warkot kosiarki. Obejrzałyśmy się w prawo i zobaczyłyśmy Bucka Dardara. On też nas dostrzegł i zwolnił, by nam się przyjrzeć.

- Pan Mokra Plama - ucieszyła się Abby.

Przywołało to uśmiech na nasze twarze, a w dusze ponownie wstąpiła otucha. Ryzykując reprimendę, obie pomachałyśmy mu. Skinął głową i nawet z tej odległości zauważyłyśmy błysk jego olśniewająco białych zębów. Ze śmiechem chwyciłyśmy się za ręce i pokłusowałyśmy do internatu.

Dotarliśmy tam jakieś dziesięć minut po Gisselle i jej orszaku, ale ona zachowywała się, jakbym zjawiała się po godzinie.

- Gdzie się podziewałaś? - powitała mnie obrażona, ledwo weszłam do pokoju.
- Gdzie się podziewałam? Dlaczego tak szybko opuściłaś klasę po ostatniej lekcji? Mówiłam ci przecież, że przyjdę po ciebie.
- Czekałam w nieskończoność. Myślisz, że jak człowiek się czuje, siedząc jak głupek w tym idiotycznym wózku, podczas gdy reszta już dawno pobiegła się bawić? Nie miałam zamiaru sterczeć jak jakiś mebel.
- Wyszłam z klasy natychmiast, gdy zadzwonił dzwonek. Tylko chwilę porozmawiałam z nauczycielką.
- Była to wyjątkowo długa chwilka, a ja musiałam iść do toalety. Ty możesz sobie wstać i iść, gdzie zechcesz. A wiesz, co teraz oznacza dla mnie wykonanie najprostszych czynności? Wiesz, a mimo to kłaskasz sobie z nauczycielką rysunku - narzekała płaczliwie.
- Daj spokój, Gisselle - ustąpiłam wyczerpana jej narzekaniami. - Przepraszam.
- Prawdziwe szczęście, że znalazłam sobie przyjaciółki, które mną się zaopiekują. Prawdziwe szczęście.
- Ja też się z tego cieszę.

Dopiero teraz doceniłam, jak wielkim szczęściem było posiadanie własnego pokoju, ściany, która oddzielała mnie od Gisselle.

- Jak się czujesz po pierwszym dniu? - spytałam, by zmienić temat.
- Okropnie. Sale są takie małe, nauczyciel sapie za plecami i śledzi najmniejszy ruch. Tu nic nie ujdzie płazem!

Roześmiałam się.

- Co cię tak rozbawiło, Ruby?
- To, że wbrew wszelkim twoim usiłowaniom, mimo wszystko będziesz musiała się lepiej uczyć.
- Och, daruj sobie te morały. Szkoda czasu na rozmowę z tobą. Ty pewnie zaraz zasiądziesz do lekcji, co?
- Razem z Abby postaramy się z tym uporać od razu, żeby mieć to z głowy.
- Winszuję. Wkrótce zostaniecie prymuskami, chlubą Greenwood, zapraszaną na każdą herbatkę - zakpiła i pojechała do pokoju Jackie i Kate.

Pani Ironwood powiedziała, że jestem odpowiedzialna za Gisselle i jej zachowanie? Równie dobrze mogłam pró-

bować odzwyczaić jastrzębia od polowania na drobną zwierzynę czy oswoić aligatora - pomyślałam.

\* \* \*

Pierwszy tydzień w Greenwood upłynął szybko. We wtorek wieczorem napisałam do Paula i wujka Jeana, opisując im dokładnie szkołę. W środę zadzwonił Beau. Na korytarzu wisiał telefon, z którego mogłyśmy korzystać. Do pokoju zajrzała Jackie, mówiąc, że ktoś do mnie dzwoni.

- Nie twój ojciec, tylko ktoś o imieniu Beau.

- Dziękuję - rzuciłam, wybiegając z pokoju i popędziłam do telefonu, zanim Gisselle zdążyła uraczyć mnie którąś ze swych kąśliwych uwag.

- Beau! - zawołałam do słuchawki.

- Pomyślałem, że dam ci parę dni na oswojenie się z Greenwood, nim zadzwonię.

- To cudownie słyszeć twój głos.

- I cudownie słyszeć twój. Jak leci?

- Ciężko. Gisselle od samego początku rozrabia.

- Cóż, skłamałbym, gdybym powiedział, że nie trzymam za nią kciuków - roześmiał się Beau. - Im szybciej uda jej się doprowadzić do tego, że obie wylecicie, tym prędzej do mnie wrócisz.

- Nie licz na to. Jeśli stąd wylecimy, moja macocha znajdzie inną szkołę, nie daj Boże, dwa razy dalej. A tobie jak idzie?

- Szkoła jest nudna bez ciebie, ale dużo gram z chłopakami. Jak tu jest?

- Sama szkoła jest niezła, nauczyciele w większości sympatyczni. Nie przepadam za dyrektorką. To tyranka o sercu z kamienia, a Daphne zdążyła już naopowiadać jej bzdur o moim cajuńskim wychowaniu. Ma mnie za drugą Annie Christmas.

- Kogo?

- Zmorę z bagien, zdolną odgryźć ucho - roześmiałam się. - Uważa, że mogę mieć zły wpływ na jej bezcenne, wzorcowe panienki z kreolskich rodzin.

-Och.

- Ale podobają mi się zajęcia, zwłaszcza plastyczne.

- A co z... chłopcami?

- Nie ma tu ani jednego, zapomniałeś, Beau? Kiedy przyjedziesz? Tęsknię za tobą.

- Staram się tak wszystko ułożyć, żeby móc wpaść w sobotę za dwa tygodnie. Choć może być ciężko, bo te sobotnie treningi, no i cała reszta...

- Och, proszę, Beau, spróbuj. Jeśli nie przyjedziesz, zwariuję z tęsknoty.

- Obiecuję, że postaram się. Oczywiście, muszę to zrobić tak, żeby rodzice się nie dowiedzieli, nie mów więc o tym nikomu, a zwłaszcza Gisselle. To w jej stylu, zadzwonić i donieść.

- Wiem. Od czasu wypadku zrobiła się jeszcze bardziej wredna. Och, i zaprzyjaźniłam się z jedną z dziewcząt z naszego kwartału, ale nie wiem, czy ci ją przedstawię.

- Jak to? Dlaczego?

- Jest śliczna.

- Nie istnieje dla mnie nikt poza tobą, Ruby. Chciałbym cię teraz objąć - dodał cicho.

Oparłam się o ścianę i przyciskałam słuchawkę do ucha, jakbym przytulała do policzka ukochane dziecko.

- Tak za tobą tęsknię, Beau.

- Tak za tobą tęsknię, Beau - usłyszałam przedrzeźniającą mnie Gisselle.

Obróciłam się gwałtownie i w drzwiach korytarza zobaczyłam zanoszące się od śmiechu Gisselle, Samantę i Kate.

- Wynoście się! - wrzasnęłam. - To prywatna rozmowa!

- Regulamin zabrania mówienia czułych słówek przez telefon - dokuczała Gisselle. - Patrz strona czternasta, paragraf trzeci, wiersz drugi.

Kate i Samanta parsknęły znów śmiechem.

- Co tam się dzieje? - spytał Beau.

- Jak zwykle Gisselle ze swoimi genialnymi żarcikami. Nie mogę dłużej rozmawiać. Postanowiła zepsuć nam tę chwilę.

-1 tak robi się już niebezpiecznie. Zadzwonię do ciebie, kiedy tylko będę mógł - obiecał.

- Postaraj się przyjechać, Beau. Proszę.

- Przyjadę. Kocham cię i tęsknię za tobą.

- Wzajemnie - powiedziałam, posyłając Gisselle i dziewczętom gniewne spojrzenie. - Do widzenia.

Ze złością odwiesiłam słuchawkę i popatrzyłam na nie.

- Poczekaj. Poczekaj, jeszcze i ty zapragniesz chwili spokoju - zwróciłam się do swojej siostry i weszłam do pokoju.

Złosczenie się na Gisselle niewiele dawało. Wyjątkową przyjemność sprawiało jej wyprowadzanie mnie z równowagi. Lepiej było po prostu ją ignorować. Miała dziewczęta z naszego kwartału, którym najwyraźniej odpowiadało skakanie koło niej na przerwach, w kantine, przed odrabianiem lekcji. Pchana przez Samantę, z Kate i Jackie u boku, Gisselle i jej świta bardzo szybko stały się zamkniętą grupką, kliką, związaną tak mocno, że kiedy szły korytarzem, wydawało się, że łączy je niewidzialna nić, której początku należało szukać na wózku Gisselle.

Sam wózek zaś symbolizował tron na kółkach, z którego Gisselle wydawała polecenia oraz wygłaszała opinie na temat innych uczennic, nauczycieli czy zajęć. Po lekcjach trójka dziewcząt podążała pokornie za moją siostrą do budynku internatu, gdzie tamta nadal sprawowała nad nimi władzę, prowokując do złego zachowania, opisując swoje wyczyny z czasów nowoorleańskich, namawiając do palenia i zaniedbywania nauki. Jedynie Vicki, pochłonięta pragnieniem zdobycia pierwszego miejsca w szkole, pozostawała obojętna na uroki Gisselle, czego ta nie mogła jej wybaczyć.

Po jakimś czasie udało jej się nastawić wszystkie dziewczęta przeciwko Vicki. Nawet biedna Samanta, która szybko stała się alter ego Gisselle, coraz mniej czasu spędzała z koleżanką z pokoju i zaczęła okazywać jej wręcz pogardę. W

czwartek wieczorem Gisselle i Samanta dla kawału ukradły pierwszy referat Vicki z historii Europy, powód jej dumy, gdyż skończyła go na tydzień przed terminem. Biedna dziewczyna szalała z niepokoju.

- Wiem, że leżał razem z książkami na półce - powtarzała, tarmosząc włosy i przygryzając wargę.

Gisselle i pozostałe dziewczęta siedziały w naszym wspólnym pokoju i przyglądały się, jak z rozpaczą odtwarza każdy swój ruch, próbując sobie przypomnieć, gdzie mogła zgubić bezcenną pracę. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Samantę, by zorientować się, do czego namówiła ją Gisselle.

- Nie mam nawet brudnopisu. Siedziałam nad tym godzinami. Godzinami!

- Jak cię znam, pewnie i tak nauczyłaś się tego na pamięć - stwierdziła Gisselle. - Wystarczy, że usiądziesz, a na-piszesz to jeszcze raz.

- Ale bibliografia... Cytaty...

-Och, daruj sobie cytaty - zbyła ją krótko Gisselle. -Zawsze znajdą się jakieś stosowne cytaty.

Odciągnęłam Samantę na bok, mocno uszczypnąwszy ją w ramię.

- Zabrałaś referat Vicki? - zaatakowałam.

- To tylko żart. Niedługo go jej oddamy.

- Nie ma nic śmiesznego w doprowadzaniu kogoś do takiego zdenerwowania, tylko po to, żeby się zabawić. Natychmiast oddaj Vicki jej pracę - rozkazałam.

- Ściskasz mi ramię.

- Oddaj albo ściągnę tu panią Penny, która powie o wszystkim pani Ironwood.

- Dobrze już, dobrze.

W oczach błysnęły jej łzy bólu, ale nic mnie to nie wzruszało. Skoro zachciało jej się zamienić w niewolnicę Gisselle, niech za to płaci.

Vicki wróciła do sypialni, żeby jeszcze raz ją przetrząsnąć.

- To wcale nie śmieszne, Gisselle - zwróciłam się do siostry.

Popatrzyła na mnie i na Samantę.

- Co nie jest śmieszne?

- To, że namówiłaś Samantę, by schowała referat Vicki. -Do niczego jej nie namawiałam. Sama to zrobiła.

Prawda, Samanto?

Twarde spojrzenie Gisselle wystarczyło. Samanta skinęła głową.

- Oddaj jej to natychmiast - rozkazałam.

Samanta sięgnęła pod kanapę, żeby wyciągnąć kartki. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie. Uklęła i zaczęła szukać jeszcze raz.

- Nie ma go tu - stwierdziła zaskoczona. - A przecież sama go tu schowałam.

- Gisselle.

- Nic nie wiem - odrzekła moja siostra natychmiast.

W tym momencie z pokoju Vicki i Samanty dobiegł szloch. Wszystkie popędziłyśmy tam i zobaczyłyśmy Vicki, która siedziała na łóżku i płakała. Na jej kolanach leżały przemoczone kartki.

- Co się stało?

- Właśnie znalazłam to pod komódką - łkała. - Mokre. Będę musiała wszystko przepisać od nowa.

Posłała Samancie nienawistne spojrzenie.

- Ja tego nie zrobiłam - zaperzyła się Samanta. - Słowo daję.

- Ktoś to musiał zrobić.
- A może sama to zrobiłaś, a teraz próbujesz zrzucić winę na nas - zaatakowała Gisselle.
- Oszalałaś? Po co miałabym to robić?
- Żeby narazić kogoś na kłopoty.
- Bzdury. Zwłaszcza jeśli weźmiesz pod uwagę, że to ja muszę ponownie całość przepisywać!
- W takim razie szybko bierz się do roboty, póki atrament całkiem się nie rozmaże - poradziła Gisselle.

Wykręciła wózek, za nią z pokoju wyszły pozostałe dziewczęta.

- Pomożemy ci z Abby, Vicki - zaoferowałam się.
- Dzięki, ale zrobię to sama. Otarła łzy.
- Często przy przepisywaniu zauważa się błędy i nanosi poprawki - próbowała pocieszyć ją Abby.

Vicki skinęła głową. A potem popatrzyła na mnie chłodno.

- Nigdy przedtem takie rzeczy tu się nie zdarzały - oświadczyła.
- Przepraszam - zmieszałam się. - Porozmawiam z Gisselle.

Tego wieczoru pokłóciłyśmy się z Gisselle. Twierdziła, że to nie ona wrzuciła do wody referat Vicki, a nawet udawała dotkniętą, że mam czelność oskarżać ją o takie bezeczeństwo. Ale ja jej nie uwierzyłam.

Następnego dnia Gisselle zaskoczyła mnie, oświadczając:

- Może nie powinniśmy mieszkać w jednym pokoju. Nie najlepiej się dogadujemy, a nigdy nie zaprzyjaźnimy się z innymi dziewczętami, jeśli cały czas będziemy spędzać razem.
- Nie spędzamy razem całego czasu. Przez ten tydzień prawie cię nie widywałam. Ale to nie z mojej winy.
- Nie twierdzę, że to z twojej winy. Po prostu uważam, że może będzie lepiej, jeśli ty zamieszkas z Abby, z którą się zaprzyjaźniłaś, a ja z kimś innym.
- Z kim?
- Z Samantą - odparła.
- To znaczy, że Vicki nie chce z nią mieszkać z powodu tego niewinnego żarciku, tak?

- Nie. To Samanta nie chce dalej mieszkać z Vicki, którą tak pochłania nauka, że zapomina nawet o podstawowych wymogach higieny osobistej.

- O czym ty opowiadasz?

- Samanta twierdzi, że Vicki dwa dni temu dostała miesiączki, ale ponieważ szkoda jej było czasu, żeby pofatygować się po podpaski, wkłada sobie do majtek papier toaletowy - wyjaśniła Gisselle, krzywiąc się z niesmakiem.

- Nie wierzę.

- A po co miałabym kłamać? Idź, spytaj sama. No, idź do nich i spytaj, co Vicki ma w majtkach. Idź!

-

rozwrzeszczała się.

- Gisselle. Uspokój się. Wierzę ci już, wierzę.

- Tylko nie zwalaj winy na Samantę - zastrzegła. - No, więc?

- Co więc?

- Zgodzisz się przenieść do Abby, żeby Samanta mogła się przeprowadzić do mnie, czy nie?

- A co z twoimi szczególnymi potrzebami?

- Samanta gotowa jest robić wszystko, czego od niej zażądam.

- Sama nie wiem. Tacie może się to nie spodobać.

- Oczywiście, że mu się spodoba. Jeśli tylko dzięki temu ja będę zadowolona - dodała z pewnym siebie uśmiechem.

- Nie wiem, co Abby na to powie - mruknęłam, marząc w głębi ducha o takim rozwiązaniu.

- Z pewnością będzie uszczęśliwiona. Stałyście się sobie bliskie jak... siostry - wmawiała mi Gisselle, patrząc na mnie z niechęcią.

Czyżbym dostrzegła w jej oczach zazdrość, czy też była w nich tylko nienawiść?

- Porozmawiam z Abby - obiecałam. - Przecież zawsze mogę się z powrotem przenieść, gdyby coś nie wypaliło. Ale co z twoimi rzeczami, z rzeczami, które uparłaś się tu ściągnąć? W pokoju Abby nie ma teraz miejsca na moje ubrania.

- Powiem pani Penny, żeby zaniósła je do składziku, tak jak to początkowo proponowała - odparła szybko Gisselle.



Najwyraźniej potrafiła usunąć każdą przeszkodę, byle tylko postawić na swoim. - Zresztą nie masz tych swoich bam-betli aż tak znowu wiele.

- Wiem, dlaczego chcesz się mnie pozbyć - stwierdziłam surowo. - Boisz się, że będę cię goniła do nauki. Ale to, że zamieszkamy w różnych pokojach, nie oznacza, że przestanę cię pilić, Gisselle.

Głęboko westchnęła.

- Zgoda. Obiecuję, że zacznę solidniej przykładać się do lekcji. Poza tym, tak się składa, że Samanta też się dobrze uczy. Pomogła mi w matmie.

- Chciałaś powiedzieć: odrobiła ją za ciebie. W ten sposób niczego się nie nauczysz.

Gisselle wzniosła oczy ku niebu.

Dotąd ani słowem nie wspomniałam jej o spotkaniu z panią Ironwood. Doszłam do wniosku, że gdyby się dowiedziała, o czym rozmawialiśmy i że zostałam obarczona obowiązkiem pilnowania jej, wpadłaby w furję i zażądała natychmiastowego wyjazdu do domu. Teraz jednak aż mnie kusiło, żeby o wszystkim jej opowiedzieć.

- Jeśli będziesz się źle uczyć, wina spadnie i na mnie.

- Dlaczego? Przecież ty się dobrze uczysz. We wszystkim jesteś dobra - mruknęła.

- Wszyscy tego ode mnie oczekują - odparłam, coraz bardziej zbliżając się do wyjawienia jej mojej rozmowy z panią Ironwood.

- Ja nie! Sama widzisz, że się czepiasz! Potrzebuję odpoczynku. Muszę przebywać z innymi ludźmi!

- Już dobrze, Gisselle, uspokój się. Ściągniesz tu wszystkie dziewczęta.

- Spytasz Abby?

- Tak - obiecałam.

Może nie powinnam była tak łatwo ustępować, lecz perspektywa oderwania się od niej okazała się nazbyt kusząca.

Poszłam omówić tę sprawę z Abby, której ten pomysł ogromnie się spodobał.

Tego samego wieczoru dokonałyśmy przeprowadzki. Vic-ki wcale nie poczuła się dotknięta, przeciwnie, ucieszyła się, że ma teraz pokój dla siebie. Pomogła nawet Samancie przenieść rzeczy. Oczywiście, musiałyśmy powiadomić o zamianie panią Penny, która początkowo wyglądała na bardzo zaniepokojoną, ale gdy tylko zobaczyła rozradowaną minę Gisselle, szybko zmieniła zdanie.

- Cóż, tak długo, jak panuje między wami zgoda, dziewczynki, wasze wewnętrzne ustalenia nie są aż takie istotne

- stwierdziła. - Ale nie zapomnij, Gisselle: jutro razem z siostrą i Abby idziesz na herbatkę do pani Clairborne.

Wyruszamy dokładnie o pierwszej pięćdziesiąt. Pani Clairborne lubi punktualność.

- Już nie mogę się doczekać - wykrzywiła się Gisselle. Spuściła powieki i odwróciła głowę. - Wybrałam nawet moją wizytową sukienkę oraz odpowiednie pantofle. Czy błękit jest odpowiednim kolorem?

- Och, jestem pewna, że tak - przytaknęła pani Penny.

- Czyż to nie cudowne? Jakże żałuję, że nie mogę znowu stać się młodą dziewczyną, która dopiero wkracza w życie.

Przypuszczam, że właśnie dlatego tak kocham swoją pracę. Dzięki wam raz po raz ponownie przeżywam młodość.

Ledwo oddaliła się na tyle, by nie mogła nas słyszeć, Gisselle złożyła ręce i zaczęła ją przedrzeźniać przed swoim dworem.

- Jakże żałuję, że nie mogę znowu stać się dziewicą - zawodziła - przed którą jeszcze tyle ciupciania.

Fanklub Gisselle, jak je w duchu określałam, zawtórował jej głośnym śmiechem i zachęcał do dalszych występów.

Wtedy zaciągnęła koleżanki do naszego byłego pokoju, by tam wobec wiernej publiczności snuć kolejną opowieść o swoich wyczynach seksualnych. Cieszyłam się, że mogę zamknąć drzwi i znaleźć schronienie w ciszy pokoju Abby, który od tej pory miał stać się również i moją sypialnią.

Tej nocy długo leżałyśmy wspominając dzieciństwo. Abby mogła w nieskończoność słuchać opowieści o babuni Catherine i jej pracy uzdrowicielki. Wyjaśniłam, kim dla Cajunów jest uzdrowicielka oraz jakich cudów potrafiła dokonywać babunia, lecząc dolegliwości, uciszając niepokoje.

- Miałaś ogromne szczęście, że znałaś swoją babkę - powiedziała Abby. - Ja wcale nie znałam dziadków. Przez te nieustanne przeprowadzki prawie wcale nie znam swojej rodziny. Gisselle nawet nie zdaje sobie sprawy, jaka z niej szczęściara - dodała po chwili. - Chciałabym mieć siostrę.

- Właśnie ją znalazłaś - odparłam.

Milczała przez dłuższy czas, przetykając łzy, podobnie zresztą jak ja.

- Dobranoc, Ruby. Cieszę się, że mieszkamy razem.

- Dobranoc. Ja też.

Byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Niepokoiłam się tylko, czy tata się nie zmartwi i czy wszyscy

nie zacząć uważać mnie za egoistkę. Ale w głębi ducha podejrzewałam, że Samanta i tak długo nie wytrzyma z Gisselle i już wkrótce zacznie błagać, by pozwolono jej wrócić do dawnego pokoju. Dlatego ciesz się tym, co masz, póki możesz

-pomyślałam i po raz pierwszy od przyjazdu do Greenwood zasnęłam spokojna.

Smutna muzyka

Następnego dnia rano zadzwonił tata i natychmiast zakomunikowałam mu, że ja i Gisselle rozstałyśmy się. Gisselle, wściekła, że chciał rozmawiać najpierw ze mną, z obrażoną miną siedziała w wózku na korytarzu, odgrażając się cały czas, że nie odezwie się do niego ani słowem.

- Czy to dobry pomysł? - spytał zaskoczony. - To jej mieszkanie z inną osobą?

- Nową współlokatorką Gisselle jest Samanta. Pamiętasz, która to?

Powiedział, że tak.

- Bardzo szybko zaprzyjaźniła się z Gisselle - wyjaśniłam.

- Sama potrafię mówić - odeła się Gisselle. - Daj mi telefon.

Podjechała do mnie, podałam jej słuchawkę.

- Tato - zaczęła się natychmiast uzalać, łypiąc w moją stronę - tu jest okropnie, ale przynajmniej mieszkam z ko-leżanką, która nie wierci mi dziury w brzuchu.

- Tak - odparła, zmieniając nagle ton na pełen słodyczy. - Nauka idzie mi dobrze. Wczoraj dostałam celujący za pracę domową z matematyki i bardzo dobry z angielskiego. I to bez pomocy Ruby. Co wcale nie znaczy, że mi się tu podoba. Możesz to powiedzieć Daphne - dodała, rzucając mi słuchawkę.

- Cześć, tato.

- Powiniennem przyjechać? - spytał.

Wydał mi się taki zmęczony, głos miał słaby, znużony.

- Nie. Poradzimy sobie. Zresztą dziś po południu jesteśmy zaproszone na podwieczorek do rezydencji pani Clairborne.

- Hm, to brzmi interesująco. Nie chciałbym cię zbyt obciążać, Ruby, ale...

- Nie ma sprawy, tato. Gisselle z pewnością już niedługo polubi Greenwood - odparłam, posyłając siostrze mordercze spojrzenie.

- Potrzebujecie czegoś, dziewczęta?

- Nie. Nie martw się o nas, tatusiu. A ty dobrze się czujesz?

- Trochę się przeziębilem. Nic poważnego. Możliwe, że wyjadę na jakiś tydzień, ale postaram się do was zadzwonić

- obiecał. - A gdybyście mnie potrzebowały... dzwońcie do firmy - dodał szybko.

Wiedziałam, że oznacza to: nie zwracajcie sobie głowy telefonowaniem do Daphne.

- W domu wszystko w porządku, tatusiu?

- Tak, w porządku.

- Co słychać u Niny, Edgara i Wendy? Zawahał się przez moment.

- Odprawiliśmy Wendy - powiedział.

- Odprawiliście? Czemu?

- Daphne nie była z niej zadowolona. Dopilnowałem, żeby dostała dobre referencje, podsunąłem kilka niezłych adresów. Zatrudniliśmy starszą kobietę. Daphne sama ją wybrała. Nazywa się Martha Woods.

- Jest mi przykro z powodu Wendy.

- Poradzi sobie - zapewnił pospiesznie. - Miłego weekendu. Kocham cię.

- I my ciebie kochamy, tatusiu. Gisselle prychnęła.

- O co chodziło z Wendy? - spytała.

- Daphne zwolniła ją.

- To dobrze. Ciągle zadzierała nosa - stwierdziła Gisselle.

- Nieprawda. Miała do ciebie anielską cierpliwość, Gisselle. Jestem pewna, że ta nowa pokojówka nie będzie taka wyrozumiała.

- Owszem, będzie albo też będzie musiała odejść - zapewniła Gisselle z chępliwym uśmiechem.

Potem ruszyła do siebie, z wściekłością kręcąc kołami wózka. Byłam przekonana, że zrobi wszystko, żeby przynieść nam wstyd na podwieczorku u pani Clairborne, na przykład ubierze się niestosownie, ale zaskoczyła mnie, włożywszy ładną, błękitną sukienkę i takie same pantofle. Kazała Samancie uczesać sobie włosy i podpiąć z boku.

Pani Penny ostrzegła nas, że pani Clairborne nie pochwała makijażu u dziewcząt, choć delikatne muśnięcie szminką jest dopuszczalne. Sądziłam, że Gisselle stanie okoniem i umaluje oczy albo

mocno się urózuje, lecz i tu mnie zaskoczyła, nałożywszy bardzo oszczędnie wyłącznie szminkę.

Samanta przywiozła ją do salonu, gdzie ja i Abby już czekałyśmy, na minutę przed pierwszą pięćdziesiątą.

- Chomik prosił, żebym zwinęła dla niej kilka pralinek -oznajmiła. - Jeśli będziecie miały okazję, wsuńcie mi do torebki.

- Kate wcale nie są potrzebne dodatkowe kalorie - odparłam.

- Skoro jej to nie przeszkadza, to co ci do tego?

- Przyjaciele powinni się wspierać w dobrym, a nie umacniać słabości.

- A kto mówił, że jestem jej przyjaciółką? - zachichotała złośliwie.

Wymieniłyśmy z Abby spojrzenia i nie ciągnęłyśmy dalej tego tematu. Chwilę później zjawiała się pani Penny w kwiecistej sukience, przewiązanej w talii szeroką, różową szarfą. Z prawej strony dekoltu miała przypięty bukiet, na głowie słomkowy kapelusz, a do tego wyplatana torebkę z haftowaną różą po obu stronach.

- Proszę, proszę - oświadczyła Gisselle - prawdziwa Scarlett O'Hara.

Samanta parsknęła śmiechem i pobiegła - zapewne, by przekazać innym dowcipną uwagę przyjaciółki. Pani Penny spłonęła rumieńcem.

- Jak ślicznie wyglądacie, dziewczynki - obsypała nas pochwałami. - Pani Clairborne będzie z pewnością usatys-

fakcjonowana widząc was. Tędy, dziewczęta. Buck czeka w samochodzie przed domem.

-Buck? - upewniła się Abby, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie. Obie roześmiałyśmy się.

- Kim jest ten Buck? - zaciękała się Gisselle.

- To młodzieniec do wszystkiego - wyjaśniła pani Penny. Ale wychodząc Gisselle cały czas przyglądała się podejrzliwie mnie i Abby.

Z bliska, w świetle dziennym Buck wyglądał na jeszcze młodszego niż wtedy w budynku nad przystanią. Włosy miał

niemal tak czarne jak Abby, do tego ciemnobrązowe oczy i smagłą cerę Indianina. Nawet w koszuli z gorse widać było, jaki jest silny. Zresztą wydał nam się wyższy i smuklejszy. Uwagę przykuwały jego szczupłe biodra i zgrabne długie nogi. Kiedy zauważył mnie i Abby, uśmiechnął się sympatycznie, co oczywiście nie uszło uwagi Gisselle.

- Dzień dobry, panie Mokra Plama - przywitała go żartobliwie Abby.

Roześmiał się, a kiedy zauważył, że Gisselle jest moją bliźniaczką, w jego oczach pojawiło się zaskoczenie i ciekawość.

- Nie mów, że istnieją dwie takie dziewczyny jak ty - zażartował. Uśmiechnęłam się tylko.

- Skąd go znacie? - dopytywała się Gisselle. Żadna z nas nie odpowiedziała.

- Pomogę pani - zwrócił się do Gisselle.

Lewym ramieniem otoczył ją w talii, prawe wsunął jej pod nogi i bez najmniejszego wysiłku, jakby ważyła tyle, co piórko, podniósł Gisselle z wózka. Uśmiechnęła się i przysunęła twarz do jego policzka tak blisko, że mogłaby musnąć go ustami. Buck usadowił ją wygodnie w samochodzie, potem wprawnym ruchem złożył wózek. Nie ulegało wątpliwości, że robił to już nie raz.

Wszystkie wsiadłyśmy do samochodu, pani Penny z przodu.

- Kto się tak schlapał jaśminem? - spytała Gisselle, ledwo usiadłyśmy.

- Och, ja, kochanie - odparła pani Penny. - To ulubiony zapach pani Clairborne.

- Mój nie - stwierdziła Gisselle. - Poza tym powinno się

używać perfum dlatego, że samemu lubi się ich zapach, a nie dlatego, że odpowiada on jakiejś bogatej, starej damie.

- Gisselle! - zawołałam, otwierając z przerażeniem oczy.

- Nie masz za grosz taktu!

- No, a czy tak nie jest?

- Ja też lubię zapach jaśminu - powiedziała pani Penny

- toteż nie musisz się tym zamartwiać. A teraz słuchajcie mnie uważnie, bo po drodze opowiem wam o majątku Cla-irborne'ów. Pani Clairborne lubi, kiedy dziewczęta znają jego historię. Szczerze mówiąc, wręcz tego oczekuje -

dodała ciszej.

- Czy będzie z tego potem klasówka? - rzuciła kąśliwie Gisselle.

- Klasówka? Och, nie, kochanie - odparła pani Penny ze śmiechem. Potem ucichła i zamyśliła się na chwilę. - Proszę, okazujcie pani Clairborne szacunek i pamiętajcie, że to jej hojności Greenwood zawdzięcza swe istnienie.

- A także zapewnia miejsce pracy dla jej siostrzenicy -mruknęła Gisselle.

Nawet ja się uśmiechnęłam, ale pani Penny jak zwykle nie dopuściła do siebie tego, co niemiłe i zaczęła wykład.

- Do niedawna, bo jeszcze dziesięć lat temu, majątek stanowił bardzo ważną plantację trzciny cukrowej.

- To ma być niedawno? - przerwała Gisselle.

Pani Penny uśmiechnęła się, jakby Gisselle powiedziała coś wyjątkowo niemądrego, co nawet nie zasługuje na komentarz.

- Pierwotny, czteropokojowy budynek powstał w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego stulecia. Obecnie po-

łączony jest on z głównym budynkiem zadaszonymi arkadami, które w czasie sloty pełnią funkcję głównego wejścia.

W czasach rozkwitu plantacji istniały tu również cztery cukrownie, każda z własną fabryczką i ekipą niewolników.

- Tata powiada, że wojna secesyjna wcale nie zniosła niewolnictwa, tylko wpłynęła na wzrost ceny siły roboczej z zerowej do stawki minimalnej - wtrąciła Gisselle.

Zauważyłam, że na wargach Bucka pojawił się uśmiech.

- Och, kochanie, tylko powstrzymaj się od tego rodzaju uwag w obecności pani Clairborne. I pod żadnym pozorem nie wspominaj o wojnie secesyjnej.

- Postaram się - odparła Gisselle, napawając się swoją władzą nad zaniepokojoną opiekunką.

- Zresztą - podjęła pani Penny, odzyskawszy panowanie nad sobą - wiele mebli, chociażby szafy, pochodzi jeszcze z czasów sprzed wojny secesyjnej. Ogrody, jak same wkrótce się przekonacie, przypominają siedemnastowieczne ogrody francuskie. Znajdują się w nich marmurowe posągi przywiezione prosto z Włoch.

Parę minut później dojechaliśmy do wrót majątku Clairborne'ów i pani Penny podjęła swą rolę przewodnika.

- Spójrzcie na magnolie i stare dęby - wskazała. -A tam, za tamtą stajnią, znajduje się cmentarz rodzinny. Widzicie to stalowe ogrodzenie w cieniu starych dębów?

- Wszystkie szafy biblioteczne, które zobaczycie w domu, zostały zrobione na zamówienie we Francji. W większości okien wiszą brokatowe portiery, jedwabne firanki oraz ręcznie malowane lniane rolety. Herbatę wypijemy w jednym ze ślicznych saloników. Może nawet uda wam się obejrzeć salę balową.

- Czy urządza się w niej bale? - spytała Gisselle.

- Niestety już nie, kochanie.

- Co za marnotrawstwo - oświadczyła, ale nawet na niej zrobiły wrażenie rozmiary rezydencji.

Ogromny piętrowy budynek otaczały kolumny doryckie i galeria. Nad pierwszym piętrem znajdował się przeszklony belweder. Zachodnie skrzydło wyglądało nieco mroczniej, zapewne za sprawą olbrzymich wierzb, których gałęzie zwisały tuż nad ziemią, rzucając długie cienie na otynkowane ściany i okna mansardowe.

Nie zdążyliśmy się jeszcze zatrzymać, a drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich wysoki, szczupły, siwusieńki Murzyn. Był mocno przygarbiony, tak że jego głowa wydawała się nienaturalnie wysunięta, a on sam wyglądał, jakby się piał pod górę, a nie tkwił w progu.

- To Otis, lokaj Clairborne'ów - pospiesznie wyjaśniła pani Penny. - Pracuje u nich od z górą pięćdziesięciu lat.

- A wygląda jakby pracował od stu - stwierdziła Gisselle.

Wysiedliśmy. Buck szybko podszedł do bagażnika, by wyciągnąć z niego wózek Gisselle. Z uśmiechem czekała, aż wyjmie ją z samochodu i delikatnie przeniesie na wózek. Na szczęście do pokonania mieliśmy tylko kilka schodków, z którymi Buck bez trudu sobie poradził. Dowiózłszy Gisselle do drzwi, wrócił do samochodu.

- Dlaczego Buck nie może wejść z nami? - spytała.

- Och, to wykluczone, kochanie - odparła pani Penny uśmiechając się, jakby Gisselle powiedziała coś ogromnie zabawnego. - Na dzisiejszy podwieczorek zostały zaproszone wyłącznie nowe uczennice. Pani Clairborne co sobota przyjmuje u siebie parę z was.

- Pan Mokra Plama - mruknęła do mnie Gisselle. - Lepiej mi opowiedz, jak go poznałaś.

Udałam, że nie słyszę i popchnęłam wózek do wejścia. Otis skinął nam głową i przywitał się z panią Penny. Gdy znalazłyśmy się w środku, pani Penny zniżyła głos do szeptu, jakbyśmy wkroczyły do świątyni albo jakiegoś słynnego muzeum.

- Wszystkie pokoje są umeblowane francuskimi antykami i znajdują się w nich ciemnofioletowe, miękkie rzeźbione otomany z drewna hikorowego.

Marmurowe posadzki wywoskowano do połysku. Na dobrą sprawę wszystko w tym budynku - od zabytkowych stołów i krzeseł, po figurki i ściany - lśniło.

Jeśli jest tu jakiś kurz - pomyślałam - to skrzętnie ukryty pod dywanami.

Zauważyłam jednak, że osoba odpowiedzialna za nastawianie starego zegara szafkowego, nie dopełniła swego obowiązku, gdyż wskazówki zatrzymały się na pięć po drugiej.

Ze środkowego hallu prowadziły drzwi do obszernych pokoi parteru. Kuchnia, jak wyjaśniła pani



Penny, mieściła się na tyłach domu. Mniej więcej na środku hallu znajdowała się elegancka, pełna wdzięku klatka schodowa.

Marmurowe stopnie z wypolerowaną, mahoniową balustradą wiodły na górę. Nad naszymi głowami wisiały za-palone kryształowe żyrandole, lśniące niczym kawałki lodu. Ale prawdę mówiąc, mimo kobierców, obrazów, bogatych draperii i wyściełanych aksamitem mebli, wyczuwałam w tej imponującej rezydencji chłód. Choć Clairborne'owie zamieszkiwali ten dom od pokoleń, brakowało mu ciepła i charakteru, jaki zwykle rodzina wnosi do wnętrza, w którym mieszka. Tutaj panowała atmosfera muzeum. Meble wyglądały jak rzeczy gromadzone i kupowane wyłącznie ze względu na cenę, nieskazitelna zaś czystość pomieszczeń oraz ich oficjalny charakter kazały się domyślać, że nikt z nich nie korzysta, a dom przeznaczony wyłącznie na pokaz nie jest miejscem, gdzie żyje się i kocha.

Wprowadzono nas do salonu po prawej stronie, w którym znajdowały się aksamitna sofa oraz kanapa ustawione przed wysokim krzesłem z ciemnoniebieską, aksamitną ta-picerką oraz artystycznie rzeźbionymi, złożonymi oparciami i nogami z ciemnego orzecha. Przywodziło ono na myśl tron. Część jasnego parkietu zasłaniał duży, perski dywan. Między krzesłem a kanapami stał duży stół, również z ciemnego drewna hikorowego.

Kiedy usiadłyśmy z Abby na kanapie i podwieszono do nas Gisselle, rozejrzałam się nieco po pokoju. Zobaczyłam wzorzystą tapetę, oprawione olejne pejzażyki z plantacji trzciny cukrowej. Na półce nad kominkiem stał inny zegar, którego wskazówki również zatrzymały się na pięć po drugiej. Nad nim wisiał obraz przedstawiający dystyngowane-go dżentelmena, lekko zwróconego profilem, spoglądającego z góry; typowa poza monarchy pozującego do oficjalnego portretu.

Nagle usłyszałyśmy wyraźne stukanie. Ktoś kroczył po marmurowej posadzce hallu, podpierając się laską. Pani Penny, stojąca w pobliżu drzwi, o czymś sobie przypomniała i szybko do nas podbiegła.

- Zapomniałam was uprzedzić, dziewczęta. Kiedy pani Clairborne wejdzie, macie wstać na powitanie.

- A niby jak ja mam to zrobić? - burknęła Gisselle.

- Och, ty oczywiście jesteś zwolniona, kochanie - odparła pani Penny.

Nim jednak Gisselle zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wszystkie zwróciłyśmy oczy w stronę drzwi, w których pojawiła się pani Clairborne. Ja i Abby wstałyśmy.

Pani Clairborne zatrzymała się w progu, jakby pozowała do zdjęcia i przyglądała nam się uważnie, wodząc wzrokiem ode mnie do Abby, by wreszcie zatrzymać spojrzenie na Gisselle. Gospodyni wyglądała na wyższą i tęższą niż na portretach porozwieszanych w szkole. Poza tym na żadnym portrecie jej siwe włosy, teraz zresztą rzadsze i krótsze, tak ze sięgały zaledwie do uszu, nie miały niebieskawego odcienia. Ubrana była w ciemnoniebieską jedwabną suknię z szerokim kołnierzem, zapiętą po samą szyję. Na srebrnym łańcuszku kołysał się srebrny zegarek, którego wskazówki również stanęły nieruchomo na pięć po drugiej.

Ciekawa byłam, czy Abby i Gisselle również zauważyły tę dziwną wspólną cechę zegarów w tym

domu.

Przeniosłam wzrok na duże brylantowe kolczyki w kształcie kropli, które wisiały w uszach pani Clairborne. Długie rękawy sukni wykończone były koronkowymi mankietami, sięgającymi dłoni. Na lewej ręce starszej pani połyskiwała złota bransoletka wysadzana brylantami. Długie, kościste palce obu rąk ozdabiały cenne pierścionki: część platynowych, część złotych, a część srebrnych.

Nawet na portretach pani Clairborne miała szczupłą twarz, która dziwnie kontrastowała z dość masywną sylwetką, ale gdy się ją oglądało na własne oczy, ten kontrast jeszcze się pogłębiał. Długi zaś, cienki nos, dominujący nad twarzą, sprawiał, że oczy wydawały się znacznie głębiej osadzone, niż w rzeczywistości. Usta miała pani Clairborne szerokie, o wąskich wargach. Tworzyły one cienką, prostą kreskę, łączącą dwa policzki. Na bardzo jasnej cerze twarzy, bez śladu pudru i żadnych kosmetyków, widniały brązowawe plamki.

Szybko doszłam do wniosku, że malarze, którzy wykonywali jej portrety posługiwali się przy pracy w równej mierze wyobraźnią, co modelem.

Zrobiła krok naprzód, opierając się na lasce. - Witajcie, dziewczęta - pozdrowiła nas. - Siądźcie, proszę.

Obie z Abby szybko przycupnęłyśmy, a pani Clairborne ruszyła w stronę swego krzesła, co krok postukując laską, jakby w ten sposób potwierdzała każde stąpienie. Skinęła głową do pani Penny, która przysiadła na drugiej kanapce, po czym usiadła, przewiesiła laskę przez prawą poręcz i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Gisselle, nim znowu spojrzała na mnie i Abby.

- Lubię poznać osobiście wszystkie moje uczennice z Greenwood - zaczęła. - Cechą odróżniającą naszą szkołę od większości innych placówek publicznych jest to, że każdą uczennicę traktujemy odrębnie, nie stanowi ona dla nas pozycji statystycznej, numeru. Dlatego też chciałabym, by każda z was przedstawiła mi się i powiedziała o sobie kilka słów. Potem ja opowiem wam, dlaczego wiele lat temu postanowiłam zadbać, by wspaniała tradycja szkoły w Greenwood nie odeszła w przeszłość, co mam nadzieję, nie nastąpi ani dziś, ani w przyszłości. - Mówiła mocnym, zdecydowanym głosem, czasem przypominającym nawet głos mężczyzny. - Następnie zostanie podana herbata.

W końcu jej twarz złagodniała, choć mnie jej zachęcający uśmiech bardziej przypominał skrzywienie.

- Która z was chciałaby zacząć? - spytała. Nikt się nie odezwał. Wtedy spojrzała na mnie.

- Cóż, skoro jesteście takie nieśmiałe, zacznijmy od bliźniaczek, żebyście się nam nie myliły.

- Ja jestem ta upośledzona - oświadczyła Gisselle wydawszy wargi.

W powietrzu zawisła głucha cisza, wszyscy wstrzymali oddech, jakby z pokoju wyssano nagle cały tlen. Pani Clairborne wolno zwróciła się w stronę dziewczyny.

- Mam nadzieję, że tylko na ciebie - odparła.

Gisselle splonęła krwistym rumieńcem i aż rozchyliła usta. Kiedy zerknęłam na panią Penny,

dostrzegłam na jej twarzy nieukrywaną satysfakcję. Najwyraźniej uznała panią Clairborne za bohaterkę, której nic nie zdoła wyprowadzić z równowagi. Podejrzewam, że wiele dziewcząt, znacznie inteligentniejszych niż Gisselle, próbowało tego i wszystkie kończyły tak samo jak moja siostra: ponieważ gryząc się w język.

-Nazywam się Ruby Dumas, a to moja siostra, Gisselle - odezwałam się szybko, żeby przerwać niezręczne milczenie. - Mamy po siedemnaście lat i pochodzimy z Nowego Orleanu. Mieszkamy w części miasta zwanej Garden District. Nasz tata zajmuje się pośrednictwem w handlu nieruchomościami.

Pani Clairborne zmrużyła oczy. Wolno potakiwała, ale przypatrywała mi się tak bacznie, że miałam uczucie, jakbym zapadała się w bagno.

- Znam dość dobrze Garden District, najpiękniejszą część miasta. W swoim czasie - dodała z pewną nostalgią - często odwiedzałam Nowy Orlean.

Westchnęła i skierowała uwagę na Abby, która wyjaśniła, skąd trafiła do Greenwood, oraz że jej ojciec pracuje jako doradca finansowy.

- Tak więc nie masz rodzeństwa?

- Nie, proszę pani.

- Rozumiem.

Znowu głęboko westchnęła.

- Dobrze czujecie się w swoich pokojach?

- Są takie małe - nie omieszkała poskarżyć się Gisselle

- Nie uważasz raczej, że przytulne?

- Nie, po prostu małe - upierała się Gisselle.

- Może tak to odbierasz, ponieważ musisz poruszać się na wózku. Jestem pewna, że pani Penny zrobi wszystko co w jej mocy, byś czuła się tu jak najlepiej - ucięła narzekania Gisselle pani Clairborne, spoglądając ku pani Penny która skinęła głową. - Nie wątpię, że już wkrótce sama się przekonasz, jak wspaniałym miejscem jest Greenwood Zawsze powtarzam, że nasze uczennice wchodzi w te progi jako dziewczynki, a opuszczają je jako młode kobiety, wynosząc stąd nie tylko wszechstronną wiedzę, ale także i zasady moralne.

-Uważam - ciągnęła - że Greenwood jest jednym z ostatnich bastionów nieugiętej moralności, która sprawiała, że Południe stanowiło niegdyś prawdziwą oazę szlachetności i klasy. Tutaj poznacie, dziewczęta, swoje korzenie, swoje dziedzictwo. W innych rejonach, zwłaszcza na północnym wschodzie i zachodzie, radykałowie przenikają do każdej sfery naszej kultury, rozrzedzając ją, zmieniając to, co niegdyś zasługiwało na miano prawdziwej śmietanki, w kwaśne mleko. Westchnęła.

- W nasz świat wkradło się tyle niemoralności, taki brak szacunku dla tego, co niegdyś było dla wszystkich święte. A dzieje się tak wówczas, gdy zapominamy, kim jesteśmy, skąd pochodzimy. Czy wszystkie rozumiałyście?

Żadna z nas się nie odezwała. Gisselle wyglądała na przytłoczoną. Zerknęłam na Abby, która odpowiedziała szybkim, porozumiewawczym spojrzeniem.

- Ale dość już tej głębokiej, filozoficznej rozprawy - zakończyła pani Clairborne, po czym skinieniem głowy przywołała dwie pokojówki, które stały w drzwiach, czekając na sygnał, by wnieść herbatę, ciasteczka i pralinki.

Konwersacja przeszła na lżejsze tory. Gisselle krygowała się przez jakiś czas, nim wreszcie opowiedziała historię swojego wypadku, zrzucając winę na złe hamulce. Ja opowiedziałam o swojej miłości do sztuki, na co pani Clairborne zachęciła, bym rzuciła okiem na niektóre obrazy w hallu. Abby, co rozumiała, najmniej chętnie opowiadała o sobie, i jak zauważyłam, nie uszło to uwagi pani Clairborne, choć nie nękała mojej przyjaciółki.

Mniej więcej w połowie podwieczorku spytałam, czy mogłabym skorzystać z toalety. Otis zaprowadził mnie do najbliższej łazienki, w zachodnim skrzydle. Kiedy wychodziłam z ubikacji, z dalszej części domu dobiegły mnie dźwięki gry na pianinie. Muzyka była tak piękna, że nie mogłam się powstrzymać i poszłam dalej korytarzem, aż trafiłam do pięknego salonu, za którym znajdował się taras, prowadzący do ogrodu. Zatrzymawszy się w progu, zobaczyłam po prawej stronie drzwi ogrodowych fortepian z podniesioną przykrywą, która prawie całkowicie zasłaniała młodzieńca przy klawiaturze. Zrobiłam krok w prawo, by dokładniej mu się przyjrzeć i słuchałam.

Muzykiem okazał się szczupły, młody mężczyzna o przydługich ciemnych włosach, ubrany w białą koszulę z kołnierzykiem i granatowe spodnie. Kosmyki włosów opadały mu na policzki i czoło, zasłaniając oczy, choć najwyraźniej mu

to nie przeszkadzało - zresztą, chyba nic nie mogło odwrócić jego uwagi. Całkowicie pochłaniała go muzyka, palce biegały po klawiszach, jakby stanowiły odrębne istoty, a on był jedynie obserwatorem i słuchaczem, tak samo jak ja.

Nagle przerwał grę i gwałtownie obrócił się na stołku w moją stronę. A mimo to wzrok jego zawisł w powietrzu, jakby nie patrzył na mnie, lecz na kogoś za mną. Mimowolnie obejrzałam się przez ramię, czy nikt za mną nie stoi.

- Kto tu jest? - spytał.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że jest niewidomy.

- Och, bardzo przepraszam. Nie chciałam panu przeszkadzać.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Ruby. Zostałam zaproszona na podwieczorek do pani Clairborne.

- Aha, jedna z „greenek” - stwierdził wyginając pogardliwie kąciki ust.

Wargi miał pełne, kształtne, nad nimi idealnie prosty nos i gładkie czoło, na którym nie pojawiały się zmarszczki, nawet gdy się krzywił.

- Nie jestem jedną z „greenek” - obruszyłam się. - Jestem Ruby Dumas, nowa uczennica.

Roześmiał się, zaplótł dłonie na wąłym torsie, prostując się.

- Rozumiem. Indywidualistka.

- Owszem.

- Cóż, moja babka i ciotka Margaret, znana ci jako pani Ironwood, już się postarają, byś jak najszybciej utraciła tego niepokornego ducha i stała się przyzwoitą córą Południa, która wchodzi jedynie tam, gdzie wolno wchodzić, mówi wyłącznie to, co należy powiedzieć, a do tego w odpowiedni sposób. No i - dodał ze śmiechem - myśli tak, jak powinna myśleć.

- Nikt nie będzie mi narzucał tego, jak mam myśleć, i co mówić - odparłam hardo.

Tym razem się nie roześmiał, tylko lekko uśmiechnął, po czym spowaźniał.

- Mówisz nieco inaczej niż wszyscy, słyszę odmienny akcent. Skąd pochodzisz?

- Z Nowego Orleanu - odparłam, ale on potrząsnął głową.

- Nie, bliżej. No, powiedz, ja słyszę wyraźniej, ostrzej niż inni. Te spółgłoski... Niech pomyślę... Jesteś z rozlewisk, prawda?

Głośno wciągnęłam powietrze, zaskoczona tak celnym strzałem. Podniósł rękę.

-Czekaj... Jestem specjalistą od regionalnych zaspiewów.

- Pochodzę z Houmy - wyznałam. Skinął głową.

- Cajunka. Czy moja babka zna twoje prawdziwe pochodzenie?

- Możliwe. Pani Ironwood wie o nim.

-I mimo to cię przyjęła? - spytał z nie udawanym zdziwieniem.

- Tak. Dlaczegoż by nie? i

- To szkoła wyłącznie dla dziewcząt czystej krwi. Jeśli nie jesteś Kreolką lub nie pochodzisz z któregoś z najlepszych kreolskich rodów...

- Ależ Kreolką też jestem.

- O? To interesujące. Ruby Dumas, powiadasz?

- Tak. A pan kim jest? Zawahał się.

- Pięknie pan gra - dodałam szybko.

- Dziękuję, ale ja nie gram. Poprzez moje palce płaczę, krzyczę i śmieję się. Tak się składa, że muzyka to moje słowa, a nuty to moje listy. - Pokręcił głową. - Tylko inny muzyk, poeta albo malarz zdołałby to zrozumieć.

- Ja rozumiem. Jestem malarką.

- Tak?

- Tak. Udało mi się nawet sprzedać kilka obrazów w galerii we Francuskiej Dzielnicy - pochwaliłam się.

Sama siebie tym zadziwiłam, bo wychwalanie się nie leżało w mojej naturze, ale coś w pogardliwym, sceptycznym tonie tego młodzieńca sprawiło, że odezwała się we mnie duma, chciałam mu pokazać, że nie jestem jakąś tam het-ką-pętelką. Może jak na gust pani Clairborne oraz jej wnuka w moich żyłach płynie za mało błękitnej krwi, ale jestem wnuczką Catherine Landry - pomyślałam.

- Doprawdy?

W uśmiechu błysnął mu rząd zębów niemal tak białych jak klawisze fortepianu.

- Co takiego malujesz?

- Większość moich obrazów to pejzaże, które namalowałam, gdy jeszcze mieszkałam na rozlewiskach.

Skinął głową, a na jego twarzy pojawiła się zaduma.

- Powinnaś namalować staw o zmierzchu - odezwał się cicho. - To było niegdyś moje ulubione miejsce... kiedy zachodzące słońce zmienia barwę hiacyntów od lawendowego po głęboki fiolet.

Mówił o kolorach, jakby to byli jego drodzy, dawno utraceni przyjaciele.

- To znaczy, że nie jest pan niewidomy od urodzenia?

- Nie - odrzekł ze smutkiem.

Po chwili z powrotem odwrócił się do fortepianu.

- Wracaj lepiej na podwieczorek mojej babki, nim twoja nieobecność zacznie zbytnio rzucać się w oczy.

- Nie powiedział mi pan nawet, jak się nazywa.

- Louis - odparł i wrócił do gry, tyle że teraz uderzał w klawisze ostrzej, gniewniej.

Przez chwilę mu się przyglądałam, po czym wróciłam do towarzystwa. Ogarnął mnie smutek. Abby natychmiast to zauważyła, ale nim zdążyła spytać, co jest tego przyczyną pani Clairborne oznajmiła, że przyjęcie dobiegło końca.

- Cieszę się, że mnie odwiedziłyście, dziewczęta - rzekła, wstając. Oparłszy się na lasce, ciągnęła: - Przykro mi, że już idziecie, ale wiem, że takie młode osoby jak wy, mają mnóstwo zajęć. Jestem pewna, że wkrótce spotkam się z każdą z was na kolejnym podwieczorku. Tymczasem zaś pracujcie solidnie i starajcie się zostać prawdziwymi uczennicami Greenwood.

Odeszła, stukając laską o marmurową posadzkę, z tym me chodzącym zegarkiem wiszącym na szyi niczym mały, choć męczący ciężar, który miała dźwigać po kres swoich dni.

- Ruszamy, dziewczęta - oznajmiła pani Penny. Wyglądała na ogromnie zadowoloną. - To było miłe popołudnie prawda?

- Omal nie dostałam ataku serca z podniecenia - odparła Gisselle, przyglądając mi się podejrzliwie, zaciekawiona, gdzie się tak długo podziewałam i dlaczego zmienił mi się nastrój.

Wywiozłam ją na zewnątrz, tam podbiegł do nas Buck, żeby pomóc ją znieść ze schodów. I znowu uniósł ją lekko, tyle że tym razem postarała się, żeby wargami musnąć jego policzek. Buck szybko zerknął na mnie i Abby, a zwłaszcza na panią Penny, by upewnić się, czy widziałyśmy, co zrobiła Gisselle. My dwie udałyśmy, że nic nie zauważyłyśmy, pani Penny zaś tak była pogrążona we własnych myślach, że rzeczywiście niczego nie spostrzegła.

Buck odetchnął z ulgą.

Gdy już znalazłyśmy się w samochodzie, Abby zapytała, gdzie tak długo się podziewałam.

- Spotkałam bardzo interesującego, ale i ogromnie smutnego młodego mężczyznę - odparłam.

Pani Penny głośno wciągnęła powietrze.

- Poszłaś do zachodniego skrzydła domu?

- Tak, czy coś w tym złego?

- Nigdy nie pozwalałam dziewczętom tam chodzić. Co będzie, jeśli pani Clairborne się dowie? Zapomniałam was uprzedzić, żebyście się tam nie zapuszczały.

- Dlaczego nie wolno nam chodzić do zachodniego skrzydła? - spytała Abby.

- To część domu, do której nie wpuszcza się obcych, właśnie tam tak naprawdę mieszkają pani Clairborne i jej wnuk

- wyjaśniła pani Penny.

- Wnuk? - powtórzyła Gisselle. - Właśnie jego poznałaś?

-Tak.

- Ile ma lat? Jak wygląda? Jak się nazywa? - zasypała mnie pytaniami. - Dlaczego nie zaproszono go na podwieczorek? Może byłoby odrobinę mniej nudno. No, chyba że jest równie szkaradny jak jego babka.

- Powiedział, że nazywa się Louis. Jest niewidomy, ale nie od urodzenia. Czy pani wie, co mu się stało?

- Ojej - wzdychała, zamiast odpowiedzieć. - Ojej.

- Niechże pani przestanie i powie, co mu się stało - rozzłościła się Gisselle.

- Stracił wzrok po śmierci rodziców - odparła szybko. -Nie tylko jest niewidomy, ale cierpi również na melancholię.

Zwykle z nikim nie rozmawia. Ten stan utrzymuje się od śmierci rodziców. Miał wtedy zaledwie czternaście lat. To prawdziwa tragedia.

- Czy córka pani Clairborne była matką Louisa? - upewniła się Gisselle.

- Tak - padła pospieszna odpowiedź.

- Co to jest melancholia? - nacierała Gisselle, gdy pani Penny umilkła, dając tym samym do zrozumienia, że wo-lałaby już na ten temat nie rozmawiać. - Choroba jakaś, czy co?

-To stan głębokiej duchowej depresji, smutku, który ogarnia całe ciało. Czasem ludzie nawet od tego umierają

-wyjaśniła cicho Abby.

Gisselle wpatrywała się w nią przez chwilę.

- To znaczy... usychają z tęsknoty? -Tak.

- Co za głupota. Czy ten chłopiec w ogóle gdzieś bywa? -zwróciła się Gisselle do pani Penny.

- To już nie chłopiec, kochanie, ma około trzydziestki. Wracając jednak do twego pytania: nie, rzadko się pokazuje.

Pani Clairborne troszczy się o niego i uważa, że nie należy mu przeszkadzać. Ale proszę was, zostawmy już ten temat. Pani Clairborne nie życzy sobie, by o tym rozmawiać.



- Może to przez nią on jest taki smutny - podsunęła Gisselle. - Skoro musi z nią mieszkać...

Pani Penny odebrało mowę z oburzenia.

- Daj spokój, Gisselle - mitygowałam. - Nie prowokuj jej.

- Ja wcale jej nie prowokuję - wykręcała się, ale dostrzegłam w kącikach jej ust uśmiezek zadowolenia. - Powiedział

ci, jak jego rodzice umarli? - spytała mnie.

- Skądże. Rozmawialiśmy bardzo krótko. Gisselle znowu zwróciła się do pani Penny.

- Jak umarli jego rodzice? - naciskała. A gdy opiekunka milczała, otwarcie zażądała odpowiedzi: - Nie może nam pani powiedzieć, co się im stało?

- To nie jest temat do dyskusji - ucięła ostro pani Penny z zaciętym wyrazem twarzy. Po raz pierwszy dostrzegłyśmy w niej taki upór. Nie ulegało wątpliwości, że nie doczekamy się od niej odpowiedzi.

- W takim razie po co pani w ogóle poruszyła ten temat? - nudziła Gisselle. - To nie w porządku, zacząć coś i nie skończyć.

- Niczego nie zaczynałam. Uparłaś się, by się dowiedzieć, dlaczego oślepl. Ojej, pierwszy raz zdarzyło się, że któraś z moich dziewcząt zabłąkała się do zachodniego skrzydła.

- Ale on nie wyglądał, jakby go to uraziło, proszę pani -uspokajałam.

- Niebawale. Nigdy przedtem nie rozmawiał z żadną z dziewcząt z Greenwood.

- Pięknie gra na fortepianie.

- Cokolwiek by się działo, błagam, nie plotkuj o nim z innymi dziewczętami - poprosiła.

- Nie mam zamiaru, proszę pani. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby ściągnąć na panią nieprzyjemności.

- To dobrze. Bardzo proszę, nie rozmawiajmy już o tym. Smakowały wam łakocie?

- O, niech to licho! - wykrzyknęła Gisselle. - Zapomniałam wziąć trochę dla Chomika.

Chwilę mierzyła mnie wzrokiem, potem przeniosła spojrzenie na Abby.

- Chcę porozmawiać z wami dwiema, kiedy tylko zostaniemy same.

Potem utkwiała wzrok w plecach Bucka i do końca podróży nie odzywała się.

Ledwo pani Penny nas zostawiła, Gisselle obróciła się w wózku i zażądała wyjaśnień, skąd znamy Bucka. Opowiedziałam jej o naszym spacerze do przystani pierwszego wieczoru.

- Mieszka tam?

- Prawdopodobnie tak.

- I to wszystko? Tylko wtedy go widziałyście? - spytała, najwyraźniej rozczarowana.

- I jeszcze raz, kiedy kosił trawnik - dodałam.

Zamyśliła się.

- Jest ekstra, ale to tylko robotnik - odezwała się w zadumie. - Choć, z drugiej strony, to jedyny kawałek mięsa w okolicy.

- Gisselle, masz się trzymać od niego z daleka i nie wciągnąć go w tarapaty.

- Tak, ukochana siostrzyczko. A teraz opowiedz nam wszystko, co wiesz o tym ślepym wnuku i co się tak naprawdę między wami dwojgiem wydarzyło, albo to ja zacznę plotkować i narobię pani Penny kłopotów - zagroziła.

Westchnęłam i pokręciłam głową.

- Jesteś nieznośna, Gisselle. Powiedziałam już wszystko. Usłyszałam muzykę, zajrzałam do pokoju i chwilę rozmawiałam z wnukiem pani Clairborne. Nic więcej.

- Powiedział ci, co się stało jego rodzicom? -Nie.

- A jak myślisz, co im się mogło stać? - drążyła.

- Nie wiem, ale musiało to być coś strasznego. Abby przytaknęła.

- Bomba! - rozpromieniła się Gisselle - mamy przynajmniej tajemnicę do rozwikłania i coś, czym można będzie zaszantażować panią Penny, gdyby tylko wpadło jej do głowy dać nam jakieś punkty karne.

- Daj spokój, Gisselle. I nie wciągaj w to swojego fanklubu - prosiłam, ale równie dobrze mogłam walić grochem o ścianę. Ledwo zjawiły się inne dziewczęta, Gisselle natychmiast zrelacjonowała im wszystko, począwszy od Bucka po wnuka pani Clairborne.

Kiedy wróciłyśmy z Abby do pokoju, zdjęłyśmy eleganckie sukienki, przebrałyśmy się w dzinsy i bawełniane pod-koszulki, wyciągnęłyśmy obie na brzuchach na moim łóżku i dopiero wtedy zrelacjonowałam przyjaciółce dokładniej przebieg mojego spotkania z Louistem.

- Nie ma zbyt wysokiego mniemania o dziewczętach z Greenwood - mówiłam Abby. - Jego zdaniem pani Iron-wood i jego babka robią z nas lalki.

- Możliwe, że ma rację. Słyszałaś przemowę pani Clairborne o bastionach tradycji i o tym, jak powinny się zachowywać córki Południa.

- Zauważyłaś, że wszystkie zegary stały, nawet ten, który miała zawieszony na szyi?

- Nie - odparła Abby. - A stały?

- Wszystkie zostały zatrzymane na tej samej godzinie: pięć po drugiej.

- To bardzo dziwne.

- Zamierzałam spytać o to panią Penny, ale widząc, że tak się zdenerwowała na wieść o mojej wycieczce do zachodniego skrzydła i spotkaniu z Louisem, uznałam, że lepiej nie dosypywać więcej pieprzu do garnka.

Abby parsknęła śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nic. Po prostu co jakiś czas twoje cajuńskie pochodzenie daje o sobie znać - powiedziała.

- Wiem. Louis od razu po mojej wymowie poznał, że pochodzę z rozlewisk. Był zaskoczony, że przyjęto mnie do szkoły, skoro nie jestem czystej krwi Kreolką.

- A jak myślisz, co by się stało, gdyby wyszła na jaw prawda o mnie? - spytała Abby.

- Jaka mianowicie? - usłyszałyśmy nagle za sobą głos Gisselle.

Obie błyskawicznie odwróciłyśmy się i z przerażeniem ujrzałyśmy ją w progu naszego pokoju. Byłyśmy tak pochłonięte rozmową, że nie usłyszałyśmy, jak otworzyła drzwi. A raczej, na ile znam moją siostrę, to ona otworzyła je tak cicho, byśmy niczego nie usłyszały. Wjechała do pokoju, a ja usiadłam na łóżku.

- Czułe zwierzenia, jak to między przyjaciółkami? - zakpiła.

- Powinnaś zapukać przed wejściem, Gisselle. Jestem pewna, że i ty życzyłabyś sobie, by szanowano twoją prywatność.

- Sądziłam, że ucieszy was moja wizyta. Tak się składa, że znam już historię biednego Louisa - oświadczyła z chytrym, kocim uśmiechem, choć mnie właściwie przywodziła na myśl pizmaka, którego kiedyś złapał dziadunio Jack.

- Skąd się dowiedziałaś?

- Jackie ją знаła. Wygląda na to, że nie jest to aż taki wielki sekret, jak nam usiłowała to wmówić pani Penny.

Nawet Clairborne'owie mają na sumieniu grzeszki, które woleliby ukryć.

- Jakie grzeszki? - spytała Abby.

- Najpierw ty zdradź swoją tajemnicę.

- Tajemnicę?

- No, tę prawdę, której nie chciałybyś wyjawić pani Ironwood. Mów, mów, przecież słyszałam.

- To nic takiego - odparła Abby, zalewając się krwistym rumieńcem.

- Skoro nic takiego, to powiedz. Powiedz, albo... albo coś wymyślę.

- Gisselle!

- To uczciwy układ. Powiem wam, czego się dowiedziałam, ale wy też musicie mi wszystko powiedzieć. Wiedzia-

łam, że będziesz wolą podzielić się tajemnicą z tą obcą dziewczyną, zamiast z własną bliźniaczką. Pewnie powiedziałaś jej też i o nas.

- Nie powiedziałam.

Spojrzałam na Abby, na twarzy której malował się coraz większy smutek.

- Niech ci będzie - zdecydowałam się - powiemy. Abby otworzyła szeroko oczy.

- Moja siostra potrafi dochować sekretu. Prawda, Gisselle?

- No pewnie. Nawet pojęcia nie macie, ile znam różnych sekretów, zwłaszcza o kumplach z naszej szkoły w Nowym Orleanie, wiem coś nawet o Beau - dodała triumfalnie.

Zastanowiłam się chwilę, po czym wymyśliłam coś na poczekaniu. Nie miałam wątpliwości, że Gisselle to kupi.

- Abby została wyrzucona z jednej ze szkół, po tym jak złapano ją w piwnicy tej szkoły z pewnym chłopcem - wyrzuciłam z siebie.

Zdumienie Abby wyglądało całkiem naturalnie, bo można było uznać je za oburzenie tym, że zdradziłam jej tajemnicę. Gisselle przez chwilę sceptycznie przyglądała się to mnie, to Abby, potem się roześmiała.

- Tylko tyle - prychnęła. - No chyba, że byłaś goła, kiedy was złapali. Byłaś?

Abby spojrzała na mnie i zakłopotana potrząsnęła głową.

- Nie, nie całkiem.

- Nie całkiem? To znaczy jak bardzo? Zdjęłaś bluzkę? Abby potaknęła.

- Stanik?

Abby znowu skinęła głową. Na Gisselle zrobiło to wrażenie.

# -1 co jeszcze?

- To wszystko - odparła szybko Abby.

- No, no, czyli nasza świętoszka nie jest znowu aż taka święta.

- Pamiętaj, Gisselle, obiecałaś.

- Och, a kogo to obchodzi? Pies z kulawą nogą by się tym nie zainteresował.

Pomyślała chwilę i na jej twarzy pojawił się znów chytry uśmieszek.

- A teraz pewnie chcecie się dowiedzieć, dlaczego Louis jest ślepy i co się stało z jego rodzicami?

- Przysiękałaś, że nam powiesz - przypomniałam. Zawahała się, rozkoszując swoją władzą nad nami.

- Może później, jeśli przyjdzie mi na to ochota - oznajmiła, obracając się i wyjeżdżając z naszego pokoju.

- Gisselle! - krzyknęła za nią Abby.

- Och, niech sobie jedzie, Abby. Tylko by się dalej z nami drażniła.

Ale mimo to sama zastanawiałam się, cóż takiego mogło się stać, że ten młody, przystojny mężczyzna stracił wzrok i pogrążył się w melancholii, do tego stopnia, że teraz wyraża swe myśli i uczucia wyłącznie poprzez muzykę, za po-

średnictwem palców ślizgających się po klawiaturze fortepianu.

## Nieoczekiwane zaproszenie

Choć ciekawość zżerała mnie do szpiku kości, nie dałam Gisselle satysfakcji i nie błagałam jej, by wyjawiała tajemnicę Louisa, nie poszłam też do Jackie. Zresztą okazało się, że nie musiałam zebrać u żadnej z wielbicielek Gisselle.

Następnego dnia, tuż po śniadaniu, wezwano mnie do telefonu. Chciała ze mną rozmawiać moja nauczycielka wychowania plastycznego, panna Stevens.

- Właśnie wybierałam się, żeby trochę pomalować - powiedziała - i pomyślałam o tobie. Znam jedno miejsce bardzo blisko autostrady, skąd rozciąga się cudowny widok na rzekę. Miałabyś ochotę mi towarzyszyć?

- O tak, z przyjemnością.

- Świetnie. Jest trochę chmur, ale zapowiadają, że w ciągu dnia się wypogodzi, a temperatura podskoczy o dziesięć stopni, toteż wkładam tylko koszulkę i dzinsy.

- Właśnie to mam teraz na sobie.

- No to jesteś gotowa. Podjadę po ciebie za jakieś dziesięć minut. Nie martw się o przybory: mam wszystko, co nam będzie potrzebne.

- Dziękuję.

Ogarnęło mnie takie podniecenie na myśl o szkicowaniu i malowaniu z natury, że omal nie przewróciłam Vicki na korytarzu. Ugięła się pod ciężarem książek, które właśnie niosła z biblioteki.

- Gdzie się tak spieszysz? - spytała.

- Jadę malować... z moją nauczycielką... przepraszam.

Popędziłam do naszego pokoju i powiedziałam o tym Abby, która leżała zwinięta na łóżku i czytała lektury z socjologii.

- Wspaniale - zawołała.

Zrzuciłam mokasyny, żeby je zmienić na adidasy.

- Wiesz, nigdy przedtem nie spostrzegłam tej żyłki wokół twojej kostki - zauważyła Abby. - Co to jest?

- Moneta - odparłam i wyjaśniłam, po co Nina mi ją podarowała. - Wiem, że uznasz to za głupotę, ale...

- Nie - odparła. Twarz jej pociemniała. - Wcale. Mój ojciec w tajemnicy też wyznaje voodoo. Nie zapominaj, że moja babka pochodziła z Haiti. Znam niektóre zaklęcia i... - Wstała, podeszła do szafy. - Ja mam to.

Z walizki wyjęła ubranie i położyła je przede mną. Była to granatowa spódnica. W pierwszej chwili nie zauważyłam w niej niczego nadzwyczajnego, ale wtedy Abby położyła ją tak, że w końcu dostrzegłam maleńki zwój końskiego włosia, przebity dwoma skrzyżowanymi korzeniami, wszyty w rąbek.

- Co to jest? - spytałam.

- Odstrasza złe duchy. Trzymam tę spódnicę na szczególne okazje. Wkładam ją, gdy czuję, że coś mi grozi - wyjaśniła.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam, a sądziłam, że Nina pokazała mi już wszystko.

- O, nie - odparła ze śmiechem Abby. - Mamuśka ma nieograniczoną wyobraźnię. Chowałam to przed tobą, bo nie chciałam, byś uznała mnie za dziwaczkę, a tymczasem ty nosisz na kostce monetę, dla

odczyniania złych uroków.

Roześmiałyśmy się i uściskały. W tej samej chwili obok naszych drzwi przejechała Gisselle w towarzystwie Samanty, Jackie i Kate.

- Spójrzcie! - zawołała moja siostra, wskazując na nas. -Widzicie, do czego dochodzi, kiedy w szkole nie ma chłopców!

Słyszając ich chichot, splonęłyśmy rumieńcem.

- Ach, ta twoja siostra - mruknęła Abby. - Pewnego pięknego dnia zepchnę ją razem z jej wózkiem w przepaść.

- Zapisz się w kolejkę, już dziś - powiedziałam i obie znowu wybuchnęłyśmy śmiechem. Potem wybiegłam przed budynek, by czekać na pannę Stevens.

Podjechała kilka minut później jeepem z opuszczoną plandeką. Wskoczyłam do środka.

- Cieszę się, że zechciałaś mi towarzyszyć - powitała mnie.

- A ja się cieszę, że mnie pani zaprosiła.

Włosy ściągnęła w koński ogon, rękawy bluzy podwinęła do łokci. Bluza wyglądała na weterankę wielu wypraw ma-larskich, nosiła bowiem na sobie ślady wszystkich możliwych farb i kolorów. W wytartych dżinsach i adidasach moja nauczycielka wyglądała prawie na moją rówieśnicę.

- Jak ci się podoba mieszkanie w domu Louelli Clair-borne? Pani Penny jest rozkoszna, prawda?

- Tak. Zawsze taka pogodna. Zmieniłam pokój - dodałam po chwili.

-Tak?

- Przedtem mieszkałam z moją siostrą, Gisselle.

- Nie zgadzacie się? - spytała, a potem uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Jeśli uważasz, że zadaję zbyt osobiste pytania...

- Ależ skądże - zapewniłam i nie kłamałam.

Babunia Catherine mawiała, że zwykle kiedy poznajemy nowych ludzi, pierwsze wrażenie jest najbliższe prawdy, najpierw bowiem odzywa się w nas serce. Od pierwszej chwili czułam się dobrze w towarzystwie panny Stevens i uważałam, że mogę jej ufać, choćby dlatego, że łączy nas miłość do sztuki.

- Rzeczywiście nie zgadzamy się - przyznałam. - I nie dzieje się tak z mojej winy albo dlatego, że nie próbowałam.



Może gdybyśmy się razem wychowywały, wyglądałoby to inaczej...

- Gdybyśmy...?

Na twarzy panny Stevens pojawiło się zdziwienie.

- Znamy się zaledwie od roku - zaczęłam, po czym opowiedziałam jej swoje dzieje.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, jeszcze nie skończyłam opowieści. Panna Stevens słuchała w milczeniu.

- I tak oto zgodziłam się przyjechać z Gisselle do Greenwood - zakończyłam.

- Niewiarygodne - stwierdziła. - I pomyśleć, że uważałam swoje życie za skomplikowane, ponieważ wychowałam się w sierocińcu u zakonnice w klasztorze Najświętszej Marii Panny w Biloxi.

- Naprawdę? Co się stało z pani rodzicami?

- Nigdy się nie dowiedziałam. Zakonnice powiedziały mi tylko, że matka oddała mnie im wkrótce po tym, jak przyszłam na świat. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o swoim pochodzeniu, lecz one bardzo dbały o dochowanie tajemnicy.

Pomogłam jej wyjąć sztalugi, szkicowniki, wszystkie przybory malarskie. Tak jak obiecywano w prognozie, zaczęło się przecierać i gruba warstwa chmur rozdarła się, odsłaniając błękit nieba. Tu, nad rzeką, wiatr wiał nieco mocniej.

Za nami kołysały się gałęzie dębu i hikor, z których nad rzekę, a potem dalej, na spokojniejszą część plantacji bawełny wyfrunęły świergoczące wróble.

Rzeką przepłynęły szybko barka i prom, w oddali zaś wolno sunął statek parowy pełen turystów, rekonstrukcja parowca sprzed stuleci, zdążając do St. Francisville.

- Sądzi pani, że odnajdzie kiedyś swoich rodziców? - spytałam.

- Nie wiem. Właściwie chyba już pogodziłam się z ich brakiem. - Uśmiechnęła się. - Zresztą, mam przecież liczną rodzinę: pozostałe sieroty, część zakonnice. - Rozejrzała się dokoła. - Ładnie tu, prawda?

- Tak.

- Co wpadło ci w oko?

Uważniej przypatrzyłam się rzece, statkom, brzegowi. W oddali zobaczyłam kłęby dymu z komina rafinerii, które rozrywał wiatr i unosił pod chmury, ale moją uwagę przykuły dwa brązowe pelikany kołyszące się nad rzeką. Powiedziałam o tym pannie Stevens, a ona się roześmiała.

- Jesteś taka jak ja. Lubisz umieszczać na obrazie żywe stworzenia. Cóż, w takim razie zaczynamy.

Popracujmy nad perspektywą i sprawdzmy, czy uda nam się oddać ruch wody na rzece.

Przystąpiłyśmy do szkicowania, nie przestając gawędzić.

- Jak się udała herbatka u pani Clairborne? - spytała. Opisałam ją i wrażenie, jakie wywarł na mnie dom. Potem opowiedziałam o spotkaniu z Louisem.

- Rozmawiałaś z nim? - spytała, przerywając pracę. - Tak.

- Inni nauczyciele wiele mi opowiadali o pani Clairborne oraz jej wnuku, choć niektórzy, mimo że pracują tu od lat, nawet nie widzieli go na oczy. Jak on wygląda?

Opisałam Louisa i jego piękną grę na fortepianie.

- Kiedy mu powiedziałam, że maluję, poradził, bym poszła o zachodzie słońca nad staw i spróbowała oddać jego piękno. Nie zawsze był niewidomy i doskonale pamięta kolory.

- Wiem. To była prawdziwa tragedia.

- Nie znam tej historii.

- Nie? Tak, to rozumiałe. To jedna z tych legend - tajemnic, które wszyscy znają, choć udają, że nie mają o tym pojęcia. Jeden z tutejszych weteranów jasno i wielokrotnie dawał mi do zrozumienia, że lepiej, by nikt mnie nie przy-

łapał na plotkowaniu o Clairborne'ach.

Skinęłam głową ze zrozumieniem.

- Ale tobie mogę opowiedzieć tę historię - dodała z uśmiechem. - Nawet jeśli rzeczywiście będzie to wyglądało na plotkowanie. Między nami, artystkami, dopuszczalne są pewne uchybienia.

Na chwilę spoważniała i zapatrzyła się na rzekę, a potem zaczęła opowieść:

- Z tego, co wiem, córka pani Clairborne, matka Louisa miała romans z młodszym od siebie mężczyzną. - Przerwała i spojrzała na mnie. - Znacznie od siebie młodszym. Jej mąż odkrył ten związek i tak go to zdruzgotało, czuł się tak upokorzony, że najpierw zabił żonę, wzorem Otella dusząc ją poduszką, a potem strzelił sobie w głowę. Nie wiem, jak to się stało, lecz biedny Louis stał się mimowolnym świadkiem tej tragedii i na skutek wstrząsu zapadł w śpiączkę, z której obudził się ślepy.

- Opowiadano mi, że rodzina starała się za wszelką cenę zatuszować tę sprawę, lecz po jakimś czasie i tak się roznio-

ła Po dziś dzień pani Clairborne zaprzecza faktom i wmawia sobie, że jej córka zmarła na serce, a zięć, nie mogąc pogodzić się z jej zgonem, odebrał sobie życie. Umilkła, po czym zerknęła na mnie.

- Po radzie zorganizowanej dla nowych nauczycieli, zostaliśmy zaproszeni na podwieczorek do pani Clairborne. Czy podczas wizyty tam zauważyłaś coś niezwykłego w zegarach? . ,

- Tak. Wszystkie wskazywały pięć po drugiej]. -Właśnie o tej godzinie prawdopodobnie nastąpił zgon córki pani Clairborne. Kiedy spytałam o to jednego ze starszych nauczycieli, wyjaśnił, że dla pani Clairborne czas zatrzymał się wraz ze śmiercią córki i w ten właśnie symboliczny sposób postanowiła dać temu wyraz. To naprawdę ogromnie smutna historia.

- Czyli fizycznie Louisowi nic nie dolega, oczy ma zupełnie zdrowe? .

- Z tego, co mi mówiono, tak. Rzadko opuszcza zaciemnioną część mieszkania. Właśnie tam od lat mieszka, tam się uczył. Jedynie garstka ludzi może się poszczycić tym, że z nim choć chwilę rozmawiali. Przeszłaś do historii

-Uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Ale chociaż znam cię ak krótko, wcale mnie nie dziwi, że nawet ktos, kto me lubi kontaktów z ludźmi, chętnie z tobą rozmawia.

- Dziękuję - odparłam, rumieniąc się.

- Każdemu z nas trudno przychodzi komunikowanie się z innymi. Wiem, że dla mnie to ogromny problem. Wolę mówić poprzez obrazy. A największe trudności mam w kontaktach z mężczyznami - wyznała. - Może to wina mojego wychowania. - Roześmiała się. - Pewnie dlatego tak swojsko czuję się w Greenwood i dlatego chciałam uczyć w żeńskiej szkole.

Znowu się do mnie uśmiechnęła.

- No i proszę, zwierzyłyśmy się sobie ze swoich tajemnic jak na siostry w sztuce przystało. Szczerze mówiąc

-ciągnęła - zawsze marzyłam o siostrze, o kimś, komu mogłabym zaufać i kto mnie również obdarzyłby zaufaniem.

Twoja siostra nie zdaje sobie sprawy, ile traci, zle cię traktując. Zazdroszczę jej ciebie.

- Gisselle nigdy by nie uwierzyła, że ktoś może jej mnie zazdrościć. Zresztą, ona nie oczekuje zazdrości, szuka wy-

łącznie litości.

- Biedulka. Takie kalectwo dla kogoś tryskającego energią musi być czymś okropnym. Wygląda na to, że po prostu będziesz musiała się z tym jakoś pogodzić. Ale gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, zawsze bardzo chętnie ci pomogę.

- Dziękuję pani.

- Och, proszę, Ruby, kiedy jesteśmy we dwie, zwracaj się do mnie po imieniu. Naprawdę chciałabym wierzyć, że łączy nas przyjaźń, a nie zwykły układ nauczycielka -uczenica. Zgoda?

- Zgoda - odparłam, zaskoczona, ale i mile połączona.

- Och, spójrz, tyle żeśmy gadały, że prawie nie tknęłyśmy płócien. Lepiej zamknijmy już buzie i zagońmy do pracy palce.

Jej cichy, pogodny śmiech zwrócił uwagę pelikanów, które łypnęły na nas takim wzrokiem, jakby chciały nam zwró-

cić uwagę. W końcu przyfrunęły tu, żeby upolować rybę na śniadanie.

„Zwierzęta wyczuwają, czy obdarzasz je prawdziwym szacunkiem”, powiedziała kiedyś babunia Catherine. „Wielka szkoda, że ludzie tego nie potrafią”.

Pracowałyśmy jeszcze jakieś dwie i pół godziny, w końcu panna Stevens uznała, że pora na lunch. Zabrała mnie do małej restauracyjki na obrzeżach miasta. Już z daleka czułyśmy rozkoszny zapach gotowanych raków, krewetek i salami, smażonych ostryg oraz pomidorów i cebuli, nieodzownych składników zapiekanki. Spędziłyśmy cudownie czas, rozmawiając, wymieniając poglądy na temat ciuchów, ulubionych potraw i książek. Naprawdę czułam się, tak jakbym przebywała ze starszą siostrą.

Dochodziła już czwarta, kiedy wróciłyśmy do Greenwood. Panna Stevens zatrzymała moją pracę, przyrzekłszy, że przyniesie mi ją na zajęcia, żebym mogła dokończyć.

- To był świetny wypad - powiedziała. - Powtórzmy go jeszcze, jeśli będziesz miała ochotę.

- O, tak, ale następnym razem ja zapłacę za lunch.

Roześmiała się.

- To niemożliwe, mogłoby to zostać uznane za łapówkę. Pożegnałam się i pobiegłam do domu, gdzie czekała już na mnie pani Penny, wyłamując palce ze zdenerwowania. Włosy miała potargane, przygryzała wargę.

- Och, dzięki Bogu, że wróciłaś! Dzięki Bogu!

- Co się stało, proszę pani? - spytałam zdziwiona.

- Dzwoniła pani Clairborne. Pani Clairborne we własnej osobie. Rozmawiałam z nią. - Pani Penny nie mogła złapać tchu, jakby zatelefonował sam prezydent Stanów Zjednoczonych. - Chciała rozmawiać z tobą, więc poszłam cię szukać, a twoja koleżanka z pokoju, Abby, wyjaśniła, że razem z nauczycielką wychowania plastycznego wyjechałaś gdzieś nad rzekę malować. Panna Stevens powinna wiedzieć, że takich rzeczy nie wolno robić. Powinna wiedzieć.

- Jak to „takich rzeczy nie wolno robić”? - spytałam, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. - Jakich rzeczy?

- Och, zwłaszcza w weekendy. Jeśli chcesz opuścić teren szkoły, musisz mieć oficjalne zezwolenie.

Muszę mieć jakiś dokument. „

- Przecież pojechałyśmy tylko nad rzekę malować - tłumaczyłam.

- To bez znaczenia. Panna Stevens powinna o tym pamiętać. Musiałam powiedzieć pani Clairborne, że cię me ma.

Była ogromnie rozczarowana.

- A czego sobie życzyła?

- Zdarzyło się coś niebywałego - wyjaśniła głośnym szeptem, pochylając się i rozglądając, czy nikt nas nie słyszy.

- Niebywałego?

- Jej wnuk... Louis... zażądał, by zaproszono cię na kolację do rezydencji państwa Clairborne. I to jeszcze dziś!

- Ooo - wybąkałam zaskoczona.

- Nigdy jeszcze żadnej z uczennic nie zaproszono na kolację - zachłystywała się pani Penny, podczas gdy ja przypatrywałam się jej bez słowa. Wstrząsnął nią mój widomy brak zachwytu. - Nie rozumiesz? Pani Clairborne zadzwoniła, by zaprosić cię na kolację. Samochód przyjedzie po ciebie dwadzieścia po szóstej. Kolacja zaczyna się punktualnie o wpół do siódmej.

- Powiedziała jej pani, że przyjdę?

- Ależ oczywiście. Jakże by inaczej?

Przez chwilę przyglądała mi się z niepokojem.

- Pójdiesz, prawda?

- Trochę się boję - wyznałam.

- To całkowicie zrozumiałe, kochanie - zapewniła, oddychając z ulgą. - Taki zaszczyt. I do tego jedna z moich dziewcząt! - zawołała, składając dłonie. Ale uśmiech szybko zniknął z jej oblicza. - Muszę udzielić surowej reprzy-mendy twojej nauczycielce. Powinna wiedzieć, że takich rzeczy tu nie wolno robić.

- Nie ma mowy, proszę pani. Jeśli udzieli pani nagany panie Stevens, ja nie pójdę do pani Clairborne -

zaszan-tałowałam.

-Co?

- Sama jej powiem o obowiązujących tu wymaganiach i poproszę tatę, by dostarczył stosowny dokument, ale nie chcę, żeby panna Stevens miała przeze mnie jakiegokolwiek przykrości - oświadczyłam zdecydowanie.

-Ale... Gdyby pani Ironwood się dowiedziała, miałabym...

- Nie dowie się.

- N o cóż... Ale pamiętaj, żebyś powiedziała o tym nauczycielce i poproś ojca, by załatwił ci zezwolenie.

Umilkła, a na jej twarzy znowu pojawił się promienny uśmiech.

- A teraz idź i ubierz się w coś ładnego na dzisiejszy wieczór. Dopilnuję, żeby samochód czekał dwadzieścia po szóstej. Winszuję, kochanie. Jedna z moich dziewcząt... moich dziewcząt - mamrotała, odchodząc.

\* \* \*

Oczywiście, nawet gdybym chciała, nie dałoby się utrzymać w tajemnicy mojego zaproszenia do pani Clairborne.

Pani Penny paplała o tym na prawo i lewo, tak że bardzo szybko wszystkie dziewczęta z naszego domu dowiedziały się o telefonie protektorki szkoły. Gisselle była na mnie wściekła, ponieważ uważała, że wiedziałam o tym już wczoraj, tylko nie chciałam jej powiedzieć.

- Od obcych dowiaduję się o tym, jaki to zaszczyt spotkał moją siostrę - robiła mi wymówki stając w progu mojego pokoju.

Jak zwykle tkwiła przy niej Samanta, gotowa na każde jej skinienie.

-Właśnie przed chwilą wróciliśmy z panną Stevens z całodniowej wyprawy nad rzekę, gdzie malowałyśmy i dopiero teraz o wszystkim się dowiedziałam, Gisselle.

- Malowałyście cały dzień z panną Stevens. To dopiero bomba.

Omiotła wzrokiem sukienki, które rozłożyłam na łozku, by razem z Abby wybrać najodpowiedniejszą.

- Przecież widzę, że wszystko już przygotowałaś. Musiałaś się spodziewać zaproszenia.

- Nie spodziewałam się. Przed chwilą wyjęłam te ubrania z szafy, prawda, Abby?

- Tak - odparła Abby, patrząc prosto w oczy ciągle nadąsanej Gisselle.

- A dlaczego zaprosiła tylko ciebie? - spytała moja bliźniaczka.

- Nie wiem. - \_ -Dlatego, że jej wnuk życzy sobie z tobą rozmawiać, tak? - nie ustępowała.

Czasem nie sposób było czegokolwiek przed nią ukryć. Jej myśli tak często zdążały krętymi ścieżkami matactw, że z wprawą urodzonego szpiega wychwytywała niedomówienia.

- Pewnie tak.

- Nawet cię nie widział, a już chce, żebyś go ponownie odwiedziła? Co wyście takiego robili, he?

- Gisselle! - Spojrzałam na Abby, Samantę, po czym znowu na swoją siostrę. - Niczego nie robiliśmy. Rozmawiałam z nim parę minut, słuchałam jego gry i odeszłam. Mam wystarczającą treść przed tą kolacją, więc proszę, nie denerwuj mnie jeszcze bardziej. Szczerze mówiąc, najchętniej bym nie poszła, ale pani Penny zachowuje się, jakby to był cud stulecia.

- Podoba mi się ta niebieska sukienka - przerwała nam Abby. - Jest elegancka, ale nie nazbyt oficjalna.

- Och, wręcz idealna na kolacyjkę ze ślepcem - szydziła Gisselle, mierząc mnie wściekłym wzrokiem. - Ty tam się będziesz zabawiać jak królowa, podczas gdy my musimy zadowolić się tym świństwem, którym nas tu karmią.

- To wcale nie świństwo - zaperzyła się Abby.

- Widocznie przywykłaś do takiego jedzenia - odparowała Gisselle. - Wywieź mnie stąd, Samanta, powietrze tutaj jest nazbyt intensywne, jak na nasze skromne nosy.

Abby pobladła jak kreda i już chciała odciąć się, ale dałam jej znak wzrokiem, by tego nie robiła.

- Nie bierz sobie tego do serca, Abby - poradziłam. -Ona o niczym innym nie marzy.

- Masz rację - przyznała i z powrotem zajęłyśmy się wyborem stroju wieczorowego.

Niebieska sukienka była elegancka. Głębokie wycięcie odsłaniało wprawdzie nieco biustu, ale uznałyśmy, że mój łańcuszek z medalionem temu zaradzi. Abby pożyczyła mi złote kolczyki w kształcie listków i bransoletkę.

Postanowiłyśmy, że powinnam upiąć włosy w kok. Leciutko pomalowałam usta, spryskałam się jaśminową wodą kolońską, którą dała mi pani Penny i wyszłam przed dom, gdzie miał czekać na mnie samochód. Opiekunka po raz ostatni przyjrzała mi się uważnie i na jej twarzy pojawiło się zadowolenie, któremu dała głośny wyraz.

- To wyjątkowa okazja - podkreśliła. - Zapamiętaj każdy, najdrobniejszy szczegół tego wieczoru. Nie mogę się doczekać, kiedy mi wszystko opowiesz. Będę czekała na ciebie, zgoda?

- Tak, proszę pani. Abby posłała mi uśmiech.

- Miłej zabawy.

- Dzięki, ale trzęsę się jak galareta.

- Niczego nie musisz się lękać - uspokajała przyjaciółka, puszczając do mnie oko. - Przecież nadal masz swój amulet.

Roześmiałam się. Dziesięciopensówkę, co prawda, ukryłam w bucie, ale przynajmniej wiedziałam, że nadal ją mam.

- Samochód podjechał - oznajmiła pani Penny.

Szybko podbiegłam do auta. Buck otworzył przede mną drzwiczki. Spojrzał na mnie i w oczach mignął mu błysk uznania, ale nic nie powiedział. Wsiadłam, a on szybko obszedł wóz i zajął miejsce za kierownicą. Pani Penny pomachała nam ze schodów. Gdy już przejechaliśmy kawałek drogi, Buck odwrócił się do mnie.

- Bardzo ładnie wyglądasz - odezwał się.

- Dziękuję.

- Pracuję tu od trzech lat, ale po raz pierwszy zawożę uczennicę na kolację do rezydencji Clairborne'ów. Jesteś z nimi spokrewniona?

- Nie - odparłam ze śmiechem.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed budynkiem, znowu obszedł samochód, by otworzyć przede mną drzwiczki.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Udanego wieczoru.

Uśmiechnęłam się i szybko weszłam na górę. Drzwi otworzyły się, nim zdążyłam sięgnąć po klamkę i oto już witał

mnie Otis.

- Dobry wieczór, panienko - odezwał się, obdarzywszy mnie głębszym niż za pierwszym razem ukłonem.

- Dobry wieczór.

Weszłam. Zamknął za mną drzwi.

- Tędy, panienko.

Poprowadził mnie korytarzem, potem skręciliśmy w prawo, w kolejny korytarz, który zawiódł nas do zachodniego skrzydła i jadalni. W przeciwieństwie do pozostałych części domu, w zachodnim



skrzydle panował mrok. Ściany miały ciemniejsze tapety, w oknach wisiały ciemniejsze draperie, na podłogach leżały ciemniejsze dywany. Obrazy przedstawiały niesamowite zachody słońca nad rzeką i rozlewiskami, moczary z hiszpańskim mchem kołyszącym się na wietrze oraz rdzawe wody Missisipi w jej dolnym biegu, po których suną łodzie i statki, wlokąc za sobą swoje cienie. Na nielicznych portretach, jakie zauważyłam, widnieli protoplaści rodu o surowych obliczach oraz pełnych pogardy i potępienia spojrzaniach.

Na końcu długiego, ciemnego dębowego stołu postawiono trzy nakrycia. W dwóch srebrnych kandelabrach delikatnym płomieniem paliły się wysokie, białe świece. Wiszący nad stołem żyrandol nie dawał wiele światła. Otis podszedł do krzesła po mojej prawej ręce i wysunął je, wskazując, że tu mam zająć miejsce.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Pani Clairborne oraz panicz Clairborne wkrótce się pojawią - oznajmił, po czym wyszedł, zostawiając mnie sa-miuteńką w tym mrocznym pokoju.

Przez dłuższą chwilę panowała głucha cisza, którą w końcu przerwało znajome już stukanie laski pani Clairborne, idącej korytarzem.

Wreszcie pojawiła się w jadalni. Miała na sobie czarną suknię, sięgającą niemal kostek. Na tle głębokiej czerni sukni jeszcze bardziej rzucał się w oczy zegarek, spoczywający między piersiami. Uczesanie pani Clairborne było do-kładnie takie samo jak dzień wcześniej, tyle że brylanty w kolczykach zastąpiły perły, a na jej nadgarstku połyskiwała bransoletka wysadzana również perłami. Na palcach nadal błyszczało mnóstwo pierścionków.

- Dobry wieczór - odezwała się, podchodząc do swego miejsca u szczytu stołu.

- Dobry wieczór.

Kiedy Otis odsunął jej krzesło i usiadła, dodałam:

- Dziękuję, że zechciała mnie pani zaprosić na kolację.

- To nie mój pomysł - odparła szybko.

Z bliska nos jej sprawiał wrażenie jeszcze ostrzejszego. Błada zaś cera była tak jasna, że prawie przezroczysta; widziałam cienkie, błękitne żyłki na jej policzkach i skroniach, a ciemne włoski nad górną wargą jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Wokół niej unosił się silny zapach jaśminu, który całkowicie zagłuszył woń mojej wody toale-towej.

- Nie rozumiem - powiedziałam.

- To mój wnuk uparł się, by ciebie zaprosić. Zwykle nie zapraszam uczennic z Greenwood na kolację. Po prostu zbyt wiele tych dziewcząt na to zasługuje. Nie wiedziałam, że w czasie swojej wizyty zapędziłaś się w drugą część domu i spotkałaś Louisa.

- Idąc do toalety, usłyszałam grę na pianinie i...

- Pani Penny powinna była wyraźnie wam powiedzieć, że nie...

- Babciu, chyba nie jesteś znowu niegrzeczna, prawda? - usłyszałyśmy nagle głos i obejrzawszy się gwałtownie, zobaczyłam stojącego w drzwiach Louisa.

W przeciwieństwie do pani Clairborne nie używał laski, która pomogłaby mu odszukać drogę w labiryncie korytarzy, i najwyraźniej zjawił się tu sam, bez niczyjej pomocy.

W smokingu, czarnym krawacie i spodniach, z gładko zaczesanymi włosami prezentował się dość przystojnie.

- Nie jestem niegrzeczna - mruknęła pani Clairborne. Louis uśmiechnął się i bez wahania, pewnym krokiem ruszył prosto do swojego miejsca.

- Niech to nie robi na tobie takiego wrażenia, Ruby - odezwał się, czekając aż Otis odsunie krzesło. - Od tak dawna przemierzam tę samą trasę, że wydeptałem już ścieżki w podłogach, a służba ma przykazane, że nigdzie nie wolno tu niczego ani odrobinę przesunąć.

- Właśnie dlatego nie przyjmuję gości w tej części domu - wtrąciła szybko pani Clairborne. - Gdyby ktoś przesunął

krzesło albo przestawił stół...

- A czemu ktoś, zwłaszcza Ruby, miałby to robić, babciu? - spytał Louis.

Pani Clairborne westchnęła. Skinieniem głowy dała Oti-sowi znak, że można podawać. Zaczął od nalania nam wody mineralnej.

- Nie będzie dziś wina do kolacji? - zdziwił się Louis.

- Nie podaję wina uczennicom z Greenwood - odparła surowo.

Louis dalej się uśmiechał.

- Cóż, przynajmniej dzisiejsza kolacja będzie się różnić od naszych codziennych posiłków, prawda, babciu?

- Niestety tak - odparła, po czym zwróciła się do mnie: - Louis uparł się również, by podać cajuńskie dania.

- Poczekaj, sam jej powiem - przerwał Louis. - Zaczniemy od krewetek, potem będzie *gumbo* z kaczki. Ale na deser zamówiłem *creme brulee* z pomarańcz, ulubione danie nowoorleańczyków.

- Brzmi wspaniale - zachwyciłam się.

Pani Clairborne skrzywiła się. W końcu niechętnie skinęła głową i rozpoczęła się kolacja, podczas której gospodyni odzywała się rzadko. Natomiast Louis chciał się dowiedzieć wszystkiego o moich obrazach, prosił, bym opisała te, które sprzedawałam w galerii we Francuskiej Dzielnicy. Nigdy nie był na rozlewiskach i chciał poznać szczegóły życia na moczarach. Wielokrotnie w czasie naszej rozmowy pani Clairborne cmokała z dezaprobatą i posyłała mi niechętnie spojrzenia, zwłaszcza gdy opowiadałam o babuni Catherine i jej niezwykłym darze uzdrawiania.

- Ciekaw jestem, czy taka uzdrowicielka pomogłaby mi odzyskać wzrok - zamyślił się głośno Louis, co słysząc pani Clairborne rozpoczęła tyradę:

- Nie wpuszczę do domu żadnych szarlatanów. Wszędzie roi się od fałszywych uzdrowicieli i pseudoartystów.

Niestety od czasów, gdy zasiedlono te okolice, rzeka przyciąga ludzi tego pokroju. Masz najlepszych lekarzy.

- Którzy mi w ogóle nie pomogli - stwierdził z goryczą Louis.

- Pomogą. Musimy tylko... - ugryzła się w język. Louis wolno odwrócił się do niej i uśmiechnął.

- Wierzyć, babciu? To zamierzałaś powiedzieć?

- Nie. Tak. Wierzyć w to, co udowodnione naukowo, w medycynę, a nie w jakieś gusła. Ani się obejrzymy, a za-prosisz na kolację jakiegoś wyznawcę voodoo - skrzywiła się, a ja wstrzymałam oddech.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał śmiech Louisa.

- Jak widzisz, moja babka ma ustalone poglądy na każdy temat. To znacznie ułatwia życie - dodał smutno. - Nie trzeba samemu myśleć.

- Czy ktokolwiek zabrania ci samodzielnie myśleć? Czyż nie zgodziłam się zaprosić tej młodej damy na kolację?

- Tak, babciu, dziękuję. Smakowała ci kolacja? - zwrócił się do mnie.

- Była pyszna.

- Nic dziwnego. Mam najlepszego kucharza w całym Baton Rouge - podkreśliła pani Clairborne.

- Chciałabyś posłuchać mojej gry? - spytał Louis.

- Z rozkoszą.

- Dobrze. Wybaczysz, babciu, że cię zostawimy?

- Przykazałam kierowcy, żeby zjawił się po nią punktualnie o dziewiątej. Uczennice Greenwood mają

dużo nauki, a także muszą kłaść się spać o ustalonej porze.

- Odrobiłam już swoje lekcje - zapewniłam pośpiesznie.

- Ale i tak powinnaś wcześniej wrócić do bursy - nie ustępowała pani Clairborne.

- Która jest teraz godzina, babciu? - spytał Louis. - Która godzina?

Wstrzymałam oddech. Czy odpowie: „Pięc po drugiej”?

- Otis, którą mamy godzinę? - zwróciła się do kamerdynera stojącego w drzwiach.

- Siódmą czterdzieści, proszę pani.

- Och, w takim razie mamy mnóstwo czasu. Przejdźmy do pokoju muzycznego.

Wstał. Spojrzałam na panią Clairborne, która sprawiała wrażenie ogromnie niezadowolonej, ale również się podniosła.

- Dziękuję za wspaniałą kolację, pani Clairborne.

Jej cienkie wargi wykrzywiły się w groteskowym grymasie, mającym udawać uśmiech.

- Ależ proszę, to drobiazg - rzuciła szybko.

Louis uniósł ramię, obeszłam stół i wsunęłam rękę pod jego łokieć.

- O, spryskałaś się ulubionymi perfumami babci - zauważył z uśmiechem. - Ktoś ci je podsunął, hę?

- Pani Penny, opiekunka naszej bursy - przyznałam. Roześmiał się i wyprowadził mnie z jadalni do pokoju muzycznego. Poruszał się po domu z równą pewnością, co człowiek widzący, a gdy dotarliśmy na miejsce, bez śladu wahania podszedł prosto do fortepianu.

- Usiądź przy mnie - zaproponował, robiąc mi miejsce.

Kiedy usłuchałam, zaczął grać jakąś cichą, pełną słodyczy melodię. Muzyka zdawała się spływać z jego palców na klawisze. Kołysał się, delikatnie dotykając mnie ramieniem. Obserwowałam jego twarz, widziałam lekkie ruchy powiek i warg towarzyszące grze. Gdy skończył, nadal trzymał palce na klawiaturze, jakby jeszcze nie cała muzyka z niego uszła.

- Jakie to piękne - odezwałam się cicho.

- Mój nauczyciel muzyki... na dobrą sprawę, zwyczajny, nadęty bufon... twierdzi, że dzięki ślepotcie moja gra nabiera wyrazu. Czasem nawet, jakby mi tego zazdrościł. Przyznał, że kiedy gra dla siebie, często przewiązuje opaską oczy.

Dasz wiarę?

-Tak.

Nadal nie odrywając palców od klawiszy, siedział odwrócony do instrumentu, jakby zamierzał grać dalej.

-Nigdy jeszcze żadna dziewczyna... młoda kobieta... nie siedziała przy mnie - wyznał. - Nigdy nie czułem jej tak blisko siebie.

- Dlaczego? Zaśmiał się.

- Dlaczego? - Spoważniał. - Nie wiem. Chyba się bałem.

- Bałeś? Czego?

- Ze zyska nade mną ogromną przewagę. Bardziej ze względu na babcię niż na siebie udaję, że nic mi nie jest.

Oczywiście, ona nie widzi, jak chodzę, macając wszystko wokół siebie. Już moja w tym głowa, żeby nie widziała.

Nie słyszy moich jęków. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz była świadkiem moich łez. Tutaj ciągle trzeba coś udawać.

Z pewnością to zauważyłaś. Udajemy, że wszystko jest w porządku. Udajemy, że nic się nie stało.

- Ale ja mam już dość udawania - podjął, odwracając się do mnie. - Chcę także... odrobiny rzeczywistości. Czy to takie złe?

- Ależ skąd.

- Kiedy pierwszy raz weszłaś do tego pokoju, usłyszałem w twoim głosie jakąś uczciwość, prawość, coś, dzięki czemu poczułem się swobodniej, nabrałem nadziei. Miałem uczucie, że... będę mógł cię zobaczyć. Wiem, że jesteś piękna.

- Wcale nie. Jestem po prostu...

- Owszem tak. Poznają to po sposobie, w jaki babcia się do ciebie zwraca. Moja matka była piękna - dodał szybko.

Wstrzymałam oddech. Serce zabiło mi mocniej. Czyżby chciał mi opowiedzieć swoją tragiczną historię?

- Nie obrazisz się, jeśli dotknę twojej twarzy, twoich włosów?

- Nie - odparłam, a on podniósł dłonie ku moim skroniom i wolno, delikatnie wodził palcami po mojej twarzy, dotykając warg i brody.

- Piękne - szeptał.

Wysunął czubek języka i dalej przesuwał palcami po mojej szyi, aż dotarł do kości barku.

- Masz taką delikatną skórę. Czy mogę niżej?

Gardło miałam ściśnięte. Serce waliło mi jak młotem. Nie wiedziałam, co robić, ale bałam się mu odmówić. Wyglądał na takiego zrozpaczonego.

- Tak - pozwoliłam.

Zsunął ręce wzdłuż linii dekoltu, aż do biustu. Oddychał coraz szybciej. Przeciągnął je po moich piersiach, obejmując je palcami, naciskając, jakby był modelującym je rzeźbiarzem. Potem zszedł niżej, aż do pasa i znowu wrócił do piersi, przykrywyjąc je całymi dłońmi.

Wtem oderwał ręce, jakby niespodziewanie dotknął odsłoniętego przewodu elektrycznego. Spuścił głowę.

- Nic się nie stało - uspokoiłam go.

Zamiast odpowiedzi położył palce na klawiszach i zaczął grać, tyle że tym razem jego muzyka była głośna i twarda.

Strużka potu spłynęła mu po czole. Oddychał szybko, płytko. Zachowywał się, jakby chciał się zamęczyć. Wreszcie skończył, tym razem waląc otwartymi dłońmi w klawiaturę.

- Przepraszam - wybuchnął. - Nie powinienem był zmuszać babki, by cię zapraszała.

- Dlaczego?

Wolno odwrócił głowę.

- Bo to tylko męka - odparł. - Mam prawie trzydzieści lat, a jesteś pierwszą kobietą, jakiej dotykam. Babka i ciotka trzymały mnie w naftalinie - dodał z goryczą. - Gdybym nie urządził awantury, babka by cię tu dzisiaj nie zaprosiła.

- To straszne. Nie mają prawa robić z ciebie więźnia w twoim własnym domu.

- Owszem, można mnie nazwać więźniem, lecz nie dom jest moim więzieniem. To myśli trzymają mnie w niewoli!

-krzyknął, zasłaniając twarz dłońmi.

Jęknął głośno. Położyłam mu rękę na ramieniu. Oderwał dłonie od twarzy i spytał:

- Nie boisz się mnie? Nie budzę w tobie odrazy?

- Ależ skąd.

- Litujesz się nade mną, przyznaj - zapytał gorzko.

- Tak, w pewnym sensie, ale zarazem podziwiam twój talent - dodałam.

Jego twarz złagodniała, głęboko zaczerpnął tchu.

- Chcę znowu widzieć. Lekarze twierdzą, że boję się odzyskać wzrok. A ty sądzisz, że to możliwe?

- Chyba tak.

- Czy kiedykolwiek uciekłaś przed czymś, czemu nie mogłaś stawić czoła?

- O, tak.

- Opowiesz mi kiedyś o tym? Wrócisz?

- Tak, jeśli znów tego zapragniesz. Uśmiechnął się.

- Napisałem dla ciebie melodię. Chcesz jej posłuchać?

- Naprawdę? Ależ tak, proszę.

Zaczął grać. Była to cudownie kołysząca melodia, która, nie do wiary, przeniosła mnie nad rozlewiska. Słyszałam szum wody, widziałam cudowne ptaki i kwiaty.

- Jest bardzo piękna - powiedziałam, gdy skończył. -Ogromnie mi się podoba.

- Zatyłowałem ją „Ruby”. Powiem nauczycielowi, żeby ją zapisał na papierze nutowym i przy następnej twojej wizycie ofiaruję ci ją, jeśli zechcesz.

- Bardzo chcę. Dziękuję.

- Chciałbym cię bliżej poznać... I bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak to się stało, że wychowałaś się wśród Caju-nów, a oto mieszkasz w zamożnej, kreolskiej rodzinie w Garden District.

- To długa historia.

- Tym lepiej. Niech to przypomina Szecherezadę i jej tysiąc i jedną noc... Opowieść, która będzie ciągnąć się w nieskończoność, tak byś nieustannie tu się pojawiała.

Roześmiałam się, a on znowu dotknął palcami mojej twarzy i obrysował nimi moje usta, tyle że tym razem zatrzymał

je dłużej.

- Czy mogę cię pocałować? - spytał. - Nigdy jeszcze nie całowałem dziewczyny.

- Tak - przystałam, sama nie wiedząc, czemu pozwałam mu na tak intymne pieszczoty.

Pochylił się nade mną, a ja poprowadziłam go rękami do moich ust. To był krótki pocałunek, ale i tak sprawił, że Louis zaczął szybko chwytać powietrze. Opuścił ręce na moje piersi i ponownie schylił się, by mnie pocałować, tym razem dłużej dotykając wargami moich ust i równocześnie le-ciuteńko jak piórko muskając dłońmi moje piersi. Próbo-wał odsłonić mój biust, cały drżał.

- Louisie, nie powinniśmy...

To podziałało na niego jak policzek. Nie tylko odsunął się, ale wstał z miejsca.

- Nie, nie powinniśmy. Pora, byś wracała - wybuchnął gniewnie.

- Nie chciałam...

- Czego nie chciałaś? - krzyknął. - Zrobić ze mnie idioty? A mimo to ci się udało. W końcu stoję tu rozpalony, gotowy, czyż nie?

Jedno spojrzenie wystarczyło mi, by stwierdzić, że tak.

- Louis.

- Powiedz babce, że poczułem się po prostu zmęczony. Opuścił ramiona i ruszył w stronę drzwi.

- Louis, poczeka! - zawołałam, ale się nie zatrzymał. Wyszedł. Zalała mnie fala litości. Podbiegłam do drzwi i rozejrzałam się za nim po korytarzu. Pochłonęła go ta sama ciemność, którą miał przed oczami i po chwili zniknął.

Nastuchiwałam echa jego kroków, ale wszędzie panowała cisza. Zaciekawiona ruszyłam dalej w głąb domu, minęłam kolejny, mniejszy salonik, zakręciłam i stanęłam przy pierwszych drzwiach. Zastukałam lekko.

- Louis?

Nie usłyszałam odpowiedzi, ale i tak nacisnęłam klamkę. Drzwi otworzyły się i zobaczyłam przed sobą piękną, przestronną sypialnię pośrodku której stało olbrzymie łóżo z baldachimem, osłonięte moskitierą. W pokoju unosił się zapach wilgotnej żyznej ziemi. Zauważyłam, że w wazonach stoją zwiędłe kwiaty. Na nocnych szafkach płonęły dwie lampki, przypominające zabytkowe lampy oliwne. Nie dawały wiele światła, zaledwie tyle, że dostrzegłam na łóżku

coś, co w pierwszej chwili wzięłam za sylwetkę leżącej osoby, a co po bliższym przyjrzeniu okazało się rozłożoną damską koszulą nocną.

Już miałam się wycofać, kiedy nagle po prawej stronie rozwarły się drzwi przyległego pokoju i stanął w nich Louis.

Chciałam do niego zawołać, ale on jęczał, pięściami zasłonił oczy i padł na kolana. Oniemiała



przyglądałam się tej scenie, cała drżąca tkwiłam w progu. Louis oplótł się ramionami i przez chwilę kołysał się, po czym chwycił klamkę i wstał z klęczek. Ze spuszczoną głową odwrócił się i wyszedł. Odczekałam chwilę, jeszcze raz przyjrzałam się sypialni, potem wycofałam się, cicho zamykając za sobą drzwi.

Niemal na paluszkach wróciłam do środkowej części domu, aż w końcu dotarłam do salonu, w którym poprzedniego dnia odbywał się podwieczorek. Pani Clairborne siedziała na swoim krześle, wpatrując się w portret męża.

- Przepraszam - odezwałam się.

Wolno odwróciła się w moją stronę. Wydawało mi się, że widzę łzy na jej bladych policzkach.

- Louis powiedział, że czuje się zmęczony i poszedł do siebie.

- Och. Dobrze - odparła, wstając. - Twój kierowca czeka przed domem, by odwieźć cię do internatu.

- Jeszcze raz dziękuję za kolację.

Przy wyjściu wyrósł nagle Otis i otworzył przede mną drzwi.

- Dobranoc panience - powiedział, kłaniając mi się.

- Dobranoc.

Podbiegłam do samochodu. Buck szybko wyskoczył ze środka i otworzył drzwiczki.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał.

Nie odpowiedziałam. Wsiadłam. Zatrzasnął drzwiczki. Kiedy ruszaliśmy, obejrzałam się na tę imponującą budowlę.

Louis i jego babka są niewyobrażalnie bogaci, nie znam równie majątnej i uprzywilejowanej rodziny - pomyślałam sobie. - Ale to wcale nie oznacza, że nieszczęścia omijają ich dom.

Jakże żałowałam, że babunia Catherine już nie żyje. Przyprowadziłabym ją tu potajemnie którejs nocy, dotknę-

łaby Louisa, by odzyskał wzrok i wyleczył się z melancholii. A wiele lat później zostałabym zaproszona na koncert do jakiejś wspaniałej sali koncertowej. Przed końcem występu Louis wstałby od fortepianu i zapowiedział, że następny utwór został skomponowany przez niego dla kogoś zupełnie wyjątkowego. .

- Nosi tytuł: „Ruby” - oznajmiłby i zacząłby grać, a ja poczułabym się jak ktoś, kto nagle wkroczył w światła jupi-terów. „, , .

Babunia z pewnością rzekłaby, że to tylko mrzonki, sny równie ulotne jak bańki mydlane. Ale potem

smutno potrząsnęłyby głową i dodała: „Ty przynajmniej możesz marzyć. Ale ten biedny chłopiec... On żyje w domu zupełnie pozbawionym marzeń. Zaiste, otacza go ciemność”.

Tyle nakazów i zakazów

Zgodnie z obietnicą, pani Penny czekała na mnie w salonie naszego domu. Na mój widok zerwała się i podbiegła mnie przywitać. W oczach jej błyszczało podniecenie i oczekiwanie.

- Jak się udała kolacja? - zawołała.

- Było bardzo miło, proszę pani - odparłam, patrząc ponad jej ramieniem na dziewczęta z kwartału A i B oglądające telewizję. Większość odwróciła się w moją stronę z ciekawością.

- Tylko miło? - spytała rozczarowana.

Wyglądała jak dziewczynka, której zakomunikowano że nie dostanie loda. Wiedziałam, że spodziewała się zachwyty, me kończącej się listy przymiotników, ale nie byłam w nastroju.

- Co podała pani Clairborne? - rozjaśniła się, zadając kolejne pytanie.

- Owoce morza - odparłam, nie wspominając, że przyrządzono je na cajuński sposób. - Och, i *creme brulee* z pomarańcz na deser - dorzuciłam.

To jej się spodobało.

- Byłam przekonana, że poda coś wyjątkowego. A co robiłyście potem? Czy siedziałyście gawędząc w tym samym saloniku, w którym odbywają się herbatki, czy też pani Clairborne wybrała jeden z przeszklonych tarasów?

- Słuchałam gry Louisa. Potem on się zmęczył i wróciłam do bursy - zrelacjonowałam.

Skinęła głową.

- To zaszczyt - powtarzała, nie przestając kiwać głową - prawdziwe wyróżnienie. Powinnaś być z siebie dumna.

Bo zostałam zaproszona na kolację? Czyż nie jest większym powodem do chluby namalowanie pięknego obrazu bądź uzyskanie dobrej oceny? - miałam ochotę spytać, ale tylko się uśmiechnęłam i przeprosiwszy ją, pobiegłam do siebie.

Kiedy znalazłam się w naszym kwartale, zastałam Gisselle ze swoim dworem we wspólnym salonie. Po rumieńcach na twarzach Samanty, Kate i Jackie domyśliłam się, że moja siostra opisywała jakieś swoje wyczyny seksualne z nowoorleańskich czasów. Dziewczęta z niechęcią spojrzwały na mnie, niezadowolone, że przerywam tę ekscytującą opowieść, ale ja nie zamierzałam do nich dołączyć.

- Spójrzcie, ktoś to wrócił - zadrwiła Gisselle. - Księżniczka Greenwood.

Zawtórował jej gromki wybuch śmiechu.

- Jak minął wieczór, wasza książęca mość?

- Przestańże wreszcie robić z siebie idiotkę, Gisselle -rozzłościłam się.

- Och, przepraszam waszą książęcą mość. Nie chciałam urazić waszej książęcej łaskowości - ciągnęła, a każdemu jej zdaniu towarzyszył kolejny wybuch radości jej wielbicielk. - My, biedny plebs, spędziłyśmy dość nieciekawego wieczór, z wyjątkiem jednej krótkiej chwili, kiedy to niechcący wylałam porcję gorącej zupy na Patti Denning.

-Znowu wszystkie parsknęły śmiechem. - Co tam u Louisa? Tyle przynajmniej możesz nam powiedzieć.

- Ma się dobrze - odparłam.

- Obmacywałaś się z nim po ciemku? - dopytywała się.

Niestety nie zdołałam powstrzymać rumieńca, który natychmiast pojawił się na moich policzkach. Gisselle wbiła we mnie badawczy wzrok.

- No więc, obmacywałaś się?

- Przestań! - wrzasnęłam, biegnąc szybko do swojego pokoju i z całej siły zatrzęsłam za sobą drzwi, by nie słyszeć śmiechu dziewczyn.

Abby spojrzała na mnie znad podręcznika, zaskoczona moim gwałtownym wejściem.

- Co się stało?

- Gisselle - wyjaśniłam krótko.

Abby prychnęła ze zrozumieniem. Wyprostowała się i zamknęła książkę, leżącą na kolanach.

- Jak się udała kolacja?

-Och, Abby - zawołałam. - Było tak... dziwnie. Pani Clairborne wcale nie życzyła sobie mojej wizyty.

Skinęła głową, jakby od samego początku to wiedziała.

- A Louis?

- To człowiek przytłoczony cierpieniem... Ogromnie utalentowany, wrażliwy ale tak poraniony, tak pokrecony jak wodorost, który dostał się w śrubę łodzi - odparłam.

A potem usiadłam i zrelacjonowałam jej wszystko, co się wydarzyło. Obie nas ogarnął smutek, a

kiedy już rozebrałyśmy się i wskoczyłyśmy do łóżek, jeszcze wiele godzin przegadałyśmy, wspominając swoje dzieje.

Opowiedziałam jej więcej o Paulu i o strasliwym bólu, jaki czułam, gdy się okazało, że ten tak bliski mi chłopiec jest moim bratem przyrodnim. Ów okropny żart, jaki spletał mi los, porównała z tym, co przeżyła, gdy dowiedziała się o swoim pochodzeniu.

-Wygląda na to, że obie stałyśmy się ofiarami wydarzeń, na które nie miałyśmy wpływu... Tak jakby to właśnie nam kazano płacić za grzechy rodziców i dziadków. To takie niesprawiedliwe. Należało dać nam szansę zacząć od początku.

- Nawet Louisowi - dodałam.

- Tak - odparła w zadumie - nawet Louisowi. Zamknęłam oczy i zapadłam w sen kołysana dźwiękami jego utworu zatytułowanego „Ruby”.

Następny tydzień rozpoczął się dość spokojnie. Zanosiło się, że tak właśnie będą upływać wszystkie tygodnie. Nawet Gisselle jakby się wyciszyła i rzeczywiście wzięła do nauki. Zauważyłam ogromną zmianę w jej zachowaniu w szkole. Na tych dwóch przedmiotach, na które uczęszczałyśmy razem, siedziała spokojnie i uważnie słuchała. Co więcej raz po angielskim wprawiła mnie w osłupienie, kiedy to ni stąd, ni zowąd zatrzymała swój dwór i kazała Samancie podnieść papierki po gumie do żucia, które ktoś

rzucił w pobliżu fontanny. Oczywiście, nadal królowała w kantynie, zachowując się niczym udzielna księżna, której słowa należy chłonąć z nabożną czcią, i jak to zwykle ona, złośliwie komentowała różne wydarzenia szkolne, co wzbudzało głośnie wybuchy śmiechu wśród zgromadzonych wokół niej wiernych słuchaczek.

Zniknęła natomiast kąśliwość i arogancja, z jaką dotychczas odnosiła się do nauczycieli i odpowiadała na pytania w czasie lekcji. Dwukrotnie, kiedy na korytarzu stała pani Ironwood, przyglądając się, jak uczennice spędzają przerwę, kazała nawet Samancie zatrzymać wózek, by mogła ukłonić się Żelaznej Damie, która z zadowoleniem odpowiedziała na pozdrowienie.

A mimo to obserwacja tak niezwykłego, wzorowego zachowania siostry przypominała mi pilnowanie gotującego się mleka. Ono musiało kiedyś wykipieć, unieść pokrywkę i zalać płomieniem. Zdołałam już na tyle dobrze poznać Gisselle, by wiedzieć, że nie wolno ufać jej obietnicom, uśmiechom i czułym słówkom, które spływały z tych chytrze wykrzywionych usteczek.

To, co się wkrótce wydarzyło, początkowo nie miało z nią żadnego związku. Musiałam dopiero spróbować przeniknąć kręte dróżki, którymi podążał zepsuty umysł mej siostry, nim zdołałam zrozumieć, do czego zdążyła. Mimo pozorów przystosowania się do sytuacji, Gisselle nie zamierzała się z nią pogodzić, o czym szybko się przekonałam.

Nadal uparcie dążyła do tego, by wrócić do swoich starych przyjaciół oraz obyczajów.

W środę rano w czasie zajęć z socjologii zawiadomiono mnie, że pani Ironwood życzy sobie, bym

stawiała się w jej gabinecie. Zawsze gdy ktoś został w czasie lekcji wezwany do dyrektorki, pozostałe uczennice patrzyły na delikwent-kę ze współczuciem i ulgą, że to nie na nie padło. Po pierwszym spotkaniu z Żelazną Damą doskonale rozumiałam ich strach. Mimo to nie okazałam niepokoju. Spokojnie wstałam i poszłam do gabinetu. Oczywiście, gdy tam dotarłam, serce waliło mi jak młotem. Jedno spojrzenie na wyraz twarzy pani Randle upewniło mnie, że mam kłopoty.

- Chwileczkę - burknęła, jakby stanowiła przedłużenie pani Ironwood, wierne odbicie jej nastroju, myśli, złości lub zadowolenia.

Zapukała do drzwi i niemal szeptem zapowiedziała moje przybycie. Potem zamknęła drzwi i siadła za biurkiem, podczas gdy ja stałam, czekając. Pani Randle całą uwagę skupiła na swoich papierach. Przystępowałam z nogi na nogę i ciężko wzdychałam. Minęła prawie minuta, nim pani Ironwood otworzyła drzwi.

- Wejdz - rozkazała.

Zerknęłam na panią Randle, która podniosła wzrok i natychmiast spuściła oczy, jakby patrzenie na mnie groziło równie strasznymi konsekwencjami jak te, jakie dotknęły żonę Lota, która obejrzała się na Sodomę i została zamieniona w słup soli.

Weszłam do gabinetu. Pani Ironwood zamknęła drzwi i podeszła do biurka.

- Usiądź - rozkazała.

Zajęłam miejsce i czekałam. Zmierzyła mnie twardym spojrzeniem.

- Wydawać by się mogło - zaczęła - że minęło tyle czasu od rozpoczęcia roku szkolnego, że nie jest niedorzecznością oczekiwać, by każda nowa uczennica zdążyła już zapoznać się z regulaminem szkoły w Greenwood, zwłaszcza jeśli owa uczennica wyróżnia się inteligencją i bystrością. Czy mam rację?

- Niewątpliwie tak.

- Czy zapoznałaś się z jego treścią?

- Tak, choć nie nauczyłam się go na pamięć - odparłam. Chyba za ostro, bowiem jej oczy zwięziły się w szparki, a twarz pobladła. Zmarszczka na czole jeszcze bardziej się pogłębiła.

- Nie żądam, by uczono się go na pamięć i recytowano. Żądam, by go przeczytano, zrozumiano i przestrzegano.

Wyprostowała się, z trzaskiem otworzyła książkę, gwałtownie przerzucając strony. Znalazszy odpowiednią kartkę, odłożyła regulamin na biurko.

- Rozdział siedemnasty, punkt drugi, dotyczy opuszczania terenu Greenwood. Wpisana w poczet uczniów osoba nie może opuścić terenów należących do szkoły, o ile nie posiada pisemnej zgody rodziców, którą należy złożyć wraz z innymi dokumentami w dyrekcji.

- Powody, które kryją się za tym przepisem są dość proste - ciągnęła, spoglądając na mnie znad książki. - Przyjmując uczennicę, bierzemy również na siebie odpowiedzialność za jej zdrowie i bezpieczeństwo. Gdyby przytrafiło ci się jakieś nieszczęście, w momencie kiedy nie znajdujesz się pod naszą bezpośrednią opieką, to na nas spadłby ciężar winy, że przystaliśmy na twoje zachcianki.

- Zwykle nie uważam za konieczne wyjaśniania pobudek, jakie nami kierują, lecz w tym wypadku, w twoim konkretnym wypadku, zrobiłam to, byś zrozumiała, że - jak osoby twojego pokroju najczęściej twierdzą - nie uwzięłam się na ciebie.

- Twoja nauczycielka - kontynuowała - powinna wiedzieć, że nie wolno było jej zabierać cię swoim samochodem.

Otrzymała już naganę z wpisem do akt personalnych. Kiedy wygaśnie jej umowa o pracę, weźmiemy to pod uwagę przy rozważaniu ewentualnego przedłużenia kontraktu.

Wpatrywałam się w nią bez słowa. Z trudem chwytałam powietrze, nie nadążałam za jej wywodem, to wszystko działo się za szybko. A więc pani Penny mnie zdradziła -pomyślałam. - Chociaż obiecała, że tego nie zrobi. W ten sposób ściągnęła kłopoty na mnie oraz na pannę Stevens.

- To niesprawiedliwe. Panna Stevens chciała tylko stworzyć mi okazję do malowania. Przecież nie pojechaliśmy do jakichś zakazanych miejsc, byliśmy...

- Zabrała cię na lunch, prawda? - przerwała pani Ironwood, wbijając we mnie twarde spojrzenie.

- Tak - przyznałam.

Coś twardego, ciężkiego dławilo mi pierś, tak że nie mogłam oddychać.

- A gdybyś się zatrula? Jak myślisz, na kogo spadłaby odpowiedzialność? Na nas - odpowiedziała sobie sama. -Co więcej, twoi rodzice mogliby nas pozwać do sądu!

- Nie wstąpiłyśmy przecież do żadnej mordowni, lecz...

- Nie o to tu chodzi, prawda?

Znowu wyprostowała się i znowu utkwiała we mnie lodowate spojrzenie swoich stalowych oczu.

- Znam dobrze takie jak ty - ciągnęła z pogardą.

- Dlaczego pani ciągle w ten sposób się o mnie wyraża? - wybuchnęłam, nie mogąc już dłużej tego znieść. -- Nie jestem „taką”. Jestem człowiekiem, istotą obdarzoną duszą i rozumem, dokładnie taką samą jak inne dziewczęta, które uczęszczają do tej szkoły.

Roześmiała się.

- Pochlebiasz sobie. Pochodzeniu żadnej z moich uczennic niczego nie można zarzucić. Żadnej z wyjątkiem ciebie.

Tylko ty masz skazę na pochodzeniu. Co więcej, drzewo genealogiczne ponad osiemdziesięciu procent naszych uczennic sięga korzeniami do którejś ze stu *filles a la cassette*, dziewcząt z kuferkami, przywiezionych do Luizjany.

- Ród mojego ojca wywodzi się od jednej z nich - przypomniałam, choć zasadniczo nie przywiązuję wagi do takich rzeczy.

- Ale twoja matka była Cajunką. Gorzej, nawet i tej krwi nie miała czystej. Nie - podjęła, kręcąc głową - znam takie jak ty, znam wasz charakter. Twoja zepsuta krew objawia się w bardziej subtelny, ukryty sposób. Szybko wyczuwasz, kogo najłatwiej zranić, odkrywasz ludzkie słabości i żerujesz na nich niczym jakiś bagienny pasożyt.

Twarz mi płonęła, a krew tak dudniła w skroniach, że bałam się, iż lada chwila rozsadzi mi czaszkę. Nim jednak zdążyłam odpowiedzieć, ponownie przemówiła, tym razem odsłaniając prawdziwy powód, dla którego mnie wezwała.

- Właśnie po takiej jak ty można się spodziewać, że wykorzysta mego biednego kuzyna Louisa, by zdobyć kolejne zaproszenie na kolację u mojej ciotki.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

- To nieprawda - zaprotestowałam.

- Czyżby? - uśmiechnęła się kąśliwie. - Wiele młodych kobiet marzyło, by zdobyć serce Louisa i dzięki temu w przyszłości stać się dziedziczką jego fortuny, tej szkoły oraz wszystkich majątkości. Bo poza tym trudno chyba uznać ślepcę za wymarzonego kandydata na męża, prawda?

Ale on jest wrażliwy. Właśnie dlatego tak ostrożnie dobierałyśmy mu towarzystwo.

- Niestety, udało ci się bez wiedzy mej ciotki zrobić na nim wrażenie, choć nie licz, że z tej mąki powstanie jakiś chleb - ostrzegła.

- Bynajmniej nie o to mi chodziło. W ogóle nie chciałam iść na tę kolację - wybuchnęłam.

Zaskoczona szerzej otworzyła oczy, a na jej wargach pojawił się uśmiech niedowierzania.

- Nie chciałam - ciągnęłam - ale zrobiło mi się żal Louisa i...

- Co?! Zrobiło ci się żal Louisa?! Tobie? - roześmiała się szyderczo. - Nie martw się o niego. Świetnie sobie poradzi.

- Nie, nie poradzi. Nie powinno się go trzymać zamkniętego w tym domu niczym larwę w kokonie. Powinien spotykać się z ludźmi, a zwłaszcza z młodymi kobietami i...

- Jak śmiesz, jaką masz czelność sugerować, co jest dobre dla mojego kuzyna, a co złe! Nie chcę więcej słyszeć z twoich ust choćby jednego słowa na jego temat, zrozumiałaś? Zrozumiałaś? - pytam.

Odwróciłam wzrok, pod powiekami szczypały mnie łzy gniewu i rozpacz.

- Teraz więc - podjęła - skoro, w co ani przez chwilę nie wątpię, cała szkoła już wie, że pogwałciłaś rozdział

siedemnasty naszego regulaminu, musisz zostać ukarana. Przewinienie tej wagi pociąga za sobą karę dwudziestu punktów, co oznacza automatyczne wykluczenie na dwa tygodnie z życia towarzyskiego. Ponieważ jednak po raz pierwszy złamałaś regulamin, a także ponieważ część winy spada również na twoją nauczycielkę, zmniejszam karę do jednego tygodnia. Od dziś do końca kary codziennie bezpośrednio po zajęciach masz stawiać się w bursie i przebywać tam przez cały weekend. Jeśli choć na minutę ją opuścisz, nie pozostanie mi nic innego, jak usunąć cię z listy naszych uczennic, co z pewnością nie pozostanie bez wpływu na twoją biedną, kaleką siostrę.

Zimne jak lód łzy spływały mi po policzkach. Usta mi drżały, w gardle tkwiła kula.

- Możesz już wrócić na lekcje - zakończyła pani Ironwo-od, z trzaskiem zamykając regulamin.

Wstałam, choć nogi się pode mną ugiwały. Chciałam wykrzyknąć jej w twarz całą prawdę, co o niej myślę, ale oczami wyobraźni zobaczyłam rozczarowaną twarz taty i usłyszałam smutek w jego głosie. Właśnie tego życzyłaby sobie Daphne - pomyślałam. - Potwierdziłabym jej oskarżenia i przysporzyłabym tacie więcej bólu.

Przełknęłam zniewagi i ból, i wyszłam z gabinetu dyrektorki.

Do końca dnia czułam się jak ogłuszona. Miałam wrażenie, że zamiast serca mam w piersi lodowaty głaz. Porusza-

łam się jak automat, mechanicznie notowałam wykłady, przechodziłam z klasy do klasy, patrząc prosto przed siebie, nie rozglądając się na prawo ani na lewo, nie słuchając rozmów koleżanek.

W czasie lunchu opowiedziałam Abby, co się wydarzyło.

- Najbardziej zabolą mnie zdrada pani Penny - zakończyłam.

- Widocznie ją zastraszo - broniła jej Abby.

- Nie mogę jej za to winić. Żelazna Dama potrafiłaby przerazić śmiertelnie nawet aligatora.

Abby parsknęła śmiechem.

- Przez cały weekend też nigdzie się nie ruszę - obiecała.

- Nie musisz tego robić: narzucać sobie areszt, ponieważ mnie niesprawiedliwie ukarano.

- Ale ja chcę. Założę się, że zrobiłabyś to samo, gdybym znalazła się w podobnej sytuacji.

Próbowałam zaprzeczyć, ale ona tylko się roześmiała.



- Poza tym spędzania czasu z tobą nie uważam za karę -przerwała moje protesty.

Uśmiechnęłam się, w sercu czułam radość, że tak szybko udało mi się znaleźć prawdziwą przyjaciółkę.

Kiedy jednak weszłam do pracowni plastycznej, poczułam się, jakbym połknęła kubek kijanek. Panna Stevens tylko na mnie spojrzała i natychmiast podeszła do mojej ławki.

- Nie przejmuj się - szepnęła. - Nic mi nie będzie. Nie martwię się o siebie, ale boli mnie, że wpakowałam cię w tarapaty.

- A mnie, że przeze mnie pani ma kłopoty. Roześmiała się.

- Wygląda na to, że będziemy musiały pójść za radą Louisa i zająć się malowaniem stawu. W końcu znajduje się on na terenie szkoły. Oczywiście, dopóki nie dostaniesz pozwolenia od rodziców.

- Na pewno nie w tym tygodniu - stwierdziłam.

- A na razie masz tu swój szkic znad rzeki, nad którym musisz jeszcze popracować. - Uścisnęła mi rękę. - Zresztą od artystów nikt nie oczekuje, że mają się dobrze sprawować i postępować zgodnie z nakazami. Jesteśmy impulsywni i nieobliczalni. Bez tego nie moglibyśmy tworzyć.

Znowu poprawiła mi nastrój i nie myślałam już o karze ani o rozmowie z panią Ironwood, póki nie wróciłam do domu i nie zobaczyłam pani Penny, ustawiającej coś w salonie. Od razu napadłam na nią.

- Wydawało mi się, że zawarliśmy umowę - zaczęłam ostro. - Zdaje się, że pani się na coś zgodziła.

- Umowę? - uśmiechnęła się, nie rozumiejąc. - Jaką umowę masz na myśli, kochanie?

- Zdaje się, iż uzgodniłyśmy, że nie powie pani nikomu o mojej wyprawie nad rzekę z panną Stevens.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

- Nie powiedziałam. Dręczyło mnie to, ale nie powiedziałam. Dlaczego uważasz, że nie dotrzymałam obietnicy? -

Chwyciła się za serce. - Czyżby pani Ironwood się dowiedziała?

- Tak. Przez najbliższy tydzień mam nie opuszczać bursy. Żadnych kontaktów towarzyskich. Nie wątpię, że wkrótce zostanie pani o tym powiadomiona.

- Ojej, ojej - wzdychała, chwytając się to za pulchne policzki, to za serce. - To znaczy, że lada chwila mnie wezwie, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie wiedziałam o sprawie i dlaczego jej nie poinformowałam, skoro już ją odkryłam.

Ojej.

- Niech pani powie, że się wymknęłam - poradziłam szybko. - Że nic pani o tym nie wiedziała. Potwierdzą to, jeśli mnie spyta.

- Nie lubię kłamać. Znasz przysłowie: od rzemyczka do koziczka.

- Nie skłamię pani.

- Nie dopełniłam obowiązku. Ojej.

Odeszła, zadręczając się myślami, co powinna zrobić. Dopiero wieczorem, kiedy miałam okazję porozmawiać z Gisselle sam na sam w jej pokoju, odkryłam prawdę.

- No i co, masz już wreszcie dość tego okropnego miejsca? - spytała, gdy zrelacjonowałam jej moją rozmowę z panią Ironwood. - W takim razie może teraz powiesz tatusiowi, żeby nas stąd zabrał i żebyśmy wróciły do naszej starej szkoły.

Na jej twarzy pojawił się przymilny, chytry uśmieszek.

- Nadal chcę się stąd wynieść, chociaż Żelazna Dama lubi mnie bardziej niż ciebie. Można by wręcz stwierdzić, że stare z nas przyjaciółki - zachichotała drwiąco.

I wtedy stało się jasne, dlaczego udawała wzorową uczennicę, dlaczego tak świetnie się zachowywała. Wkupiła się dyrektorce w łaski, po czym doniosła jej o mojej wyprawie z panną Stevens.

- To ty nas wsypałaś, Gisselle? Przez ciebie ja i panna Stevens mamy poważne kłopoty.

- A niby po co miałabym to robić? - spytała, odwracając wzrok.

- Choćby po to, żebym została ukarana i poczuła się tu źle, dzięki czemu może udałoby ci się mnie namówić, bym poprosiła tatę, żeby nas stąd zabrał. A poza tym dlatego, że nieustannie jesteś o mnie zazdrosna - odparłam.

- Ja? Zazdrosna o ciebie? - Wybuchnęła śmiechem. - A czegoż to mam ci zazdrościć? Chociaż jestem na wózku inwalidzkim, ciągle o niebo cię przewyższam. Ty nadal masz za sobą lata spędzone na bagnach. Wlecze się za tobą twoja cajuńska przeszłość i twoja cajuńska rodzinka - oświadczyła z pogardą. - Więc jak? Zadzwońisz do taty, czy nie?

- Nie - odparłam. - Nie złamię mu serca i nie dam Daphne satysfakcji, że znowu z nami wygrała.

- Och, to twoje idiotyczne współzawodnictwo z Daphne. Dlaczego nie chcesz wrócić do naszej szkoły, gdzie nie ma Żelaznej Damy ani tych kretyńskich zakazów, gdzie są chłopcy i można się zabawić? - naciskała.

- Jeśli chodzi o ciebie - odparowałam, nie mogąc już dłużej wytrzymać - na brak zabawy nie możesz narzekać.

Nieustannie się bawisz: moim albo czyimś kosztem.

Do pokoju weszła Samanta, ale zawahała się zobaczywszy moją minę i usłyszawszy podniesione głosy.

- Och, przepraszam. Chciałyście zostać same?

- Bynajmniej - powiedziałam, jeszcze nie ochłonawszy. - Ale na twoim miejscu od tej pory ogromnie bym uważała na to, co mówię i robię.

- Jak to? Dlaczego? - nie zrozumiała Samanta. Zmierzyłam moją siostrę wściekłym wejrzeniem.

- Dziwnym trafem wszystko, co tu się dzieje, dociera do pani Ironwood - odparłam i opuściłam pokój.

Lecz Gisselle mogła sycić się swoim zwycięstwem jeszcze tego samego dnia, kiedy zadzwonił Beau. Nie mógł już doczekać się najbliższej soboty, kiedy to miał przyjechać do Greenwood. A ja w tym całym zamieszaniu na śmierć o tym zapomniałam. Serce mi krwawiło; łzy płynęły mi po policzkach, kiedy opowiedziałam mu, co się wydarzyło.

- Och, Beau, nie możesz przyjechać w tę sobotę. Nie mogę się z tobą spotkać. Zostałam ukarana i nie wolno mi opuszczać internatu.

- Jak to? Dlaczego?

Urywającym głosem, szlochając, opowiedziałam mu o wszystkim.

- Och, tylko nie to. W przyszłym tygodniu mamy mecz wyjazdowy. Wobec tego przyjadę nie wcześniej niż za dwa tygodnie.

- Przepraszam, Beau. Masz prawo o mnie zapomnieć, poszukać sobie kogoś innego.

- Nie zrobię tego, Ruby - obiecał. - Codziennie wkładam twoje zdjęcie do kieszeni koszuli, tak by cię mieć tuż przy sercu. W szkole często wyjmuję je i patrzę na ciebie. Czasem - wyznał - nawet rozmawiam z tobą poprzez tę fotografię.

- Och, Beau, tak tęsknię za tobą.

- A może udałoby ci się jakoś wymknąć i...

- Nie, ona o niczym innym nie marzy, Beau. Zresztą, nawet gdyby nikt się nie dowiedział, Gisselle z rozkoszą by wszystko wypaplała, żeby tylko wyrzuceno mnie ze szkoły.

- W tym całkowicie się z nią solidaryzuję.

- Wiem, ale tata zupełnie by się załamał, a wolę nawet nie myśleć o problemach rodzinnych, jakie by to spowodowało. Daphne z pewnością wymyśliłaby dla mnie i dla Gisselle coś jeszcze gorszego.

Beau roześmiał się.

- Zgoda - ustąpił. - W takim razie tylko do ciebie zadzwonię i już od zaraz zacznę zaklinać staruszkę Czas, by szybciej płynął.

Odwiesiłam słuchawkę i stałam szlochając. Zauważyła to pani Penny i podbiegła do mnie.

- Co znowu się stało, kochanie? - spytała.

- Wszystko, proszę pani. - Pięścią otarłam łzy i westchnęłam. - Po pierwsze, chodzi o mojego chłopca. Miał

przyjechać do mnie w sobotę i właśnie musiałam mu zakomunikować, że nic z tego.

- Och! Och! - jęknęła, szeroko otwierając oczy. - Rozmawiałaś z nim przez telefon?

- Tak. Czy to coś złego?

Rozejrzała się po korytarzu i pokręciła głową.

- Nie wolno ci tego robić, Ruby. Przez tydzień nie wolno ci rozmawiać przez telefon w celach towarzyskich. Pani Ironwood jasno dała mi to do zrozumienia.

- Co takiego? Nawet nie wolno mi dzwonić?

- Jeśli tylko po to, by sobie pogawędzić, nie. Przykro mi. Tego tylko brakowało, żeby znowu stało się coś, co rozzłości panią Ironwood. Może mnie zwolnić - zafrasowała się. - Powieszę informację na tablicy, żeby wszystkie dziewczęta wiedziały, że nie wolno cię prosić do telefonu. Przykro mi. Jeśli ktoś do ciebie zadzwoni, ja będę odbierać telefon i wszystko wyjaśnię. Ale wolno mi przekazywać tylko wiadomości i pozdrowienia.

Smutno zwiesiłam głowę. A może Gisselle ma rację. Może lepiej uciec z Greenwood i spróbować dogadać się jakoś z Daphne. Czułam się wewnętrznie rozdarta. Z jednej strony serce płakało nad tatą i tym, co się z nim może stać, z drugiej nad Beau i pięknymi chwilami, jakie wspólnie przeżyliśmy.

Wróciłam do pokoju, by wypłakać się w poduszkę i robić to samo, co obiecał czynić Beau: modlić się do staruszkę Czasu, by szybciej odmierzał minuty, godziny, dni.

Dalszą część tygodnia przebrnęłam, szykując się do weekendu, który miałam spędzić w domowym areście, kiedy wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. W piątek wieczorem po kolacji, gdy większość dziewcząt udała się do auli oglądać film, w moim pokoju pojawiła się pani Penny. Siedziałyśmy z Abby grając w scrabble oraz słuchając muzyki, gdy nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Podniosłam głowę i zobaczyłam naszą opiekunkę, bardzo zmieszaną i wzburzoną.

- Był do ciebie telefon - oznajmiła.

Pomyślałam, że to pewnie znów dzwonił Beau, ale widząc, że pani Penny stoi wyłamując palce i

nerwowo przygryzając wargę, zerknęłam porozumiewawczo na Abby, po czym zwróciłam się do pani Penny:

- Słucham panią?

- Dzwonił wnuk pani Clairborne, Louis.

- Louis! Czego chciał?

- Chciał z tobą rozmawiać. Wyjaśniłam, dlaczego nie możesz podejść, a on stał się bardzo...

- Bardzo jaki, proszę pani?

- Niemiły - relacjonowała, nie ukrywając zakłopotania. - Starłam się wytłumaczyć, że nie mam na to wpływu, że zmiana decyzji nie leży w moich kompetencjach, ale on...

- Co on?

- Zaczął wrzeszczeć i oskarżać mnie, że uczestniczę w jakimś spisku uknutym przez panią Ironwood. Słowo daję

-nikt nigdy nie odzywał się do mnie w ten sposób. W końcu trzasnął słuchawką. Jeszcze teraz przechodzą mnie dreszcze - powiedziała, zaplatając ramiona.

- Proszę się tak tym nie przejmować. Sama pani przecież powiedziała, że nie ma na to wpływu.

- Oczywiście, nigdy przedtem z nim nie rozmawiałam. Nigdy...

- Proszę o tym zapomnieć. A kiedy już moja kara się skończy, postaram się z nim skontaktować i dowiedzieć, o co mu chodziło.

-Dobrze. Ale, ileż w nim złości. Jestem taka... wstrząśnięta - zakończyła i wyszła.

- Jak sądzisz, czego od ciebie chciał? - spytała Abby. Wzruszyłam ramionami.

- Rozumiem, dlaczego uważa to wszystko za spisek. Babka i Żelazna Dama kontrolują jego najmniejszy ruch, a zwłaszcza jego znajomości. Pani Ironwood jasno dała mi do zrozumienia, że nie spodobała jej się moja obecność na kolacji w rezydencji Clairborne'ów.

Wyglądało jednak na to, że kontrola, jaką panie Clair-borne oraz Ironwood roztaczały nad Louisem, słabła, bowiem następnego dnia z samego rana ponownie zjawiała się u mnie pani Penny z najnowszymi wiadomościami. Najwyraźniej była pod ich ogromnym wrażeniem. Ledwie skończyłyśmy się z Abby ubierać, a już stała pod naszymi drzwiami.

- Dzień dobry. Przyszłam natychmiast, żeby ci to powiedzieć.

- Co powiedzieć, proszę pani?

- Pani Ironwood osobiście do mnie zadzwoniła i zakomunikowała, że dziś rano wolno ci będzie wyjść na dwie godziny.

- Wyjść? Dokąd? - spytałam.

- Do rezydencji pani Clairborne - wyjaśniła.

- Pozwoli mi wyjść i pojechać do rezydencji? Spojrzałam na Abby, która sprawiała wrażenie równie zdumionej, jak ja.

- Ale dlaczego?

- Louis - brzmiała odpowiedź pani Penny. - Przypuszczam, że nalega, by się dziś z tobą zobaczyć.

- Ale może ja nie chcę się z nim zobaczyć - odparłam. Pani Penny aż rozchyliła usta zaszokowana. - Nie dostałam pozwolenia, by spotkać się z moim chłopcem, który może do mnie przyjechać dopiero za dwa tygodnie, a który, by tu dotrzeć, musi jechać wiele godzin samochodem, a pozwala mi udać się do rezydencji pani Clairborne. Ta rodzinka zupełnie lekceważy sobie uczucia innych: wybierają ludzi,

a potem odrzucają, traktując jak pionki na swojej prywatnej szachownicy - poskarżyłam się i opadłam na łozko. Pani Penny wyłamywała palce i kręciła głową.

- Ależ Ależ to musi być coś ogromnie ważnego, skoro pani Ironwood zgodziła się uchylić ci karę. Jak mogłabyś odmówić? Wtedy z pewnością ich gniew skrupiłby się na mnie - zaszantażowała. - Winiliby mnie za wszystko.

- Och, pani Penny, nie mogą pani o nic obwiniać.

- Owszem, mogą. To ja zataiłam fakt, że opuściłaś teren szkoły, pamiętasz? Od tego wszystko się zaczęło - lamentowała.

Strach, w jakim żyli wszyscy w Greenwood, budził we

mnie obrzydzenie. .

- Niech będzie - ustąpiłam. - Kiedy mam tam jechać.

- Po śniadaniu - odetchnęła z ulgą. - Buck postawi samochód.

Nadal niezadowolona i rozdrażniona przebrałam się w coś bardziej odpowiedniego i zeszłam z Abby na śniadanie.

Usłyszawszy, dokąd się wybieram po posiłku, Gisselle urządziła jedną ze swych klasycznych scen, zwracając uwagę wszystkich dziewcząt na nas obie.

- Gdzie byś nie poszła, co byś nie robiła, zawsze otrzymujesz taryfę ulgową, traktują cię jak

królownę! Nawet Żelazna Dama robi dla ciebie wyjątki!

- Nie sądzę, by pani Ironwood robiła to ze względu na mnie ani żeby czuła się tym faktem uszczęśliwiona - odparłam, ale Gisselle widziała tylko jedno: wypuszczono mnie z ctrcsztu."

- Cóż, jeśli kiedykolwiek któraś z nas zostanie ukarana, przypomnimy jej o tym - zagroziła, ciskając gniewne spojrzenia.

Po śniadaniu wyszłam z budynku i wsiadłam do samochodu. Buck prawie się nie odzywał, mruknął tylko coś, że nie ma czasu zajmować się własną pracą, bo ciągle mu ktoś przeszkadza. Najwyraźniej nikogo nie cieszyła moja na-rzucona wizyta. Pani Clairborne nawet się me pojawiła, by mnie przywitać. To Otis zaprowadził mnie długim korytarzem do salonu muzycznego, gdzie przy fortepianie czekał Louis.

- Panna Dumas - zapowiedział lokaj i zostawił nas samych.

Ubrany w szary, jedwabny smoking, białą bawełnianą koszulę oraz ciemnoszare flanelowe spodnie Louis uniósł

głowę.

- Wejdz, proszę - odezwał się, uświadomiwszy sobie, że nadal stoję w progu.

- O co chodzi, Louis? - spytałam, nie ukrywając rozdrażnienia. - Dlaczego zażądałeś, by mnie tu ściągnięto?

- Wiem, że jesteś na mnie zła - tłumaczył się. - Potraktowałem cię paskudnie i masz prawo być na mnie wściekła.

Obraziłem cię, a potem uciekłem. Chciałem jeszcze raz zobaczyć się z tobą, by móc osobiście cię przeprosić. Choć oczywiście nie mogę cię widzieć - dodał z nikłym uśmiechem.

- Nic się nie stało. Nie byłam na ciebie zła.

- Wiem. Litowałaś się nade mną i pewnie na to zasługuję. Jestem żaloszny. Nie - uciał moje próby zaprzeczania. - Nie czuję się dotknięty. Rozumiem to i akceptuję. Zasłużyłem na politowanie. Tkwię tu, roztkliwiając się nad sobą, dlaczegóż więc inni nie mieliby patrzeć na mnie z góry?

- Tyle że... Wyczułem w tobie coś, co mnie przyciągnęło, sprawiło, że nieco mniej się boję śmiechu i kpiny: a wszak tylko tego mógłbym oczekiwać od większości dziewcząt w twoim wieku, zwłaszcza tych cudów wcielonych, które uczęszczają do szkoły babki.

- Nie śmiałyby się z ciebie, Louisie. Nawet śmietanka towarzyska, potomkinie w prostej linii „dziewcząt z kuferkami" - zauważyłam kpiąco.

Uśmiechnął się szerzej.

- Właśnie to chciałem usłyszeć. Myślimy podobnie. Jesteś inna. Czuję, że mogę ci zaufać.  
Przepraszam, że musiałaś odnieść wrażenie, że jesteś wzywana przed oblicze władcy - dodał szybko.

- Właściwie nie chodziło o to, ale o to, że ukarano mnie i... -Tak? Dlaczego zostałeś ukarana?  
Przypuszczam, że okazałaś się wyjątkowo niegrzeczną dziewczynką...

- Nie wydaje mi się.

Opowiedziałam mu o moim wypadzie nad rzekę. Parsknął pogardliwie.



# -1 to wszystko?

Chciałam mu powiedzieć więcej - o tym, jak jego ciotka potraktowała mnie za spotkanie z nim - ale uznałam, że lepiej nie dolewać oliwy do ognia. Wyglądał na uspokojonego- No i dobrze, trochę postawiłem się okoniem, wielkie rzeczy. Ciotka jakoś to przeżyje. Po raz pierwszy ją o coś poprosiłem. Oczywiście, babka nie była uszczęśliwiona.

- Założę się, że było to coś więcej niż małe postawienie się okoniem - stwierdziłam, podchodząc bliżej. - Założę się, że urządziłeś małe piekło.

Roześmiał się.

- Maleńkie.

Milczał chwilę, potem dał mi kilka kartek papieru nutowego.

- Proszę, oto twoja melodia.

Na pierwszej stronie widniał tytuł: „Ruby”.

- Miałabyś ochotę przejść się ze mną po ogrodzie? - spytał. - A raczej poprowadzić mnie po ogrodzie?

- Tak, chętnie.

Wstał i podał mi ramię.

- Wyjdź na taras i skręć w lewo - pokierował mną. Wsunął mi rękę pod ramię i wyprowadziłam go na dwór.

Był ciepły, nieco pochmurny ranek, wiał delikatny wietrzyk. Louis ze zdumiewającą dokładnością opisywał

fontanny, wiszące paprocie, filodendrony, dęby, bambusy i szpalery pyszniących się fioletowymi kwiatami glicynii.

Rozpoznawał wszystko po zapachu, także kamelie i magnolie. Całą okolicę poznawał po zapachach i dzięki temu doskonale wiedział, kiedy dotarliśmy do tarasowych drzwi po zachodniej stronie domu, wiodących do jego pokoju.

- Od śmierci rodziców nie wchodził tu nikt z wyjątkiem pokojówek, Otisa i babki. Pragnąłbym, byś ty - o ile zechcesz - stała się pierwszą osobą z zewnątrz, która przekroczy ten próg - powiedział.

- Tak, chętnie - odparłam.

Otworzył drzwi od strony tarasu i znaleźliśmy się w dość dużej sypialni, w której stały mahoniowe

meble: komódka, szafa i łóżko. Wszędzie panował nienaganny porządek, jak-

by dopiero co wyszła stąd pokojówka. Nad komódką wisiał portret ładnej blondynki.

- To portret twojej matki? -Tak.

- Była bardzo piękna.

- Tak, była - odparł z bólem.

Nie zauważyłam żadnych zdjęć ojca ani wspólnych fotografii rodziców. Oprócz portretu na ścianach wisiały tylko pejzaże przedstawiające rzekę. Na komódce też nie stały żadne zdjęcia. Czyżby kazał usunąć wszystkie fotografie ojca?

Zerknęłam na zamknięte drzwi, które łączyły to pomieszczenie z drugim pokojem - domyślałam się, że z sypialnią jego rodziców - tym samym, w którym tamtej nocy tak się zwijał w cierpieniu i męce.

- Co sądzisz o celi, którą sobie sam narzuciłem?

- Miły pokój. Meble wyglądają, jakby były zupełnie nowe. Jesteś wyjątkowo schludny.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał. Wypuścił moją rękę i podszedł do łóżka. Przeciągnął ręką po mahoniowym zwieńczeniu.

- Spałem w tym łóżku, od kiedy ukończyłem trzy lata. Te drzwi - dodał, odwracając się w ich stronę - prowadzą do sypialni rodziców. Sprząta się tam tak samo, jak w każdej innej, używanej sypialni.

- Miło musiało się dorastać w takim pokoju - stwierdziłam.

Serce zaczęło mi kołatać, jakby wyczuło coś, co przeoczył wzrok. -I tak, i nie.

Wargi mu się wykrzywiły, gdy zmagął się ze wspomnieniami. Podszedł do drzwi i oparł o nie rękę.

- Przez długie, długie lata te drzwi nigdy nie były zamykane na klucz - podjął. - Mama i ja... zawsze byliśmy sobie ogromnie bliscy. Często rankiem - ciągnął odwrócony twarzą do drzwi, takim tonem jakby sceny z przeszłości odżywały mu przed oczami - kiedy tata już wstał i poszedł do pracy, przychodziła i kładła się przy mnie w łóżku, tuląc mnie mocno, żebym budził się w jej ramionach. A jeśli cokolwiek mnie wystraszyło - choćby i w środku nocy, czy 0 świcie - przychodziła albo pozwalała mi przyjść do siebie.

Wolno obrócił się w moją stronę.

-To była jedyna kobieta, przy której boku kiedykolwiek leżałem. Czyż to nie smutne?

- Nie jesteś stary, Louisie. Znajdziesz kogoś, kogo pokochasz.

Roześmiał się dziwnym, piskliwym śmiechem. -Któż by mnie pokochał? Jestem nie tylko ślepy...

ale i pokręcony, brzydki i pokręcony jak garbus z katedry Notre Dame.

- Skądże znowu. Jesteś przystojny i bardzo utalentowany.

- A także bogaty, nie zapominaj o tym.

Z powrotem podszedł do łóżka, przytrzymał się słupka od baldachimu. Potem delikatnie przeciągnął ręką po narzucie.

-Leżałem tutaj, licząc, że do mnie przyjdzie, a kiedy nie przychodziła, udawałem, że wystraszył mnie jakiś koszmar, byle tylko ją tu ściągnąć - wyznał. - Czy to takie okropne?

- Ależ nie, skądże.

- Mój ojciec uważał, że tak - odparł gniewnie. - Zawsze się na nią wściekał, że mnie rozpuscita i poświęca mi zbyt wiele uwagi.

Ja, która nigdy nie miałam matki, nie potrafiłam sobie wyobrazić, by matka mogła nadmiernie rozpieszczać dziecko, ale wydawało mi się to dość przyjemną wadą.

- Był zazdrosny - ciągnął Louis.

- O matkę i dziecko? Naprawdę?

Odwrócił się i utkwiał wzrok w portrecie matki, tak jakby mógł go widzieć.

- Uważał, że jestem za duży na takie matczyne pieszczoty. Mama nadal do mnie przychodziła albo ja przychodziłem do niej, kiedy miałem osiem... dziewięć... dziesięć lat. I nawet wtedy, gdy skończyłem trzynaście - dodał. - Czy było w tym coś złego? - spytał, gwałtownie obracając się w swoją stronę. Moje wahanie sprawiło, że na jego twarzy pojawił się ból. - Ty też tak sądzisz, prawda?

- Nie - szepnęłam.

- Owszem, sądzisz tak. - Usiadł na łóżku. - Myślałem, że mogę ci o tym opowiedzieć. Myślałem, że zrozumiesz.

- Ja to rozumiem, Louis. Nie myślę o tobie źle. Przykro mi, że twój ojciec tak uważał.

Z nadzieją podniósł głowę.

- Nie myślisz o mnie źle?

- Oczywiście, że nie. Cóż bardziej naturalnego, niż to, że matka i syn kochają się, pocieszają w bólu?

- Nawet jeśli... udawałem, że cierpię, byle tylko do mnie przysłała?

- Myślę, że tak - odparłam, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Uchyliłem drzwi - ciągnął a potem wracałem do łóżka i kładłem się o tak.

Ułożył się w pozycji embriona.

- Później cicho płakałem.

Zaczął popiskiwać jak małe dziecko.

- Podejdź do drzwi - nakazał. - No, podejdź. Proszę cię. Zrobiłam, o co prosił. Serce kołatało mi coraz mocniej.

Coraz mniej rozumiałam z tego, co mówił i robił Louis.

- Otwórz je. Chcę usłyszeć skrzywienie zawiasów.

- Dlaczego?

- Proszę - zaklinał, więc ustąpiłam. Wyglądał na takiego szczęśliwego. - A potem usłyszałem jak mówi: „Louis?

Kochanie? Płaczesz, malutki?”.

- „Tak, mamusiu”, odpowiadałem.

- „Nie płacz, kochanie”, uspokajała. Zawahał się i odwrócił głowę w moją stronę.

- Powtórz jej słowa - prosił. - Możesz? Milczałam.

- Proszę - błagał.

Czując się jak idiotka, odrobinę wystraszona, usłuchałam.

- Nie płacz, kochanie - wykrztusiłam.

- To jest silniejsze ode mnie, mamusiu. - Wyciągnął rękę. - Weź mnie za rękę - błagał. - Tylko to.

Wzięłam go za rękę, a on przyciągnął mnie do siebie.

- Połóż się przy mnie na chwilkę. Na jedną chwilkę. Udawaj, że jesteś moją mamą. A ja twoim malutkim Louisem.

Udawaj.

- Ale dlaczego?

- Proszę - nie ustępował, kurczowo ściskając moją rękę. Usiadłam, a on dalej przyciągał mnie do siebie.

- Przychodziła właśnie tak, a ja gładziłem ją po ramionach, podczas gdy ona głaskała mnie po głowie, całowała po buzi. Potem pozwałała, bym dotykał jej piersi - mówił, wodząc ręką po moim biuście. Właśnie tego ode mnie chciała. Robiłem tylko to, czego ode mnie chciała! Czy to było złe? Czy to było złe?!

- Louis, uspokój się - zaklinałam. - Zameczasz się tymi wspomnieniami.

- I wtedy kładła rękę tu - ciągnął, chwytając mnie za prawy nadgarstek i wsuwając sobie moją rękę między nogi, gdzie poczułam jego wzbierającą erekcję. Wyrwałam dłoń, jakbym dotknęła rozpalonego żelaza.

Po policzkach popłynęły mu łzy.

- A mój ojciec... Przyłapał nas tak któregoś dnia i bardzo się rozzłościł. Zamknął te drzwi na klucz, a kiedy płakałem, wchodził i bił mnie rzemiennym pasem. Raz zbił mnie tak strasznie, że miałem ślady na całych plecach i nogach, tak że mama musiała potem smarować mnie maścią. A później znów próbowała zrobić mi dobrze.

- Ale ja nie mogłem i ona też była bardzo nieszczęśliwa. Myślała, że przestałem ją kochać.

Na jego twarzy pojawiła się wściekłość. Potem wargi zaczęły mu drżeć, z trudem artykułował słowa, słowa, które go prześladowały. W końcu wyrzucił je z siebie:

- Dlatego próbowała zrobić z innego chłopca swojego synka i ojciec się o tym dowiedział.

Chwycił moją dłoń, przysunął do ust, twarzy, potem jej wierzchem gładził sobie policzki.

- Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, nawet lekarzowi, ale dłużej już tego nie mogę w sobie dusić. Gotuje się to we mnie, rozsadza brzuch, płuca. Przepraszam, że cię tu ściągnąłem i kazałem słuchać. Przepraszam.

- Już dobrze, Louisie - uspokajałam, drugą ręką gładząc go po głowie. - Już dobrze.

Rozszlochał się jeszcze głośniejsze. Otoczyłam go ramieniem i przytuliłam. W końcu uspokoił się i ucichł. Ułoży-

łam jego głowę na poduszce, ale kiedy chciałam wysunąć rękę z jego ręki, znowu mocniej mnie przytrzymał.

- Obawiam się, że i tę wizytę zepsułem, ale proszę, zostań jeszcze chwilkę. Małą chwilkę.

- Zgoda. Zostanę.

Uspokoił się. Oddychał równiej, ciszej. Kiedy zasnął, zsunęłam się z łóżka i na palcach wyszłam na taras. Szybkim krokiem przemierzyłam ogród, aż dotarłam do pokoju muzycznego. Potem wróciłam korytarzem do wyjścia. Po prawej stronie dostrzegłam jakiś cień. Obejrzałam się. Była to pani Clairborne, wyglądająca zza drzwi. Zatrzymałam się i zaczęłam się odwracać w jej stronę, ale ona

już je zamknęła. Zawahałam się przez moment i uciekłam z tego domu, pełnego cieni i bólu.

## Podjejrzenia

Kiedy wróciłam do budynku internatu, było mi tak ciężko na sercu, czułam się taka zagubiona, że ucieszyłam się, iż nie natknęłam się na Gisselle ani jej paczkę. Wyjątkowo nie czyhały w bawialni, by się na mnie rzucić, ledwo przekroczę próg mieszkania. Słuchając wyznań Louisa, miałam wrażenie, jakbym niechcący zawędrowała do konfesjonału i podsłuchiwała cudzej spowiedzi. Abby wystarczyło jedno spojrzenie na moją twarz, by zorientować się, że przeżyłam coś strasznego.

- Dobrze się czujesz? - spytała cicho.

- Tak - odparłam.

- Co się stało?

Potrząsnęłam głową. Nie mogłam się zmusić, by o tym rozmawiać, a ona to zrozumiała. Próbując zapomnieć o wydarzeniach poranka, pograżyłam się w nauce i całą moją uwagę pochłonęło przygotowanie do klasówek z matematyki i fizyki. Śmiertelny lęk ogarniał mnie na samą myśl, że będę musiała stawiać czoła kąśliwym uwagom i komentarzom mojej siostry. Nie wiem, czy chciała tylko pokazać, że to, co robię nic jej nie obchodzi, czy też rzeczywiście jej to nie interesowało, w każdym razie ani w czasie lunchu, ani przy kolacji nie pytała o wizytę u Clairborne'ów. Minę miała taką, jakby ciągle nie mogła przeboleć faktu, że złagodzone mi karę.

Niedzielny wieczór upłynął bardzo spokojnie. Jackie, Kate i Vicki poszły do szkolnej biblioteki, otwartej do dziewiątej, podczas gdy Gisselle z Samantą spędziły większość

czasu w pokoju albo w salonie, oglądając telewizję i rozmawiając z dziewczętami z innych kwartałów.

Przyszykowałam sobie gorącą kąpiel, wymoczyłam się w wodzie, a potem wcześniej położyłam do łóżka. Zanim zasnęłam, Abby ponownie spytała, czego chciał ode mnie Louis. Zacerpnięłam głęboko tchu, nim odpowiedziałam.

- Przede wszystkim przeprosić za swoje poprzednie zachowanie - wyjaśniłam.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób w ogóle opowiedzieć jej o tym, co mi wyznał na temat swego związku z matką i stosunków z ojcem.

- Odwiedzisz go jeszcze?

- Nie chcę - przyznałam. - Żal mi go, szczerze mu współczuję, lecz w tym wspaniałym domu kryje się więcej mrocznych zakątków i bagiennych pułapek niż na rozlewiskach. Bogactwo oraz arystokratyczne pochodzenie nie gwarantują szczęścia, Abby. Co więcej, bywa, że wtedy szczęście trudniej osiągnąć, bowiem człowieka przygniata ciężar zbyt wielkich oczekiwań.

Abby zgodziła się ze mną, a potem przyznała mi się do pewnego marzenia.

- Chciałabym, żeby rodzice przestali wreszcie ukrywać prawdę o moim pochodzeniu. Niech ludzie wiedzą, że jestem wnuczką Haitanki. Jestem nią, nie ma sensu wmawiać światu, że nie. Sądzę, że bylibyśmy szczęśliwsi, nie musząc niczego udawać.

- Każdy byłby szczęśliwszy - odparłam. Następnego dnia Louis nie zadzwonił i nie skontaktował się ze mną, ale we wtorek pani Penny przekazała mi list, który przyniósł do internatu. Tkwiła w progu, zapewne licząc, że otworzę go w jej obecności, ale ja tylko podziękowałam i odłożyłam go. Palce mi drżały, kiedy w chwilę po jej wyjściu rozdierałam kopertę.

*Droga Ruby,*

*pozwalam sobie naskrobać te parę słów, żeby Ci podziękować, iż zechciałaś mnie odwiedzić, mimo mojego nieprzyjemnego zachowania podczas pierwszej Twojej wizyty. Byłem zaskoczony, obudziwszy się w swoim pokoju, zapewne w wiele*

*godzin po tym, jak wyszłaś. Nie pamiętam, co mówiłem albo robiłem przed Twoim odejściem, ale mam nadzieję, że nie było to nic, co by Cię dotknęło.*

*A teraz bardzo radosna wiadomość. Wczoraj rano po przebudzeniu pierwszy raz dostrzegłem przed oczami lekką mgiełkę. Nie oznacza to oczywiście, że widzę, ale z pewnością odróżniam światło od cienia. Dla kogoś o zdrowych oczach może nie brzmi to imponująco, lecz dla mnie zakrawa na cud. Babcia też bardzo się cieszy, podobnie i mój lekarz, który życzy sobie, bym spędził jakiś czas w ośrodku dla niewidomych. Nie jestem jeszcze gotowy opuścić domu i tam się przenieść, tak więc nadal zadowolę się okresowymi wizytami lekarza u mnie. Dlatego też, gdybyś kiedykolwiek miała ochotę zajrzeć, znajdziesz mnie na miejscu. Bardzo bym chciał, by tak się stało. Mam nadzieję, że spodobała ci się melodia, którą dla ciebie ułożyłem.*

*Łączę wyrazy prawdziwego szacunku*

*Louis*

Odłożyłam kartkę do kasetki, w której trzymałam listy od Paula i Beau. Potem usiadłam i skreśliłam kilka słów, w których wyraziłam swą radość i nadzieję, że Louis rzeczywiście odzyska wzrok. Nie obiecałam, że go odwiedzę, a mimochodem tylko wspomniałam, że z pewnością wkrótce się spotkamy. Pani Penny obiecała, że dopilnuje, by list jak najszybciej dotarł do adresata.

W połowie tygodnia coraz wyraźniej zaczęło się odczuwać podniecenie przed zbliżającym się pierwszym wieczor-kciem tanecznym, który miał się odbyć w wigilię Wszystkich Świętych, zwykle łączoną z balem przebierańców.

Wieczorek stanowił właściwie jedyny temat rozmów przy kolacji. Ze zdziwieniem dowiedziałam się, że nie ma mowy o żadnych przebraniach. Właśnie rozprawiałam o tym z Abby, kiedy zobaczyłyśmy Vicki siedzącą w salonie i pogrążoną w lekturze biografii Andrew Jacksona. Spytałyśmy ją, skąd się wziął ten zakaz. Zła, że jej przerywamy, podniosła wzrok znad książki i zsunęła okulary na czubek nosa.

- Bo niektóre stroje, w jakich dziewczęta wystąpiły na poprzednich balach przebierańców, uznano za niestosowne.

Dlatego też postanowiono, że będą tylko tańce, a nie maskarada - wyjaśniła.

- Och, jaka szkoda - westchnęłam, wyobrażając sobie, jakie wspaniałe przebrania mogłybyśmy stworzyć wespół z panną Stevens.

Cały tydzień zostawałam po lekcjach, pomagając pannie Stevens, której powierzono zadanie udekorowania sali. Namalowałyśmy, a potem powycinałyśmy dynie, Baby Jagi, zjawy i duchy. W sobotę miałyśmy wraz z kilkoma osobami z komitetu organizacyjnego zawiesić je w sali, razem z bibułą, japońskimi lampionami i mnóstwem błyszczących ozdóbek.

- W takim razie jak mamy się ubrać? - spytała Abby.

- Jak chcecie, ale ostrzegam, że osoba, której sukienka zostanie uznana za zbyt wydekoltowaną albo wyzywającą, nie zostanie wpuszczona na salę.

- Naprawdę?

- Tak. Pani Ironwood stoi z boku i albo kiwa, albo kręci głową, a wtedy dyżurująca nauczycielka, zwykle jest to pani Brennan lub panna Weller, nasza bibliotekarka, wpuszcza cię lub zatrzymuje, każąc wracać do domu i przebrać się w coś bardziej odpowiedniego.

- Za nieodpowiednie uważa się dekolt, który choć odrobinę odsłania biust, spódnicę nie sięgającą kolan, a także zbyt obcisłą bluzkę czy sweter. Rok temu odesłano dziewczynę, bo miała zbyt przezroczystą bluzkę. Widać było zarys stanika.

- W takim razie może lepiej włożmy mundurki i dajmy sobie spokój - podsunęła zde gustowana Abby.

- Czy też zostanie to uznane za przebranie?

- Niektóre dziewczęta rzeczywiście ubierają się w mundurki.

- Zgrywasz się! - zawołałam. - Na tańce?

Vicki wzruszyła ramionami i przez chwilę zastanawiałam się, czy i ona nie należy do tego grona.

- Jak w ogóle to wszystko wygląda? - spytała Abby.

- Chłopcy stają po jednej stronie sali, my po drugiej. Na chwilę przedtem, nim odezwie się muzyka, albo w chwilę potem, podchodzą do nas i proszą do tańca. Oczywiście, muszą to robić we właściwy sposób.

- Oczywiście - powtórzyłam. Prychnęła.

- Nie czytaliście w regulaminie rozdziału dotyczącego odpowiedniego zachowania w czasie zabaw szkolnych? Naturalnie palenie papierosów i picie napojów wysokokowych jest zakazane, ale trzeba



pamiętać również i o tym, że tań-

czyć można w sposób do przyjęcia oraz nie do przyjęcia. Wyraźnie jest tam określone, że między tobą a partnerem podczas tańca powinien być co najmniej kilkucentymetrowy odstęp.

- Nie czytałam tego - przyznała Abby.

- Poszukaj. Jest w przypisach.

- W przypisach! - parsknęłam śmiechem. - A cóż takiego może się wydarzyć na parkiecie?

- Nie wiem - odparła Vicki - ale takie są przepisy. Nie wolno ci też wyjść sam na sam z chłopcem, ale wiele par omija ten zakaz. Wychodzą oddzielnie, a potem spotykają się gdzieś poza salą. Zresztą tańce trwają dokładnie dwie i pół

godziny, a po upływie tego czasu pani Ironwood ogłasza koniec zabawy. Chłopcy wsiadają do autobusów, dziewczęta wracają do internatu. Część dziewcząt odprowadza poznanych chłopców do autokarów, ale pani Ironwood pilnie obserwuje, jak się żegnają. Namiętne pocałunki są absolutnie zakazane, a gdyby przyłapała którąś na tym, że pozwala się obmacywać, dziewczyna dostanie punkty karne, co może się skończyć zakazem uczestnictwa w następnej zabawie.

- Pani Ironwood powinna udać się na którąś z zabaw na rozlewiskach - szepnęłam do Abby, która wybuchnęła śmiechem.

Vicki zmarszczyła brwi.

- Za to - podsumowała - jedzenie zazwyczaj jest ogromnie smakowite.

- Brzmi to... nadzwyczaj podniecająco - stwierdziła Abby i obie zaczęłyśmy chichotać. Zdegustowana Vicki powróciła do lektury.

Ale mimo tych wszystkich zakazów i ograniczeń oraz perspektywy szpiegowania przez czujne oko pani Ironwood i pozostałych nauczycielek, wszystkie z narastającym podnieceniem wyglądałyśmy końca tygodnia.

Gisselle, u której fakt, że nie może tańczyć, zwykle budzi! gorycz, z wyjątkowym entuzjazmem podchodziła do przygotowań balowych. Jej oddane słuchaczki coraz częściej otaczały ją ścisłym kółkiem, by wysłuchać rad doświadczonej w męsko-damskich zabawach koleżanki. Najwyraźniej sprawiało jej prawdziwą przyjemność zapoznawanie ich ze swoimi osiągnięciami kokietki oraz ze sztuczkami, które wykorzystywała, by zwrócić na siebie uwagę chłopca, droczyć się z nim i prowokować. Cały czwartkowy i piątkowy wieczór przesiedziała we wspólnym pokoju ucząc Jackie, Samantę i Kate, jak chodzić, zaglądać przez ramię, trzepotać rękami, jak stworzyć okazję, by musnąć biustem tors chłopca, który wpadnie im w oko. Vicki stała w progu, przyglądając się temu wszystkiemu ponuro, choć równocześnie obserwowała i słuchała z miną kogoś, kto pragnęłyby skosztować zakazanego owocu. Ja i Abby trzymałyśmy się z boku, podśmiewając się, ale bez komentarzy, by nie sprowokować Gisselle do jednej z jej złośliwych tyrad.

I oto w sobotni poranek, kiedy właśnie miałam wyjść pomóc w przygotowywaniu sali, Gisselle zaskoczyła mnie; ni stąd, ni zowąd pojawiła się w naszym pokoju, by pogawędzić z Abby. Towarzyszyła jej Samanta.

- Oczywiście wiem, że to nie moja sprawa, ale naprawdę powinnaś zostawić włosy rozpuszczone, tylko lekko podpiąć je z boku, odsłaniając czoło i twarz. Przeprowadziłyśmy głosowanie i wszystkie uznałyśmy, że jesteś z nas najładniejsza, Abby - oznajmiła. - Masz największe szanse stać się dzisiaj królową balu, co napełniłoby nas prawdziwą dumą.

Abby na chwilę odebrało mowę. Wymieniłyśmy porozumiewawcze uśmiechy, po czym ja zerknęłam podejrzliwie na Gisselle. Cóż tym razem uknuła moja siostra? - zastanawiałam się.

- Proszę - powiedziała, ofiarowując Abby białą, jedwabną wstążkę. - Będzie wspaniale kontrastować z hebanową czernią twoich włosów.

Abby z wahaniem przyjęła wstążkę. Przez chwilę przyglądała jej się uważnie, jakby bała się, że wybuchnie jej w rękę, ale była to tylko ładna, jedwabna wstążka.

- Ubierasz się na niebiesko czy różowo? - spytała ją Gisselle.

- Chyba włożę moją ciemnoniebieską sukienkę. Ona jedna jest na tyle długa, że nie wbudzi niezadowolenia pani Ironwood - dodała ze śmiechem.

- Dobry wybór - pochwaliła Gisselle. - A ty co wybrałaś, Ruby?

- Myślałam o tej soczystozielonej.

- W takim razie ja też włożę taką samą. Dziś wieczorem będziemy prawdziwymi bliźniaczkami. A może wyjdźmy wszystkie razem, tak by wkroczyć na salę całym kwartałem? - zaproponowała.

Abby i ja popatrzyłyśmy na siebie. Na naszych twarzach nadal malowały się zaskoczenie i nieufność.

- Zgoda - odparłam.

Gisselle pchnęła wózek do wyjścia.

- Och - odezwała się jeszcze. - Omal nie zapomniałam. Susan Peck opowiadała swojemu bratu o Abby. Chłopak nie może się doczekać, kiedy ją pozna. Pamiętajcie, jak wszyscy zachwycali się Jonatanem Peckiem? Podobno jest rozrywany, kiedy przyjeżdżają do nas chłopcy z Rosewood.

- Susan? - zdziwiła się Abby. - Nie przypominam sobie, żeby choć raz się do mnie odezwała.

- Jest nieśmiała - wyjaśniła Gisselle. - Ale nie Jonatan - dodała, puszczając oko.

Przyglądałyśmy się, jak wykręca wózkiem, a potem czeka, aż Samanta odwiezie ją do pokoju.

- Co tu jest grane? - spytała Abby.

- Nie pytaj mnie. Moja siostra jest bardziej tajemnicza niż sowa wychylająca się zza zarośli na moczarach. Niczego nie zauważysz, póki nie podejdziesz bliżej, a wtedy zwykle jest już za późno.

Abby roześmiała się.

- Ale wstążka jest ładna - przyznała, potem przewiązała nią włosy i przyjrzała się swemu odbiciu. - Chyba rzeczywi-

ście ją włożę.

Z godziny na godzinę wszystkim udzielał się nastrój podniecenia. Dziewczęta biegały jedna do drugiej, żeby się obejrzeć, pochwalić nową sukienką, pantoflami, bransoletką, wisiorkiem czy poradzić w kwestiach fryzury i makijażu. Regulamin dopuszczał makijaż na zabawach, pod warunkiem, że dziewczęta nie przeholują i nie będą, jak to określono, „przypominać clownów”.

Pokój Gisselle i Samanty przypominał salę tronową, przez którą przemaszerowywały kolejne dziewczęta, jakby chciały oddać pokłon najbardziej doświadczonej mieszkance naszego domu. Mimo kalectwa Gisselle siedziała dumnie rozparta w wózku i aprobowała lub odrzucała stroje, uczesania, nawet makijaż, jakby całe życie przepracowała w garderobach Hollywoodu.

- W tej szkole co druga to zacofana - szepnęła mi do ucha, kiedy spotkałyśmy się w korytarzu. - Jedna z dziewcząt była przekonana, że orgazm to coś, co ma związek z rolnictwem. Rozumiesz? Orgazm.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Właściwie byłam szczęśliwa, że Gisselle tak dobrze się bawi. Lękałam się, że w miarę zbliżania się potańcówki, Gisselle będzie ogarniał coraz większy smutek i żal, a tymczasem stało się zupełnie inaczej; poczułam prawdziwą ulgę. Osobiście nie zamierzałam znaleźć sobie chłopca ani szukać przygody ale me mogłam się doczekać odmiany, jaką przyniesie sama zabawa. Tak naprawdę to zależało mi jedynie na przyjeździe Beau. Postanowiłam, że nie zrobię nic, co mogłoby odsunąć wizytę, na którą tak długo czekałam.

Późnym popołudniem, gdy skończyłam już dekorowanie sali i wróciłam do pokoju, zadzwonił tata. Gisselle pierwsza dorwała się do telefonu i tak długo z nim rozprawiała, tak wiele miejsca poświęciła dzisiejszej zabawie, że kiedy ja przejęłam słuchawkę, tata śmiał się ubawiony.

- Przyjadę do was w środę - obiecał.

Choć w jego głosie brzmiała radość z faktu, że Gisselle najwyraźniej zaaklimatyzowała się w Greenwood, dosłyszałam też w nim coś, co sprawiło, że serce mi się ścisnęło

- Jak się czujesz, tato? - spytałam.

- Dobrze. Jestem tylko odrobinę przemęczony. Za dużo pracowałem. W firmie pojawił się problem, z którym musiałem się uporać.

- W takim razie może lepiej nie przyjeżdżaj, tato, a zamiast tego odpocznij.

- Nie ma mowy. Od bardzo dawna nie widziałem już moich dziewczynek. Nie mogę ich zaniedbywać

- odparł ze śmiechem, który zaraz przeszedł w kaszel. - To uparte przeziębienie - wyjaśnił szybko. - Cóż, bawcie się dobrze.

Niedługo się spotkamy - zakończył, zanim zdołałam dokładniej wypytać go o zdrowie.

Zaniepokoiła mnie ta rozmowa, ale nie miałam czasu głębiej się nad tym zastanowić. Czas gonił. Pora umyć się, przebrać i uczesać. Tak rzadko trafiała się w Greenwood okazja do zabawy, że wszystkie chciałyśmy jak najbardziej się nią nacieszyć, uczynić z tego prawdziwe święto.

\* \* \*

Zgodnie z uprzednią sugestią Gisselle wszystkie dziewczęta z naszego kwartału wyszły razem i wspólnie udałyśmy się na zabawę. Gisselle była gotowa o wpół do ósmej. Pchana przez Samantę, otwierała nasz pochód, kiedy szłyśmy do sali gimnastycznej, rozmawiając z ożywieniem. Wszystkie, nawet Vicki, która zwykle nie dbała o fryzurę ani o strój, wyglądałyśmy ładnie. Czujemy się, jakbyśmy weszły do swoich pokoi jako identyczne, bure larwy, a wynurzyły się z nich jak motyle; każda inna, każda piękna.

Dzięki wysiłkom panny Stevens i naszego komitetu, to samo można było powiedzieć o sali gimnastycznej.

Dekoracje, światła, połyskliwe ozdoby sprawiły, że zmieniła się ona w oszałamiającą salę balową. W głębi, w lewym rogu, stała sześćoosobowa orkiestra; wszyscy muzycy w krawatach, w smokingach. Obok znajdowało się niewielkie podium z mikrofonem, skąd pani Ironwood miała ogłaszać swoje komunikaty i skąd miała zostać obwołana, a potem ukoronowana, królową balu. Trofeum, złota statuetka tańczącej uczennicy Greenwood, lśniła na środku stolika.

Po prawej stronie stały długie stoły, na których ustawiono dania przygotowane przez nasze kucharki. Na jednym królowały słodczyce: ciastka, przeróżne wypieki, od migdałowych herbatników, po pierniczki w polowie karmelowej oraz tradycyjny placek z dyni i bułeczki. Były też naleśniki, pączki, wybór nadziewanych czekoladek i chrupki orzechowe.

- Już wiem, gdzie rozbijesz się obozem, prawda, Chomik? - zakpiła Gisselle, gdy tylko zobaczyłyśmy ten stół

Kate spłonęła rumieńcem.

- Postanowiłam być dzisiaj grzeczną dziewczynką i nie przesadzić.

- Nie przynudzaj - brzmiała odpowiedź Gisselle. Weszłyśmy razem na salę. U wejścia wszystkie opiekunki zmierzyły nas wzrokiem od stóp do głów, podczas gdy po

ewej stronie stała pani Ironwood, chłodnym spojrzeniem lustrując każdą ze swych podopiecznych, upewniając się czy prezentuje się właściwie. Nauczyciele stali obok niej i częściej kręciła się przy stołach z jedzeniem.

Po lewej stronie sali ustawiono krzesła dla dziewcząt z Greenwood, po prawej dla chłopców z

Rosewood. Podobnie jak reszta dziewcząt, w oczekiwaniu na przybycie chłopców z Rosewood, najpierw skierowałyśmy się do stołów gdzie stały wazy z napojem owocowym, wzięłyśmy kubki' napiłyśmy się i wróciłyśmy na swoje miejsca. Tuż przed osmą wpadła Suzette Huppe, koleżanka z kwartału C z naszego domu, z wieścią, że właśnie podjechały autokary z Rosewood. Gwar ucichł i z napięciem patrzyłyśmy na procesję wchodzących chłopców.

Wszyscy byli ubrani w ciemnoniebieskie marynarki i także spodnie. Na kieszeni marynarki widniały insygnia ich szkoły: złota tarcza i łacińska inskrypcja, która - jak wyjaśniła nam Vicki - oznaczała: „Doskonałość naszą tradycją”

Ponoć stanowiły one kopię oryginalnego herbu rodziny Ro-sewoodow, pochodzącej z Anglii.

Wszyscy chłopcy byli elegancy, schludnie, prawie identycznie ostrzyżeni. Podobnie jak dziewczęta z Greenwood zgromadzili się w grupkach. Nerwowo zerkali na drugą stronę sali. Ci, którzy zauważyli dziewczęta, poznane na poprzednich zabawach, machali im na powitanie. Potem wszyscy stłoczyli się wokół waz z napojami i napełnili szklanki Kiedy wkroczyła ostatnia grupa chłopców, sala rozbrzmiewała już śmiechem i gwarem rozmów.

- Jest Jonatan. - Jackie pokazała go ruchem głowy.

Wszystkie spojrzałyśmy na wysokiego, przystojnego bruneta, który najwyraźniej był przywódcą otaczającej go grupki. Opalony, o szerokich barach, wyglądał jak amant filmowy. Nic dziwnego, że dziewczęta z Greenwood za nim szalały. A on zachowywał się, mówił i poruszał tak, jakby doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wyczuwałam w nim tę arogancję, jaką odziedziczyli niektórzy potomkowie arystokratycznych rodów Południa. Z pogardliwym uśmieszkiem wodził wzrokiem po dziewczętach, mruknął coś do kolegów, którzy wybuchnęli głośnym rechotem, po czym przyjął wyczekującą pozę, jakby cały ten wieczorek zorganizowano wyłącznie na jego cześć.

Wszyscy umilkli, kiedy pani Ironwood stanęła na podium, by przywitać gości z Rosewood.

- Nie ma chyba potrzeby przypominać wam, że wy wszyscy, te oto młode damy i ci młodzi dżentelmeni, pochodzicie z najbardziej szacownych rodów oraz uczęszczacie do dwóch najbardziej poważanych szkół w tym stanie, o ile nie w całym kraju. Nie wątpię, że będziecie się zachowywać odpowiednio - dając tym samym dowód, iż jesteście chlubą swoich rodzin. Dokładnie za godzinę przerwę tańce, byśmy mogli skosztować wszystkich pyszności przygotowanych na tę okazję przez nasze kucharki.

Dała znak prowadzącemu, który polecił rozpocząć grać orkiestrze. Co odważniejsi chłopcy od razu ruszyli w naszą stronę. Stopniowo i pozostali zebrali się na odwagę, podchodząc do kolejnych dziewcząt i prosząc je do tańca. Kiedy Jonatan Peck zbliżył się do nas, wszystkie sądziłyśmy, że poprosi Abby, tak jak to zapowiadała Gisselle; on tymczasem zaskoczył nas wszystkie, skłoniwszy się przede mną i mnie prosząc do tańca. Zerknęłam na Abby, która się uśmiechnęła, posłałam przeciągłe spojrzenie Gisselle, siedzącej z zadowoloną miną, a potem ujęłam Jonatana pod ramię. Zaprowadził mnie na środek sali, potem prawą rękę położył mi na plecach, a lewą umieścił, zgodnie z kanonami sztuki tanecznej, na wysokości brody. Z precyzją wyszkolonego tancerza poprowadził mnie, poruszając się w rytm muzyki. Wpatrywał się we mnie, a z jego twarzy ani na chwilę nie

zniknęła pewność siebie.

- Nazywam się Jonatan Peck - odezwał się po chwili.

- Ruby Dumas.

- Wiem. Moja siostra opowiadała mi o tobie i twojej siostrze bliźniacze, Gisselle.

- Naprawdę? I co takiego mówiła?

- Same dobre rzeczy - odparł, mrugając znacząco. - Jak już się zapewne przekonałaś, każda siostra z Greenwood ma w Rosewood brata. My, chłopcy z Rosewood, znamy wszystkie wasze sekrety i sekreciki. Niczego przed nami nie ukryjcie - dodał z przechwałą w głosie i zerknął na Gisselle, która zdążyła już skupić wokół siebie kilku chłopców.

Ale mnie najbardziej zaskoczył widok Abby. Stała osamotniona na uboczu. Nikt nie poprosił jej do tańca. Żaden z chłopców nie okazał najmniejszego zainteresowania moją przyjaciółką. A przecież nawet Kate znalazła partnera.

- Wiem na przykład - ciągnął - że uważasz się za malarzkę. Zgadza się?

- Wcale nie uważam się za malarzkę. Jestem nią - odparowałam.

Uśmiechnął się i odrzucił głowę, wybuchając krótkim, jak dla mnie zanadto afektowanym, śmiechem.

- Oczywiście. Jesteś malarką. Cóż za brak wychowania z mojej strony, twierdzić inaczej.

- A czym ty się zajmujesz oprócz tego, że jesteś chodzącą encyklopedią wiedzy o sekretach i sekrecikach dziewcząt z Greenwood? - odcięłam się. - Zresztą, może to twoja jedyna ambicja?

- Fiu! Susan miała rację. Ty i twoja siostra to czysty ogień.

- W takim razie uważaj - ostrzegłam - żebyś się nie poparzył.

To wywołało tylko kolejny wybuch śmiechu. Puścił do mnie oko, uśmiechnął się do kumpli i obrócił mną nieco mocniej, ale ja nawet się nie zachwiałam.

- Zapowiada się ogromnie interesujący wieczór - obwieścił, gdy taniec dobiegł końca. - Jeszcze cię poproszę - obiecał

- ale najpierw muszę zadbać o wielbicielki.

- Och, żebyś się tylko nie nadwyrężył.

Moja kąśliwa odpowiedź na chwilę odebrała mu mowę. Odwróciłam się, zostawiłam go na parkiecie, i wróciłam do Abby.

- Co się stało? - spytała, widząc rumieńce na moich policzkach

- Jest zarozumiały, gorszy od grzechotnika i zapewne równie jadowity. Założę się, że ma w pokoju na każdej ścianie lustro. .

Abby roześmiała się. Zaczął się kolejny taniec. Podszedł do mnie inny chłopiec, robił wrażenie dość nieśmiałego co uznałam za miłą odmianę. Chłopcy zebrani wokół Gisselle nie odstępowały jej na krok, tylko jeden pobiegł napełnić jej szklanekę. Po raz kolejny wszystkie dziewczęta z naszego kwartału znalazły partnerów. Wszystkie z wyjątkiem Abby. Znalazłszy się po raz drugi w podobnej sytuacji, wyglądała na lekko zaniepokojoną, ale starała się zachować pogodną minę. t

- Przepraszam - zwróciłam się do chłopca, z którym tańczyłam - ale rozboliła mnie noga w kostce. Zwichnęłam ją kilka dni temu. Może zatańczysz z moją przyjaciółką?

Ruchem głowy wskazałam Abby. Chłopiec, rudzielec obsypany piegami, spojrzał na nią i szybko potrząsnął przecząco głową.

- Nie ma sprawy. Nie przejmuj się - rzucił mi, odwracając się na pięcie. - Dziękuję.

Pospiesznie wrócił do kolegów.

- Co się stało? - spytała Abby, kiedy do niej wróciłam.

- Musiałam widocznie skrócić nogę. Zaczęła mnie boleć, więc przestałam tańczyć.

Oczywiście nie powiedziałam jej, że mój partner nie chciał z nią zatańczyć.

- Świetna orkiestra - zauważyła, kołysząc się w rytm

muzyki.

Czemu żaden z chłopców do niej nie podchodzi.-' Przecież tylu ich stoi nie mogąc wprost doczekać się, by poprosić kogoś do tańca. Spojrzałam na Gisselle, która właśnie odrzuciła głowę, zaśmiewając się z czegoś, co powiedział jej któryś z chłopców. Chwyciła go za rękę i przyciągnęła, żeby szepnąć mu do ucha coś, od czego oczy mu zabłyśły niczym lampki na choince. Spurpurowiał i zachichota! nerwowo. Gisselle spojrzała w naszą stronę i posiała nam pełen satysfakcji uśmiech.

Kiedy zagrano trzeci utwór, byłam absolutnie pewna, że ktoś poprosi Abby, zwłaszcza że w naszą stronę ruszyło dwóch chłopców. Ale jeden skręcił do Jackie, a drugi podszedł do mnie.

- Nie, dziękuję - odmówiłam. - Boli mnie zwichnięta noga. Ale moja przyjaciółka jest wolna - dodałam, odwracając się w stronę Abby.

Chłopak spojrzał na nią, po czym bez słowa odwrócił się i poszedł prosić inną dziewczynę.

- Użyłam złych perfum czy co? - zastanawiała się na głos Abby.

Serce mi zadrżało, gdy niepokój, który pojawił się gdzieś w głębi żołądka dotarł do piersi. Dzieje się tu coś podejrzanego, coś bardzo dziwnego - pomyślałam, zerkając ponownie w stronę mojej siostry. Wyglądała na ogromnie z siebie zadowolona.

Sytuacja powtarzała się co taniec: chłopcy podchodzili, prosząc mnie, a gdy odmawiałam, podając jako powód ból nogi i proponowałam, by zatańczyli z Abby, bełkotali jakąś wymówkę i odwracali się na pięcie. Dziwiło mnie, ale przede wszystkim złościło, że tak długo nikt nie prosi do tańca jednej z najładniejszych, o ile nie najładniejszej w szkole dziewczyny. Tuż przed ogłoszeniem przerwy na posiłek, odciągnęłam wózek z Gisselle na bok.

- Coś tu nie gra, Gisselle - zwróciłam się do siostry. - Nikt jeszcze nie poprosił Abby do tańca.

- Doprawdy? Niewiarygodne.

- Gisselle, dziwnym trafem zawsze wiesz co w trawie piszczy. Co tu się dzieje? Czy to jakiś głupi dowcip? Bo jeśli tak...

- Nic mi nie jest wiadomo o żadnych głupich dowcipach. Nie wiem, czy zauważyłaś, że mnie również nikt jeszcze nie poprosił do tańca, ale nie wyglądasz na szczególnie tym zatroskaną - odcięła się.

- Ale ty najwyraźniej doskonale się bawisz. Ci wszyscy chłopcy...

- Gawędzę z nimi dla zabicia czasu. Sądziś, że jestem szczęśliwa, tkwiąc w tym wózku, podczas gdy reszta tańczy i wiruje po sali? Biedna Abby... biedulka, biedulka - powtarzała, wyginając kąciki ust.

- Zrobiłaś sobie z niej siostrę, bo może chodzić, nie jest kaleką.

- Nie masz prawa tak mówić. Wiesz, że to nieprawda. To ty chciałaś zamienić się na pokoje i...

Orkiestra przerwała, a pani Ironwood zapowiedziała przerwę na posiłek. Rozległ się chóralny okrzyk radości i wszyscy ruszyli do stołów.

- Jestem głodna, a obiecałam chłopcom, że z nimi usiądę, żeby mogli mnie karmić - obwieściła Gisselle. - Ty, jak chcesz, możesz sobie usiąść z biedną Abby.

Odjechała, a za nią natychmiast pociągnęła grupka chłopców z Rosewood. Sprzeczała się, który zajmie miejsce Samanty i dostąpi zaszczytu popychania wózka. Gisselle odwróciła się, posłała mi triumfujące spojrzenie, po czym roześmiała się piskliwie i chwyciła jednego z chłopców za rękę.

- Moja siostra znów doprowadziła mnie do pasji - powiedziałam do Abby.

Większość chłopców zachowywała się nienagannie, podawali przekąski dziewczętom, nim nałożyli coś dla siebie, ale żaden nie zaoferował się, że przyniesie coś mnie albo Abby. Kiedy podchodziłyśmy do stołu, mnie ustępowali miejsca, ale Abby nie. Gdy już wzięłyśmy sobie coś do zjedzenia i znalazłyśmy stolik na uboczu, gdzie usadowiłyśmy się, nikt się do nas nie przysiadł, nawet dziewczęta z naszego kwartału. Zostałyśmy całkowicie odizolowane.

Pani Ironwood razem z panną Weller krążyły pomiędzy stolikami, witając niektórych chłopców,



zamieniając czasem kilka słów z dziewczętami. Zbliżywszy się do naszego stolika, pani Ironwood przystanęła, zmierzyła nas lodowatym wzrokiem, po czym odwróciła się i poszła w drugi koniec sali.

- Chyba nie obsypały mnie krosty? - zwróciła się do mnie pełna niepokoju Abby.

- Nie. Wyglądasz... pięknie.

Uśmiechnęła się słabo. Żadna z nas nie miała apetytu, ale jadłyśmy, żeby jakoś zabić czas. Na prawo od nas Gisselle siedziała otoczona wianuszkami chłopców. Nie wiem, co im mówiła, ale tkwili przy niej jak przymurowani.

Wyłazili ze skóry, żeby w lot spełnić każde jej życzenie. Wystarczyło, że zerknęła na coś, a już dwóch albo trzech biegło po to na łeb na szyję.

- Czy twoja siostra zawsze miała takie powodzenie? - spytała Abby z zazdrością.

- Tak, odkąd ją znam. Nikt nie potrafi tak kusić, jak ona. Kto wie, co im obiecuje - dodałam gniewnie.

Pojawili się organizatorzy, wręczając dziewczętom losy, na których miały napisać nazwisko królowej balu. Potem przeszły dwie dziewczyny z pudełkami, do których należało wrzucić kartki.

- Założę się, że Gisselle kazała wszystkim głosować na siebie - mruknęłam.

- Ja głosuję na ciebie - stwierdziła Abby.

- A ja na ciebie.

Roześmiałyśmy się, napisałyśmy nazwiska i wrzuciłyśmy losy.

W końcu zjadłyśmy słodycze i poszłyśmy razem do łazienki się odświeżyć. Toaleta pełna była rozchichotanych, plotkujących dziewcząt, ledwo jednak pojawiłyśmy się, rozmowy ucichły. Traktowano nas jak trędowate, których każdy boi się dotknąć, by nie zarazić się. Popatrzyłyśmy na siebie, zastanawiając się, co to może znaczyć.

Druga część wieczoru niewiele różniła się od pierwszej, tyle że im dłużej stałam u boku Abby, tym mniej chłopców podchodziło prosić mnie do tańca. Kiedy zagrano przedostatni taniec, jedynie my dwie nie tańczyłyśmy. Gdy muzyka ucichła, przy mikrofonie pojawiła się pani Ironwood.

- Utarła się już w Greenwood tradycja, która większości z was jest znana, że na zakończenie każdej zabawy dziewczęta wybierają królową balu. Komitet organizacyjny podsumował głosy i zwrócił się do mnie, bym poprosiła Gisselle Dumas o odczytanie wyników.

Abby i ja spojrzaliśmy po sobie zaskoczone. Kiedy Gisselle załatwiła to sobie? - zastanawiałam się.

Gisselle odsunęła się od wielbicieli i przy wtórze oklasków podjechała do podium. Potem odwróciła się do uczest-

ników zabawy. Twarz jej wyrażała głęboką satysfakcję. Jedna z dziewcząt z komitetu organizacyjnego zbliżyła się do niej z kopertą zawierającą wyniki plebiscytu. Opuszczono mikrofon, by łatwiej było jej mówić.

- Dziękuję za to wyróżnienie. To po prostu super. Spojrzała na dziewczynę z wynikami.

- Poproszę o kopertę - odezwała się takim tonem, jakbyśmy znajdowali się na uroczystości wręczenia Oscarów.

Wszyscy roześmieli się, nawet na twarzy pani Ironwood pojawił się cień uśmiechu. Gisselle rozdarła kopertę i przebiegła wzrokiem jej zawartość. Odchrząknęła.

- Wybór jest nieco zaskakujący - oznajmiła. - Sądząc z tego, co tu napisano, pierwszy tego rodzaju w całej historii Greenwood.

Spojrzała na panią Ironwood, na twarzy której pojawiło się napięcie i ciekawość.

- Odczytam nazwisko zwyciężczyni oraz komentarz komitetu.

Popatrzyła w naszą stronę.

- Uczennice z Greenwood wybrały na królową balu Abby Tyler, która... - zaczęła donośnie.

Abby rozwarła oczy ze zdumienia. Mnie serce zamarło, zdawałam sobie bowiem sprawę, że to jeszcze nie koniec.

Zapadła cisza. Abby powoli zaczęła podnosić się. Powiodłam wzrokiem po twarzach pozostałych dziewcząt.

Wszystkie wstrzymywały oddech.

Gisselle zerknęła ponownie na kartkę, po czym przysunęła się do mikrofonu i zakończyła:

- ...która jest pierwszą w historii szkoły kwarteronką, jaką spotkał ten zaszczyt.

Miałam wrażenie, że znalazłyśmy się w oku cyklonu. Nikt nie parsknął śmiechem, nikt nawet nie zakaszłał. Abby znieruchomiała. Patrzyła na mnie wstrząśnięta. Więc to dlatego żaden z chłopców nie poprosił jej do tańca. Powiedziano im, że w jej żyłach płynie krew Murzynki. To dlatego Gisselle była taka słodka i ofiarowała jej wstążkę: żeby każdy z nich od razu rozpoznał, która to Abby.

- Kto jej powiedział? - szepnęła Abby. Potrząsnęłam przecząco głową.

- Za nic bym nie...

- Chodź odebrać swoją statuetkę - wydarła się do mikrofonu Gisselle.

Abby stała przede mną, wyprostowana jeszcze bardziej niż zwykle, smukła, piękna jak księżniczka.

- Nie przejmuj się, Ruby - powiedziała. - Nic się nie stało. I tak już miałam powiedzieć rodzicom, że pora przestać żyć w kłamstwie. Nie wstydzę się swego pochodzenia, więcej, jestem z niego dumna i już nigdy nie będę się go wypierać.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Wygląda na to, że nie spodobała jej się nasza statuetka - zakpiła Gisselle.

Sala aż zatrzęsała się od głośnego rechotu, który słyszałam jeszcze, gdy wybiegłam za Abby. Pędziłam korytarzem i dopadłam bocznych drzwi w chwilę potem, gdy zamknęły się za moją przyjaciółką. Gdy wyskoczyłam na dwór, ona była już daleko. Z dumnie podniesioną śliczną głową odchodziła w mrok.

- Abby! Poczekaj! - zawołałam, ale ona się nie zatrzymała.

Skręciła na drogę, która prowadziła do granic Greenwood, poza teren szkoły. Ruszyłam w tamtym kierunku, gdy naraz usłyszałam czyjś głos:

- Ruby Dumas.

Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą panią Ironwood, stojącą w progu szkoły, w smudze światła padającego ze środka.

- Nie waż się ani o centymetr przekroczyć granicy szkoły - ostrzegła.

- Ależ, proszę pani, moja przyjaciółka... Abby...

- Ani kroku dalej, powiedziałam.

Obejrzałam się za Abby, lecz widziałam już tylko ciemność, ciemność i głębokie cienie, które wydłużały się i sięgały tak daleko, że otoczyły moje pęknięte serce.

Przyjaciel w potrzebie

- Radziłabym ci wrócić na zabawę - ostrzegła pani Ironwood.

Podeszła bliżej i teraz górowała nade mną niczym jastrząb gotów rzucić się na swą ofiarę. Niebo jeszcze bardziej pociemniało, groźne chmury gromadziły się na horyzoncie, zapowiadając deszcz i wiatr. Przez chwilę wpatrywałam się w mrok, licząc, że wynurzy się z niego Abby, ale niczego nie dostrzegłam. Stałam nieszczęśliwa, załamana, niczym samotna wysepka zewsząd otoczona bezwzględna wodą.

- Słyszałaś, co powiedziałam? - warknęła dyrektorka. Ze spuszczoną głową ruszyłam w stronę budynku. Mijając panią Ironwood, nawet na nią nie spojrzałam.

- Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie przeżyłam - mówiła idąc za mną. Powtarzała jak automat: - Nigdy. Nigdy.

Nigdy jeszcze żadna z dziewcząt tak otwarcie nie zhańbiła szkoły.

- Jak może pani uważać za hańbę posiadanie wśród uczennic tak inteligentnej, ślicznej i dobrej dziewczyny jak Abby? Jestem przekonana, że okaże się dumna ze swego dziedzictwa, tak samo jak ja jestem dumna ze swego ca-juńskiego pochodzenia - odparowałam.

Wyprostowała ramiona i zmierzyła mnie lodowatym, kamiennym spojrzeniem. Na tle coraz to bardziej burzowego nieba wydawała się potężna i groźna niczym jeden z duchów Niny.

- Kiedy ludzie pchają się nie tam, gdzie ich miejsce, sami przysparzają sobie kłopotów - oświadczyła autorytatywnym tonem.

- Abby bardziej niż ktokolwiek inny ma prawo uczęszczać do tej szkoły! - zawołałam. - To najinteligentniejsza, najmiłsza...

- Nie pora dyskutować na te tematy, zresztą, to nie twoja sprawa - ucięła. Jej słowa przypominały małe, ostre nożyki.

- Zajmij się lepiej sobą i swoim zachowaniem. Wydawało mi się, że dość jasno dałam ci to do zrozumienia podczas naszej ostatniej rozmowy.

Przez chwilę mierzyłam ją wzrokiem, czując wzbierający we mnie gniew. Babunia Catherine wpoila mi szacunek dla starszych, ale z pewnością nie wymagałaby ode mnie szacunku dla osoby takiej, jak pani Ironwood. Wiek ani po-zycja nie powinny chronić jej przed zasłużoną krytyką -pomyślałam - nawet, jeśli wypływa ona z ust kogoś tak młodego jak ja.

Przygryzłam wargę, by nie wyrzucić z siebie tych słów.

Żelaznej Damie najwyraźniej sprawiało przyjemność obserwowanie moich wewnętrznych zmagania. Popatrzyła na mnie twardo, licząc, że nie wytrzymam i wybuchnę, dzięki czemu uzyskałaby podstawę do surowszej kary. Na przykład wyrzucenia mnie ze szkoły, przez co skutecznie uniemożliwiłaby mi kolejne spotkanie z Louistem, o co, jak podejrzewałam, przede wszystkim jej chodziło.

Przełknąwszy łzy i wściekłość, uciekłam od niej i wróciłam na salę balową, gdzie właśnie odbywał się ostatni taniec.

Większość dziewcząt zerknęła w moją stronę z ciekawością, po czym szeptały do swoich partnerów coś, co wzbudzało ich niekłamana wesołość. Ta ich bez troska po tym, jak zachowały się wobec Abby, budziła we mnie odrazę.

Przy stolikach nadal królowała Gisselle, otoczona jeszcze większym gronem wielbicieli, do którego dołączył również Jonatan Peck. Śmiała się tak piskliwie, że zagłuszała muzykę.

- Założę się, że po raz pierwszy zwyciężczyni nie odebrała statuetki królowej balu - oznajmiła, gdy zobaczyła, że się zbliżam. Towarzyszył temu kolejny wybuch śmiechu. -O, jest moja siostra. Zдай nam raport, Ruby. Gdzie poszła ta kwarteronka?

- Nazywa się Abby - odparowałam. - A dzięki twojej nikczemności właśnie uciekła ze szkoły.

- Jakiej znowu mojej nikczemności? Przecież ja tylko odczytałam wyniki głosowania. Zresztą dla czego miałyby uciekać, skoro wygrała? - indagowała mnie z niewinną minką.

Reszta tylko potakiwała i uśmiechając się głupawo czekała, co odpowiem.

- Doskonale wiesz, jakiej, Gisselle. Dopuszciasz się dziś prawdziwej podłości.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że tolerujesz obecność jakichś mieszańców w Greenwood - wtrącił się Jonatan.

Wyprostował się i przyglądał włosy, jakby stał przed lustrem, a nie w obecności tuzina wielbicielek. Odwróciłam się w jego stronę.

- Czego nie toleruję, to obecności w Greenwood okrutnych i złośliwych ludzi, podobnie jak arogantów i snobów, którzy uważają się za ósmy cud świata i najbardziej w świecie kochają samych siebie.

Jonatan spłonął krwistym rumieńcem.

- Cóż, przynajmniej mamy jasność, jaki jest twój stosunek do bratania się z ludźmi z niższych sfer. Może i ty znalazłaś się na niewłaściwym miejscu - stwierdził, spoglądając na otaczających go kolegów i dziewczęta. Prawie wszyscy mu przytaknęli.

- Może i tak - odparłam, czując pod powiekami gorące łzy. - Stokroć bardziej wolałabym się znaleźć na moczarach, w otoczeniu aligatorów, niż wśród osób, które dzielą ludzi ze względu na pochodzenie.

- Och, przestań już prawić kazania - jęknęła Gisselle. - Ta mała jakoś to przeżyje.

Przysunęłam się do niej. W oczach płonęła mi taka wściekłość, że dziewczęta odsunęły się, robiąc mi przejście.

Stałam nad nią, skrzyżowałam ręce na piersi i rzuciłam jej prosto w twarz:

- W jaki sposób dowiedziałaś się o tym, Gisselle? Podśluchiwałaś pod naszymi drzwiami?

- Myślisz, że aż tak mnie ciekawiły wasze zwierzenia? Myślisz, że zrobiłaś coś, o czym bym nie wiedziała? - odparła, czerwieniąc się pod moim wzrokiem. - Nie muszę podśluchiwać, by wiedzieć, co się dzieje między tobą a twoją przyjaciółką. Ale, ale - dodała, prostując się w wózku i uśmiechając zjadliwie - może będziesz tak łaskawa, i opowiesz nam, jak to jest, kiedy śpi się u jej boku...

- Zamknij się! - wrzasnęłam, nie mogąc dłużej zapanować nad sobą. - Zamknij tę swoją brudną gębę albo...

- Widzicie, jak traktuje swoją kaleką siostrę - zawołała Gisselle, kuląc się, niby to ze strachu. - Widzicie, jaka jestem bezradna, jaka byłam bezradna. Teraz już rozumiecie, co to znaczy być sparaliżowaną bliźniaczką, która musi patrzeć dzień po dniu, jak jej siostra się bawi, chodzi dokąd chce, robi, co zechce.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Wszyscy patrzyli na mnie z niechęcią.

- Och, jakież to wszystko ma sens? - mruknęłam, odwracając się.

W tej samej chwili muzyka umilkła. Pani Ironwood natychmiast wyrosła przed mikrofonem.

- Znosi się na burzę - ostrzegła. - Chłopcy powinni udać się do czekających na nich autokarów, a dziewczęta szybciotko biec do bursy.

Wszyscy rzucili się do wyjścia, ale panna Stevens podbiegła w moją stronę.

- Biedna Abby. Jak mogli jej zrobić coś tak okropnego? Gdzie uciekła? - spytała.

- Nie wiem, panno Stevens. Biegła drogą w stronę granicy szkoły. Lękam się o nią, ale pani Ironwood nie pozwoliła mi jej dogonić.

- Wskoczę do swojego jeepa i spróbuję odnaleźć ją - obiecała nauczycielka. - Ty wracaj do siebie i czekaj na mnie.

- Dziękuję. Znosi się na solidną burzę, może nie zdążyć schronić się. Jeśli znajdzie ją pani, proszę powiedzieć, że nie mam nic wspólnego z dzisiejszym postępkim Gisselle. Proszę, niech pani jej to powie.

- Jestem pewna, że i tak cię o to nie podejrzewa - odparła z dobrym, łagodnym uśmiechem panna Stevens.

Zauważyłyśmy, że pani Ironwood śledzi nas wzrokiem, gdy opuszczałyśmy salę.

Niebo przeciął biały pas błyskawicy. Część dziewcząt zaczęła piszczeć. Niektórzy chłopcy przed wejściem do autobusów kradli jeszcze pospieszne pocałunki na do widzenia. Jonatana Pecka otaczał co najmniej tuzin wiernych wielbicielek, czekających cierpliwie i liczących, że ich ukochany muśnie swymi bezcennymi wargami ich usta albo przynajmniej policzki.

Kolejny grzmot wywołał następną serię pisków. Dziewczęta jeszcze bardziej się rozpierzchły. Zauważyłam, że panna Stevens biegnie do jeepa. Zanim ruszyłam z powrotem do bursy, z nadzieją popatrzyłam na drogę, czy nie dostrzegę tam Abby. A może pokrażyła trochę wokół szkoły i wróciła do pokoju, pocieszałam się. Ale nasz pokój był

pusty. Udałam się więc do salonu, żeby czekać na pannę Stevens. Wkrótce zjawily się tam pozostałe dziewczęta, z ożywieniem rozprawiając o zabawie i chłopcach, których poznały. Nie zwracałam na nie uwagi, a i one nie interesowały się mną.

Burza błyskawicznie nadciągnęła nad Greenwood. Nie minęła chwila, a wiatr szarpał i wykrywał gałęzie potężnych dębów. Świat za oknami jeszcze bardziej pociemniał, chlusnęły strugi ulewnego deszczu, dudniąc o szyby, tworząc kałuże na ścieżkach. Potoki wody zalewały tarasy, co chwila niebo rozcinała błyskawica, na ułamek sekundy rozświetlając szkołę i campus. A jeśli panna Stevens nie odnalazła Abby? Wyobrażałam sobie, jak kuli się przerażona gdzieś pod drzewem na drodze do Greenwood. Może zdążyła dobiec do któregoś z tych ładnych domów przy drodze, a mieszkańcy okazali się na tyle mili, że udzielili jej schronienia na czas ulewy.

Minęła prawie godzina, nim przez okna bawialni zobaczyłam światła auta. Jeep panny Stevens podjechał pod drzwi naszego budynku. Ze środka wyskoczyła nauczycielka w płaszczu przeciwdeszczowym zarzuconym na głowę.

Spotkałyśmy się w drzwiach wejściowych.

- Wróciła? - zapytała, a we mnie serce zamarło.

-Nie.

- Nie? - Strząsnęła wodę z włosów. - Przejechałam całą drogę w tę i z powrotem. Pojechałam znacznie dalej, niż zdołałaby sama przejść, nawet gdyby cały czas biegła, ale nigdzie nie zauważyłam ani śladu Abby.

- Co mogło jej się stać?

- Może złapała jakąś okazję?

- Ale gdzie by pojechała, proszę pani? Nie zna nikogo w Baton Rouge.

Na twarzy panny Stevens odbił się niepokój, który obie odczuwałyśmy, roztrząsając w duchu, co może się przytrafić ślicznej młodej dziewczynie, samotnie błakającej się w burzliwą noc na pustej drodze.

- Może znalazła gdzieś schronienie i przeczekała burzę - podsunęła panna Stevens.

Obok nas wyrosła pani Penny. Załamywała ręce, a na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Właśnie dzwoniła pani Ironwood, chciała dowiedzieć się, czy Abby wróciła. Dokąd ona uciekła, Ruby?

- Nie wiem, proszę pani.

- Opuściła teren Greenwood i do tego w nocy! I w taką burzę!

- Nie marzyła o tym, proszę pani.

- Ojej - jęknęła. - Ojej. Nigdy przedtem nie zdarzały się w Greenwood takie incydenty. Ta praca zawsze przynosiła mi tyle radości, było to takie cudowne doświadczenie.

- Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży - uspokajała ją panna Stevens. - Proszę tylko zostawić otwarte drzwi frontowe.

-Ale przecież zawsze po zgaszeniu światel zamykam drzwi na klucz. Muszę również myśleć i o pozostałych dziewczętach. I co mam teraz począć?

- Proszę się nie martwić o drzwi. Ja tu zostanę i będę czekać na Abby - odezwałam się, siadając na kanapie.

- Ojej - westchnęła. -I pomyśleć, że do tej pory zabawy taneczne przynosiły nam tyle radości.

- Gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń - zwróciła się do mnie po cichu panna Stevens. - A gdyby wróciła, też zadzwoń. Chciałabym wiedzieć, że jest bezpieczna.

- Dziękuję pani - powiedziałam, gdy dała mi swój numer telefonu.

Odprowadziłam ją do drzwi. Mocno uścisnęła mi rękę.

- Wszystko się ułoży. Przekonasz się - zapewniła, próbując podnieść mnie na duchu.

Wydusiłam z siebie uśmiech, patrzyłam, jak zarzuca płaszcz na głowę i biegnie do samochodu. Nadal lało jak z cebra. Stałam w drzwiach, przyglądając się, jak odjeżdża. Kilka minut później wyrosła za mną pani Penny i zamknęła drzwi na klucz.

- Muszę zatelefonować do pani Ironwood - zwróciła się do mnie. - Będzie się ogromnie złościć. Daj mi znać, jeśli Abby niedługo wróci, dobrze, kochanie?

Skinęłam głową, po czym wróciłam na kanapę. Siedziałam wpatrzona w drzwi, wsłuchana w dudnienie deszczu, który zdawał się uderzać w moje serce równie mocno, jak w dach i mury budynku. Od czasu do czasu przysypiałam, budząc się gwałtownie, gdy wydało mi się, że słyszę czyjeś pukanie, ale za każdym razem okazywało się, że to tylko wiatr. Wyczerpana napięciem i niepokojem w końcu wstałam i poszłam do pokoju. Nie rozebrałam się nawet, tylko rzuciłam na łóżko i przez jakiś czas szlochałam, myśląc

O Abby, aż wreszcie zapadłam w głęboki sen. Obudziły mnie dopiero głosy dziewcząt kręcących się po korytarzu i przygotowujących do śniadania. Od razu spojrzałam na łóżko Abby i serce mi się ścisnęło, gdy przekonałam się, że nadal jest nietknięte.

Przetarłam oczy, usiadłam i przez chwilę zastanawiałam się, co robić. Potem udałam się do łazienki, ochlapałam twarz zimną wodą. Usłyszałam głośny śmiech Gisselle. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, jak jedzie przez korytarz, popychana przez koleżankę.

- Witaj, droga siostrzyczko - odezwała się, spoglądając na mnie z uśmiechem. Wyglądała na wypoczętą, szczęśliwą, aż promieniała zadowoleniem. - Masz taką minę, jakbyś się dziś nie wyspała. Czy twoja... przyjaciółka wróciła?

- Nie, Gisselle. Nie wróciła.



- Coś takiego! I co my poczniemy ze statuetką? - zastanawiała się na głos i popatrzyła na Jackie, Kate oraz Samantę, które roześmiały się słysząc jej słowa. Jednak uśmiechy ich zniknęły, gdy spojrzały na mnie. Okazały przynajmniej cień wyrzutów sumienia. Samanta wyglądała na najbardziej zasmuconą.

- To przestało być zabawne, Gisselle. Dokąd poszła? Mogło jej się przecież przytrafić coś strasznego.

- Może znalazła schronienie w chałupie jakiegoś nędznego dzierżawcy. Kto wie? - zastanawiała się na głos Gisselle.

- Mogłoby się nawet okazać, że to jakiś jej zapomniany krewniak. - Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

-Ruszajmy - rozkazała Samancie. - Konam z głodu.

Zawstydzona, upokorzona, że ta okropna dziewczyna to moja siostra, spuściłam głowę i wróciłam do siebie. Nie chciało mi się jeść. Nie miałam ochoty na śniadanie w towarzystwie dziewcząt, które nie mogą się doczekać, by zobaczyć, co powiem, jak się zachowam. Ale i tak się przebrałam. Już miałam wyjść do jadalni, kiedy zjawiła się pani Penny. Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mi że wie, co się dzieje z Abby. Palce miała mocno splecione jakby kurczowo chwytając się ostatniej nici życia.

- Dzień dobry, kochanie - przywitała mnie.

- Co się stało, proszę pani? Gdzie jest Abby?

- Właśnie zadzwoniła pani Ironwood, mówiąc, że niedługo wpadną tu rodzice Abby, by zabrać jej rzeczy - wyrzuciła z siebie jednym tchem i westchnęła.

- Nic jej się nie stało? Znaleźli ją?

- Wygląda na to, że wczoraj w nocy udało jej się dotrzeć do miasta i stamtąd zadzwoniła do nich. Teraz odchodzi ze szkoły. Zresztą i tak zostałaby wyrzucona za opuszczenie terenu Greenwood w środku nocy.

- Och, oczywiście, że zostałaby wyrzucona, ale nie za ucieczkę - odparłam, mierzając opiekunkę rozgniewanym wzrokiem. - To nie byłby prawdziwy powód.

Pani Penny spuściła oczy.

-Nigdy przedtem nie mieliśmy takich problemów -mamrotała. - To takie bolesne.

Podniosła wzrok i szybko rozejrzała się po pokoju.

- Wracając do rzeczy, wiem, jaki bałagan zawsze robicie w swoich rzeczach, dziewczęta. Chciałabym, żebyś oddzieli-

ła swoje rzeczy od rzeczy Abby, co pozwoli jej rodzicom szybko je spakować. To nie będzie

przyjemne dla nikogo, zwłaszcza dla nich - dodała.

- Też mi się tak wydaje. Dobrze, zajmę się tym - obiecałam i zaczęłam sortować rzeczy, wkładając to, co należało do Abby, do jej walizek i pudeł, żeby jak najbardziej ułatwić zadanie jej rodzicom. Cały czas łzy płynęły mi po policzkach.

Kiedy dziewczęta wróciły ze śniadania, zdążyłam już prawie wszystko posegregować i jak otępiała, ze wzrokiem wbitym w podłogę siedziałam na łóżku. Gisselle zatrzymała się w drzwiach, za nią Samanta.

- Co się dzieje? - spytała, widząc spakowane walizki i pudła. - Pani Penny nie chciała puścić pary z ust.

Wolno podniosłam głowę. Oczy miałam zaczerwienione od płaczu.

- Rodzice Abby przyjeżdżają zabrać jej rzeczy. Abby porzuca Greenwood. Jesteś teraz zadowolona? - spytałam ostro.

Samanta przygryzła wargę i szybko odwróciła wzrok.

- Tak jest lepiej dla wszystkich zainteresowanych - zawyrokowała Gisselle. - Wcześniej czy później musiało do tego dojść.

- Gdyby chciała odejść, mogła to zrobić z własnej woli, a nie dlatego, że wobec całej szkoły i tych wszystkich chłopców została upokorzona przez ciebie i twoje naśladowczynie.

- Oto ryzyko, jakie podejmuje każdy, kto próbuje stać się jednym z nas - odparła Gisselle bez śladu wyrzutów sumienia.

Była taka zarozumiała, taka samolubna, że niedobrze mi się robiło, kiedy na nią patrzyłam.

- Nie chcę więcej o tym rozmawiać - uciełam, odwracając się od niej.

- Świetnie - oświadczyła i kazała Samancie popchnąć wózek dalej.

Ale wczesnym popołudniem, tuż przed przybyciem rodziców Abby, zjawiała się u mnie Samanta. Gisselle i pozostałe dziewczęta siedziały we wspólnym pokoju, ją zaś po coś wysłano.

- Czego chcesz? - spytałam ostro.

- Gisselle prosiła, żebym przyniosła płytę z pudła, które trzyma w szafie Abby - odparła spłoszona. - Pożycz ją jednej z dziewcząt z kwartału B.

Odwróciłam się plecami, a ona weszła do środka i uklękła, przeszukując pudła stojące na dnie szafy. Szybko znalazła to, czego szukała. Podniosła się, ale nim wyszła, zatrzymała się w drzwiach.

- Przykro mi z powodu Abby - powiedziała. - Nie sądziłam, że to aż tak się skończy.

- A czego można się spodziewać, kiedy upokarza się człowieka w obecności całej szkoły? I dlaczego? Cóż takiego Abby uczyniła wam czy komukolwiek?

Samanta spuściła wzrok.

- Skąd moja siostra dowiedziała się prawdy? - spytałam po chwili. - Czy podsłuchiwała pod drzwiami?

Potrząsnęła przecząco głową.

- No więc? Jak?

Dziewczyna najpierw się obejrzała, a dopiero potem odpowiedziała.

- Kiedy przychodziła tu po swoje rzeczy, które trzymała w szafie Abby, czytała jej listy od rodziców - wyjawiała. -Ale proszę, nie mów jej, że ci to zdradziłam. Proszę - zaklinała z nie udawanym lękiem w oczach.

- Czemu? Dlaczego tak się jej boisz? W czym ci może zaszkodzić? - sarknęłam.

Wystraszona Samanta jeszcze szerzej otworzyła oczy, a jej zwykle zaróżowione policzki pobladły.

- Nie powinnaś była zwierzać się Gisselle ze spraw, które chciałabyś utrzymać w tajemnicy - powiedziałam.

Samanta skinęła głową, przyjmując z pokorą tę spóźnioną radę.

- Tak czy owak - odezwała się - przykro mi z powodu Abby.

Nie byłam w nastroju do wybaczenia, lecz robiła wrażenie, że nie kłamie. Stała jeszcze chwilę, po czym czmychnęła. Niedługo po jej wyjściu zjawili się rodzice Abby.

- Pani Tyler - zawołałam, zrywając się na nogi, kiedy wraz z mężem stanęła w drzwiach. - Jak się czuje Abby?

- Doskonale - odparła pani Tyler przez zaciśnięte zęby. - Moja córka ma więcej odwagi niż którakolwiek z uczennic tej cudownej szkoły - dodała z goryczą.

Ojciec Abby szybko odwrócił ode mnie wzrok.

- Proszę pani, ja muszę z nią porozmawiać. Musi wiedzieć, że nie miałam nic wspólnego z tym okropnym incydentem.

Pani Tyler uniosła brwi.

- O ile dobrze zrozumiałam, twoja siostra bliźniaczka maczała palce w całej tej sprawie.

- Tak, ale choć tak samo wyglądamy, jesteśmy zupełnie inne. Abby wie o tym. .

Ze spojrzenia, jakie rzuciła mężowi, odgadłam, że Abby

też im to powiedziała.

- Gdzie są jej rzeczy? - spytała pani Tyler. - Wszystko już przygotowane. Są tutaj. - Pokazałam spakowane rzeczy należące do Abby. Jej ojciec spojrzał na mnie z wdzięcznością. - Jak mogę się z nią skontaktować? Kiedy mogę się z nią spotkać?

- Jest w samochodzie - oznajmił pan Tyler.

- Abby jest tutaj?

- Nie chciała z nami wejść - powiedziała jej matka.

- Trudno się dziwić - stwierdziłam, wybiegając z pokoju.

Dziewczęta siedzące we wspólnym pokoju zamilkły, widząc rodziców Abby w budynku. Nawet Gisselle mówiła przyciszonym głosem. Nie zatrzymałam się przy nich, tylko biegłam do wyjścia. Zobaczyłam Abby w samochodzie jej rodziców. Niemal sfrunęłam ze stopni. Widząc mnie, Abby opuściła szybę auta.

- Cześć - wykrzyknęłam.

- Cześć. Przepraszam, że tak przed tobą uciekłam, ale po prostu nie mogłam się zatrzymać. Myślałam już tylko o tym, żeby się stąd wyrwać.

- Rozumiem, ale tak strasznie się o ciebie niepokoiłam. Panna Stevens jeździła po okolicy, szukając cię wszędzie. Ja nie mogłam pobiec za tobą, bo pani Ironwood zabroniła mi opuścić teren szkoły.

- Żelazna Dama - prychnęła.

- Gdzie byłaś?

- Przeczekałam najgorszą ulewę, a potem złapałam okazję do miasta, skąd zadzwoniłam do rodziców.

- Och, Abby, tak strasznie mi przykro. To takie niesprawiedliwe. W najgorszych snach nie mogło się przyśnić, że moja siostra zdobędzie się na taką podłość. Okazało się, że grzebała w twoich rzeczach i przeczytała listy od twoich rodziców.

- To mnie nie dziwi. Zresztą, przypuszczam, że to nie tylko jej dzieło. Choć najwyraźniej rozkoszowała się swoją rolą, prawda?

Przytaknęłam. Uśmiechnęła się do mnie i wysiadła z samochodu.

- Przejdźmy się trochę - zaproponowała.

- Co teraz ze sobą zrobisz? - spytałam.

- Zapiszę się do normalnej szkoły. W sumie ta cała afera wyszła mi na dobre. Rodzice postanowili przestać wypierać się swojej i mojej przeszłości. Koniec przeprowadzania się z miejsca na miejsce, koniec udawania. - Rozejrzała się po kampusie. - Koniec wytwornych szkół dla panienek z towarzystwa.

- Ja też mam już ich powyżej uszu.

- O nie, ty dobrze sobie tu radzisz, Ruby. Wszyscy nauczyciele cię lubią, zaprzyjaźniłaś się z panną Stevens. Na pewno namalujesz cudowne obrazy. Czerp z tego, co w tej szkole najlepsze, a na resztę nie zwracaj uwagi.

- Nie podoba mi się, że muszę żyć w środowisku, gdzie jest tyle hipokryzji. Babuni by się to nie podobało.

Roześmiała się.

- Sądząc po tym, czego się o niej od ciebie dowiedziałam, to kazałaby ci się zagrzebać w mule niczym ostryga, zamknąć szczelnie w swojej skorupie, odcinając się od tych snobek i hipokrytek, a na to, na co masz ochotę, rzucać się jak wygłodniały aligator. Zresztą - dodała szeptem - sama wiesz, jak odpędzić od siebie zły urok. Wczoraj wieczorem popełniłam błąd, nie wkładając spódnicy z dobrym czarem.

Mrugnęła do mnie i obie roześmiałyśmy się. Poprawił mi się nastrój, ale nagle uświadomiłam sobie, że oto skończą się nasze szczerze rozmowy, nie będziemy już mogły dzielić się swoimi marzeniami i obawami. Gisselle miała prawo czuć się zazdrosna: Abby stała się dla mnie siostrą, o której zawsze marzyłam, siostrą, którą Gisselle mimo naszych identycznych twarzy nigdy się nie stanie.

- Chciałabym jeszcze coś dla ciebie zrobić - westchnęłam.

- I tak już wiele zrobiłaś. Byłyśmy przyjaciółkami i nadal możemy nimi pozostać. Będziemy do siebie pisywać.

Chyba że pani Ironwood cenzuruje twoje listy.

- To by mnie wcale nie zdziwiło.

- Powiem ci, co możesz dla mnie zrobić - odezwała się Abby z nagłym ożywieniem. - Następnym razem, gdy dyrektorka cię do siebie wezwie, rozejrzyj się, czy gdzieś na podłodze albo biurku nie leży jej włos. Włóż go do koperty i wyślij mi, a ja dam go Mamuśce, która wykorzysta go do zrobienia lalki, w którą można wbijać szpilki.

Roześmiałyśmy się, ale Abby wcale nie żartowała. W pobliżu jej rodzice wrzucali resztę rzeczy do samochodu.

Zatrzymałyśmy się i przez chwilę obserwowałyśmy ich.

- Chyba muszę już wracać - stwierdziła Abby.

- Cieszę się, że udało nam się spotkać.

- Właściwie tylko po to tu przyjechałam - wyznała. - Do widzenia, Ruby.

- Och, Abby.

- Nie płacz, bo i ja się rozkleję i w ten sposób damy Gisselle z przyjaciółkami widowisko, na które czekają. Pewnie tkwią w oknach z nosami przyklejonymi do szyby.

Spojrzałam na budynek. Szybko przełknęłam łzy i skinęłam głową.

- Najprawdopodobniej tak - przyznałam jej rację.

- Nie zaangażuj się zbyt w związek z LouiSEM - ostrzegła, spoglądając na mnie z ukosa. - Wiem, że ci go żal, ale w rodzinie Clairborne'ów krąży zbyt wiele upiorów.

- Wiem. Nie dam się wciągnąć.

- W takim razie...

Uściskałyśmy się szybko i ruszyłyśmy w stronę samochodu.

- Aha! - zawołała jeszcze z uśmiechem. - Nie zapomnij pożegnać ode mnie pana Mokłą Plamę.

Zaśmiałam się.

- Nie zapomnę.

- Postaram się jak najszybciej napisać - obiecała.

Jej ojciec zatrzasnął klapę bagażnika, matka wsiadła do samochodu. Abby również zniknęła w jego wnętrzu. Ojciec zajął miejsce za kierownicą. Potem uruchomił silnik i ruszył. Kiedy mnie mijali, Abby odwróciła się, żeby mi pomachać. Machałam, póki wóz nie zniknął mi z oczu. Potem, czując w piersi ciężar, jakbym miała tam beton, wróciłam do budynku i mego w połowie pustego pokoju.

\* \* \*

Resztę dnia przeżyłam jak w okresie żałoby. Burza co prawda minęła, ale zostawiła po sobie ciężkie chmury, które aż do wieczora wisiały nad Baton Rouge i okolicami. Poszłam na kolację tylko dlatego, że cały dzień nic nie jadłam.

Dziewczęta, ożywione, głośno rozprawiły: część o Abby, ale większość o innych sprawach, tak jakby Abby przestała istnieć. Za to nie ulegało wątpliwości, że Gisselle nadal istniała. Bez przerwy głądziła o znajomych chłopcach, którzy byli tak przystojni, że Jonatan Peck wyglądał przy nich jak Frankenstein. Gdyby wierzyć wszystkiemu, co mówiła, to nie było w Ameryce jednego nawet

łamacza serc, z którym by nie chodziła.

Wyczerpana i oburzona od razu po posiłku schroniłam się u siebie. Postanowiłam napisać do Paula. Strona po stronie opisywałam, co się wydarzyło, wszystkie sprawy Gisselle.

*Me chciałam zrzucić na ciebie moich ciężarów, Paul - kończyłam - ale do tej pory, kiedy szukam kogoś, komu mogłabym się zwierzyć ze swoich najgłębszych przeżyć, zawsze Ty pierwszy przychodzisz mi na myśl. Pewnie powinnam wtedy myśleć o Beau, lecz o pewnych sprawach dziewczyna woli raczej powiedzieć bratu niż chłopakowi.*

*Przynajmniej tak mi się wydaje. Sama nie wiem. Taka jestem zagubiona. Gisselle w końcu zawsze stawia na swoim.*

*Mam już serdecznie dość tego miejsca i naprawdę niewiele brakuje, abym zadzwoniła do taty i poprosiła o to, czego ona chce od początku: żeby zabrał nas z Greenwood. Jedyna osoba, za którą będę tęsknić to panna Stevens.*

*Z drugiej jednak strony kusi mnie, żeby tu zostać, jakoś ścierpieć to wszystko, tylko dlatego, żeby nie dać Gisselle satysfakcji. Nie wiem, co zrobić. Nie mam pojęcia, co jest dobre, co nie. Tak często dobrzy cierpią, a źli triumfują, że zaczynam się zastanawiać, czy na świecie nie ma więcej złych czarów niż dobrych. Brak mi babuni. Jej mądrości i siły. W każdym razie niecierpliwie wyglądam Twojej wizyty w Nowym Orleanie, na Boże Narodzenie, tak jak obiecałeś. Już powiedziałam o niej tacie, on również chciałby, żebyś przyjechał. Sądzę, że wszystko i wszyscy, którzy choć trochę przypominają mu naszą mamę przynoszą mu wewnętrzną radość i spokój.*

*Napisz szybko. Twoja Ruby*

Dopiero kiedy składałam list, zauważyłam na kartkach łzy, które rozmazały litery.

Następnego ranka wstałam, ubrałam się i w milczeniu zjadłam śniadanie. Odezwał się tylko do Vicki, która spytała, czy przygotowałam się już do sprawdzianu z socjologii. Rozmawialiśmy o tym w drodze do szkoły. Przez cały dzień miałam wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają. Wieści o Abby rozeszły się szybko i uważałam za całkowicie naturalne, że dziewczęta ciekawiła moja reakcja na te wydarzenia. Postanowiłam, że nie dam im satysfakcji i nie okażę mego bólu, co stało się łatwiejsze, dopiero kiedy poszłam na wykład panny Stevens.

Po wykładzie wszystkie zajęłyśmy się malowaniem. Dopiero gdy zadźwięczał dzwonek obwieszczający koniec lekcji, nauczycielka podeszła do mnie, by porozmawiać o Abby. Zrelacjonowałam jej nasze spotkanie, powiedziałam, że Abby czuje się szczęśliwsza i swobodniejsza, od chwili gdy prawda wyszła na jaw.

Panna Stevens pokiwała ze zrozumieniem głową.

-To, co cię nie złamie, dodaje ci sił. Nasze ciężary w dziwny sposób nas umacniają, o ile przedtem nas nie zabijają -

rzekła z uśmiechem. - Spójrz choćby na siebie i twoje bolesne doświadczenia.

- Nie jestem silną osobą, proszę pani.
- Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Spuściłam wzrok.
- Zastanawiam się, czy nie poprosić taty, żeby zabrał mnie i Gisselle z Greenwood - wyznałam.
- Och, nie, za nic nie chcę cię stracić. Nigdy dotąd nie miałam tak utalentowanej uczennicy. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Musi - zapewniała. - Postaraj się nie myśleć

o złych rzeczach. Szukaj zapomnienia w malowaniu. Niech malarstwo stanie się dla ciebie wszystkim - poradziła.

Skinęłam głową.

- Spróbuję.
- To dobrze. I pamiętaj, gdybyś mnie potrzebowała, zawsze jestem do twojej dyspozycji.
- Dziękuję pani.

Podniesiona na duchu dzięki tej krótkiej rozmowie, odwróciłam swoje myśli od mrocznych, bolesnych wydarzeń, skupiając się na wyczekiwaniu środowych odwiedzin taty

1 sobotnich Beau. Jak to dobrze, że dwóch moich najbardziej ukochanych mężczyzn wkrótce się tu pojawi i z powrotem wniosą słońce w świat, w którym zapanowała szarość i nieszczęście.

Po powrocie do bursy, zastałam list od Paula. Był pełen optymizmu i radosnych wieści: Paul dobrze radził sobie w szkole, świetnie układały się też interesy jego rodziny, toteż ojciec coraz częściej dopuszczał go do zarządzania firmą.

*...ale i tak mam jeszcze dość czasu, by wsiąść do czółna, po-krążyć po rozlewiskach i łowić ryby w moich ulubionych miejscach. Wczoraj po prostu leżałem w łódce i patrzyłem, jak słońce staje się purpurowe i niknie w gałęziach sykomy. W rozproszonym świetle hiszpańskie mchy wyglądały niczym płachty jedwabiu. Potem zaczęły krążyć nutrie. Ważki odbywały swoje rytualne tańce nad wodą, zaś leszcze i białe samo-głowy pojawiały się i znikły w kanałach, tak jakby mnie ani mojej wędki wcale tam nie było. Śnieżnobiała czapla przemknęła tak nisko, że miałem wrażenie, iż zaraz wyląduje na moim ramieniu, ale ona skręciła i pofrunęła dalej nad strumieniem.*

*Odwróciłem się i zauważyłem jak zza gałęzi topoli rosnących na brzegu wychyla się daniel. Przyglądał się przez chwilę dryfującej łodzi, a potem zniknął wśród wierzb.*

*Wszystko to przypomniało mi Ciebie i nasze cudowne popołudnia i wieczory spędzone razem. A potem zastanawiałem się, jak się czujesz mieszkając w tak zupełnie innym miejscu, tak daleko od rozlewisk. Najpierw ogarnął mnie smutek, ale przypomniałem sobie, jak niesamowicie potrafisz wszystko chłonąć, a później dzięki twemu niezwykłemu talentowi wydobywasz to i utrwalasz na płótnie. Szczęśliwi będą ci, którzy kupią twoje obrazy.*



*Nie mogę się doczekać, kiedy znowu się spotkamy.*

*Paul*

Jego list napełnił mnie szczęściem. Czułam się podniesiona na duchu, nie obchodziły mnie cudze intrygi. W czasie kolacji musiałam widocznie wyglądać na bardzo zadowoloną, bo Gisselle nieustannie podejrzliwie mi się przyglądała.

dała.

- Co ci odbiło? - nie wytrzymała w końcu. Wszystkie dziewczęta, które do tej pory zajęte były plotkowaniem, przerwały rozmowy i nastawiły uszu.

- Nic. Czemu pytasz?

- Głupio wyglądasz siedząc z taką rozpromienioną miną, jakbyś znała jakiś sekret, o którym inni nie wiedzą.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie znam żadnego sekretu.

Ale potem zamyśliłam się i odłożyłam widelec. Splotłam ręce i powiodłam wzrokiem po zebranych dziewczętach.

- Tyle tylko, że wiem już, iż wiele rzeczy, które uważacie za takie ważne: rodowód i bogactwo, wcale nie gwarantują szczęścia.

- Czyżby? - zdziwiła się Gisselle. - W takim razie, co je gwarantuje?

- Akceptacja siebie takim, jakim się naprawdę jest, a nie takim, jakim chcą cię widzieć inni.

Powiedziawszy to wstałam i poszłam do siebie.

Jeszcze raz przeczytałam list Paula, sporządziłam listę spraw, którymi chciałam się zająć przed odwiedzinami taty

i Beau, odrobiłam lekcje i poszłam spać. Leżałam z otwartymi oczami, wpatrzona w ciemny sufit, wyobrażając sobie, że razem z Paulem dryfuję w czółnie. Wydawało mi się nawet, że dostrzegam pierwszą gwiazdę.

Kiedy rano przebudziłam się, w myślach widziałam mnóstwo nowych obrazów, które chciałam namalować pod okiem panny Stevens. Równie gorąco, jak ja kochała naturę i wiedziałam, że spodoba jej się moje pomysły. Szybko umyłam się i ubrałam, tak że jako jedna z pierwszych pojawiłam się przy stole - co znowu najwyraźniej rozdrażniło moją siostrę. Widziałam, że coraz gorzej traktuje Samantę. Jest dla niej opryskliwa i nieustannie wyrzuca jej, że nie dość szybko spełnia jej zachcianki.

Na nasz kwartał wypadła kolej sprzątanania ze stołów. Oczywiście Gisselle zwolniono z tego obowiązku, ale dodatkowo utrudniała nam zadanie, tkwiąc przy stole. Przez nią omal nie spóźniłyśmy się do szkoły, a mnie czekał sprawdzian z angielskiego.

Byłam do niego przygotowana i zamierzałam napisać go jak najlepiej, ale w środku lekcji do klasy weszła dyżurna.

Podeszła do pana Risela i coś mu szepnęła. Skinął głową, rozejrzał się po klasie i oznajmił, że mam stawić się w gabinecie pani Ironwood.

- Ale moje wypracowanie... - bąknęłam.

- Daj tyle, ile zdążyłaś napisać - odparł. -Ale...

- Lepiej biegnij - poradził.

Czegóż ona znowu chce? - zastanawiałam się. - O co tym razem mnie oskarży?

Wściekła pędziłam korytarzem i wpadłam jak burza do gabinetu dyrektorki. Pani Randle spojrzała znad biurka, ale tym razem nie wyglądała na rozgniewaną czy oburzoną. W jej oczach malowało się współczucie.

- Wejdz od razu - powiedziała.

Palce mi drżały, kiedy naciskałam kławkę. Weszłam i zaskoczona zobaczyłam w środku Gisselle z zaczerwienionymi oczami, ściskającą w rękę chusteczkę.

- Co się stało? - zawołałam, wodząc wzrokiem to po niej, to po pani Ironwood, stojącej przy oknie.

- Chodzi o waszego ojca - odparła. - Właśnie dzwoniła do mnie wasza macocha.

-Co?

- Tata nie żyje! - wrzasnęła Gisselle. - Miał atak serca! Gdzieś w głębi mnie narastał krzyk, krzyk, który zwykle niesie się nad wodą, oplata drzewa i krzewy, sprawia, że w środku dnia zapada noc, błękitne niebo zaciąga się chmurami, a krople deszczu zamieniają w łzy.

Pod mocno zaciśniętymi powiekami, którymi odgradzałam się od twarzy stojących tu kobiet, odżył mój senny koszmar z lat dzieciennych. Śniło mi się wtedy, że pędzę po mokradłach, w pogoni za łodzią, która nabiera szybkości i skręca, znikając na rozlewiskach, unosząc tajemniczego mężczyznę, którego pragnęłam nazwać tatusiem.

Przez chwilę to słowo tkwiło mi w gardle, a potem zniknęło.

Po raz kolejny zostałam zupełnie sama.

I znowu sama

- Dla mnie pogrzeb taty rozpoczął się już w drodze do Nowego Orleanu. Tuż przed wyjazdem nawet Gisselle ucichła i zmarkotniała. Jej zwykła lawina wyrzekań ograniczyła się tym razem jedynie do skarg na tempo, w jakim musiała się spakować i sposób, w jaki przeniesiono ją z wózka do przysyłanej przez Daphne limuzyny. Kierowcy nie uprzedzono ze jedna z pasażerek jest niepełnosprawna i zupełnie nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Nie umiał

złożyć wózka i wrzucić go razem z bagażami do bagażnika. Na szczęście pojawił się Buck Dardar, który mu w tym pomógł, co natychmiast poprawiło Gisselle nastrój. Przez chwilę w jej oczach pojawił się kokieteryjny błysk.

- Dzięki Bogu, że zjawił się pan Mokra Plama - oznajmiła na tyle głośno, by usłyszał to Buck. - Inaczej biedny tatuś od tygodnia by leżał w grobie, a my jeszcze byśmy nie wyruszyły.

Posłałam jej mordercze spojrzenie, ale ona zasłoniła się jednym z tych swoich zalotnych uśmiezków, po czym wysunęła głowę, żeby zatrzepotać rzęsami i wylewnie podziękować Buckowi, ze przyszedł z odsieczą.

- Teraz nie mogę się panu odwdzięczyć - kokietowała -bo wyjeżdżam, ale po powrocie...

Buck zerknął w moją stronę i wrócił do swojej kosiarki. Szofer wsiadł do samochodu. Dziewczęta miały jeszcze lekcje, ale Gisselle udało się jednak powiadomić swoją paczkę i teraz pławiła się w ich współczuciu, przyjmując kondolencje. Ja powiedziałam o śmierci taty tylko pannie

Stevens. Ogromnie się tym przejęła, w jej oczach błysnęły łzy, gdy patrzyła na moją rozpacz.

- Teraz jestem już całkowitą sierotą, tak jak pani.

- Ale zostały ci macocha i siostra.

- To to samo co być sierotą - odparłam.

Przygryzła wargę, nie próbując zaprzeczyć temu, co powiedziałam.

- Tu zawsze będziesz miała rodzinę - zapewniła, obejmując mnie. - Bądź silna.

Podziękowałam jej i wróciłam do siebie spakować rzeczy.

Teraz zaś limuzyna wiozła nas drogą przypominającą, przynajmniej mnie się tak zdawało, ciągnący się w nieskończoność ciemny tunel, którego ściany zostały utkane z moich największych lęków, a przede wszystkim z lęku przed samotnością. Od chwili gdy dorosłam na tyle, by zrozumieć, że matka umarła, a ojciec, jak mi wyjaśniono, zostawił mnie, w sercu ciągle czułam tę okropną pustkę, miałam nieustanną świadomość, że przy brzegu trzyma mnie jedynie cieniutki konopny sznur. Ileż to razy przerażona budziłam się w nocy, bo śniło mi się, że coś szarpie łódką, na dnie której zasnąłam. Burza, która szalała na rozlewiskach, tak długo szarpała cienką liną, aż wreszcie przerwała ją i wypchnęła mnie w noc i w nieznane.

Oczywiście zawsze znajdowałam ukojenie w mocnym uścisku babuni i jej pieśczośliwych słowach.

To ona była ową cienką liną, moim jedynym źródłem poczucia bezpieczeństwa; a kiedy umarła, zostałam wydana na pastwę okrutnych wiatrów losu, gdyby tuż przed odejściem nie ofiarowała mi nowej nadziei, zdradzając imię ojca i radząc, bym go odnalazła. Jak żebraczka szukająca skrawków miłości, poszłam zastukać do jego drzwi, ale moje serce uradowało się, gdy ujrzałam z jaką ochotą i wielkodusznością przyjął mnie do swego domu i serca. Znowu poczułam się bezpiecznie i wszystkie moje senne koszmary ustały.

Teraz i tatuś odszedł. Owe prorocze obrazy, które namalowałam jako młoda dziewczyna, obrazy przedstawiające sylwetkę odchodzącego, tajemniczego ojca, niestety znów stały się prawdą. Mrok wracał, by mną zawładnąć, znowu huczał wiatr. Jak ogłuszona siedziałam w limuzynie i wpatrywałam się w szary krajobraz, przemykający przed moimi oczami. Czułam się, jakby ten koszmarny świat tonął za naszymi plecami.

W końcu Gisselle, która nie mogła już dłużej wytrzymać milczenia, wylała z siebie kolejny potok narzekań.

- Od tej pory Daphne trzyma nas w ręku - jęczała. - Wszystko, co odziedziczyliśmy, ulokowano w trustach. Bę-

dziemy musiały robić, cokolwiek powie, czego tylko sobie zażyczy.

Czekała, aż zawtóruję jej zawodzeniom, ale ja milczałam, wyglądając przez okno.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam?

- Nic mnie to nie obchodzi, Gisselle. Teraz nie to jest najważniejsze.

- Nie to? - Wybuchnęła śmiechem. - Poczekaj, aż znajdziemy się w domu. Wtedy się przekonasz, co jest najważ-

niejsze. Jak on mógł umrzeć! - zawodziła piskliwie, ale nie dlatego, że zasmucił ją zgon naszego ojca, ale dlatego, że była na niego wściekła, iż poddał się śmierci. - Dlaczego nie zatroszczył się o swoje zdrowie i nie poszedł do lekarza?

I dlaczego w ogóle zachorował? Przecież nie był stary.

- W sercu nosił tyle bólu, co człowiek dwa razy od niego starszy - odparłam ostro.

- Co niby przez to chciałaś powiedzieć, Ruby? He? Cóż takiego suponuje nasza świętoszka?

- Nic. - Westchnęłam. - Nie kłóćmy się dzisiaj. Proszę, Gisselle.

- Ja się nie kłócę. Po prostu chciałabym wiedzieć, co miałaś na myśli. Czy to, że jego śmierć to moja wina? Bo jeśli tak...

- Nie, nie to miałam na myśli. Nie tylko o nas dwie musiał się tata martwić. Nie zapominaj o wujku Jemie, Daphne, kłopotach w firmie...

- Zgadza się - przyznała. Spodobało jej się moje wyjaśnienie. - Rzeczywiście. Ale tym bardziej powinien się zatroszczyć o swoje zdrowie. Spójrz, w jakiej sytuacji nas zostawił. Jestem kaleką, do tego pozbawioną ojca. Myślisz, że

Daphne da mi wszystko, o co poproszę? Skąd! Słyszałaś, co mówiła przed naszym wyjazdem. Uważa, że tata nas rozpuścił, mnie rozpuścił! - Nie wyciągajmy przedwcześnie wniosków - odparłam znużona. - Daphne pewnie też jest zdruzgotana. Może... może się zmieni. Może będzie nas potrzebować i pokocha nas.

Gisselle zmrużyła oczy, zastanawiając się nad moimi słowami. Wiedziałam, że skupia się wyłącznie na tym, jak by tu wykorzystać sytuację, gdyby moje przewidywania okazały się słuszne i jak manipulować pogrążoną w żałobie Daphne, by osiągnąć swoje cele. Usiadła wygodniej, by dokładniej to sobie przemyśleć i od tej pory podróż upływała spokojnie, choć zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Po jakimś czasie zasnęłam, a obudziwszy się zobaczyłam przed nami jezioro Pontchartrain. Wkrótce zamajaczyły budowle Nowego Orleanu i nim się obejrzałyśmy, jechałyśmy jego ulicami.

Wszystko wydawało mi się inne, tak jakby śmierć taty zmieniła cały świat. Kręte, wąskie uliczki, budynki z balkonami z kutego żelaza, ogródki, kawiarenki, samochody, mieszkańcy - wszystko to stało mi się obce. Miałam wrażenie, jakby wraz z duszą taty, zniknęła też dusza miasta.

Gisselle bynajmniej tak tego nie przeżywała. Ledwo wjechaliśmy do Garden District, zaczęła się na głos zastanawiać, kiedy spotka się ze starymi znajomymi.

- Jestem przekonana, że wszyscy już wiedzą o śmierci taty. Z pewnością nas odwiedzą. Nie mogę się doczekać.

Poznam wszystkie najświeższe plotki.

Uśmiechnęła się radośnie.

Tak może być tak nieczuła? - pytałam się w duchu - Jak to możliwe, że jej serca i myśli nie przepelnia smutek? Jak może nie wspominać uśmiechu taty, jego głosu, uścisku? Jak to możliwe, że nie przygniata jej ból, który sprawia że kości i krew przenika chłód? Czy i ja stałabym się podobna do niej, gdybym pierwsza przyszła na świat i to mnie oddano Dumasom? Czy to ten diabelski postępek sprawił że jej serce przypomina bryłę lodu, czy to on skaził każdą jej myśl i uczucie? Czy i mnie mogłoby to spotkać?

Kiedy podjechałyśmy, Edgar stał w progu, jakby tkwił już tam od godziny. Ogromnie postarzał się, był przygarbiony, blady. Szybko podszedł pomóc nam się rozpakować.

- Witaj, Edgarze - pozdrowiłam go.

Wargi mu drżały, gdy próbował mnie przywitać, ale sama próba wypowiedzenia mego imienia, imienia, które tata tak lubił powtarzać, sprawiła, że w oczach błysnęły mu łzy, a język odmówił posłuszeństwa.

- Wyciągnijże mnie stąd natychmiast! - rozdarła się Gisselle.

Szofer podbiegł do bagażnika, Edgar podszedł, by pomóc mu rozłożyć wózek Gisselle.

- Edgar!

- Tak, panienko, zaraz nadejdę - uspokajał znad bagażnika.

- Tak samb jak Boże Narodzenie.

Rozłożyli wózek i usadowili w nim moją siostrę. Ledwo weszliśmy do domu, poczułam chłód i smutek, emanujące z każdego kąta. Światła przygaszono, zasłony zaciągnięto. Z salonu wynurzył się wysoki, chudy mężczyzna w czarnym garniturze i krawacie. Miał wąską twarz, długi, cienki nos, który nadawał mu wygląd pelikana. Łysa czaszka błyszczała, po obu stronach skroni sterczały kosmyki jasnych włosów. Odnosiło się wrażenie, że unosi się w powietrzu, tak bezszelestnie przemykał.

- Pani życzyła sobie, by ciało spoczywało w domu -uprzedził nas Edgar. - To pan Boche z przedsiębiorstwa po-grzebowego.

Pan Boche posłał nam obrzydliwie przymilny uśmiech. Usta odsłoniły przyszarzałe zęby, jakby w kącikach warg kryły się sznurki od kurtyny. Złączył długie dłonie, po czym potarł prawą o lewą, co wyglądało, jakby chciał je wytrzeć, nim nam je poda.

- Zechcą panienki przyjąć wyrazy głębokiego współczucia - przemówił. - Nazywam się Boche i jestem tu po to, by spełnić wszystkie wasze żądania związane z tą bolesną uroczystością. Gdyby panienki czegoś sobie życzyły, proszę tylko...

- Gdzie jest mój tata? - odezwałam się władczym tonem, który mnie samą zadziwił. Nawet Gisselle spojrzała na mnie zaskoczona.

- Już panienkę prowadzę - odparł z ukłonem i jednym płynnym ruchem odwrócił się w stronę salonu.

- Ble - skrzywiła się Gisselle. - Nie chcę go oglądać.

- To twój ojciec - napadłam na nią. - Nigdy więcej go nie zobaczysz.

- On nie żyje - jęknęła. - Jak można chcieć zaglądać do trumny?

- Nie chcesz się z nim pożegnać? - spytałam.

- Już się pożegnałam. Edgar, zabierz mnie do mojego pokoju - zażądała.

- Tak jest, panienko.

Wzniósł oczy ku niebu, potem wykręcił wózek w stronę schodów. Ja poszłam za panem Boche'em do salonu, gdzie w otwartej trumnie leżał tata. W całym pokoju stały tuziny kolorowych róż. Panował tu

straszliwy zaduch. Obok trumny płonęły świece. Widząc to wszystko, poczułam, jak w gardle rośnie mi twarda kula. A więc to prawda. To nie sen.

Obejrzałam się, poczuwszy na sobie wzrok Daphne. Siedziała na krześle z wysokim oparciem. Spowita w czerń, w czarnym welonie osłaniającym twarz przypominała królową wdowę, która oczekuje, bym przyklękła i ucałowała jej dłoń. Nie wyglądała na tak zdruzgotaną i przygniecioną bólem, jak przypuszczałam. Choć nie poróżnowała policzków, nie zapomniała o szmince w ulubionym odcieniu i odrobinie tuszu do rzęs. Włosy spięła perłowymi grzebieniami i rzeczywiście promieniowała jakąś onieśmielającą elegancją.

- Gdzie Gisselle? - spytała.

- Chciała pójść najpierw do siebie - odparłam.

- Nonsens - ucięła, wstając. - Ma się tu natychmiast pojawić.

Wyszła, a ja zbliżyłam się do trumny. Słyszałam, jak Daphne krzyczy do Edgara, że ma natychmiast znieść Gisselle na dół.

Serce mi łomotało. Nogi miałam jak z waty. Wpatrywałam się w tatę. Był ubrany w czarny smoking i gdyby nie woskowa bladość twarzy, można by pomyśleć, że drzemie. Pan Boche przysunął się tak bezszelestnie, że omal nie podskoczyłam, gdy szepnął mi do ucha:

-Dobrze wygląda, prawda? Naprawdę, doskonale się spisałem - przechwalał się.

Zmierzyłam go tak wściekłym spojrzeniem, że tylko się skłonił i szybko wycofał, sunąc na swoich gładkich podszwach. Potem podeszłam do trumny i ujęłam prawą rękę taty. To już nie była ta ręka, ale zmusiłam się, by nie zwracać uwagi na jej chłód i sztywność.

- Do widzenia, tato - przemówiłam. - Przepraszam, że nie byłam przy tobie, kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś.

Żałuję, że nie było cię przy mnie, gdy dorastałam. Żałuję, że tak mało czasu spędziliśmy razem. Wiem, że mama ogromnie cię kochała i wiem, że ty też ją kochałeś. Nigdy nie przestanę za toba tęsknić. Mam nadzieję, że spotkałeś się już z mamą, pogodziliście się i teraz we dwoje radośnie pływacie łodzią po niebiańskich rozlewiskach.

Schyliłam się i ucałowałam go w policzek, uparcie nie dopuszczając do świadomości, że całuję zimną twarz. Potem uklękłam i zmówiłam za niego krótką modlitwę. Właśnie odsuwałam się od trumny, gdy do pokoju wwieziono Gisselle. Jej głośne skargi niosły się po całym domu.

- Jestem zmęczona. Mam za sobą długą, nużącą podróż. Dlaczego mnie tu ciągniecie?

- Zamilcz! - warknęła Daphne.

Skinieniem głowy odprawiła Edgara, a potem wróciła na swoje krzesło. Gisselle spojrzała z gniewem najpierw na mnie, potem na nią, po czym wyduła wargi.

- Przysuń ją bliżej - nakazała mi Daphne lodowatym tonem.

Podeszłam do Gisselle i popchnęłam wózek w kierunku macochy.

- A teraz siadaj.

Ruchem głowy wskazała krzesło naprzeciwko niej. Pospiesznie usłuchałam.

- Dlaczego nie dasz nam najpierw odpocząć? - jęknęła Gisselle.

- Zamknij się - ucięła Daphne.

Nawet Gisselle przestraszył i zaimponował ten ostry ton. Z otwartymi ustami wpatrywała się w macochę. Daphne mierzyła ją wzrokiem, który zdawał się przenikać każdą myśl.

- Długo, bardzo długo musiałam znosić twoje jęki, szlochy i wyrzekania. Ale teraz już koniec, jasne? Spójrzcie same

- ruchem głowy wskazała trumnę - jakie są skutki nadmiernego przejmowania się cudzymi problemami. Umiera się młodo i oto cała nagroda.

- Nie mam zamiaru iść w jego ślady. Od tej pory nasze życie zasadniczo się zmieni i im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej. Nadal jestem młoda. Nie dopuszczę, by te wydarzenia mnie postarzyły, skaziły, a tak właśnie by się stało, gdybym żyła tak jak przedtem.

- Wydarzenia? - powtórzyłam zdziwiona.

- Tak, wydarzenia. Wszystko jest wydarzeniem. - Wydęła usta w krzywym uśmiechu. - Och, nie zaczynaj tych swoich teatralnych sztuczek, Ruby. Znam cię lepiej niż sądzisz.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, jego miejsce zajęła furia.

- Przybyłaś tu z bagien i intrygami, wspomnieniami dawnej, wielkiej miłości z rozlewisk, wkradłaś się w ojcowskie serce, by wyszarpać dla siebie kawałek jego majątku. Jestem przekonana, że to sprawka tej twojej babuni.

Poczułam krew napływającą mi na policzki, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, podjęła:

- Nie przejmuj się, nie winię cię za to. Na twoim miejscu pewnie postąpiłabym dokładnie tak samo. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Pierre wymienił cię w testamencie, tak więc dostaniesz swój kawałek schedy. Obie dostaniecie -

ciągnęła, zwracając się do Gisselle. - Ale stanie się to dopiero z chwilą, gdy ukończycie dwadzieścia jeden lat. Do tego czasu cały wasz spadek jest złożony w funduszu powierniczym, nad którym ja sprawuję kontrolę. Od dziś ja będę decydować, co dostaniecie, a czego nie. To ja będę wam mówić, co macie robić, a wy macie mi być posłuszne.



Gisselle zachnęła się.

- Zawsze marzyłaś, by dorwać się do władzy, mamó - stwierdziła z ironią.

- Zawsze ją sprawowałam, ty idiotko. Naprawdę sądziłaś, że to twój ojciec kierował firmą? Jemu brakowało zmysłu do interesów. Za miękkie miał serce. Nigdy nie potrafił podejmować twardych decyzji, kiedy trzeba było komuś coś zabrać. Był zbyt miękki. Gdyby nie ja, nie dorobiłby się nawet połowy tego, co mamy, a teraz wy dwie odziedziczy-cie lwią część tego. Moim zdaniem o wiele za dużą, ale tak to już bywa.

- Nie spodziewam się po was wdzięczności, lecz oczekuję, iż będziecie posłuszne i zechcecie ze mną współpracować. Uroczystości pogrzebowe zakończą się pojutrze -oznajmiła, jeszcze bardziej prostując się na krześle. - Potem wracacie do Greenwood.

- Och, ale mamó... - jęknęła Gisselle.

- Tak, tak, wracacie - powtórzyła Daphne. - Nie mam teraz siły ani cierpliwości, żeby na co dzień użerać się z wami i zajmować waszymi problemami. Macie wrócić do szkoły, dobrze się sprawować, przestrzegać wszystkich nakazów, słyszałyście? Ostrzegam: jeśli będziecie mi sprawiać choćby najmniejsze kłopoty, pošlę was do jeszcze ostrzejszej szkoły. A jeśli doprowadzicie mnie do ostateczności, dopilnuję, by testament unieważniono, jasne?

Wtedy ty spędzisz resztę życia w domu dla kalek. A ty - oznajmiła, kierując rozwścieczony wzrok na mnie -

zostaniesz odesłana na rozlewiska, gdzie będziesz mogła znów zamieszkać ze swoją cajuńską rodziną.

Gisselle spuściła głowę. Ja patrzyłam Daphne prosto w oczy. Zmieniła się w istną Królową Śniegu. W jej żyłach zamiast krwi płynęła lodowata woda. Byłam pewna, że gdybym jej dotknęła, okazałoby się, że jest zimniejsza niż martwe ciało taty. Powinnam się była domyślić, że to nastąpi. Gisselle miała rację: nienawiść Daphne do nas była o wiele większa niż jej miłość do taty.

- Zabierz siostrę na górę i przygotujcie się do przyjmowania żałobników, którzy lada chwila tu nadejdą z kondolencjami. Macie się ubrać i zachowywać jak przystoi paniom z dobrego domu.

- Czy wujka Jeana powiadomiono o śmierci taty? - spytałam.

- Oczywiście, że nie - odparła. - A po co?

- Ma prawo wiedzieć. To jego brat.

- Daj spokój, ten człowiek nawet nie wie, na jakim świecie żyje, gdzie jest ani jak się nazywa.

-Ale...

Podniosła się, górując nad nami, tak twarda, że przypominała posąg pięknej kobiety, wykuty z

kamienia.

- Róbcie co wam każe i martwcie się o siebie. Wydawać by się mogło - powiodła wzrokiem po Gisselle i mnie - że macie dość powodów do zmartwień.

Posłała nam jeszcze jeden lodowaty uśmiech, po czym odwróciła się i wyszła. Gisselle potrząsała głową i jęczała.

- A nie mówiłam? Nie mówiłam? - wyrzekała. - W dodatku odsyła nas do Greenwood. Nawet nie miałam kiedy powiedzieć, że nie powinna tego robić. Może później uda ci się do niej trafić. Ciebie prędzej wysłucha, wiem, że tak będzie.

- Nie chcę tu zostać - odparowałam wściekła. - Nie znoszę Greenwood, ale lepsze już to niż mieszkanie z nią pod jednym dachem.

- Och, co za kretyńka z ciebie. Po pewnym czasie dałaby nam spokój. Zajmie się swoimi sprawami i odczepi od nas.

Tutaj będzie nam o wiele lepiej, a ty mogłabyś się spotykać z Beau.

- Nie chcę teraz o tym myśleć. Chcę myśleć tylko o tacie

- odparłam i popchnęłam jej wózek w stronę drzwi.

- Tata nie żyje. Nie może nam pomóc. Nawet sobie nie może pomóc!

Edgar czekał przy schodach, żeby przenieść Gisselle.

- Gdzie Nina? - spytałam go.

- W swoim pokoju. Spędza tam ostatnio większość czasu

- wyjaśnił, posyłając mi znaczące spojrzenie.

Zrozumiałam, że Nina szuka w voodoo pociechy i wsparcia. Usłyszeliśmy czyjeś kroki na schodach. Podniosłam wzrok i zobaczyłam nową pokojówkę, Marthę Woods, krępą starszą kobietę o krótko przyciętych siwych włosach, ciemnobrązowych oczach i dość dużych ustach. Nie wydepilowała włosów i teraz sterczały jej na brodzie.

- Och, to panienka Gisselle i panienka Ruby - zawołała, składając ręce. - Przepraszam, że nie przywitałam panienek, ale właśnie szykowałam pokoje panienek. Wszystko czyściutkie i ułożone - zapewniła.

- Tej tu jeszcze brakowało - jęknęła Gisselle. - Zabierz mnie wreszcie do pokoju, Edgarze.

- Pomogę - zaoferowała się Martha.

- Edgar sam sobie poradzi - warknęła Gisselle. - Niech pani idzie wysprzątać jakiś kibel.

Martha głośno wciągnęła powietrze i spojrzała w moją stronę.

- Pójdę do Niny - mruknęłam i szybko uciekłam.

Nina siedziała w miękkim fotelu. Wszędzie płonęły niebieskie świece. Na głowie miała czerwony turban, z którego sterczało siedem supłów. Na mój widok oczy jej rozbłysły. Uśmiechnęła się i wstała, żeby mnie uściskać.

- Nina myślała o tobie cały dzień - powiedziała. Rozejrzała się zalekniona. - W tym domu pełno złych duchów, od śmierci pana Dumasa wypełzają z każdej szpary. Nina przygotowała to dla ciebie.

- Sięgnęła po kość leżącą na stoliku. - To moje, kość z łapy czarnego kota zabitego o północy. Potężny amulet. Schowaj to w swoim pokoju.

- Dziękuję, Nino - powiedziałam, biorąc kość.

- Ktoś musiał zapalić świeczkę przeciwko biednemu panu Dumasowi. Którejś nocy, kiedy Nina spała, złe duchy wtargnęły do domu i wbiły w niego kły - mówiła przepraszającym tonem.

- Och, Nino, to nie twoja wina. Tata miał zbyt wiele na głowie i nie dbał o siebie. Z pewnością nie obwiniałby ciebie.

- Nina próbowała. Modliła się do Świętej Dziewicy. Poszła na cmentarz i obeszła go dokoła, zatrzymując się w każdym rogu i prosząc, by pan Dumas odzyskał zdrowie. Odmówiłam modlitwę przed figurką Michała Archanioła, ale zły czar znalazł sobie sprzymierzeńca - ciągnęła, mrużąc oczy. Spojrzała na mnie znacząco. - Ona zostawiła drzwi otwarte.

- Daphne? - odgadłam.

- Nina nie wyrzekła złego słowa na panią. Uśmiechnęłam się.

- Tęskniłam za tobą, Nino. Przydałyby mi się w Greenwood niektóre twoje świece i proszki.

Posłała mi uśmiech.

- Cały dzień gotowałam, żeby przyszykować jedzenie na stypę. I masz mi jeść. Siły będą ci potrzebne.

- Dziękuję, Nino.

Jeszcze raz objęłyśmy się, a potem poszłam zadzwonić do Beau, by powiedzieć mu, że jestem już w domu i rozpaczliwie go potrzebuję.

- Choć sprowadził cię do domu tak bolesny powód - powiedział Beau - to nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

- Ja też nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę - powtórzyłam jak echo.

- Wybieram się z rodzicami złożyć wam kondolencje. Niedługo przyjdziemy.

Po tej rozmowie przebrałam się w bardziej stosowny strój i zajrzałam do pokoju obok, by sprawdzić, czy Gisselle zrobiła to samo. Nawet nie zaczęła się przebierać. Ciągle tkwiła przy telefonie, nadrabiając zaległości w plotkowaniu.

- Daphne życzy sobie, byśmy zeszły na dół i razem z nią przyjmowały kondolencje.

Skrzywiła się i dalej rozmawiała z jakąś przyjaciółką, kompletnie mnie ignorując.

- Gisselle!

- Och, poczekaj sekundę, Collette. - Zasłoniła ręką mikrofon i rozzłoszczona obróciła się w moją stronę. - Czego chcesz?

- Masz się przebrać i zejść na dół. Niedługo zaczną się schodzić żałobnicy.

- I co z tego? Nie widzę powodu, żebym miała się teraz spieszyć. To gorsze niż... niż Greenwood - oświadczyła i po-wróciła do rozmowy.

Moja cierpliwość ostatecznie się wyczerpała. Wykręciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju Gisselle. Niech Daphne się z nią użera - pomyślałam. - To ona ją tak wychowa-

ła, ona wpoila jej takie, a nie inne zasady, ona nauczyła ją skrajnego egoizmu. Obie są siebie warte.

Zaczęli napływać żałobnicy: sąsiedzi, ludzie, z którymi tata prowadził interesy, jego pracownicy, i oczywiście, liczni znajomi Daphne. Podchodzili do trumny, klękali, chwilę się modlili, po czym stawali przed Daphne, która witała ich z pełną spokojną godnością, tak że rzeczywiście wydawać się mogło, że w jej żyłach płynie królewska krew.

Zauważyłam, że Bruce Bristow, jeden ze współkierujących firmą, nie odstępował Daphne na krok, gotów na każde jej skinienie. Wielokrotnie pochylała się w jego stronę i coś mu szeptała do ucha. Czasem się uśmiechnął, innym razem skinął głową i wykonywał, co mu poleciła lub wyluskiwał z grupy jakiegoś szczególnie ważnego gościa, witał

go i prowadził do Daphne.

Wyższy, bardziej masywny Bruce był chyba niewiele starszy od taty - możliwe nawet, że byli rówieśnikami. Do tej pory widziałam go zaledwie parę razy, ale zawsze czułam się skrępowana, widząc utkwione we mnie jego brązowe oczy, i jego obleśny uśmiezek, kiedy zatrzymywał wzrok na moim biuście, a potem wolniutko opuszczał go coraz niżej. Miałam wrażenie, że mnie rozbiera oczami i stoję przed nim zupełnie naga.

Poza tym od naszego pierwszego spotkania zwracał się do mnie La Ruby, jakbym była kamieniem, od którego wzięłam imię. Do tego przy każdym powitaniu, kiedy całował mnie w rękę, dłużej niż

należało dotykać wargami mojej dłoni, tak że przesywał mnie dreszcz.

Wykorzystując moment, kiedy nikt z nią nie rozmawiał, Daphne podeszła do mnie.

- Gdzie twoja siostra? Dlaczego jeszcze nie zeszła? - zaatakowała, ująwszy się pod boki.

- Nie wiem, mamó - odparłam. - Powiedziałam jej, żeby się ubrała, ale nie można jej oderwać od telefonu.

- Marsz na górę i ściągnij mi ją na dół w tej chwili - rozkazała.

-Ale...

- Wiem - przerwała mi z krzywym uśmiechem - że sterczysz tu i tylko czekasz, aż zjawi się twój najmilszy Beau.

Jeśli natychmiast nie sprowadzisz tu Gisselle, postaram się, żebyś nie spędziła z nim sam na sam nawet minuty. Ani dziś, ani kiedykolwiek.

- Dlaczego mam być odpowiedzialna za Gisselle? Przecież...

- Bo jesteś jej ukochaną siostrą bliźniaczką, która ma dwie zdrowe nogi - syknęła, uśmiechając się zjadliwie. - A poza tym cóż to za wspaniała okazja do spełnienia dobrego uczynku, zaskarżenia sobie nagrody w niebie. Chcę, żeby ci wszyscy ludzie widzieli, jak nadzwyczajnie opiekujesz się swą nieszczęśliwą siostrzyczką. A teraz jazda!

W tej samej chwili do salonu wszedł Beau z rodzicami. Na sam jego widok lód w moim sercu zaczął topnieć.

- Nie zapominaj o swoich obowiązkach - przypomniała Daphne, rzucając okiem w stronę Beau. - Przeprowadź tu Gisselle.

- Dobrze, mamó - odparłam, wstając.

Beau spojrzał na rodziców, po czym szybko zbliżył się do mnie.

- Ruby - odezwał się głośno, oficjalnym tonem, by nie wzbudzać podejrzeń rodziców ani pozostałych żałobników i ujął mnie za rękę. - Strata Pierre'a to prawdziwe nieszczęście. Proszę, przyjmij moje wyrazy współczucia.

- Dziękuję, Beau. Wybacz, ale muszę na chwilę zajrzeć do Gisselle i trochę jej pomóc.

- Oczywiście - odparł, cofając się.

- Zaraz wracam - szepnęłam i popędziłam na górę. Moją upartą siostrę zastałam w pokoju objadającą się czekoladkami i rozmawiającą z którymś ze swoich byłych chłopaków.

- Gisselle! - krzyknęłam, czerwieniejąc ze złości i oburzenia. Obejrzała się zaskoczona. - Swoją nieobecnością przynosisz wstyd mnie i mamie, a także pamięci taty.

Wściekła podbiegłam do telefonu, wyrwałam jej słuchawkę i cisnęłam na widełki.

-Masz w tej chwili włożyć czarną sukienkę i zejść ze mną na dół.

- Jak śmiesz!

- Ale już! - wrzasnęłam i nagłym ruchem popchnęłam jej wózek w stronę łazienki. - Zmyj makijaż, podczas gdy ja wyjmę ci sukienkę, albo przysięgam, zepchnę cię ze schodów.

Zerknęła na moją rozwścieczoną twarz i ustąpiła. Oczywiście, maksymalnie utrudniała mi zadanie, zmuszając, bym sama ją rozebrała, a potem włożyła jej sukienkę i buty, ale wreszcie znalazłyśmy się na schodach.

- Nienawidzę takich imprez - jęczała. - I co niby mam robić? Siedzieć i szlochać?

- Przyjmuj kondolencje i siedź cicho. Jeśli zgłodniejesz, możesz się pożywić.

- Już jestem głodna - stwierdziła. - Tak. To dobry powód, żeby zjechać na dół.

Przyszedł Edgar, usadziliśmy ją w wózku, po czym zawiozłam ją do salonu. Przybywało coraz więcej osób. Wszyscy patrzyli w naszą stronę, niektóre kobiety uśmiechały się ze współczuciem. Ci, którzy przyszli z dziećmi, polecali im, by złożyły nam kondolencje. W końcu dołączył do nich Beau. Schylił się, by pocałować Gisselle.

- No, najwyższy czas - oświadczyła. - I nie musisz mnie całować, jakbym była zgrzybiałą staruszką.

- Pocałowałem cię tak, jak należy - odparł.

Kiedy odwrócił się w moją stronę, w jego oczach błyszczały iskierki śmiechu.

- Założę się, że przy najbliższej okazji i Ruby pocałujesz tak jak należy.

Zauważyłam, że Daphne nas obserwuje i kiwa z zadowoleniem głową. Po jakimś czasie Gisselle pochłonęła rozmowa z innymi żałobnikami, a mnie i Beau udało się wymknąć z salonu. Wyszliśmy na taras.

-Tyle czasu upłynęło, od kiedy ostatnio byłem z tobą sam na sam, że czuję się trochę niezręcznie - zaczął.

- Ja też - wyznałam.

- Wierzyć się nie chce, że Pierre nie żyje. Nie zaglądałem tu od dłuższego czasu, więc nie zauważyłem żadnych zmian w jego wyglądzie, ale mój ojciec przeczuwał, że z nim niedobrze. Cały czas robił wrażenie zmęczonego, za-gubionego, stracił zupełnie pogodę ducha. Przestał się spo-

tykać z przyjaciółmi na partyjce kart, nie zaglądał do teatru. Rzadko widywano go razem z Daphne w którejś z modnych restauracji, do jakich zwykle chadzali.

- Gdyby nie wysłano nas do szkoły - jęknęłam - zauważyłabym, co się dzieje i jakoś bym temu zaradziła. Kiedy ostatnio dzwonił, miał taki zmęczony głos, ale twierdził, że to bez znaczenia.

Beau pokiwał głową.

- Wracasz do Greenwood?

- Daphne życzy sobie tego.

- Tak też przypuszczałem. Nie przejmuj się. Teraz częściej będę mógł się tam wyrwać. Sezon futbolowy się kończy.

- Może dzięki temu łatwiej uda mi się tam wytrzymać. No, a za parę tygodni przyjedziemy na ferie.

Ujął mnie za rękę. Siedzieliśmy na ławce i spoglądaliśmy na zaciągnięte chmurami niebo.

- Przed wyjazdem muszę zajrzeć do wujka Jeana, Beau. Musi dowiedzieć się, co się stało. Pewnie zastanawia się, dlaczego tatuś go nie odwiedza. To nie w porządku. Daphne nie ma zamiaru mu nic powiedzieć; twierdzi, że on i tak nie zrozumie, ale ja go widziałam, i wiem, że zrozumie.

- Zawiozę cię - zaoferował się Beau.

- Naprawdę?

- Tak. Tylko powiedz, kiedy - oświadczył zdecydowanie.

- A co na to twoi rodzice? Nie będą niezadowoleni?

- Nie muszą o tym wiedzieć. Kiedy?

- Jutro. Wyruszymy, jak tylko będziesz mógł.

- Zerwę się z treningu. Trener zrozumie. Przyjadę po ciebie koło trzeciej.

- Daphne by mnie nie puściła. Jestem tego pewna. Będę czekać na ciebie przed bramą. Nienawidzę kręactwa, ale ona sama mnie do tego zmusza.

- Nie robisz przecież nic złego - uspokoił Beau, obejmując mnie. Tak cudownie było znowu znaleźć się w jego ramionach. - Jeśli w ten sposób można uczynić coś dobrego...

- Och, Beau, zostałam zupełnie sama. Samiutka - zawołałam z większą rozpaczą, niż zamierzałam.

Oczy mu posmutniały.

- Nie, nie jesteś sama. Masz mnie, Ruby. Zawsze będziesz mnie miała - przysiągł.

- Niczego nie obiecuj, Beau - szepnęłam, kładąc mu palec na ustach. - Lepiej niczego nie obiecywać, niż składać obietnice, których się nie dotrzyma.

- Tej dotrzymam, Ruby - zapewnił. - I przypieczętuję ją pocałunkiem.

Dotknął wargami moich ust. Czułam się cudownie, ale równocześnie nękały mnie wyrzuty sumienia, że ja tu się całuję, gdy tata, martwy, leży w salonie. Serce i myśli powinnam skupiać teraz na nim - pomyślałam i odsunęłam się od Beau.

- Powinniśmy wrócić, nim ktoś zauważy naszą nieobecność, Beau.

- Zgoda. Jutro o trzeciej - upewnił się.

Choć załobnicy stosunkowo wcześniej się rozeszli, mnie wydawało się, że siedzieli w nieskończoność. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo cierpienie wysysa siły. Beau z rodzicami wyszli prawie na samym końcu. Beau mrugnął do mnie porozumiewawczo, po czym oficjalnie, chłodno się ze mną pożegnał.

Gdy salon opustoszał, Daphne wraz z Bruce'em Bristowem udali się do gabinetu taty omówić jakieś ważne kwestie, my zaś z Gisselle wróciłyśmy do swoich pokoi. Jeszcze długo słyszałam, jak rozmawia z przyjaciółkami przez telefon. Jej paplanina i głupi chichot ukołysały mnie do tak upragnionego snu.

\* \* \*

Daphne nie zjawiła się na śniadaniu, ale na lunch przyszedł ksiądz, by omówić ostatnie przygotowania do pogrzebu.

Część przyjaciółek odwiedziła Gisselle, choć moim zdaniem kierowała nimi ciekawość, nie współczucie. Zostawiłam je i schroniłam się w mojej pracowni. Przypomniałam sobie, jak szczęśliwy i podekscytowany był tata, kiedy prowadził mnie, by mi ją pokazać. A potem z rozkosznym dreszczem przypominałam sobie dzień, gdy malowałam Beau nago. Wszystko to odbyło się tak szybko i wryło na mnie tak niezatarte piętno, że nawet w tej chwili czułam tamtą cu-

downą ekstazę. Tak pogrążyłam się we wspomnieniach, że omal nie spóźniłam się na nasze spotkanie przed domem.

Wybiegłam boczną furtką, przemknęłam chodnikiem i o trzeciej czekałam na niego, tak jak się umawialiśmy. Zjawił

się punktualnie. Szybko wskoczyłam do samochodu i już po chwili pędziliśmy do szpitala psychiatrycznego, gdzie pogrążony w mrocznym, pełnym niepokoju świecie żył nieszczęsny młodszy brat taty. W miarę jak zbliżaliśmy się do celu, ogarniał mnie coraz silniejszy niepokój i obawa. Beau wiedział, że macocha próbowała mnie tu zamknąć, by w ten sposób raz na zawsze usunąć mnie ze swego życia.

- Wiem, jaki lęk budzi w tobie to miejsce. Jesteś pewna, że poradysz sobie? - spytał.



- Nie wiem - odparłam - ale muszę to zrobić przez wzgląd na tatę. Jestem pewna, że oczekiwaliby tego ode mnie.

Po półgodzinie zatrzymaliśmy się przed trzypiętrowym, szarym budynkiem z kratami w oknach. Powoli wysiadłam z samochodu i razem z Beau wkroczyliśmy na teren szpitala. Pielęgniarka, siedząca za szybą w recepcji, nie zauważyła nas, póki nie stanęliśmy tuż przed jej nosem.

- Nazywam się Ruby Dumas. Chciałabym porozmawiać z moim wujem, Jeanem.

- Jeanem Dumas? - spytała. - A, tak. Nie dalej jak dziś rano przenieśliśmy go gdzie indziej.

- Gdzie indziej? To znaczy, że go tu nie ma?

- Jest, ale nie ma już osobnego pokoju. Mieszka we wspólnej sali.

- Ale... dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Bo ktoś, kto do tej pory pokrywał koszty jego utrzymania, obniżył stawkę do minimalnej - odparła.

Spojrzałam na Beau.

- Nie traciła czasu, co? Czy mogę widzieć się z wujem? -zwróciłam się do recepcjonistki.

- Tak. Chwileczkę. - Nacisnęła guzik i po jakimś czasie zjawił się pielęgniarz. - Proszę zaprowadzić tych dwoje do sali C, do Jeana Dumasa.

- Do lorda Dumasa - powtórzył z uśmiechem. - Jasne. Tędy proszę - powiedział, prowadząc nas korytarzem.

- Dlaczego nazwał go pan lordem? - spytał Beau.

- Och, tak tylko żartujemy. Mimo swojej choroby, Jean przepada za eleganckim ubiorem i bardzo dba o swój wygląd.

Przynajmniej tak było do tej pory.

- Jak to: tak było do tej pory? - nie rozumiałam.

- Od niedawna przestał o siebie dbać. Lekarzy bardzo to niepokoi. Zwykle po lunchu zabieraliśmy go do świetlicy, ale ostatnio gorzej się czuje, więc wraca od razu na salę.

Zerknęłam na Beau.

- Ciekawe jak wygląda ta sala? - zastanawiałam się głośno.

Pielęgniarz przystanął.

- Ritz to to nie jest - stwierdził.

Delikatnie się wyraził. Męska sala składała się po prostu z dwunastu łóżek, stojących w rzędzie. Przy każdym ustawiono metalową szafkę. Na jednej ścianie znajdowało się jedno okno, na drugiej dwa, wszystkie okratowane.

Podłoga była betonowa, ściany pomalowane na bury kolor. W słabym świetle dostrzegliśmy wujka Jeana. Siedział

na łóżku w głębi. Pielęgniarka właśnie mu coś podała i zmierzała w naszym kierunku.

- Prowadzę dwójkę gości do Jeana - zwrócił się do niej pielęgniarz.

- Nie jest dzisiaj w dobrym nastroju. Prawie nie tknął lunchu. Musiałam mu dać lekarstwo. Jesteście z rodziny?

- spytała.

- Jestem jego bratanicą, nazywam się Ruby.

- O - uśmiechnęła się. - Ta Ruby, która czasem do niego pisuje?

- Tak - potwierdziłam. Ucieszyło mnie, że listy do niego docierały.

- Ogromnie ceni twoje listy, choć powątpiewam czasem, czy rozumie, co tam jest napisane. Potrafi tkwić nad nimi godzinami, wpatrując się w kartki. Kiedy miał własny pokój, czytywałam mu je od czasu do czasu. To bardzo miłe listy.

- Dziękuję. Pogorszyło mu się?

- Obawiam się, że tak. A przeprowadzka jeszcze pogłębiła ten stan. Tak dbał o ten swój pokój, taki był z niego dumny.

- Wiem - powiedziałam. - Pamiętam.

- O, odwiedzałaś go już?

- Można by to i tak ująć - odparłam wymijająco. Pielęgniarka nie pracowała tu, gdy mnie zamknęto, więc mnie nie pamiętała. Ale nie widziałam powodu, by jej wszystko wyjaśniać.

Z Beau u boku podeszłam do wujka, który siedział ze zwieszoną głową. Włosy miał potargane, ubrany był w pomię-

te spodnie i pomiętą, białą koszulę z plamami po jedzeniu.

- Dzień dobry, wujku - odezwałam się, siadając przy nim. Wzięłam go za rękę. Obejrzał się, popatrzył najpierw na Beau, potem na mnie. W jego niebieskozielonych oczach mignęło światelko, jakby mnie rozpoznał, a w kącikach ust pojawił się cień uśmiechu.

-Pamiętasz mnie?... Ruby? Jestem drugą córką Pier-re'a. To ja pisuję do ciebie listy. - Jego uśmiech stał się wy-raźniejszy. - Przyjechałam ze szkoły, bo.... bo spotkało nas wielkie nieszczęście, wujku. Postanowiłam cię odwiedzić, by ci o tym powiedzieć, ponieważ uważam, że masz do tego prawo. Uważam, że powinieneś wiedzieć.

Zerknęłam na Beau, by upewnić się, czy powinnam dalej mówić, czy nie. Skinął głową. Wujek Jean nadal się we mnie wpatrywał, a jego oczy lekko poruszały się, gdy wodził wzrokiem po mojej twarzy.

- Chodzi o tatusia, wujku.... On nie... Jego serce nie wytrzymało i... i... umarł. To dlatego cię nie odwiedzał; dlatego przeniesiono cię na tę salę. Ale porozmawiam o tym z Daphne i dopilnuję, byś wrócił do swego pokoju. A przynajmniej spróbuję.

Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, usta zaczęły mu leciutko drżeć. Położyłam rękę na jego ramieniu i delikatnie go pogłaskałam.

- Tatuś na pewno chciałby, żebym do ciebie przyjechała, wujku. Bardzo cierpiał z powodu tego, co się wydarzyło między wami i ogromnie smuciła go twoja choroba. Tak gorąco pragnął, byś wyzdrowiał. Bardzo cię kochał.

Naprawdę.

Jego wargi zadrżały mocniej. Zaczął mrugać oczami, potem poczułam, że ręce mu się trzęsą. Nagle zaczęła mu się trząść głowa. Najpierw słabo, potem coraz gwałtowniej.

- Wujku Jeanie...

Otworzył usta i zamknął. Pielęgniarka i pielęgniarz przysunęli się bliżej. Spojrzałam na nich, a wtedy z ust wujka wydobył się jęk.

- Aaaaa....

- Jean - zwróciła się do niego pielęgniarka, szybko podchodząc. - Coś ty mu powiedziała? - spytała ostro.

- Musiałam mu powiedzieć, że jego brat - mój ojciec -nie żyje.

- Ojej. Spokojnie, Jean - uciszała.

Ramiona zaczęły mu się trząść, to otwierał, to zamykał usta, z których wydobywały się nieartykułowane dźwięki.

- Lepiej już idźcie - poradziła.

- Przepraszam. Nie zamierzałam doprowadzić go do takiego stanu, ale sądziłam, że powinien wiedzieć.

- Nie przejmuj się tak. Uspokoi się - zapewniła, ale wyraźnie chciała, byśmy już sobie poszli.

Kiedy wstałam, wujek popatrzył na mnie z rozpaczą. Umilkł. Kierowana odruchem objęłam go mocno i uściskałam.

- Wrócę kiedy indziej, wujku - obiecałam przez łzy i ruszyłam w stronę drzwi. Za mną Beau.

Już wychodziliśmy, kiedy Jean zawył:

- P-P-Pierre!

Obejrzałam się i zobaczyłam, jak chowa twarz w dłoniach. Pielęgniarka delikatnie pomogła mu położyć się na łóżku, by mógł spokojnie zasnąć.

- Och, Beau, nie powinnam tu przychodzić. Daphne miała rację: nie należało mu nic mówić.

- Oczywiście, że powinnaś była mu powiedzieć. Inaczej czułby się opuszczony, nie rozumiałby, dlaczego Pierre przestał go odwiedzać. Teraz przynajmniej rozumie to i wie, że ma jeszcze ciebie - uspokajał Beau, obejmując mnie.

Oparłam głowę na jego ramieniu, po czym dałam się wyprowadzić ze szpitala i wróciłam do domu, gdzie leżał tata, czekając na ostatnie pożegnanie.

Brutalna rzeczywistość

Poprosiłam Beau, żeby wysadził mnie przecznicę przed

domem.

- Czuję się jak Gisselle, skradając się - powiedziałam - ale wolę, żeby Daphne nie wiedziała, że mnie zawiozłeś.

Roześmiał się.

- Nie ma sprawy. Czasem metody Gisselle okazują się przydatne. Szkoda, że ona nie umie brać przykładu z ciebie Pochylił się i nim zdążyłam wysiąść szybko pocałował

mnie w usta.

- Będę wieczorem! - zawołał za mną.

Pomachałam mu i pobiegłam do bocznej furtki, żeby się

niąwemknąć. .

W domu panowała cisza. Weszłam po cichutku i wspięłam się po schodach, które jak na złość zaczęły skrzypiec głośniejsz niż zwykle. Byłam już prawie na górze, gdy wołała mnie Daphne.

Odwróciłam się i spojrzałam w dół. Obok niej stał Bruce Bristow. .

- Gdzie byłaś? - spytała, biorąc się pod boki.

Miała na sobie jeden z kostiumów, w którym zwykle chodziła do pracy, była umalowana, ale włosów nie upięła.

- Pojechałam odwiedzić wujka Jeana - przyznałam się. Już w drodze postanowiłam, że gdyby Daphne złapała mnie - wyznam prawdę. Zresztą chciałam się też dowiedzieć, dlaczego obcięła wydatki na szpital i kazała przenieść wujka do wspólnej sypialni.

- Co takiego? Zejdź tu natychmiast - rozkazała, dodatkowo akcentując nakaz kiwnięciem palca.

Obróciła się na pięcie i skierowała do salonu, z którego Przed chwilą wyszła. Bruce popatrzył na mnie. W kącikach jego ust pojawił się drwiący uśmiešek. Potem odwrócił się i podążył za Daphne. Znajdowałam się w połowie schodów gdy usłyszałam głos Gisselle. Podjechała, by być świadkiem mojej konfrontacji z macochą.

- Kryłabym cię, ale nie powiedziałaś, gdzie jedziesz Nie byłam w stanie niczego wymyślić, kiedy przyszła spytać gdzie się podziewasz.

- Nic się nie stało. I tak nie lubię kłamać.

- A szkoda - stwierdziła moja siostra - bo tym razem wpadłaś w niezłe tarapaty.

Uśmiechnęła się z satysfakcją, po czym wykręciła wózek i wróciła do pokoju. Szybko zbiegłam ze schodów i weszłam do salonu. Daphne siedziała na kanapie, a Bruce stał obok mej ze splecionymi rękami. Brwi zmarszczył, ale tę pozę przybrał bardziej dla Daphne niżli dla mnie.

-Wejdz - rozkazała, gdy zatrzymałam się w progu Zbliżyłam się. Serce waliło mi jak młotem.

- Zdaje się, że zabroniłam ci jechać do Jeana. Zdaje się że wyraźnie nakazałam ci, byś nie informowała go o śmierci Pierre'a - zaatakowała.

- Tata życzyłby sobie, żeby wujek dowiedział się o tym -odparłam ze spokojem. - Poza tym gdybym mu nie powiedziała, ciągle czekałby na tatę i niepokoił, dlaczego on się nie zjawia.

Wykrzywiła usta pogardliwie.

-Jestem pewna, że on nad niczym się nie zastanawia Zacisnęła wargi i na moment przymrużyła oczy.

- Kto cię tam zawiózł? Beau? Milczałam, a ona chłodno się uśmiechnęła

- Jego rodzice nie będą uszczęśliwieni, gdy im o tym powiem. Dopóki byłaś w Greenwood sprawował się idealni ale wystarczyło, że wróciłaś...

- Proszę nie rób mu nieprzyjemności. Nie miał w tym żadnego udziału. Po prostu okazał się na tyle

uprzejmy, że podwiózł mnie do szpitala.

Popatrzyła na Bruce'a, który wykonał pełen niezadowolenia gest.

- Zresztą - ciągnęłam, zebrawszy się na odwagę - teraz już wiem, dlaczego tak bardzo nie chciałaś, bym tam pojechała. - Przybrałam tak ostry ton, aż Bruce podniósł brwi zaskoczony. - Potajemnie kazałaś usunąć wujka Jeana z je-go pokoju.

Wyprostowała się i zacisnęła dłońe.

- Potajemnie?

Zaśmiała się głucho, spojrzała na Bruce'a, po czym utkwiała znowu wzrok we mnie.

- Nie muszę niczego robić potajemnie. Nie potrzebuję ani twojego, ani twojej siostry, ani w ogóle niczyjego pozwolenia przy podejmowaniu decyzji dotyczących rodziny.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zawołałam. - Stać nas na opłacenie osobnego pokoju dla niego.

- Osobny pokój to tylko strata pieniędzy. Zawsze tak uważałam. Zresztą, nie muszę się tłumaczyć ani tobie, ani twojej siostrze.

- Ale teraz jego stan się pogorszył. Tak twierdzą pielęgniarki. Przestał o siebie dbać, choć przedtem był taki schludny i...

- I bez tego jego stan się nie poprawiał. A Pierre tylko próbował w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia, wydając bez potrzeby na Jeana mnóstwo pieniędzy. To idiotyczna rozrzutność.

- Nieprawda - upierałam się. - Może ty nie widzisz różnicy. Ja - tak..

- Od kiedy to wyrosłaś na specjalistkę od chorób psychicznych? - odparowała. Znowu posłała mi lodowaty uśmiech, od którego ciarki przebiegły mi po plecach. - Czyżbyś odziedziczyła po babce część jej uzdrowicielskich mocy?

Czułam jak policzki płoną mi z gniewu. Daphne nigdy nie przepuściła okazji, by uwłaczać pamięci babuni. Uwielbiała zohydzać świat Cajunów. Głęboko zaczerpnęłam tchu i postanowiłam się nie dać.

- Nie, odziedziczyłam po niej jedynie współczucie i ludzkie podejście - odparłam.

Moje słowa dotknęły ją tak głęboko, że aż się skuliła. Na twarzy Bruce'a nie widać już było nawet cienia uśmiechu. Przeształ z nogi na nogę i lękliwie spoglądał na Daphne.

- Dość już tego - przemówiła wolno. Oczy miała mroczne niczym cienie na moczarach. - Złamałaś mój zakaz. Chcę, żebyś od samego początku przekonała się, czym kończy się niesubordynacja. Nie ma już ojca, który by cię usprawiedliwiał. - Wyprostowała się i wydała wyrok: - Masz iść na górę, gdzie zostaniesz do chwili pogrzebu ojca.

Każę Marthcie przynosić ci jedzenie. Z nikim nie wolno ci się widywać.

- A czuwanie przy trumnie... Witanie żałobników...

- Wymyślimy jakieś usprawiedliwienie, powiemy, że źle się czujesz i w ten sposób twój obrzydliwy postępek nie wyjdzie na jaw - ucięła krótko.

- To nie był żaden obrzydliwy postępek - upierałam się. - Mam prawo spotykać się z wujkiem. Poza tym ktoś musiał

mu powiedzieć o tacie, a ty nie miałaś prawa przynosić go do wspólnej sali.

Przez moment wydawała się być pod wrażeniem mojej nieustępliwości. Ale potem wezwała w sukurs cały swój jad i pochyliła się w moją stronę:

- Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, będziesz mogła samodzielnie podejmować decyzje finansowe, nie pytając mnie o zdanie ani o radę. Wtedy możesz cały swój majątek roztrwonić na Jeana. Ale na razie to ja decyduję, w jaki sposób dysponować fortuną Dumasów. Mam eksperta w tej dziedzinie - ruchem głowy wskazała Bruce'a - więc nie potrzebuję twoich rad. Zrozumiałaś? Zrozumiałaś? - powtórzyła, gdy milczałam.

- Nie - odparłam z uporem - nie rozumiem, jak mogłaś to zrobić biednemu wujkowi, który nie ma nic, prócz swojej biednej, chorej duszy.

- Nie zależy mi na tym, byś cokolwiek rozumiała. - Usiadła wygodniej. - Nie dbam o to - dodała. - A na razie marsz na górę i zamknij za sobą drzwi albo zadzwonię do rodziców Beau i powiem im, co ty i on narozrabialiście -

zaszantażowała - a potem ukarzę cię jeszcze surowiej.

Pod powiekami paliły mnie gorące łzy gniewu i bezsilności.

- Muszę uczestniczyć w czuwaniu przy trumnie... Powinnam być...

- Powinnaś jedynie robić to, co ci nakazałam - oświadczyła twardo. Ruchem ręki wskazała mi drzwi. - A teraz marsz!

Spuściłam głowę.

- Nie mogłabyś mnie ukarać w inny sposób? - błagałam. Łzy płynęły mi po policzkach.

- Nie. Nie mam czasu ani siły, żeby wymyślać kary dla ciebie. Muszę pochować męża. Nie mam zamiaru niańczyć upartych smarkul. Rób natychmiast, co ci każę. Słyszałaś! - wrzasnęła.

Wciągnęłam powietrze, odwróciłam się i wolno ruszyłam w stronę drzwi. W żołądku mnie ścisnęło, jakbym po-

łknęła bagieny muł. Znalazłszy się w swoim pokoju, rzuciłam się na łóżko i wybuchnęłam płaczem. Zrozumiałam, że nie uda mi się pomóc wujkowi; nawet sobie nie zdołam pomóc.

- No i gdzie byliście? - usłyszałam głos stojącej w progu Gisselle.

Odwrociłam się powoli, ocierając łzy z policzków.

- Nad jeziorem Pontchartrain? - naciskała z lubieżnym uśmiechem. - Pociupciać się trochę?

- Nie. Beau zawiózł mnie do wujka Jeana - odparłam i opisałam, co tam zastałam... - Kazała go przenieść na wspólną salę, gdzie ma tylko łóżko i metalową szafkę - zakończyłam.

Wzruszyła ramionami, nie okazując cienia współczucia.

- To mnie wcale nie dziwi. Mówiłam ci, do czego Daphne jest zdolna, ale ty nie chciałaś słuchać. Wydaje ci się, że świat jest usłany różami bez kolców. Wydatki na nas z pewnością też znacznie obetnie. Przekonasz się. - Podjechała bliżej i zniżyła głos do szeptu. - Lepiej będzie, jeśli zostaniemy tutaj i nie wrócimy do Greenwood. Rusz tą swoją genialną głową i wymyśl jakiś sposób, żeby zechciała nas tu zatrzymać.

- Zechciała nas zatrzymać? - Wybuchnęłam tak przerażającym śmiechem, że sama się go wystraszyłam. - Ona nas nienawidzi. To ty żyjesz złudzeniami, jeśli sądzisz, że Daphne choć przez chwilę bierze pod uwagę możliwość zatrzymania nas w domu.

- Ładne rzeczy - jęknęła Gisselle. - Chcesz się poddać?

- Tak już musi być - odparłam z taką apatią, że Gisselle spojrzała na mnie zdumiona.

Chwilę tkwiła w miejscu, czekając, że się otrząsnę z beznadziejności i powiem coś, co chciałaby usłyszeć.

- Nie myjesz się i nie przebierasz, żeby zejść na dół? - spytała w końcu.

- Ponieważ złamałam zakaz Daphne i pojechałam odwiedzić wujka Jeana, nie wolno mi zejść na dół. Tak mnie ukarała.

- Nie możesz zejść na dół? Tak cię ukarała? Och, dlaczego nie mnie ukarała?

Poderwałam się tak gwałtownie, że aż się cofnęła.

- Co z tobą, Gisselle? Przecież tata cię kochał.

- Dopóki ty się nie zjawiałaś. Wtedy o mnie zapomniał.

- To nieprawda.

- Prawda, ale to i tak bez znaczenia. No cóż - oświadczyła z głębokim westchnieniem, poprawiając



włosy. - Ktoś musi zabawiać Beau, kiedy się zjawi. Zdaje się, że wezmę na siebie ten obowiązek.

Uśmiechnęła się i wyjechała z pokoju.

Wstałam z łóżka i wyrzałam przez okno, zastanawiając się, czy nie lepiej by było, gdybym po prostu uciekła. I pewnie rozważyłabym tę możliwość poważniej, gdybym nie przypomniała sobie obietnic, które złożyłam tacie.

Muszę tu zostać, by zajmować się Gisselle, najlepiej jak potrafię, a także by osiągnąć coś w malarstwie i w ten sposób uczcić jego pamięć. Jakoś sobie poradzę z kłodami, które Daphne rzuca mi pod nogi - poprzysięgłam sobie w duchu - a pewnego dnia zrobię dokładnie to, co powiedziała: pomogę wujkowi Jeanowi.

Położyłam się z powrotem i leżałam tak, przysypiając, póki nie usłyszałam jak Gisselle podjeżdża do schodów i woła Edgara, by pomógł jej zjechać. Wtedy uklękłam i odmówiłam modlitwy, które szeptałabym przy trumnie taty.

Martha przyniosła mi tacę z jedzeniem, ale ja jedynie podłubałam w talerzu. Zbyt byłam zdenerwowana i smutna, by cokolwiek zjeść.

Po kilku godzinach usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Leżałam w ciemnościach, pokój oświetlał jedynie blask księżyca. Przechyliłam się, zapaliłam lampkę i powiedziałam tajemniczemu gościowi, że może wejść. Okazało się, że to Beau i Gisselle.

- Daphne nie wie, że on tu jest - zapewniła szybko.

Po jej ustach błąkał się figlarny uśmieszek. Tak przepadała za robieniem tego, co zakazane, że zdobyła się na to nawet dla mnie.

- Wszyscy sądzą, że obwozi mnie po domu. Zresztą jest tylu ludzi, że nawet nie zauważą naszej nieobecności. Nie przejmuj się.

- Och, Beau, lepiej idź stąd. Daphne groziła, że ściągnie tu twoich rodziców i narobi ci kłopotów za to, że zawiozłeś mnie do szpitala - ostrzegłam.

- Zaryzykuję - odparł. - A o co tak się wściekła?

- Dowiedziałam się, jaką krzywdę wyrządziła wujowi - wyjaśniłam. - To był główny powód.

- To takie niesprawiedliwe, że dodatkowo cię karze - powiedział i zatonęliśmy w sobie oczami.

- Mogę was zostawić na chwilę - zaproponowała Gisselle, widząc, że zapomnieliśmy o całym świecie. - Co więcej, podjadę do schodów i będę patrzeć, czy ktoś się nie zbliża.

Już miałam zaprotestować, ale Beau podziękował jej. Cicho zamknął za nią drzwi i usiadł na łóżku, obejmując mnie.

- Moja biedna Ruby. Nie zasłużyłaś na to.

Pocałował mnie w policzek. Potem rozejrzał się po sypialni i uśmiechnął.

- Pamiętam, że kiedyś już tu byłem... Próbowałaś wtedy po raz pierwszy trawki Gisselle, pamiętasz?

- Nie przypominaj mi tego - odparłam, uśmiechając się po raz pierwszy od bardzo dawna. -  
Chociaż... jedno pamiętam: zachowałeś się jak dżentelmen i zatroszczyłeś o mnie.

- Zawsze będę się o ciebie troszczył - obiecał.

Pocałował mnie w szyję, potem w brodę, wreszcie musnął moje wargi.

- Proszę, Beau, nie. Jestem teraz taka nieszczęśliwa i zagubiona. Pragnę byś mnie całował i dotykał, a równocześnie cały czas pamiętam, dlaczego tu się znalazłam, jakie nieszczęście sprowadziło mnie do domu.

Skinął głową.

- Rozumiem. Ale po prostu nie jestem w stanie powstrzymać się, kiedy czuję cię tak blisko siebie.

- Niedługo znowu będziemy razem. Jeśli nie uda ci się przyjechać do Greenwood w ciągu najbliższych dwóch tygodni, spotkamy się tutaj w święta.

- Tak, to prawda - zgodził się, nie wypuszczając mnie z objęć. - Poczekaj, a zobaczysz, co szykuję dla ciebie na Boże Narodzenie. Będzie nam ze sobą cudownie, razem powitamy Nowy Rok i...

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Daphne, mierząc nas wściekłym wzrokiem.

- Tak też myślałam. Wynoś się - rozkazała wskazując Beau drzwi ręką.

- Daphne, ja tylko...

- Nie racz mnie żadnymi historyjkami ani wykrętami. Nie masz prawa tu wchodzić i doskonale o tym wiedziałeś.

- A ty - ciągnęła, wbijając we mnie wzrok - właśnie tak opłakujesz ojca? Przyjmując w sypialni chłopaka? Nie masz w sobie za grosz przyzwoitości? Odrobiny władzy nad sobą? Czy też tak cię spala ta gorąca, cajuńska krew, która krąży w twoich żyłach, że nie potrafisz stawić czoła pokusie, choć pod tym samym dachem w trumnie spoczywa cia-

ło twego ojca?

- Niczego złego nie robiliśmy! - krzyknęłam.

- Proszę, oszczędź mi tego - przerwała, podnosząc rękę i zamykając oczy. - Beau, wyjdź stąd. Kiedyś

miałam o tobie dobrą opinię, ale okazuje się, że niczym nie różnisz się od innych chłopców w twoim wieku... Zapominasz o wszystkich zasadach, gdy tylko nadarzy ci się okazja.

- Nic podobnego. Po prostu rozmawialiśmy, snuliśmy plany...

Uśmiechnęła się lodowato.

- Na twoim miejscu nie snułabym żadnych planów związanych z moją córką. Znasz pogląd swoich rodziców na temat tego związku, a kiedy dowiedzą się jeszcze o dzisiejszym twoim zachowaniu...

- Przecież nie robiliśmy nic złego - upierał się.

- Masz szczęście, że nadeszłam w porę. Znowu pewnie zerwałaby z ciebie ubranie pod pozorem malowania portretu.

Beau zalał się taką purpurą, że bałam się, iż krew uderzy mu nosem.

- Idź już, Beau, proszę - błagałam.

Spojrzał na mnie i skierował się do drzwi. Daphne odsunęła się, robiąc mu przejście. Obejrzał się raz jeszcze i zniknął w korytarzu. Wtedy macocha odwróciła się w moją stronę.

- I pomyśleć, że omal nie ulitowałam się i nie wysłuchałam twoich próśb, byś mogła zejść na dół... Przez moment wydawało mi się, że naprawdę cierpisz. Wyszła zamykając za sobą drzwi.

Cichy szcęk zamka zabrzmiał w moich uszach niczym huk wystrzału, aż serce na moment we mnie zamarło. A potem zaczęło łomotać i słyszałam jak bije głośno, kiedy w parę minut później Gisselle stanęła w drzwiach.

- Przepraszam - bąknęła. - Tylko na chwilę odwróciłam się, żeby po coś sięgnąć, a ona tymczasem już pędziła po schodach i przemknęła obok mnie.

Wpatrywałam się w nią bez słowa. Na końcu języka miałam pytanie, czy przypadkiem prawda nie wyglądała inaczej.

Ale co się stało to się nie odstanie i niezależnie od tego, czy Gisselle maczała w tym palce czy nie, rezultat był

identyczny: ja i Beau znowu zostaliśmy rozdzieleni za sprawą mojej macochy, której najwyraźniej przyświecał jeden cel: chęć przemienienia mego życia w piekło.

Pogrzeb taty był największą tego typu uroczystością, w jakiej dotąd uczestniczyłam. Dzień zdawał się wymarzony na pogrzeb: szare chmury zwisały nisko nad ziemią, cie-

ply wiatr kołysał gałęziami sykomory, dębów, wierzb i magnolii, chyląc je ku ziemi, jakby cały świat chciał oddać hołd zmarłemu księciu. Przed kościołem i na okolicznych ulicach stały luksusowe samochody, zebrało się mnóstwo ludzi, toteż część musiała stać u wejścia i na schodach kościoła.

Choć nie lubiłam Daphne, przyglądałam się jej prawie z podziwem. Imponowała mi jej elegancja i godność, z jaką zachowywała się podczas nabożeństwa.

Tak gorąco pragnęłam głęboko przeżyć ten pogrzeb, czuć bliskość taty, ale uniemożliwiał mi to nieustannie wbity we mnie wzrok Daphne i spojrzenia pozostałych żałobników, wpatrujących się w nas, jakbyśmy były członkiniami rodziny królewskiej. Trudno mi było myśleć o tacie spoczywającym w tej błyszczącej, drogiej trumnie. Chwilami odnosiłam wręcz wrażenie, że znalazłam się na swego rodzaju pokazie, publicznej ceremonii.

A gdy rozplakałam się, to płakałam przede wszystkim nad sobą i nad tym, czym stanie się moje życie bez taty.

Daphne nie płakała w czasie pogrzebu. Tylko dwa razy zdawała się być bliska łez: kiedy ojciec McDermott wspomniał, że to właśnie on udzielał ślubu jej i tacie, a potem na cmentarzu na moment przed tym, nim ciało taty złożono do, jak się to określa w Nowym Orleanie, „pieczary”. Ze względu na wysoki poziom wody, grobów nie kopie się tu w ziemi. Ludzi chowa się w betonowych pieczarach. Często są to grobowce rodzinne, na drzwiach których widnieje nazwisko rodu.

Daphne nie szlochała, tylko przykładła do ust jedwabną chusteczkę. Wzrok miała spuszczonej, była zatopiona we własnych myślach. Mnie i Gisselle wzięła za rękę tylko kiedy wychodziłyśmy z kościoła, a potem raz jeszcze, gdy opuszczałyśmy cmentarz. Trzymała nasze dłonie zaledwie przez moment, zrobiła to wyraźnie ze względu na uczestników pogrzebu, a nie by okazać nam czułość.

Przez całą ceremonię Beau trzymał się swoich rodziców. Wymieniliśmy zaledwie kilka spojrzeń. Krewni z rodziny Daphne tłoczyli się w jednym miejscu, rozmawiali szeptem, śledząc wzrokiem najmniejszy nasz ruch. Ilekroć ktoś podchodził do Daphne, by złożyć jej kondolencje, ujmowa-

ła jego dłoń i dziękowała cicho: „*Merci beaucoup*”. Następnie ludzie podchodzili do mnie i Gisselle. Gisselle wspaniale naśladowała Daphne, doskonale imitowała jej francuską wymowę, nawet ręce żałobników trzymała dokładnie tyle samo czasu i dokładnie w ten sam sposób, co macocha. Ja po prostu mówiłam „dziękuję”.

Daphne bez przerwy obserwowowała nas kątem oka, jakby cały czas podejrzewała, że ja albo Gisselle powiemy lub zrobimy coś niestosownego. A już ze szczególną uwagą przypatrywała się nam, kiedy podszedł Beau z rodzicami.

Rzeczywiście, trzymałam dłoń Beau dłużej niż dłonie innych żałobników, choć miałam wrażenie, że oczy Daphne wypalają mi dziurę w karku i głowie. Nie ulegało wątpliwości, że zachowanie Gisselle znacznie bardziej się jej podobało niż moje, ale nie przyszedł mi tu, by przypodobać się macosze. Przyszedł pożegnać się z tatą i podziękować ludziom, których naprawdę dotknęła ta strata, w taki sposób, jak on by sobie tego życzył: serdecznie, bezpretensjonalnie.

Bruce Bristow na krok nie odstępował Daphne, czasem szepnął jej coś do ucha, czasem spełniał jakieś jej życzenie.

Gdy podjechaliśmy pod kościół, zaproponował, że mnie wyręczy i wprowadzi wózek z Gisselle.

Czekał też potem, by ją wyprowadzić, pomógł jej wsiąść do limuzyny, a na cmentarzu pomógł Gisselle z niej wysiąść. Oczywiście, Gisselle była uszczęśliwiona tą szczególną troską i atencją, i od czasu do czasu zerkała w moją stronę, posyłając mi pełen satysfakcji uśmiech.

Uroczystości właśnie się zakończyły i podchodziliśmy już do auta, by wrócić do domu, kiedy zerknęłam w prawo i zauważyłam mojego przyrodniego brata, który szybkim krokiem przemierzał cmentarz. Na nasz widok zaczął biec, by zdążyć, nim wsiądziemy.

- Paul! - zawołałam, nie kryjąc zaskoczenia i radości. Daphne cofnęła się od drzwiczek i spojrzała na mnie z gniewem. Stojący w pobliżu żalobnicy również się obejrzeli. Bruce Bristow, który miał właśnie przenieść Gisselle do samochodu, podniósł wzrok, gdy zasyczała:

- No, proszę, a któż to przybył w ostatniej chwili.

Choć od ostatniego spotkania z Paulem minęło zaledwie kilka miesięcy, odniosłam wrażenie, że upłynęły od tego czasu lata całe. Paul wyglądał o wiele poważniej, jego twarz nabrała zdecydowanego wyrazu. W ciemnoniebieskim garniturze i w krawacie wydawał się wyższy, szerszy w ramionach. Między Gisselle, mną i Paulem istniało podobieństwo rodzinne: podobny kształt nosa i te same, lazurkowe oczy. Chociaż ni to blond, ni to kasztanowe włosy -

Cajunowie określają tę barwę francuskim słowem *chatin* - Paula były cieńsze. Odgarnął długie kosmyki, które spadły mu na czoło, kiedy biegł, by mnie dogonić, nim wsiądę do limuzyny.

Bez słowa objął mnie i mocno uścisnął.

- Kto to? - spytała Daphne.

Ostatni goście, którzy wychodzili z cmentarza, obserwowali tę scenę, nasłuchując z ciekawością.

- To Paul - wyjaśniłam pospiesznie. - Paul Ta te. Daphne wiedziała o naszym bracie przyrodnim, ale nie przyjęła do wiadomości jego istnienia, nigdy ani słowem

o nim nie wspomniała. Nie chciała poznać go, kiedy przyjechał nas odwiedzić. Teraz wargi jej wykrzywił brzydki grymas.

- Łączę się z panią w jej bólu - zwrócił się do Daphne Paul. - Przybyłem natychmiast, kiedy się dowiedziałem

-odezwał się do mnie widząc, że moja macocha milczy. -A dowiedziałem się, kiedy zadzwoniłem do ciebie do szkoły 1 jedna z twoich koleżanek powiedziała mi o śmierci twego ojca. Od razu wskoczyłem do samochodu i udałem prosto do Nowego Orleanu. Lokaj wyjaśnił mi, jak dotrzeć na cmentarz.

- Cieszę się, że przyjechałeś, Paul.

- Czy możemy wreszcie wsiąść do samochodu i wrócić do domu - przerwała z rozdrażnieniem Daphne - czy też macie zamiar rozmawiać tak cały dzień?

- Jedź za nami - poprosiłam Paula, siadając obok Gisselle.

- Wygląda bardzo przystojnie - szepnęła mi do ucha, gdy już się umościliśmy. Daphne rzuciła nam groźne spojrzenie.

- Nie życzę sobie dzisiaj żadnych gości - oznajmiła Daphne, gdy wjechaliśmy do Garden District. - Spotkaj się ze swoim bratem przyrodnim poza domem i szybko wracaj. Obie musicie zacząć się pakować przed jutrzejszym powrotem do szkoły.

- Jutrzejszym? - krzyknęła Gisselle.

- Oczywiście, że jutrzejszym.

- Ależ to za wcześnie! Powinnyśmy zostać w domu jeszcze co najmniej tydzień. Tego wymaga szacunek dla taty.

Daphne uśmiechnęła się krzywo.

-I co byś robiła przez ten tydzień? Siedziała medytując, modląc się i czytając? Czy też wisiłałabyś cały dzień na telefonie gawędząc z przyjaciółkami i ściągając je do siebie?

- Cóż, nie musimy żyć jak pustelnice, tylko dlatego że tata umarł - odparła Gisselle.

-No właśnie. Toteż jutro wrócicie do Greenwood. Wszystko już przygotowane.

Gisselle skrzyżowała ramiona i siedziała z obrażoną miną.

- Powinnyśmy uciec - mruknęła. - Tak, to by było najlepsze.

Daphne usłyszała to i uśmiechnęła się złośliwie.

- A dokąd to byś uciekła, księżniczko Gisselle? Do swego obłąkanego wuja, zamkniętego w szpitalu dla umysłowo chorych? - spytała, zerkając w moją stronę. - A może dołączyłabyś do swej siostry i obie wróciłybyście do owego rajy na bagnach, gdzie ludzie żyją jak w epoce kamienia łupanego?

Gisselle odwróciła się i wyjrzała przez okno. Po raz pierwszy dzisiaj z jej oczu popłynęły łzy. Chciałabym wierzyć, że to z tęsknoty za tatą, ale wiedziałam, że płacze ze złości, bo musi wracać do Greenwood.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, była zbyt załamana, by chcieć spotkać się z Paulem. Pozwoliła Bruce'owi posadzić się na wózku, nie odzywając się do mnie i do Daphne ani słowem. Gdy pod dom podjechał Paul, Daphne popatrzyła na mnie z progu.

- Pamiętaj, tylko krótko - rozkazała. - Nie podoba mi się, kiedy typki z rozlewisk kręcą mi się po domu.

Odwróciła się i nim zdołałam powiedzieć choć słowo, zniknęła w domu.

Podbiegłam do Paula, który wynurzył się z samochodu i rzuciłam się w jego opiekuńcze ramiona. Nagle cały ból i rozpacz, które mną targaly, wydobyły się na zewnątrz. Płakałam głośno z głową ukrytą na jego ramieniu. Gładził

mnie po włosach, całował w czoło, szeptał słowa otuchy. W końcu trochę się uspokoiłam i wzięłam w garść. Paul czekał już z chusteczką. Otarł mi nią policzki.

- Przepraszam - chlipnęłam. - To okazało się silniejsze ode mnie, a Daphne tak nam zatruwa życie, że od kiedy wróciliśmy do domu, nawet nie mogłam się wypłakać. Biedny Paul - mówiłam, uśmiechając się przez łzy. - Na ciebie wylał się ten cały potop.

- Wcale nie biedny. Cieszę się, że mogłem ci jakoś pomóc. To musiało być dla ciebie straszne. Dobrze pamiętam twego ojca. Kiedy go widziałem, wydawał się taki młody, tak promieniował energią. I był wobec mnie bardzo uprzejmy, prawdziwy dżentelmen. Rozumiem, dlaczego nasza matka tak głęboko go pokochała.

- Tak. Ja też go kochałam. - Ujęłam go za rękę i uśmiechnęłam się do niego. - Och, Paul, jak dobrze znów cię widzieć.

Obejrzałam się na drzwi wejściowe, a potem spojrzałam na Paula.

- Macocha zabroniła mi przyjmować gości - usprawiedliwiałam się prowadząc go na ławkę, nad którą pięły się róże.

- Jutro wysyła nas z powrotem do Greenwood - poinformowałam go, gdy usiedliśmy.

- Tak szybko?

- Gdyby mogła pozbyłaby się nas jeszcze szybciej - odparłam z goryczą. - Ale nie mówmy tylko o mnie. Powiedz mi, co słyszałaś u ciebie, u twoich sióstr, wszystkich znajomych.

Oparłam się wygodniej i słuchałam, co mówił, wracając pamięcią w przeszłość. Gdy mieszkałam na rozlewiskach, życie było trudniejsze i znacznie uboższe, lecz dzięki babuni o tyle radośniejsze. Poza tym nadal tęskniłam za mocza-rami, za kwiatami i ptakami, a nawet za węzami i aligatora-

mi. Niektóre zapachy, dźwięki, miejsca i wydarzenia wspominałam z rozkoszą, wśród nich czołowe miejsce zajmowało wspomnienie, kiedy to dryfowałam łodzią o zachodzie słońca. Wystarczyło, że o tym pomyślałam, a serce rozplywało mi się ze szczęścia. Jakże gorąco pragnęłam tam wrócić.

- Pani Liyaudis i pani Thibodeaux nadal dobrze się trzymają. Tęsknię za twoją babunią. - Roześmiał się. Tak cudownie zabrzmiał mi w uszach jego śmiech. - Wiedzą, że utrzymuję z tobą kontakt, choć nigdy nie pytają wprost.

Przychodzą tylko i w mojej obecności zastanawiają się głośno, co tam słyszałaś u Ruby Catherine Landry.

- Tęsknię za nimi. Tęsknię za wszystkimi.

- Dziadunio Jack nadal mieszka w waszym domu i ilekroć się upije, a to mu się często zdarza, rozwała podłogi w poszukiwaniu skarbu, który jego zdaniem babcia przed nim schowała. Daję słowo, nie mam pojęcia, jakim cudem on jeszcze żyje. Mój ojciec twierdzi, że musi być półczłowiekiem, półwężem. Rzeczywiście, skórę ma gładką, jakby wyprawioną i wynurza się z cienia i zarośli, kiedy człowiek najmniej się go spodziewa.

- Niewiele brakowało, żebym uciekła i wróciła na rozlewiska - wyznałam.

- Gdybyś kiedykolwiek zdecydowała się... możesz liczyć na moją pomoc - zapewnił Paul. - Pracuję teraz jako kierownik w naszej fabryce konserw - dodał dumnie. - Nieźle zarabiam i przymierzam się do budowy własnego domu.

- Och, naprawdę, Paul? Potaknął.

- Więc to znaczy, że kogoś sobie znalazłeś? Jego uśmiech przygasł.

-Nie.

- A próbowałeś? - dopytywałam się. Odwrócił się. -Paul?

- Niełatwo znaleźć kogoś, kto mógłby się z tobą równać, Ruby. Nie liczę, że to się uda w pięć minut.

- Ale musi, Paul. Powinno. Zaslugujesz na kogoś, kto cię prawdziwie pokocha. Zaslugujesz na to, by pewnego dnia założyć własną rodzinę.

Milczał. Potem spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Ogromnie podobały mi się twoje listy ze szkoły, a zwłaszcza to, co pisałaś o Gisselle.

- Nie sposób z nią wytrzymać, a wiem, że teraz, po śmierci taty, będzie jeszcze trudniej. Ale obiecałam mu, że jej nie opuszczę. Choć wolałabym pilnować gniazda zielonych węży.

Paul roześmiał się, a ja poczułam, jak ciężar bólu nieco ustępuje. Nagle znowu mogłam oddychać.

Nie zdążyliśmy jednak nic powiedzieć, bo zauważyliśmy nadchodzącego Edgara. Minę miał ponurą.

- Przykro mi panienko, ale pani Dumas życzy sobie, żeby panienka natychmiast wróciła do domu i przysłała do salonu - odezwał się, unosząc brwi.

- Dziękuję, Edgarze. Już idę. Skinął głową i odszedł.

- Och, Paul, tak mi przykro, że przejechałeś taki kawał drogi, by spędzić ze mną zaledwie chwilkę.

- Nic się nie stało - zapewnił. - Warto było. I tak minuta z tobą to tyle, co godzina bez ciebie.

- Paul, proszę - szepnęłam, ujmując jego dłonie. - Obiecaj mi, że poszukasz kogoś, kogo mógłbyś pokochać. Obiecaj, że dasz się komuś pokochać. Obiecaj.



- Niech ci będzie, obiecuję. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił, Ruby, spróbuję nawet zakochać się w innej, o ile nie okaże się to niemożliwe.

- Potrafisz. Musisz - nalegałam.

- Wiem - szepnął.

Minę miał taką, jakbym kazała mu napić się rycyny. Chciałam z nim jeszcze posiedzieć, pogawędzić, powspominać stare czasy, ale Edgar tkwił w progu, dając w ten sposób do zrozumienia, że otrzymał od Daphne bardzo wyraźne instrukcje.

- Muszę wracać, nim wyjdzie Daphne i urządzi scenę, która dla obojga z nas byłaby ogromnie żenująca, Paul.

Szczęśliwej drogi. Zadzwoń i pisz do mnie do szkoły.

- Dobrze - obiecał.

Szybko pocałował mnie w policzek i pobiegł do samochodu, starając się nie obejrzeć. Wiedziałam, że miał łzy w oczach i nie chciał, bym je dostrzegła.

Kiedy odjeżdżał, serce ścisnął mi ból i na moment przed oczami znowu zamajaczyła mi jego twarz owego dnia, kiedy dowiedział się prawdy o nas. Prawdy, którą najchętniej pogrzebalibyśmy w moczarach razem z grzechami naszych ojców.

Wciągnęłam głęboko powietrze i pobiegłam do domu, dowiedzieć się, jakie to kolejne pęta narzuci na mnie i Gisselle nasza macocha, korzystając z tego, że nikt już nas przed nią nie obroni. \_\_

Czekała w salonie, siedząc na swoim ulubionym miejscu Gisselle tkwiła już tu w wózku z nieszczęśliwą miną. Ze zdziwieniem dostrzegłam Bruce'a siedzącego przy biurku z ciemnego drewna. Czyżby odtąd miał uczestniczyć w naszych rodzinnych naradach?

- Siadaj - rozkazała Daphne, ruchem głowy wskazując mi krzesło obok Gisselle. Szybko zajęłam miejsce.

- Paul już pojechał? - spytała Gisselle.

- Tak

- Milczeć. Nie zawołałam was tutaj, by rozprawiać o jakimś cajuńskim smarkaczu.

- Nie jest smarkaczem. To już młody mężczyzna - zaproponowałam. - Pomaga ojcu w zarządzaniu fabryką.

- Świetnie. Życzę mu, by stał się prawdziwym królem bagien Przejdźmy do rzeczy - oświadczyła, opierając ręce na poręczach krzesła. - Wyjeżdżacie jutro wczesnym rankiem, więc chciałam już teraz, zanim udam się do siebie postawić pewne kwestie jasno. Ledwo się trzymam na nogach.

- W takim razie dlaczego musimy wyjeżdżać już jutro - -jęknęła Gisselle.-My też ledwo żyjemy.

-Żadnych dyskusji: jutro wyjeżdżacie - ucięła Daphne, mierząc ją wściekłym wzrokiem. Po chwili uspokoiła się jednak i podjęła: - Po pierwsze, zmniejszam o połowę kwotę, jaką ojciec wam przysyłał. I tak w Greenwood nie ma na co wydawać pieniędzy. .

- To nieprawda! - zaprotestowała Gisselle. - Co więcej, jeśli wystawisz nam zezwolenie na opuszczanie szkoły...

- Nie ma mowy. Masz mnie za kretynkę? - Wbiła wzrok w Gisselle, jakby oczekiwała, że ta poświadczy. - Więc: masz mnie za kretynkę?

- Nie - bąknęła Gisselle - ale w Greenwood jest tak straszliwie nudno, zwłaszcza w soboty i niedziele. Dlaczego nie zgodzisz się, żebyśmy wyskoczyły taksówką do kina albo po zakupy?

- Zostałyście wysłane do Greenwood, żeby się uczyć i pracować, a nie dla zabawy. Jeśli będziecie potrzebowały pieniędzy na jakieś ważne, nieprzewidziane wydatki, dzwońcie do Bruce'a do biura, wyjaśnijcie sprawę, a on dopilnuje, byście otrzymały stosowną kwotę - oczywiście będzie ona podjęta z waszego funduszu.

- Żadna z was nie potrzebuje nowych ubrań. Ojciec całkowicie was pod tym względem rozpuścił. Pamiętaj, Ruby, że pierwsza rzecz, jaką zrobił po twoim przyjeździe, to kazał mi wybrać się z tobą po zakupy?

- Sądziłam, że to ty tego sobie życzyłaś - powiedziałam cicho.

- Musiałam to zrobić, żebyś nie przynosiła nam wstydu, wyglądając jak obszarpana Cajunka. Ale zdaniem twego ojca i tak za mało dostałaś. Dla jego ukochanych córeczek nigdy nie było wszystkiego dość. Tego, co macie w swoich szafach, wystarczyłoby na wyposażenie średniej wielkości sklepu odzieżowego. Bruce widział rachunki.

Prawda, Bruce?

- Szczera prawda - potaknął, uśmiechając się do niej.

- Bądź tak miły i wyjaśnij im pokrótce, na czym polega instytucja funduszu.

Poprawił się i zerknął na notatki leżące na biurku.

- To dość proste. Ze zdeponowanych tam środków pokrywane będą wszystkie wasze podstawowe potrzeby: chesne, koszty podróży, rzeczy osobiste i pieniądze na przyjemności, prezenty i temu podobne. Dla podjęcia jakiegokolwiek kwoty niezbędny jest podpis Daphne. Wszelkie dodatkowe fundusze otrzymacie, dopiero gdy zwrócicie się o nie na piśmie, a ja wówczas rozpatrzę waszą prośbę.

-Mamy się zwracać o nasze pieniądze na piśmie? To kim my teraz jesteśmy? Pracownicami? - rozzłościła się Gisselle.

- Skądże znowu - odparła twardo Daphne. Na jej ustach pojawił się kpiący uśmiezek. - Pracownicy muszą zarobić na to, co otrzymują.

Wymienili z Bruce'em pełne satysfakcji spojrzenia, po czym Daphne znowu zabrała się za nas.

- Chcę przypomnieć to, co już wam raz powiedziałam w kwestii szkoły. Niech no tylko wezwie mnie dyrektorka ze skargą na wasze zachowanie, a gorzko tego pożałujecie, zapewniam.

- A cóż może być gorsze niż pobyt w Greenwood? -mruknęła Gisselle.

- Są jeszcze szkoły położone dalej niż Greenwood i o znacznie surowszych regulaminach.

- Masz chyba na myśli poprawczaki.

- Gisselle - przerwałam jej - przestań się kłócić. To nie ma sensu.

Patrzyła na mnie z oczami pełnymi łez.

- Raz omal mnie nie zamknęła w szpitalu psychiatrycznym. Jest zdolna do wszystkiego.

- Dość już - warknęła Daphne. - Wracajcie na górę spakować się i pamiętajcie, że was ostrzegałam. Wolałabym nie usłyszeć ani jednego złego słowa na temat waszego zachowania w Greenwood. Wystarczy mi już, że Pierre umarł, zostawiając was pod moją opieką. Nie mam czasu ani sił się z wami użerać.

- O, siły to ty masz, Daphne - stwierdziłam. - Tego ci nie brakuje.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, po czym przyłożyła rękę do serca.

- Serce bije mi jak szalone, Bruce. Muszę iść na górę. Dopilnujesz, żeby zrobiły, co przykazałam i żeby rano czekał

na nie samochód, który odwiezie je do szkoły?

- Oczywiście - zapewnił.

Podniosłam się i wyprowadziłam siostrę z pokoju. Może wreszcie zrozumiała; może wreszcie do niej dotarło, że wraz ze śmiercią taty stałyśmy się sierotami, zamożnymi sierotami z bogatej rodziny, od których jednak bogatszy był

najędźniejszy żebrak, jeśli tylko miał kogoś, kogo mógł kochać i kto również jego kochał.

Czarne chmury

N i e zważając na to, jaki przebieg miała wczorajsza rozmowa z Daphne, Gisselle nadal mnie obarczała winą, upie-rając się, że za mało wysiłku włożyłam w przekonanie macochy, by pozwoliła nam zostać w domu i wrócić do dawnej szkoły.

- Ty przynajmniej masz w Greenwood coś, co lubisz - jęczała, nim położyłyśmy się spać. - Masz swoją ukochaną pannę Stevens i malarstwo, którym możesz się zająć. Możesz też wyrwać się do rezydencji Clairborne'ow pobarasz-kować ze ślepym wnukiem pani Clairborne, a ja co? Mnie zostaje tylko ta banda głupawych, niedojrzałych dziewczyn.

-Nie baraszkuje z Louistem - odparłam. - Żal mi go. Bardzo wiele wycierpiał.

- A ja? Czy ja też nie wycierpiałam wiele? Omal nie zginęłam; jestem kaleką. Jesteśmy siostrami. Dlaczego mi nie współczujesz?

- Współczuję - przyznałam, ale nie mówiłam szczerze. Choć Gisselle była przykuta do wózka, coraz trudniej przychodziło mi współczucie dla niej. W końcu i tak zawsze stawiała na swoim i na ogół odbywało się to cudzym kosztem.

- Nie, wcale mi nie współczujesz! A ja muszę wracać do tego... tego piekła - wyrzekała.

Wpadła we wściekłość i zaczęła miotać się po pokoju, zrzucając drobiazgi z komódki, ciskając wszędzie ubrania.

Biedna Martha musiała wszystko to uporządkować, by Daphne nie dowiedziała się o tym.

Rano tkwiła nieruchomo w wózku, zupełnie sztywna, jakby była sparaliżowana, przez co przeniesienie jej do samochodu stało się o wiele trudniejsze niż zwykle. Odmówiła zjedzenia śniadania, zaciskając tak mocno wargi, że wyglądały jak zaszyte. Choć całe to przedstawienie przygotowane było dla Daphne, nasza macocha nie miała okazji go obejrzeć. Ograniczyła się jedynie do przekazania poleceń Edgarowi, Ninie, kierowcy i pozostałej służbie, dołączwszy do nich przestrogi dla mnie i Gisselle. Bruce Bristow pojawił się tuż przed naszym wyjazdem, by upewnić się, że wszystko odbędzie się gładko i o czasie. Ujrzawszy go Gisselle odezwała się po raz pierwszy tego ranka.

- Jakie stanowisko ostatnio objąłeś, Bruce? Czyżbyś stał się chłopcem na posyłki Daphne? Bruce, przynieś to. Bruce załatw tamto.

Roześmiała się z własnej złości. Bruce poczerwieniał, ale powstrzymał się od odpowiedzi i zajął doglądaniem pakowania bagaży. Wściekła i rozczarowana Gisselle ustąpiła i usiadła przymykając oczy. Przypominała pacjentów w kaftanach bezpieczeństwa, których widziałam w szpitalu wujka Jeana.

Podróż powrotna do Greenwood była niemal równie przygnębiająca jak przyjazd na pogrzeb taty. Pogoda znacznie się pogorszyła, całą drogę wisiały nad nami szare chmury, od czasu do czasu kropił deszcz, tak że towarzyszył nam monotony szum pracujących wycieraczek. Gisselle skuliła się w kącie i zamknęła niczym ostryga. Od momentu opuszczenia Nowego Orleanu, nawet nie wyjrzała przez okno. Od czasu do czasu posyłała mi twarde spojrzenie.

Ja zaś już nie mogłam się doczekać tego, o czym mówiła moja siostra: by wrócić do pracy z panną Stevens i całą energią oraz uwagę skierować na rozwijanie talentu malarskiego. Po tych kilku dniach

spędzonych pod lodowatym spojrzeniem i bezwzględną ręką Daphne prawie z radością przywitałam Greenwood, podjazd, grupki dziewcząt, rozprawiających i chichoczących z ożywieniem, którego teraz tak bardzo im zazdrościłam. Nawet Gisselle przestała stroić fochy. Wiedziałam, że wobec swojego dworu za nic nie okaże rozczarowania ani nie przyzna się do klęski.

Rzeczywiście, ledwo przekroczyliśmy próg naszej bursy, natychmiast zaczęła się zachowywać, jakby nic się nie wydarzyło, nie przyjmując żadnych kondolencji, jakby śmierć i pogrzeb taty stanowiły tylko drobne zakłócenie rytmu życia. Nie minęło kilka minut, a już wyżyła się na swoim „chłopcu do bicia” - Samancie, robiąc jej awanturę o to, że pod jej nieobecność ważyła się przestawić jakieś jej rzeczy. Usłyszałyśmy hałas i wyszłyśmy zobaczyć, co się dzieje. Zalana łzami Samanta stała w progu, gdzie wypchnęła ją Gisselle w czasie swej tyrady.

- Jak śmiałaś dotykać moich kosmetyków? Podkradałaś mi perfumy, prawda? Prawda? - atakowała. - Było ich więcej w butelce.

- Nie podkradałam ci perfum.

- Owszem, podkradałaś. I przymierzałaś moje ubrania! Odwróciła się na wózku i zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem.

- Widzisz, co muszę znosić, od kiedy zmusiłaś mnie do zamiany pokoi! - wrzeszczała.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem na to wierutne kłamstwo.

- Ja? Ja ci kazałam się przenieść? To ty chciałaś, żebym się wyprowadziła, Gisselle. Ty tego sobie zażyczyłaś.

Vicki, Kate i Jackie patrzyły na mnie ze współczuciem, bo wiedziały, że mówię prawdę. Ale żadna z nich nie po-spieszyła mi z pomocą, by nie narazić się na gniew Gisselle.

- Wcale nie! - rozdarła się Gisselle, tak purpurowa z furii, że wyglądała, jakby lada chwila miała się rozpęknąć.

Pięściami waliła w poręcze wózka i tak się w nim miotła, iż bałam się, że go przewróci.

- Tak strasznie pragnęłaś zamieszkać z tą murzyńską łachudrą, że mnie wyrzuciłaś.

Pod zamkniętymi powiekami widać było ruch gałek, w kącikach jej warg pojawiła się ślina, Gisselle krztusiła się i dławiła. Wszystkim wydawało się, że dostała konwulsji, ale ja już nie raz widziałam te jej napady.

- Zgoda, Gisselle - poddałam się - uspokój się. Czego chcesz?

- Chcę, żeby się stąd wyniosła! - zażądała, palcem prawej ręki wskazując Samantę, która wyglądała na przerażoną i zagubioną, niczym pisklę wyrzucone z gniazda.

- Czy w takim razie chcesz, żebym znowu z tobą zamieszkała? Tego chcesz? - pytałam, powoli

otwierając i zamykając oczy.

- Nie, będę mieszkała sama i sama się sobą zajmę -upierała się, prostując w wózku. - Byle tylko ona się ode mnie wyniosła.

- Nie masz prawa traktować ludzi jak zabawki - skarciłam ją.

Wolno odwróciła głowę i wbiła wzrok w małą, rudawą Samantę, która aż cofnęła się pod jej palącym spojrzeniem.

- Wcale jej nie wyrzucam. Ona sama chce się wyprowadzić. Prawda, Samanto?

Samanta skuliła się bezradnie i popatrzyła na mnie.

- Możesz przenieść się do mnie, Samanto - odezwałam się - skoro moja siostra jest aż tak pewna, że poradzi sobie sama.

Teraz kiedy Daphne zmusiła nas do powrotu do Greenwood, wiedziałam, że jedyne, czego pragnie Gisselle, to zamienić życie pozostałych dziewcząt w identyczne piekło, jakie zgotowano jej.

- Pewnie - zasyczała - stań po jej stronie, tak jak to zawsze robisz. Jesteśmy bliźniaczkami, ale czy kiedykolwiek zachowujesz się jak prawdziwa siostra? No, powiedz?

Przymknęłam oczy i policzyłam do dziesięciu.

- Zgoda, więc czego chcesz, Gisselle? Chcesz, żeby Samanta się wyprowadziła, czy nie?

- Oczywiście, że tak. To żalosna, głupia... dziewczica! - wybuchnęła. Potem wykrzywiła wargi w pogardliwym uśmiešku i dodała: - Która marzy tylko o tym, by przespać się z Jonatanem Peckiem. - Podjechała do Samanty. -

Czy nie to mi mówiłaś? Czy nie zastanawiałaś się, jakby to było, gdyby Jonatan dotykał twoich cennych piersiątek i całował cię pod pępkiem? A potem czubkiem języka...

- Przestań już! - ryknęłam.

Wpatrywała się z zadowolonym uśmieškiem w Samantę, po policzkach której skapywały ogromne łzy. Nie wiedziała, jak zareagować, jak sobie poradzić z tą brutalną zdradą.

- Weź swoje rzeczy, Samanto - zwróciłam się do niej -i przenieś je do mojego pokoju.

-I żeby mi wszystkie moje rzeczy natychmiast znalazły się w moim pokoju - rozkazała Gisselle. - Kate, pomożesz mi, dobrze? - spytała, uśmiechając się do niej.

- Co? Och, oczywiście.

Gisselle posłała mi spojrzenie pełne zadowolenia z siebie, zmierzyła Samantę pogardliwym

wzrokiem, po czym wykręciła wózek i wróciła do siebie, głośno mamrocząc, że teraz będzie musiała sprawdzić wszystkie swoje rzeczy, by upewnić się, co jeszcze Samanta jej ukradła.

- Nie ruszałam żadnych jej rzeczy. Przysięgam - zaklinała się Samanta.

- Spakuj się i nie próbuj tłumaczyć ani bronić - poradziłam.

Nie miałam nic przeciwko zamieszkaniu z inną koleżanką, poza tym pomyślałam, że Gisselle dobrze zrobi, jeśli przez jakiś czas zostanie zdana wyłącznie na siebie. Może wówczas doceni pomoc, jakiej nieustannie jej udzielano.

Zaskoczyła mnie jednak - kiedy z uporu albo przekory - samodzielnie rozpakowała swoje rzeczy, a potem bez niczyjej pomocy przebrała się do kolacji i sama uczesała włosy. Od tej pory, ponieważ Samanta stała się *persona non grata*, Kate dostąpiła zaszczytu pchania jej wózka. Wyglądało, że przynajmniej na jakiś czas wszystko trochę przycichnie.

Tego samego wieczoru, kiedy po kolacji Vicki pomagała mi nadrobić zaległości, w drzwiach pojawiła się Jackie mó-

więc, że jest do mnie telefon. Wybiegłam, sądząc, że to Beau albo Paul, tymczasem okazało się, że dzwonił Louis.

- Dowiedziałem się od pani Penny o twoim ojcu - zaczął. - Chciałem zadzwonić do Nowego Orleanu, ale ciotka nie dała mi numeru telefonu. Twierdziła, że to by było niewłaściwe. Tak czy owak, przyjmij moje wyrazy współczucia.

- Dziękuję, Louisie.

- Wiem, co to znaczy utracić rodziców.

Umilkł na chwilę, a potem znowu podjął, zmieniając ton.

- Mój wzrok stopniowo, ale wyraźnie, się poprawia. Coraz lepiej widzę i odróżniam kształty. Wszystko nadal tonie we mgle, ale moi lekarze są jak najlepszej myśli.

- Bardzo się cieszę, Louisie.

- Mogę się z tobą niedługo zobaczyć? Och, jak wspaniale móc powiedzieć: zobaczyć. Mogę?

- Tak, oczywiście.

- Przyjdź jutro. Na kolację - zaproponował ożywiony. - Każę podać gulasz z krewetek.

- Nie, nie mogę przyjść na kolację. Mój kwartał podaje do stołu i czułabym się nie w porządku, prosząc kogoś o zastępstwo.

- No to po kolacji.

- Mam mnóstwo zaległości do odrobienia.

- Och.

Niemal namacalnie czułam jego rozczarowanie.

- Daj mi odrobinę czasu, żebym wszystko zdążyła nadrobić - poprosiłam.

- Naturalnie. Tylko tak bardzo chciałem ci się pochwalić swoimi postępami. Postępami, które czynię, odkąd ciebie poznałem - dodał cicho.

-Miło mi to słyszeć, Louisie. Ale nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Za to ja wiem - odparł tajemniczo. - Ostrzegam. Będę cię dręczył dotąd, aż mnie odwiedzisz.

- Zgoda - ustąpiłam ze śmiechem. - Przyjdę w niedzielę po kolacji.

- Dobrze. Może do tej pory na tyle odzyskam wzrok, że zobaczę kolor twoich włosów i oczu.

- Oby - powiedziałam, ale kiedy odwiesiłam słuchawkę, poczułam, jak niepokój ściska mi żołądek, po czym przenosi się do serca, gdzie przeobraża się w tępy ból.

Miło mi było słyszeć, że Louis uważa, jakoby mi pomogła i ogromnie mi pochwalała sama myśl, że mogłam mieć decydujący wpływ na uleczenie czegoś tak poważnego jak ślepotą, ale zdawałam sobie sprawę, że Louis przypisuje mi zbyt wielkie zasługi i za bardzo się ode mnie uzależnia. Bałam się, czy nie zacznie sobie wyobrażać, że się we mnie zakochał albo wręcz, że ja się w nim zakochuję.

Już niedługo - obiecałam sobie - już niedługo powiem mu

o Beau. Ale na razie lękałam się, że mówiąc mu to, mogłabym zniweczyć wszystko, co zdołał osiągnąć; a jego babka i ciotka, pani Ironwood, dorzuciłyby kolejne przewinienie na mój rachunek.

Wróciłam do pokoju i do pracy. Zatonęłam w lekturze, notatkach i nauce, dzięki temu bowiem nie myślałam o smutnych wydarzeniach i ciężarach, które musiałam dźwigać. Następnego dnia wszyscy nauczyciele okazali mi zrozumienie i wyrozumiałość, a najbardziej, oczywiście, panna Stevens. Powrót do jej sali przypominał wyjście z mrocznej, letniej burzy na słońce. Zajęłam się swoim nie dokończonym obrazem i wstępnie umówiliśmy się, że w sobotę rano spotkamy się nad stawem, gdzie zaczniemy pracować nad nowym rysunkiem.

Przez następne kilka dni Gisselle nadal zdumiewała mnie i pozostałe koleżanki swoją niezależnością. Tylko czasem prosiła Kate, by ją gdzieś zawiozła, poza tym radziła sobie zupełnie sama. Ilekroć siedziała w pokoju, drzwi zamykała na klucz. Samanta zaś wyglądała na smutną i zagubioną. Jej trzy przyjaciółki: Gisselle, Kate i Jackie, wyraź-

nie ją ignorowały. Kręciła się przy nich, jak szczeniak, którego wyrzucono z domu i który nie ma się gdzie podziać.



Kate i Jackie, zapewne pod wpływem Gisselle, traktowały ją jak powietrze.

- Poszukaj innych przyjaciółek, Samanto - radziłam jej. - Może powinnaś poprosić panią Penny, żeby przeniosła cię do innego kwartału.

Gwałtownie potrząsnęła głową. Sama myśl o tak drastycznym posunięciu, nawet w tak bolesnej dla niej sytuacji, przerażała tę nieśmiałą dziewczynę.

- Nie, nie jest tak źle. Wszystko się ułoży - przekonywała.

Tymczasem w czwartek wieczorem po powrocie z biblioteki, gdzie uczyłam się razem z Vicki, zobaczyłam Samantę skuloną na łóżku i szlochającą cicho. Zamknęłam drzwi

I podbiegłam do niej.

- Co się stało, Samanto? Co tym razem zrobiła moja siostra? - spytałam ze znużeniem.

- Nic - jęknęła. - Wszystko jest dobrze. Znowu... znowu jesteśmy przyjaciółkami. Wybacz mi.

- Jak to? O czym ty mówisz? Wybacz mi?

Skinęła głową, ale nie odwróciła się w moją stronę, dalej leżała owinięta kocem. Coś w jej zachowaniu wyzwoliło moje najgorsze podejrzenia. Serce biło mi szybko, z lękiem. A kiedy pogłodziłam jej ramię poderwała się, jakbym dotknęła go rozpalonym żelazem.

- Samanto, co się stało podczas mojej nieobecności? W odpowiedzi rozszlochała się jeszcze bardziej.

- Samanto?

- Musiałam to zrobić - jęknęła. - Zmusiły mnie. Powiedziały, że muszę.

- Co musiałaś, Samanto? Samanto? - Potrząsnęłam ją za ramię. - Co musiałaś zrobić?

Nagle odwróciła się w moją stronę i mocno się do mnie przytuliła. Całym jej ciałem wstrząsały łkania.

- Tak się wstydzę - wyjąkała.

- Czego się wstydzisz? Samanto, musisz mi powiedzieć, do czego zmusiła cię Gisselle. Powiedz - nalegałam objąwszy ją mocno.

Odsunęła się ode mnie i znowu opadła na poduszkę. Uświadomiłam sobie, że jest naga.

- Przysłała tutaj Kate i nakazała mi, żebym stawiała się u niej w pokoju. Kiedy przyszłam, spytała, czy chcę znowu należeć do grupy. Powiedziałam, że tak, na co ona odparła... odparła, że muszę ponieść karę.

- Karę? Jaką karę?

- Powiedziała, że kiedy jej nie było, marzyłam, by stać się taka jak ona. Chciałam się w nią wcielić i dlatego używałam jej szminki, kosmetyków i perfum. Powiedziała, że byłam taka niezaspokojona seksualnie, że nawet nosiłam jej majtki. Ale ja tego nie robiłam - zarzekała się. - Przysięgam.

- Wierzę ci, Samanto. I co się potem wydarzyło? Samanta zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

- Samanto?

- Musiałam się rozebrać i położyć do łóżka - wyrzuciła z siebie.

Wstrzymałam oddech, wiedząc, do jakich podłości zdolna była Gisselle, do jakich obrzydliwości mogła ją zmusić.

- Mów dalej - wydusiłam z trudem.

- Tak się wstydzę.

- Co ona kazała ci zrobić, Samanto?

- One wszystkie mi kazały! - zawołała. - Naśmiewały się ze mnie, męczyły, póki nie ustąpiłam.

- A więc ustąpiłaś, i co?

- Musiałam wziąć poduszkę i udawać, że to... Jonatan Peck. Kazały mi ją gładzić, całować i...

- O, nie, Samanto.

Trzęsła się od płaczu. Pogładziłam ją po głowie.

- Moja siostra jest chora. Tak mi przykro. Nie powinnaś była jej słuchać.

- Wszystkie dziewczęta odwróciły się ode mnie - zaczęła na swoją obronę. - Nawet z innych kwartałów, nawet z klasy. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać w przebieralni ani w szatni, a dziś ktoś wylał butelkę atramentu na moje notatki, tak że nie ocalała ani jedna strona.

Jeszcze mocniej się rozszlochała.

- Już dobrze, Samanto. Już dobrze.

Kołysałam ją, póki się trochę nie uspokoiła. Wtedy wstałam.

- A teraz utnę sobie małą pogawędkę z moją siostrą.

- NIE! - wykrzyknęła, chwytając mnie za rękę. - Nie rób tego. - W jej oczach błysnęło przerażenie. - Jeśli ją rozzło-

ściszej, nastawi znów wszystkie dziewczęta przeciwko mnie. Proszę - błagała - obiecuj, że nic nie powiesz. Kazała mi przysiąc, że ci nie powiem, do czego mnie zmusiły. A tak znowu mnie oskarży, że ją zdradzam.

- Kazała ci przysiąc, bo wiedziała, że natychmiast do niej pójde i wyrzuce ją przez okno.

Samanta przygryzła wargę, na twarzy jej pojawił się strach

-Nie przejmuj się, nic jej nie zrobię, ale powiedz szczerze: dobrze się czujesz?

- Tak - zapewniła, szybko ocierając oczy. Zmusiła się do uśmiechu. - Nie było aż tak źle, poza tym już po wszystkim.

Znowu się przyjaźnimy.

- Mając takich przyjaciół, nie potrzeba już wrogów -stwierdziłam. - Moja babunia mawiała, że nawet gdybyśmy żyli w świecie bez nieszczęść i chorób, bez burz i huraganów, powodzi i suszy, zawsze znaleźlibyśmy sposób, by wpu-

ścić diabła do naszych serc.

- Co? - spytała Samanta.

- Nic. Przeprowadzasz się do niej?

- Nie. Nadal woli mieszkać sama - odparła Samanta. - Mogę dalej mieszkać z tobą?

- Oczywiście. Jestem tylko zaskoczona. Czuję, że ciągle jeszcze nie upadł przysłowiowy drugi but - mruknęłam

-zastanawiając się, co może teraz knuć Gisselle, by życie wszystkich, a zwłaszcza moje życie w Greenwood, zmienić w piekło.

Reszta tygodnia upłynęła szybko, bez żadnych sensacji. Nie wiem, czy sprawił to fakt, że Gisselle mieszkała sama, czy też wyczerpywało ją to, że musiała jakoś sobie radzić. W każdym razie codziennie rano, gdy Kate przywoziła ją na śniadanie, Gisselle wyglądała na nieprzytomną. Siedziała przy stole, dłubiąc w talerzu, powieki same jej się zamykały, prawie nie słuchała rozmów, jakie się wokół niej toczyły. Zwykle nieustannie się wtrącała do cudzych rozmów albo kpiła z tego, co ktoś inny powiedział.

I oto w piątek Vicki zatrzymała mnie na korytarzu, żeby powiedzieć, że Gisselle zasnęła na zajęciach wyrównawczych. Doszłam do wniosku, że Gisselle jest zbyt uparta, by przyznać, że samodzielność kosztuje ją zbyt wiele wysiłku. Pod koniec dnia zatrzymałam ją w przejściu.

- Czego chcesz? - warknęła.

Zmęczenie sprawiało, że znacznie szybciej wpadała w irytację.

- Dalej tak być nie może, Gisselle. Przysypiasz na lekcjach, w czasie lunchu, drzemiesz w wózku. Potrzebna ci pomoc. Albo przyjmij z powrotem Samantę, albo ja się do ciebie przeprowadzę - oświadczyłam.

Na samą myśl o tym poczerwieniała i gwałtownie wyprostowała się w wózku.

- Chciałabyś, co? - odparła na tyle głośno, by usłyszały koleżanki w pobliżu. - Chciałabyś, żebym była od ciebie zależna, musiała żebrać o pomoc, ilekroć chcę umyć zęby czy uczesać włosy. A więc przyjmij do wiadomości, że nie potrzebuję ani ciebie, ani słodziutkiej Samanty. Nikogo nie potrzebuję - dodała i z całej siły pchnęła wózek, odjeżdżając. Nawet Kate popatrzyła za nią z rozchylonymi ustami.

- Cóż - stwierdziłam wzruszając ramionami - miło mi, że stara się być niezależna. Daj znać, kiedy jej to się znudzi -

zwróciłam się do Kate, która skinęła głową, po czym popędziła za Gisselle. Ja wróciłam do pracowni plastycznej.

Tego wieczoru zadzwonił Beau. Czekałam na ten telefon cały tydzień.

- Myślałem, że uda mi się wymknąć jutro i przyjechać do Baton Rouge, ale po rozmowie z Daphne ojciec założył mi szlaban na samochód. Powiedziała rodzicom, że zawiozłem cię do szpitala.

-1 to ich tak rozzłościło?

- Oświadczyła, że tak bardzo zdenerwowaliśmy biednego Jeana, że musiano zastosować terapię wstrząsową.

- Och, nie! Mam nadzieję, że to kłamstwo - zawołałam.

- Ojciec był wściekły, a kiedy jeszcze wygadała im, że w czasie czuwania nad ciałem zakradłem się do twojego pokoju... Zdaje się, że nawygadywała im niestworzonych rzeczy.

- Jak może być tak okrutna?

- Może bierze korepetycje? - zażartował Beau. - Nieważne, przypuszczam, że do ferii świątecznych rodzice powinni trochę zmięknąć. W końcu to tylko dziesięć dni, prawda?

- Tak, ale czy po tym wszystkim twoi rodzice w ogóle pozwolą ci się ze mną kontaktować? - niepokoiłam się na głos.

- Poradzimy sobie. Nikt i nic nie powstrzyma mnie przed spotkaniem z tobą, gdy wrócisz do Nowego Orleanu

-zapewnił.

Spytał, co w szkole, opowiedziałam mu o Gisselle, o tym jak na wszelkie sposoby utrudnia

wszystkim życie.

- Masz tyle problemów. To niesprawiedliwe.

-Przyrzekłam tacie, że tu wytrzymam - odparłam. -Muszę dotrzymać słowa.

- Wczoraj wieczorem podsłuchałem rozmowę rodziców o Daphne. Razem z Bruce'em Bristowem poczyniła pewne drastyczne kroki, pozbawiając mieszkańców prawa wykupu albo po prostu ich wyrzucając, by przejąć niektóre nieruchomości. Ojciec mówił, że Pierre nigdy by **nie** postąpił tak bezwzględnie, choć z punktu widzenia interesów, decyzja

jest opłacalna. .

- Nie wątpię, że sprawia jej to prawdziwą rozkosz. W żyłach ma chyba lód zamiast krwi.

Beau roześmiał się i po raz kolejny zapewnił o swojej tęsknocie, miłości i o pragnieniu, byśmy znowu byli razem Prawie poczułam na ustach jego pocałunek, który przesłał mi przez telefon. .

Wróciwszy do pokoju spodziewałam się, że Gisselle **będzie** na mnie czyhać i zacznie przesłuchiwać z mojej rozmowy z Beau, ale drzwi do jej pokoju były zamknięte. **Kate** wyjaśniła, że Gisselle postanowiła wcześniej położyć się spać. Kusiło mnie, żeby to sprawdzić, nacisnęłam więc klamkę. Okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. **Zaskoczona**, lekko zapukałam.

- Gisselle?

Nie odpowiedziała. Albo już zasnęła, albo tylko udawała.

- Nic ci nie jest?

Nie doczekałam się odpowiedzi. Skoro **nie** chce się odezwać - pomyślałam - niech i tak będzie. Poszłam do swojego pokoju. Przed snem przeczytałam jeszcze i napisałam list do Paula. Umówiliśmy się z panną Stevens, że jutro po śniadaniu wybierzemy się nad staw, żeby trochę pomalować, toteż zamykałam oczy ze świadomością, że następnego dnia czeka mnie coś miłego.

Sobotni ranek wstał piękny. Grudniowe niebo było krystalicznie błękitne, chmury przypominały wyszlifowany ala-baster Panna Stevens już na mnie czekała. Rozstawiała właśnie sztalugi. Zauważyłam, że rozłożyła też koc i przyniosła ze sobą wiktuały. Staw mienił się srebrzyście Mimo słonecznej pogody, powietrze było chłodne i rześkie. Panna Stevens dostrzegła mnie już z daleka i pomachała mi na powitanie.

- Czeka nas prawdziwe wyzwanie: oddać na płótnie ten kolor - stwierdziła, przyglądając się wodzie.

- Jak się dziś czujesz?

- Świetnie. Pałam chęcią działania - odpowiedziałam i zabrałyśmy się do pracy.

Gdy wzięłyśmy do rąk pędzle, malowanie tak nas pochłonęło, że tylko na nim się skoncentrowałyśmy. Malując, często wcielałam się w zwierzę, które właśnie odtwarzałam na

plótnie. Próbowałam patrzeć na świat oczami pelikana czy nawet aligatora.

Z transu wyrwało nas stukanie młotka. Obejrzałyśmy się i przy budynku nad przystanią zobaczyłyśmy Bucka Dardara, wyklepującego ostrze kosiarki. Przerwał, jakby poczuł nasz wzrok, zerknął w naszą stronę, po czym znowu wrócił do pracy.

- Na moment zapomniałam, gdzie jestem - roześmiała się panna Stevens.

- Ja też.

- Masz ochotę na coś chłodnego do picia? Przyniosłam mrożoną herbatę i sok jabłkowy.

- Chętnie napiłabym się herbaty - odparłam. - Dziękuję. Spytała mnie, jak Gisselle zareagowała na śmierć taty.

Opisałam więc zachowanie mojej siostry. Słuchała uważnie.

- Daj jej na jakiś czas spokój - poradziła. - Musi poczuć się samodzielna. Dzięki temu stanie się silniejsza, szczę-

śliwsza. Jestem pewna, że gdy będzie tego potrzebowała, zwróci się do ciebie o pomoc.

Słowa panny Stevens podniosły mnie na duchu. Malowałyśmy jeszcze trochę, potem zrobiliśmy przerwę na lunch.

Siedziałyśmy na kocu, jadłyśmy i rozmawiałyśmy, a mijające nas uczennice machały do nas albo przyglądały się nam ciekawie. Zauważyłam też nauczycieli, nawet panią Iron-wood, która przypatrywała nam się przez chwilę, nim przeszła dalej.

- Louis miał rację z tym stawem - odezwałam się, kiedy wróciliśmy do pracy. - Rzeczywiście ma w sobie jakiś czar.

Z każdą godziną zmienia barwę, nawet kształt.

- Uwielbiam malować wodę - zwierzyła się panna Stevens. - Muszę się kiedyś wybrać na rozlewiska. A ty pokażesz mi najwspanialsze zakątki moczarów.

- Och, niczego bardziej nie pragnę - zapewniłam. Uśmiechnęła się do mnie serdecznie, a ja poczułam się, jakbym rzeczywiście znalazła prawdziwą siostrę. Był to chyba jeden z najmielszych dni, jakie spędziłam w Greenwood.

Tego wieczoru w naszej bursie urządziłyśmy *pajama party*. Przyszły dziewczęta z sąsiednich budynków, słuchały-

śmy muzyki, jadłyśmy prażoną kukurydzę i tańczyłyśmy. Potem przenocowały u nas, część spała po dwie na łóżku, inne na podłodze. Nocą robiłyśmy sobie kawały. Kilka dziewcząt z kwartału B poszło na górę i zapukało do drzwi.

Kiedy mieszkanki tamtych pokoi otworzyły, wylały na nie wiadra zimnej wody i uciekły. Oczywiście dziewczęta z góry musiały się zemścić. Jakimś cudem udało im się nałapać żab, które potem wpuściły do wspólnego pokoju w kwartale B, tak że mieszkanki tego kwartału z piskiem biegały po korytarzu. Pani Penny odchodziła od zmysłów, miotając się od jednego kwartału do drugiego.

Ku memu zaskoczeniu Gisselle oświadczyła, że uważa imprezę za głupią i niedojrzałą, po czym zamiast uczestniczyć w zabawie i wymyślać kawały dla swojej grupki, skryła się u siebie, zamykając drzwi na klucz. Zaczęłam się lę-

kać, czy nie popadła w depresję i czy to nie z tego właśnie powodu co rano jest taka zmęczona.

W niedzielę ostatecznie nadrobiłam już zaległości i wespół z Vicki przygotowywałam się do sprawdzianów z angielskiego i matematyki. Odbylałam dyżur przy kolacji, a potem przebrałam się, żeby pójść do Louisa. Powiedziałam, żeby nie angażował Bucka. Wolałam przejść się do rezydencji. Wieczór był tak piękny, na rozgwieżdżonym niebie jasno rysowały się sylwetki Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy. Idąc poczułam na sobie czyjeś spojrzenie, obejrzałam się w prawo i zobaczyłam sowę. Pomyślałam, że widok człowieka spacerującego o tej porze stanowił dla niej taką samą niespodziankę, jak ona stanowiła dla mnie. Przypomniałam sobie swoje życie na rozlewiskach i towarzyszące mi wtedy uczucie, że zwierzęta się do mnie przyzwyczyły.

Przede mną wyrosła masywna sylweta rezydencji Clairborne ow, na wszystkich tarasach płonęły światła, choć większość okien było ciemnych. Kiedy się zbliżyłam, dotarły do mnie melodyjne dźwięki fortepianu. Zastukałam do drzwi dużą, mosiężną kołatką. Po chwili zjawił się Otis Na moją widok na jego twarzy pojawił się niepokój, ale skłonił się i zrobił mi przejście.

- Dobry wieczór, Otisie - pozdrowiłam go

Zerknął w prawo, by się upewnić, czy pani Clairborne ma w pobliżu i dopiero upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, odpowiedział na powitanie.

- Dobry wieczór, panienko. Panicz Louis czeka na panienkę w pokoju muzycznym. Tędy - wskazał mi drogę i szybko poprowadził korytarzem.

Kątem oka dostrzegłam jakieś poruszenie Wydało mi się, że za zamykającymi się drzwiami zauważyłam sylwetkę pani Clairborne. Otis podprowadził mnie do drzwi salonu potem skłonił się i zniknął. Weszłam do środka i przez chwilę obserwowałam Louisa, póki nie wyczuł mojej obecności. Miał na sobie ciemnoniebieską welurową marynarkę, białą jedwabną koszulę i granatowe spodnie. Starannie uczesany wyglądał bardzo przystojnie. Odwrócił się do drzwi, natychmiast przerwał grę i poderwał się z taboretu Od razu zauważyłam różnicę w sposobie, w jaki skierował

ku mnie wzrok i pewność w jego ruchach

- Ruby!

Szybko przeszedł przez pokój i ujął mnie za rękę

- Wyraźnie widzę twoją postać - oświadczył. - To takie niesamowite nawet jeśli ogląda się świat w

szarościach i bielach. Jak cudownie nie musieć się już przejmować, że się na coś wpadnie. Co więcej, od czasu do czasu dostrzegam już przebliski koloru.

Dotknął moich włosów.

- Może pod koniec tego wieczoru zdołam zobaczyć twoje piękne włosy. Spróbuję. Będę o tym myślał i spróbuję.

Wystarczy, że bardzo mocno się skupię.

- Och - przerwał, cofając się nagle - ja tu gadam o sobie, a nawet nie spytałem, jak się czujesz.

- Dobrze, Louisie. Dziękuję.

- Nie możesz czuć się dobrze - upierał się. - Dotknęło cię prawdziwe nieszczęście. Chodź, usiądź przy mnie i opowiedz mi o wszystkim.

Nie wypuszczając mej ręki, podprowadził mnie do sofy. Usiadłam, a on przy mnie.

Na jego twarzy pojawiło się coś nowego, promiennego, tak jakby z każdą iskrą światła, która przedzierała się przez mroczną kurtynę, jaka do tej pory zasłaniała mu oczy, wracał do życia. Coraz bardziej zbliżał się do świata nadziei i radości, gdzie można śmiać się, radować, śpiewać i rozmawiać, a nawet pokochać.

- Nie mam do ciebie pretensji, że opowiadasz mi o swoich sukcesach. Wolałabym jednak nie rozmawiać o moim nieszczęściu. To jeszcze zbyt świeże i bolesne.

- Naturalnie. Chciałem tylko okazać ci zrozumienie. - Uśmiechnął się. - Chciałem, żebyś wiedziała, że możesz wy-płakać się na moim ramieniu. W końcu ja wypłakiwałem się na twoim, czyż nie?

- Dziękuję. To miłe z twojej strony, zważywszy problemy, z jakimi sam się borykasz.

- Lepiej się nie dręczyć własnymi problemami. Najlepszym na to sposobem jest zająć się problemami innych - odparł.

- Och, czyż nie mówię jak doświadczony starzec? Przepraszam, ale ostatnie kilka lat spędzałem czas głównie na medytacjach. Zresztą - oświadczył, wstając - postanowiłem się poddać operacji i w przyszłym miesiącu jadę do kliniki w Szwajcarii. Lekarze zapewniają, że pozostanę tam bardzo krótko, ale przy okazji mógłbym chodzić do konserwatorium i popracować nad swoją muzyką.

- Och, Louis, to cudowne!

- Wiesz - powiedział czule, ujmując mnie za rękę - spytałem lekarza, dlaczego moje oczy nagle zaczęły funk-cjonować, a on twierdzi, iż to dlatego, że znalazłem kogoś, komu mogłem zaufać. - Uśmiechnął się. - Mój lekarz to bardziej psychiatra niż okulista. Jego zdaniem to mój umysł opuścił ciemną zasłonę na moje oczy. Powiada, że nie chciałem wyzdrowieć, bo lękałem się znowu widzieć. Czuję się bezpieczniejszy zamknięty w świetle ciemności, wyzwalając uczucia jedynie poprzez



muzykę.

- Kiedy opowiedziałem mu o tobie i o tym, co do ciebie czuję, przyznał, że odegrałaś znaczącą rolę w odzyskaniu przeze mnie wzroku. Tak długo, jak jesteś w pobliżu... i mogę liczyć, że cię zobaczę...

- Och, Louisie, nie powinnam brać na siebie tak ogromnej odpowiedzialności.

Roześmiał się.

- Byłem pewny, że to usłyszę. Jesteś taka słodka i tak zupełnie pozbawiona egoizmu. Nie martw się. Cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. Oczywiście - dodał cicho - babcia nie jest tym wszystkim uszczęśliwiona. Tak się rozzłościła, że chciała odprawić mojego lekarza. Ściągnęła tu ciotkę, żeby mi przemówiła do rozumu. Ale powiedziałem im... powiedziałem, że to niemożliwe, byś była taką dziewczyną, za jaką cię mają: chytrą, wietrzącą korzyści.

- A potem oświadczyłem... - Przerwał. Na jego twarzy pojawiło się zdecydowanie. - Co więcej, zażądałem, by do czasu mojego wyjazdu do kliniki wolno ci było mnie odwiedzać, ilekroć tylko będziesz mogła. Postawiłem sprawę jasno: nie pojedę, jeśli zabronią mi widywać cię tak często, jak będę chciał i... oczywiście jak często ty będziesz sobie tego życzyła. Ale ty chcesz mnie widywać, prawda? - dodał. Brzmiało to jak błaganie.

- Chętnie cię odwiedzę, kiedy tylko będę mogła, ale...

- Cudownie. Więc wszystko ustaliliśmy. Powiem ci, co zrobię. Będę dalej komponował i stworzę całą symfonię.

Dokończę ją w ciągu tego miesiąca i zadedykuję właśnie tobie.

- Louis - odezwałam się ze łzami w oczach. - Muszę ci coś powiedzieć...

- Nie - przerwał. - Już podjąłem decyzję. A nawet więcej, część tej symfonii już jest zapisana. Właśnie ten fragment grałem, kiedy przyszłaś. Chcesz posłuchać?

- Oczywiście, Louisie, ale...

Lecz nim zdołałam powstrzymać go, wstał, podszedł do fortepianu i zaczął grać.

Byłam w rozterce. Sama nie wiem, kiedy to nastąpiło, ale weszłam tak głęboko w świat Louisa, że teraz nie mogłabym go opuścić, nie raniąc go przy tym. Może kiedy wy-

jedzie do kliniki i w pełni odzyska wzrok, uda mi się wyjaśnić mu, że moje serce oddałam innemu. Wtedy będzie na tyle silny, że zniesie rozczarowanie. A na razie nie pozostaje mi nic innego, jak słuchać jego pięknej muzyki i wspierać go w wysiłkach prowadzących do całkowitego odzyskania wzroku.

Symfonia była piękna. Muzyka unosiła się i opadała z takim czarem, że dałam się jej ponieść. Siedziałam odprężona, z przymkniętymi oczami i pozwoliłam, by przeniosła mnie w przeszłość, gdzie

zobaczyłam siebie jako małą dziewczynkę biegnącą po trawie, w dali słyszałam śmiech babuni, przyglądającej się jak piszczalam z zachwytu, patrząc na podrywające się do lotu ptaki i tańczące w wodzie leszcze

- No i ...? - usłyszałam głos Louisa, który skończył grać. - To wszystko, co do tej pory napisałem. Jak to znajdujesz?

- To piękna muzyka, Louisie. Wyjątkowa. Na pewno zostaniesz słynnym kompozytorem.

Znowu się roześmiał.

- Chodź! - zawołał. - Kazałem Otisowi przygotować na tarasie kawę po cajuńsku i słodycze z nowoorleańskiej „Cafe du Monde”. Opowiesz mi o swojej bliźniaczce i o okropieństwach, które wyczynia.

Ujęłam go pod ramię i wyszliśmy z pokoju muzycznego. Na korytarzu obejrzałam się za siebie. Miałam pewność, że w mroku dostrzegłam sylwetkę pani Clairborne, która obserwowała nas. Nawet z tej odległości dawało się wyczuć jej niezadowolenie.

Ale dopiero następnego ranka miałam się przekonać, z jaką determinacją ona i jej siostrzenica dążyły do tego, by usunąć mnie z życia Louisa.

Fałszywe oskarżenie

Właśnie opiekunka naszego rocznika zaczęła czytać ogłoszenia na najbliższy dzień, kiedy pojawiła się dyżurna z wiadomością, że mam natychmiast stawić się w gabinecie pani Ironwood. Zerknęłam na Gisselle, ale ona wyglądała na równie zdziwioną i zaintrygowaną jak reszta dziewcząt. Wyszłam bez słowa i szybkim krokiem ruszyłam korytarzem. Kiedy dotarłam na miejsce, pani Randle z notatnikiem w ręku stała w progu gabinetu dyrektorki.

- Wejdz - odezwała się, robiąc mi miejsce.

Z sercem bijącym tak mocno, że bałam się, czy nie rozsadzi mi piersi, weszłam do gabinetu. Pani Ironwood siedziała za biurkiem, wyprostowana, z zaciśniętymi ustami. Nigdy przedtem nie dostrzegłam w jej oczach aż takiej furii.

Ręce spoczywały płasko na jakichś papierach.

- Siadaj - rozkazała.

Potem skinęła w stronę sekretarki, która weszła za mną, zamykając drzwi, szybko usiadła na krześle przy biurku i położyła notatnik. Znieruchomiała w pełnej gotowości, z długopisem w ręku.

- Co się stało? - spytałam, nie mogąc już dłużej wytrzymać długiego, ciężkiego milczenia, które zawisło w powietrzu.

- Nie przypominam sobie, bym w tak krótkim czasie równie często wzywała do siebie jakąś inną

uczennicę - zaczęła pani Ironwood marszcząc brwi.

Zerknęła na panią Randle, jakby szukała u niej potwierdzenia, a ta lekko skinęła głową równocześnie zamykając i otwierając oczy.

- To nie moja wina - odparłam.

- Hmm... - mruknęła pani Ironwood.

Popatrzyły na siebie z panią Randle, jakby tylko one dwie słyszały jakieś głosy, które do mnie nie docierały.

- To nigdy nie jest wasza wina - mruknęła, a pani Randle ponownie przytaknęła, po raz kolejny zamykając i otwierając oczy. Przypominała marionetkę, której sznurki spoczywały w dłoniach dyrektorki.

- Więc po co pani mnie wezwała?

Pani Ironwood jeszcze bardziej wyprostowała ramiona, przyjmując władcą pozę.

- Poprosiłam panią Randle, by notowała, bowiem z tą chwilą rozpoczynam formalne przesłuchanie o wydalenie uczennicy ze szkoły - oznajmiła.

- Co? Co ja takiego znowu zrobiłam? - zawołałam. Spojrzałam na panią Randle, która dla odmiany wbiła oczy w notatnik. Potem zatrzymałam wzrok na pani Ironwood, która wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że niemal czułam, jak jej oczy przesywają mnie.

- Powiedz raczej, czego nie zrobiłaś. - Pokręciła głową i spojrzała na mnie wyniośle. - Od samego początku, od kiedy poznałam prawdę o twoim pochodzeniu, którą tak szczerze wyznała twoja macocha, po arogancji i tupecie, jakie okazywałaś w czasie naszej pierwszej rozmowy, po twoim stosunku do regulaminu, po reakcji na moje sugestie, wiedziałam, że twoja obecność w Greenwood stanowi koszmarną pomyłkę i musi się zakończyć sromotną porażką.

- Kary, ostrzeżenia, nawet przyjacielskie rady nic nie pomogły. Takie jak ty rzadko zmieniają się na lepsze. Upadek masz już we krwi.

- Ale o co właściwie jestem oskarżona? - zapytałam bez lęku.

Nie odpowiedziała od razu. Najpierw odchrząknęła, po czym włożyła okulary w perłowej oprawce. Następnie wzięła do ręki dokumenty, które do tej pory przygniatała ręką i przeczytała:

- „Na mocy regulaminu spisane przez władze szkoły Greenwood, niniejszym rozpoczynamy pierwszy etap oficjalnej procedury zmierzającej do wydalenia uczennicy. Rzeczoną uczennicą - ciągnęła, zerknąwszy na mnie znad okularów - Ruby Dumas, została w podanym wyżej dniu wezwana w celu powiadomienia o przesłuchaniu oraz wysłuchania zarzutów stawianych jej przez dyrekcję szkoły w Greenwood”.

- Po pierwsze - kontynuowała jeszcze bardziej władcym tonem - z pełną świadomością i wiedzą przekroczyła wyraźnie oznakowane granice campusu Greenwood i przebywała tam w porze apelu.

- Co takiego? - krzyknęłam, znowu spoglądając na panią Randle, która z pochyloną głową szybko notowała na kartce. - Jakie granice?

- „Po drugie, z pełną świadomością oraz wiedzą dopuszczała się czynów nagannych na terenach należących do szkoły, w czasie gdy pozostawała pod opieką tejże uczelni”.

- Czynów nagannych?

- „Powyższe zarzuty zostaną przedstawione i omówione podczas formalnego przesłuchania dziś po południu o godzinie czwartej w tym gabinecie”.

Odłożyła dokumenty i zsunęła okulary.

- Pozostaje mi powiadomić cię o czekającej procedurze. Ława sędziowska złożona z dwóch pracowników szkoły oraz przewodniczącej samorządu szkolnego Susan Peck, wysłucha oskarżeń, zapozna się z dowodami, a następnie wyda wyrok. Oczywiście, będę przewodniczyła obradom.

- Jakie zarzuty? Jakie dowody?

- Odczytałam ci zarzuty.

- Nie słyszałam niczego konkretnego. Kiedyż to złamałam zakaz opuszczania terenu szkoły? Idąc do rezydencji Clairborne'ów? Czy to o to chodzi?

Policzki jej poczerwieniały, szybko zerknęła na panią Randle, a potem znowu na mnie.

- Bynajmniej - odparła. - Widziano cię wieczorem w budynku nad przystanią.

- Nad przystanią?

- Gdzie udałaś się na nielegalne *tete-a-tete* z Buckiem Dardarem.

- Ja? Kto mnie widział?

- Członek naszego grona pedagogicznego, ogromnie poważana, wieloletnia pracownica.

- Kto? Czy nie mam prawa poznać nazwiska swego oskarżyciela? - nie ustępowałam, gdy się zawahała.

- Pani Gray, twoja nauczycielka łaciny. Dlatego też nie ma wątpliwości, czy właściwie rozpoznała widzianą przez siebie osobę - oświadczyła.

Czułam się jakby mnie uderzono obuchem w głowę.

- Kiedy?

Zajrzała z ociąganiem w papiery, jakby kosztowało ją to mnóstwo wysiłku, po czym odparła:

- Wczoraj wieczorem o wpół do ósmej widziano, jak wchodzisz do budynku nad przystanią.

- Wczoraj wieczorem?

- I pozostawałaś tam w porze apelu - dodała. - Szczegóły zeznania pani Gray zostaną odczytane w czasie formalnego przesłuchania.

- Musiano mnie pomylić z kimś innym. Nie mogłam być wczoraj o wpół do ósmej nad przystanią. Proszę wezwać Bucka i jego spytać - poradziłam.

Zachnęła się.

- Sądzisz, że nie miałam na tyle rozumu, by to zrobić? Wezwałam go tu z samego rana i spisał zeznanie - oświadczyła, biorąc do ręki kolejną kartkę - potwierdzając relację naszego naocznego świadka.

- To niemożliwe - zaprzeczyłam. - Albo się myli, albo kłamie. Gdy Buck zjawi się na przesłuchaniu zobaczy mnie i zrozumie...

- Buck Dardar nie przebywa już na terenie Greenwood. Zwolniono go z posady i opuścił szkołę -

wyjaśniła.

- Jak to? Został zwolniony na podstawie fałszywych oskarżeń? Ależ to niesprawiedliwe!

- Zapewniam cię - uśmiechnęła się chłodno - że uznał moją decyzję za jak najbardziej sprawiedliwą. Wszystkie jesteście niepełnoletnie. Gdyby nie obawa przed skandalem, oddałabym go w ręce policji.

-Ależ to nieprawda! Proszę spytać swoją ciotkę, gdzie byłam wczoraj wieczorem.

-Moją ciotkę? - Wyprężyła się jak struna. - Chcesz, bym wciągała panią Clairborne w tę ohydną, oburzającą aferę?

Jak śmiesz coś takiego sugerować? Czy istnieje jakaś granica twego zepsucia?

-Ależ ja wczoraj wieczorem byłam w jej rezydencji i wróciłam na długo przed apelem.

- Zapewniam cię - wycedziła pani Ironwood - że pani Clairborne nigdy by się nie zgodziła na składanie zeznań.

Wyglądała na absolutnie pewną tego, co mówi.

- W takim razie proszę wezwać Louisa...

- Ślepca? Chcesz go w to wciągnąć? Zamierzasz przynieść wstyd powszechnie szanowanej rodzinie? O to ci chodzi?

Spala cię chorobliwa, cajúrska zawiść?

- Ależ to wszystko jest pomyłką! - zawołałam.

- O tym zadecyduje nasza ława przysięgłych dziś o czwartej po południu. Masz się stawić punktualnie. - Przymknęła powieki, po czym znowu popatrzyła na mnie. - Możesz przyprowadzić kogoś, kto wystąpi w twojej obronie. -

Przerwała, nachylając się ku mnie z fałszywym uśmiezkim. - Oczywiście, jeśli chcesz uniknąć całej tej nieprzyjemnej sytuacji, możesz się przyznać do winy i przyjąć wyrok.

- Nie! - wybuchnęłam rozwścieczona. - Chcę stanąć twarzą w twarz z moimi oskarżycielami. Chcę, by każdy, kto uczestniczy w tym spisku, spojrział mi w oczy i uświadomił sobie swoją nikczemność.

- Jak sobie życzysz. - Wyprostowała się. - Wiedziałam, że do końca będziesz harda i szczerze mówiąc, niezbyt wierzyłam, że zaoszczędzisz wstydu swojej rodzinie. Żal mi cię, ale może stanie się lepiej, jeśli wrócisz do swoich.

- Och, nie ulega wątpliwości, że lepiej by było, gdybym to zrobiła, pani dyrektor. Moi nie traktują pogardliwie nieszczęśników, którzy nie przyszli na świat w bogatej, poważanej rodzinie. Moi nie spiskują ani nie uciekają się do podłości - odcięłam się.

Pod powiekami czułam łzy, ale powstrzymywałam je, by nie dać dyrektorce satysfakcji, że mnie złamała.

- Ale ja nie dam się stąd wysłać w łodzi utkanej z obrzydliwego oszustwa.

Pani Ironwood zerknęła na sekretarkę, która czym pie dzej opuściła wzrok na notatnik.

- Dla dopełnienia formalności - dyktowała - odnotujmy, że uczennica Ruby Dumas odrzuca oskarżenie i chce, by sprawa jej została rozpatrzona na oficjalnym przesłuchaniu. Poinformowano ją o przysługujących jej prawach...

- Prawach? A jakież ja mam tutaj prawa? - roześmiałam się szyderczo.

- Poinformowano ją o przysługujących jej prawach - powtórzyła z naciskiem pani Ironwood. - Zapisała pani wszystko, pani Randle?

- Tak - odpowiedziała szybko sekretarka.

- Zgodnie z obowiązującymi przepisami musisz podpisać ten protokół - zażądała dyrektorka.

Pani Randle podsunęła mi notatnik i podała długopis.

- W tym miejscu - poinstruowała, stukając palcem w dół strony.

Wyjęłam jej z ręki długopis i złożyłam podpis.

- Nie chcesz tego najpierw przeczytać? - spytała pani Ironwood.

- Po co? Przecież w tej farsie role zostały już wcześniej obsadzone, a wynik z góry przesądzony.

- Wobec tego nie ma sensu jej kontynuować - odparowała.

Rzeczywiście - pomyślałam. - Po co? Ale wtedy przypominałam sobie babunię i wszystkie sytuacje, kiedy stawiała twarzą w twarz z największymi wyzwaniem: niewiadomym, ciemnością, a mimo to zawsze bez wahania ruszała do walki o to, co słuszne i dobre, nawet jeśli wynik wydawał się z góry przesądzony.

- Zamierzam ją kontynuować, chociażby po to, żeby wszyscy uczestnicy tego spisku musieli spojrzeć mi w oczy.

Pani Randle popatrzyła na mnie zaskoczona, w jej oczach mignął błysk uznania, którego pani Ironwood z pewnością nie zauważyła.

- Możesz już wrócić na lekcje - oznajmiła pani Ironwood. - Masz stawić się na czwartą. Jeśli się nie pojawisz, bę-

dziesz osądzona *in absentia*.

- W to akurat nie wątpię - odparłam wstając.

Nogi się pode mną uginały, ale zamknęłam oczy i przywołałam na pomoc strumień twardej, chłodnej siły, która zrodziła się w moim sercu i teraz wraz z krwią docierała do każdej mojej komórki. Wyprostowana, z dumnie uniesioną głową odwróciłam się i pewnym krokiem wyszłam z gabinetu pani Ironwood. Udało mi się zachować tę postawę, dopóki nie usiadłam w ławce i nie uświadomiłam sobie, co mnie czeka za kilka godzin. Dopiero wtedy ogarnęło mnie otępienie.

Przez cały dzień chodziłam jak nieprzytomna. Nikomu ani słówkiem nie zdradziłam, o czym rozmawiałam z panią Ironwood, o co zostałam oskarżona. Chociaż nie na wiele się to zdało. Z chwilą gdy Susan Peck powiadomiono, że ma wziąć udział w przesłuchaniu, które zakończy się wydaleniem uczennicy, wieść lotem błyskawicy rozeszła się po całej szkole. Wczesnym popołudniem wszyscy już o tym wiedzieli, i wszyscy o mnie rozmawiali. Tuż przed ostatnią lekcją Gisselle dopadła mnie w korytarzu po pierwsze, żeby mnie zbesztać, że nie przyszedłam od razu do niej ze swoim problemem, a po drugie, by wyrazić swój zachwyt, że skoro ja zostanę wyrzucona z Greenwood, ona również bę-

dzie musiała stąd odejść.

- Nie powiedziałam ci o wszystkim, Gisselle, właśnie z tego powodu - odparłam. - Wiedziałam, jak cię to uszczę-

śliwi.

- Dlaczego w ogóle zawracasz sobie głowę tym przesłuchaniem? Lepiej od razu zadzwońmy do Daphne, żeby przysłała samochód.

- Dlatego że to stek kłamstw i nie zamierzam puścić tego płazem Żelaznej Damie. Nie dam się stąd wyrzucić wy-tarzana w smołę i pierzu.

- Cóż, nie masz na to żadnego wpływu, jesteś po cajuńsku głupia i uparta. Zabraniam ci iść na to przesłuchanie, Ruby

- rozkazała. - Słyszałaś? Zabraniam ci iść.

- Puść mnie, Gisselle, muszę się spieszyć na lekcje. Nie chcę dorzucać spóźnienia do listy zarzutów i w ten sposób dostarczać im kolejnego argumentu przeciwko mnie -oświadczyłam, ruszając w swoją stronę.

Złapała mnie za rękaw.

- Nie idź, Ruby, słyszysz? Wyrwałam się jej.

-Pójdę. . W oczach płonął mi taki ogień, że aż paliły mnie po- Marnujesz czas! - zawołała za mną. - Mówię ci, że nie warto! Ta buda nie jest tego warta! - wrzeszczała.

Przyspieszyłam kroku i równocześnie z dzwonkiem wpadłam do pracowni plastycznej. Wystarczyło



mi jedno spojrzenie na pannę Stevens, by się upewnić, że wie o wszystkim i bardzo się tym przejęła. Przejęła się do tego stopnia, że dała dziewczętom pracę i odciągnęła mnie w głąb sali, prosząc, bym o wszystkim jej opowiedziała.

- Jestem niewinna, panno Stevens. Oskarżenia są wyssane z palca. To nie ja byłam wczoraj wieczorem nad przystanią. Pani Gray się myli.

- Dlaczego to nie mogłaś być ty? Powiedziałam jej o wizycie u Louisa.

- Niestety dyrektorka oświadczyła, że pani Clairborne nie zgodzi się składać zeznań, a Louisowi nie pozwolą - wyjaśniłam.

Oczy panny Stevens pociemniały ze smutku.

- Nie wyobrażam sobie, żeby pani Gray dała się wciągnąć w jakiś spisek, zmierzający do wyrzucenia cię z Greenwood. To dobra kobieta, głęboko uczciwa. Nie radzisz sobie u niej?

- Ależ skąd. Mam u niej najwyższą ocenę.

- Jest dla mnie jak matka - powiedziała panna Stevens - radziła mi i pomagała od samego początku. Poza tym jest ogromnie religijna.

- Ale to nie ja tam byłam, panno Stevens! Przysięgam.

Musiała się pomylić.

Panna Stevens w zadumie kiwała głową.

- Może to zrozumie i wycofa obciążające cię zeznanie.

- Wątpię. Pani Ironwood wyglądała na zbyt z siebie zadowoloną i zbyt pewną siebie, a skoro Buck już został zwolniony i wyrzucony, zostanie tylko moje słowo przeciwko słowu pani Gray i tym bzdurom, które kazali Buckowi podpisać.

- Dlaczego pani Ironwood tak się na ciebie uwzięła? - zastanawiała się na głos panna Stevens.

- Przede wszystkim z powodu Louisa, a w ogóle nie lubi mnie od samego początku i jasno dała mi to do zrozumienia, kiedy po raz pierwszy mnie do siebie wezwała. Macocha już się dobrze postarała, by mnie naznaczyć. Chce, bym potknęła się, zawiodła, dzięki czemu będzie mogła się mnie pozbyć... I Gisselle też.

- Moje biedactwo. Chcesz, żebym przyszła na przesłuchanie i zaświadczyła o twoim talencie i osiągnięciach?

- Nie. To niczego nie zmieni, a tylko wciągnęłabym panią w to bagno. Chcę tylko tam pójść i napluć im wszystkim w twarz.

Oczy panny Stevens zalśniły łzami. Uścisnęła mnie, życząc szczęścia, po czym wróciła do dziewcząt. Siedziałam jak otępiała, niczego nie widząc, nie słysząc ani słowa. Po lekcjach jak automat wróciłam do bursy, nawet nie pamię-

tałam, jak tam dotarłam. Znalazłszy się w pokoju, zaczęłam pakować rzeczy. Po chwili zjawiała się u mnie Gisselle w radosnym nastroju.

- Więc jednak postanowiłaś wysłuchać mojej rady i odpuścić? Świetnie. Kiedy przyjeżdża samochód?

- Przygotowuję się tylko na nieuniknione, Gisselle. Nie zamierzam bynajmniej odpuścić i idę na przesłuchanie, które rozpocznie się za godzinę. Będiesz mi towarzyszyć?

- Oczywiście, że nie. A po co miałabym tam chodzić?

- Żeby być przy mnie.

- Chciałaś powiedzieć, żeby razem z tobą płonąć ze wstydu. Wielkie dzięki, ale nie mam zamiaru w tym uczestniczyć. Poczekam tu i też zacznę się pakować. Chwała Bogu będę wreszcie mogła życzyć temu miejscu i wszystkim jego mieszkankom wiele szczęścia - oświadczyła, nie zważając, że ktoś może ją słyszeć.

- Na twoim miejscu aż tak bym się nie cieszyła, Gisselle. Już Daphne przygotowuje dla nas kolejne piekło. Przekonasz się. Wyśle nas do innej szkoły, jeszcze gorszej, dokładnie tak jak groziła.

- Nie pojedę. Przywiążę się do łóżka.

- A ona każe tragarzom wynieść cię razem z nim. Nie ubłagasz jej.

- Guzik mnie to obchodzi. Wszystko jest lepsze niż to - upierała się i wyjechała z mojego pokoju, by zacząć się pakować.

Ja też wróciłam do pakowania, po czym starannie się uczesałam, by wyglądać schludnie i godnie na rozprawie.

\* \* \*

Do szkoły wyszłam kwadrans przed czwartą. Większość dziewcząt zebrała się w salonie na dole i rozmawiała o mnie. Gdy weszłam, umilkły, odprowadziły mnie wzrokiem, a niektóre nawet stanęły w oknach, patrząc jak z uniesioną głową kroczyć ścieżką. Nie wzięłam ze sobą nic, ale dopilnowałam, by dobry amulet Niny, moneta na żyłce, znalazła się wokół mojej kostki.

Niebo pociemniało, zaciągała je gruba warstwa chmur, przesłaniająca ostatnie przebliski błękitu. Wszystko nabrało mrocznego, ponurego wyglądu, jakby krajobraz odzwierciedlał to, co działo się w moim sercu. Powiało nagłym chłodem, więc szybko wbiegłam do budynku.

O tej porze kręciło się tu niewiele uczennic. A te, które błąkały się po korytarzach, zatrzymywały się

w pół kroku, gapiąc się na mnie i szepecząc, gdy je mijałam w drodze do gabinetu pani Ironwood. Drzwi oddzielające jej pokój od sekretariatu były zamknięte. Pani Randle nie królowała za biurkiem. Usiadłam więc i czekałam, patrząc jak wskazówki zegara zbliżają się do czwartej. Punktualnie o czwartej drzwi od gabinetu otworzyły się i pojawiła się pani Ironwood. Na mój widok na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie i odraza.

- Wejdz i zajmij miejsce - rozkazała, wracając do biurka. Meble w gabinecie poprzestawiano tak, że przypominał

on teraz salę rozpraw. Po lewej stronie biurka znajdowało się krzesło dla świadka. Pani Randle, która czekała, by za-cząć stenografować obrady, zajęła miejsce po prawej stronie. Po stronie miejsca dla świadków zasiadali sędziowie: pan Norman, mój nauczyciel fizyki, panna Weller, bibliotekarka oraz Susan Peck z tak zarozumiałą, pewną siebie mi-ną, że zrobiło mi się niedobrze z gniewu. Nie wątpiłam, że ledwo to wszystko się skończy, polecą do telefonu zaraportować wszystko bratu. Również po lewej stronie na kanapie siedziała pani Gray. Na jej twarzy malował się niepokój i prawdziwy ból.

Znalazło się miejsce i dla mnie: krzesło naprzeciwko biurka, które pani Ironwood wskazała mi skinieniem głowy.

Szybciutko usiadłam, nie odrywając wzroku od sędziów. Zawzięłam się, że nie okażę lęku ani skruchy, ale czułam się, jakbym połknęła rój komarów, które teraz bzy-czały wokół mojego łomoczącego serca.

- Niniejszym rozpoczynam formalne przesłuchanie w sprawie wydalenia ze szkoły uczennicy Ruby Dumas

-oznajmiła pani Ironwood.

Włożyła okulary, by po raz kolejny odczytać akt oskarżenia. W trakcie czytania czułam na sobie spojrzenia zebranych, ale nie okazałam zdenerwowania. Siedziałam wyprostowana, z otwartymi dłońmi spoczywającymi na kolanach, wpatrując się w dyrektorkę.

- Czy przyznajesz się do zarzucanych ci czynów? - zakończyła.

- Nie. Jestem niewinna.

Bałam się, że głos mi zadrży, ale udało mi się nad nim zapanować. Pani Ironwood wyprostowała się.

- Doskonale. W takim razie przystąpmy do rzeczy. Pani Gray... - zwróciła się do drobnej kobietki o ciemnych włosach i łagodnych, błękitnych oczach.

Wiedziałam, że do tej pory pani Gray ogromnie mnie lubiła, często mnie chwaliła za postępy w nauce. Teraz wyglą-

dała, jakby serce jej pękało, jakby robiła coś wyjątkowo bolesnego, ale wstała, głęboko zaczerpnęła tchu i podeszła do krzesła świadka.

- Pani Gray, proszę opisać ławie, co pani widziała - poleciła jej pani Ironwood.

Nauczycielka zerknęła na mnie, po czym odwróciła się do trójki, która miała wydać wyrok.

- Wczoraj wieczorem, gdzieś między siódmą dwadzieścia i siódmą dwadzieścia pięć, wracałam z kolacji z panią Johnson; opiekunką bursy w Waverly. Zostawiłam samo-

chód na parkingu dla nauczycieli i postanowiłam przespacerować się. Kiedy minęłam zakręt, zauważyłam, że ktoś przemyka w stronę stawu, chowając się w cieniu. Zaintrygowana, podejrzewałam bowiem, że musi to być któraś z naszych uczennic, skręciłam na drogę wiodącą do stawu.

Przerwała, głęboko wciągnęła powietrze i przełknęła ślinę.

- Usłyszałam skrzypienie drzwi budynku nad przystanią. Dobiegł mnie kobiecy śmiech, a potem trzask zamykanych drzwi. Postanowiłam podejść bliżej. Gdy jednak zbliżyłam się do samego domu, zatrzymałam się, ponieważ okna były otwarte i doskonale widziałam, co dzieje się w środku.

- A co działo się w środku? - ponagliła dyrektorka, gdy pani Gray przez chwilę zawahała się.

Nauczycielka zamknęła oczy, przygryzła wargę, po czym jeszcze raz zaczerpnęła tchu i podjęła relację:

- Zobaczyłam Bucka Dardara ubranego wyłącznie w slipy i obejmującego dziewczynę. Kiedy się trochę odsunął, mogłam dokładnie przyjrzeć się dziewczynie.

- I kogo pani zobaczyła? - spytała szybko pani Ironwood.

- Zobaczyłam Ruby Dumas. Oczywiście, byłam wstrząśnięta i rozczarowana. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, rozpięła białą bluzkę i zaczęła ją zdejmować. Buck Dardar ponownie ją objął.

- Co miała wtedy na sobie dziewczyna?

- Była... prawie całkiem naga. Miała na sobie wyłącznie spódnice.

Susan otworzyła usta. Panna Weller z obrzydzeniem wyduła wargi. Pan Norman zamknął usta; ale twarz miał nieruchomą, nie odrywał oczu od pani Gray.

- Proszę mówić dalej - poleciła pani Ironwood.

- Tak mnie to zdumiało, poczułam się tak boleśnie rozczarowana, że zrobiło mi się słabo i ogarnęły mnie mdłości -

kontynuowała pani Gray. - Odwróciłam się więc i uciekłam stamtąd czym prędzej.

- Po czym zjawiała się pani u mnie, by o tym donieść. Czyż nie tak?

Pani Gray spojrzała na mnie i przyświadczyła.

-Tak.

- Dziękuję.

- To nie byłam ja, proszę pani - zwróciłam się cicho do łacinniczki.

- Milcz. Jeszcze będziesz miała okazję mówić - warknęła pani Ironwood. - Może już pani odejść, pani Gray - odesłała nauczycielkę.

- Przykro mi. Musiałam powiedzieć, co widziałam -zwróciła się do mnie, wstając. - Jestem głęboko rozczarowana.

Spuściłam głowę. Pod powiekami wzbierały mi łzy.

- Kiedy powiadomiono mnie o tym wszystkim - zaczęła pani Ironwood, ledwo drzwi się zamknęły za panią Gray

-dziś rano wezwałam do siebie Bucka Dardara, przedstawiłam mu zeznanie pani Gray, po czym wyjęłam teczkę z dokumentami Ruby Dumas i pokazałam mu zdjęcie, by mógł potwierdzić, czy dziewczyna, którą pani Gray widziała u niego w domu, to rzeczywiście Ruby Dumas. Teraz odczytam jego zeznanie, złożone pod przysięgą i osobiście przez niego podpisane.

Wzięła do ręki kartkę.

- „Ja, Buck Dardar, niniejszym przyznaję, że w dniu,

0 którym mowa, oraz w innych dniach - czytała, podnosząc brwi i zerkając na ławę - dochodziło między mną a Ruby Dumas do stosunku intymnego. Panna Dumas co najmniej sześciokrotnie zjawiała się w moim mieszkaniu, flirtując ze mną i oddając mi się. Przyznaję, że przyjmowałem jej zaloty. W dniu, o którym mowa, Ruby Dumas zjawiała się u mnie o wpół do ósmej i przebywała aż do wpół do dziesiątej. Głęboko żałuję swego związku z rzeczoną uczennicą i przyjmuję karę, wyznaczoną mi przez panią Ironwood."

- Jak widzicie - zakończyła, podając dokument pannie Weller - potwierdził zeznanie własnoręcznym podpisem.

Panna Weller spojrzała na kartkę, skinęła głową, po czym podała ją panu Normanowi. Zerknął i przekazał ją Susan, która najdłużej ją studiowała, zanim w końcu oddała dyrektorce. Pani Ironwood z miną zadowolonego, sytego szopa rozparła się w fotelu.

- Teraz możesz się bronić - oznajmiła.

Zwróciłam się do sędziów.

- Nie wątpię, że wczoraj wieczorem o wpół do ósmej pani Gray rzeczywiście widziała, jak ktoś

skrada się do budynku nad przystanią i wiem, że mówię prawdę, ale wiem również, że się myli, ponieważ to nie ja tam byłam. Znajdowałam się...

- Ja im powiem, gdzie się wtedy znajdowałaś - usłyszeliśmy.

Obejrzałam się szybko i ujrzałam pannę Stevens, która wprowadzała do gabinetu Louisa.

- A cóż to ma znaczyć? - spytała osłupiała pani Iron-wood.

Myślę, że byłam równie wstrząśnięta jak ona. Louis, ubrany w marynarkę i krawat, gładko uczesany, skinął głową, pozdrawiając zebranych.

- Jestem tu, by potwierdzić zeznanie obrony. - Posłał mi uśmiech. - Ruby Dumas. Czy mogę? - zwrócił się do zebranych.

- Oczywiście, że nie. To sprawa wewnętrzna i nie...

- Ale jestem w posiadaniu informacji związanych ze sprawą - nalegał. - Czy to miejsce dla świadków?

Ruchem głowy wskazał krzesło.

Dyrektorka posłała wściekłe spojrzenie pannie Stevens, po czym powiodła wzrokiem po sędziach, którzy bacznie się jej przypatrywali, czekając.

- To niezgodne z trybem postępowania - oświadczyła.

- A to dlaczego? Odbywa się tu przesłuchanie, a na przesłuchaniu przedstawia się dowody, prawda? Jestem przekonany, że chcesz dotrzeć do prawdy, ciociu - dodał z uśmiechem.

Wszyscy wodzili wzrokiem od Louisa do pani Ironwood. Gdy nie odpowiedziała, podszedł do krzesła dla świadków i rozsiadł się na nim wygodnie.

- Nazywam się Louis Turnbull. Jestem wnukiem pani Clairborne i mieszkam w tak zwanej rezydencji Clairbor-ne'ów. - Zerknął na ciotkę. - Czy mam podać wiek oraz zawód?

- Przestań się wygłupiać, Louisie. To, co się tu dzieje, to nie twoja sprawa.

- Owszem, moja - odparł zdecydowanie. - O ile dobrze zrozumiałem, chodzi o to, czy Ruby Dumas wczorajszego wieczoru o godzinie siódmej trzydzieści znajdowała się w budynku nad przystanią. Czy tak? Cóż, mogę zapewnić szanowną ławę, że nie, ponieważ w tym czasie była u mnie. Przyszła tam piętnaście po siódmej, a wyszła o dziewiątej.

Nad gabinetem zawisła głucha cisza, w której cykanie szafkowego zegara wydawało się grzmotem.

- Czyż nie tej sprawy dotyczy przesłuchanie? - nie ustępował Louis.

- Skoro tak. Sam tego chciałeś. Skąd wiesz, że to była właśnie ta godzina? - zaatakowała dyrektorka.
- Przecież jesteś niewidomy.

Spojrzała na ławę z wyższością. Louis też obrócił się w ich kierunku.

- To prawda, mam kłopoty za wzrokiem, ale ostatnio sytuacja znacznie się zmieniła - oświadczył, zerkając w moją stronę i uśmiechając się do mnie. Potem spojrzał na zegar, który stał w rogu. - Mogę to udowodnić. Na zegarze mojej ciotki jest teraz czwarta dwadzieścia... dwie.

Podał godzinę dokładnie. Popatrzyłam na sędziów. Wszyscy byli pod wrażeniem.

- Oczywiście, mogę potwierdzić swoje zeznanie, wzywając naszego lokaja, Otisa, który wprowadził pannę Dumas, a następnie ją odprowadził. Poza tym w trakcie jej wizyty podawał nam herbatę. Tak więc, jak sami państwo widzicie, niemożliwe jest, by Ruby Dumas znajdowała się w budynku nad przystanią wczoraj o godzinie siódmej trzydzieści, ósmej oraz ósmej trzydzieści - wyrecytował.

- Powszechnie szanowana członkini naszego grona pedagogicznego twierdzi inaczej, mam również podpisane zeznanie...

- Proszę pójść do samochodu i sprowadzić Otisa - zwrócił się Louis do panny Stevens.

- To nie jest konieczne - szybko odparła pani Ironwood.

- Skoro istnieją wątpliwości co do prawdziwości mego zeznania... - Spojrzał na ciotkę. - Zresztą, jeśli zajdzie taka potrzeba, jestem pewien, że uda mi się przekonać babkę, by potwierdziła moje słowa.

Nie odrywała od niego wzroku. Rozsadzała ją taka wściekłość, że nie tylko jej policzki pokryły się purpurą, ale i szyja.

- Nikomu się tym nie przysłużyłeś, Louisie - warknęła.

- Z wyjątkiem panny Dumas - odparł.

Przygryzła wargę, po czym odchyliła się, tłumiąc gniew.

- Doskonale. W zaistniałej sytuacji, przy tak sprzecznych zeznaniach, nie mogę prosić ławy o wydanie jedno-znacznego wyroku. Jestem pewna, że wszyscy państwo się ze mną zgodzą.

Pan Norman, panna Weller i osłupiała Susan skinęli głowami.

- W związku z tym ogłaszam, że przesłuchanie zostaje zamknięte, ponieważ nie można rozstrzygnąć sprawy. Chcę podkreślić, że nie oznacza to, iż rzeczona studentka zostaje zwolniona z zarzutów. Oświadczamy jedynie, że w tym momencie nie możemy wydać ostatecznego wyroku.

Spojrzała na mnie.

- Możesz odejść - rozkazała.

Potem odwróciła się, dysząc tak ciężko, że myślałam, iż lada chwila uszami zacznie jej buchać para. Serce biło mi jak młotem i byłam przekonana, że wszyscy w pokoju słyszą jego dudnienie.

- Powiedziała, że przesłuchanie uważam za skończone

- warknęła dyrektorka, widząc, że nie podnoszę się z krzesła. Wstałam.

Louis też się podniósł i wyszliśmy we trójkę z panną Stevens.

- Dlaczego go pani przyprowadziła? - spytałam, gdy znaleźliśmy się w sekretariacie. - Pani Ironwood jest taka wściekła, że zechce to sobie odbić na pani.

- Wzięłam to pod uwagę, ale uznałam, że nie mogę stracić najlepszej uczennicy - odparła, uśmiechając się do mnie. -

Poza tym kiedy Louis dowiedział się, co się stało, nie mogłam go powstrzymać, prawda?

- Za nic w świecie - potwierdził z uśmiechem.

- I jak niesamowicie poprawił ci się wzrok! - zawołałam.

- Odczytałeś godzinę co do minuty!

Znowu się uśmiechnął, a panna Stevens wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Louis przewidział, iż może będzie musiał udowodnić, że widzi i tuż przed wejściem do gabinetu spytał mnie o dokładną godzinę - wyjaśniła panna Stevens.

- Wiedziałem, że nawet jeśli się pomyłę o minutę czy dwie, i tak wywrze to na obecnych wrażenie.

-Ale się nie pomyliłeś. Podałeś godzinę dokładnie! -Uściskałam go. - Dziękuję, Louisie.

- Świetnie się bawiłem. Wreszcie zrobiłem coś dla bliźniego.

- I zapewne popadniesz w konflikt z babką.

- To bez znaczenia. Mam dość traktowania mnie jak smarkacza. Potrafię sam podejmować decyzje i odpowiadać za swoje czyny - oświadczył dumnie.

Trzymając się za ręce, szliśmy we trójkę korytarzem, po czym opuściliśmy budynek. Nagle wybuchnęłam śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Louis z ciekawością.



- Moja siostra, Gisselle. Nie mogę się doczekać, kiedy jej opowiem o wszystkim i zobaczę jej minę!

\* \* \*

- Co! - wrzasnęła Gisselle. - Nie wydalili cię ze szkoły?

- Dzięki interwencji Louisa i panny Stevens, sędziowie nie mogli wydać ostatecznego wyroku. Żałuj, że cię tam nie było, Gisselle - mówiłam, promieniejąc dumą i radością. - Spodobałaby ci się mina pani Ironwood, kiedy musiała cofnąć swoje groźby i zarzuty.

- Wcale by mi się nie spodobała. Sądziłam, że wracamy do domu. Prawie wszystko już spakowałam!

- Już wkrótce wracamy do domu... Na ferie - zaśpiewałam radośnie i zostawiłam ją, by dalej zżerała ją wściekłość siłą dorównująca niemal furii pani Ironwood.

Podobnie jak informacja o oskarżeniu i przesłuchaniu, tak i wieść o tym, że zostaję w szkole, rozniosła się po Greenwood z szybkością huraganu. Cała ta sprawa przyniosła efekt przeciwny do zakładanego przez dyrektorkę. Nie tylko nie spotkał mnie ostracyzm ze strony koleżanek, ale wręcz urosłam w ich oczach do roli bohaterki. Wytrzyma-

łam ogień piekielny i furię dyrektorki-dyktatorki, a nawet stawiałam jej czoło. Byłam Dawidem, który stanął do walki z Goliatem i zwyciężył. Gdzie się pojawiałam, otaczały mnie dziewczęta, pragnąc poznać szczegóły. Ale starałam się być powściągliwa w osądach, choć wiedziałam, że to je rozczaruje.

- Nie było to szczególnie miłe. Nie chcę ciągle o tym opowiadać. Zbyt wiele osób tu skrzywdzono.

Myślałam o biednym Bucku Dardarze, który stracił pracę i nie żywiłam do niego urazy, że podpisał fałszywe zeznanie. Nie ulegało wątpliwości, że uczynił to pod groźbą oddania go w ręce policji. Ale postępek pani Gray pozostawał dla mnie nadal tajemnicą, tajemnicą, którą rozwiązałam dopiero następnego dnia po lekcji łaciny.

-Ruby - zawołała mnie, ledwo zadźwięczał dzwonek kończący lekcję.

Poczekalam, aż wszystkie dziewczęta wyjdą i dopiero wtedy zbliżyłam się do katedry.

- Tak, proszę pani?

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie wymyśliłam tej historii - oświadczyła tak zdecydowanie i z taką szczerością, że nie mogłam od niej oderwać wzroku. - Słyszałam zeznanie wnuka pani Clairborne, lecz ono nie zmieni tego, co widziałam i co powiedziałam. Ja nie kłamię, ani nie daję się wciągać w żadne ukartowane spiski.

- Wiem, proszę pani - odparłam - ale mnie tam naprawdę nie było. Przysięgam.

- Przykro mi, ale ci nie wierzę.

Odwróciła się, a ja odeszłam z ciężkim sercem.

Do końca dnia prześladowała mnie twarz pani Gray, na której nie było śladu zmieszania. Miałam wrażenie, jakby pani Ironwood rzuciła urok na nauczycielkę, każąc jej widzieć to, czego ona sobie życzyła i mówić to, co ona chciała słyszeć. Och, jak gorąco pragnęłam, by choć na chwilę zjawiała się tu Nina, która mocą zaklęć voodoo zmieniłaby całą tę sytuację.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś babunia Catherine opowiadała mi o mężczyźnie, którego pięcioletnia córeczka wypadła z łodzi na moczarach. Choć jej ciało wydobyto

z bagien, on nadal wierzył, że po prostu się zgubiła, przysięgał, że słyszał nocą jej wołanie, a czasem nawet ją widywał.

- Tak bardzo chciał, by to było prawdą - opowiadała wtedy babunia - że nikt nie zdołał mu tego przetłumaczyć.

Może pani Gray nie widziała wszystkiego dokładnie i dyrektorce udało się wmówić jej, że zobaczyła właśnie mnie.

Nie dawało mi to spokoju. Kiedy po lekcjach wracałam do bursy, zatrzymałam się, by spojrzeć na budynek nad przystanią. Och, gdyby udało mi się odnaleźć Bucka i zmusić do wyznania mi prawdy. Może udałoby mi się również namówić go, by przekonał panią Gray, że nie ma racji. Nie mogłam pogodzić się, że tak źle teraz o mnie myślała.

Zdziwiłam się, gdy po powrocie nie zastałam w internacie Gisselle, ale niedługo potem zjawiała się Samanta i oznajmiła, że Gisselle zatrzymała pani Weisenberg, niezadowolona z jej fatalnych ocen z matematyki. Wiedziałam, że moja siostra wróci z tych dodatkowych zajęć wściekła jak osa.

Rozpakowałam rzeczy, które powkładałam do walizki przed samym przesłuchaniem, a potem zajrzałam do pokoju Gisselle, by sprawdzić, czy i ona to samo zrobiła. Panował u niej potworny bałagan. Wściekła i rozczarowana wyrzuciła wszystko z walizki. Sukienki, spódnice i bluzki wały się na krzesłach, łóżku, a nawet na podłodze.

Zaczęłam je zbierać, starannie składając i wieszając na miejsce. Kiedy wieszałam w szafie białą bluzkę z perłowymi guziczkami, zatrzymałam się w pół ruchu, przypominając sobie fragment zeznania pani Gray.

Czyż nie powiedziała, że tamta dziewczyna rozpiniała białą bluzkę? Ja przecież nie nosiłam białych bluzek, cały czas chodziłam w mundurku. Wzrokiem powędrowałam do butów Gisselle, stojących na dnie szafy. Coś przykuło moją uwagę. Serce zaczęło mi bić mocniej, kiedy wolno klękałam i podnosiłam pantofle, których podeszwy i boki okazały się całe ubłocone. Ale jakim cudem...

Głośne narzekania Gisselle, wyrzekającej, że musiała zostać po lekcjach, zapowiedziały jej pojawienie się. Sły-

szałam jej skargi, kiedy Kate wiozła ją korytarzem. Stałam, wstrzymując oddech. W głowie zrodziły mi się podejrzenia zbyt niesamowite, by mogły okazać się prawdziwe. W ostatniej chwili zdążyłam

schować się do szafy i zasunąć za sobą drzwi, tak jednak, by została szparka.

- Gdzie moja siostra? - dopytywała się Gisselle.

- Była u ciebie - odparła Samanta. - Porządkowała twoje rzeczy.

Gisselle zajrzała do środka i prychnęła pogardliwie.

- A kto ją o to prosił? Zresztą, już jej tu nie ma.

W progu pojawiła się Samanta. Rozejrzała się po pokoju.

- Och. Widocznie wyszła, kiedy byłam w łazience.

- Nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna. Chcę, żeby się dowiedziała, jakie rzeczy wyczyniała ze mną ta okropna Weisenbergowa, zanim nie rozwiązałam wszystkich zadań.

- Mam jej poszukać? - zaoferowała się Samanta.

- Nie. Później jej powiem. Teraz muszę trochę odpocząć - oświadczyła, wjeżdżając do środka i zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Przez chwilę siedziała, wpatrując się w łóżko. Potem sięgnęła ręką za plecy i przekręciła zamek. Wstrzymałam oddech. Gdy drzwi już były zamknięte, podniosła się bez szczególnego wysiłku i stanęła na prostych nogach.

I wtedy zrozumiałam, że moja siostra chodzi!

Wolno, prawie bezszelestnie odsunęłam drzwi szafy, ale wyczuła moją obecność i obejrzała się. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, ale z pewnością moje oczy były jeszcze większe.

- Co tu robisz? - wykrztusiła. - Szpiegujesz mnie?

- A więc możesz stać i chodzić. *Mon Dieu*, Gisselle! Z powrotem usiadła na wózku.

- I co z tego? - odezwała się po chwili. - Na razie jeszcze nie chcę, żeby inni o tym wiedzieli.

- Ale dlaczego? Od jak dawna chodzisz?

- Od jakiegoś czasu - przyznała.

- Ale dlaczego trzymałaś to w tajemnicy?

- Bo dzięki temu mam taryfę ulgową - stwierdziła.

- Gisselle... Jak mogłaś? Te wszystkie dziewczęta, którymi się wysługujesz.... Mogłaś chodzić jeszcze przed śmier-

cią taty? Mogłaś? - drążyłam, gdy milczała. Ale ja nie potrzebowałam już jej odpowiedzi. Wiedziałam, że tak. - To obrzydliwe! Mogłaś go tak uradować.

- Zamierzałam mu powiedzieć, gdy nam pozwoli wrócić do domu i zostawić to okropne miejsce, ale póki musiałam tu tkwić, nie chciałam mówić o tym nikomu.

- Jak to się stało? Kiedy uświadomiłaś sobie, że możesz chodzić?

- Cały czas próbowałam, aż któregoś dnia po prostu wstałam.

Siadłam na łóżku. W głowie miałam mętlik.

- Och, przestań robić z tego taką aferę - rozzłościła się.

Wstała i podeszła do szafy. Nie wierzyłam własnym oczom, że chodzi. Wydawało się to takie niewyobrażalne.

Jakbym śniła. Wysoka, stojąca na własnych nogach Gisselle wyglądała inaczej. Jakby w czasie, gdy była przykuta do wózka, urosła i nabrała sił. Przez chwilę patrzyłam, jak czesze włosy. Wszystkie moje podejrzenia odżyły ze zdwojoną siłą.

- A więc to byłaś ty, tak? - krzyknęłam nagle, wskazując na nią.

- Co masz na myśli? O czym o ty mówisz, Ruby? - spytała, udając niewiniątko.

- To byłaś ty, tamtej nocy z Buckiem Dardarem. To dlatego masz ubłocone buty. Wymykałaś się z pokoju i...

- I co z tego? Był jedyną parą spodni w okolicy, choć muszę przyznać, że okazał się zupełnie niezłym kochankiem.

Wściekłam się, kiedy go wyrzucili, ale kiedy oskarżono ciebie, uznałam, że wszystko idealnie się składa. Wreszcie się stąd wyrwiemy. Ale wtedy musiał się zjawić ten twój pieszczołek i odkręcić całą sprawę. Co za pech.

- Czy Buck sądził, że ty to ja? Czy powiedziałaś mu, że nazywasz się Ruby?

- Owszem, ale nie jestem pewna, czy w to uwierzył. Powiedzmy że, jak długo się zjawiałam, ochoczo zgadzał się ze wszystkim, co mówiłam.

- Jak często? Zawsze, kiedy zamykałaś drzwi na klucz -sama sobie odpowiadałam, spoglądając na okno.

- Zgadza się. Wskakiwałam przez okno i mknęłam nu randkę. To dopiero podniecające, co? Założę się, że żalu jesz, że sama na to nie wpadłaś.

- Bynajmniej. - Wstałam. - A teraz wyjdiesz z tego pokoju i powiesz prawdę. Powiesz ją przede

wszystkim pani Gray.

- Czyżby? Cóż, jeszcze nie dojrzałam, by pokazać światu, że chodzę - stwierdziła, wracając na wózek.

- Guzik mnie to obchodzi. Albo powiesz... - zagroziłam, ale ona nie wyglądała na przestraszoną. Podjechała do mnie i zmierzyła mnie twardym, zimnym wzrokiem.

- Nie powiem, a jeśli piśniesz choć słówko, powiem pani Ironwood o tobie i twojej najmilszej pannie Stevens. To za-

łatwi ją raz na zawsze.

- Co ty pleciesz? Roześmiała się.

- Wszyscy wiedzą o ślicznej pannie Stevens, która boi się chłopców, a lubi przebywać z dziewczętami - wypaliła. - A zwłaszcza z tobą, co?

Jakby mi ktoś zapalił w brzuchu zapalniczkę. Płomień gniewu sięgnął serca, dym uderzył do głowy. Głośno wciągnęłam powietrze.

- To ohydne, oburzające kłamstwo, i jeśli tylko powiesz o tym komuś...

- Nie lękaj się. Zachowam to w tajemnicy, jeśli ty zachowasz w tajemnicy mój mały sekret. Umowa stoi?

Wpatrywałam się w nią z rozchylonymi ustami, język odmówił mi posłuszeństwa.

- Rozumiem, że twoje milczenie oznacza zgodę. A zatem... - Odwróciła się i podjechała do drzwi, otwierając je z zamka. - Teraz muszę trochę odpocząć przed kolacją. Och, i dzięki za sprzątnięcie pokoju. Chyba rzeczywiście przesadziłam z tą niezależnością. Będę musiała cię poprosić, żebyś od czasu do czasu nieco mnie wyręczyła. Tak długo, jak tu pozostaniemy - dorzuciła. - Bo z chwilą gdy opuścimy tę szkołę...

- Szantażujesz mnie - wybuchnęłam wreszcie. - To zwykły szantaż.

- Ja tylko staram się w sposób jak najłżejszy i najwygodniejszy dla siebie przebrnąć przez tę szkołę. Gdybyś by-

ła dobrą siostrą i naprawdę się o mnie troszczyła, choć raz zrobiłabyś to, o co cię proszę.

- Czyli dalej zamierzasz pozostać na wózku i wmawiać wszystkim, że nie możesz chodzić?

- Tak długo, jak mi to będzie odpowiadało.

- Mam nadzieję, że zostaniesz w nim po kres twoich dni - warknęłam, ruszając do drzwi. - Żal mi ciebie, Gisselle nawet me zdajesz sobie sprawy, jak strasznie samej siebie nienawidzisz.

- Pamiętaj, co ci powiedziałam - syknęła, mrużąc oczy i spoglądając na mnie z nienawiścią. - Ja nie żartowałam Otworzyłam drzwi, by odetchnąć świeżym powietrzem a przede wszystkim, by uciec od mojej siostry, której samolubna zacięta twarz, choć tak podobna do mojej, uświadomiła mi wyraźnie, że właściwie jesteśmy sobie zupełnie obce-

Nieoczekiwane podarki

Od przesłuchania do rozpoczęcia ferii robiłam, co w mojej mocy, by unikać Gisselle. Dawała mi wyraźnie odczuć, że trzymanie mi nad głową bicza, z którego w każdej chwili mogła strzelić, sprawia jej prawdziwą rozkosz.

Wystarczyło, że z niesmakiem spojrzałam na nią, kiedy udawała, że mocuje się z wózkiem albo wysługuje którąś ze swoich wiernych „dam dworu”, posyłała mi lodowaty uśmiech i pytała: „Cóż tam słyhać u panny Stevens?”. W

odpowiedzi tylko się krzywiłam i albo odchodziłam, albo wracałam do przerwanej lektury lub innego zajęcia.

Istniejące między nami napięcie sprawiło, że z tym większym zapałem wyglądałam ferii świątecznych. Wiedziałam, że w Nowym Orleanie Gisselle pochłona spotkania ze starymi przyjaciółkami, w związku z czym łatwiej będzie mi ją omijać. Oczywiście, nie mogłam się też doczekać spotkania z Beau, który telefonował prawie co wieczór, ale zdawałam sobie sprawę, że przed wyjazdem muszę jeszcze odwiedzić Louisa. Zadzwoił do mnie i powiedział, że postanowił jak najszybciej wyjechać do Szwajcarii, żeby uniknąć kolejnych, jak to określił, koszmarnych świąt w domu. Przypuszczał, że tegoroczne Boże Narodzenie - z powodu mojej nieobecności oraz utrzymującego się niezadowolonia babki i ciotki z jego interwencji w czasie przesłuchania - byłoby nawet gorsze od poprzednich.

Ostatniego wieczora przed wyjazdem na ferie udałam się do rezydencji Clairborne'ow na kolację. Babka Louisa nie wynurzyła się z żadnego z pokoi i nawet nie obserwowa-

ła mnie zza uchylonych drzwi. Oczywiście nie zjawiała się też na kolacji. Siedzieliśmy z Louisem sami w dużej jadalni, gdzie przy blasku świec zjedliśmy pyszną kaczkę, a potem wspaniały deser czekoladowy.

- Mam dla ciebie dwa prezenty - oznajmił Louis, gdy skończyliśmy jeść.

- Aż dwa!

-Tak. Po raz pierwszy od... sam już nie pamiętam od jak dawna, pojechałem do miasta i kupiłem ci to - powiedział, wyjmując z kieszeni smokingu pudełeczko.

- Och, Louisie, czuję się fatalnie. Ja niczego ci nie przyniosłam.

- Oczywiście, że przyniosłaś. Przyniosłaś mi siebie, swoją troskę, poza tym obdarzyłaś mnie pragnieniem odzyskania wzroku. Takie dary nie mają ceny, choć zapewniam cię - ciągnął, ujmując na chwilę moją dłoń - warte są więcej niż upominek, jaki ja mógłbym ci ofiarować.

Przytrzymał moją rękę, uniósł ją do ust i pocałował każdy palec.

- Dziękuję za wszystko - szepnął. Potem wyprostował się i uśmiechnął. - A teraz otwórz swój pierwszy prezent i nie dław westchnienia zachwytu. Nie widzę wprawdzie najlepiej, lecz słuch mam doskonały.

Roześmiałam się i rozsupłałam wstążeczkę, by rozwinąć ładny papier bez rozdierania. Potem otworzyłam pude-

łeczko i zajrzałam do środka. Znajdował się w nim złoty pierścionek ze wspaniałym rubinem. Głośno wciągnęłam powietrze.

- Czy rzeczywiście jest taki piękny, jak zapewniał sprzedawca? - spytał.

- Och, Louisie, to najpiękniejszy pierścionek, jaki w życiu widziałam! Musiał kosztować majątek!

- Jeśli nie pasuje, każę go poprawić. Włóż go - poprosił, więc wsunęłam klejnot na palec.

- Pasuje idealnie, Louisie! Skąd wiedziałeś...?

- Zapamiętałem każdy kawałeczek ciebie, którego dotykałem - wyjaśnił. - To proste. Przytrzymałem palec sprzedawczyni i stwierdziłem, że pierścionek dla ciebie musi być mniejszy.

Uśmiechnął się z dumą.

- Och, dziękuję, Louisie.

Pochyliłam się i lekko pocałowałam go w policzek. Natychmiast spoważniał. Potem dotknął palcami miejsca, w które go pocałowałam, jakby czuł tam jeszcze dotyk moich warg.

- A teraz - oświadczył - musisz mi szczerze odpowiedzieć, czy moje serce się nie myli.

Wstrzymałam oddech. Jeśli spyta mnie, czy go kocham. ..

- Kochasz innego - zakończył tymczasem Louis. - Prawda?

Odwrociłam się i spuściłam wzrok, ale przytrzymał moją brodę, zmuszając do podniesienia głowy.

- Proszę, spójrz na mnie. Powiedz mi prawdę.

- Tak, Louisie, kocham innego. Ale skąd o tym wiesz?

- Słyszałem to w twoim głosie, poznałem po tym, gdy się odsuwałaś, ilekroć mówiłem ci coś miłego. I teraz też, wyczułem to w twoim pocałunku, pocałunku przyjaciółki nie kochanki.

- Przykro mi, Louisie, nigdy nie starałam się...

- Wiem - odparł, szukając palcami moich warg. - Nie musisz się usprawiedliwiać. Nie obwiniam cię o nic i nie oczekuję od ciebie niczego więcej. I tak do końca dni swoich pozostanę twoim dłużnikiem. Mogę tylko mieć nadzieję, że ten, którego kochasz, zasługuje na twoją miłość i darzy cię uczuciem tak żarliwym jak moje.

- Gorąco w to wierzę - powiedziałam. Uśmiechnął się.

- Nie popadajmy w melancholię. Jak to się mówi między nami, Kreolami: *Je ne regrette rien?* Niczego nie żałuję.

Poza tym zawsze możemy pozostać dobrymi przyjaciółmi, prawda?

- O tak, Louisie, zawsze.

- To dobrze. - Rozpromienił się. - Nie mógłbym zażądać wspanialszego prezentu pod choinkę. A teraz - ciągnął dalej, wstając - pora na drugi prezent. Panno Dumas - wstał i podał mi ramię - pozwoli pani, że ją zaprowadzę, *s'il vous plaît?*

Wzięłam go pod rękę i przeszliśmy do pokoju muzycznego. Louis usadowił mnie na kanapie, a sam usiadł przy fortepianie.

- Twoja symfonia jest już ukończona - oznajmił. Siedziałam, słuchając wypływającej spod jego palców cudownej, niezrównanej muzyki. Dałam się jej porwać. Była niczym latający dywan, który przenosił mnie do naj-wspanialszych miejsc mej wyobraźni i mych wspomnień. Czasem przywodziła mi na myśl szum wody, płynącej w kanałach na rozlewiskach, zwłaszcza po potężnej ulewie, czasem słyszałam w niej poranny śpiew ptaków.

Widziałam zachody słońca i zmierzch, marzyłam o nocnym niebie, na którym gwiazdy świeciły tak jasno, że ich obraz tkwił pod powiekami jeszcze długo po tym, jak zamknęłam oczy. Kiedy symfonia dobiegła końca, poczułam rozczarowanie, że tak szybko. Ta muzyka przewyższała wszystko, co przedtem słyszałam w wykonaniu Louisa.

Podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję.

- To było cudowne! Po prostu brak mi słów z zachwytu!

- Ej! - zawołał, próbując ukryć wzruszenie.

- To niewiarygodnie piękny utwór, Louisie. Naprawdę. Nigdy nie słyszałam nic równie pięknego.

- Tak się cieszę, że ci się spodobał. Mam jeszcze coś wyjątkowego dla ciebie - powiedział, wyjmując kolejną owiniętą w elegancki papier paczkę, tym razem znacznie większą.

Szybko zdjęłam wstążkę, ściągnęłam papier i otworzyłam opakowanie. W środku leżała płyta.

- Co to jest?



- Moja symfonia - odparł. - Nagrałem ją.

- Nagrałeś ją? W jaki sposób...

Spojrzałam na etykietkę. Widniał na niej napis: „Symfonia dla Ruby, skomponowana i wykonana przez Louisa Turnbulla”.

- Louisie, nie wierzę własnym oczom.

- To prawda - zapewnił ze śmiechem. - Któregoś dnia przywieziono do domu odpowiednią aparaturę i nagrałem ją tu, w tym właśnie pokoju.

- To musiało kosztować górę pieniędzy.

Wzruszył ramionami.

- Nieważne, ile to kosztowało.

-To dla mnie wielki zaszczyt. Będę się nią chwalić przed wszystkimi. Jaka szkoda, że tata jej nie usłyszy.

Nie zamierzałam uderzyć w minorowy ton, ale nie potrafiłam nad tym zapanować. Serce wezbrało mi radością, a nie miałam przy sobie nikogo drogiego, z kim mogłabym podzielić się swymi uczuciami: ani babuni, ani taty, ani Paula, ani Beau.

- Tak - przyznał Louis. - To rzeczywiście bolesne, kiedy nie można podzielić się radością z najbliższymi. Ale - dodał

pogodnie - wierzę, że dla nas obojga skończyły się już złe czasy. Żyję nadzieją, a ty?

- Ja też, Louisie.

- To dobrze. Wesółych świąt, Ruby, i oby nowy rok okazał się najzdrowszym, najradośniejszym rokiem twego życia.

- Nawzajem, Louisie. - Znowu pocałowałam go w policzek.

Tego wieczoru, gdy wracałam do bursy, było mi lekko na duszy. Czułam się, jakbym wypijała dwie butelki wina po-rzeczkowego babuni Catherine. Przez całą drogę powrotną towarzyszyła mi czapla z czarnym łebkiem, która co jakiś czas do mnie poskrzekiwała.

- Tobie też Wesółych Świąt! - zawołałam, gdy poderwała się, by przysiąść na gałęzi dębu.

Roześmiałam się i pobiegłam do domu. Gisselle, która nie zamknęła drzwi swego pokoju, zobaczyła, że wchodzę do mieszkania i wyjechała na korytarz, zastawiając mi

drogę.

- Kolejna milutka kolacyjka w rezydencji? - zadrwiła.

- Owszem, było ogromnie miło. .

- Hmm - mruknęła. Nagle zauważyła pudełko. Oczy jej zabłyśły z ciekawości. - Co tam ściskasz po pachą?

- Prezent od Louisa. Płyte - odparłam. - Symfonię, którą sam skomponował i nagrał.

- Phi. Też mi coś - prychnęła pogardliwie, ruszając z powrotem do siebie. . .

- A żebyś wiedziała, że coś. Skomponował ją specjalnie dla mnie i zatytułował „Symfonia dla Ruby”.

Przypatrywała mi się przez chwilę. Na jej twarzy pojawiła się zawiść.

- Chcesz posłuchać? - spytałam. - Puścimy ją na twoim gramofonie.

- Oczywiście że nie - odmówiła pospiesznie. - Nienawidzę takiej muzyki. Działa na mnie nasennie.

Już miała odjechać, kiedy dostrzegła pierścionek. Tym razem oczyomal nie wyszły jej z orbit.

- To też ci ofiarował? - Tak.

- Nie sądzę, by Beau był tym zachwycony - stwierdziła mrużąc oczy. - No, no do tego już doszło, że inny facet daje Ci kosztowne upominki.

- Louis i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Louis wie że kocham innego i godzi się z tym.

- Jasne. I dlatego wydaje na ciebie fortunę i spędza z tobą tyle czasu, bo tak wspaniale wam się gawędzi - odparła z krzywym uśmiechem. - Za kogo ty mnie masz? Za jakąś tępą Cajunkę, która wierzy w Świętego Mikołaja?

- Powiedziała ci prawdę i nie waz się nawet pomyśleć czegoś innego - ostrzegłam.

-Bo...?

- Bo... skrucę ci kark - zagroziłam.

Podeszłam do niej, a ona spojrzała na mnie osłupiała po czym cofnęła się.

- Ładna mi siostrzyczka - jęknęła na tyle głośno, by usłyszały to pozostałe mieszkanki naszego kwartału. - Grozi swojej przykutej do wózka siostrze, że ją skatuje Wesołych świąt! - wrzasnęła, odwracając się i jadąc do siebie.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, co tylko dodatkowo ją rozwścieczyło. Z hukiem zatrzasnęła drzwi a ja wróciłam do siebie spakować rzeczy, które zabierałam na święta do domu.

\* \* \*

Następnego dnia skrócono nam zajęcia, a potem zapędzono do auli, gdzie miałyśmy wysłuchać przemowy pani Ironwood. Spodziewałyśmy się krótkich, pogodnych życzeń udanych świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego

Roku, tymczasem na nasze głowy spadły tylko pogrożki i ostrzeżenia, co nas czeka, jeśli nie zaliczymy sprawdzianów oraz przypomnienie, że wkrótce po powrocie rozpoczną się egzaminy kończące semestr.

Mimo to jednak dyrektorze nie udało się zdławić atmosfery podniecenia, jaka unosiła się w powietrzu. Zjeżdżali się rodzice po swoje córki, wszędzie stały auta, gdzie nie spojrzałam, widziałam ściskające się dziewczęta, życzące sobie udanych ferii. Zebrali się również nauczyciele, którzy witali rodziców i życzyli uczennicom dobrej zabawy.

Nasz samochód przyjechał jako jeden z ostatnich, co wywołało u Gisselle kolejny atak furii. Pani Penny czuła się w obowiązku towarzyszyć jej i uspokajać, dzięki czemu Gisselle miała przed kim wylewać swoje żale. Tuż przed przybyciem limuzyny zjawiała się panna Stevens, by się ze mną pożegnać i życzyć mi szczęśliwego Nowego Roku.

- Ferie spędzę z jedną z sióstr z mojego sierocińca - powiedziała. - To już prawie tradycja. Spędziłyśmy razem ładnych parę świąt. Jest dla mnie prawie matką.

Gisselle obserwowała z ganku, jak ściskamy się i całujemy.

- Chyba nigdy nie zdołam się pani odwdzińczyć za to, co zrobiła pani dla mnie na rozprawie. To wymagało prawdziwej odwagi.

- Rzeczywiście, czasem postępowanie zgodne z własnym sumieniem wymaga dużej odwagi, ale warto się na to zdobyć, choćby dla tego wspaniałego uczucia, jakie rodzi się wtedy w duszy. Możliwe, że tylko artyści potrafią to pojąć

-dodała, puszczając do mnie oko. - Wykorzystaj pożytecznie swój wolny czas, Ruby. Przywieź mi po feriach jakiś pejzażyk z Garden District - dodała, wsiadając do jeepa.

- Obiecuję.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Ruby. Odprowadziłam wzrokiem jej samochód, czując nagłą falę smutku. Żałowałam, że nie mogę zaprosić panny Stevens do siebie. Bolało mnie, że nie mam prawdziwego do-mu, gdzie z radością by ją powitali moi rodzice i wszyscy moglibyśmy się cieszyć muzyką, jedzeniem, rozkoszować ciepłem i serdecznością prawdziwych świąt.

W ułamek sekundy po tym, jak za zakrętem zniknął jeep panny Stevens, wynurzył się nasz samochód. Gisselle krzyknęła z radości, ale ledwo szofer wysiadł, by włączyć nasze rzeczy do bagażnika, bezlitośnie napadła na niego, że tak się spóźnił.

- Wyruszyłem wtedy, kiedy pani Dumas poleciała - bronił się. - Wcale się nie spóźniłem.

W miarę jak oddalaliśmy się od Greenwood, kierując w stronę Nowego Orleanu, wyrzekania Gisselle cichły niczym pomruki burzy odchodzącej znad rozlewisk. A gdy wjechaliśmy w znajome okolice, rozjaśniła się z podniecenia i oczekiwania. Wiedziałam, że już wcześniej zadzwoniła do starych przyjaciółek i zaczęły planować imprezy, które urządzą w czasie ferii. Ja interesowałam się wyłącznie tym, jak powita nas Daphne.

Ku memu zdumieniu nie zastałyśmy pustego, ciemnego domu. Daphne kazała porozwieszać ozdoby, a w największym salonie stała choinka, wyższa niż w ubiegłym roku, pod którą leżało mnóstwo upominków. Dosłownie w chwilę po naszym przyjeździe, kiedy jeszcze rozglądałyśmy się po przystrojonym mieszkaniu, drzwi wejściowe otworzyły się i do domu wpadła, śmiejąc się głośno Daphne, ubrana w futro ze srebrnych lisów, bryczesy i szykowne botki. Na głowie miała czapkę, również ze srebrnych lisów. W uszach połyskiwały jej brylantowe kolczyki, które dodawały blasku i tak radosnej, ożywionej twarzy. Policzki miała zaróżowione. Wyglądała, jakby piła. Nie ulegało wątpliwości, że definitywnie opłakała już tatę i zakończyła okres żałoby. Towarzyszył jej Bruce, który śmiał się niemal równie głośno jak ona. Oboje zatrzymali się w progu, patrząc na mnie i Gisselle.

- A więc wróciły już nasze kochane maleństwa - powitała nas Daphne. - Przyjechały do domu na święta.

Zsunęła jedwabne rękawiczki, Bruce zdjął z niej futro, które podał czekającej pokornie Marthcie.

- I jakże się czują nasze najdroższe bliźniaczki Dumas?

- Dobrze - odparłam chłodno.

Działała mi na nerwy jej radość i pogodna mina. W końcu to pierwsze święta bez taty. Jego odejście nadal bolało niczym nie zagojona rana, a tymczasem Daphne zachowywała się, jakby nic się nie zmieniło; a jeśli już, to na lepsze.

- To doskonale. Postanowiłam wydać kilka kolacji, więc w czasie waszego pobytu przez dom przewijając się będą go-

ście. Ja zaś zostałam zaproszona na sylwestra do przyjaciół, którzy urządzają przyjęcie w swoim domu nad plażą.

Liczę na wasze wzorowe zachowanie podczas mojej nieobecności.

- Możecie zapraszać gości i urządzać małe przyjęcia -oznajmiła.

Jej ustępliwość i łaskawość obie nas zaskoczyła.

- Jesteśmy na siebie skazane jeszcze przez wiele lat, więc najlepiej będzie, jeśli ustalimy jak najkorzystniejsze warunki współżycia - dodała, spoglądając na Bruce'a, który promieniał, jak ktoś, kto lada chwila zaleje zebranych powodzą radosnych wieści. - To najmiłsze dni roku. Zawsze za nimi przepadałam i nie chcę, by choć jedna chmurka mi je przyćmiła. Zachowujcie się przyzwoicie, a dogadamy się po prostu idealnie.

- Te prezenty pod choinką są dla was i dla służby - zakończyła.

Ani Gisselle, ani ja nie wiedziałyśmy, jak to przyjąć. Spoglądałyśmy po sobie zdumione, po czym spojrzaliśmy na macochę.

- Idźcie się odświeżyć i ładnie się ubierzcie. Zaprosiłam na kolację Cardinów. Pamiętajcie zapewne, że Charles Cardin jest jednym z naszych największych inwestorów. Bruce - zwróciła się do towarzysza.

Wyprężył się i podążył za nią do gabinetu.

- Czy mnie słuch nie myli? - upewniała się Gisselle. - Nie wierzę własnym uszom. Coś takiego! I te wszystkie prezenty są dla nas!

Pokręciłam głową.

- O co ci chodzi, Ruby?

- To wszystko wydaje mi się jakieś niewłaściwe - odparłam. - Przecież tata zmarł tak niedawno.

- I co z tego? Przecież nie pochowali nas razem z nim. Żyjemy, a Daphne ma rację: to najmiłszy okres w roku. Za-bawmy się. Martho! - zawołała. Spojrzała na mnie i mrugnęła.

- Tak, panienko?

- Pomóż mi wjechać po schodach - rozkazała Gisselle. Jak długo jeszcze będzie odgrywać to przedstawienie? -

zastanawiałam się, ale nie zamierzałam jej demaskować i doprowadzić do tego, by zaczęła rozsiewać ohydne plotki na temat panny Stevens. Niech sobie jęczy i stęka jak kaleka, którą już nie jest.

Tego wieczoru Gisselle, w obawie by Daphne nie wróciła do dawnych zakazów i gróźb, zachowywała się niczym wzorowa młoda dama. Nigdy jeszcze nie widziałam u niej tak czarujących, miłych manier. O Greenwood opowiadała, jakby to była jej ukochana szkoła, zachwycała się też moimi obrazami, jakby szczyciła się posiadaniem tak utalentowanej siostry. Zadowolona Daphne nagrodziła nas, pozwalając zadzwonić do znajomych i zapraszać ich do siebie. Tymczasem ona, Bruce i Cardinowie udali się do salonu na pogawędkę. Zanim jednak zdążyłyśmy z Gisselle opuścić jadalnię, Daphne przywołała mnie do siebie.

- Chciałabym zamienić z Ruby dwa słowa - wyjaśniła gościom i Bruce'owi. - Za moment wracam.

Dała znak Bruce'owi, który wyprowadził Cardinów. Gisselle wyjechała na korytarz, zła, że nie dopuszczono jej do rozmowy.

- Jestem z was obu bardzo zadowolona - zaczęła Daphne. - Widzę, że okazałyście się rozsądne i

akceptujecie nowy stan rzeczy.

Najwidoczniej pani Iron wood nie powiadomiła jej o przesłuchaniu oraz towarzyszących mu okolicznościach. Albo Daphne postanowiła nie wracać do sprawy, skoro wynik okazał się dla mnie pomyślny - pomyślałam.

- Jeśli masz na myśli, że zaakceptowałyśmy odejście taty, to musiałyśmy się z tym pogodzić.

- Oczywiście, że tak - odparła z uśmiechem. - Jesteś mądrzejsza od Gisselle. Wiem o tym, Ruby i wiem, że dzięki swej inteligencji możesz podejmować rozsądniejsze decyzje. Dlatego zawsze zgadzałam się z Pierre'em, że to ty powinnaś opiekować się Gisselle. Nadchodzą święta i dlatego daję wam więcej swobody niż zwykle, ale liczę, że dopilnujesz, by wasze zachowanie było bez zarzutu.

- Wydawało mi się, że jestem nieokiełznaną Cajunką -odparowałam.

Jej uśmiech zniknął, na moment zmrużyła gniewnie oczy, ale po chwili znowu się uśmiechnęła.

- W gniewie wszystkim nam się zdarza mówić rzeczy, w które wcale nie wierzymy. Jestem pewna, że to rozumiesz.

Niech to będzie naprawdę nowy rok, prawdziwy początek dla nas wszystkich. Wymażmy przeszłość, zapomnijmy o wszystkim, co złe. Zobaczmy, może uda nam się ze sobą porozumieć, i kto wie, może znowu staniemy się rodziną.

Zgoda?

Zastanawiała mnie ta zmiana zachowania. Nie potrafiłam stłumić niepokoju. Czułam, że coś knuje, że przygotowuje nas na coś.

- Zgoda - odparłam ostrożnie.

- Cieszę się, bo każde inne rozwiązanie znacznie utrudniłoby życie każdej z nas - zakończyła zamaskowaną, acz bardzo wyraźną groźbą.

Odprowadziłam ją wzrokiem, po czym wyszłam z jadalni. Gisselle czekała w korytarzu.

- Czego chciała?

- Chciała mi zakomunikować, iż ma nadzieję, że wszystkie zaczniemy od nowa, zapomnimy o dawnych błędach i znowu stworzymy kochającą się rodzinę.

- To dlaczego masz taką ponurą minę?

- Nie ufam jej - odparłam, popatrując podejrzliwie w stronę bawialni.

- To dokładnie w twoim stylu. Zawsze oczekujesz najgorszego. Zawsze widzisz wszystko od ciemnej

strony, wiecznie uważasz, że wszystko ułoży się okropnie, bylebyś tylko mogła być nieszczęśliwa. Kochasz cierpieć.

Uważasz to za szlachetne - zaatakowała.

- Bzdury pleciesz. Nikt nie lubi cierpieć i być nieszczęśliwy.

- Ty tak. Słyszałam, jak ktoś mówił, że z twoich obrazów zieleje smutek. Nawet ptaki na nich wyglądają, jakby lada chwila miały wybuchnąć płaczem. Cóż, co do mnie, nie pozwolę, byś zaciągnęła chmurami moje błękitne niebo.

Potem odjechała dzwonić do przyjaciółek i ustalać plany na ferie.

Czy Gisselle ma rację? - zastanawiałam się. - Czy rzeczywiście mam skłonności do smutku i melancholii? Jak człowiek może lubić cierpienie? Ja wcale go nie lubiłam, lecz tak do niego przywykłam, tyle razy schłostała mnie lodowata ulewa, że ilekroć na niebie błysnęło słońce, rozglądałam się z obawą, że zaraz znowu uderzy grom. Może jednak powinnam nieco się upodobnić do Gisselle, zdobyć na bez troskę.

Udałam się do siebie, by tam czekać na telefon od Beau. Gdy wreszcie zadzwonił, poczułam się taka szczęśliwa, słysząc jego głos, wiedząc, że jest tak blisko.

- Rodzice pogodzili się z tym, że będziemy się widywać -oznajmił. - Wygląda na to, że rozmawiali z Daphne, a ona wreszcie zaczęła podchodzić do sprawy rozsądniej. Co jej się stało?

- Nie wiem. Daphne zachowuje się inaczej, ale...

- Nie ufasz jej?

- Tak. Gisselle twierdzi, że to nieuzasadniony sceptycyzm, lecz ja nie mogę nad nim zapanować.

- Guzik mnie obchodzą motywy Daphne, jeśli mogę cię widywać - przerwał. - Zapomnijmy o niej.

- Masz rację, Beau. Mam już dość roli wiecznej cierpiętnicy. Cieszymy się i bawmy.

- Przyjadę po śniadaniu. Jeśli chcesz, będę z tobą spędzał całe dnie, tyle czasu, ile to tylko możliwe.

- O niczym bardziej nie marzę - odparłam.

Dni przedświąteczne wypełniały zabawy i rozrywki. Od razu opowiedziałam Beau o Louisie i włączyłam płytę z nagraniem symfonii. Nie chciałam, żeby Gisselle podsunęła mojemu chłopcu jakieś złe myśli. Oczywiście, nie ukrywał

zazdrości, ale zapewniłam go, że Louisa traktuję wyłącznie jak przyjaciela, a i on darzy mnie jedynie przyjaźnią.

Opowiedziałam mu też o przesłuchaniu w gabinecie pani Ironwood oraz o tym, jak Louis stanął w

mojej obronie, choć to dla niego oznaczało pogorszenie stosunków z babką i ciotką.

- Rozumiem, że może się w tobie podkochać - stwierdził Beau.

- Spytał, czy kogoś kocham i powiedziałam, że tak. Beau rozpromienił się.

-1 rozumie to - dodałam.

Spokojna, że teraz już Gisselle nie zdoła zasiać w myślach Beau żadnych przykrych podejrzeń, odetchnęłam i radowałam się spędzonym wspólnie czasem. Chodziliśmy we dwoje na spacer, zabierał mnie na przejażdżki, godzinami siedzieliśmy na sofie, przytuleni, rozmawiając. Tak długo dzielił nas czas, odległość i wydarzenia, że wła-

ściwie na nowo poznawaliśmy się, lecz jeśli można po raz drugi zakochać się w tej samej osobie, ja to właśnie uczyniłam.

Początkowo obawiałam się, że Gisselle będzie zazdrosna, ponieważ nie miała żadnego chłopca. Ale jakoś udało jej się z powrotem przyciągnąć swoich starych wielbicieli, tak że nieustannie kręcili się po domu. Ilekroć Daphne wychodziła, moja siostra urządziła u siebie w pokoju przyjęcia. Wiedziałam, że palili trawkę i pili, ale póki drzwi były zamknięte i nie dręczyli służby, nic mnie to nie obchodziło.

Daphne co wieczór wychodziła z Bruce'em na przyjęcia i kolacje. W wigilię spożyliśmy we trzy wczesną wieczerzę, gdyż nasza mococho wybierała się na duże przyjęcie we Francuskiej Dzielnicy.

- Pomyślałam sobie, że dla uczczenia świąt zjemy razem cichą kolację - oświadczyła przy stole.

Wyglądała olśniewająco pięknie w czarnej, aksamitnej sukni, z diamentową broszką i takimiż kolczykami. Jej włosy nigdy nie wydawały się tak piękne i puszyste. Osobiście ustaliła menu wieczerzy wigilijnej, każąc Ninie przygotować pstrąga z migdałami. Na deser podano same pyszności: tartę brzoskwińową, ciasto bananowoorzechowe, mus cytrynowy i suflet rumowy z czekoladą. Gisselle skosztowała wszystkiego, ale Daphne zaledwie skubnęła ciasta ponczowego. Wielokrotnie pouczała mnie i Gisselle, że dama powinna wstawać od stołu nieco głodna. Dzięki temu zachowuje się smukłą figurę.

- No więc jak postanowiłyście spędzić sylwestra? - zwróciła się do nas.

Gisselle zerknęła na mnie i wypaliła:

- Chciałybyśmy wydać przyjęcie dla garstki przyjaciół. Wstrzymała oddech, spodziewając się odmowy.

- Zgoda. Nawet lepiej będę się czuła, wiedząc, że jesteście bezpieczne w domu, a nie kręcicie się po mieście.

Gisselle rozpromieniła się.



Dlaczego tak nas rozpieszcza? - zastanawiałam się bez końca, ale podobnie jak Gisselle nie zamierzałam dociekać głębiej przyczyn jej wielkoduszności.

Po wigilii zjawił się Bruce, który miał towarzyszyć Daphne na przyjęciu. Przyniósł podarki dla nas obu i położył je pod choinką.

- Jutro co najmniej pół ranka spędzicie na samym rozpakowywaniu - oświadczył, patrząc na stos prezentów. Musiałam przyznać, że rzeczywiście był imponujący.

- Miłego wieczoru, mamó - życzyła jej Gisselle, gdy wychodzili.

- Dziękuję, kochanie. Wam też życzę udanego wieczoru. I pamiętajcie, goście mają wyjść przed północą.

- Pamiętamy - zapewniła Gisselle, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Tak naprawdę na ten wieczór zaprosiliśmy tylko dwóch gości: Beau i najnowszego chłopca Gisselle, Johna Dar-by'ego, przystojnego bruneta, którego rodzina w tym roku przeniosła się do Nowego Orleanu. Grał w tej samej drużynie futbolowej, co Beau.

Tuż przed ich nadejściem, Edgar zakomunikował, że ktoś do mnie dzwoni. Poszłam do gabinetu odebrać. Dzwonił

Paul.

- Liczyłem, że będziesz w domu, więc dzwonię, by ci życzyć wesołych świąt.

- Nawzajem, Paul.

- Co słychać w domu?

- Ogłoszono coś na kształt zawieszenia broni, ale ciągle oglądam się przez ramię, czy macocha nie wyskoczy z jakiejś szafy z batem w rękę.

Roześmiał się.

- A u nas jest dziś parę osób.

- Założę się, że pięknie ozdobiliście dom i macie śliczną choinkę.

-Owszem, jak zwykle, ale... Żałuję, że cię tu nie ma. Pamiętasz nasze pierwsze wspólne święta?

- Oczywiście - odparłam ze smutkiem. - Zaprosiłeś do siebie jakichś przyjaciół, kogoś szczególnego?

- Tak - zapewnił, ale wiedziałam, że kłamie. - No dobrze - dodał szybko - chciałem tylko złożyć ci szybkie, świąteczne życzenia. Muszę kończyć. Pozdrów Gisselle i życz jej ode mnie wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

- Dziękuję, przekażę jej twoje życzenia.

- Niedługo zadzwonię - obiecał i odłożył słuchawkę. Ciekawe, czy przewody telefonicznie wytrzymają ten śmiech i łzy, szczęście i ból, które przepłyną nimi dzisiejszej nocy - przemknęło mi przez głowę.

- Kto dzwonił? - dopytywała się Gisselle, stając w progu.

- Paul. Prosił, by ci życzyć wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

- To miło z jego strony, ale dlaczego masz taką ponurą minę? Natychmiast zetrzyj ją z twarzy - rozkazała. W ręku trzymała butelkę rumu i teraz podniosła ją w górę z uśmiechem. - Dziś wieczorem my mamy bal.

Wpatrywałam się w tę dziewczynę, moją siostrę bliźniaczkę: samolubną, rozpuszczoną, kapryśną pannicę, siedzącą w wózku, którego wcale nie potrzebowała, wymuszającą na wszystkich współczucie, oszukującą ich, żeby spełniali wszystkie jej zachcianki. Dzisiaj, w wigilię Bożego Narodzenia, dostrzegłam w niej ucieleśnienie wszystkich moich złych skłonności i pomyślałam, że patrzę na mroczne odbicie samej siebie; czułam się niemal jak doktor Jekyll wpatrujący się w lustro i oglądający w nim pana Hyde'a. I podobnie jak doktor Jekyll nie mogłam nienawidzić tej części siebie tak gorąco jak chciałam, bowiem nadal stanowiła ona integralną część mnie samej. Znalazłam się w pułapce nekających mnie sprzeczności. A może po prostu zmęczyło mnie bycie tym, za kogo mnie miała Gisselle: świętą w aureoli.

- Masz rację, Gisselle, musimy się dobrze bawić. Roześmiała się radośnie i poszłyśmy do salonu czekać na Beau i Johna.

\* \* \*

W niecałe pół godziny po tym, jak zjawili się chłopcy, Gisselle poprosiła Johna, by zaniósł ją na górę do pokoju, a my z Beau zostaliśmy sami. W domu zapanowała cisza. Nina schroniła się u siebie, Edgar z Martha też udali się do swoich pokoi. Jedyne tykanie dużego zegara, stojącego w hallu, przerywało ciszę.

- Miesiącami zastanawiałem się, co ci ofiarować na święta - odezwał się Beau po długim, namiętym pocałunku.

-Cóż można ofiarować dziewczynie, która ma wszystko?

- Trudno mnie nazwać dziewczyną, która ma wszystko, Beau. To prawda, mieszkam w luksusowym domu, mam tyle ubrań, że nie wiem, co z nimi robić, ale...

- O czym ty mówisz? Przecież masz mnie, prawda? - spytał ze śmiechem. - Obiecałaś, że nie będziesz poważna, że będziemy się śmiać i bawić, a teraz proszę: bierzesz każde moje słowo na serio.

- Masz rację. Przepraszam. Więc cóż kupiłeś dziewczynie, która ma wszystko?

- Nic - odparł. -Co?

- No, niech ci będzie, kupiłem ten gruby, złoty łańcuszek, by go owiązać wokół twojej szyi - przyznał się, wyjmując z kieszeni łańcuszek, na którym zawiesił sygnet, jaki zwykle noszą chłopcy z jednego rocznika.

Wstrzymałam oddech. Jeśli młody Kreol z Nowego Orleanu ofiarowuje dziewczynie obrączkę swojej klasy albo szpilkę swego klubu właściwie tylko krok dzieli ich od pierścionka zaręczynowego. Oznaczało to, że wszystkie słowa i szeptane przysięgi, które składaliśmy sobie przez telefon, zostaną spełnione. Staję się jego dziewczyną, jedyną dziewczyną, a on moim wybrankiem i to nie tylko wobec siebie, ale również wobec naszych rodzin i znajomych.

- Och, Beau!

- Będziesz to nosić? - spytał.

Zajrzałam w jego łagodne, błękitne oczy, oczy pełne obietnic i miłości.

- Tak, Beau, będę - zapewniłam.

Powiesił mi łańcuszek na szyi, a potem palcami powiódł po nim aż do zagłębienia między moimi piersiami, gdzie schronił się sygnet. Wydawało mi się, że czuję przez bluzkę jego ciepło, ciepło, które z prędkością błyskawicy mknęło wprost do mego serca, wywołując przyspieszone bicie. Beau dotknął wargami moich ust. Jęknęłam, czułam jak moje ciało mięknie i rozplywa się pod tą pieszczotą. Salon rozświetlał jedynie słaby blask lampy i migotliwych płomieni z kominka. Beau przechylił się i zgasił lampę. Potem obrócił mnie, a ja wolno, pod naciskiem jego ciała osunęłam się na kanapę. Czułam na szyi jego usta, równocześnie rozpinał mi bluzkę, by dotrzeć do moich piersi, całować je i pieścić.

Ogarnięta namiętnością, znużona niepokojem i męką, które nie opuszczały mnie przez ostatnich kilka miesięcy, odpowiedziałam na pocałunki Beau z jeszcze większym żarem. Każdy jego dotyk, choćby najbardziej intymny, wita-

łam z zachwytem, a gdy wreszcie zsunął miseczki stanika i zaczął pieścić moje brodawki najpierw językiem, potem ustami, coraz głębiej zanurzałam się w ciepłym nurcie rozkoszy, która płynęła od ramion, poprzez talię i nogi, aż po same palce u nóg, łaskocząc je delikatnie.

Z zamkniętymi oczami słuchałam szelestu ubrania, które zdejmował. Poczułam, jak wsuwa mi rękę pod spódnicę i zsuwa majtki. Uniosłam biodra, by mu w tym pomóc. Świadomość własnej nagości doprowadziła moje podniecenie do szczytu. Smakowałam język Beau, jego usta, całowałam jego zamknięte oczy. Każde z nas szeptało drugiemu do ucha: Tak. Na moment uchyliłam powieki; zobaczyłam cienie i światło kominka tańczące na ścianach i naszych ciałach. Przez chwilę, może na skutek płonącej w nas namiętności, poczułam się, jakbyśmy znaleźli się w środku pożaru, w którym spalał nas nasz własny ogień. A mimo to chciałam tego, chciałam z całego serca.

Zaprosiłam Beau, a on wsunął się w me ciało, wykrzykując moje imię, jakby się bał, że może mnie

utracić.

Przywarłam do niego, z całej siły zaplotłam mu ręce na plecach i połączyłam się z nim w falowaniu, które sprawiało, że poczuliśmy się jednym ciałem. Fala za falą zalewała

nas namiętność. Nie odróżniałam już poszczególnych pocałunków. Wszystkie one stały się jednym długim pocałunkiem, jednym objęciem, cudownymi następującymi po sobie ruchami.

- Kocham cię, Ruby. Kocham cię - wołał Beau, szczytując.

Ja stłumiłam swój krzyk, wtulając usta w jego ramiona i przywarłam do niego ze wszystkich sił, próbując w ten sposób przedłużyć chwilę ekstazy. Potem znieruchomieliśmy i po prostu leżeliśmy, obejmując się i ciężko dysząc, czekając aż nasze dudniące serca zwolnią rytm.

Wszystko to zdarzyło się tak szybko. Nie było czasu na zastanowienie, zresztą pewnie i tak bym się nie wahała.

Przyjęłam go z radością, tak jak ulgę i namiętność. Miłość i czułość, to cudowne uczucie. Na parę chwil wyrwałam się ciemności i smutkom, które od tak dawna mnie prześladowały.

Jak długo będę miała Beau - pomyślałam - tak długo będzie wokół mnie słońce.

- Nic ci się nie stało? - spytał. Pokręciłam głową. - Nie chciałem być taki...

- Wszystko w porządku, Beau. Nie budźmy w sobie poczucia winy, nie czujmy się zbrukani. Kocham cię, a ty mnie. Poza tym nic się nie liczy i wszystko, co czynimy, jest piękne i czyste.

- Och, Ruby, tak bardzo cię kocham. Nie wyobrażam sobie, bym mógł pokochać kogoś aż tak mocno jak cię.

- Mam nadzieję, że to prawda, Beau.

- Bo to jest prawda - zapewnił.

Słyszając śmiech Gisselle dochodzący z klatki schodowej, w popłochu zaczęliśmy zacierać ślady. Szybko wrzuciliśmy na siebie brakujące części garderoby, Beau zapalił lampę. Kiedy poprawiałam włosy, wstał z kanapy i podszedł do kominka podłożyć do ognia. W tej samej chwili pojawił się John niosący na rękach Gisselle.

- Postanowiliśmy sprawdzić, co wy tu knujecie we dwoje - oświadczyła Gisselle. - A John jest taki mocny, że łatwiej i szybciej mu wnieść i znieść mnie na dół niż usadzać w tym idiotycznym elektrycznym wózku.

Przywarła do niego niczym kociak wtulony w matkę, ni miona zaplotła mu na szyi, przytuliła policzek do jego torsu.

Kłęczący przy kominku Beau spojrzał najpierw na mnie, potem na nią.

- Znam ten twój wyraz twarzy, Beau Andreasiu. - Uśmiechnęła się do mnie. - Nie próbuj niczego ukrywać przed swoją bliźniaczką, Ruby. - Podniosła wzrok na Johna, który trzymał ją, jakby była piórkiem. - Bliźnięta doskonale wyczuwają swoje nastroje, wiedziałeś o tym, John?

- Naprawdę?

- Tak. Jeśli jestem nieszczęśliwa, Ruby natychmiast to wyczuwa, a kiedy ona jest podniecona...

- Przestań, Gisselle - przerwałam, czując jak się czerwienię.

- Zaraz, zaraz - powiedziała. - John, zanieś mnie na kanapę.

Zrobił, jak kazała, a ona uważniej mi się przyjrzała.

- Co tam masz na szyi? To twoja obrączka, Beau?

- Tak - odparł, prostując się.

- Dałeś jej swoją klasową obrączkę! A co twoi rodzice na to?

- Guzik mnie to obchodzi - odparł, stając u mego boku. Wziął mnie za rękę. Zauważyłam, jak wyraz zaskoczenia na twarzy Gisselle szybko zmienia się w jadovitą zazdrość.

- Cóż, jest w Greenwood ktoś, komu pęknie serce - syknęła.

- Powiedziałam Beau o Louisie, Gisselle.

- Naprawdę?

Jej rozczarowanie było niemal namacalne.

- Owszem, naprawdę - potwierdził Beau. - Muszę pamiętać, by mu podziękować, że pomógł jej w czasie przesłuchania - dodał.

Gisselle prychnęła pogardliwie, ale natychmiast się rozpromieniła. Wyraz jej twarzy zmieniał się jak kanały tele-wizyjne.

- W takim razie świętujmy twój podarunek dla Ruby. Wybierzmy się gdzieś. Co byście powiedzieli na Zielone Drzwi? Tam nie pytają o dowody osobiste. Przynajmniej kiedyś nie pytali.

- Przyrzekłyśmy Daphne, że spędzimy wieczór w domu, poza tym jest już dość późno, Gisselle. Ona niedługo wróci.

- Nie, nie wróci, a zresztą, jakie znaczenie mają nasze przyrzeczenia? Daphne zaczęła się wreszcie zachowywać jak człowiek.

- I dlatego nie chcę jej podpaść - odparłam. - Co byście powiedzieli na prażoną kukurydzę?

Przypieczemy ją nad ogniem, a potem może byśmy pograli w karty.

- To mi dopiero szampańska zabawa. Chodź, John. Wracamy do mnie, a ci staruszkowie niech dalej sobie dziergają na drutach.

Przeciągnęła ręką po barach Johna.

- Czy on nie jest silny? W jego ramionach czuję się jak dziecko.

Pocałowała go w szyję, a on zarumienił się i uśmiechnął do Beau.

- Jestem taka bezradna. Ale John jest delikatny, prawda, że jesteś, John?

- Co? Jasne.

- W takim razie chodźmy na górę. Pora mi zmienić pieluszkę - oświadczyła z dwuznacznym uśmiechem.

Myślałam, że John ją upuści, ale tylko odwrócił się i czerwony jak burak szybko wyszedł z salonu z wiercącą się i chichoczącą Gisselle w ramionach.

- Nie pojmuję - odezwał się Beau - co ja w niej widziałem.

- Tak chciało przeznaczenie, los. Gdybyś jej nie adorował, nigdy byśmy się nie spotkali.

- Kocham cię, Ruby. Kocham cię i za to, że umiesz doszukać się czegoś wartościowego nawet w kimś takim, jak Gisselle.

- To rzeczywiście sztuka - przyznałam i oboje parsknęliśmy śmiechem.

Potem Beau poprosił, żebym nastawiła płytę z symfonią Louisa. Objęci siedzieliśmy wsłuchani w muzykę.

- To cudowne, że zainspirowałaś kogoś do napisania tak wspaniałego utworu - stwierdził.

O północy poszliśmy na górę wywołać Johna. Gisselle oczywiście narzekała i robiła, co w jej mocy, by go zatrzymać

- dla samej przyjemności złamania zakazu Daphne.

Lecz Beau postanowił, że za nic nie podpadnie znowu Daphne. Ostro nakazał Johnowi wyjść i ten w końcu go usłuchał.

W drzwiach pocałowałam Beau na do widzenia i wróciłam do siebie. Gisselle czekała w progu swego pokoju. Widok jej stojącej, choć wiedziałam, że może to już robić, ilekroć zechce, nadal mnie szokował.

- No i cóż, prawdziwa szczęściara? Dorwałaś Beau na wieki wieków.

- Czy ty też pragniesz mieć kogoś jednego na wieki wieków? - spytałam.

- Oczywiście że nie. Jestem za młoda. Chcę jeszcze poznawać, bawić się, mieć tuzin chłopaków, nim w końcu wyjdę za kogoś, kto po prostu tarza się w pieniądzech -oświadczyła.

- W takim razie dlaczego mi zazdrościsz?

- Wcale ci nie zazdroszczę. - Roześmiała się. - Wcale.

- Owszem, zazdrościsz, Gisselle. Nie chcesz się do tego przyznać, nawet przed sobą, ale pragniesz, by ktoś cię pokochał, tyle że... kto chciałby pokochać taką egoistkę.

- Och, nie zaczynaj kolejnego kazania - jęknęła. - Jestem zmęczona. Wiesz, John to świetny kochanek - rzuciła ze śmiechem. - Trochę tępawy, ale w łóżku dobry. Moja udawana bezbronność go podnieca. Chłopców w ogóle to podnieca, wiesz? Lubią czuć, że mają władzę, nawet jeśli tak naprawdę wcale jej nie mają. Mogłabym na nim grać jak na... flecie - zakończyła ze śmiechem.

- To znaczy, że dalej zamierzasz udawać kalekę?

- Dopóki nie przestanie mnie to bawić. Ale jeśli chodzi ci po głowie chęć zdemaskowania mnie...

- Naprawdę, mało mnie obchodzi, co robisz, Gisselle, dopóki nie ranisz kogoś mi bliskiego. Ale jeśli to zrobisz...

- Wiem. Skręcisz mi kark. Tymczasem jedynym skreconym karkiem w okolicy będzie kark Beau, gdy jego rodzice dowiedzą się, co ci ofiarował. Pewnie będziesz musiała oddać tę błyskotkę. Przygotuj się na to. Dobranoc, siostrzyczko i... wesołych świąt.

Zamknęła drzwi, a ja stałam w korytarzu drżąc cała. Ona się myli; musi się mylić - myślałam. - Zresztą jutro po-każę Ninie sygnet Beau i poproszę, żeby wyszukała czar albo zaklęcie, które osłoni naszą miłość.

Zasnęłam, rozpamiętując cudowne chwile, kiedy kochałam się z Beau, tuląc się do tych myśli i uczuć, nadal tak żywych i gorących, jakby Beau leżał u mego boku. Nawet wyciągnęłam rękę, jakby on tu był.

- Dobranoc, Beau - szepnęłam. - Dobranoc, mój najmilszy Beau. J

Czując jeszcze na wargach jego pocałunki, zatonęłam w ciepłym mroku mego przepełnionego miłością serca.

Transakcja

Nawet ja zasnęłam następnego ranka. Jako dziecko nie znosiłam tych godzin snu między wigilią a pierwszym dniem Bożego Narodzenia. Była to istna tortura, wyczekiwać wschodu słońca, by móc

zejść na dół i rozpakować prezenty.

Choćbyśmy miały za sobą najuboższy rok, babunia zawsze miała dla mnie cudowne podarki, a również i jej przyjaciele przynosili mi upominki. Zawsze otrzymywałam też jeden prezent bez kartki z imieniem ofiarodawcy.

Wyobrażałam sobie, że to dar od mego tajemniczego ojca i być może babunia Catherine pozwalała mi tak sobie wyobrażać, bym dalej wierzyła, że gdzieś za rozlewiskami czeka na mnie mój ojciec. Obdarowana mocą jasnowidzenia przeczuwała nadejście dnia, gdy opuszczę rozlewiska i wyruszę na jego poszukiwanie.

Lecz teraz, po śmierci babuni i tak niedawnym odejściu taty, całe podniecenie i radość towarzyszące bożonarodzeniowemu porankowi zniknęły, tak że właściwie czułam się, jakby to był zwyczajny dzień. Uważałam, że podobnie, acz z innych powodów traktuje to święto Gisselle, choć głośno chwaliła się wszystkim górą prezentów pod choinką. Zastanawiałam się, czego jeszcze może chcieć ta dziewczyna, posiadająca pełne szafy ubrań, górę kosmetyków, rzeki perfum, królewską kolekcję biżuterii i więcej zegarków niż godzin ma doba. Co mogłoby ją prawdziwie uradować? Byłam przekonana, że tak naprawdę nic, bowiem ani poranne słońce, ani bicie zegara nie wyrwały jej z głębokiego snu. Przypuszczałam, że musi mieć straszliwego kaca po tym, co wlała w siebie wczoraj.

Ja leżałam z otwartymi oczami, myśląc o Beau i obietnicach, jakie sobie złożyliśmy. Żałowałam, że nie mogę przyspieszyć biegu lat i w jednej chwili przenieść się do dnia naszego ślubu, który pozwoliłby mi się wyrwać z tej na-miastki rodziny i postawił na progu nowego życia, życia pełnego nadziei i miłości. Wyobrażałam sobie Gisselle wpatrującą się w nas oczami płonącymi z zazdrości, z ustami wykrzywionymi w złośliwym, niedobrym uśmiechu, kiedy przysięgaliśmy sobie z Beau miłość i wierność. Daphne zaś, pomyślałam, byłaby pewnie szczęśliwa, że udaje się jej wreszcie mnie pozbyć.

Z tych rozkosznych marzeń wyrwało mnie czyjeś pohukiwanie i dźwięk dzwonek od sań.

- Pobudka, śpiochy! - zawołał Bruce, wchodząc na schody.

Wstałam, zerknęłam zza drzwi i zobaczyłam go w przebraniu Świętego Mikołaja, z przyczepioną siwą brodą.

- Nie możemy się z Daphne doczekać, kiedy wreszcie otworzycie prezenty. Pospieszcie się. Wstawajcie.

Podszedł do drzwi Gisselle i mocno potrząsnął dzwonekami. Słyszając jej pisk i przekleństwa, zaśmiałam się w duchu, wyobraziwszy sobie, jak taki dźwięk działa na osobę z potężnym kacem.

- Już schodzę! - zawołałam, gdy zadzwonił pod moimi drzwiami.

Umyłam się i ubrałam w białą, jedwabną bluzkę z koronkowym kołnierzem i mankietami, do tego włożyłam szeroką, marszczoną spódnicę. Włosy przewiązałam jedwabną wstążką w tym samym kolorze. Robiłam to niczym automat.



Przysłano Marthę Wood, by pomogła Gisselle ubrać się, ale kiedy wychodziłam z pokoju, kobieta ciągle jeszcze stała pod jej drzwiami, wyłamując palce i wzdychając.

Zajrzałam do pokoju Gisselle i zobaczyłam, że leży skulona pod kołdrą, spod której widać jedynie kosmyki jej włosów.

- Powiedz im po prostu, że panienka Gisselle nie chce oglądać prezentów - zwróciłam się do Marthy na tyle głośno, by moja siostra to usłyszała.

Natychmiast odrzuciła kołdrę.

- Ani mi się waż! - rozdarła się i natychmiast jęknęła. - Och, po co tak wrzeszczałam? Ruby, ratunku! Czuję się, jakby mi ktoś po mózgu toczył metalowe bile.

Wiedziałam, że Nina zna wywar, który skutkuje nawet w najgorszym kacu.

- Zaczynj się ubierać - zaproponowałam - a przyniosę ci coś, co pomaga na kaca.

Spojrzała na mnie z nadzieją.

- Naprawdę? Obiecujesz?

- Przecież powiedziałam. Ubieraj się.

- Martha, wejdz tu - rozkazała. - Dlaczego nie przyszykowałaś mi jeszcze rzeczy?

- Och, i co ja mam robić? Najpierw każe mi się wynosić, a potem wrzeszczy, żebym weszła - mruknęła służąca i szybko podreptała do pokoju.

Zeszłam na dół i ruszyłam prosto do kuchni, gdzie zastałam Ninę, przygotowującą dla nas świąteczne śniadanie.

- Wesołych świąt, Nino - przywitałam ją. - I tobie też - odparła z uśmiechem.

- Mam do ciebie dwie prośby, Nino, o ile zechcesz je spełnić.

- A jakież to są prośby, dziecino?

- Po pierwsze - odparłam, krzywiąc się - Gisselle ma ta-aaką głowę, bo przeholowała z rumem.

- Nie pierwszy raz - prychnęła Nina. - Wcale tym sobie życia nie poprawi.

- Wiem, ale jeśli będzie ją męczył kac, zatruje nam wszystkim życie, a Daphne znajdzie już sposób, żeby na mnie zrzucić winę za to.

Nina skinęła głową.

- Zgoda - powiedziała.

Podeszła do szafki i wyjęła składniki.

- Najlepiej poskutkuje surowe jajko z plamką krwi -mruknęła. - Całe szczęście, że zachowałam jedno, które wczoraj znalazłam.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że gdyby Gisselle odkryła, jakie są składniki mikstury, nawet by jej me tknęła.

- Weź to - odezwała się Nina, skończywszy. - Ma wypić jednym haustem. To najważniejsze.

- Dobrze.

-1 co jeszcze? Mówiłaś, że masz dwie prośby.

- Wczoraj wieczorem Beau dał mi swoją klasową obrączkę, Nino - wyznałam, pokazując jej łańcuszek. Poprzysiągł

mi miłość, a ja jemu. Możesz zapalić świeczkę w naszej intencji?

- Będzie wam potrzebna siarka nie świeczka, zwłaszcza, jeśli poprzysięgliście sobie miłość w tym domu. Przyrowadź później panicza Beau do Niny, a Nina zrobi to dla was, kiedy będziecie się trzymać za ręce.

- Powiem mu, Nino - odparłam, uśmiechając się w duchu i zastanawiając, jak Beau zareaguje na moją propozycję. -

Dziękuję.

Pobiegłam z powrotem na górę, gdzie Gisselle bez miłosierdzia wyzywała się na Marthcie, która jej zdaniem wybrała niewłaściwe ubranie i buty.

- Ta kobieta nie ma za grosz gustu. Spójrz! Chciała, żebym włożyła tę bluzkę do tej spódnicy, a do tego jeszcze te buty.

- Myślałam tylko, że panienka będzie dziś chciała ubrać się na czerwono i zielono, w kolorze świąt i...

- Już dobrze, Martho. Ja jej pomogę.

- Och, dziękuję, panienko Ruby - przystała z ulgą. -Mam dziś jeszcze mnóstwo innych rzeczy do zrobienia.

Wyszła.

- Co to jest?

-Lekarstwo Niny. Masz to wypić jednym haustem, bo inaczej nie poskutkuje.

Podejrzliwie oglądała zawartość kubka.

- Piłaś to kiedyś?

- Piłam podobną miksturę na ból brzucha. Skrzywiła się.

- Zrobię wszystko. Dałabym sobie nawet odciąć głowę, żeby tylko poczuć się lepiej - oświadczyła, wyjmując mi z ręki kubek.

Wciągnęła powietrze, po czym przytknęła kubek do ust. Poczawszy na języku smak mikstury, wybałuszyła oczy.

-Nie przerywaj! - rozkazałam, bo wyglądało, jakby chciała przestać pić.

Muszę przyznać, że sprawiło mi przyjemność oglądanie jej zmagania. Przełknęła całość jednym haustem, po czym głęboko odetchnęła, przykładając rękę do serca.

-Ble. Co za obrzydlistwo. Pewnie jakaś trucizna. Co w tym było?

- Na pewno surowe jajko. Oprócz tego jakieś zioła. I proszek, możliwe, że z kości grzechotnika...

- O nie. Ani słowa więcej - zawołała, wznosząc ręce. Przełknęła ślinę. - Chyba zaraz się wyrzygam.

Zerwała się z fotela i pobiegła do łazienki, ale nie zwymiotowała. Po kilku minutach wynurzyła się z powrotem, a twarz jej odzyskała normalny kolor.

- Zdaje się, że to naprawdę działa - stwierdziła z radością.

- Ubieraj się. Czekają na nas w salonie. Bruce przebrał się za Świętego Mikołaja, nawet przyczepił sobie brodę.

- Och, po prostu bomba.

Kiedy zeszliśmy na dół, zastałyśmy Daphne w czerwonej chińskiej podomce i rannych pantoflach, starannie uczesaną i umalowaną, jakby wstała i zrobiła makijaż wiele godzin temu. Siedziała w wysokim, prowansalskim krześle, popijając kawę ze srebrnej filiżanki. Przy choince stał radośnie uśmiechnięty Bruce w przebraniu Mikołaja.

- Była już najwyższa pora, żeby nasze primadonny zeszły na dół - powitała nas. - W dzieciństwie nie mogłam się doczekać, kiedy rozpakuję prezenty.

- Nie jesteśmy już dziećmi, mamó - odparła Gisselle.

- Jeśli chodzi o prezenty, kobieta zawsze pozostaje dzieckiem - stwierdziła Daphne, mrugając do Bruce'a, który ro-ześmiał się, trzymając za swój wypchany brzuch. - No, czas już, Święty Mikołaju - oświadczyła.

- Ho, ho, ho! - zawołał, zgarniając kilka paczek i rozdając je nam.

Usiadłam na kanapie, by obejrzeć swoje prezenty, podczas gdy Gisselle otwierała swoje siedząc w wózku, a Bruce kursował między choinką a nami. Dostałyśmy kolejne ubrania, drogie swetry, bluzki i spódnice. Obie dostałyśmy też nowe skórzane płaszczyki i botki oraz futrzane czapki, których zapewne nigdy nie włożymy. Bruce podarował nam bransoletki z amuletami, a także zestawy kąpielowe składające się z olejku, talku i perfum. Ledwo Gisselle rozdarła papier z jednego upominku i zerknęła do środka, natychmiast rzuciła się na kolejną paczkę.

- Och, czy nie za wiele tego wszystkiego? - odezwałam się.

Ciągle jeszcze zdumiewała mnie i zastanawiała ta nieoczekiwana hojność Daphne.

- Jest też prezent dla twojego wuja Jeana. Pomyślałam, że pewnie chętnie mu to zawieziesz - powiedziała, podając mi pudełko. - To pół tuzina jedwabnych koszul, za którymi tak przepadał.

- Pozwolisz mi jechać do szpitala? - spytałam zaskoczona.

- Jeśli chcesz, polecę szoferowi, żeby cię tam jutro zawiózł - odparła.

- Chciałabyś się wybrać ze mną? - zwróciłam się do Gisselle.

- Do czubków? Czyś ty oszalała?

- Kiedyś tam jeździłaś - przypomniałam.

- Raz na sto lat i tylko po to, żeby się przypodobać tacie. Nie znosiłam tych wizyt.

- Ale... ten jeden raz... Są święta.

- Błagam - jęknęła.

- Możesz pojechać z Beau - podsunęła Daphne. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, oniemiała.

- Zdaje się, że są tu jeszcze upominki od waszego cajuń-skiego przyrodniego brata - dodała. - Bruce.

Szybko schylił się i wręczył każdej z nas śliczne pamiątki z drewnianymi, ręcznie rzeźbionymi okładkami, przedstawiającymi krajobraz znad rozlewisk: hiszpański mech, aligatora wychylającego łeb z mokradeł i mewy śmigające nad wodą.

- Pamiątki! - Gisselle wydeła pogardliwie wargi. - Tak jakbym była na tyle niemądra, żeby zapisywać swoje tajemnice. - Roześmiała się.

- A propos tajemnice - wtrąciła Daphne, spojrzawszy przedtem znacząco na Bruce'a - i my mamy pewną tajem-

nicę, którą chcielibyśmy się z wami podzielić. To kolejny prezent świąteczny.

Gisselle spojrzała na nią uważnie, prostując się w wózku. Bruce tymczasem przysunął się do Daphne. Wyciągnęła do niego rękę, po czym zwróciła się do nas:

- Bruce i ja pobieramy się.

- Pobieracie?! Kiedy? - zawołała Gisselle.

- Kiedy minie okres żałoby po śmierci waszego ojca. -Przyglądała nam się bacznie, próbując odgadnąć nasze prawdziwe uczucia. - Mam nadzieję, że obie was to ucieszy i przyjmiecie Bruce'a do rodziny jako waszego nowego ojca. Zdaję sobie sprawę, że na razie to dla was szok, ale lepiej będzie, gdy wszyscy zobaczą, że trzymamy wspólny, rodzinny front. Czy mogę na was liczyć? - spytała i wtedy mnie olśniło. Zrozumiałam, skąd się wzięła słodycz Daphne.

Ten ślub miał się stać prawdziwym wydarzeniem w wyższych sferach Nowego Orleanu i dla Daphne było ogromnie ważne, by nic nie zakłóciło ceremonii ani przygotowań. Będzie się o tym pisać w kronikach towarzyskich, a od chwili ogłoszenia zaręczyn po dzień ślubu nasza rodzina znajdzie się w centrum uwagi. Na kolacje będą zapraszani ważni goście i z całą pewnością Daphne zależało, by całą naszą czwórkę widywano w teatrze czy operze.

- Wiem, że nie zdołam zastąpić wam ojca - zaczął Bruce - ale chciałbym przynajmniej spróbować. Zrobię, co w mojej mocy, by stać się dla was prawdziwym ojcem.

- Czy wobec tego mógłbyś porozmawiać z mamą, żeby pozwoliła nam z powrotem zamieszkać w domu i chodzić do naszej dawnej szkoły? - spytała szybko, by nie przepuścić okazji Gisselle.

Uśmiech zniknął z twarzy Daphne.

- Najpierw skończ ten jeden rok w Greenwood, Gisselle. Mamy wystarczająco wiele zajęć i bez konieczności zajmo-wania się wami. Dam wam zgodę na opuszczanie terenu szkoły i dopilnuję, by podwyższono wam kieszonkowe - do-dała.

Gisselle rozważała tę propozycję.

- Nie usłyszeliśmy, co ty o tym sądzisz, Ruby - zwróciła się do mnie Daphne.

- Życzę wam obojgu wiele szczęścia - odparłam.

Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem, niczym dwóch gladiatorów rozważających, czy podjąć kolejną walkę czy też poprzestać na zawieszeniu broni. W końcu Daphne postanowiła przyjąć moje chłodne błogosławieństwo.

- Dziękuję. Cóż, w takim razie, skoro już skończyliśmy z prezentami, możemy się udać na świąteczne śniadanie.

Odstawiła filiżankę i uniosła się z krzesła.

- Chwileczkę! - zawołała Gisselle. Mrugnęła na mnie, po czym uśmiechnęła się do Daphne i Bruce'a.
- Mam dla was prawdziwą niespodziankę, coś, co chciałam ci ofiarować jako prezent świąteczny, mammo. A teraz - dodała - może się to okazać waszym pierwszym prezentem ślubnym.

Daphne ostrożnie opadła na krzesło.

- A cóż to takiego, Gisselle?

- To! - oświadczyła Gisselle, podnosząc się z wózka, udając przy tym, że to dla niej wysiłek niemal ponad siły.

Na twarzy Daphne pojawiło się zdumienie, potem radość. Bruce roześmiał się i położył rękę na jej ramieniu.

Patrzyłam, jak Gisselle zachwiała się, oparła o wózek, ciężko dyszała, krzywiła się jak w męce, a potem puściła wózek i stanęła na równych nogach. Z przymkniętymi oczami zakołysała się i udając, że zbiera wszystkie siły, zrobiła jeden krok, potem drugi. Wyglądało, że lada chwila przewróci się, więc Bruce rzucił się do niej i schwycił ją w ramiona.

- Och, Gisselle, co za szczęście! - zawołała Daphne. Gisselle z ręką na piersi chwytiała powietrze, ani na chwilę nie przestając grać.

- Pracowałam nad tym - dyszała. - Wiedziałam, że mogę wstać i udało mi się już zrobić jeden, dwa kroki, ale chciałam do was dojść. Jestem taka rozczarowana - jęczała. Spróbuję jeszcze raz.

- Nie trzeba. Już te dwa kroki to cudowny prezent na gwiazdkę, prawda Bruce?

- Oczywiście - zapewnił, nie wypuszczając Gisselle z objęć. - Nie wolno ci się forsować.

Podprowadził ją z powrotem do wózka. Kiedy ją sadzał, spojrzała na mnie triumfalnie.

- Wiedziałaś o tym, Ruby? - spytała Daphne. Zerknęłam na Gisselle, po czym popatrzyłam na macochę.

- Nie - odparłam.

Ten dom i rodzinę zbudowano na kłamstwie. Tego mojego i tak nikt nie zauważy - pomyślałam.

- Co za niespodzianka! I trzymałaś to nawet w tajemnicy przed siostrą, byleśmy my mogli zobaczyć to jako pierwsi.

To prawdziwy dar, Gisselle.

- Przrzekam, mammo - zaklinała się Gisselle - że będę ciężko pracować, by odzyskać całkowitą władzę w nogach i móc kroczyć za tobą w twoim orszaku ślubnym.

-To byłoby... po prostu fantastyczne. - Spojrzała na Bruce'a. - Wyobrażasz sobie reakcję gości. To

tak jakby... jakby moje nowe małżeństwo przywróciło zdrowie tej rodzinie.

- Widzisz więc, mamó - podjęła Gisselle - że nie mogę teraz wrócić do Greenwood. Będzie mi potrzebna codzienna rehabilitacja i nieoceniona kuchnia Niny zamiast tych świąstwow, którymi karmią nas w internacie. Znajdź dla mnie nauczyciela i pozwól mi tu zostać.

Daphne przez chwilę rozważała taką możliwość.

- Muszę się nad tym zastanowić. Gisselle rozpromieniła się.

- Dziękuję, mamó.

-No dobrze, ale teraz już naprawdę zgłódniałam. Te święta okazują się znacznie sympatyczniejsze niż się spodziewałam - oświadczyła Daphne, wstając. - Drogi Mikołaju? - zwróciła się do Bruce'a wsuwając ramię.

Podbiegł i ujął ją pod rękę. Odprowadziłam ich wzrokiem, a potem spojrzałam na Gisselle. Uśmiechała się od ucha do ucha.

- Teraz pozwoli nam zostać w domu. Zobaczysz.

- Tobie może i tak, ale mnie nie - odparłam. - Ja nie mam żadnego kalectwa, które w cudowny sposób mogłabym przezwyciężyć.

Wzruszyła ramionami.

-Tak czy owak, dzięki, że trzymałaś buzię na kłódkę i stanęłaś po mojej stronie.

- Nie stanęłam po twojej stronie. Po prostu przyglądałam się z boku, jak obie zasypujecie się kłamstwami.

-Nieważne. Trzymaj. - Rzuciła mi prezent od Paula. -Pewnie skrywasz tyle tajemnic, że oba te pamiętniki zapełnisz w jeden dzień.

Wzięłam dziennik i ruszyłam za nią, ale w progu zatrzymałam się i obejrzałam, by jeszcze raz rzucić okiem na choinkę i stos rozpakowanych prezentów. Jak gorąco pragnęłam przeżyć prawdziwe Boże Narodzenie, gdzie najważniejszym darem jest dar miłości.

Beau zjawił się u mnie wkrótce po tym, jak wymienili się w domu prezentami, mogłam więc i ja dać mu upominek: złotą bransoletkę, którą kupiłam zaraz po powrocie do domu. Kazałam jubilerowi wygrawerować na niej napis: „Od zawsze kochającej Ruby”.

- Mam już trzy takie w szufladzie - stwierdził, wsuwając ją na rękę - ale żadna z nich nie znaczyła dla mnie tyle, co ta.

Szybko, póki nikt nie wszedł do bawialni, pocałował mnie w usta.

- Mam do ciebie ogromną prośbę - powiedziałam. - Ale nie wolno ci się śmiać.

- Co to za prośba? Uśmiechnął się wyczekująco.

- Nina obiecała spalić kawałek siarki, by pobłogosławić naszej miłości i odpędzić złe duchy, które mogłyby jej zagrozić.

-Co?

- Chodźmy do niej, proszę - nalegałam, biorąc go za rękę. - Nie zawadzi się zabezpieczyć.

Roześmiał się i razem pobiegliśmy do pokoju Niny. Zastukałam do drzwi, a kiedy zawołała, weszliśmy. Beau aż otworzył usta ze zdumienia na widok małego pokoiku zapchanego rekwizytami voodoo: lalkami, kośćmi, stertami czegoś co przypominało futro czarnego kota, kosmykami włosów związanych rzemieniem, powyginanymi korzeniami i paskami wężowej skóry. Na półkach walały się niezliczone buteleczki przeróżnych proszków, stosy żółtych, niebieskich, zielonych i brunatnych świeczek, słoiczki ze łbami węży. Wśród nich stało zdjęcie kobiety siedzącej na czymś, co przypominało tron. Rozpoznałam w niej Marie Laveau. Nina często paliła białe świece przed tym portretem, kiedy odprawiała nocne modły.

- Kto to? - spytał Beau.

- Ty, chłopak z Nowego Orleanu, nie wiesz, że to sama Marie Laveau, królowa voodoo?

- A tak, słyszałem o niej. Zerknął na mnie i przygryzł wargę.

Nina podeszła do półek po niewielki, gliniany pojemniczek. Już raz dokonałyśmy podobnej ceremonii, tuż po moim przybyciu z rozlewisk.

- Trzymajcie to razem - rozkazała.

Zapaliła białą świecę i mamrotała jakieś formułki. Potem przysunęła świecę do pojemniczka i nachyliła płomień, by siarka zapłonęła, ale ona nie zajęła się ogniem. Nina zerknęła na mnie z niepokojem i jeszcze raz spróbowała, tym razem dłużej trzymając świecę, póki ze słoiczka nie wypłynęła strużka dymu. Beau skrzywił się, bo zapach nie był

przyjemny, ale ja byłam na to przygotowana, więc wstrzymałam oddech.

- Zamknijcie oboje oczy.i pochylcie się, by dym ogarniał wasze twarze - poleciała.

Zrobiliśmy to, co kazała. Słyszeliśmy jej mamrotania.

- Ej, to parzy - poskarżył się Beau.

Cofnął ręce, a ja usiłowałam sama utrzymać naczynie. Nina wyjęła mi je z dłoni i schwyciła mocno.

- Gorąco to nic - skarciła - w porównaniu z ogniem złych duchów. - Potrząsnęła głową. - Nina ma



nadzieję, że tyle siarki wystarczyło.

- Na pewno wystarczyło - potwierdził pośpiesznie Beau.

- Dziękuję, Nino - powiedziałam, widząc, jak niezręcznie czuje się mój chłopiec. Skinęła głową, a Beau pchnął mnie w stronę drzwi.

- Tak, dziękujemy Nino - powtórzył za mną i wyciągnął mnie z pokoju.

- Nie naśmiewaj się z tego, Beau, słyszysz?

- Nie naśmiewam się - zapewnił, ale widziałam, jak bardzo jest zadowolony, że wyrwaliśmy się stamtąd i wracamy do salonu.

- Babunia nauczyła mnie, że nie należy śmiać się z cudzych wierzeń, Beau. W sprawach ducha nikt nie ma monopolu na prawdę.

- Masz rację - przyznał. - Zresztą wszystko, co cię uspokaja i cieszy, mnie też uspokaja i cieszy. Naprawdę - zaręczył, całując mnie.

Chwilę potem wjechała Gisselle, gwiazda dzisiejszego poranka. Przez całe śniadanie nie mówiono o niczym innym, jak o jej cudownym powrocie do zdrowia. Zakomunikowano również tę dobrą nowinę Edgarowi i Ninie, lecz oboje przyjęli to tak obojętnie, iż Gisselle zaczęła podejrzewać, że musiałam im to wcześniej wypaplać.

- Nie przeszkadzam? - zwróciła się do Beau całkowicie pochłoniętego rozmową ze mną.

- Prawdę mówiąc, przeszkadzasz - odparł z uśmiechem.

- Tym gorzej dla ciebie. Powiedziałaś mu już? - zwróciła się do mnie.

- Co mianowicie?

- Pewnie nie, bo dla ciebie nie jest to tak ważne jak dla innych. - Odwróciła się do Beau, zrobiła dramatyczną pauzę i oznajmiła: - Odzyskuję władzę w nogach.

- Co takiego?

Beau spojrzał osłupiały na mnie, ale milczałam.

- Nie żartuję. Paraliż ustępuje. Wkrótce znowu stanę się konkurencją dla Ruby, a ona nie wydaje się tym szczególnie uszczęśliwiona. Prawda, droga siostrzyczko?

- Nigdy z tobą nie konkurowałam, Gisselle - odparłam.

- Czyżby? A jak inaczej nazwać twój płomienny romans z obecnym tu moim byłym chłopcem? - warknęła.

- Hola, ja też mam tu chyba coś do powiedzenia - wtrącił Beau. - Poza tym spotykałem się z Ruby jeszcze przed twoim wypadkiem.

Prychnęła, a potem zaśmiała się nieprzyjemnym, drwiącym śmiechem.

- Facetom wydaje się, że to oni podejmują decyzję, lecz tak naprawdę to my owijamy ich sobie wokół małego paluszka. Byłeś zbyt konserwatywny jak na mój gust, Beau. To ja postanowiłam cię rzucić. To ja umożliwiłam wam obojgu spotkanie i... - wykrzywiła wargi w pogardliwym uśmiechu - bliższą znajomość.

- Taa, pewnie - odparł rozdrażniony.

- Tak czy owak w sylwestra znowu będę tańczyć i oczekuję, że zatańczę i z tobą. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, prawda, droga siostrzyczko?

- Ależ skąd. Oczywiście, o ile Beau zechce z tobą zatańczyć.

Nie spodobał jej się mój ton i uśmiech szybko zniknął z jej twarzy.

- Muszę zadzwonić do Johna i podzielić się z nim radosną nowiną. Serce może mu pęknąć. Tak bardzo spodobała mu się moja wczorajsza bezsilność.

- W takim razie uważaj, żebyś zbyt szybko nie wróciła do zdrowia - stwierdziłam, ale ona zamiast się rozłościć, tylko parsknęła śmiechem.

- Może i nie wrócę. Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz - dodała, mrużąc oczy. Potem znowu roześmiała się i opuściła jadalnię.

- Mówi prawdę o swoim ozdrowieniu? -Nie.

- To znaczy, że nie może chodzić?

- Może, ale chodzi już od tygodni, a może nawet od miesięcy.

Streściłam mu pokrótce incydent w szkole i wyjaśniłam, dlaczego to ja zostałam obarczona za to winą.

- Niech mnie kule biją. Chyba już niczym mnie dziś nie zaskoczysz - skomentował Beau.

- Jest jeszcze coś. -Tak?

- Daphne pozwoliła mi zawieźć wujkowi Jeanowi prezent gwiazdkowy. Powiedziała, że jeśli zechcesz, możesz jechać ze mną.

- Naprawdę?

Z niedowierzaniem pokręcił głową i usiadł, a ja wyjaśniłam, skąd wzięła się ta zmiana w

zachowaniu Daphne wobec Gisselle i mnie.

- Wychodzi za mąż? Tak szybko?

- Powiedziała, że dopiero kiedy minie okres żałoby, ale nikt nie wie, co to u niej oznacza.

- Moi rodzice coś podejrzewali - przyznał szeptem. - Ta dwójka stała się właściwie nierozłączna.

Spuścił wzrok, po czym znowu na mnie spojrzał i dodał:

- Krążyły plotki jeszcze przed śmiercią twego ojca.

- Wcale mnie to nie dziwi, zresztą zupełnie mnie nie obchodzi, co ona teraz ze sobą zrobi i nie chcę więcej o tym rozmawiać - powiedziałam gniewnie.

- W takim razie może byśmy od razu pojechali odwiedzić wujka Jeana, a potem zjemy lunch w jakiejś restauracji po drodze.

Poszłam wziąć prezent dla wujka i powiedziałam Daphne, że wyjeżdżamy.

- Dopilnuj, żeby wiedział, że to ode mnie - poleciła. Ledwo jednak przyjechaliśmy do szpitala i zostaliśmy wprowadzeni do wujka, natychmiast zdałam sobie sprawę, że nie tylko nie zrozumie, od kogo jest prezent, ale nawet nie zauważy, że ma gości. Wujek Jean stał się cieniem dawnego siebie. Niczym jedna ze zjaw Niny siedział tępo, z wzrokiem wbitym w przestrzeń, wpatrzony w głąb siebie. Kiedy do niego mówiłam i trzymałam go za rękę, jego wzrok tylko odrobinę się ożywił, a w oczach zamigotał sła-biuteńki płomyk.

- Przypomina ostrygę, zamykającą się w skorupie! - szepnęłam do Beau. - On przecież prawie w ogóle mnie nie słyszy!

Siedzieliśmy w świetlicy. W czasie podróży zaczęło padać i krople deszczu wystukiwały teraz szaleńczy rytm na szybach, przez które wyglądaliśmy. W podobnym rytmie biło i moje serce. Wujek Jean ogromnie schudł, kości policzkowe i nos zarysowały się wyraźniej niż dawniej. Wyglądał jak ktoś, kto powoli umiera od środka.

Próbowałam zainteresować go czymś, opowiadałam mu o świętach, o tym, co robiłam w szkole, o choince w domu.

Ale wyraz jego twarzy nie zmienił się, nie zwrócił też na mnie wzroku. W końcu poddałam się. Pochyliłam się, poca-

łowałam go na do widzenia w policzek. Powieki mu drgnęły, usta zadrżały, ale nie odezwał się i nie spojrzał na mnie.

Wychodząc, zatrzymałam pielęgniarkę, by porozmawiać z nią o stanie wujka.

- Czy on w ogóle się odzywa?

- Od jakiegoś czasu przestał - przyznała. - Ale czasem - pocieszyła z uśmiechem - oni wracają do siebie. Wprowadzane są coraz to nowe leki.

- Dopilnuje pani, żeby wkładał nowe koszule? Kiedyś był taki dumny ze swego wyglądu - poprosiłam ze smutkiem.

Obiecała, że się tym zajmie, a my z Beau ruszyliśmy ku wyjściu. Odwiedziny u wujka Jeana sprawiły, że te święta wydały mi się jeszcze bardziej ponure niż padający deszcz i niebo zaciągnięte chmurami. Niewiele się odzywałam, prawie nie tknęłam lunchu zamówionego przez Beau. To on przejął ciężar prowadzenia konwersacji, snując dla nas plany na najbliższą przyszłość.

- Już postanowiłem: oboje będziemy zdawać na Uniwersytet Luizjany. W ten sposób pozostaniemy razem w Nowym Orleanie. Moi nauczyciele radzą, bym wybrał karierę lekarską, bo doskonale radzę sobie z biologią i pochodnymi.

Doktor Andreas... Jak to brzmi?

- Brzmi cudownie, Beau.

- Cóż, twoja babka była uzdrowicielką. Musimy podtrzymać tradycję rodzinną. Ja otworzę gabinet, a ty staniesz się jedną z największych malarek Nowego Orleanu. Ludzie będą się zjeżdżać ze wszystkich stron, by kupować twoje obrazy. W niedzielę po nabożeństwie będziemy spacerować po Garden District i ja będę się chwalił synowi, że obraz mamy wisi w tym i w tym domu, a w tamtym nawet dwa...

Uśmiechnęłam się. Byłam pewna, że babunia polubiłaby Beau.

- No nareszcie. Znowu się uśmiechasz. Jesteś nieziemsko piękna, kiedy się cieszysz, Ruby. Póki życia będę czynił, co w mojej mocy, byś była nieustannie szczęśliwa - obiecywał.

Zarumieniłam się słysząc te słowa, zrobiło mi się błogo na duszy.

Kiedy Beau odwiózł mnie do domu, Daphne siedziała w gabinecie taty, rozmawiając przez telefon. Jak widać, nawet w święta nie zapomniała o interesach. Była ubrana w szykowną, niebieską, tweedową spódnicę i żakiet, do tego miała białą koronkową bluzkę. Włosy zaplotła we francuski warkocz.

- Co tam słychać u Jeana? - spytała z roztargnieniem, przeglądając jakieś papiery.

- Wegetuje - odparłam. - Może jednak przemyślałabyś jeszcze raz tę sprawę i przeniosła go z powrotem do osobnego pokoju?

Wyprostowała się i przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem.

- Zaproponuję ci pewną transakcję - oświadczyła.

- Transakcję?

Cóż takiego mogłam mieć, czego by jej brakowało? - zastanawiałam się w duchu.

- Przeniosę Jeana do jego dawnego pokoju, jeśli ty przekonasz Gisselle, by wróciła do Greenwood. Nie chcę, by mi się plątała pod nogami, zwłaszcza teraz, w tym trudnym okresie.

- Ona mnie nie posłucha - jęknęłam. - Nienawidzi dyscypliny i nakazów Greenwood.

Daphne z powrotem skupiła całą uwagę na dokumentach.

- Przedstawiłam ci moją ofertę - oświadczyła chłodno. -Znajdź jakiś sposób.

Przez chwilę stałam nieruchomo. Dlaczego dobro wujka Jeana ma być uzależnione od egoistycznych zachcianek Gisselle? Przecież to rażąca niesprawiedliwość. Znalazłam się w równie beznadziejnej sytuacji, jak nutria, która wpadła w paszczę aligatora. Ze spuszczoną głową wyszłam z gabinetu. Nigdy jeszcze tak bardzo nie brakowało mi taty.

Resztę dnia przesiedziałam w pracowni, wykańczając rysunki dla panny Stevens. Pracownia i malowanie stanowiły dla mnie jedyne wytchnienie od kłamstw i oszustw, władających tym domem. Postanowiłam namalować widok z pracowni: potężny dąb i ogrody. W tle zamierzałam umieścić czerwonoskrzydłego kosa, dumnie stąpającego po murku. Czułam się wspaniale, mogąc zatopić się w pracy. Nastawiłam głośno płytę z symfonią Louisa, toteż nie usłyszałam, jak za moim plecami stanął Bruce.

- Ach, więc to tu ukrywa się nasza La Ruby - odezwał się. Obróciłam się wystraszona. Stał opierając się o framugę i rozglądając po moim atelier. Przebrał się w ciemnoszare, flanelowe spodnie i białą koszulę z mięciusieńkiej, egipskiej bawełny.

- Bardzo tu przyjemnie. A to zapowiada się na piękny obraz - stwierdził, przyglądając się sztalugom.

- Za wcześnie o tym wyrokować - odparłam skromnie.

- Cóż, nie jestem krytykiem sztuki, ale znam wartość dobrego malarstwa na rynku.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym uśmiechnął się i podszedł bliżej.

- Miałem nadzieję, że uda mi się wykroić dziś krótkie sam na sam z tobą i z Gisselle. Z Gisselle już rozmawiałem.

Błagała, bym wpłynął na Daphne, żeby pozwoliła wam tu zostać i wrócić do dawnej szkoły w Nowym Orleanie. Wygląda na to, że jeśli spełnię tę prośbę, przyjmie mnie do rodziny z otwartymi ramionami.

- A teraz - ciągnął, przysuwając się do mnie - co mógłbym uczynić, by zyskać podobną akceptację z twojej strony?

- Nie żądam niczego dla siebie, ale gdybyś rzeczywiście chciał zrobić coś, co sprawi mi przyjemność, to namów Daphne, żeby przeniosła wujka Jeana z powrotem do osobnego pokoju.

- Cóż za altruistyczna prośba. Czyli jednak jesteś tym, na co wyglądasz, La Ruby?... Szlachetnym kamieniem bez najmniejszej skazy. Czy jesteś równie niewinna, jak się wydaje, gdy się na ciebie patrzy? Równie niewinna jak kwiaty i zwierzęta z twoich obrazów?

- Nie jestem aniołem, Bruce, ale nie lubię patrzeć na cudzy ból, zwłaszcza gdy można mu zaradzić, a w takiej właśnie sytuacji znalazł się wujek Jean. Jeśli chcesz zrobić coś dobrego, to mu pomóż.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć moich włosów. Skuliłam się, próbowałam się odsunąć, ale schwycił

mnie za ramię tuż nad łokciem.

- Jesteście z Gisselle bliźniaczkami - odezwał się prawie szeptem - ale tylko ślepiec nie zauważyłby różnicy między wami. Chciałbym się stać dla ciebie kimś, kogo mogłabyś

pokocharać i obdarzyć zaufaniem. Wiesz, zawsze cię podziwiałem, La Ruby. Ale ciebie los rzucił z jednego miejsca w drugie, a w chwili gdy najbardziej potrzebowałaś prawdziwego opiekuna, straciłaś go. Czy pozwolisz, bym stał się dla ciebie... opiekunem, twoim strażnikiem, mistrzem? Jestem człowiekiem o wybitnym smaku. Zaufaj mi, a staniesz się księżniczką, na co zasługujesz - mówił, przesuwając rękę coraz wyżej.

Stał tak blisko, że widziałam nad jego wargą drobniutkie kropelki potu i czułam zapach wypalonego niedawno cygara. Trzymał mnie mocno, a potem zbliżył usta do mego czoła. Słyszałam, jak głęboko wdycha woń mych włosów. Pozwoliłam mu się obejmować, ale nie odwzajemniłam czułego gestu.

- Rozumiem - powiedział, wyczuwając moje napięcie i odsuwając się. - Nie winię cię za twoją ostrożność. Jestem dla ciebie kimś nowym, właściwie niewiele jeszcze o mnie wiesz. Pragnąłbym jednak, byśmy spędzali ze sobą jak najwięcej czasu i lepiej się poznali. Zgadzasz się?

- Wkrótce żenisz się z moją macochą - odparłam, jakby to wszystko wyjaśniało.

Skinął głową.

- Porozmawiam z Daphne. Może znajdę jakieś rozsądne rozwiązanie finansowe i namówię ją, by zrobiła to, o co prosisz. Niczego nie obiecuję, ale postaram się.

- Dziękuję.

- La Ruby - powtórzył z tym swoim lepkiem uśmiechem. Rozejrzał się po pracowni. - Urządziłaś tu sobie miłą kryjówkę. Kiedy już pobierzemy się z Daphne, może pozwolisz mi czasem wpadać do ciebie, *n'est-ce pas?*

Przytaknęłam, choć na samą myśl o tym ogarniały mnie mdłości.

- To świetnie - stwierdził. - Stworzymy cudowną rodzinę, jeszcze bardziej szanowaną niż obecna, a ty i twoja siostra staniecie się ozdobą nowoorleańskiej śmietanki towarzyskiej. Obiecuję ci to. A teraz już pozwolę ci wrócić do tego cudownego obrazu. Porozmawiamy później.

Odprowadziłam go wzrokiem, po czym opadłam na fotel, bo serce tak dudniło mi w piersi, iż bałam się, że zemdleję.

Mimo obietnicy Bruce'a między świętami a Nowym Rokiem ani słowem nie wspomniano o wujku Jeanie. Czując się zobligowana propozycją Daphne, próbowałam przy różnych okazjach namówić Gisselle, by jednak zastanowiła się nad powrotem do Greenwood.

- Znalazłaś nowe przyjaciółki, stałaś się dla nich wzorem, liczą na ciebie - zaczęłam po raz kolejny drążyć, wieczorem w przeddzień sylwestra. - Jesteś ich liderką.

- Możesz sobie przejąć ten zaszczyt, jeśli masz ochotę -

odparła. .

- Pomyśl tylko o wszystkim, co możesz teraz robie, skoro już odzyskałaś władzę w nogach. Zbliżają się przecież Wa-lentynki i tańce.

- To dopiero atrakcja. Tańce w Greenwood. Nie przysuwać się za blisko. Nie trzymać się za długo za rękę. A kiedy w końcu ktoś ci wpadnie w oko, trzeba się żegnać. Do tego te kretyńskie apele, nawet w weekendy.

- Daphne da nam zgodę na opuszczanie terenu szkoły. Poznamy chłopców z miasta.

- Ciebie to przecież nie interesuje. Za bardzo jesteś zakochana w Beau. Chwileczkę. - Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Czemu tak bardzo ci zależy, żebym wróciła do Greenwood? Co tu jest grane?

- Co tylko zechcesz. Będę z tobą jeździć do Baton Rouge - obiecałam, nie zwracając uwagi na jej pytanie.

- Za tym coś się kryje, Ruby. O co ci chodzi? Lepiej mi powiedz. Jednego możesz być pewna, za nic tam nie wrócę, jeśli nie odkryjesz mi prawdy.

Westchnęłam i oparłam się o klamkę jej drzwi.

- Poprosiłam Daphne, żeby wujek Jean mógł znowu wrócić do swojego dawnego pokoju. Teraz po prostu wegetuje.

Stracił wszelką chęć do życia i komunikowania się z innymi. Zamknął się we własnym świecie.

-I co z tego? I tak był szurnięty.

- Wcale nie. Jego stan ulegał poprawie. Gdyby znowu miał wokół siebie kochającą rodzinę...

-Och, przestań odstawiać taką świętą. A co to ma wspólnego z moim powrotem do Greenwood?

- Daphne obiecała, że jeśli uda mi się namówić cię do tego, przeniesie wujka do jego pokoju.
- Tak też myślałam, że coś się kryje za twoimi namowami. Cóż, możesz sobie darować - oznajmiła, odwracając się z powrotem do lustra. - Nie wrócę do Greenwood. Na razie doskonale bawię się z Johnem i nie zamierzam go wypuścić z rąk tylko dlatego, żeby mój szurnięty wuj miał własny pokój u czubków. - Uśmiechnęła się. - Czyli Daphne jednak pozwoli mi zostać. Dzięki, że mi powiedziałaś.
- Gisselle...
- Powiedziałam już: nie wracam. Koniec dyskusji - ucięła. - A teraz przestań myśleć o smutnych rzeczach i pomóż mi zorganizować sylwestra. Zaprosiłam około dwudziestu osób. Jutro przyjdą Claudine z Antoinette pomóc nam udekorować salon. Do jedzenia można by zrobić kanapki. Przygotujemy soki owocowe i poczekamy, aż Daphne z Bruce'em się wyniosą. Wtedy ochrzcimy je rumem. Co ty na to?
- Nic mnie to nie obchodzi - odparłam ponuro.
- Uważaj, żebyś jutro nie snuła się tu jak kruk. Ostrzegam cię: nie zepsuj nam zabawy.
- To ostatnia rzecz, jaką śmiałabym uczynić, Gisselle: zepsuć ci zabawę. Uchowaj Boże - warknęłam i szybko wyszłam, żeby nie wyrwać jej wszystkich włosów, co do jednego.

Dobra mina do złej gry

Mimo iż nie opuszczała mnie ponury nastrój, starałam się nie chodzić z nosem na kwintę i nie okazywać wszystkim dokoła, jaka to jestem nieszczęśliwa. Przyjaciółki Gisselle z zapałem pomagały w przygotowaniach, a ja nigdy jeszcze nie widziałam, by Daphne traktowała je tak przyjaźnie. Po południu zajrzała do salonu i rzuciła kilka sugestii co do dekoracji. Oczywiście, dziewczęta lękały się jej i wpatrywały w nią jak w gwiazdę srebrnego ekranu: piękną, z klasą, bogatą, elegancką.

Lecz Gisselle cały czas usiłowała koncentrować uwagę na sobie, zamęczając wszystkich opowieściami o cudownym odzyskaniu władzy w nogach i obiecując, że po raz pierwszy od wypadku będzie tańczyć. Kazała Edgarowi przynieść drabinę, żeby dziewczęta mogły porozwieszać łańcuchy na całym suficie. Potem nadmuchały balony i złożyły wszystkie w jednym miejscu, by wypuścić je o północy. Przy pracy plotkowały o chłopcach, którzy przyjdą na sylwestra, Gisselle opisywała koleżanki z Greenwood, chwając się, jak to je uświadamiała w sprawach seksu. Od czasu do czasu zerknęła w moją stronę, jakby chciała sprawdzić, czy nie zaprzeczę jej słowom, ale ja po pewnym czasie zupełnie przestałam ich słuchać.

Nie mogłam się już doczekać wieczoru z Beau. Długo zastanawiałam się nad ubiorem. W końcu włożyłam czarną, aksamitną suknię bez rękawów, z głęboko wyciętym dekoltem. Sukienka była dopasowana w talii, potem zamieniała się w suto marszczoną spódnicę, kończącą się w połowie

ładki. Początkowo zamierzałam włożyć perły, ale w ostatniej chwili rozmyśliłam się i zawiesiłam na szyi tylko łańcuszek od Beau. To niesamowite, jak podkreślał on linię szyi i biustu. Wystarczyło, że przymknęłam oczy, a niemal czułam palce Beau przesuwające się po moich ramionach ku piersiom.



W uszy wpięłam małe złote kolczyki z perełkami, na palec wsunęłam pierścionek od Louisa. Dostałyśmy z Gisselle pół tuzina różnych perfum. Wybrałam zapach, przypominający świeżą woń kwitnących róż. Włosy zostawiłam rozpuszczone, tylko podpięłam je na bokach. Grzywkę przydałoby się przyciąć. Uśmiechnęłam się do siebie, przypomniawszy sobie, jak zazwyczaj robiła to babunia. Potem długo szczotkowała moje ciemnorude włosy, bez końca opowiadając, jak kiedyś tak samo czesała moją matkę.

Gisselle zaskoczyła mnie, wybierając podobną sukienkę, tyle że ciemnoniebieską. Nałożyła o wiele więcej biżuterii: dwa sznury pereł, długie, zwisające kolczyki z perłami, na każdej ręce miała złotą bransoletkę - jedną otrzymaną od Bruce'a - a na palcach pół tuzina pierścionków. Na jej nodze również połyskiwał złoty łańcuszek. Podobnie jak ja miała rozpuszczone włosy, ale nie podpięła ich na skroniach, makijażu zaś sobie nie szczędziła: nałożyła tak grubą warstwę tuszu do rzęs i szminki, że musiałyby się całować godzinami, zanim ta by zeszła.

-1 jak wyglądam? - spytała stając w progu mojego pokoju.

- Bardzo ładnie - odparłam.

Wiedziałam, że gdybym ją skrytykowała, odęłaby się, a potem godzinami wyrzekała, jaką ma zazdrosną siostrę.

- Ładnie? To znaczy: schludnie? - spytała, krzywiąc się. Przypatrywała mi się przez chwilę, porównując. - Dlaczego nie nałożyłaś więcej pudru? Piegi ci ciągle prześwitują.

- Mnie moje piegi nie przeszkadzają. Beau zresztą też -dodałam z naciskiem.

- Kiedyś przeszkadzały - stwierdziła ze złośliwym błyskiem w oku. A kiedy nie zareagowałam, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Schodzę na dół.

- Za chwilę zejść i ja.

Kiedy zaraz potem znalazłam się na dole, Gisselle siedziała w wózku na środku salonu, rozglądając się wokół, ogromnie z siebie zadowolona.

- To będzie najlepszy sylwester, o jakim kiedykolwiek słyszano - zapowiedziała. - Nigdy go nie zapomnisz. - Przyglądała mi się przez chwilę. - Czy ty w ogóle miałaś kiedyś udanego sylwestra na rozlewiskach?

-Tak.

-1 cóż wtedy robiłaś? Łowiłaś ryby? - spytała pogardliwie.

- Nie. Urządzano bal w mieście. Całą główną ulicę zamykano, sklepikarze i pozostali mieszkańcy wystawiali jedzenie. Były fajerwerki, cały czas przygrywała muzyka *fais dodo*.

- Ach, *fais dodo*, zapomniałam. Tańczyliście na ulicach?

- Tak. - Wróciłam pamięcią do tamtych dni i ogarnął mnie smutek. - Stawaliśmy się wtedy jedną, wielką, świętującą rodziną.

- To musiało być beznadziejne - stwierdziła, ale widziałam, że sama nie wierzy w to, co mówi.

- Nie trzeba wydawać furi pieniędzy i wkładać drogich strojów, żeby się dobrze bawić, Gisselle. Prawdziwie dobra zabawa rodzi się tu. - Przyłożyłam rękę do serca.

- Ja bym wskazała nieco inne miejsce - odparła i parsknęła śmiechem.

- Co was tak rozbawiło? - odezwała się Daphne, wchodząc razem z Bruce'em do salonu.

Oboje byli ubrani i gotowi do wyjścia. Bruce w smokingu prezentował się naprawdę sztywnie, Daphne zaś, musia-

łam to przyznać, nigdy nie wyglądała piękniej. Miała na sobie długą, wąską suknię w kolorze burgunda, ozdobioną przy dekolcie kryształami górskimi, do tego bolerko również obszyte kryształami. Głębokie wycięcie stanika odsłaniało tylko odrobinę biustu, resztę pozostawiając wyobraźni. Daphne nie włożyła żadnego naszyjnika, by nie odciągał uwagi od strojnej sukni, ale w jej uszach połyskiwały kolczyki też z kryształu górskiego. Włosy uczesała we francuski warkocz, zostawiając jedynie pasemka grzywki.

- Cajuński Nowy Rok - odparła kpiąco Gisselle.

- Ach, tak - powiedziała Daphne, kiwając głową, jakby dawała do zrozumienia, że doskonale wie, co w tym takiego zabawnego. - Zajrzeliśmy tylko życzyć wam szczęśliwego Nowego Roku. Pamiętajcie, nie życzę sobie tu pijackich orgii. Uszanujcie ten dom. Bawcie się, ale jak prawdziwe damy.

- Oczywiście, mam - zapewniła Gisselle. - Wy też dobrze się bawcie.

Daphne zerknęła na mnie.

- Ładnie wyglądacie - stwierdziła.

- Dziękuję.

- Czy mogę pocałować moje przyszłe pasierbice, życząc im szczęśliwego Nowego Roku? - spytał Bruce.

- Jasne - przyzwoliła Gisselle.

Schylił się i lekko musnął ją w policzek. Przymknęła oczy, spodziewając się pocałunku w usta. Potem Bruce podszedł z uśmiechem do mnie i położył mi ręce na ramionach.

- Jesteś jak zwykle piękna - szepnął i pochylił się, by mnie pocałować.

W ostatniej chwili zdążyłam się uchylić, tak że pocałunek wylądował na policzku, zamiast na ustach.

Bruce przyglądał mi się przez moment, wreszcie roześmiał się.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - zawołał i dołączył do Daphne, by towarzyszyć jej na bal.

- Szczęśliwej drogi - mruknęła Gisselle. - Napijmy się, póki reszta nie przyjdzie - zaproponowała, kierując się w stronę barku. - Co ci zrobić? Rum z colą?

Podniosła się z wózka, żeby ponalewać.

- Dziękuję, sama sobie coś przygotuję - odmówiłam, przypomniawszy sobie, jak to już raz Gisselle próbowała mnie upić.

- Świetnie. W takim razie zrób drinka i dla mnie - powiedziała, z powrotem opadając na wózek. Nalałam i podałam jej szklankę. - A więc, droga siostrzyczko, wznoszę toast za nowy rok. Oby był szczęśliwszy niż ten. I pełen zabawy, zabawy, zabawy.

- Dla wszystkich, których kochamy - dodałam. Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Dla wszystkich, których kochamy.

Wypiłyśmy, a w chwilę potem zadzwieczał dzwonek u drzwi.

- Zaczynamy! - zawołała Gisselle, podjeżdżając do progu.

Uparcie tkwiła w wózku, żeby tym wyraźniejszy był kontrast, gdy wstanie i zacznie chodzić.

Zaproszeni goście Gisselle przyszli nieco przed czasem. Wieść o planowanych ekscesach szybko się rozeszła. Kiedy w końcu zjawił się Beau, wszyscy już się bawili, a większość zdążyła wychylić przynajmniej dwa drinki. Muzyka dudniła, część jedzenia już zniknęła.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż to sobie wyobrażałem

- skomplementował mnie Beau, gdy przywitałam go w drzwiach.

Pocałowaliśmy się i dołączyliśmy do reszty towarzystwa. Wszyscy głośno rozprawiali. Część gości wlało już w siebie więcej alkoholu, niż mogli sobie na to pozwolić i zachowywali się beznadziejnie.

- Znosi się na jedno z typowych przyjęć Gisselle - próbował przekrzyczeć gwar rozmów Beau.

Potańczyliśmy, zjedliśmy trochę i wypiliśmy co nieco razem z innymi.

O dziesiątej Gisselle, tak jak to sobie wcześniej zaplanowała, kazała trochę ściszyć muzykę i zapowiedziała, że oto po raz pierwszy od wypadku zatańczy. John stał przy niej, kiedy udawała, że z nadludzkim wysiłkiem dźwiga się z wózka. Padła mu w ramiona, po czym postawiła pierwsze

- zdaniem gości - taneczne kroki. Wszyscy klaskali i gwizdali, gdy Gisselle z Johnem sunęła po parkiecie. W jakiś czas potem Gisselle poleciała jednej z dziewcząt, by pogasiła większość świateł.

Dopiero wtedy zaczęła się szampań-

ska zabawa. Wszyscy połączyli się w pary.

- Nie obchodzi mnie, gdzie się ulokujecie - oznajmiła Gisselle - bylebyście tylko nie zostawili tam po sobie śladów.

Oczywiście, góra jest wykluczona.

- Chodźmy stąd - szepnął Beau.

Wymknęliśmy się przy pierwszej okazji. Beau zawahał się, zastanawiając się, gdzie by tu się skryć. Pchnęłam go lekko i wbiegliśmy na górę, do mojego pokoju.

- Nie chcę z nimi witać Nowego Roku - oznajmiłam. - Stali mi się zupełnie obcy.

- Mnie też.

Pocałowaliśmy się i oboje równocześnie spojrzeliśmy na moje łóżko. Przysiadłam na brzegu, Beau obok mnie.

- Mogę włączyć radio - zaproponowałam. Podniosłam się i włączyłam odbiornik, szukając jakiejś dobrej muzyki. Nie wiedziałam dlaczego, ale nagle ogarnął mnie niepokój. Ręce mi drżały na gałce, w brzuchu mnie łaskotało. Czułam się, jakby to była nasza pierwsza randka. W końcu wybrałam stację, która nadawała transmisję z wielkiej sali balowej jednego ze śródmiejskich hoteli, dzięki temu oprócz muzyki słyszeliśmy gwar bawiącego się tłumu. Od czasu do czasu włączał się sprawozdawca, odliczając, ile jeszcze dzieli nas od Nowego Roku.

- Co jest takiego wyjątkowego w tym dniu? - zastanawiałam się na głos.

Beau zamyślił się.

- Pewnie to, że daje ludziom nadzieję na coś nowego, lepszego. - Roześmiał się. - Kiedyś miałem taką zabawkę, magiczną tablicę. Pisało się na niej, rysowało i wystarczyło podnieść pokrywę, a wszystko zniknęło i można było zacząć od nowa. Może właśnie coś takiego ludzie czują w Nowy Rok. Mogą podnieść magiczną płytę i od początku pisać swoje życie.

- O, gdybym mogła to zrobić. Ale chciałabym wymazać z mego życia znacznie więcej niż tylko jeden rok.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. W jego oczach malowało się współczucie.

- Zamożna młodzież, taka jak Gisselle czy ja albo reszta tego wstawionego towarzystwa na dole, nie ma zielonego pojęcia, jak ciężkie było twoje życie, Ruby. - Wziął mnie za rękę, nie odrywając ode mnie wzroku. - Jesteś niczym dziki kwiat. My byliśmy rozpieszczani, psuci, dawano nam co najlepsze, podczas gdy ty musiałaś walczyć o wszystko. Ale wiesz co, Ruby? Dzięki tym zmaganiom, posiadałaś więcej siły, stałaś się piękniejsza. Właśnie jak ten dziki kwiat wyrosłaś wysoko ponad

wszystko, co przeciętne, ponad chwasty. Jesteś wyjątkowa. Od początku zdawałem sobie z tego sprawę, od chwili, gdy pierwszy raz na ciebie spojrzałem.

- Och, Beau, jakie piękne jest to, co mówisz. Przyciągnął mnie do siebie, a ja nie stawiałam oporu.

Nasze usta spotkały się, otoczył mnie ramionami. Potem delikatnie, czule obrócił mnie tak, byśmy usiedli na łóżku.

Całował moje włosy, czoło, oczy, czubek nosa, aż wreszcie znowu dotknął wargami moich ust. Kiedy nasze języki zetknęły się, poczułam, jak się rozplływam.

- Tak ślicznie pachniesz - szepnął. - Czuję, jakbym się znalazł w ogrodzie.

Wodził rękami po moich plecach, aż natrafił na suwak. Kiedy go rozsunął, tak że sukienka się rozchyliła, z jękiem opadłam na poduszkę. Beau muskał ustami moją brodę, szyję, aż wreszcie dotarł do zagłębienia między piersiami.

- Beau, ryzykujemy - szepnęłam, ale równocześnie przywierałam do niego, jakbym chciała zaprzeczyć samej sobie.

- Wiem - odparł. - Będziemy ostrożni - obiecał, równocześnie zsuwając ze mnie sukienkę.

Leżałam z sukienką opuszczoną do pasa. Beau usiadł, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i rozpiął koszulę, podczas gdy ja wpatrywałam się w niego, w jego twarz, na którą padał blask księżycowej poświaty wlewającej się przez okna, nadającej mu jakiegoś niezmiernie wyrazu, tak że wydawał mi się ucieleśnieniem najbardziej szaleńczych wyobrażeń. Zamknęłam oczy i nie otwierałam ich, póki nie poczułam na sobie jego nagiego torsu. Chwilę zmagił się z zapięciem stanika, a gdy już go rozpiął, pieścił moje piersi, całując je delikatnie, póki nie odsunęłam go i nie przywarłam ustami do jego warg.

Wsunął mi ręce pod sukienkę, szukając majtek. Powinnam była go wtedy zatrzymać, tymczasem pozwoliłam mu je zdjąć, a w chwilę potem usłyszałam jego jęk i szeptał swoje imię, gdy wsuwał we mnie swój nabrzmiały członek.

- Beau! - próbowałam słabo go powstrzymać.

- To jest piękne, Ruby. Piękne. To musi nastąpić. Inaczej nie kochalibyśmy się tak mocno, jak się kochamy.

Nie opierałam się. Pozwoliłam mu wejść i dotykać mnie głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Unosiłam się i opada-

łam, wyobrażając sobie, że płynę łodzią po wodach tuż przy oceanie, gdzie kołyszą nią fale morza. Z każdym uniesieniem czułam się coraz lżejsza, aż w pewnym momencie pomyślałam, że ulecę niczym balon.

Nie wiem, ile razy Beau wypowiedział moje imię. Nie pamiętam też, co ja mówiłam, lecz tym razem

kochaliśmy się tak namiętnie, że doprowadził mnie do łez. Przez dłuższą chwilę czułam się, jakbyśmy oboje się roztopili, tacy byliśmy rozplómieni. Objęłam go z całej siły, jakbym się bała, że spadnę z łóżka.

Szczytowaliśmy równocześnie, obsypując się pocałunkami, wodząc ustami po swoich twarzach, jak dwoje ludzi konających z głodu czułości, dotyku, pragnienia. Dławiliśmy nasze krzyki wtulając wargi w ramiona i szyję drugiego, wreszcie opadliśmy ciężko dysząc, z łomocącymi sercami, oboje tak zaskoczeni swoją namiętnością, że mogliśmy się tylko śmiać.

- Dotknij - powiedział Beau, kładąc sobie na sercu moją rękę.

- A ty dotknij mojego.

Leżeliśmy obok siebie, każde wsłuchane w bicie serca drugiego.

Długo tak trwaliśmy bez słowa. W końcu Beau usiadł, pochylił się nade mną, patrząc na mnie z czułością.

- Jesteś cudowna - powiedział. - Kocham cię. Nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo.

- Naprawdę, Beau? I będziesz mnie kochał po kres swoich dni?

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym przestać - odparł, całując mnie delikatnie.

W radio podniecony sprawozdawca zaczął odliczanie.

- Dziesięć, dziewięć, osiem...

Beau wziął mnie za rękę i zaczęliśmy odliczać razem z nim.

-Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Rozbrzmiały dźwięki *Auld Lang Syne*.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Ruby.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Beau.

Znowu pocałowaliśmy się i objęli. Przez chwilę rzeczywiście mieliśmy wrażenie, że nic i nikt nie zdoła nas rozdzielić. Od bardzo już dawna nie czułam się tak szczęśliwa i spokojna. To było wspaniałe uczucie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo go pragnęłam.

Ubraliśmy się, przyczesaliśmy włosy i doprowadziliśmy nasze ubrania do ładu, tak że wyglądaliśmy prawie tak samo świeżo i elegancko jak na początku zabawy. Potem zesliśmy na dół, sprawdzić, co

porabia Gisselle i jej go-

ście.

Natychmiast tego pożałowałam. Zaraz na wstępie natknęłam się na dwóch chłopców, którzy pędzili do toalety, ale nie zdążyli. Teraz stali pośrodku salonu, wymiotując i spluwając, na zmianę, to jęcząc, to zanosząc się głupawym śmiechem. W całym domu cuchnęło winem i whisky.

W szaleństwie, które ogarnęło wszystkich z wybiciem północy, pozrywano wszystkie dekoracje. Wszędzie walały się popękane balony. W salonie panował nieopisany nieład. Co gorsza, pokój wyglądał tak jakby stoczono w nim walkę na jedzenie; na podłodze kałuże z trunków, na meblach ciastka i kawałki kanapek, na ścianach, stołach, a nawet oknach plamy z musztardy i majonezu. Potem okazało się, że nasze podejrzania były słuszne.

Część młodzieży leżała parami na podłodze. Obejmowali się i chichotali głupio. Inni, odczuwając już skutki nie-umiarkowania, siedzieli z przymkniętymi oczami, trzymając się za brzuchy. Dwóch chłopców jeszcze królowało przy barku, racząc się trunkami. Oczywiście muzyka dudniła na cały regulator, tak że omal nam nie popękały bębni.

- Gdzie Gisselle? - wrzasnęłam.

Większość popatrzyła na mnie obojętnie. Antoinette wyrwała się z objęć chłopca, który spał z głową na jej ramieniu i podeszła do nas.

- Twoja siostra jakąś godzinę temu zerwała się z Johnem.

- Zerwała się? Gdzie oni są? Antoinette wzruszyła ramionami.

- Czy wyszli z domu?

- Nie sądzę. - Roześmiała się. - Nic jej nie bolało. Och, szczęśliwego Nowego Roku, Beau - powiedziała, pochylając się, żeby go pocałować.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odparł, całując ją lekko w policzek.

Odsunęła się rozczarowana i wróciła do swego pijanego partnera.

- Nie poszła do siebie - zwróciłam się do Beau. - Na pewno byśmy ją usłyszeli. Daphne szlag trafi, kiedy wróci i to wszystko zobaczy. Musimy odszukać Gisselle. Niech każe tym ludziom posprzątać i wynieść się stąd.

- Rzeczywiście nie wygląda to zbyt zachęcająco - stwierdził Beau, wodząc wzrokiem po salonie. - Ale poszukajmy, może nam się uda ją znaleźć.

Przetrząsnęliśmy cały parter. W gabinecie Daphne natknęliśmy się na splecioną parę, wygoniliśmy ich stamtąd, lecz Gisselle nie odnaleźliśmy. Skoczyłam na górę przeszukać pozostałe sypialnie, ale wróciłam z niczym. Sprawdzili-

śmy nawet w kuchni i w pokojach służby.

- Może poszli do przebieralni przy basenie - podsunął Beau.

Zajrzeliśmy i tam, ale nikogo nie znaleźliśmy.

- Gdzie ona mogła się podziać? Widocznie jednak wyszli - zastanawiał się Beau.

- Nie sprawdziliśmy tylko w jednym miejscu, Beau.

- Gdzie?

Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam z powrotem do domu. Przeszliśmy nad śpiącym chłopcem rozwalonym na środku hallu i skierowaliśmy się do mojej pracowni. Już z daleka dobiegł nas chichot Gisselle. Spojrzałam na Beau i pchnęłam drzwi. Przez chwilę żadne z nas nie wierzyło własnym oczom.

John leżał nagi na sofie, Gisselle zaś, ubrana tylko w bieliznę, malowała go. Ramiona i tors pochłapała mu czerwoną i zieloną farbą, na nogach widniały długie maź-nięcia żółtego, a gdy weszliśmy Gisselle była pochłonięta paćkaniem na czarno jego intymnych części ciała. John najwyraźniej był zbyt pijany, by mu to przeszkadzało. Pękał za śmiechu razem z nią.

- Gisselle! - wrzasnęłam. - Co ty wyprawiasz? Odwróciła się kołysząc lekko na nogach i próbując nas zidentyfikować.

-Ooo... patrzcie, kto przyszedł... Nasi kochankowie -wybełkotała i znowu wybuchnęła śmiechem.

- Co ty tu robisz?

- Co robię?

Spojrzała na Johna, który leżał z zamkniętymi oczami z głupawym wyrazem twarzy.

- Och, maluję Johna. Powiedziałam mu, że jestem równie utalentowana jak ty. Skoro ty mogłaś malować Beau, ja mogę jego. Zgodził się. - Parsknęła śmiechem. - Prawda, John?

- Noo - zgodził się.

- Zabieraj się z tej sofy - rozkazał Beau. -I natychmiast się ubierz, ty kretynie.

John dźwignął głowę.

- O, cześć, Beau. Czy już zaczął się nowy rok?

- Dla ciebie zaraz się skończy, jeśli natychmiast nie wstaniesz i nie ubierzesz się.

-He?

- Gisselle, widziałaś, co twoi goście zrobili z mieszkaniem? Jak długo cię tam nie było?

- A jak długo ciebie tam nie było, droga siostrzyczko? -odparowała, posyłając mi lepki uśmiezek i



chwiejąc się na nogach.

- Zniszczyli całe mieszkanie! Jakies gnojki rzygają na korytarzu. Ściany są upaprane jedzeniem...

- Oho, brzmi to groźnie.

- Beau! - zawołałam.

Podbiegł, chwycił Johna za bary i pomógł mu wstać. Potem pchnął go w drugi koniec pracowni i zmusił, żeby zaczął

się ubierać.

- Ubieraj się, Gisselle i jazda do swoich gości. Masz im kazać posprzątać, nim wróci Daphne.

-Och, przestań się zamartwiać Daphne. Daphne... będzie dla nas milutka, bo chce wyjść za Bruce'a i zachować pozory, że jesteśmy szczęśliwą, szacowną, nowoorleańską rodziną. Zawsze za bardzo się przed nią trzęsłaś. Boisz się własnego, cajuńskiego cienia - zakpiła.

Podeszłam o krok i cisnęłam jej w twarz sukienkę.

- Ale nie aż tak, żeby nie skreślić ci karku. Wkładaj to. Natychmiast!

- Przestań się drzeć. To Nowy Rok. Wszyscy się bawią. Ty też nieźle się zabawiałaś, co?

- Ale niczego przy tym nie zniszczyłam. Spójrz na moją pracownię!

Gisselle porozchlapała farby, podarła płótna, wysmarowała wszystkie stoły i krzesła.

- Służba po nas posprząta. Od tego tu są - stwierdziła, wkładając sukienkę.

- Nie ten bałagan, i nie to, co twoi goście zrobili w salonie. Nawet niewolnik by się zbuntował - odparłam.

Ale moje słowa nie odniosły żadnego skutku. Gisselle była zbyt pijana, by słuchać albo czymkolwiek się przejmować. Beau udało się jakoś ubrać Johna i w końcu wypchnęliśmy tę dwójkę z pracowni i zaprowadziliśmy do salonu.

Nawet Gisselle zdumiały rozmiary klęski. Część młodzieży, uświadomiwszy sobie, co narobili, już uciekła. Ci, którzy zostali, niezbyt się nadawali do sprząkania i usuwania śladów zniszczeń.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - krzyknęła Gisselle. -No, chyba pora zabrać się do porządkowania.

Zachichotała i zaczęła zbierać szklanki, ale wzięła ich za dużo i kilka upuściła, tłukąc trzy.

- Ona jest kompletnie do niczego - powiedziałam do Beau.

- Zaciągnę ją w jakiś kąt, żeby usiadła i nie przeszkadzała - zaproponowałam.

A kiedy to robił, ja próbowałam namówić gości, żeby pomogli pozbierać talerze i szklanki, porozstawiane na podłodze. Kilka znaleźliśmy pod kanapą, trochę za fotelami, inne na półkach albo pod stołami.

Przeszłam do kuchni, nalałam do miednicy wody, wrzuciłam mydło i kilka gąbek. Kiedy wróciłam, okazało się, że większość gości uciekło. Ci, którzy zostali, próbowali pomóc. Razem z Antoinette krążyłyśmy po salonie, zeskrobu-jąc ze ścian, co się dało, ale niektóre plamy za nic nie chciały zejść. To było ponad nasze siły.

- Tu trzeba by zatrudnić całą armię, Beau!

- Przynajmniej pozbądźmy się ich wszystkich - powiedział.

Oświadczył, że zabawa się skończyła. Pomógł chłopcom wyjść z domu, dopilnował, żeby za kierownicą usiedli ci najmniej pijani. Kiedy już wszyscy sobie poszli, przyjrzelśmy się, co jeszcze należałoby zrobić. Gisselle spała rozwalona na podłodze przy kanapie i głośno chrapała.

- Ty lepiej też już idź, Beau - poprosiłam. - Chyba nie chcesz tu być, kiedy zjawi się Daphne.

- Jesteś pewna, że powinienem sobie pójść? Mógłbym poświadczyć, że...

- Ze co? Że w czasie gdy Gisselle z przyjaciółmi rujnowała mieszkanie, my kochaliśmy się na górze?

- O, rany - westchnął. - Co jej powiesz?

- Nic. Lepsze to niż kłamstwa. Pokręcił głową.

- Pomóc ci zawlec ją na górę? - spytał, wskazując ruchem głowy Gisselle.

- Nie, niech tu zostanie.

Odprowadziłam go do drzwi, gdzie pocałowaliśmy się na pożegnanie.

- Zadzwoń jutro... może - powiedział, podnosząc brwi. Patrzyłam za nim, póki nie zniknął, potem zamknęłam drzwi i wróciłam do salonu czekać na nieuchronną burzę, która wkrótce rozpełta się nad moją głową.

\* \* \*

Siedziałam w wygodnym fotelu naprzeciwko Gisselle, która nadal leżała nieprzytomna na podłodze. Zwymiotowała, ale nawet tego nie poczuła. Zegar wybił drugą. Zamknęłam oczy i otworzyłam je dopiero, gdy poczułam, że ktoś mnie szarpie. Podniosłam wzrok, zobaczyłam nad sobą rozwścieczoną twarz Daphne. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem ani co się stało, ale Daphne postarała się, żeby nie trwało to długo.

- Co wyście narobili! Co wyście narobili! - wrzeszczała, zbliżając do mojej twarzy wykrzywioną furią twarz.

Bruce stał w progu, cmokając ustami.

- Ja w tym nie uczestniczyłam, Daphne - odparłam, prostując się. - Masz przed sobą to, co Gisselle wraz z jej przyjaciółmi określają mianem dobrej zabawy. Ja jestem tylko zadowoloną Cajunką. Nie wiem, co to znaczy dobra zabawa.

- Co ty wygadujesz? To w ten sposób odpłacasz mi za moją wyrozumiałość i dobroć?

Głośny jęk Gisselle zmienił kierunek ataku Daphne.

- Wstawaj! - rozdarła się na nią. - Słyszysz, Gisselle? Wstawaj natychmiast!

Powieki Gisselle drgnęły, ale nie otworzyła oczu. Stęknęła i znowu zapadła w sen.

- Bruce! - krzyknęła Daphne.

Westchnął i wszedł do środka. Ukląkł przy Gisselle, wsunął pod nią ramiona i nie bez trudu dźwignął ją z podłogi.

- Zabierz ją na górę - rozkazała Daphne.

- Na górę?

- W tej chwili, słyszysz? Nie chcę na nią patrzeć!

- Przewiozę ją na wózku - stwierdził, kładąc na nim Gisselle, nie zwróciwszy nawet uwagi na krem z ciastek, którym miała wysmarowane siedzenie.

Gisselle siedziała niczym szmaciana lalka, z głową przechyloną na bok. Znowu jęknęła. Bruce pchał wózek tak samo jak dziadunio Jack pchałby taczkę z padliną - z wyprostowanymi rękami, odwracając głowę, by znaleźć się jak najdalej od tego smrodu. Ledwo Bruce z Gisselle zniknęli, Daphne znowu rzuciła się na mnie.

- Co tu się działo?

- Obrzucali się jedzeniem - wyjaśniłam. - Za dużo wypili. Niektórzy źle znosili alkohol i zwymiotowali. Reszta była zbyt pijana, by się kontrolować. Tłukli szklanki, kładli się spać na podłodze. Gisselle pozwoliła im buszować po całym parterze. Jedną parę znalazłam w twoim gabinecie.

- Moim gabinecie?! Dotykali czegoś?

- Najwyżej siebie, jeśli pytasz mnie o zdanie - odparłam sucho. Ziewnęłam.

- Cieszysz się, że do tego doszło, co? Uważasz, że to czegoś dowiodło.

Wzruszyłam ramionami.

- Na rozlewiskach widywałam nieraz rozrabiających pijaków. - Pomyślałam o dziaduniu Jacku. - Wierz mi: pijani Kreole niczym nie różnią się od innych ludzi.

- Liczyłam, że dopilnujesz porządku - powiedziała, kręcąc głową.

- Ja? Dlaczego zawsze ja? Dlaczego nie Gisselle? To ją lepiej wychowano niż mnie, prawda? To ona obracała się w wyższych sferach, jej dano to wszystko! - krzyknęłam, wskazując ręką pokój.

- Jest upośledzona.

- Ależ skądże. Sama przecież widziałaś.

- Nie chodzi mi o jej nogi, miałam na myśli... jej... jej...

- To po prostu rozpuszczona, samolubna pannica, którą sama tak wychowałam.

Daphne dyszała z wściekłości.

- Mam już dość zachowywania pozorów - wybuchnęła. - Kiedy Gisselle się obudzi, możesz jej powiedzieć, że jedzie-cie obie do Greenwood, choćby się paliło, waliło. - Rozejrzała się po salonie.

- Będę musiała zamówić ekipę, która to wszystko oczyści i ponaprawia, a kosztami obciążę was obie, z waszego kieszonkowego. To też jej powiedz.

- Sama jej to powiedz.

- Nie bądź bezczelna. Wiem, dlaczego do tego dopuściłaś. Pewnie w ogóle cię przy tym nie było, tak? Pewnie ty i ten twój kochaś zaszyliście się gdzieś - rzuciła mi w twarz oskarżenie. - Czuję, jak zalewam się rumieńcem. To ją przekonało o słuszności jej podejrzeń. - Cóż, wcale mnie to nie dziwi. Oto skutki dawania ludziom drugiej szansy.

- Przepraszam, że tak się stało, Daphne - odezwałam się cicho. Nie chciałam, żeby zrzuciła winę na Beau. - Naprawdę przepraszam. Nie mogłam nic poradzić. To Gisselle wszystkim rządziła. To byli jej przyjaciele. Nie próbuję obarczać jej winą. Po prostu tak wygląda prawda. I tak by mnie nie usłuchali. Nie mam u nich żadnego autorytetu.

- Ale to jest również twój dom - podkreśliła z naciskiem Daphne.

- Nigdy nie dałaś mi tego odczuć. Ale i tak żałuję tego co się stało.

- Idź już spać. Jutro się tym zajmiemy. Aż do momentu powrotu do domu był to jeden z najlepszych sylwestrów, jakie miałam od lat.

Ruszyła do wyjścia.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego w nowym roku - wymamrotałam i poszłam do siebie.

Gisselle nie wynurzyła się z łóżka aż do południa, Daphne zresztą też. Zjadłam śniadanie z Bruce'em.

- Jest potężnie rozżłoszczona - powiedział. - Ale jakoś ją ułagodzę. Choć wątpię, żeby udało mi się wyperswadować jej odesłanie was do Greenwood.

- Wcale mi na tym nie zależy - odparłam.

W tym momencie marzyłam tylko o tym, by wyrwać się z tego domu. Po śniadaniu poszłam na patio przy basenie i zdrzemnęłam się na słońcu. Trochę po pierwszej poczułam, że ktoś obok mnie stoi. Otworzywszy oczy, ujrzałam Gisselle. Wyglądała koszmarnie - w ciemnych okularach, z potarganymi włosami, z twarzą bladą jak u upiora.

Narzuciła na siebie peniuar, spod którego prześwitywała jej wczorajsza bielizna

- Daphne mówiła, że zrzuciłaś całą winę na mnie - zaatakowała.

- Powiedziałam tylko prawdę.

- A wspomniałaś przy tym, że cały wieczór spędziłaś na górze z Beau?

- Nie spędziliśmy tam całego wieczoru, ale nie musiałam jej o tym wspominać. Sama na to wpadła.

- Nie mogłaś czegoś wymyślić? Zrzucić winy na kogoś z gości albo coś w tym sensie...

- A któż by w to uwierzył, Gisselle? Zresztą, o co masz pretensję? Nie przejmowałaś się zupełnie, kiedy próbowałam zagonie twoich przyjaciół do pomocy przy sprzątanii. Gdyby ostro wzięli się do roboty, może nie wyglądałoby to aż tak strasznie.

-Dzięki. Wiesz, co powiedziała, prawda? Musimy wracać do Greenwood. W ogóle nie chce mnie słuchać Nigdy jeszcze me była taka wściekła.

- Może tak będzie i lepiej.

- Tego należało się po tobie spodziewać. Dla ciebie to nie ma znaczenia. Znakomicie spędzasz czas w Greenwood: dobrze się uczysz, masz swoją pannę Stevens i Louisa.

- Louis wyjechał, a trudno nazwać znakomitym pobyt w szkole, z której dyrektorka omal mnie nie wyrzuciła za twoje postęпки - przypomniałam jej.

- To dlaczego chcesz wracać?

- Bo dość już mam użerania się z Daphne. Jestem tym śmiertelnie zmęczona.

- Raczej głupia. Głupia egoistka.

- Ja? Nazywasz mnie egoistką?

- Bo nią jesteś. - Ścisnęła palcami skronie. - O, moja głowa. Mam wrażenie, że w środku ktoś gra w tenisa. Nie masz kaca?

- Nie piłam aż tyle.

- Nie pi-ła-m aż tyle - przedrzeźniła mnie. - Wraca nasza świętoszka. Mam nadzieję, że teraz jesteś szczęśliwa

-jęknęła.

Obróciła się na pięcie, ale nie pobiegła. Musiała iść wolno, żeby nie urazić obolałej głowy.

Uśmiechnęłam się. Dostała nauczkę - pomyślałam. Wiedziałam jednak, że choćby nie wiadomo co sobie obiecywała i jakie przysięgi składała, wszystko to pójdzie w zapomnienie, ledwo ból ustąpi.

Dwa dni później pakowałyśmy się przed podróżą do Greenwood, tyle że tym razem wózek został w domu. Gisselle chciała go zabrać, twierdząc, że jest jeszcze za słaba, by wszędzie chodzić, lecz Daphne, to trzeba jej przyznać, nie kupiła tej bajeczki. Stwierdziła, iż nie dopuści, by Gisselle żerowała na współczuciu innych, wykorzystując chorobę jako usprawiedliwienie swoich postępów.

- Skoro możesz chodzić po domu, tańczyć i rozrabiać, możesz również chodzić na lekcje - oświadczyła. - Zadzwońłam do opiekunki bursy i podzieliłam się z nią dobrymi wieściami. Wszyscy już wiedzą o twoim cudownym wyzdrowieniu. Mam nadzieję, że twoje wyniki w szkole przejdą równie cudowną metamorfozę.

- Ależ mam - błagała Gisselle - nauczyciele w Greenwood mnie nienawidzą.

- Jestem pewna, że ci w Nowym Orleanie też. Pamiętaj, co ci powiedziałam: jeśli nie sprawdzisz się w Greenwood, wyślę cię do jeszcze surowszej szkoły, otoczonej drutami kolczastymi - zakpiła, zostawiając Gisselle z otwartymi ustami. Tak oto wyglądało czułe, matczyne pożegnanie w wersji Daphne.

Droga do Greenwood upłynęła w grobowym milczeniu. Gisselle od czasu do czasu pociągała nosem i wzdychała. Ja usiłowałam większość podróży przespać. Kiedy zjawiłyśmy się na miejscu, przyjęto nas - a przynajmniej Gisselle -

niczym bohaterki. Jej policzki na chwilę zabarwił rumieniec zadowolenia. Pani Penny wraz z pozostałymi dziewczętami zebrały się przed wejściem, by powitać Gisselle i być pierwszymi w Greenwood świadkami jej cudownego powrotu do zdrowia. Ledwo je zobaczyła, nastrój jej uległ natychmiastowej poprawie.

- Tu-du! - zawołała, wysiadając z samochodu.

Pani Penny klasnęła w dłonie i wybiegła, by ją uściskać. Dziewczęta otoczyły ją, zasypując pytaniami: Jak to się sta-

ło? Kiedy zrozumiałaś, że możesz chodzić? Czy to bolało? Co powiedzieli lekarze? Jak zareagowała twoja mama?

Jak daleko możesz już chodzić?

-Nadal jestem nieco osłabiona - oznajmiła Gisselle, wspierając się na Samancie. - Czy ktoś mógłby mi podać moją kurtkę? - spytała omdlewającym głosem. - Zostawiłam ją w samochodzie.

- Zaraz ci przyniosę - zaoferowała się Vicki. Wzniosłam oczy ku niebu. Czy to możliwe, że tylko ja widzę grę Gisselle? Dlaczego tak ochoczo dają się jej wciągać, oszukiwać, robić z siebie idiotki? Zasłużyły sobie na to. Zasługują na to, by je wykorzystywać, manipulować nimi - pomyślałam w duchu i obiecałam sobie, że od tej pory skoncentruję się wyłącznie na malowaniu.

Dlatego też z prawdziwym zapałem następnego dnia szłam do szkoły. Nie mogłam się doczekać pierwszych zajęć z panną Stevens. Byłam pewna, że poprosi mnie, bym została po lekcjach i opowiemy sobie, jak spędziłyśmy ferie. W

głębi serca uważałam już pannę Stevens za swoją starszą siostrę. Chyba nawet jej to powiem - pomyślałam.

Ledwo jednak weszłam do budynku i skierowałam się do klasy, w której miał się zebrać cały mój rocznik, wyczu-

łam, że coś jest nie w porządku. Domyśliłam się tego, obserwując grupki szepczących dziewcząt, które popatrywały na mnie ukradkiem. Serce zaczęło mi niespokojnie kołatać w piersi, poczułam ucisk w żołądku, miałam wrażenie, jakby fruwało w nim stado os. Przyszłam do szkoły dość wcześnie, więc miałam trochę czasu. Zamierzałam przed zajęciami wpaść do panny Stevens. Pobiełam więc do pracowni i weszłam do środka, przekonana, że zastanę ją tam w fartuchu, z włosami zaczesanymi do góry, pogodnie uśmiechniętą.

Tymczasem stanęłam twarzą w twarz ze starszym panem w malarskim kitlu. Siedział przeglądając rysunki uczennic.

Podniósł wzrok zaskoczony, a ja zdumiona rozglądałam się po sali.

- Hm, dzień dobry - odezwał się.

- Dzień dobry. Panna Stevens jeszcze nie przyszła? - spytałam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Och. Niestety, obawiam się, że panna Stevens już się tu nie zjawi. Nazywam się Longo. Przyszedłem na jej miejsce.

- Co takiego?

Przez moment wydało mi się to jakimś idiotycznym nieporozumieniem. Stałam z pełnym niedowierzania uśmiechem na twarzy, serce biło mi jak szalone.

- Panna Stevens nie wróci - powtórzył tym razem bardziej zdecydowanie. - Rozumiem, że uczęszczała panienka na jej zajęcia?

Potwierdziłam kiwnięciem głowy.

- To jakieś nieporozumienie. Dlaczego nie wróci? Dlaczego? - pytałam.

Wyprostował się.

- Nie znam szczegółów, panno....

- Dumas. Jakich szczegółów?

- Powiedziałem już, nie znam...

Nie czekałam, aż skończy. Obróciłam się na pięcie i wypadłam z sali. Biegłam korytarzem, nieszczęśliwa, łzy pły-

nęły mi po policzkach. Nie ma panny Stevens? Odeszła? Jak mogła to zrobić, nie mówiąc mi ani słowa? Dlaczego mi nie powiedziała? Moja histeria narastała. Nie wiedziałam nawet, gdzie biegnę. Pędziłam po prostu z jednego końca budynku na drugi. Skręciłam i z powrotem ruszyłam do głównego wejścia. Gdy już tam dotarłam, usłyszałam piskliwy chichot Gisselle. Wokół niej zebrała się kolejna grupka dziewcząt, by wysłuchać historii jej cudownego ozdrowienia. Zatrzymałam się i wolno podeszłam w ich stronę. Dziewczęta rozstąpiły się, stałyśmy z Gisselle naprzeciwko siebie.

- Właśnie się dowiedziałam - rzuciła mi w twarz z nieukrywaną satysfakcją.

- Czego się dowiedziałas?

- Wszyscy o tym mówią. Twoja panna Stevens została zwolniona.

- To niemożliwe. Jest wspaniałą nauczycielką. To niemożliwe.

- Podejrzewam, że to nie z tego powodu ją zwolniono -zadrwiła Gisselle i znacząco popatrzyła na dziewczęta, które również uśmiechały się dwuznacznie.

- Więc dlaczego? Dlaczego? Bo pomogła mi w czasie przesłuchania? - naciskałam. Spojrzałam na dziewczęta.

-Niech mi to wreszcie ktoś powie. Która z was wie?

Na moment zapadła cisza. Potem wysunęła się Susan Peck.

- Nie znam szczegółów - odezwała się, zerkając na koleżanki - ale zarzuty, jakie jej stawiano, miały związek z jej niemoralnym prowadzeniem.

- Co? Jakim niemoralnym prowadzeniem? Uśmiechnęły się głupawo w odpowiedzi. Rzuciłam się na Gisselle.

- To nie moja wina! - krzyknęła. - Żelazna Dama sama się o wszystkim dowiedziała.



- Dowiedziała, o czym? Czegóż to takiego mogła się dowiedzieć?

- Dowiedziała się, dlaczego panna Stevens nigdy nie spotyka się z mężczyznami - odparła Debora. - I dlaczego chciała uczyć w żeńskiej szkole.

Dziewczęta parsknęły śmiechem. Serce mi zamarło, a potem zaczęło aż dudnić z wściekłości.

- To wszystko kłamstwa. Kłamstwa.

- To, że odeszła, jest prawdą - stwierdziła Susan. Zadźwięczał pierwszy dzwonek.

- Lepiej chodźmy do klasy. Nie zależy nam chyba, byśmy już pierwszego dnia otrzymały punkty karne za spóź-

nienie.

Grupka rozproszyła się.

- To kłamstwo! - wrzasnęłam do nich wszystkich.

- Przestań robić z siebie przedstawienie - skarciła mnie Gisselle. - Chodź do klasy. Nie cieszysz się? Wróciłaś w końcu do swego ukochanego Greenwood!

- Ty to zrobiłaś! - oskarżyłam. - Nie wiem jak, ale ty zrobiłaś, prawda?

- Jak mogłam to zrobić?

Rozłożyła ręce i powiodła wzrokiem po Vicki, Samancie, Jackie i Kate.

- Przecież nawet mnie tu nie było, kiedy to się stało. Same widzicie: zawsze mnie obarcza winą za wszystko.

Dziewczęta obróciły się i popatrzyły na mnie z niechęcią. Cofnęłam się, a potem ruszyłam do gabinetu pani Iron-wood. Wpadłam jak burza do sekretariatu, aż zaskoczona pani Randle oderwała wzrok od papierów,

- Chcę rozmawiać z panią Ironwood - oświadczyłam.

- Należało wcześniej zapisać się na rozmowę - odparła.

- Chcę z nią rozmawiać natychmiast! - zażądałam. Zdumiał ją mój upór.

- Pani Ironwood jest bardzo zajęta. Ma mnóstwo pracy, właśnie skończyły się ferie i...

- NATYCHMIAST! - rozkrzyczałam się.

Drzwi od gabinetu otworzyły się i stanęła w nich dyrektorka, mierząc mnie gniewnym wzrokiem.

- A cóż to znowu ma znaczyć?

- Dlaczego wyrzucono pannę Stevens? Czy dlatego, że przysłała mi z pomocą podczas przesłuchania? Właśnie dlatego?

Pani Ironwood spojrzała na panią Randle, potem się wyprostowała.

- Po pierwsze - zaczęła - nie jest to odpowiednie miejsce ani pora, by rozmawiać na te tematy, nawet gdybyśmy dopuszczały tego rodzaju dyskusje z uczennicami. Po drugie, za kogo się masz, żeby mi tak tu wpadać z żądaniem?

- To nieuczciwe. Jak można było odgrywać się na niej? To niesprawiedliwe. Była wspaniałą nauczycielką. Nie zależy pani na tym, żeby mieć dobrych wykładowców? Nie ma to dla pani żadnego znaczenia?

- Oczywiście, że ma to dla mnie znaczenie, ale twoja bezczelność również ma dla mnie znaczenie.

Otarłam łzy z policzków i stałam bez słowa. Dyrektorka odrobinę złagodniała.

- Kwestie dotyczące ciała pedagogicznego nie powinny obchodzić uczennic, ale skoro już tu jesteś wyjaśnię ci, że panna Stevens nie została zwolniona, sama złożyła rezygnację.

- Rezygnację? - Pokręciłam głową z niedowierzaniem. - Nigdy by tego...

- Zapewniam cię, że tak właśnie zrobiła. - Zadzwieczał dzwonek. - Był to ostatni dzwonek. Spóźniłaś się na zajęcia.

Dwa punkty karne - warknęła, odwracając się i znikając w gabinecie.

Zamknęła za sobą drzwi, ja tymczasem oszołomiona tkwiłam nieruchomo w miejscu.

- Wracaj lepiej do klasy, panienko, nie pogarszaj dodatkowo swojej sytuacji - ostrzegła pani Randle.

- Ona sama nigdy by nie odeszła - nie dawałam za wygraną, ale posłusznie odwróciłam się i poszłam do klasy.

Jeszcze tego samego dnia posłuchałam plotek i dowiedziałam się, że panna Stevens rzeczywiście sama złożyła rezygnację.

Została oskarżona o niemoralne zachowanie i „wielkodusznie” dano jej szansę odejścia na własną prośbę, dzięki czemu miała niby zaoszczędzić sobie oficjalnego oskarżenia i nieprzyjemnego procesu. Krążyły pogłoski, jakoby jedna z uczennic przyznała się dyrektorce, że panna Stevens próbowała ją uwieść. Oczywiście, nikt nie wiedział

dokładnie, która to dziewczyna, ale ja się domyślałam.

Gisselle miała ogromnie zadowoloną minę, a pani Ironwood, żadna krwi, dostała ją wreszcie.

## Koszmar na jawie

Przez następne dni poruszałam się jak somnambuliczka. Snułam się po korytarzach i po parku jak błędna, niczego wokół nie widząc. Prawie nie reagowałam na to, co do mnie mówią. Nie wiedziałam, czy świeci słońce, czy nie.

Zdarzyło się raz nawet, że po powrocie ze szkoły do bursy zaskoczona zauważyłam, iż cała przemokłam, gdyż padało, a ja nawet tego nie spostrzegłam.

Ciągle miałam nadzieję, że któregoś dnia będzie na mnie czekał w pokoju list od panny Stevens. Na próżno.

Pomyślałam, że boi się, by nie wpędzić mnie w kłopoty; zawsze tak się o mnie troszczyła. Ogromnie było mi jej żal.

Została wyrzucona na skutek obrzydliwych, bezpodstawnych insynuacji. Wiedziałam, że choć pani Ironwood zmusiła ją do złożenia rezygnacji, znajdzie sposoby, by wystawić jej wilczy bilet i uniemożliwić zdobycie innej pracy.

W końcu doczekałam się listu - ale od Louisa. *Kochana Ruby, przepraszam, że tak długo się nie odzywałem, lecz nie chciałem pisać, dopóki nie mogłem tego zrobić własnoręcznie.*

*Tak więc to, co w tej chwili czytasz, jest od początku do końca dziełem moich rąk. Widzę każdą literę, którą kreślę.*

*Nareszcie nie potrzebuję innych, by wykonywali za mnie najprostsze czynności. Nie muszę powierzać innym swoich najskrytszych myśli albo zapominać o wstydzie i prosić o pomoc. Znowu stałem się w pełni sobą, i znowu, to Twoja zasługa.*

*Lekarze zapewniają, że odzyskałem wzrok niemal w stu procentach. Na razie ciągle jeszcze wykonuję pewne ćwiczenia i noszę szkła korekcyjne. Ale przestałem już użalać się nad sobą. Większość czasu przesiaduję w konserwatorium, gdzie pracuję z najwspanialszymi muzykami świata. A oni wszyscy są pod wrażeniem moich postępów.*

*Dziś wieczorem daję koncert w naszej auli. Oprócz wykładowców z żonami zgromadzą się tu największe osobistości miasta. Staram się nie poddawać tremie i wiesz, co mi w tym pomaga? Myśl o Tobie i naszych cudownych rozmowach.*

*I wiesz co jeszcze? Pozwolą mi zagrać fragmenty Twojej symfonii. Grając będę myślał o Twoim śmiechu, Twoim delikatnym głosie i słowach otuchy. Bardzo za Tobą tęsknię i nie mogę się doczekać, kiedy ponownie się zobaczymy.*

*Powiniennem raczej powiedzieć: kiedy po raz pierwszy naprawdę Cię zobaczę.*

*Dostałem list od babki, w którym, jak zwykle, przekazywała szkolne ploteczki. Dlaczego nauczycielka wychowania plastycznego, panna Stevens, złożyła wymówienie? Czy to ta Twoja ulubiona nauczycielka? Babka napisała tylko, że szybko znaleziono kogoś na jej miejsce.*

*Odpisz zaraz, jeśli znajdziesz czas. I powodzenia w sesji semestralnej.*

*Jak zawsze Twój oddany przyjaciel Louis*

Odłożyłam list Louisa i natychmiast wzięłam się za odpisywanie, próbując nie okazać jak bardzo jestem przygnębiona i nieszczęśliwa. Ale gdy tylko zaczynałam wyjaśniać, dlaczego panna Stevens odeszła, wybuchałam płaczem i łzy plamiły kartkę. W końcu skreśliłam tylko krótki liścik, że jestem w trakcie egzaminów i wkrótce napiszę obszerniej.

Minęły prawie dwa tygodnie, nim w końcu zadzwonił Beau. Przeprosił, że wcześniej się nie odezwał.

- Musiałem odbębnić rodzinną imprezę i nie było mnie cały weekend - wyjaśnił. A potem dodał: - Nie masz pojęcia, co Daphne naopowiadała moim rodzicom o sylwestrze.

Dała im niedwuznacznie do zrozumienia, że urządziliśmy tam istną orgię.

- Domyślam się.

- Dlaczego jesteś taka przygnębiona? Czy dlatego, że za mną tęsknisz, bo jeśli tak... .

- Nie, Beau - odparłam i powiedziałam mu o panie Stevens.

- Podejrzewasz, że to sprawka Gisselle?

- A kogóż by innego? Już dawno szantażowała mnie, że złoży do dyrektorki donos na pannę Stevens, jeśli ja choć słówkiem szepnę, że ona może już chodzić.

- Zapytałaś ją o to?

- Oczywiście wszystkiego się wyparła. Zresztą teraz to i tak nie ma znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie, a ona postawiła na swoim: nienawidzę tej szkoły.

- Poskarż się Daphne - zaproponował. - Mozę pozwoli ci

wrócić do domu. .

- Wątpię. Zresztą, nie ma sensu. Robię, co do mnie należy i próbuję jakoś wytrzymać. Niewiele maluję. Nowy nauczyciel jest miły, ale to nie to samo, co panna Steyens.

- Przyjadę do ciebie w ten weekend - obiecał Beau. -W sobotę koło południa.

- Bardzo się cieszę.

- Ruby, nie mogę znieść, że jesteś taka przygnębiona. Mnie też się robi smutno.

Płakałam bezgłośnie. W końcu opanowałam się, wciągnęłam powietrze i powiedziałam, że mam dużo

nauki.

W sobotę rzeczywiście przyjechał. Widok Beau wysiadającego z samochodu przed budynkiem wniósł trochę słońca w moje serce. Poszłam do kuchni, przygotowałam dla nas posiłek złożony z kanapek i soku jabłkowego. Kiedy dziewczęta zobaczyły mojego chłopca, wyraziły uznanie okrzykami i chichotami. Z kocem pod pachą wybiegłam mu na spotkanie i pociągnęłam go od razu w drugi koniec kampusu.

- Daphne miała przysłać zgodę na opuszczanie terenu szkoły w weekendy dla mnie i Gisselle, ale nie zrobiła tego, musimy więc tu zostać.

- Nie ma sprawy. Przyjemnie tu - powiedział, rozglądając się.

Obeszliśmy tereny szkoły, a potem rozłożyliśmy koc na trawie. Wyciągnęliśmy się na plecach i cicho rozmawialiśmy, patrząc na błękitne niebo, po którym sunęły białe, puszyste chmurki. Początkowo gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Beau opowiadał o swoich kolegach z Nowego Orleanu, szansach jego ulubionej drużyny w nadchodzą-

cym sezonie baseballowym, swoich planach dotyczących college'u.

- Musisz wrócić do malowania - stwierdził. - Jestem pewien, że pannie Stevens byłoby ogromnie przykro, że je za-niedbujesz.

- Wiem. Na razie jednak wszystko robię, jak automat: wstaję, ubieram się, idę do szkoły, odrabiam lekcje, uczę się, zasypiam. Ale masz rację - przyznałam - muszę z powrotem zająć się tym, co dla mnie najważniejsze.

Usiadł. Bawił się żdźbłem trawy, a potem próbował mnie nim łaskotać. Ale ja czułam się bardzo niezręcznie.

Byliśmy na widoku. W Greenwood nie istniało coś takiego, jak prywatność. Oczyma wyobraźni widziałam panią Iron-wood gapiącą się na nas z okna swego gabinetu, czyhającą tylko na to, byśmy zrobili coś, co mogłaby uznać za niestosowne.

Zjedliśmy kanapki, trochę jeszcze porozmawialiśmy, a potem znowu spacerowaliśmy. Oprowadziłam go po szkole, pokazałam bibliotekę, aulę, kantinę. Cały czas czułam się obserwowana, śledzona. Nie chciałam zaprowadzić Beau do bursy. Cieszyłam się, że udało nam się uniknąć spotkania z Gisselle. W końcu poszliśmy do rezydencji Clairborne'ow. Beau uznał stary budynek za imponujący. Szczególnie spodobał mu się las, który dzielił rezydencję od szkoły.

Robiło się późno, więc ruszyliśmy z powrotem do internatu, gdzie Beau zostawił samochód. Ale po drodze zauwa-

żyliśmy ścieżkę, wchodzącą głębiej w las i Beau uznał, że trzeba by dokładniej zbadać, dokąd nas ona zaprowadzi.

Początkowo byłam temu niechętna, cały czas nękało mnie to dziwne wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

Nawet ogląda-

łam się przez ramię, bacznie przyglądając ceniom, rzucanym przez wieczorne słońce, ale nikogo nie zauważyłam ani nie usłyszałam, więc dałam się wreszcie zaciągnąć. Coraz głębiej zanurzaliśmy się w las, aż usłyszeliśmy charakterystyczny szum wody, płynącej po kamieniach. I oto za zakrętem ścieżki znaleźliśmy go: mały, ale żwawy strumyczek, który tworzył wodospad.

- Jak tu ładnie - odezwał się Beau. - Nigdy przedtem tu nie byłaś?

- Nie i nikt nie mówił mi o tym miejscu.

- Siądźmy na chwilę. Nie spieszy mi się do Nowego Orleanu.

Nie spodobał mi się ton jego głosu.

- Twoi rodzice wiedzą, że przyjechałeś mnie odwiedzić, prawda, Beau? - indagowałam.

- Mniej więcej - odparł z uśmiechem.

- Co to znaczy: mniej więcej?

- Powiedziałem im, że wybieram się na przejażdżkę - wyjaśnił, wzruszając ramionami.

- Na przejażdżkę? Przecież przyjechałeś aż do Baton

Rouge!

- A czy to nie jest przejażdżka? - roześmiał się.

- Och, Beau, znowu im podpadniesz.

- Warto podpaść, by cię zobaczyć, Ruby.

Podszedł do mnie, położył mi ręce na ramionach i dotknął wargami moich ust. Tu, w samotni lasu, uznał, że nie musi ukrywać swoich uczuć. Ale mnie nie opuszczał niepokój. Mimo wszystko znajdowaliśmy się na terenie szkoły i wyobraźnia podsuwała mi obraz pani Ironwood czyhającej za każdym drzewem z lornetką w ręku. Beau wyczuł

moje napięcie.

- Co się dzieje? Sądziłem, że ucieszysz się bardziej z mojego przyjazdu - powiedział, nie kryjąc rozczarowania.

- Nie chodzi o ciebie, Beau, tylko o mnie. Źle się tu czuję choć jesteś przy mnie. Nadal mam wrażenie, jakbym, jak to mawiał dziadunio Jack, nadepnęła na śpiącego aligatora.

Beau roześmiał się. .

- Jesteśmy tu tylko my i ptaki - uspokajał, całując mnie znowu. - Żadnych aligatorów. - Pocałował mnie w szyję.

-Rozłóżmy koc i odpocznijmy chwilę.

Dałam sobie wyciągnąć koc spod pachy i patrzyłam, jak rozkłada go na trawie. Ułożył się na nim i przywołał mnie do siebie. Znowu rozejrzałam się z obawą, a on widząc, że się waham, chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

W jego ramionach zapomniałam na chwilę, gdzie się znajduję. Nasze pocałunki były długie, namiętne. Beau wodził

dłońmi po moich ramionach, piersiach. Wkrótce dudnienie krwi zagłuszyło szum strumyka. Dałam się porwać pieszczotom Beau, każdy pocałunek, każde dotknięcie rozpędzało ciemne chmury, wyganiało z serca smutek, aż wreszcie całowałam go równie namiętnie, jak on mnie. Poczułam pod bluzką jego rękę, zsuwał ze mnie ubranie, by już nic nas nie dzieliło, by czuć bicie serca przy sercu. Otworzyłam się przed nim z gotowością, a on na mnie czekał, dotykając mnie, obejmując, wypowiadając słowa miłości i obietnice. Gdzieś z głębi lasu dobiegło stukanie dzięcioła.

Pukał coraz głośniejszy i szybciej, aż wydawało się, że rozbija cały las. Obok nas szumiała woda. Jęczałam coraz częściej i głośniejszy, póki obojga nas nie zalała potężna fala i rzuciliśmy się na siebie, zaspokajając swój głód cał-

kowitym oddaniem się sobie.

Kiedy już było po wszystkim, poczułam łzy na policzkach. Serce biło mi tak mocno, iż bałam się, że zemdleję. Beau leżał na plecach, dysząc ciężko.

- A ja myślałem, że gra w piłkę jest wyczerpująca - zażartował.

Potem spoważniał i zajrzał mi w oczy.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odparłam, odzyskując oddech. - Może po prostu kochamy się tak bardzo, że nasze ciała tego nie wytrzymują.

Roześmiał się.

- Nie wyobrażam sobie lepszych ramion, w których mógłbym umrzeć.

Jego odpowiedź przywróciła uśmiech na mojej twarzy. Poprawiliśmy ubrania, otrzepaliśmy się i ruszyliśmy z powrotem. Musiałam przyznać, że po raz pierwszy od dwóch tygodni poczułam się lekka i szczęśliwa.

- Tak się cieszę, że do mnie przyjechałeś, Beau. Mam nadzieję, że nie narobisz sobie przez to kłopotów.

- Warto było - odparł. . Pożegnaliśmy się przy samochodzie. Kilka dziewcząt przyglądało nam się z okna.

-Nie mogę uwierzyć, że Gisselle nawet przez chwilę **nie** plątała się nam dziś pod nogami - powiedział Beau.

- Wiem. Ale cokolwiek jest tego przyczyną, rezultaty na pewno okażą się wyjątkowo paskudne.

Beau roześmiał się, szybko pocałowaliśmy **się** na pożegnanie. Stałam jeszcze chwilę, odprowadzając wzrokiem **Tego** samochód. Tkwiłam tak bez ruchu, patrząc za mm, póki całkiem nie zniknął. Dopiero wtedy zwiesiłam głowę i weszłam do budynku.

- Radzę ci się szybko związać - ostrzegła Sara Peters, ledwo znalazłam się w środku.

- Właśnie dowiedziałyśmy się, że w naszym budynku odbędzie się nie zapowiedziana inspekcja. Żelazna Dama **zjawi** się tu lada chwila - wyjaśniła.

- Inspekcja? Co będą sprawdzać?

- Wszystko. Nasze pokoje, łazienki, wszystko. Ona me potrzebuje nakazu rewizji. .

Kiedy znalazłam się w naszym kwartale, wszystkie dziewczęta, nawet Gisselle, miały się w popłochu. Sprzątały i porządkowały swoje rzeczy. Każde pomieszczenie wyglądało schludnie i czysto. Samanta wspaniale spisała **się** w naszym wspólnym pokoju.

- My pójdziemy pod nóż pierwsze - powiadomiła mnie Vicki - Zawsze sprawdza w kolejności alfabetycznej.

- Jak upłynęła wizyta Beau? - dopytywała **się** Gisselle, stojąc w progu swego pokoju. , .

Zmierzyłam ją lodowatym spojrzeniem, **moja** wściekłość na nią jeszcze nie wygasła.

- Czyżbyś nas nie śledziła? - odparowałam. Roześmiała się, ale ja wyczułam w jej głosie nutkę me-P°-°Miałam o wiele ciekawsze zajęcia - stwierdziła, szybko chowając się u siebie.

Mniej więcej po półgodzinie zjawiała się pani Ironwood w towarzystwie pani Penny i Susan Peck, która trzymała notes i zapisywała wszelkie uwagi lub punkty karne wystawione przez dyrektorę. Inspekcja zaczęła się od pokoju Jackie i Kate, potem przeszły do pokoju Gisselle. Spodziewałam się jakichś narzekań, ale pani Ironwood wynurzyła się stamtąd z zadowoloną miną. Weszła do nas i rozejrzała się po pokoju.

- Dzień dobry, dziewczęta - powitała mnie i Samantę. Samanta wyglądała na przerażoną i tylko wybełkotała coś w odpowiedzi. Pani Ironwood podeszła do komódki i przeciągnęła palcem po blacie. Spojrzała na ręce.

- Bardzo ładnie - oświadczyła. - Cieszę się, że utrzymujecie w pokoju czystość i traktujecie go jak własny dom.



Otworzyła drzwi szafy, spojrzała na nasze ubrania, skinęła głową, po czym zerknęła na moją komódkę. Podeszła bliżej, wysunęła najwyższą szufladę i zajrzała do środka.

- Schludnie poukładane - pochwaliła.

Samanta posłała mi uśmiech. Potem dyrektorka schyliła się i otworzyła trzecią szufladę. Przez chwilę wpatrywała się w nią z napięciem, po czym odwróciła się do mnie.

- Czy to twoja komódka?

- Tak - potwierdziłam.

Zajrzała ponownie do szuflady i wyciągnęła stamtąd półlitrową butelkę rumu.

- Nie mogłaś tego schować nieco lepiej? - spytała drwiąco. Otworzyłam usta. Osłupiała spojrzałam na panią Pennyj która patrzyła na mnie zaskoczona i rozczarowana. Na wargach Susan Peck pojawił się lekki uśmiezek.

- To nie moje.

- Sama przed chwilą powiedziałaś, że to twoja komódka. Czyżby inne dziewczęta przechowywały u ciebie swoje rzeczy?

- Nie, ale...

- W takim razie to twoje. Dała butelkę pani Penny.

- Proszę to wyrzucić - rozkazała. A do Susan rzuciła: -Dziesięć punktów karnych. - Zmierzyła mnie lodowatym wzrokiem. - Wyznamy ci karę i zostaniesz o niej powiadomiona jeszcze dzisiaj. A na razie masz nie ruszać się z pokoju.

Odwróciła się i wyszła. Pani Penny z obrzydzeniem ścisnęła butelkę, jakby trzymała w ręku truciznę.

- Tak się za ciebie wstydzę, Ruby.

- To nie jest moja butelka, proszę pani.

- Taki wstyd - powtórzyła, po czym podążyła za dyrektorką i Susan.

Ledwo zniknęły, wszystkie dziewczęta z kwaterału wpadły do naszego pokoju.

- Co znalazła? - spytała Jackie.

- Nie wątpię, że doskonale o tym wiecie - odparłam sucho.

- O czym wiemy? - usłyszałam głos wchodzącej do pokoju Gisselle.

- Skąd w mojej szufladzie znalazła się butelka rumu.

- No, proszę. Znowu ta sama śpiewka. Że to niby moja wina. Nie jestem jedyną osobą w tym domu, Ruby. Mogły ci to podrzucić dziewczęta z innego kwartału. Nie jesteś tu szczególnie lubiana. Może ktoś ci zazdrości.

- Ktoś? - powtórzyłam kpiąco.

- A może - dodała, biorąc się pod boki - była to jednak twoja butelka.

Zaśmiałam się patrząc jej prosto w oczy.

- Ciekawe, jaką otrzymasz karę - zastanawiała się na głos Samanta.

- Mam to w nosie - powiedziałam i rzeczywiście tak było. Nic mnie to nie obchodziło.

Tuż przed kolacją zjawiała się pani Penny, by powiadomić mnie, że dzisiejszy wieczór mam spędzić, szorując wszystkie łazienki w szkole. Woźny będzie czekać z proszkiem, wodą i szczotką. Mam to robić co sobota po kolacji przez cały miesiąc.

Przyjęłam karę ze spokojną rezygnacją, co rozzłościło Gisselle, a w pozostałych dziewczętach wzbudziło zaskoczenie pomieszane z szacunkiem. Nie usłyszały z moich ust ani słowa skargi, choć wiedziały, że oznacza to, że nie będę mogła pójść na film albo potańczyć. Woźnemu, panu Hullowi, było mnie żal do tego stopnia, że część pracy wykonał sam, zanim przyszedłam.

- Toalety nigdy jeszcze tak nie lśniły przed poniedziałkiem - pochwalił mnie na koniec.

Miał rację. Kiedy uświadomiłam sobie, że nie uniknę kary, nie robiąc przy tym jeszcze większego zamieszania, postanowiłam podejść do tego z zapałem. Dzięki temu mogłam ją jakoś znieść. Wyczyściłam wszystkie plamy, które wyglądały na nie do wywabienia, wypucowałam wszystkie lustra, że aż lśniły. Jednak w trzecią sobotę okazało się, że ktoś zapchał papierem toaletowym wszystkie muszle klozetowe w jednej z toalet i tak długo spuszczał wodę, aż zalała podłogę. Panował tam odrażający brud, smród był nie do zniesienia, musiałam aż otworzyć okna i zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby nie zwymiotować.

Dwa dni później po przebudzeniu poczułam mdłości, popędziłam do łazienki, gdzie zwymiotowałam. Początkowo sądziłam, że złapałam jakiegoś okropnego wirusa, który zaatakował mi żołądek albo że zatrulałam się wdychając zapach środków czyszczących, którymi szorowałam łazienki. Kiedy jednak tego samego popołudnia mdłości się powtórzyły, zwołałam się z zajęć i udałam do gabinetu lekarskiego.

Pani Miller, nasza pielęgniarka, kazała mi dokładnie opisać objawy. Wyglądała na ogromnie zatroskaną.

- Ostatnio rzeczywiście czuję się trochę zmęczona - przyznałam, gdy spytała o moje samopoczucie.

- Czy nie zauważyłaś, że musisz częściej chodzić do toalety?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Tak. To prawda.

Przypatrywała mi się z coraz większym niepokojem.

- Co jeszcze?

- Od czasu do czasu kręci mi się w głowie. Idę i nagle, ni z tego, ni z owego, świat zaczyna wirować.

- Hm. Zakładam, że odnotowujesz swoje miesiączki i wiesz przynajmniej z grubsza, kiedy powinna wypaść na-stępna.

Serce zamarło mi w piersi.

- Opóźnia ci się? - spytała, widząc mój wyraz twarzy.

- Tak, ale... Czasem mi się to przytrafiało.

- Czy ostatnio przeglądając się w lustrze, nie zauważyłaś jakichś zmian w swojej sylwetce, zwłaszcza biuście?

Przyznałam, że dostrzegłam maleńkie żyłki, ale przypisywałam to nie zakończonemu procesowi dojrzewania. Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Twój proces pokwitania już się zakończył - stwierdziła. - Obawiam się, że wszystkie te symptomy wskazują na ciążę, Ruby. Lecz tylko ty wiesz, czy rzeczywiście jest to możliwe. A więc?

Czułam się, jakby chlusnęła na mnie wiadrem zimnej wody. Przez chwilę stałam nieruchomo, nie mogłam zmusić żadnego z mięśni do pracy. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie wiem, czy serce w ogóle mi biło. Miałam uczucie, że zamieniłam się w kamień.

- Ruby? - powtórzyła. Wybuchnęłam płaczem.

- Biedactwo. Moje biedactwo.

Otoczyła mnie ramieniem i doprowadziła do stojącej przy ścianie kozetki. Kazała mi się położyć i odpocząć.

Pamiętam, że leżałam, litując się nad sobą, przeklinając los i przeznaczenie, a równocześnie zastanawiając się, dlaczego mimo wszystko miłość jest taka cudowna. Miałam wrażenie, jakby ktoś zakpił sobie ze mnie okrutnie, ale oczywiście wina leżała całkowicie po mojej stronie. Nawet przez chwilę nie obwinałam Beau, bo w głębi ducha wiedziałam, że gdybym zebrała w sobie dość sił, by mu odmówić, nie należałby.

Jakiś czas potem, gdy już się trochę uspokoiłam, pani Miller przysunęła krzesło i usiadła przy mnie.

- Będziemy musieli powiadomić twoją rodzinę - powiedziała. - To bardzo osobisty problem i wespół z rodziną bę-

dzisiaj musiała podjąć ogromnie ważną decyzję.

- Proszę - zaklinałam, ściskając ją za rękę - mech pani o tym nikomu nie mówi.

- Powiem tylko twoim rodzicom, i oczywiście, pani Ironwood.

- Proszę, nie. Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Nie mogę tego zrobić, kochanie. To zbyt wielka odpowiedzialność. Jestem przekonana, że po pierwszym szoku twoja rodzina udzieli ci wsparcia i razem zdecydujecie, jak należy postąpić.

- Zdecydujemy?

Wydawało mi się, że nie mam żadnego wyboru: samobójstwo albo przynajmniej ucieczka.

- Tak, czy urodzić dziecko, czy usunąć ciążę, czy powiadomić ojca dziecka... Rozumiesz chyba, że wiąże się z tym zbyt wielka odpowiedzialność, byśmy mogli trzymać to w tajemnicy. Twoi bliscy muszą się o tym dowiedzieć.

Milcząc, dopuściłybyśmy się zaniedbania obowiązków. I wina spadłaby na mnie, mogłoby to mi grozić poważnymi konsekwencjami. W najlepszym wypadku straciłabym pracę.

- Och, za nic bym tego nie chciała, proszę pani. Wystarczy, że już jedna osoba straciła tu przeze mnie pracę. Nie chcę mieć kolejnej na sumieniu. Proszę robić, co do pani należy, a mną się nie przejmować.

- Uspokój się, kochanie. Zajmiemy się tobą. Zdarzało się to i innym dziewczętom. To nie koniec świata, choć w tym momencie może ci się tak wydawać. - Uśmiechnęła się. - Poradzisz sobie - obiecała, głaszcząc mnie po ręce. - Teraz odpocznij. A ja zrobię, co do mnie należy i, zapewniam cię, z całkowitą dyskrecją.

Wyszła, a ja zostałam, modląc się, by zawalił się na mnie sufit i przeklinając dzień, w którym opuściłam rozlewiska.

Po niecałej godzinie zjawiała się pielęgniarka w towarzystwie pani Ironwood, która poinformowała mnie, że Daphne wysłała po mnie samochód. Dostrzegłam w jej oczach błysk nieklamanej satysfakcji.

- Zbieraj się i wracaj do bursy. Spakuj wszystkie swoje rzeczy. Nie wrócisz już do Greenwood - oświadczyła.

- Jedyna korzyść, która z tego wynikła - odcięłam się. Na policzkach wykwitły jej czerowne plamy, wyprostowała plecy.

- Wcale mnie to nie zdziwiło. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, a ściągniesz na siebie nieszczęście. Takim jak ty zawsze się to zdarza - zasyczała i wyszła, nim zdążyłam odpowiedzieć.

Gisselle miała rację: Greenwood pozostanie koszmarnym miejscem, póki będzie nim zarządzać ta okropna kobieta.

Wyszłam ze szkoły i wróciłam spakować się. W południe, kiedy w czasie przerwy na lunch Gisselle wpadła zadyszana do mego pokoju, większość rzeczy powkładałam już do walizek. Na widok spakowanych rzeczy, pustych półek i szuflad, opadła jej szczęka.

- Co tu się dzieje? - spytała, więc wyjaśniłam. Przynajmniej raz odebrało jej mowę. Usiadła na moim łóżku.

# -1 co zrobisz?

- A co mi pozostaje? Wrócę do domu. Niedługo przyjedzie po mnie samochód.
- Nie możesz. To wobec mnie nie w porządku. Zostanę tu samiuteńka jak palec.
- Samiuteńka? Są inne dziewczęta, zresztą i tak nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego. Jesteśmy siostrami, lecz róż-

nimy się od siebie jak zupełnie obce osoby.

- Nie zostanę tu. Nie zostanę - upierała się.

- To sprawa między tobą a Daphne.

Wściekła wypadła z pokoju, żeby zadzwonić, ale nie wróciła, by się spakować, więc najwyraźniej Daphne jej odmówiła. Przynajmniej na razie.

Pół godziny później zjawiała się pani Penny i z bolesną miną oznajmiła, że przyjechał samochód. Szczerze mi współczuła i pomogła mi przenieść część rzeczy.

- Ogromnie się na tobie zawiodłam - powiedziała. - Podobnie pani Ironwood.

- Nie sądzę, by pani Ironwood czuła się zawiedziona. Pracuje pani dla potwora w ludzkim ciele. Pewnego dnia sama pani to zrozumie i odejdzie.

- Odejdę? - Spojrzała na mnie z taką miną, jakby chciała wybuchnąć śmiechem. -1 dokąd bym poszła?

- Gdziekolwiek. Tam, gdzie ludzie nie są hipokrytami, gdzie szanują się wzajemnie, gdzie nie ocenia się ich na podstawie wysokości konta bankowego, gdzie ktoś serdeczny i utalentowany, jak panna Stevens, nie zostaje ukarany za to, że jest uczciwy i okazuje drugiemu współczucie.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem ze śmiertelną powagą, jakiej nigdy przedtem u niej nie widziałam, powiedziała:

- Takie miejsce nie istnieje, ale jeśli je znajdziesz, przyslij mi pocztówkę i napisz, jak do niego trafić.

Zostawiła mnie i wróciła do budynku podjąć swoje obowiązki matki zastępczej dla mieszkających w nim dziewcząt.

Wsiadłam do limuzyny i ruszyliśmy w drogę.

Ani razu nie obejrzałam się za siebie.

\* \* \*

Edgar wyszedł mi na powitanie i pomógł kierowcy wnieść walizki do mojego pokoju. Powiadomił mnie, że Daphne nie ma.

- Ale pani kazała panience zostać w domu i z nikim nie rozmawiać, aż do jej powrotu - przekazał.

Zastanawiałam się, czy wie, dlaczego wróciłam. Domyślał się, że stało się coś okropnego, ale nie okazał, czy zna bliższe szczegóły. Co innego Nina. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na mnie, gdy weszłam do kuchni.

- Spodziewasz się maleństwa, dziecino - stwierdziła.

- Daphne ci powiedziała.

- Wrzeszczała tak głośno, że nawet nieboszczycy na cmentarzu St. Louis by usłyszeli. A potem przysłała tu i sama mi powiedziała.

- To moja wina, Nino.

- Trzeba dwójki, by stworzyć dzieciątko. To nie tylko twoja wina.

- Och, Nino i co ja mam teraz począć? Dlaczego moje błędy nie rujnują życia tylko mnie, ale wszystkim dokoła?

- Ktoś potężny rzucił na ciebie zły czar. Żadne dobre amulety Niny nic tu nie pomogą - odparła w zadumie. - Idź do kościoła i módl się do świętego Michała. Tylko on pomoże ci zwalczyć twoich wrogów - poradziła.

Usłyszałyśmy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, a po chwili stukanie obcasów Daphne na korytarzu. W chwilę potem zjawił się w kuchni Edgar.

- Wróciła pani Dumas, panienko. Chce z panienką porozmawiać w gabinecie.

- Wolalabym się spotkać z samym diabłem - mruknęłam.

Nina z przerażenia szeroko otworzyła oczy.

- Nigdy więcej tak nie mów, słyszałaś? *Papa La Bas* ma wielkie uszy.

Weszłam do gabinetu. Daphne siedziała za biurkiem przy telefonie. Kiedy się zjawiłam, uniosła brwi i nie przerywając rozmowy, ruchem głowy wskazała mi krzesło naprzeciwko siebie.

- Jest już w domu, John. Mogę ją zaraz przysłać. Polegam na twojej dyskrecji. Oczywiście. Doceniam to. Dziękuję.

Wolno odłożyła słuchawkę i wyprostowała się na krześle. Ku memu zaskoczeniu w spojrzeniu jej nie

było surowości, uśmiechała się.

- Szczerze mówiąc - zaczęła - zawsze sądziłam, że to Gisselle znajdzie się w takiej sytuacji, nie ty. Mimo swego wychowania tak na ojcu, jak i na mnie sprawiłaś wrażenie wrażliwszej, bardziej rozważnej, a z całą pewnością inteli-gentniejszej z was dwóch.

- Ale - ciągnęła - jak właśnie się przekonałaś, spryt wcale nie czyni człowieka lepszym, prawda?

Bezskutecznie próbowałam przełknąć ślinę.

- Cóż za ironia losu. Ja, która miałam wszelkie dane, by wydać na świat dziecko, która zapewniłabym mu wszystko, co najlepsze, nie mogłam go począć, podczas gdy ty, jak królicą, zachodzisz ze swoim chłopakiem w ciążę, tak po prostu jakbyś jadła obiad czy wychodziła na spacer. Wiecznie powtarzasz, że to jest niesprawiedliwe, tanto niesprawiedliwe. Wobec tego, jak ci się podoba sposób, w jaki mnie los potraktował? I do tego, niczym sól na świeżą ranę, musiałam cię wpuścić do tego domu, przyjmując jak członka rodziny, a potem stawić czoła twej ciąży, choć nie masz prawa w nią zachodzić.

- Nie chciałam, by do tego doszło. Odrzuciła głowę, wybuchając śmiechem.

- Ileż to razy od dnia, w którym Ewa poczęła Kaina i Abła, kobiety wypowiadały to idiotyczne zdanie? - Zmrużyła groźnie oczy. - A co sobie wyobrażałaś? Że możesz się parzyć jak kozioł czy małpa, prowokować swojego chłopca i nie zapłacić potem za to? Wyobrażałaś sobie, że kim jesteś?

- Nie, ale...

- Daj spokój z tymi swoimi „ale”. Jak to mówią: co się stało, to się nie odstanie. I jak zwykle na moją głowę spada odwracanie zła, naprawianie szkód. Wierz mi, dokładnie tak samo wyglądało to za życia twojego ojca.

- Przed domem czeka wóz - ciągnęła. - Szofer otrzymał instrukcje. Nie musisz brać ze sobą żadnych rzeczy. Masz tylko wsiąść do samochodu - rozkazała.

- Gdzie mam jechać? Wpatrywała się we mnie przez chwilę.

- Jeden z moich przyjaciół, lekarz, pracuje w klinice poza miastem. Czeka na ciebie. Usunie ciążę, a potem, o ile nie pojawią się nieoczekiwane komplikacje, odeśle cię prosto do domu. Kilka dni spędzisz u siebie, odzyskując siły, po czym wrócisz do waszej dawnej szkoły. Już zaczęłam rozpuszczać odpowiednie historyjki, żeby to wyjaśnić. Śmierć ojca tak cię przygnębiła, że nie mogłaś wytrzymać z dala od domu. Wszyscy widzieli, jak snułaś się z obolałą miną.

Kupią to.

-Ale...

- Powiedziałam już: żadnych „ale”. Ruszaj, lekarz nie będzie czekał w nieskończoność. Robi mi ogromną przysługę.



Wstałam.

- Jeszcze jedno - dodała. - Nie zwracaj sobie głowy telefonowaniem do Beau Andreasa. Właśnie od nich wróciłam.

Jego rodzice są równie przygnębieni jego zachowaniem, jak ja twoim i postanowili natychmiast wysłać go poza Nowy Orlean.

- Poza Nowy Orlean? Dokąd?

- Daleko. Będzie mieszkał z krewnymi i uczęszczał do szkoły we Francji.

- We Francji!

- Tak, we Francji. Sądzę, że jest im wdzięczny, że tylko taką poniósł karę. Jeśli kiedykolwiek do ciebie zadzwoni albo napisze, a jego rodzice się o tym dowiedzą, zostanie wydziedziczony. Tak więc, jeśli chcesz i jego zniszczyć, próbuj się z nim kontaktować.

- A teraz już idź - zakończyła znużonym głosem. - Pierwszy i ostatni raz wyciągam cię z tarapatów. Od tej pory sama będziesz płaciła za swoje błędy. Idź! - pokazała mi drzwi swoim długim palcem. Czulałam się, jakby przesywała mi nim serce.

Odwróciłam się i wyszłam. Równym krokiem przemierzyłam dom i wsiadłam do samochodu. Nigdy jeszcze nie czulałam się tak bardzo zagubiona. Miałam wrażenie, że nie pozostawiono mi wyboru, tak jakby silny prąd porwał

moją łódkę i unosił ze sobą, choć ze wszystkich sił starałam się ją skierować w inną stronę. Mogłam tylko trwać w bezruchu i dać się ponieść ku przedwczesnemu końcowi.

Zamknęłam oczy i nie otworzyłam ich, dopóki szofer nie odezwał się:

- Jesteśmy na miejscu, panienko.

Musieliśmy jechać co najmniej pół godziny. Znajdowaliśmy się teraz w jakimś miasteczku, gdzie wszystkie sklepy już pozamykano. Znając Daphne spodziewałam się, że zostanę zawieszona do jakiejś nowoczesnej, kosztownej kliniki, tymczasem samochód zatrzymał się za ciemnym, rozpadającym się budynkiem, który w niczym nie przypominał

szpitala ani miejsca, gdzie przyjmuje lekarz.

- Czy na pewno dobrze trafiliśmy? - spytałam.

- Przywiozłem panienkę tu, gdzie mi kazano - odparł kierowca.

Wysiadł i otworzył mi drzwiczki. Wolno wyszłam z samochodu. Tylne drzwi budynku zaskrzypiały i stanęła w nich potężna kobieta, o włosach przypominających szczotkę do mycia podłóg.

- Tędy - rozkazała. - Szybko.

Kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że miała na sobie strój pielęgniarki. Ramiona jej przypominały wałki do ciasta, za to uda miała bardzo szerokie, co sprawiało wrażenie, jakby górną część ciała dopiero po namyśle dopasowano do dolnej. Na brodzie królowała brodawka, z której wyrastały sztywne włoski. Kobieta ze zniecierpliwieniem zacisnęła grube wargi.

- Pospiesz się - burknęła.

- Gdzie ja jestem?

- A jak sądzisz? - odpowiedziała, przepuszczając mnie przed sobą.

Weszłam niepewnie, ostrożnie. Za drzwiami mieścił się długi, słabo oświetlony korytarz. Ściany pokrywała wyblakła żółta farba. Podłoga była brudna i zaniedbana.

- Czy to... klinika? - spytałam.

- Gabinet lekarski - odparła. - Pierwsze drzwi po prawej. Lekarz zaraz do ciebie przyjdzie.

Poszła dalej, znikając w jakimś pomieszczeniu po lewej stronie. Otworzyłam pierwsze drzwi po prawej stronie i zobaczyłam przed sobą fotel ginekologiczny ze strzemionami, przykryty ligniną. Po prawej stronie znajdował się stolik, na nim leżała taca z instrumentami. W głębi zauważyłam zlew, w którym moczyły się jakieś narzędzia, zapewne wcześniej używane. Ściany pomalowano na ten sam brud-nożółty kolor. Nie wisiały na nich żadne obrazy, dyplomy. Nie było nawet okna. Za to były tu drugie drzwi, które właśnie się otworzyły i do gabinetu wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o krzaczastych brwiach i gładko zaczesanych, kruczoczarnych włosach, krótko przyciętych przy bokach. Mężczyzna miał na sobie błękitny kitel chirurga.

Spojrzał na mnie, skinął mi głową, ale nie rzekł nic na powitanie, tylko podszedł do zlewu i zaczął myć ręce.

- Połóż się na fotelu - polecił odwrócony plecami.

Znowu pojawiła się tęga pielęgniarka i zaczęła przygotowywać narzędzia. Lekarz spojrzał w moją stronę. Pytająco uniósł brwi.

- Fotel - powtórzył, wskazując go ruchem głowy.

- Sądziłam... że znajdę się w szpitalu.

- W szpitalu?

Spojrzał na pielęgniarkę, która nie przerwała swego zajęcia.

- To twój pierwszy raz? - zapytał.

- Tak - odparłam chrapliwie.

Serce waliło mi jak młotem. Na czole i karku poczułam kropelki potu.

- To nie potrwa długo.

Pielęgniarka wzięła do ręki coś, co przypominało ręczne wiertło dziadunia Jacka. Zrobiło mi się niedobrze.

- To jakaś pomyłka - powiedziałam. - Miałam jechać do kliniki.

Cofnęłam się. Ani pielęgniarka, ani lekarz mi się nie przedstawili.

- To jakieś nieporozumienie - powtórzyłam.

- Posłuchaj, młoda damo. Robię twojej matce przysługę. Zostałem oderwany od kolacji, żeby tu przyjechać. Nie mam czasu na igraszki.

- Igraszki to twoja specjalność - zadrwiła potężna pielęgniarka, marszcząc brwi. - No i doigrałaś się. Kładź się.

Potrząsnęłam głową.

- Nie. To coś nie tak. Nie - powtarzałam. Przysunęłam się do drzwi, namacałam klamkę. -Nie.

- Nie mam zamiaru czekać w nieskończoność - zniecierpliwił się lekarz.

- Nie obchodzi mnie to. To nie może być tak.

Odwróciłam się i otworzyłam drzwi. Wypadłam na zapuszczony korytarz i rzuciłam się do wyjścia. Szofer czekał w samochodzie z czapką na oczach i odchyloną głową. Drzemał. Zastukałam w szybę. Poderwał się.

- Zabierz mnie do domu! - wrzasnęłam. Szybko wyskoczył i otworzył drzwiczki.

- Pani mówiła, że to chwilę potrwa - tłumaczył się zaskoczony.

- Ruszaj natychmiast! - rozdarłam się na niego. Wzruszył ramionami, schwycił kierownicę i ruszyliśmy.

Po chwili już byliśmy z powrotem na głównej drodze. Obejrzałam się na ponure, mroczne miasto. Miałam wrażenie, jakbym weszła, a potem uciekła z własnego koszmaru.

Ale kiedy odwróciłam głowę i popatrzyłam przed siebie, z siłą tornado dotarło do mnie, co mnie czeka. Daphne będzie wściekła; zamieni moje życie w jeszcze większy koszmar. Zbliżaliśmy się do rozwidlenia. Lewe ramię drogo-wskazu wskazywało drogę do Nowego Orleanu, ale prawe do Houmy.

- Zatrzymaj się! - rozkazałam.

- Co? - Zahamował gwałtownie i odwrócił się do mnie. -Co znowu, panienko?

Zawahałam się. Przed oczami przemknęło całe moje życie. Widziałam babunię, która czekała na mnie w progu, gdy wracałam ze szkoły; i siebie, jak pędzę do niej z rozwianymi włosami, ściskam ją i próbuję opowiedzieć jej wszystko na raz: czego się nauczyłam, co się wydarzyło;

Paula, który w łódce wylania się zza zakola rzeki i macha do mnie, a ja z koszykiem pełnym wiktuałów biegnę nad brzeg. Słyszałam ostatnie słowa babuni, moje obietnice, stanęły mi przed oczami droga do autobusu, który zawiózł

mnie do Nowego Orleanu; przybycie do rezydencji w Garden District; łagodne, pełne miłości oczy taty, radość na je-go twarzy, gdy zrozumiał wreszcie, kim jestem.. Wszystko to zobaczyłam przed sobą zaledwie w ułamku sekund.

Otworzyłam drzwiczki.

- Panienko?

- Wracaj do Nowego Orleanu, Charles - poleciłam.

- Słucham? - spytał zdumiony.

- Powiedz pani Dumas... Powiedz jej, że w końcu udało się jej mnie pozbyć - rzuciłam, ruszając w stronę Houmy.

Charles czekał, nie wiedząc, co ma robić. Ale gdy zniknęłam w mroku, skręcił i wytworna limuzyna odjechała beze mnie. Tylne światła oddalały się, w końcu zgasły i zostałam sama na drodze.

Rok temu opuszczałam Houmę, sądząc, że wracam do domu.

Tymczasem właśnie teraz wracałam do jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miałam.

Dlaczego ja?

Lzy coraz mocniej, coraz szybciej płynęły mi po policzkach, gdy przedzierałam się przez mrok. Mijały mnie samochody osobowe, ciężarówki, niektórzy kierowcy trąbili, a ja uparcie nie zatrzymywałam się, póki nie dotarłam do stacji benzynowej. Była zamknięta, ale na ścianie wisiał automat telefoniczny. Wykręciłam numer Beau, modląc się żarliwie, by udało mu się przekonać rodziców, żeby nie wysyłali go z Nowego Orleanu. Gdy wreszcie usłyszałam sygnał, otarłam łzy i wstrzymałam oddech. Odebrał Garton, kamerdyner Andreasów.

- Czy mogę prosić Beau, Garton? - spytałam szybko.

- Przykro mi, panienko, ale panicza Beau nie ma.

- Wiesz, gdzie jest i kiedy wróci? - zapytałam z rozpaczą.

- Jest w drodze na lotnisko, panienko.

- Dziś? Wyjeżdża już dzisiaj?

- *Oui*, panienko. Przykro mi. Czy przekazać jakąś wiadomość?

- Nie - odparłam bez sił. - Nie mam nic do przekazania. *Merci beaucoup*, Garton.

Wolno odłożyłam słuchawkę i oparłam głowę o automat. Beau wyjeżdżał, nie pozwolono nam się nawet pożegnać.

Dlaczego nie próbował wyrwać się, uciec, żeby się ze mną spotkać? - pytałam w duchu, ale natychmiast zdałam sobie sprawę, jak nieroztropne i bezsensowne by to było. Co by mu przyszło z tego, że rzuci rodzinę i zrujnuje sobie przyszłość?

Głęboko westchnęłam i usiadłam. Ciemne chmury, przesłaniające księżyc, rozsunęły się. Droga tonęła w srebrnej poświacie, wyglądając niczym szlak z kości słoniowej, wiodący w jeszcze głębszy mrok. Podjęłam już decyzję -

pomyślałam. - Nie pozostaje mi nic innego, jak pozostać przy niej. Podniosłam się i ruszyłam w dalszą drogę.

Słyszac głośnie trąbienie, uskokczyłam na bok. W tej samej chwili przyhamowała obok mnie ciężarówka. Kierowca wychylił się i patrzył na mnie zdziwiony.

- Co, u licha ciężkiego, robisz na tej drodze w środku nocy? - spytał. - Nie wiesz, że to niebezpieczne?

- Wracam do domu.

- A gdzie ten twój dom?

- W Houmie. Zaniósł się śmiechem.

- I zamierzasz dojść pieszo do Houmy?

- Tak, proszę pana - potwierdziłam żałośnie.

Jego głośny rechot uświadomił mi, na co się porywam.

- No, masz szczęście. Przejeżdżam przez Houmę - powiedział, otwierając drzwiczki. - Wskakuj do środka. Właż, zanim się rozmyślę - rzucił, widząc moje wahanie.

Wsiadłam do ciężarówki i zatrzasnęłam drzwiczki.

- Jaki jest powód, że taka smarkata jak ty, znalazła się w środku nocy na szosie zupełnie sama jak palec? - spytał, nie odrywając wzroku od szosy.

Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, w ciemnych włosach błyskały mu pasemka siwizny.

- Po prostu postanowiłam wrócić do domu.

Odwrócił się, spojrzął na mnie, po czym ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Mam córkę w twoim wieku. Raz uciekła. Przeszła jakieś pięć mil, nim sobie uświadomiła, że ludzie żądają zapłaty za jedzenie i mieszkanie, a obcych cudzy los zwykle guzik obchodzi. Czym prędzej zawróciła do domu, kiedy jakiś łajdus złożył jej niedwuznaczną propozycję. Dotarło to do ciebie?

- Tak, proszę pana.

- To samo mogło się przytrafić i tobie, gdybyś dalej wędrowała tą drogą. Twój rodzice pewnie odchodzą od zmysłów z niepokoju. I co, nie jest ci teraz głupio?

- Tak, proszę pana, jest.

- Dobrze i to. Cóż, na szczęście tym razem nie spotkało cię nic złego, ale następnym razem, zanim uciekniesz, najpierw usiądź, pomyśl, co zostawiasz, i docień to.

Uśmiechnęłam się.

- Na pewno tak zrobię.

- No, grunt że nic się nie stało. Prawdę mówiąc, kiedy byłem w twoim wieku... Nie - poprawił się, przyjrzawszy mi się dokładniej - chyba byłem młodszy, i mnie się zdarzyło zwać.

Roześmiał się na samo wspomnienie tej ucieczki i opowiedział mi, jak to było. Uświadomiłam sobie, że kierowcom ciężarówek, przemierzającym długie mile, doskwiera samotność i ten człowiek wziął mnie nie tylko z dobrego serca, ale również po to, by mieć towarzystwo.

Nim dotarliśmy do Houmy, zdążyłam się dowiedzieć, jak do tego doszło, że wraz z rodziną opuścił Teksas, gdzie chodził do szkoły, dlaczego ożenił się ze swoją pierwszą miłością, jak wybudował własny dom i został kierowcą. Nie zdawał sobie sprawy, jak dużo mówił, póki nie zatrzymał samochodu.

- Niech mnie kule biją! Już jesteśmy na miejscu, a ja nawet nie spytałem, jak się nazywasz.

- Ruby - odparłam. - Ruby Landry - dodałam, podkreślając w ten sposób powrót do swego rodzinnego domu, bowiem dla mieszkańców Houmy tym właśnie byłam: Ruby Landry. - Dziękuję.

- Drobiazg. A następnym razem nim uciekniesz, kiedy ci się zachce zakosztować życia w wielkim mieście, zastanów się dwa razy, jasne?

- Na pewno się zastanowię - obiecałam, wysiadając z ciężarówki.

Czekałam, aż odjedzie i zniknie za zakrętem, po czym ruszyłam do domu. Idąc znajomymi uliczkami, przypomina-

łam sobie moje i babuni wypadki do miasta i odwiedziny u jej przyjaciółek. Nasze wspólne wyprawy do chorych. To jak bardzo ludzie ją kochali i szanowali. Nagle sama myśl o powrocie do tej chaty na palach, w której jej już nie zastanę, wzbudziła we mnie przerażenie. No i perspektywa

spotkania z dziaduniem. Paul opowiedział mi o nim tyle przykrych historii.

Zatrzymałam się przy kolejnym automacie telefonicznym, wygrzebałam z torebki trochę drobnych i zadzwoniłam do Paula. Odebrała jego siostra, Jeanne.

- Ruby? - spytała. - O rany! Wieki z tobą nie rozmawiałam! Dzwonisz z Nowego Orleanu?

- Nie - odparłam.

- To gdzie jesteś?

- Jestem... w Houmie.

- W Houmie? Och, to cudownie! Paul! - zapiszczała. - Chodź do telefonu. Dzwoni Ruby. Jest w Houmie!

W chwilę potem usłyszałam jego ciepły, kochający głos, głos, którego tak rozpaczliwie potrzebowałam, by przyniósł

mi otuchę i nadzieję.

- Ruby? Czy to prawda, że jesteś w mieście?

- Tak, Paul. Wróciłam do domu. To za długa historia, by opowiadać ją przez telefon. Chciałam ci po prostu dać znać, że jestem.

- Wracasz do chaty? - spytał z niedowierzaniem. - Tak.

Wyjaśniłam, gdzie jestem, a on zakazał mi się ruszyć stąd nawet o krok.

- Za minutę tam będę - obiecał.

I rzeczywiście w parę minut później podjechał i wyskoczył z samochodu. Uściskaliśmy się, przywarłam do niego równie mocno, jak on do mnie.

- Stało się coś okropnego, prawda? Co tym razem wymyśliła Daphne? A może to Gisselle? Co zrobiły, że nie wytrzymałaś? - spytał i w tej samej chwili spostrzegł, że nie mam bagażu. - Co się stało? Uciekłaś?

- Tak, Paul - odparłam, wybuchając płaczem. Zaprowadził mnie do samochodu i tulił, dopóki się nie uspokoiliłam. Pewnie niewiele rozumiał z mojego bezładnego bełkotu, ale kiedy opowiedziałam mu o ciąży i lekarzu-rzeźniku w brudnym gabinecie, Paul pobladł jak ściana, a na jego twarzy pojawił się rumieniec gniewu.

- Ważyła się to zrobić? Miałaś rację, że uciekłaś. Cieszę się, że wróciłaś.

- Nie wiem jeszcze, co ze sobą pocznę. - Otarłam łzy z policzków i głęboko wciągałam powietrze. - Na razie chcę wrócić do chaty.

- Twój dziadunio...

- Co z nim?

- Ostatnio znajdował się w okropnym stanie. Wczoraj, kiedy tamtędy przejeżdżałam, kopał ziemię przed domem, wykrzykiwał coś i wymachiwał rękami. Ojciec twierdzi, że skończyły mu się pieniądze na bimber i wpadł w delirium. Uważa, że to jego ostatnie chwile. Wszyscy się dziwią, jakim cudem on jeszcze się trzyma, Ruby. Nie wiem, czy powinienem cię tam zabierać.

- Muszę tam wrócić, Paul. To mój jedyny dom - upierałam się.

-Wiem, ale... Nie poznasz teraz tego domu. Serce ci pęknie. Ojciec powiada, że twoja babunia musi przewracać się w grobie.

- Zabierz mnie do domu, Paul, proszę - błagałam. Skinął głową.

- Niech ci będzie - ustąpił. - Ale będę się tobą zajmował, Ruby. Przysięgam.

- Dziękuję, Paul, ale nie chcę być dla nikogo ciężarem. Wrócę do tej samej pracy, którą kiedyś wykonywałyśmy z babunią, żeby jakoś się utrzymać.

- Nie ma mowy - uciał. Włączył silnik. - Mam mnóstwo forsy, nie wiem, na co ją wydawać. Mówiłem ci, zostałem kierownikiem. Przyszykowałem już plany budowy własnego domu. Ruby...

- Nie mówmy o przyszłości, Paul. Błagam. Przestałam wierzyć w przyszłość.

- Zgoda. Póki jednak ja będę przy tobie, niczego ci nie zabraknie. Masz to jak w banku.

Uśmiechnęłam się. Rzeczywiście, wyglądał o wiele doroślej. Zawsze odpowiedzialnością i dojrzałością wyprzedzał

rówieśników, ojciec nie bez powodu powierzył mu to odpowiedzialne stanowisko.

- Dziękuję, Paul.

Widok chaty i jej najbliższego otoczenia okazał się dla mnie prawdziwym szokiem. W najgorszych snach nie wyobraziłabym sobie czegoś równie koszmarnego, a i tak miałam szczęście, że



przyjechałam nocą, bo nie zobaczyłam wszystkiego. Wokół domu dziadunio wykopał głębokie doły, a gdy spojrzałam na przechyloną werandę, połamane, zniszczone poręcze, powyrywaną podłogę, serce mi się ścisnęło.

- Jesteś pewna, że chcesz tam wejść? - spytał Paul, gdy się zatrzymaliśmy.

- Tak, Paul, jestem pewna. Nieważne, jak to teraz wygląda. Kiedyś był to dom mój i babuni.

- Zgoda. Wejdę z tobą i zobaczymy, co on tam knuje. Możliwe, że nawet cię nie pozna, w takim jest stanie -uprzedził

mnie Paul.

- Ostrożnie - ostrzegł, gdy weszliśmy na werandę.

Deski skarżyły się głośno; skrzypnęły zardzewiałe zawiasy, drzwi wyglądały, jakby miały za chwilę na nas runąć. W

domu cuchnęło, jakby wybrały go sobie na mieszkanie wszelkie możliwe stworzenia z bagien.

Płonęła tylko jedna lampa, stojąca na starym kuchennym stole. Słabiutkie ogniki migotały w podmuchach wiatru, wpadającego przez wybite okna.

- Założę się, że zebrało się tu wszelkie fruujące robactwo - powiedział Paul.

W kuchni panował nieopisany bałagan i brud. Pod stołami, krzesłami, na blatach walały się puste butelki. W zlewie leżały brudne naczynia. Na podłodze pełno było gnijących resztek jedzenia. Wzięłam latarnię i przeszłam się po mieszkaniu.

Salonik był w niewiele lepszym stanie. Zastaliśmy tu wywrócony stół i fotel, w którym babunia siadywała co wieczór, przysypiając. Kolejne puste butelki, zabłoconą, zapaskudzoną mułem i wodorostami podłogę. Usłyszeliśmy szelest jakiegoś zmykającego na nasz widok zwierzęcia.

- Pewnie szczury - stwierdził Paul. - W najlepszym razie myszy. A może nawet szop.

- Dziadku! - krzyknęłam.

Poszłam na tyły domu, potem na górę. Pomyślałam, że wyłącznie dzięki trudowi, jakiego wymagało wspięcie się po schodach, ta część mieszkania nie uległa takiemu zniszczeniu jak dół. Pokój, w którym babunia tkąła, a także na-

sze sypialnie niewiele się zmieniły - tyle że przeszukano w nich wszystko, co się dało. Dziadunio oderwał nawet kawałki boazerii.

- Gdzie on się podział? - zastanawiałam się na głos. Paul wzruszył ramionami.

- Pewnie włóczy się gdzieś po barach, żebrząc o coś do picia - stwierdził, ale gdy ponownie

zeszliśmy na dół, usłyszeliśmy za domem wrzaski dziadunia.

Wybiegliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy go nagiego, utyłanego w błocie, jak wywija nad głową konopnym workiem, wznosząc triumfalne okrzyki.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł Paul. - Jack! - zawołał. - Jacku Landry!

Dziadunio przestał wymachiwać workiem i wzrokiem przeszukiwał ciemności.

- Kto tam? Rabusie, złodzieje, precz z mojej drogi!

- To nie złodzieje. To Paul Täte.

- Täte? Trzymoj się ode mnie z daleka. Niczego ci nie oddom. Trzymoj się z daleka. To moja forsa. Zasłużyłem na nią. Znalazłem ją. Kopałem, kopałem, ażem wreszcie zno-łożł. Precz! Precz albo cisnę w ciebie kamieniem. Precz!

-ryknął znowu, ale sam się cofał.

- Dziaduniu! - zawołałam. - To ja, Ruby. Wróciłam do domu.

- Kto? Kto tam jest?

- Ruby - powtórzyłam, wysuwając się przed Paula.

- Ruby? Nie. To nie moja wina. Nie. Potrzebowaliśmy pieniędzy. To nie moja wina. Przestań mnie obwiniać, Catherine, nie waż się mnie obwiniać! - bełkotał.

Przycisnął do piersi płócienny worek i popędził w stronę kanału.

- Dziaduniu!

- Daj spokój, Ruby. Oszałał od bimbru. Usłyszeliśmy jego wrzask, a potem pluśnięcie wody.

- Paul, on się utopi.

Paul zastanawiał się przez chwilę.

- Daj mi latarnię - powiedział w końcu i udał się w stronę, z której dobiegały wrzaski. Usłyszałam chlupnięcie wody, następnie krzyki.

- Jack! - zawołał Paul.

- Nie oddam, to moje! Moje! - odkrzyknął dziadunio. Kolejne chlupnięcie, po którym zapadła cisza.

- Paul?

Odczekałam i ruszyłam przez mrok. Nogi zapadały mi się w grząskiej trawie. Biegłam w stronę

światła, aż znalazłam Paula, który wpatrywał się w wodę.

- Gdzie on jest? - spytałam głośnym szeptem.

- Nie wiem. Chyba tam... Zmrużył oczy i pokazał ręką.

- Dziadku! - krzyknęłam przeraźliwie.

Ciało dziadunia wyglądało niczym gruba kłoda unoszona przez wodę. Obijało się o głązy, po czym zabrał je prąd, zaplątał w jakieś kije sterczące w wodzie.

- Ściągnę pomoc - odezwał się Paul. - Chodźmy.

W niecałą godzinę potem strażacy wyciągnęli z wody ciało dziadunia. Ciągle ścisnął płócienny worek, tyle że ten zamiast skarbu skrywał jedynie stare, zardzewiałe puszki.

\* \* \*

Czyż można sobie wyobrazić straszniejszy powrót do domu? Mimo podłości, których dopuścił się dziadunio, ja nadal pamiętałam go z czasów, gdy nie stał się jeszcze tą żalostną istotą. Wspominałam chwile z dzieciństwa, gdy zabierał mnie do swojej chaty na moczarach i opowiadał o rozlewiskach z taką czułością, z jaką się mówi o najdroższym przyjacielu. Kiedyś uchodził ze swoistego rodzaju legendę. Nie było lepszego trapera niż on. Na wylot znał trzęsawiska, wiedział kiedy nadpłyną leszcze, znał legowiska aligatorów i węży.

W tamtych czasach chętnie opowiadał o swoich przodkach, kanaliach, buszujących po Missisipi, słynnych szulerach czy wodniakach. Babunia twierdziła, że większość tych historyjek wysłał sobie z palca, lecz dla mnie nieważne było, ile w tych opowieściach tkwiło prawdy. Podobało mi się po prostu, jak je snuł, wpatrując się w hiszpański mech i pykając fajkę. Wtedy jeszcze tylko od czasu do czasu przerywając, by pociągnąć łyk z dzbana. Zawsze miał na to jakieś usprawiedliwienie. To musiał oczyścić gardło

z pyłków, unoszących się nad bagnami, to odpędzić przeziębienie, a czasem po prostu popijał dla rozgrzewki.

Choć babunia i dziadunio rozstali się po tym, jak dziadunio sprzedał Dumasom małą Gisselle, wiedziałam, że kiedyś ogromnie się kochali. Sama babunia przyznawała nieraz, że jej mąż był zdumiewająco przystojnym, dzielnym młodzianem o cudownych, zielonych oczach i spalonej słońcem skórze. A już w tańcu nie znajdował sobie równych.

Nikt nie potrafił dotrzymać mu kroku na naszych ulicznych zabawach.

Lecz czas potrafi wydobywać na zewnątrz truciznę, która w nas tkwi. Diabeł drzemiący w sercu dziadunia rozrósł się i odmienił go - albo, jak mawiała babunia: „zmienił go w nieodpowiedzialnego drania, którego najbliższą rodziną stało się wszystko, co oślizgłe i pełzające”.

Może szukał pociechy w bimbrze, bo dzięki niemu zapomniał, kim się stał i nie poznawał odbicia,

które patrzyło na niego, ilekroć przechylił się w czółnie i spojrział w wodę. Trudno powiedzieć, lecz z pewnością drzemiące w nim de-mony postawiły na swoim i w końcu wciągnęły go do wody, którą kiedyś tak kochał, czcił. Rozlewiska, z których żył, upomniały się wreszcie o jego życie.

Oplakiwałam go takiego, jakim był, kiedy pokochała go babunia Catherine.

Mimo błagań Paula uparłam się, że zostanę w domu. Jeśli nie zmuszę się i nie spędzę tu pierwszej nocy, nie znajdę sił, by tu zostać. Najlepiej jak umiałam posłałam swoje stare łóżko, a gdy już wszyscy wyszli pożegnałam się z Paulem, obiecując, że jutro rano będę na niego czekała. Położyłam się i skrajnie wyczerpana natychmiast zapadłam w głęboki sen.

Słońce nie zdążyło jeszcze na dobre wzejść, a już wszyscy dowiedzieli się o moim powrocie. Sądono, że wróciłam, by zająć się dziadkiem. Wstałam wcześniej i zabrałam się do porządkowania domu. Zaczęłam od kuchni. Niewiele tam znalazłam do jedzenia, lecz nie minęła godzina, a zaczęły się zjawiać stare przyjaciółki babuni z różnymi wiktuałami. Z przerażeniem patrzyły na oplakany stan domku. Od śmierci babuni i mego zniknięcia, nikt nie przestąpił

tego progu. Ale Cajunki mają to do siebie, że natychmiast z zapalem ruszają z pomocą komuś potrzebującemu.

Zanim się obejrzałam, już szorowały podłogi i ściany, trzepały chodniki, odkurzały meble, pucowały okna. W

oczach błysnęły mi łzy radości. Nikt mnie nie wypytywał, gdzie się podziewałam, i co robiłam. Wróciłam, potrzebowałam ich pomocy, tylko to się liczyło. Wreszcie znalazłam się w domu, u siebie.

Paul zjawił się obładowany niezbędnymi rzeczami, które przysłali jego rodzice. Krążył po mieszkaniu z młotkiem i garścią gwoździ, przybijając każdą wyrwaną deskę. Potem wziął łopatę i zasypywał niezliczone doły, które wykopał

dziadunio, szukając skarbu, ukrytego jakoby przez babunię. Zauważyłam, że kobiety obserwują go kątem oka i szepczą między sobą, uśmiechając się. Gdyby znały prawdę - myślałam - gdyby wiedziały. Pewne rzeczy jednak dalej musiały pozostać tajemnicą, którą będziemy nosić w swoich sercach. Ciągle jeszcze żyli ludzie, których kochaliśmy i musieliśmy chronić.

Pogrzeb dziadunia odbył się szybko i cicho. Ojciec Rush doradził mi, bym bez zwłoki dopełniła tego obowiązku.

- Nie chcesz chyba, by po domu zaczęli ci się kręcić jego kamraci, Ruby. Wiesz, że takie typy tylko szukają okazji do popijawy i awantur. Najlepiej będzie, jeśli złożysz go w grobie sama i sama się za niego pomodlisz.

- Czy odprawi ksiądz mszę w jego intencji? - spytałam.

- Tego mu nie odmówimy. Nasz Pan jest łaskaw i pełen miłosierdzia, może odpuścić winy nawet człowiekowi, który upadł tak nisko jak Jack Landry. Zresztą, nie nam go sądzić.

Po pogrzebie przyjaciółki babuni wróciły do mieszkania i dopiero wtedy zaczęły podpytywać, co się ze mną działo po śmierci Catherine. Wyjaśniłam, że mieszkałam u krewnych w Nowym Orleanie, ale bardzo tęskniłam za rozlewiskami. Nie kłamałam, a równocześnie zaspokoiliam ich ciekawość.

Podczas gdy kobiety siedziały, rozmawiając, Paul pracował na podwórku i przy samej chacie. Przetrzywał je wszystkie, aż wreszcie się pożegnały i odeszły, obmawiając go.

- Wiesz, co myślą - odezwał się, gdy wreszcie zostaliśmy sami. - Że wróciłaś do mnie.

- Chyba masz rację.

- Co zamierzasz zrobić, kiedy ciąża stanie się widoczna?

- Jeszcze nie wiem.

- Najprościej by było, gdybyśmy się pobrali - oświadczył zdecydowanie. W jego oczach błysnęła nadzieja.

- Och, Paul, przecież wiesz, że to niemożliwe.

- Dlaczego? Jedyne, czego nam nie wolno, to mieć dzieci, a w tej sytuacji już nie musimy, skoro spodziewasz się dziecka.

- Paul, nie wolno nam nawet myśleć o czymś podobnym. A twój ojciec...

- Mój ojciec musiałby się z tym pogodzić - uciał Paul. - Bo gdyby cokolwiek powiedział, przyznałby się wobec całego świata do swoich grzechów. Dobrze by ci się ze mną żyło, Ruby. Naprawdę. Będę bogaty, znalazłem już wspaniałą działkę, na której postawię dom. Może nie aż tak wytworny jak ten w Nowym Orleanie, ale...

- Och, nie zależy mi na wytwornym domu i bogactwie, Paul. Już ci mówiłam, że powinieneś sobie znaleźć kobietę, z którą będziesz mógł się ożenić i założyć rodzinę. Zaslugujesz na to.

- Ty jesteś moją rodziną, Ruby. Zawsze nią byłaś. Odwróciłam wzrok, by nie dostrzegł moich łez. Nie chciałam go zranić.

- Nie możesz mnie kochać i zrezygnować z dzieci? - spytał, choć brzmiało to raczej jak błaganie.

- Paul, nie chodzi tylko o to...

- Ale kochasz mnie, prawda?

- Kocham cię, Paul, ale... ale od kiedy dowiedziałam się prawdy o naszym pochodzeniu, nie mogę myśleć o tobie w sposób, w jaki byś pragnął.

- Ale może zaczniesz tak znowu myśleć - powiedział z nadzieją. - Wróciłaś i...

Pokręciłam głową.

- Więc chodzi o coś jeszcze? Potaknęłam.

- Nadal kochasz Beau Andreasa, choć zrobił ci dziecko, a potem cię porzucił, tak? Tak, kochasz go? - nalegał.

- Tak, Paul, chyba tak.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, potem westchnął.

- Cóż, to niczego nie zmienia. I tak pozostanę przy tobie i nigdy cię nie opuszczę - zapewnił.

- Paul, zaczynam żałować, że wróciłam.

- Nie wolno ci żałować - odparł. - Cóż, pora się zbierać do domu.

Wstał i ruszył do drzwi. Po chwili jednak zatrzymał się i obejrzał na mnie.

- Wiesz, co ludzie będą myśleć, Ruby? -Co?

- Że to dziecko jest moje.

- Jeśli będzie trzeba, powiem im prawdę.

- Nie uwierzą ci. Zresztą, jak to ujął Rhett Butler w „Przeminęło z wiatrem”: „Kochanie, nic mnie to nie obchodzi”.

Zaśmiał się i wyszedł, a ja zostałam sama, zagubiona jak nigdy i jeszcze bardziej przerażona na myśl o tym, co przyniesie jutro.

\* \* \*

Zadomowiłam się szybciej niż przypuszczałam. Nie minął tydzień, a już siedziałam przy krosnach w pokoju na gó-

rze, tkając koce, które zamierzałam sprzedawać przy drodze. Z palmowych liści plotłam kapelusze, robiłam kosze.

Nie potrafiłam gotować równie pysznych dań jak babunia, ale starałam się je robić na tyle smaczne, by udało mi się je sprzedać bez trudu. Pracowałam do późnego wieczora, by już z samego rana rozstawić stragan. Od czasu do czasu korciło mnie, by coś namalować, lecz na razie nie miałam na to czasu. Paul jako pierwszy zwrócił na to uwagę.

- Pracujesz tak ciężko, by zarobić na utrzymanie, że nie masz czasu rozwijać swego talentu, Ruby, a to grzech

-stwierdził.

Nie odpowiedziałam, bo czułam, do czego zmierza.

- Dobrze by nam się razem żyło, Ruby. Znowu byłabyś zamożna, mogłabyś robić to, czego pragniesz. Znaleźlibyśmy nianię do dziecka i...

- Proszę cię, Paul - błagałam.

Usta mi drżały, więc szybko zmienił temat, bowiem jednej rzeczy za nic by nie chciał zrobić: zasmucić mnie czy sprowokować do płaczu.

Tygodnie zamieniały się w miesiące i właściwie czułam się, jakbym w ogóle nie opuszczała rozlewisk. Wieczorami siadywałam na werandzie, przyglądając się przejeżdżającym od czasu do czasu samochodom albo wpatrując w gwiazdy i księżyc i czekałam, aż zjawi się Paul. Czasem przynosił harmonijkę ustną i grał melodię lub dwie. Jeśli muzyka zaczynała brzmieć zbyt żalobnie, podrywał się i grał coś pogodnego, tańcząc przy tym i rozśmieszając mnie.

Często wybierałam się na spacery wzdłuż kanału, tak jak to robiłam przed laty. W poświacie księżycy połyskiwały pajęczyny, ciszę przerywało pohukiwanie sowy czy plu-śnięcie aligatora, który sunął po jedwabistej powierzchni wody. Czasem natykałam się na aligatora śpiącego przy brzegu, wtedy ostrożnie go omijałam. Wiedziałam, że czuł

moją obecność, ale nawet nie uchylił ślepi.

Dopiero na początku piątego miesiąca ciąża zaczęła być widoczna. Nikt tego nie komentował, ale wszyscy zatrzymywali wzrok na moim brzuchu i wiedziałam, że stałam się tematem wszystkich popołudniowych ploteczek.

W końcu złożyła mi wizytę delegacja kobiet, na czele której stały dwie najlepsze przyjaciółki babuni: pani Thibodeaux oraz pani Livaudis. Tej ostatniej przypadła funkcja rzeczniczki.

- Droga Ruby, przyszłyśmy tu, ponieważ nie masz już nikogo, kto by się za tobą wstawił - zaczęła.

- Jeśli zaistnieje taka potrzeba, sama potrafię dochodzić moich praw, proszę pani.

- Może i tak. W końcu jesteś wnuczką Catherine Landry, nie zaszkodzi jednak mieć kilka staruszek, które wesprą cię w tym czy owym - stwierdziła, kiwając głową.

Pozostałe kobiety przytaknęły. Na ich twarzach malowała się determinacja.

- A do kogóż to mamy sprawę, pani Livaudis?

- Do mężczyzny odpowiedzialnego za to. - Ruchem głowy wskazała mój brzuch. - Ot co. Wszystkie domyślamy się, kim on jest, wiemy też, że pochodzi z tutejszej zamożnej rodziny.

- Przykro mi, drogie panie - odparłam - lecz młodzieniec, którego macie na myśli, nie jest ojcem

mego dziecka.

Pootwierały ze zdumienia usta.

- W takim razie kto nim jest? - dociekała pani Livaudis. - A może nie chcesz tego zdradzić?

- To ktoś, kto nie mieszka w naszych stronach, proszę pani. Pochodzi z Nowego Orleanu.

Kobiety powiodły po sobie wzrokiem. Miny miały sceptyczne.

- Nie robisz przysługi sobie ani dziecku, chroniąc mężczyznę i zwalniając go z odpowiedzialności, Ruby - oświadczyła pani Thibodeaux. - Zapewniam cię, że twoja babunia nigdy by na to nie pozwoliła.

- Wiem - powiedziałam z uśmiechem, wyobraziwszy sobie podobną rozmowę z babunią Catherine.

- W takim razie pozwól przynajmniej, że pójdziemy z tobą i dopilnujemy, żeby ten młodzieniec nie uchylał się od swoich obowiązków - nalegała pani Livaudis. - Jeśli kołacze się w nim choć odrobina przyzwoitości, zrobi, co do niego należy.

- Powiedziałam wam prawdę. On tu nie mieszka - powtórzyłam z największym przekonaniem, na jakie było mnie stać, ale one tylko machnęły ręką i popatrzyły na mnie z politowaniem.

- Pragniemy tylko, żebyś wiedziała, Ruby, iż jesteśmy po twojej stronie - zapewniła pani Thibodeaux. - Chcesz, żeby opiekował się tobą lekarz czy „mądra”? Niedaleko Morgan City mieszka jedna taka. Przyszłaby cię obejrzeć.

Nie życzyłam sobie, by opiekowała się mną inna uzdrowicielka niż babunia.

- Pójdę do lekarza - odparłam.

- Rachunki powinien płacić wiesz kto - stwierdziła pani Livaudis, znacząco spoglądając na towarzyszyki, które zgodnie przytaknęły.

- Poradzę sobie jakoś - uspokoiłam je.

Wyszły przekonane, że ich podejrzenia są słuszne. Oczywiście, Paul miał rację. Lepiej niż ja znał tych ludzi. Lecz był to wyłącznie mój problem, z którym będę musiała tu żyć i samodzielnie się uporać. Naturalnie myślałam o Beau, zastanawiałam się, czy mu cokolwiek o moim stanie powiedziano.

Jakby czytając w moich myślach, Gisselle przysłała na adres Paula list dla mnie.

- Przyszedł dziś rano - powiedział, kiedy oddawał mi go. Pracowałam właśnie w kuchni, szykując gulasz z krewetek.

Wytarłam ręce i usiadłam.



- Moja siostra napisała do mnie? - spytałam zaskoczona i otworzyłam kopertę.

Paul stał w progu, przyglądając się, jak czytam.

*Droga Ruby,*

*założę się, że raczej byś się śmierci spodziewała niż listu ode mnie. Najdłuższa rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła spod mojej ręki to idiotyczny referat o najstarszych poetach angielskich, a nawet i ten w połowie napisała za mnie Vicki.*

*W każdym razie natknęłam się w twojej szafie na stare listy Paula, kiedy Daphne kazała mi pójść do ciebie i wziąć sobie to, na co mam ochotę, zanim odda resztę ciuchów biednym. Wraz z Marthą Wood ogołociły twój pokój i zamknęły go na głucho. Daphne stwierdziła, że dla niej w ogóle nie istniałaś. Oczywiście, musi się jeszcze uporać z problemem testamentu. Któregoś wieczoru podsłuchiłam, jak rozmawiali o tym z Bruce'em. Poradził jej, żeby wymazać cię z ostatniej woli ojca. Wymagałoby to mnóstwa zabiegów prawnych i mogło uszczuplić ich własną dołę, więc na razie pozostajesz Dumasówną.*

*Pewnie się zastanawiasz, jakim cudem piszę z Nowego Orleanu. No, zgadnij? Daphne poddała się i pozwoliła mi wrócić do domu. Wiesz dlaczego? Plotka o twojej ciąży rozniosła się po Greenwood. Ciekawam, jak to się stało? Tak czy owak, zrobił się wokół tego szum i Daphne nie mogła już dłużej tego znieść, zwłaszcza kiedy zaczęłam wydzwaniać w dzień i w nocy, żeby jej przekazać, co mówią dziewczęta, jak mnie traktują nauczyciele, jak zachowuje się wobec mnie pani Ironwood. Dlatego ustąpiła i pozwoliła mi wrócić do Nowego Orleanu, gdzie twoja tajemnica jest pilnie strzeżona.*

*Daphne opowiedziała wszystkim, że uciekała na rozlewiska, gdzie z powrotem zamieszkałaś ze swoimi Cajunami, bez których nie mogłaś już dłużej żyć. Oczywiście, wszyscy zachodzą w głowę, co się stało z Beau.*

*Założę się, że i ty zachodzisz w głowę, co?, dopisała na dole strony, jakby dalej nie zamierzała o tym wspominać.*

*Cała Gisselle - pomyślałam. Wszystko, byle mi dokuczyć, nawet w liście. Odwróciłam kartkę i dowiedziałam się ciągu dalszego:*

*Beau nadal siedzi we Francji, gdzie podobno doskonale sobie radzi. Państwo Andreasowie wszędzie rozprowadzają o jego sukcesach i o tym, że będzie tam również chodził do college'u. Chodzą słuchy, że spotyka się z Francuzeczką z bardzo zamożnej rodziny, której drzewo genealogiczne sięga samego Ludwika Napoleona.*

*W ubiegłym miesiącu dostałam od niego list, w którym błagał, bym mu dokładnie opisała, co się z tobą dzieje. Wła-*

*śnie dziś mu odpisałam, że nie wiem, gdzie się podziewasz. Napisałam, że spróbuję cię odnaleźć pisząc do jednego z twoich cajuńskich krewniaków, ale słyszałam, że wyszłaś za mąż i miałaś*

*prawdziwy, cajuński ślub: w łódce na moczarach z pajakami i węzami u stóp.*

*Och, byłabym zapomniała. Przed samym wyjazdem z Greenwood miałam gościa. Założę się, że domyślasz się, kogo: Louisa. Okazał się bardzo miły i ogromnie przystojny. Załamał się na wieść o tym, że spodziewasz się dziecka i uciekł, by zamieszkać na rozlewiskach wśród Cajunów. Przyniósł nuty, które zamierzał ci wysłać, więc obiecałam, że jeśli jakimś cudem zdobędę twój adres, dam mu znać.*

*Lecz obietnice daje się po to, by je łamać, prawda?*

*Żartowałam. Nie wiem, czy ten list w ogóle do ciebie dotrze. Mam nadzieję, że tak i że mi odpiszesz. To całkiem przyjemne mieć upadłą siostrę. Nie wyobrażasz sobie, jak świetnie się bawię wymyślając przeróżne historyjki na twój temat.*

*Dlaczego po prostu nie zrobiłaś tego, czego żądała Daphne i nie pozbyłaś się dziecka? Widzisz, co straciłaś?*

*Twoja kochająca bliźniaczka Gisselle*

- Złe wieści? - odezwał się Paul, kiedy odłożyłam list i usiadłam.

Czułam łzy pod powiekami, ale uśmiechnęłam się.

- Wiesz, że moja siostra zawsze próbuje mnie zranić -chlipnęłam.

-Ruby...

- Zmyśla. Siedzi i głowi się... co by tu mogło najbardziej zranić Ruby? A potem umieszcza to w liście. To wszystko.

Oto, co robi Gisselle. To wszystko.

Łzy płynęły jedna za drugą. Paul podbiegł, żeby mnie objąć.

- Och, Ruby, moja Ruby, nie płacz. Proszę.

- Już dobrze - odparłam, wciągając powietrze. - Wytrzymam.

- Napisała coś o nim, tak? - spytał, domyślając się Paul. Skinęłam głową. - To nie musi być kłamstwo, Ruby.

- Wiem.

- Pamiętaj. Ja zawsze będę przy tobie.

Spojrzałam na jego twarz pełną miłości i współczucia. Zapewne nigdy nie znajdę kogoś równie oddanego. Ale nie mogłam zgodzić się na układ, który mi proponował. To nie byłoby uczciwe

względem niego.

-Poradzę sobie. Dzięki, Paul - zapewniłam, ocierając łzy.

- Takie dziecko jak ty, zupełnie samo i do tego w ciąży -mruknął. - Lękam się o ciebie.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - uspokoiłam

Dwa razy zabrał mnie do lekarza, co tym bardziej utwierdziło plotkarzy w przekonaniu, że to jego dziecko. W naszej małej wspólnocie wieści szybko się rozchodziły, ale on się tym w ogóle nie przejmował, nawet gdy mu zrelacjonowałam moją rozmowę z przyjaciółkami babuni Catherine.

Od połowy siódmego miesiąca do połowy ósmego Paul bywał u mnie codziennie, czasem nawet kilka razy w ciągu dnia. Dopiero w ósmym miesiącu zrobiłam się naprawdę gruba i ociężała. Nigdy się nie skarżyłam, lecz parę razy Paul zajrzał do mnie rano, kiedy się go nie spodziewałam

i przytąpał mnie, jak jęczkę, rozmasowując sobie krzyż. Czułam się jak kaczką, bo kołysałam się przy chodzeniu.

Kiedy lekarz obwieścił, że nie jest w stanie dokładnie określić terminu porodu, który może nastąpić każdego dnia w ciągu najbliższego tygodnia, Paul postanowił, że będzie u mnie nocować. W dzień zawsze zdołałabym wezwać jego czy kogoś innego, ale bał się, że poród zacznie się w nocy.

Któregoś dnia Paul zjawił się wczesnym popołudniem wyraźnie podenerwowany.

- Wszyscy mówią, że zbliża się huragan - oświadczył. -Chcę, żebyś przeniosła się do mnie do domu.

- O, nie, Paul. To wykluczone.

- Tu jest zbyt niebezpiecznie - perswadował. - Spójrz na niebo.

Pokazał zachodzące krwawo słońce, które przesłaniała cienka warstwa chmur.

- Czuć go w powietrzu - dodał.

Rzeczywiście było parno, a lekki wietrzyk, który towarzyszył nam cały dzień, całkiem ustał.

Ale ja nie mogłam pójść do domu jego rodziny. Za bardzo wstydziłam się i lękałam spojrzeń ojca i matki Paula. Z

pewnością rozgniewał ich mój powrót i plotki, jakie na nasz temat krążyły.

- Poradzę sobie - zapewniałam. - Przeżyliśmy tu niejedną burzę.

- Jesteś uparta jak twój dziadek - rozzłościł się Paul, ale ja nie ustępowałam.

Poszłam do kuchni przygotować nam coś do jedzenia. Paul wrócił do samochodu posłuchać radia.

Prognozy były groźne. Szybko zaczął zamykać, co się dało. Postawiłam na stole dwa talerze z posiłkiem, ledwo jednak usiedliśmy, zaczął dąć wiatr. Paul rzucił okiem w stronę kanałów i jęknął. Od miasta szybko nadciągała ciemna chmura, widzieliśmy strugi deszczu.

- Zaczyna się - powiedział.

I nie minęło kilka sekund, a wiatr i deszcz przystąpiły do ataku. Ulewa dudniła o dach, woda wyszukiwała najmniejszą szczelinę. Wiatr szarpał luźnymi deskami. Słysz-

liśmy, jak unosi i ciska różnymi przedmiotami, niektóre uderzały o budynek, waląc tak mocno, że baliśmy się, czy nie przebiją ścian. Krzyknęłam i schowałam się do saloniku, gdzie skuliłam się na kanapie. Paul uwijał się, zamykając i uszczelniając wszystkie otwory, lecz wiatr i tak wdarł się do domu, zrzucając rzeczy z półek i blatów.

Przewrócił nawet krzesło. Bałam się, że lada chwila sfrunie blaszany dach i zostaniemy wydani na pastwę szalejącej wichury.

- Powinniśmy byli wyjechać! - krzyknął Paul. Szlochałam, kuląc się. Paul przestał na chwilę walczyć z żywiołem, podszedł, żeby mnie przytulić. Siedzieliśmy, trzymając się za ręce, słuchając ryku wiatru, wyrrywającego drzewa z korzeniami.

I nagle, równie szybko jak się pojawiła, wichura ucichła. Nad rozlewiskami zapadła śmiertelna cisza. Ciemności rozproszyły się. Wciągnęłam powietrze, a Paul wstał rozejrzeć się, jakie szkody wyrządziła nawałnica. Oboje wyjrzelśmy przez okno i ze zgrozą patrzyliśmy na powyrywane drzewa. Świat wyglądał jak przewrócony do góry nogami.

I nagle oczy Paula rozszerzyły się z przerażenia. Skrawek błękitu nad naszymi głowami zaczął znikać.

- To było oko cyklonu - zawołał. - Wracaj! Wracaj! Huragan zaatakował od nowa, z rykiem wygłodzonego olbrzyma rzucając się na rozlewiska. Tym razem zatrzęsł się cały dom, ściany trzeszczały, a okna wyleciały z framug, tak że w powietrzu fruwały odłamki szkła.

- Ruby, musimy się schować pod domem! - krzyczał Paul.

Przerażała mnie sama myśl o wyjściu na zewnątrz. Wyrwałam się z ramion Paula i cofnęłam do kuchni. Ale wdepnęłam w kałużę wody, która powstała z ciekącego dachu i poślizgnęłam się. Upadłam na brzuch. W ostatniej chwili podparłam się, żeby nie uderzyć nosem o podłogę. Ale brzucha nie udało mi się osłonić. Poczułam straszliwy ból.

Położyłam się na wznak i krzyczałam. Wyłam. W jednej chwili znalazł się przy mnie Paul, próbując mnie podnieść.

- Nie mogę, Paul. Nie mogę...

Nogi miałam jak z ołowiu, nie mogłam ich ani unieść, ani zgiąć. Paul próbował mnie podźwignąć, ale lałam mu się przez ręce, poza tym on też ślizgał się na mokrej podłodze. A potem przeszył mnie potworny ból. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyłam. Jakby ktoś chwycił nóż i rozcinał mi

brzuch. Ścisnęłam ramię Paula.

- Paul! Dziecko!

Na jego twarzy pojawiła się panika. Obrócił się do drzwi, jakby chciał biec po pomoc, uświadomił sobie jednak, że to niemożliwe i wrócił do mnie. W tej samej chwili odeszły wody.

- Zaraz się urodzi!

Wiatr dalej szarpał budynkiem. Blaszany dach jęczał, część się obluzowała, waliła o więźbę.

- Musisz mi pomóc, Paul! Już za późno!

Myślałam, że stracę przytomność, a może nawet umrę na tej podłodze. To niemożliwe, by człowiek zdołał przeżyć taką mękę. Przychodziły fale bólu i skurczów, fale coraz częstsze, gwałtowniejsze, aż poczułam dziecko. Paul klęczał przy mnie z wytrzeszczonymi oczami. Patrzył z niedowierzaniem.

W pewnym momencie przestałam słyszeć ryk wiatru, zapomniałam o szalejącej nawałnicy. Traciłam i odzyskiwa-

łam przytomność. Zaczęłam przec z całej siły, aż Paul krzyknął z zachwytu. W jego rękach wylądowało dziecko.

- To dziewczynka! - zawołał. - Dziewczynka!

Lekarz już wcześniej powiedział mi, co należy zrobić z pępowiną. Poinstruowałam Paula, odciął ją i zawiązał. Potem dziecko zaczęło kwilić. Położył mi ją w ramionach. Ciągłe leżałam na podłodze, a burza, choć nieco przycichła, nie ustępowała, deszcz dudnił o dach.

Paul przyniósł kilka poduszek. Oparłam się o nie i wpatrywałam w twarzyczkę, która obróciła się w moją stronę, od samego początku szukając we mnie pociechy, bezpieczeństwa i miłości.

- Jest piękna - szepnął Paul.

Ulewa zmieniła się w kapuśniaczek, kapuśniaczek w mżawkę, w końcu słabe promienie zachodzącego słońca przedarły się przez chmury i zajrzały przez okno, by zalać ciepłym blaskiem moje dziecko i mnie. Obsypałam pocałunkami twarz mojej córeczki.

Przeżyliśmy. Razem sobie poradzimy.

Epilog

Niewiarygodne, lecz stojący na cienkich palach domek babci przetrzymał najstraszliwszą - jak zgodnie twierdzono w okolicy - nawałnicę od dziesięcioleci. Inni mieszkańcy nie mieli tyle szczęścia, ich domy porwały huragan i ulewa.

Na drogach leżały pozwalane drzewa i połamane gałęzie. Wyglądało na to, że upłynie wiele dni, a

może i tygodni, nim życie wróci do normy.

Ledwo jednak rozeszła się wieść o narodzinach mego dziecka, odwiedziły mnie przyjaciółki babuni Catherine.

Każda przyniosła coś, co mogło mi się przydać.

- Jak ją nazwiesz? - spytała pani Livaudis.

- Pearl - odparłam.

A potem wyjaśniłam im, że kiedyś miałam sen, w którym przyśniło mi się moje dziecko i w tym śnie miało ono twarzyczkę jasną jak perła. Kiwały głowami ze zrozumieniem, nie odrywając wzroku od mojej córeczki. W końcu byłam przecież wnuczką Catherine Landry, więc nic dziwnego, że miewam prorocze sny.

Paul prawie nie opuszczał mojego domu. Za każdym razem zjawiał się z naręczami rzeczy dla dziecka i dla mnie.

Następnego dnia po nawałnicy przyprowadził kilku pracowników z fabryki i razem naprawili szkody po huraganie.

Krzętał się po domu i podwórku, kiedy przyszły kobiety.

- To ładnie z jego strony, że się tak uwija - stwierdziła pani Thibodeaux - ale powinien spełnić swój najważniejszy obowiązek - szepnęła.

Nie miało sensu zaprzeczanie i tłumaczenie wszystkiego od nowa, choć współczułam Paulowi i jego rodzinie.

Wieczorami po kolacji siadałam z Pearl w starym bujaku babuni i kołysałam ją do snu. Paul wyciągał się na werandzie, ręce kładł pod głowę, w zębach trzymał źdźbło trawy i chwalił mnie, że tak wspaniale zajmuję się dzieckiem, a do tego cudownie gotuję. Wiedziałam, do czego zmierza, lecz udawałam, że niczego nie rozumiem.

Pewnego popołudnia, kilka tygodni po urodzeniu Pearl, Paul zjawił się z kolejnym listem od Gisselle. Ten był o wiele krótszy, ale za to znacznie bardziej bolesny.

*Kochana Ruby,*

*nie odpisałaś, ale Paul zrobił to za ciebie. Powiedziałam Daphne, gdzie jesteś, i że już urodziłaś dziecko. Wcale nie chciała słuchać. Zamierzałam też powiedzieć o tym Beau przy najbliższym spotkaniu, ale właśnie dowiedziałam się, że nie wraca z Europy. Pozostaje tam i będzie uczył się na lekarza. Tak jak pisałam ci poprzednio, jest zakochany w córce jakiegoś księcia czy hrabiego, która mieszka w prawdziwym pałacu.*

*Daphne z Bruce'em wyznaczyli już datę ślubu. Ale zrobiłabyś im niespodziankę, gdybyś pojawiła*

*się z dzieckiem w ramionach, co? Zamierzam na bieżąco przekazywać Ci wszelkie ploteczki. Wiem, że wprost konasz z ciekawości, co się tu dzieje, choć udajesz, że nic cię to nie obchodzi.*

*Odpisz, proszę. Przeczytam twój list Daphne. Właśnie przyszło mi na myśl coś zabawnego. Nie tylko ja zostałam ciotką, ale i ona babcią. Będę jej to ciągle przypominać, ilekroć nadejmi mi na odcisk. Dzięki. Nareszcie zrobiłaś coś przyzwoitego.*

*Żartuję.*

*Ciekawa jestem, czy jeszcze kiedyś się spotkamy.*

*Twoja kochająca bliźniaczka Gisselle*

- Dlaczego do niej napisałeś, Paul? - spytałam.

- Sądziłem, że twoja rodzina powinna wiedzieć o urodzeniu dziecka...

- Chciałeś przede wszystkim, żeby wiadomość dotarła również do Beau, tak? - naciskałam.

Wzruszył ramionami.

- To już bez znaczenia - stwierdziłam apatycznie.

- W takim razie zostajesz tu na dobre? Nie odejdziesz?

- A gdzie byśmy się podziały, ja i Pearl?

- Wobec tego pozwól, bym ja dał wam dom - poprosił.

- Nie wiem, Paul. Muszę się zastanowić.

- Dobrze, ale nie zastanawiaj się zbyt długo - ustąpił, zachęcony tym, że nie odmówiłam.

Tego wieczoru, kiedy Paul już poszedł, siedziałam na werandzie, słuchając pohukiwania sowy. Moja córeczka spała w domu, szczęśliwa i bezpieczna. Przeszłam tak wiele tylko po to, by wrócić do punktu wyjścia. I przekonałam się, że świat to nie przytulna poduszka, w którą można się wtulić. To twarde, zimne, okrutne miejsce, pełne dramatów.

Dlatego dobrze mieć w nim kogoś, kto się tobą zajmie, zaopiekuje, zapewni ciepło i bezpieczeństwo. Czy to grzech pragnąć tego i otrzymać to? Jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla dziecka? - myślałam.

Babuniu - szepnęłam. - Daj mi znak. Pomóż mi dokonać właściwego wyboru.

W tym momencie sowa ucichła, z nieba sfrunął błotniak i zatrzymał się przed domem. Przez chwilę dreptał, po czym odwrócił się w moją stronę. W blasku księżycy widziałam utkwione we mnie żółtawe ślepia. Rozpostarł skrzydła, jakby chciał mnie powitać, a potem, równie szybko jak się

pojawił, zniknął w ciemnościach, gdzie - wiedziałam -

przysiadł na gałęzi i dalej pilnował domu, mnie i mojego dziecka.

I wtedy poczułam w głębi serca, że babunia jest ze mną, szepce w wietrze, napelnia mnie nadzieją. I wiedziałam już, że podejmę właściwą decyzję.